

Martina Cole

**GEORGE
ROZPRUWACZ**

był
najgorszym
koszmarem kobiet...

MARTINA COLE

GEORGE ROZPRUWACZ

Tłumaczył Piotr Kuś
The Ladykiller

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Podziękowania

KSIĘGA PIERWSZA

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Książkę tę dedykuję Lesowi i Christopherowi

Chciałabym podziękować mojemu agentowi, Darleyowi Andersonowi, za jego wiarę, zaufanie i, przede wszystkim, za przyjaźń.

Wielkie podziękowania dla sierżanta Stevena Bolgera z policji w Windermere na Florydzie za pomoc, jakiej mi udzielił, kiedy zbierałam materiały do tej książki.

Dziękuję też Julie za to, że bezustannie tkwiła nad klawiaturą komputera i przepisywała, przepisywała, przepisywała.

I specjalne podziękowania dla mojego męża i syna. Oni wiedzą, za co.

KSIĘGA PIERWSZA

*Ze wszystkich zmartwień, które toczą nas
Najbardziej gorzkim jest szyderczy żart;
Los nigdy nie rani głębiej szczerego serca
Niż chwila, gdy zniewagą bije tępy szyderca.*

Samuel Johnson, 1709-1784

I wypróbowałem cię w piecu niedoli.

Izajasz 48, 10

Krew jest obowiązkowa, krwią są ci, których widzisz.

Tom Stoppard,
Rosenkrantz i Guildenstern nie żyją

PROLOG

– Prosiłam cię tylko o to, żebyś ściągnął zabłocone buty. Na miłość boską, dlaczego jesteś taki bezmyślny? Nie potrafisz wykonać prostej czynności?

Elaine Markham popatrzyła na bezmyślne oblicze swojego męża i z trudem stłumiła w sobie ochotę, by uderzyć w nie pięścią. Zaciskając zęby, czyniła w pełni świadomy wysiłek, by zachować spokój. Jej oczy ponownie powędrowały na podłogę kuchni, ku pokrywającym ją czarnym, wilgotnym śladom.

Głęboko westchnąwszy, wyciągnęła spod zlewu szmatę do podłogi, z impetem zatrasnęła drzwi kredensu i zaczęła napełniać plastikową miskę wodą. George Markham patrzył, jak jego żona dolewa do wody płyn do mycia podłóg. Wciąż siedząc na jednym z kuchennych krzeseł, zaczął ściągać buty służące mu do pracy w ogrodzie. Bardzo się starał, żeby na nieskazitelnie czystą podłogę przy stole nie spadła już ani jedna grudka błota.

Elaine odwróciła się od zlewu, z miską w rękach, i wrzasnęła na niego:

– Czy nie możesz tego robić nad gazetą? Czy jesteś aż tak głupi, że nawet wymyślenie czegoś takiego jest dla ciebie zbyt trudne?

George przez kilka sekund wpatrywał się w twarz żony, przygryzając dolną wargę.

– Przepraszam, Elaine. - Jego głos był niski, drżący, wystraszony. Elaine wzniosła oczy ku sufitowi.

Ściągnąwszy buty, George podszedł do kuchennych drzwi i wyrzucił obuwie na zewnątrz. Następnie ostrożnie zamknął drzwi i odwrócił się do żony.

– Daj mi szmatę, Elaine. Posprzątam ten bałagan.

Uśmiechnął się do niej ze smutkiem, zyskując jedynie tyle, że jej oddech stał się głośniejszy. Z irytacją potrząsnęła głową.

– Nie. Tylko byś wszystko pogorszył. Na Boga, George, nic dziwnego, że nie dajesz sobie rady w pracy. Dziwne, że w ogóle pozwalają ci tam codziennie przychodzić.

Postawiła na podłogę miskę z parującą wodą, po czym uklękła. Wciąż narzekała, nawet wtedy, kiedy zaczynała szorowanie.

– Szczerze mówiąc, jesteś do niczego. Jak wsiądziesz do samochodu, to przywalisz nim w mur. Nie potrafisz zrobić niczego, niczego, bez

partaczenia. Zaledwie w ubiegłym tygodniu...

Elaine sprzątała i paplała, a George tymczasem obserwował obfite pośladki żony, poruszające się pod fartuchem. Tłuszcz na jej udach trząsł się zatrważająco, w miarę jak szorowała podłogę. Oczyma wyobraźni George widział siebie, jak wstaje z krzesła i z całej siły kopie żonę w gruby zad, posyłając ją pod przeciwległą ścianę, razem z miską wody. Ten fantastyczny obraz sprawił, że się uśmiechnął.

– No i co się tak wyszczerzasz?

Pytanie Elaine przywołało go do rzeczywistości. Skupił wzrok na jej twarzy. Patrzyła na niego przez ramię. Jej jasnozielone umalowane oczy i rubinowe usta lśniły krzykliwie w jasnym kwadracie słonecznego światła.

– To nic. Nic takiego, kochanie. - Był zmieszany.

– Spieprzaj, George. Precz z moich oczu.

Mimo to wciąż przypatrywał się żonie. Patrzył, jak jej silne ramiona zdecydowanie przesuwają po podłodze mokrą szmatę, jak jej palce wyciskają z niej wodę do miski, aż do ostatniej kropli. Och, jak bardzo chciałby w taki sam sposób wycisnąć szyję Elaine. Tymczasem jednak powoli ruszył w kierunku tylnych drzwi wyjściowych.

– Dokąd znowu idziesz? - Jej głos był mocny, wysoki i zwiastujący kolejny atak wściekłości.

George popatrzył na nią.

– Mam jeszcze trochę roboty w szopie.

Elaine wzniosła oczy ku sufitowi.

– Dlaczego więc przylazłeś tutaj i zapaprałeś całą podłogę?

– Chciałem się napić herbaty. Widzę jednak, że jesteś zajęta...

Szybko opuścił kuchnię i już na zewnątrz włożył buty, w których pracował w ogrodzie. Elaine przez chwilę wpatrywała się w drzwi, które ostrożnie za sobą zamknął. Jak zwykle po podobnej sprzeczce czuła się winna. Winna i jakaś taka, jakby wypuszczono z niej powietrze. George był taki bezwartościowy. Przez te wszystkie lata jego spokojna akceptacja tego, w jaki sposób żyli, doprowadzała ją do szaleństwa. Westchnęła ciężko i kontynuowała szorowanie podłogi.

Wszedłszy do szopy, George zamknął na zasuwę drewniane drzwi. Przez moment opierał się o nie, a po jego czole spływał zimny pot. Obliznął usta, zamknął oczy i wziął kilka głębszych oddechów.

Któregoś dnia Elaine wreszcie się doigra. Pewnego dnia otworzy usta o jeden raz za dużo. George czuł, jak mocno pod żebrami bije mu serce. Przyłożył dłoń do tego miejsca, jakby w ten sposób mógł je uspokoić.

Odszedł od drzwi, kierując się ku przeciwległej ścianie szopy.

Ściągnąwszy ze starego szkolnego biurka plik kolorowych magazynów, traktujących o pracy w ogrodzie, podniósł blat. Pod spodem znajdowało się kilka zmiętych fartuchów - jego ogrodowych fartuchów. Wyciągając je, uśmiechał się. Dopiero pod nimi leżały inne czasopisma, jego czasopisma. Prawdziwe czasopisma, z prawdziwymi kobietami. Kobietami, które nie zrzedziły, nie beształy i nie wymagały ciągle rzeczy niemożliwych. Kobietami, które po prosu leżały spokojnie i się uśmiechały. Cokolwiek by się z nimi robiło.

Wziął do ręki pismo, które leżało na wierzchu. Na okładce znajdowało się zdjęcie dziewczyny w wieku około dwudziestu lat. Ręce miała związane z tyłu, a jej szyję opasywał skórzany kołnierz. Długie, jasne włosy opadały jej na ramiona i częściowo zakrywały piersi. Jakaś męska, owłosiona ręka ciągnęła jej głowę do tyłu. Dziewczyna uśmiechała się.

George przez chwilę wpatrywał się w fotografię. Jego drobne, równe zęby ukazały się pomiędzy wargami w lekkim uśmiechu. Ponownie oblizał usta i usiadł na swoim krześle. Powoli, jak za pierwszym razem, otworzył magazyn, chcąc delektować się każdą fotografią.

Popatrzył na kolejną dziewczynę, tym razem zupełnie inną. Miała orientálną urodę, drobne, sterczące piersi i gęste czarne włosy. Była w pozycji na czworakach. Skórzany pas, owinięty wokół jej szyi, przymocowany był drugim końcem do jej nogi. Gdyby chciała się od niego uwolnić, udusiłaby się na śmierć. Za nią stał mężczyzna. Jego oczy były osłonięte czarną skórzaną maską i bez wątpienia był gotów natychmiast wepchnąć sterczący penis w odbyt dziewczyny. Ona miała plecy wygięte w łuk i wpatrywała się wprost w obiektyw z uśmiechem, który miał świadczyć, że zaznaje wprost nieziemskich rozkoszy.

George westchnął z zadowoleniem. Powoli przejrzał cały magazyn, od czasu do czasu przerywając kartkowanie i wyciągając przed siebie rękę z pismem, żeby niektóre fotografie obejrzeć pod różnymi kątami. Czuł znajome podniecenie, stopniowo rodzące się w jego wnętrzu. Wsunął dłoń pod oparcie krzesła. Przez chwilę szukał nią czegoś po omacku, wreszcie znalazł. Wyciągnął duży wojskowy nóż, a następnie, starannie ułożywszy magazyn na kolanach, wy dobył nóż z pochwy. Nóż miał siedmicalowe ząbkowane ostrze. Ustawił je tak, że mógł obserwować, jak łśni w promieniach słońca wpadających do szopy przez szybę. Następnie popatrzył na dziewczynę z rozkładówki magazynu. Wpatrywała się w niego z fotografii z mieszaniną agonii i ekstazy, a tymczasem zakapturzony ejakulował na jej twarz. Nasienie spływało po jej policzkach, kapiąc aż na piersi.

Ostrożnie i precyzyjnie George zaczął ją rozczłonkowywać. Przejechał ostrzem po jej gardle, rozdzierając papier. Następnie rozszarpał jej piersi i waginę. A ona przez cały czas mu się

przypatrywała. Uśmiechała się. Dodawała mu odwagi. Czuł, jak rośnie jego erekcja, czuł już zimny pot pod pachami i na plecach. Zaczął niszczyć cały magazyn, wpychając nóż w papier. Czuł wzmagający się szum w uszach, jakby płynął pod wodą, aż wreszcie, kiedy szum osiągnął crescendo, spłynęły na niego wspaniałe, niemal euforyczne fale orgazmu.

Opadł plecami na oparcie niewygodnego starego krzesła. Oddychał jeszcze krótkim, urywanym oddechem, ale jego tętno powoli zaczynało powracać do normalnego stanu. Zamknął oczy i stopniowo zaczęły wracać do niego także odgłosy i widoki rzeczywistości.

Słyszał, jak sąsiad podlewa trawę obok jego szopy. Słyszał jego dzieci pluskające się w brodziku. Ich pełne radości wybuchy śmiechu nieprzyjemnie świdrowały w uszach. Do oka kapnęła mu słona kropla potu i niecierpliwie wytarł ją rękawem. Potrząsnął głową i popatrzył na swoje kolana. W tym momencie zobaczył krew.

Przez kilka sekund z niedowierzaniem mrugał oczyma. Dziewczyna była cała we krwi. Ciało, które porozrywał na kawałki, powoli przyjmowało purpurową barwę. George gapił się na nie i nie potrafił wykonać żadnego ruchu.

Odrzucił magazyn jak najdalej od siebie. Każdy nerw jego ciała dygotał i wibrował w najgłębszym szoku.

Zranił się! Popatrzył na głęboką ciętą ranę na udzie. Krew płynęła z niej szerokim strumieniem, plama na spodniach szybko się powiększała. Przestraszony George zeskoczył z krzesła. Nóż rozerwał mu dżinsy i dotarł aż do mięśni!

Musi powiedzieć Elaine! Niech zawiezie go do szpitala. W panice ruszył ku drzwiom szopy.

Wtedy przypomniał sobie o czasopismach.

Jedną ręką uciskając ranę na nodze, drugą zebrał z podłogi wszystkie magazyny. Wepchnął je do szkolnego biurka, dołączając do pozostałych. Rzuciwszy na wierzch fartuchy, zatrzasnął blat. Czuł, jak po nodze płynie mu krew.

Stertę magazynów ogrodniczych rzucił na blat biurka. Krew zdawała się być już w całej szopie.

Wyciągnąwszy skobel z zasuwy, wybiegł na światło dzienne. Dobiegające zza niskiego płotu odgłosy dzieci bawiących się w brodziku ponownie nieprzyjemnie podrażniły jego uszy. Pobiegł ścieżką w kierunku tylnych drzwi domu i otworzył je szeroko.

Elaine przygotowywała warzywa na obiad. Odwróciła się do niego i popatrzyła z zaniepokojeniem. Stał przed nią, cały we krwi.

– Ja... Ja się zraniłem, Elaine. - Niemal płakał.

– Mój Boże, George! - Złapała za ręcznik do naczyń i szybko

przewiązała nim nogę męża, mocno zaciskając. - Szybko, zawiozę cię do szpitala.

George leżał w sali za przepierzeniem, na oddziale nagłych wypadków w Grangely Hospital. Zbierało mu się na wymioty. Jakaś młoda pielęgniarka próbowała ściągnąć mu spodnie.

- Bardzo pana proszę, panie Markham. Muszę je zdjąć. - Miała młody, kuszący głos.

- Nie, nie, wcale nie. Wcale pani nie musi. Proszę jedynie oderwać nogawkę albo coś takiego.

George i pielęgniarka zmierzli się wzrokiem. Nagle oboje popatrzyli w kierunku odsuwane przepierzenia. Poruszyło się i młoda kobieta westchnęła z ulgą. Przy łóżku stanął Joey Denellan, przełożony pielęgniarek.

- O co chodzi, siostrze? - zapytał. Jego głos brzmiał przesadnie wesoło; cecha charakterystyczna dla wszystkich mężczyzn pracujących w tym zawodzie.

- Pan Markham nie pozwala mi ściągnąć sobie spodni.

Mężczyzna uśmiechnął się do George'a.

- Wstydzimy się, co? Nic nie szkodzi. Ja to zrobię.

Pielęgniarka wyszła i zanim George zdążył zaprotestować, mężczyzna zaczął z niego zdejmować dżinsy. George spróbował go powstrzymać, jednak Joey był zbyt silny. Po chwili spodnie leżały na podłodze.

George przełknął ślinę i odwrócił głowę tak, żeby nie patrzeć w twarz mężczyzny.

Joey Denellan popatrzył na zranioną nogę okiem eksperta. Rana była głęboka, lecz nie naruszyła żadnej z głównych arterii. Przesunął wzrokiem po nodze mężczyzny i nagle znieruchomiał. Nic dziwnego, że staruszek tak bardzo bronił się przed ściągnięciem mu spodni przez Jenny. Rana na udzie była szeroka, świeża i wciąż gromadziła się wokół niej lepka krew. Skąd się właściwie wzięła? Joey wzruszył ramionami. To nie jego sprawa.

- Co to był za nóż? - zapytał ostrożnie.

- Zwyczajny, ze szwajcarskiej armii - odparł George, jakby zawstydzony.

Joey poczuł, że mu niemal współczuje.

- Cóż, będziemy musieli założyć kilka szwów, ale niech się pan nie martwi. Nie naruszył pan niczego niezbędnego do życia. Pozwoli pan, że spróbuję znaleźć dla pana jakieś czyste spodnie?

George wyczuł ton „między nami mężczyznami”. Skinął głową.

- Tak, proszę. Ja...

- A więc wszystko gra. Wracam za minutkę. Wkrótce przyjdzie do

pana lekarz.

– Dziękuję. Dziękuję panu bardzo. Czy mógłby pan nie wpuszczać tu mojej żony?

Bardzo pana proszę.

W oczach George'a było takie błaganie, że Joey pokiwał głową.

– Dobrze. Niech się pan nie martwi.

Wyszedł z za przepierzenia i skierował się do części rejestracyjnej.

– Pani Markham? - Rozejrzał się po zgromadzonych ludziach i wcale się nie zdziwił, kiedy na jego słowa zareagowała gruba kobieta o rzednących rudych włosach. Ubrana była w byle jaką zieloną suknię.

– Czy wszystko z nim w porządku? Mój Boże, tylko George potrafiłby się tak zranić w jakiejś głupiej szopie w ogrodzie. Szczerze mówiąc, doktorze...

– Jestem pielęgniarzem.

Elaine znów zaczęła mówić, jednak jej przerwał.

– Kiedy tylko doktor obejrzy rany pani męża, zaraz je zaszyjemy. Gdyby chciała pani napić się kawy, na końcu korytarza jest automat. - Wskazał na wahadłowe drzwi po prawej stronie.

Elaine doskonale zrozumiała, że pielęgniarz pragnie tylko tego, aby się zamknęła, dlatego posłała mu stalowe spojrzenie, normalnie zarezerwowane dla George'a. Odwróciwszy się, ruszyła w kierunku drzwi i pchnęła je tak mocno, że oba skrzydła trzasnęły w ścianę po drugiej stronie.

Joey Dennellan popatrzył za nią. Nic dziwnego, że starszy pan sprawiał wrażenie tak zahukanego. Małżeństwo z nią musiało przypominać związek z Attylą, królem Hunów. Wciąż jednak nie rozumiał, w jaki sposób facet zranił się w nogę. Co ona mówiła? W ogrodowej szopie? Jak to się ma do nasienia wyraźnie widocznego na jego gatkach? Usłyszał, że ktoś go nawołuje.

– Joey, wypadek na M25.

– Ilu rannych? - Ruszył w kierunku rejestracji.

– Cztery osoby. Spodziewany czas przybycia: za siedem minut.

– Rozumiem. Zwołaj zespół.

Joey rozpoczął przygotowania do przyjęcia ofiar wypadku drogowego. George Markham stracił miejsce w jego pamięci.

– Idziesz, George? - Głęboki, dudniący głos Petera Renshawa zdawał się odbijać o ściany biura i wreszcie uderzył George'a prosto w twarz.

– Dokąd mam iść?

– Do celu, Georgie, do celu. Do cholernego celu. Do Jonesy'ego.

– Ach, tak, do Jonesy'ego. Oczywiście, oczywiście. Zaraz idę.

– Bóg z tobą. Zanieś mu faktury. Powiem ci coś, Georgie, to będzie dobry interes. Cholernie dobry!

Peter Renshaw miał zwyczaj podkreślania znaczenia niektórych słów poprzez dodawanie do nich przekleństw. George tego nie cierpiał.

Renshaw był przedstawicielem handlowym fabryki odzieży, w której pracował George. Był o wiele wyższy od George'a i najwyraźniej strasznie mu się to podobało. Miał trzydzieści kilka lat i wiadano o nim, że zarabia mnóstwo pieniędzy. Był najlepszy. Z jakiegoś dziwnego powodu lubił George'a.

– Albo sam mu dam te faktury, Georgie. Muszę przekonać się, jaką robi minę. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę gębę starego Jonesy'ego.

George uśmiechnął się.

Stary Jonesy... Howard Jones był młodszy od George'a. Miał mniej więcej czterdzieści pięć lat, podczas gdy George - pięćdziesiąt jeden. Właściwie życie było już za nim.

Tymczasem głos Petera Renshawa wciąż dudnił:

– Na piątek wszystko już załatwione. Najpierw idziemy do Pig and Whistle. Wypijemy kilka kolejek. Następnie do tego nowego nocnego klubu, jak mu tam... O, właśnie, The Platinum Blonde. Popatrzymy sobie, jak się rozbierają tamtejsze ptaszęta. Będzie dużo śmiechu!

George też wciąż się uśmiechał.

– Tak, Georgie, będzie dużo dobrej zabawy. Zobaczysz sporo gorących cipek. Do zobaczenia w piątek.

George pokiwał głową.

– Tak. Do zobaczenia w piątek, Peter.

Patrzył, jak Renshaw wychodzi z jego biura. Stary Jonesy...

Przypuszczał, że za plecami nazywają go starym Markhamem. Popatrzył na zegarek. Była siedemnasta trzydzieści dwie. Wyszedł zza biurka i, włożywszy marynarkę, ruszył w kierunku wyjścia z budynku.

Kortone Separates była dobrze prosperującą firmą, nawet w czasie recesji. George pracował tu w księgowości.

Z wąskiego korytarza wyszedł na schody prowadzące na parking. Nigdy nie używał windy. Schodząc w dół, ujrzał pannę Pearson klęczącą na posadzce i zbierającą jakieś papiery. Była bardziej młoda, w wieku około osiemnastu lat, i pracowała w firmie mniej więcej od roku. Do tej pory George nie zamienił z nią ani słowa. Trzy górne guziki bluzki

pozostawiła odpięte, dlatego z półpiętra mógł dojrzeć jej kołyszące się piersi, kiedy wyciągała ręce po porzrzucone dokumenty.

Przystanął i zaczął się na nią gapić. Jej kremowe ciało było jędrne i wręcz kuszące. Dziewczyna podniosła głowę i popatrzyła na niego. Ujrzał twarz pokrytą intensywnym makijażem. Zmusił się, żeby

ponownie ruszyć. Znalazłszy się przy niej, pochylił się i zebrał część dokumentów. Wręczył je dziewczynie w milczeniu.

– Dziękuję, panie Markham.

Znała jego nazwisko! Poczuł, że ten fakt sprawia mu ogromną przyjemność.

– Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział.

Wyprostował się i znów na nią popatrzył. Nagle otworzyły się drzwi piętro wyżej i do obojga dotarł dudniący głos Petera Renshawa.

– Tutaj jesteś! Wszędzie cię szukam. Ty stary zbereźniku, George. Powinienem zgadnąć, że zawsze będziesz tam, gdzie są ładne dziewczyny.

Panna Pearson popatrzyła na Petera i posłała mu szeroki uśmiech. George z bliska przyglądał się jej twarzy.

– Och, Peter. - Jej głos brzmiał zalotnie i kusząco. - Czekałam na ciebie, ale...

George zdał sobie sprawę, że Peter schodzi po schodach, że jest coraz bliżej. Szybko

podniósł z ziemi resztę papierów i wręczył je pannie Pearson.

Następnie prędko odszedł, pewien, że ani ona, ani Peter tego nie zauważą. Miał rację. Żadne nie odezwało się już do niego nawet słowem. Wyszedł z budynku i otworzył drzwiczki swojego samochodu, starego oriona. Usiadł za kierownicą i czekał.

Para wyszła wreszcie na zewnątrz i skierowała się do samochodu Petera. Renshaw obejmował dziewczynę ramieniem. Wolną ręką ścisnął jej pierś. Chichocząc, panna Pearson odepchnęła natarczywą dłoń.

Kolejne ścierwo. Kolejna dziwka. Co powiedział Peter? Umarłby dla niej? George zacisnął oczy i wyobraził sobie jego śmierć.

Wyobraził też sobie pannę Pearson, jej ciało otwarte dla niego, jej rozłożone nogi, przywiązane do ramy łóżka, ręce związane za plecami, umalowaną twarz, uśmiechniętą, kiedy się do niej zbliżał. Pragnęła tego. Pragnęła i błagała go, żeby to zrobił.

– Panie Markham? - George szeroko otworzył oczy.

– Czy nic panu nie jest? Wygląda pan bardzo blado.

Popatrzył na mężczyznę zaglądnącego do jego samochodu. Był to po prostu dozorca parkingu.

– Dziękuję panu. - George uśmiechnął się lekko. - Jestem trochę zmęczony, to wszystko.

Mężczyzna zasalutował mu i ruszył dalej na obchód.

George patrzył za nim. Jego serce biło jak oszalałe. Słyszał dudnienie własnego pulsu. Próbował z powrotem przywołać do wyobraźni obraz nagiej panny Pearson, jednak bez skutku. Drżącą ręką przekręcił

kluczyk w stacyjce i ruszył w kierunku centrum Grantley. Miał dzisiaj odebrać zamówione czasopisma. Uśmiechnął się, ciesząc się słońcem późnego lata i podniecającym oczekiwaniem.

Na krótko przemknęło mu przez myśl, że jego „hobby” stało się już obsesją, lecz natychmiast to od siebie odrzucił. Rany na nodze wciąż go piekły i prowadząc ostrożnie samochód, nieświadomie je pocierał.

Był koniec września 1989 roku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Elaine Markham spojrzała na męża wciąż gapiącego się w telewizor. Jego lśniąca, łysiejąca głowa poruszała się to w górę, to w dół, jakby zgadzał się ze wszystkim, co mówi spiker.

– Na miłość boską, George! Przestań potakiwać telewizorowi.

Odwrócił się, by na nią popatrzeć. Na jego twarzy pojawił się wyraz oburzenia. Elaine zamknęła oczy. Powoli zacisnęła dłonie w pięści, po czym zmusiła się do zachowania spokoju.

– Może przyrzadzę ci filiżankę mleka, moja droga? - zapytał George łagodnym głosem.

– Tak, bardzo proszę.

Wszedł do nieskazitelnie czystej kuchni i zaczął przygotowywać ostatni napój przed snem. Nastawił na gaz garnek z mlekiem, po czym, otworzywszy jedną z kuchennych szafek, wyciągnął tabletki nasenne Elaine. Dokładnie roztarł jedną z nich pomiędzy dwiema łyżeczkami, a następnie wysypał proszek do filiżanki, razem z cukrem. Z uśmiechem na ustach nalał z kolei przegotowane mleko do filiżanki i energicznie w niej zamieszał. Potem wysypawszy z buteleczki kolejne dwie tabletki, zaniósł je Elaine razem z mlekiem.

– Proszę bardzo, moja droga. Przyniosłem ci także pigułki...

Elaine odebrała od niego napój i tabletki.

– Dzięki, George. Posłuchaj, wiem, że czasami zanadto się unoszę... - urwała.

– Wcale nie mam ci tego za złe, Elaine. Wiem, że... hmm, że czasami cię irytuję, to chyba jest najlepsze słowo.

George uśmiechnął się do niej smutno, co zawsze wywoływało w niej pragnienie rozszarpania go na strzępy.

Elaine wsunęła tabletki do ust i popiła je mlekiem, przy okazji parząc sobie wargi.

George wciąż się uśmiechał

– Smakuje jakoś gorzko.

Zmarszczył czoło i wypił łyk ze swojej filiżanki.

– Moje smakuje doskonale. Może odczuwasz gorycz z powodu tabletek?

– Pewnie tak. Chyba wezmę mleko ze sobą. - Z trudem podniosła się z krzesła.

– Dobranoc, Elaine. Śpij dobrze.

Zmierzyła męża groźnym spojrzeniem.

– Gdybym dobrze sypiała, George, nie zażywałabym tabletek nasennych.

– To tylko takie sformułowanie, moja droga. Taki zwyczaj.

Czy jej się zdawało, czy George rzeczywiście ostatnio zachowuje się inaczej niż zwykle? Chociaż nie potrafiła dokładnie wskazać, co się zmieniło, miała nieodparte przeczucie, że dotychczasowa równowaga pomiędzy nimi jakby się zachwiała. Patrząc w tej chwili na męża, nie przysięgłaby na Biblię, że George sobie z niej nie drwi.

– Zatem dobranoc, moja droga - powtórzył.

Spróbowała uśmiechnąć się do niego.

– Tak. Dobranoc, George.

Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie wyszła z pokoju. Kiedy powoli wspinała się po schodach do ich wspólnej sypialni, znowu ogarnęło ją zaniepokojenie. Był początek grudnia, a George od paru miesięcy zachowywał się jakoś dziwnie. Właściwie nie robił niczego, co mogłaby, wskazując palcem, mu zarzucić. Odnotowywała w jego zachowaniu jedynie subtelne, drobne zmiany. Na przykład, niemal każdego wieczoru wychodził ostatnio na spacer. Zawsze wracał, mniej więcej po godzinie, a jednak...

Zdjęła kremowy szlafrok i usiadła na skraju łóżka. Przecież wcześniej, przez dwadzieścia siedem lat małżeństwa, George ani razu nigdzie nie wyszedł bez potrzeby z domu. Mało tego, nienawidził opuszczania domu bez ważnej przyczyny.

Ściągnęła z nóg domowe pantofle, obszyte owczą wełną, po czym podrapała się po pięcie. Nogi miała równie grube jak resztę ciała, zniekształcone przez żyłaki. Przez chwilę się w nie wpatrywała, po czym wzruszyła ramionami.

Oparła się na poduszce, wzięła do ręki kolorowy magazyn i zaczęła czytać, czekając, aż środki nasenne zadziałają. Szybko dopiła resztę mleka.

Litery zaczęły skakać jej przed oczyma. Kilkakrotnie zamrugła, chcąc przywrócić wzrokowi ostrość. Te piguły z każdym dniem działały na nią coraz szybciej...

W końcu poddała się. Wyłączywszy nocną lampkę, ułożyła się do snu.

Dziesięć minut później George wsunął głowę do sypialni i mruknął z zadowoleniem, usłyszawszy ciężkie chrapanie żony.

George ostrożnie wymknął się z domu. Nałożył najgrubszy ze swoich płaszczy, ponieważ nocne powietrze było zimne i wilgotne. W świetle latarni ulicznych wyglądał dokładnie tak samo jak każdy inny

przechodzień o tej porze nocy. Na oczy zsunął kapelusz, który ostatnio kupił. Rozpoczął polowanie.

Czuł się dziś wolny, a uczucia tego nie doświadczył w takim stopniu już od dwudziestu lat. Wielokrotnie przeszedł Grantley wzdłuż i wszerz. Chodził ostrożnie, cicho i czujnie. Dzisiejszej nocy zamierzał dotrzeć do bloków po drugiej stronie miasta. Wziął głęboki oddech i rozpoczął kolejną samotną wędrówkę.

Idąc, uważnie patrzył w okna domów, szukając za nimi odsuniętych firanek i ruchu. Doszedł do końca Bychester Terrace i skręcił w prawo. Peabody Street doprowadziła go do zakurzonej drogi, biegnącej dookoła Grantley, wzdłuż granicy miasta. Ruch na niej był niewielki, jedynie od czasu do czasu zdarzał się samochód z jakąś spóźnioną parą kochanków. W ciągu piętnastu minut George dotarł do budynków mieszkalnych przy Beacham Rise.

Zajął miejsce po rozłożystą wiśnię i czekał. Zobaczył coś dopiero o jedenastej piętnaście i jak zwykle była to kobieta mieszkająca na pierwszym piętrze. Bloki, które obserwował, były niskie, zaledwie dwupiętrowe. W ciągu ostatnich ośmiu tygodni George bywał tu już wiele razy i zawsze to właśnie kobieta z pierwszego piętra dostarczała mu widowiska. Tam, gdzie stał, przy drzewie wiśniowym, było akurat niewielkie wzniesienie, dzięki czemu wewnątrz mieszkania kobiety widział doskonale. Wyjął z kieszeni małą operową lornetkę i rozpoczął obserwację.

Leonora Davidson ziewnęła, szeroko otwierając usta. Przeciągnęła się, unosząc ręce wysoko ponad głowę, po czym jakby od niechcienia ułożyła dłońmi swe gęste czarne włosy. Była skrajnie zmęczona. Już od dawna chciała zrezygnować z nadgodzin. Złe na nią wpływały.

Powoli zabrała się za rozpinanie bluzki, aż wreszcie pozwoliła, by opadła ona z jej okrągłych ramion na podłogę. Odpięła stanik i uwolniła z niego piersi. Gwałtownie zaczęła je uciskać i drapać, gdyż po wielu godzinach w biustonoszu boleśnie ją teraz swędziły. Uniósłszy jedną z nich na dłoń, popatrzyła w lustro nad toaletką. Na delikatnej skórze wyraźnie widoczna była gruba, czerwona pręga. Westchnęła. Czas najwyższy kupić kilka lepszych biustonoszy.

Ujęła w ręce obie piersi i podniosła w górę, jakby chciała je zważyć. Nie łudziła się: w ostatnim czasie przybrała na wadze. Wreszcie rozpięła zamek błyskawiczny spódnicy i opuściła ją na podłogę. Wyszedłszy z niej, kopnęła ją, byle dalej od siebie.

Leonora popatrzyła na swoje ciało odbite w lustrze. Nie najgorzej, jak na jej wiek. Trochę obwisłe piersi i brzuch, ale cóż, w końcu każdy kiedyś przegrywał wojnę z siłą grawitacji. Odruchowo wciągnęła

brzuch, ale zaraz zachnęła się. Pieprzyć to! W końcu nikt już nie będzie oglądał jej nagiej. Po co więc się martwić?

Znów ziewnąwszy, jeszcze gwałtowniej niż poprzednio, podeszła do krzesła, na którym leżała koszula nocna, prosta, niewyszukana, ale przynajmniej ciepła. Przeciągnęła się jeszcze, po czym zgasiła światło i wskoczyła do łóżka.

George stał pod wiśnią zafascynowany. Kiedy zgasło światło w sypialni, wystękał pod nosem jakieś przekleństwo i schował lornetkę z powrotem do kieszeni. Pocił się. Z kieszeni spodni wyciągnął chusteczkę i otarł nią wilgotne czoło.

Głupia suka! Och, jak wiele by dał, żeby znaleźć się teraz w tym mieszkaniu. Pokazałby jej, gdzie raki zimują, na miłość boską! Że też baba łązi naga po mieszkaniu! Aż naprasza się, żeby ludzie na nią patrzyli. Dziwka! W najwyższym stopniu podekscytowany, George nie dostrzegł dwóch młodzieńców, którzy już od dłuższej chwili przypatrywali się, jak podgląda Leonorę Davidson.

– Co robisz? - Głośne pytanie rzucone zza jego pleców sprawiło, że błyskawicznie odwrócił się na piętach.

– Słu... słucham? - Niemal pisnął, zupełnie zaskoczony.

Za nim stało dwóch młodych ludzi. Pierwszy ubrany w długi, skórzany płaszcz, miał rozwichrzone brązowe włosy. Drugi, ubrany w obszerną, wełnianą kurtkę, według wiedzy George'a był skinheadem.

– Chyba mnie zrozumiałeś, stary przyku? Co tutaj robisz? Podglądasz, jak pani Davidson się rozbiera? Brandzlujesz się?

Chłopak w skórzanym płaszczu zrobił krok w jego kierunku. Wyraz jego twarzy świadczył, że nie ma dobrych zamiarów.

– Masz forse? - zapytał skinhead.

George poczuł od niego smród kleju i wymiocin. Wpatrywał się w obu, nie ruszając się z miejsca. Wreszcie chłopak w skórzanym płaszczu zrobił ruch, jakby chciał go uderzyć, i George cofnął się o krok.

– Jeśli natychmiast sobie stąd nie pójdziecie, wezwę pomocy.

Młodzieniec w płaszczu zaczął go przedrzeźniać.

– „Jeśli natychmiast sobie stąd nie pójdziecie, wezwę pomocy!” Widzisz, to my dwaj - wskazał na siebie i kumpla - moglibyśmy wezwać policję. Pieprzony Tom podglądacz z ciebie, co? Ale jeśli dasz nam, co chcemy, będziesz mógł sobie spokojnie odejść.

Skinhead zachwiał się i George z obrzydzeniem zobaczył, że z kącików jego ust wolno płyną wymiociny. Nagle chłopak wyrzucił z siebie potężną porcję rzygowin, która rozbryzgała się na jego butach. Kiedy ciepła treść żołądka zaczęła parować w mroźnym powietrzu, George poczuł wstrętny odór.

Młodzieniec w płaszczu roześmiał się, szydząc z kumpla, który oparł się o drzewo, żeby nie upaść.

George pogrzebał w kieszeniach, wyciągnął dwa banknoty pięciofuntowe i podał je chłopakowi. Ten wziął je i natychmiast schował do kieszeni dzinsów.

– No, weź się w garść, Trev. Napierdolmy staremu, zboczonemu draniowi.

Trevor nie był w stanie oderwać się od pnia wiśni, ten w płaszczu postanowił więc sam dać George'owi nauczkę. George skulił się i zasłonił twarz, kiedy spadły na niego pierwsze ciosy. Po chwili przewrócił się i tylko świadomość, że skończy nieprzytomny w wymiocinach skinheada, kazała mu się nie poddawać. Uderzenia pięścią, a potem kopniaki w twarz odbierał jak zimne użądlenia. Wkrótce potoczył się w dół ze wzgórza. Chłopak w płaszczu szedł za nim i wciąż go kopał.

– Do cholery, co to za awantury? - Z budynku niespodziewanie dotarł na zewnątrz czyjś głęboki głos. Młodzieniec stracił zainteresowanie George'em i podniósł wzrok. Na drugim piętrze zapaliło się światło i z okna, potrząsając pięściami, wychylił się potężnej postury mężczyzna. Moment później światła zaczęły zapalać się niemal we wszystkich mieszkaniach.

George usłyszał, jak dwaj chłopacy, potykając się, uciekają. On sam leżał na zimnej ziemi, z trudem łapiąc powietrze.

Leonora Davidson usłyszała krzyki i wyskoczyła z łóżka. Narzuciła szlafrok, na nogi wsunęła kapcie i przez okno sypialni wyjrzała na zewnątrz. U podnóża wzniesienia, niemal pod samą lampą uliczną, ujrzała leżącego człowieka. Zobaczyła jeszcze także dwóch młodych ludzi, uciekających ile sił w nogach. Jeden z nich, w skórzanym płaszczu, niemal ciągnął za sobą drugiego. Zazgrzytała zębami. Cholera, nikt nie jest w dzisiejszych czasach bezpieczny. Nie miała wątpliwości, że młodzi napadli na nieszczęśnika leżącego teraz pod latarnią. Wzięła klucze i wyszła z mieszkania. Zbiegła po schodach i dołączyła do sąsiadów, którzy powoli zaczęli gromadzić się przy rannym mężczyźnie.

– Co się stało, Fred? - Jej oddech w zimnym, nocnym powietrzu zamieniał się w parę.

Drżała.

– Drobne złodziejaszki. Wyruszyli na nocne łowy. Przy okazji nieźle załatwili tego człowieka.

George wciąż leżał na ziemi, właściwie zadowolony z poruszenia, jakie wywołał.

– Och, mój ty biedaku. - Głos Leonory był pełen współczucia. - Telefonowałam już po policję. Będą tu w każdej chwili.

Słowo „policja” zelektryzowało George’a. Błyskawicznie poderwał się z ziemi i otrzepał ubranie.

– Nie, naprawdę nie ma powodu, żeby wzywać policję. I tak nigdy ich nie dopadną. A ja się bardzo śpieszę.

Szybkim krokiem zaczął oddalać się od niewielkiego zgromadzenia.

– Ale pan przecież ich widział! Mógłby pan ich chociaż opisać! - rozległ się głos

Freda.

George potrząsnął łysą głową. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w szamotaninie stracił kapelusz. Nerwowo zaczął się za nim rozglądać.

Podeszła do niego Leonora.

– Przeżył pan straszny szok. Może zaparzę panu chociaż filiżankę dobrej herbaty? George wprost nie potrafił uwierzyć w to, co słyszy. Zapraszała go do swojego mieszkania! A przecież, gdyby nie ona, nie znalazłby się teraz w tarapatkach, w takim stanie. Głupia suka!

– Nic mi nie jest, czuję się doskonale. Chcę iść do domu.

Wypowiedział te słowa swoim zwykłym potulnym głosem i natychmiast dostrzegł na ustach Leonory uśmiech politowania.

Wtem zza rogu wyjechał policyjny radiowóz i z piskiem opon zatrzymał się przy grupce ludzi. Tego mu tylko brakowało. Skonsternowany George zakrył twarz dłonią.

– Już dobrze, dobrze, niech pan się uspokoi. Co się wydarzyło?

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Nad tym zgiełkiem zagrzmiał tubalny głos sierżanta Harrisa i George odgadł, że w tej chwili obudziła się reszta mieszkańców bloku, jeżeli ktokolwiek dotąd jeszcze spał.

Sierżant spojrzał na Leonorę.

– Co tutaj się stało, słodziutka?

– Tego nieszczęśnika napadnięto. Właśnie tutaj. - Wskazała na George’a, który mimo wszystko próbował niepostrzeżenie się oddalić.

Sierżant popatrzył za nim, lekko zdezorientowany.

– Dokąd pan idzie?

– Ja... Ja naprawdę muszę już być w domu. Moja żona będzie się martwić...

Teraz Harris uśmiechnął się do niego. Facet jest w szoku, pomyślał.

– Niechże pan poczeka. Pojedziemy na komisariat i w mgnieniu oka się z tym uporamy.

– Nie! - George był zaskoczony stanowczym tonem własnego głosu. - Ja... Ja... Zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

Harris patrzył na niego kamiennym wzrokiem.

– Próbujemy jedynie panu pomóc.

– Wie pan doskonale, że pan ich nie znajdzie. A ja chcę po prostu wrócić do domu i o tym wszystkim zapomnieć.

Ruszył przed siebie najszybciej, jak tylko mógł.

Zgromadzeni ludzie z zaskoczeniem wpatrywali się w jego oddalające się plecy. Sierżant Harris skinął na posterunkowego Downesa i obaj ruszyli za nim radiowozem.

– Niech pan wsiądzie. Przynajmniej tyle możemy dla pana zrobić, podwieziemy pana do domu.

Z sercem bijącym jak oszalałe George zajął miejsce w samochodzie.

– Cholera, Fred, wydaje mi się, że ten biedny facet był w ciężkim szoku.

– Masz rację, Leonora. Biedny, stary piernik. Cholera, jak niebezpiecznie jest dzisiaj na ulicach...

– To prawda, Fred. Nie czuję się bezpieczna nawet w mieszkaniu, kiedy zamknę drzwi na wszystkie zamki. Tyle się teraz słyszy o gwałtach i przemocy, że aż krew mrozi się człowiekowi w żyłach. A jeśli na dodatek zobaczysz nieszczęsnego starego człowieka, zbitego na kwaśne jabłko...

Pozostawiła zdanie niedokończone.

Sierżant Harris próbował nawiązać z George'em kontakt przez całą drogę do jego domu.

– Niech pan mnie posłucha. Jeśli tylko zmieni pan zdanie, niech pan wpadnie na komisariat.

– Z pewnością, oficerze. W tej chwili jednak chcę tylko trafić do domu. O, to ten budynek.

Policyjna panda zatrzymała się przed domem i George wysiadł w pośpiechu. Znalazłszy się w środku, zdjął płaszcz i powiesił go na poręczy schodów, po czym poszedł na górę do łazienki. Twarz miał opuchniętą, ale niezbyt mocno. Głęboko odetchnął z ulgą.

Wrócił na parter i sprawdził płaszcz. Był cały brudny od wymiocin. George zaklął cicho i przystąpił do czyszczenia.

Piętnaście minut później właściwie nie było już żadnego śladu po jego nocnej eskapadzie. Przygotował sobie w kuchni filiżankę herbaty i przeniósł ją do salonu, gdzie w podświetlanym barku trzymał brandy. Dolał do herbaty sporą porcję alkoholu. Usiadł na kanapie i rozkoszując się smakiem napoju, zaczął łapczywie popijać.

Kiedy skończył, poczuł się lepiej i wstawszy z kanapy, poszedł do sypialni żony. Przyłożył ucho do drzwi. Ciężko i głośno chrapała. Uśmiechnął się do siebie. Nawet trąby jerychońskie by jej nie obudziły.

Powróciwszy na dół, podszedł do kredensu stojącego w holu. Wziął z

niego śrubokręt, po czym podwinął dywan. Szybko podważył śrubokrętem jedną z desek podłogowych. Pod deską, uśmiechając się kusząco, czekała na niego Mandy!

Niemal z uwielbieniem wziął do ręki kasetę wideo, po czym wstawił na miejsce deskę i ułożył dywan. Z kasetą wrócił do salonu. Nalawszy do filiżanki po herbacie kolejną porcję brandy Three Barrels, zaczął oglądać film. Z upływem kolejnych minut czuł, jak napięcie i ból, które dopadły go w ciągu kilku ostatnich godzin, opuszczają jego ciało. W miarę jak Mandy posiadana była przez coraz większą chmarę różnych degeneratów, George Markham stopniowo się odprężył.

Powrócił do niego obraz Leonory Davidson ściskającej w dłoniach swe piersi, energicznie się po nich drapiącej. Patrzył, jak Mandy bierze penis do ust wysmarowanych już wcześniej nasieniem kilku mężczyzn, i nagle jej twarz stała się twarzą pani Davidson, a właścicielem penisa był on sam. Jego oddech stawał się coraz cięższy.

Jedna pozytywna rzecz wydarzyła się tego wieczoru. Przynajmniej poznał jej imię.

Następnego dnia George nie poszedł do pracy. Twarz miał opuchniętą i powiedział Elaine, że boli go ząb. Posłusznie zadzwoniła, żeby męża usprawiedliwić, po czym sama udała się do swojej pracy.

Była zatrudniona w wielkim supermarkecie w centrum Grantley. Pracowała jako kasjerka i serdecznie nienawidziła tego zajęcia.

Zostawszy sam w domu, George wpadł na pewien pomysł.

Starannie się ubrał, wsiadł do samochodu i pojechał do Londynu. Podziwiając po drodze pejzaże hrabstwa Essex (były przepiękne nawet w taką chłodną i deszczową pogodę), dokładnie opracował swój plan. Po sromotnym upokorzeniu poprzedniej nocy zdecydował, że tym razem wyruszy na łowy odpowiednio wyposażony.

Włączył radio i śpiewał głośno razem z rodzeństwem Carpenters. W radosnym nastroju dotarł w końcu do londyńskiego West Endu.

Nerwowo wszedł do sklepu w Soho. Była to jego pierwsza wizyta w sex shopie. Dotąd

zawsze pocztą zamawiał swoje magazyny i kasety. Kiedy jednak znalazł się w środku, napięcie natychmiast go opuściło.

Za ladą stał mężczyzna mniej więcej w jego wieku. Uśmiechnął się i uśmiech ani na chwilę nie opuszczał jego ust, gdy George krążył po sklepie. George był rozczarowany, że wszystkie książki i kasety są takie ugrzecznione i nudne. Wziął w końcu do ręki skórzaną maskę i podszedł do kontuaru.

– Osiemdziesiąt pięć funciaków, proszę pana.

George dokładnie odliczył pieniądze. To będzie prezent, jaki sprawi sobie na Boże Narodzenie. Czuł się tak doskonale, że chciał aż skakać z radości.

– Lubi pan krępowanie, przemoc?

George z zawstydzeniem pokiwał głową.

– Tak. - Uśmiechnął się. Tylko on wiedział, co kryje się za uśmiechem, przy którym aż obnażył zęby. - Tak, bardzo lubię.

– Lubi pan twardą pornografię? Jeżeli tak, chyba mogę panu coś zaproponować...

George wziął plastikową torbę, do której sprzedawca wsunął maskę, i zajrzał do środka. Uśmiechnął się, tym razem o wiele szerzej.

– Mam tutaj porno z autentycznymi scenami tortur i morderstwami, po dwieście pięćdziesiąt funciaków za kasetę.

George był zaskoczony.

– Prawdziwe tortury i uśmiercanie ludzi?

Mężczyzna dostrzegł niedowierzanie na jego twarzy. Wziął go na bok i zaczął wyjaśniać:

– Niech pan posłucha, są na tych filmach dziewczynki, które robią to, co zwykle. A potem... I to wcale nie jest udawanie. To się dzieje naprawdę.

Mężczyzna odniósł wrażenie, że George wciąż nie jest przekonany. Westchnął. Pracował w tej branży już od trzynastu lat. Rozpoznawał zboczeńca na pierwszy rzut oka i gotów był przysiąc na głowę swojej prababki, że ten facet jest zboczeńcem. I to nie byle jakim.

– Niech pan posłucha, to wszystko wymyślili Jankesi. Porywają dziewczynkę. Wiążą ją. Gwałcą i tak dalej, a potem, sam pan rozumie. Jej krzyki i jęki są prawdziwe. Naprawdę. Mam nową kolekcję, wspaniałe ujęcia, mówię panu. Na jednej kasecie laska już nie żyje, a oni wciąż stoją w kolejce, żeby pierdolić ją w dupę, mówię panu. I biorą ją, jak chcą, martwą.

Oczy George'a załśniły.

– Ile to kosztuje?

– Dwieście, przyjacielu. To naprawdę dobra cena za tyle wrażeń, mówię panu.

– Czy mogę zapłacić kartą kredytową? Widzi pan, nie mam przy sobie tyle gotówki...

– Nie ma sprawy. Przyjmujemy wszystkie karty, nawet American Express. Urządza nas wszystko, o ile ma pan przy sobie jakiś dokument tożsamości.

Mężczyzna uśmiechnął się i George odpowiedział mu uśmiechem. Czuł, że oto znalazł prawdziwego przyjaciela.

– Gdybym mógł od czasu do czasu zadzwonić do pana i dowiedzieć

się, co nowego ma pan, że tak powiem, na składzie...

Mężczyzna poklepał George'a po ramieniu.

– Oczywiście, że mógłby pan, stary druhu. Zatrzymam dla pana wszystko, co mogłoby pana zainteresować.

Sprzedawca wyczuwał policjanta na trzydzieści kroków. Ten facet z pewnością nie miał z policją nic wspólnego. Prawdziwy, nieszczęśliwy zboczek.

– Dziękuję, bardzo panu dziękuję. Widzi pan, tam, gdzie mieszkam... - Rozłożył bezradnie ręce.

– Rozumiem, o co panu chodzi. Ludzie nie rozumieją nas, prawdziwych mężczyzn, prawda?

Sprzedawca był zajęty obsługą karty kredytowej George'a. Spieszył się, by klient nie zdążył zmienić zdania.

– Właśnie. W ogóle nas nie rozumieją.

Po dziesięciu minutach George wyszedł z sex shopu. W brązowej plastikowej torbie miał maskę i nowy film. Ścisnął uchwyty torby w spoczonej dłoni jak najcenniejszy skarb.

Rozglądając się po twarzach mijających go ludzi i wsłuchując w odgłosy Soho, George Markham czuł, że oto nareszcie znalazł się w domu.

Kiedy Elaine otworzyła frontowe drzwi po całym dniu pracy, w domu czekał już na nią kubek herbaty i prawie gotowy gorący obiad.

– Usiądź, kochanie, pewnie jesteś bardzo zmęczona. Przygotowałem dla nas stek z frytkami.

Elaine popatrzyła uważnie na męża. Nigdy go takiego nie widziała. Zdawał się niemal szczęśliwy.

– Dziękuję, George. Cieszę, że zatroszczyłeś się o obiad. Chyba nie miałabym już siły, by cokolwiek ugotować.

Stawiając przed żoną kubek z herbatą, George delikatnie dotknął palcami jej podbródka.

- Dla ciebie, najdroższa, wszystko.

Uśmiechnął się do niej, a Elaine odpowiedziała podobnym uśmiechem.

Nie miała już wątpliwości, że w domu dzieje się coś dziwnego. Ostatni raz George dotykał jej podbródka dwadzieścia lat temu, kiedy wciąż byli razem szczęśliwi. Popijając herbatę, próbowała odganiać od siebie podejrzenia. Lecz przecież to było, jeszcze zanim musieli się przeprowadzić. Zanim wszystko zaczęło się między nimi psuć.

Elaine dopiła herbatę, patrząc, jak George przygotowuje obiad.

Potrząsnęła głową. Nie miała wątpliwości: George był szczęśliwy.

Ale dlaczego?

ROZDZIAŁ DRUGI

George siedział przy biurku. Patrzył na słupki z liczbami i niemal ich nie widział. Przed oczyma wciąż miał film, który kupił w sex shopie w Soho. Od chwili, kiedy go po raz pierwszy obejrzał, odnosił wrażenie, że nie żyje w rzeczywistym świecie. Momentami film go przerażał, straszył, tak jak ostatniego wieczoru, kiedy oglądał razem z Elaine program telewizyjny o gigantycznych pandach. Siedział przed telewizorem i spokojnie sączył herbatę, gdy nagle program zniknął sprzed jego oczu. Nagle oglądał inny film. On sam w nim występował, był gwiazdą. Panował i dominował nad wszystkimi występującymi w nim osobami.

Do rzeczywistości przywrócił go głos Elaine. Był skrzekliwy i przenikliwy, taki że mógłby spowodować pęknięcie szklanki albo skisnięcie mleka. A jednak własna aberracja przestraszyła go. Ostatnio nie był w stanie panować nad swoimi myślami. Gonił go o każdej porze dnia i nocy.

Otrząsnął się i spróbował powrócić do rzeczywistości. Miał przecież mnóstwo pracy. Popatrzył na kolumny cyfr.

– Panie Markham, czy mógłby pan poświęcić pięć minut na rozmowę ze mną?

Myśli George'a zakłócił głos Josephine Denham. Odwrócił się na krześle i ujrzał ją w drzwiach. Uśmiechała się do niego. George wstał.

– Oczywiście, pani Denham. - Jego głos był łagodny i ugrzeczniony.

Josephine Denham odwróciła się i ruszyła w kierunku swojego gabinetu. Nie wiedziała dlaczego, lecz George Markham zwykle przyprawiał ją o gęsią skórkę. Zawsze był grzeczny. Wprost niesłychanie grzeczny. Nigdy nie brał wolnych dni bez powodu, był skryty, nie przedłużał czasu potrzebnego na lunch i, w przeciwieństwie do innych zatrudnionych tutaj mężczyzn, nie próbował zagadywać Josephine o byle co. W gruncie rzeczy był modelowym pracownikiem, wydajnym, doskonałym, lecz bezbarwnym. Mimo to musiała sama przed sobą przyznać, że w jego bladym, pulchnym ciele tkwiło coś, co przemawiało do jej wyobraźni. Usiadła przy swoim biurku i po chwili wbiła wzrok w człowieka, który stanął naprzeciwko.

– Bardzo proszę, niech pan usiądzie.

Patrzyła, jak George kciukami i palcami wskazującymi podciąga spodnie. Dopiero potem usiadł. Nawet to ją zirytowało. Ujrzała jego zagadkowy półuśmiech, obnażone zęby, i zdenerwowała się. Z kolei

George ukradkiem wpatrywał się w wielki biust Josephine.

Widział, jak jej piersi unoszą się i opadają przy każdym oddechu.

Zdaniem George'a, Josephine Denham miała biust o wymiarach olimpijskich.

Ujrzała, że jego uśmiech jest coraz szerszy, i zmusiła się, żeby odpowiedzieć mu równie szerokim uśmiechem.

– Bardzo mi przykro, że musimy odbyć tę rozmowę, George. Zawsze był pan dobrym pracownikiem...

Stał się czujny. Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

– Obawiam się, że w tych trudnych czasach... wobec przedłużającej się recesji... cóż, będziemy musieli zwolnić część pracowników. Oczywiście, otrzymacie odprawę.

George poczuł się, jakby ktoś przebił bańkę mydlaną zawierającą jego osobiste szczęście.

– Rozumiem - powiedział. Ale to nie była prawda. Niczego nie rozumiał. Pracował w tej firmie od piętnastu lat. - Ile osób odejdzie?

Josephine Denham wzięła głęboki oddech. W sumie nie miało znaczenia, czy Markham dowie się teraz czy później.

– Pięć. Johnson, Mathers, Davids i Pelham. No i pan, rzecz jasna.

George popatrzył jej w oczy. Jego twarz, pozbawiona teraz wszelkiego wyrazu, zdawała się spijać z niej soki. Josephine zadrżała.

– Rozumiem - powtórzył George.

A więc zwalniali wszystkich starych. Wszyscy tak zwani młodzi i dynamiczni zachowywali posady. George poczuł ogromną pokusę, by wstać z krzesła i trzasnąć tę fałszywą dziwkę w wymalowany pysk, szarpnąć za farbowane blond włosy, podrapać jej wielkie, tłuste cycki. Brudna, śmierdząca dziwka. Kurwa! Jakże jej teraz życzył, żeby umarła w najgorszych męczarniach na raka. Miał nadzieję, że podczas sekcji zwłok pokroją jej cycki na plastry. Miał nadzieję...

– Czy dobrze się pan czuje, panie Markham?

Josephine Denham zdenerwowała się. Już od pięciu minut George siedział przed nią i po prostu się na nią gapił. Jego twarz wciąż pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Ona i on, oboje wiedzieli, że George jest skończony. Żadna inna firma nie zatrudni go w wieku pięćdziesięciu jeden lat. Nie miał szans, żadnej charyzmy, ciekawej osobowości, niczego. Za George'em Markhamem nie przemawiało dosłownie nic.

– Naprawdę, szalenie mi przykro, George - powiedziała cicho, bardzo niepewnym głosem.

Zanim skierował się do drzwi, popatrzył na nią ostatni raz.

– Dopiero będzie pani przykro.

Głos miał przytłumiony i Josephine nie zrozumiała.

– Przepraszam, nie bardzo...

George odwrócił się i jeszcze raz się uśmiechnął.

– Powiedziałem, że dopiero będzie pani przykro - oznajmił dobitnie.

Czy to był sarkazm? Josephine patrzyła, jak George, powłócząc nogami, wychodzi z jej gabinetu. Opuścił ramiona. W tej chwili wyglądał jeszcze gorzej, jeszcze żałośniej niż przed chwilą, kiedy stał przed biurkiem.

Odetchnęła z ulgą. Przynajmniej to miała z głowy.

Wyciągnęła z szuflady paczkę papierosów i zapaliła. Z jakiegoś nieznanego powodu jej ręce drżały. Uśmiechnęła się do siebie. Cholera, dlaczego zdenerwował ją taki nikt, George Markham? Dość tego.

A jednak nie potrafiła się z tego otrząsnąć już do końca dnia.

George powrócił za swoje biurko i w absolutnej ciszy przesiedział do pory lunchu. Sprawiał wrażenie spokojnego, jednak jego mózg wprost szalał. Wreszcie, pięć po dwunastej, poszedł do małego pubu, Fox Revived, i zamówił sobie dużą brandy.

Barmanka miała mniej więcej czterdzieści pięć lat, długie, tlenione włosy i bardzo długie sztuczne rzęsy. Zarysy jej drobnych, pustych piersi widoczne były przez materiał obcisłej bluzeczki. George popatrzył na nią z niesmakiem.

Jeszcze jedna kurwa. Same pierdolone kurwy! Przyłożył dłoń do ust, zaskoczony, że takie słowa w ogóle przychodzą mu teraz do głowy.

– Należy się jeden funt dziewięćdziesiąt. - Barmanka starała się wyrażać elegancko, wykwintnie.

– Dziękuję ci, moja droga. Bardzo proszę, kolejka także dla ciebie.

Na jego słaby uśmiech odpowiedziała szerokim własnym, ukazując zęby aż poszarzałe od tytoniu.

George podał jej banknot pięciofuntowy i poczekał na resztę. Wreszcie wziął brandy i poszedł do małego stolika w rogu lokalu.

Pomyślał, że Elaine zacznie szaleć, kiedy jej powie. Będzie miała kolejny powód do gderań i wymówek. Była bardzo dobra w przytaczaniu argumentów przeciwko niemu. Kolekcjonowała je jak każda inna normalna kobieta kolekcjonuje buty czy kapelusze. I nigdy nie wybaczała mu żadnych wpadek. Prawie nigdy ich nie wspominała, o nie, ale George doskonale wiedział, że pamięć o nich tkwi pomiędzy nimi jak cichy duch. Wypił łyk brandy i tani alkohol nieprzyjemnie podrażnił mu przełyk.

A przecież to nie była jego wina. Właściwie nie wiedział, co się działo. W jednej chwili oboje śmiali się, radośni i zadowoleni, w następnej dziewczyna już wrzeszczała wniebogłosy. Och, co to był za krzyk!

Przedzierał się przez jego czaszkę, przewiercał mózg. Głupia, mała suka. Przecież musiała wiedzieć, co się będzie działo.

– Halo, patrzcie, kto tutaj przyszedł. Cześć, Georgie, mój chłopcze.

Stał przed nim Peter Renshaw, rozpromieniony, w dobrym humorze i przyjaznym nastroju. George poczuł, że serce zamiera mu w piersiach. Akurat tego potrzebował, głupich żartów tępego Renshawa.

– Cześć, Peter. Mogę ci postawić drinka?

– Nie, dzisiaj moja kolej, Georgie. Niecodziennie spotykam cię w moim małym miłosnym gniazdku.

George patrzył, jak Peter strzela palcami do blond monstrum za barem i porozumiewawczo do niej mruga.

– Vivienne, mój ty cherubinku. Nalej mi dużą tequilę, z lodem i z cytryną. A mojemu przyjacielowi przynieś drugą kolejkę tego, co akurat pije, nieważne, co to jest. I nie zapomnij o kolejce dla siebie, ślicznotko.

Kobieta rozpromieniła się, słuchając zamówienia. Peter usiadł obok George'a i wyszeptał:

– Jest już trochę zasuszona, ale jeśli tylko zechce, potrafi jeszcze dogodzić mężczyźnie.

George zmarszczył nos z niesmakiem i Peter roześmiał się.

– Posłuchaj mnie, Georgie, dam ci radę, jak mężczyzna mężczyźnie. - Szturchnął go łokciem w żebra. - Przecież nie oglądasz kominka, kiedy dorzucasz do ognia. Rozumiesz, co mam na myśli?

George uśmiechnął się. Jak miał w końcu zareagować? W duchu życzył Renshawowi nagłego ataku serca i gwałtownej śmierci, jeśli nic innego nie było w stanie go uciszyć.

– Skoro tak twierdzisz, Peter...

– Pete! Pete, na miłość boską, mój ty Georgie. Nikt nie mówi do mnie „Peter”, nawet moja mamuska, staruszka, Boże, błogosław ją.

Vivienne przyniosła do stolika drinki. Kiedy odchodziła, George zauważył, że lekko musnęła palcami szyję Petera. Pierdolona, brudna, śmierdząca dziwka!

– Na co się gapisz, Georgie? Miałbyś ochotę na szybki numer z nią, co? - odezwał się Peter.

Rozsiadłszy się wygodnie na krześle, zaczął przywoływać kobietę z powrotem. George, zażenowany zachowaniem Petera, zdołał zwrócić na siebie jego uwagę, chwytając go za kołnierz wełnianej marynarki.

– Nie! Peter... to jest Pete! - Zniżył głos. - Przyszedłem tutaj tylko po to, żeby trochę porozmyślać. Dowiedziałem się dzisiaj bardzo złych rzeczy.

– A więc powiedzieli ci?

George popatrzył na niego z zakłopotaniem.

– Niby co? - Z tonu jego głosu Peter nie mógł wyczuć, że George jest na skraju załamania nerwowego.

– Że idziesz w odstawkę. To jest tajemnicą poliszynela już od kilku miesięcy.

George poczuł się, jakby trzasnął w niego grom z jasnego nieba. A więc wszyscy wiedzieli? Wszyscy, tylko nie on? Patrzyli na niego, rozmawiali z nim, a za plecami się z niego wyśmiewali? Tak, na pewno się z niego wyśmiewali. Do rozpuku!

Peter obserwował, jak na zaskoczonyj twarzy George'a wykwita jadowita złość. Zaszokowało to nawet jego. Myślał, że George wiedział, przecież wszyscy wiedzieli. Skonsternowany, położył dłoń na jego ramieniu.

– Hej, przepraszam cię, staruszk. Chryste, myślałem, że o tym wiedziałeś. Naprawdę tak myślałem.

George wziął głęboki oddech.

– Nie, Pete. Nie wiedziałem. Naprawdę, nie wiedziałem.

George zdołał się opanować. Po chwili odezwał się swoim normalnym, spokojnym i grzecznym tonem:

– Nigdy bym nie zgadł, że spotka mnie coś takiego.

– Daj spokój, Georgie, mój chłopcze. To w sumie najlepsza rzecz, jaka mogła cię spotkać. Ile masz właściwie lat? Pięćdziesiąt osiem? Pięćdziesiąt dziewięć?

– Pięćdziesiąt jeden, Pete. Zaledwie pięćdziesiąt jeden.

– Och, i tak nie masz się czym przejmować. Dostaniesz wcześniejszą emeryturę. Pożyjesz trochę dla siebie. Staranniej przypilnujesz dzieciaki...

– Ja nie mam dzieci, Peter. Elaine i ja nigdy...

– Och!

Peter w wielkim trudem szukał słów, które mógłby teraz powiedzieć. Sam miał żonę, czwórkę dzieci oraz cały sznur kochanek i przygód miłosnych za sobą, w różnych miejscach, jak kraj długi i szeroki. Ludzie tacy jak George zarazem irytowali go i intrygowali. Jak można przeżyć pięćdziesiąt jeden lat i nie mieć celu w życiu? Czasami rozmyślał, jak to mu będzie dobrze za kilka lat, kiedy już znudzą go miłostki i romanse, kiedy zaczną spokojne życie u boku żony, obserwując, jak rosną wnuki. I będzie sobie z zadowoleniem wspominał lata wesołego życia.

– Daj spokój, Georgie, napij się. Pomyśl o wspaniałym, leniwym życiu, jakie jest przed tobą. To cię rozweseli. - Znów strzelił palcami na barmankę. - Viv, bądź łaskawa podejść do nas z jeszcze jedną kolejką.

Pub zaczynał zapełniać się ludźmi. George patrzył, jak Peter co rusz wita się serdecznie z kolejnym znajomym czy kumplem. Sam też skinął z daleka kilku osobom, jednak nawet nie próbował z nikim rozmawiać, w głowie miał mętlik.

Do diabła, co na to powie Elaine?

Elaine siedziała w stołówce dla pracowników i apatycznie mieszała łyżeczką w filiżance kawy.

George zachowywał się dziwnie, ale musiała przyznać, że przez ostatnie tygodnie życie z nim było całkiem znośne. Był taki wesoły, rozradowany. Jak przed tymi wszystkimi kłopotami.

Odepchnęła od siebie nieprzyjemne myśli. George spłacił swój dług wobec społeczeństwa. Miał czystą kartę. W pewnym sensie oboje zbudowali dla siebie nowe życie. Może po dwudziestu latach nastąpił wreszcie czas, by przestać zadręczać się przeszłością?

– Och, Elaine, nienawidzę piątek. A ty?

Przy stoliku naprzeciwko niej usiadła Margaret Forrester i ściągnęła z nóg buty.

– Któregoś dnia moje nogi skończą w Księdze Rekordów Guinnessa jako najbardziej opuchnięte nogi na świecie.

Elaine roześmiała się.

– Dlaczego z uporem nosisz buty na wysokich obcasach? Kup sobie jakieś wygodne obuwie na płaskiej podeszwie.

– Nie ma mowy. Noszenie eleganckich butów to moja jedyna próżność. Tak długo, jak będę mogła, z tego nie zrezygnuję.

Elaine potrząsnęła głową.

– Przynieść ci kawy? - zapytała.

– Tak, jeśli mogłabym cię prosić. I miskę z zimną wodą, jeśli tutaj mają coś takiego.

Elaine przyniosła przyjaciółce kawę i usiadły razem, rozmawiając o błahostkach.

– Wyjeżdżasz gdzieś na urlop?

Elaine wzruszyła ramionami.

– Pewnie znowu do Bournemouth.

– Och, przestań pieprzyć, Elaine. Dzisiaj do Bournemouth jeżdżą tylko ludzie, którzy poruszają się na wózkach inwalidzkich. Może pojechałabyś do Hiszpanii, ze mną i jeszcze z kilkoma dziewczynami. Słońce, piasek, morze, seks... - Margaret poruszyła się na krześle, jakby chciała tańczyć na siedząco. - Nie mogę się doczekać, kiedy znów się tam znajdę. W zeszłym roku mieszkaliśmy w hotelu nad samym morzem, a przy budynku obok była hodowla papug. Cholera, jak te ptaszyska skrzeczały przez całą noc. Znasz Caroline z działu mrożonek? Którejś nocy powyrzucała za okno wszystkie nasze buty, chcąc uciszyć papugi. Cholera, jak nas od nich bolały głowy! Potem rano musiałyśmy wyjść i prosić właścicieli tych papug, żeby nam oddali buty. Cholera, jak te papugi skrzeczały!

Elaine uśmiechnęła się.

– Nie wiem, Margaret. George...

– Och, daj mi święty spokój z tym twoim George'em. To tylko sto dwadzieścia funciaków za dwa tygodnie, z pełnym wyżywieniem. Owszem, w marcu, kiedy w Hiszpanii wcale nie jest gorąco. Ale, moja droga, naprawdę dobrze się zabawimy. Proszę, pojedź z nami.

Po raz pierwszy w życiu Elaine poczuła zadowolenie z tego, że właściwie z przyjemnością mogłaby zrobić coś, czego raczej nikt się po niej nie spodziewa. A George mógłby w końcu sam zadbać o siebie przez te kilkanaście dni.

Margaret otoczyła ją ramieniem.

– No, zdecyduj się, dziewczyno. Korzystaj z życia, dopóki nie jest za późno.

Elaine powoli przesunęła językiem po zębach, następnie przygryzła wargi. Margaret ujrzała na twarzy przyjaciółki niezdecydowanie.

– Wiesz co? Zgadzam się, pojedę.

Rozradowana Margaret zaczęła się głośno śmiać.

– Po pracy od razu zrobimy rezerwację. Żebyś nie mogła już zmienić zdania.

– Kiedy powiem George'owi, raczej nie będzie zachwycony.

– Chrzanić go. Mój stary też się stawiał za pierwszym razem, ale kiedy mu powiedziałam, że żyje się tylko raz, przestał marudzić.

– Tak, to prawda. Żyje się tylko raz.

Elaine znów przygryzła wargi. Tym razem z zadowolenia. Całe dwa wspaniałe tygodnie bez George'a! Boże...

Elaine usłyszała zbyt głośny trzask frontowych drzwi i nadęła się, gotowa do kłótni.

Lecz przecież nie miała szansy na kłótnię z George'em. George nigdy się z nikim nie kłócił.

Posłałby jej pewnie smutne spojrzenie rannego żołnierza albo ucznia, który nie odrobił lekcji. A na jego twarzy widniałoby nieme pytanie: „Czym sobie na to zasłużyłem?”

Nawet nie przerwała tłuczenia ziemniaków. Tymczasem George wszedł do kuchni. Elaine z wielkim trudem przywołała uśmiech na twarz i popatrzyła na męża.

– Cześć, George. Usiądź, obiad już jest prawie gotowy.

Zobaczyła, że lewa brew George'a unosi się lekko do góry, i z trudem powstrzymała się, by na niego nie wrzasnąć.

Usiadł na swoim zwykłym miejscu przy białym kuchennym stole, który kupili na jakiejś wyprzedaży, całe wieki temu.

– Miałeś dobry dzień? - Elaine za wszelką cenę chciała być miła.

Tak, Elaine, pomyślał George, miałem wspaniały dzień. Zostałem wezwany do gabinetu pani Denham i kopnięty w samą zasraną dupę. Zakrył usta wierzchem dłoni. Nie powinien przeklinać, nawet w

myślach, bo pewnego dnia się zapomni i przeklnie przy Elaine.

– Nie najgorszy, kochanie. A ty? - W jego głosie nie było jednak nawet cienia zainteresowania.

Wyrzuciła ziemniaki na talerze, obok wieprzowych kotletów. Następnie, używając głębokiej chochli, dodała zielony groszek.

– W rzeczy samej, George, miałam dzień całkiem udany.

Pozwolił sobie na ponowne uniesienie brwi. Coś takiego! To była dla niego zupełna nowość. Elaine zadowolona z siebie po dniu pracy? Z jej codziennych opowieści wynikało, że ma na swojej głowie cały wielki sklep i bynajmniej jej to nie odpowiada.

– To dobrze, moja droga.

Elaine nalewała właśnie sos na talerze i z trudem zwalczyła w sobie pokusę, żeby wylać go na łysinę George'a.

– „To dobrze, moja droga”, „Tak, moja droga” - zaczęła go przedrzeźniać. - Do cholery, George, jestem twoją żoną! Nie musisz być wobec mnie aż taki cholernie grzeczny.

George podniósł wzrok i ujrzał na jej twarzy zakłopotanie. Elaine była taką skomplikowaną kobietą... Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak by zareagowała, gdyby w tej chwili powiedział jej, żeby się odczepiła albo, najlepiej, pocałowała go w dupę. Albo żeby zdechła wreszcie, a wtedy on, George, będzie mógł przynajmniej pobrać pieniądze z jej polisy na życie.

Elaine postawiła przed nim talerz.

Wciąż gadała, jednak George był już nieobecny duchem; nie słuchał jej, jak zawsze,

kiedy opowiadała, co się działo u niej w pracy.

– W każdym razie, kiedy mnie poprosiły... To znaczy jedna z tych dziewczyn... Wtedy pomyślałam, dlaczego nie? Z przyjemnością pojechałabym do Hiszpanii.

George w skupieniu przeżuwał właśnie kawałek twardego kotleta. Lecz w pewnej chwili dotarło do niego, co mówi Elaine.

– Do Hiszpanii? Powiedziałaś „do Hiszpanii”?

Elaine wyczuła w jego głosie niedowierzanie, i to ją rozzłościło. Co on sobie myśli? Że ona nie pasuje do Hiszpanii?

– Tak, powiedziałam „do Hiszpanii”, George. Wiesz, do takiego kraju, w którym mieszkają Hiszpanie.

George otworzył usta, żeby coś jej odpowiedzieć, ale Elaine nie zamierzała już dopuścić go do głosu.

– Zapewne wyobrażasz sobie Hiszpanię jako kraj cypatyh młódek z kolorowych okładek albo adonisów o blond włosach? Powiem ci więc, George, że dziewczyny, z którymi pracuję, co roku dobrze się tam bawią. Cholernie dobrze. A ja chociaż raz w życiu - palec wskazujący niemal

wbiła w jego pierś - chociaż raz w życiu chcę się zabawić w normalnym świecie. Chcę się bawić. Chcę się śmiać. Jeszcze nie jestem na to za stara. Spójrzmy prawdzie w oczy, gdybym chciała zabawić się z tobą, prędzej bym zdechła, niż się tego doczekała.

Kiedy tak mówiła, coraz bardziej rozgorączkowana, George wpatrywał się w jej twarz. Rysy jej się wyostrzały, skóra marszczyła jak pognieciona chusteczka i przez jedną straszną chwilę George wyobraził sobie Elaine w stroju topless.

I wtedy nagle zaczął się śmiać. Śmiał się, aż wreszcie z oczu popłynęły mu łzy. W tym momencie złapał go atak kaszlu. Śmiał się jednak nawet wówczas, gdy Elaine zaczęła go bić otwartą dłonią po plecach, żeby powstrzymać kaszel. Wreszcie był już zbyt osłabiony, żeby się śmiać, i powoli zaczął się uspokajać.

Elaine wpatrywała się w niego skonsternowana.

– Przepraszam, Elaine. Przepraszam, że się śmiałem. Ale to dlatego, że mnie bardzo zaskoczyłaś. Widzisz, nigdy dotąd nie chciałaś tam jechać, prawda? I teraz, nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki... Jedź sobie, Elaine, do Hiszpanii. Jedź i dobrze się baw. Już sobie wyobrażam, jak wrócisz, wspaniale opalona. Taki wypoczynek dobrze ci robi.

Elaine wciąż nie wiedziała, co myśleć o zachowaniu męża. Skłaniała się ku przekonaniu, że sobie z niej drwi.

George odezwał się ponownie, jakby czytał w jej myślach:

– Roześmiałem się, ponieważ mnie zaskoczyłaś. Po tych wszystkich latach, które spędziliśmy razem, wciąż jeszcze potrafisz mnie zaskoczyć.

Elaine rozluźniła się.

– Może otworzyłbym butelkę wina, moja droga? Żeby uczcić twoje postanowienie?

– Tak, George. Zrób to. To doskonały pomysł.

Usiadła przy stole i zaczęła jeść obiad. Pomyślała, że jest chyba zbyt surowa dla George'a. Nie wierzy mu. A przecież on był po prostu zadowolony, że jego żona gdzieś pojedzie i w końcu sobie wypocznie. Nie miał nic przeciwko temu, że uwolni się od niego na kilkanaście dni. Postanowiła, że okaże mu trochę więcej przyjaźni, spróbuje go zrozumieć i więcej nie będzie już wobec niego taka zgryźliwa. Po chwili stukali się kieliszkami z winem.

– Za Hiszpanię, moja droga.

– Za Hiszpanię.

W ciszy dokończyli posiłek. Później George zostawił Elaine samą w kuchni i poszedł na spacer. W samotności opróżniła butelkę do końca.

Spacerował ulicami już dobre dwadzieścia minut, z rękami

zanurzonymi głęboko w kieszeniach, szyją szczelnie okrytą wysokim kołnierzem płaszcza. Lubił zimowe miesiące i anonimowość, jaką zapewniały wczesne zimowe wieczory. Dotarł do Motherwell Street i ruszył wzdłuż stojących przy niej domów.

Do cholery, w jaki sposób miał powiedzieć Elaine o tym, że został zwolniony z pracy? Z tego, co zdołał dowiedzieć się od Renshawa, już w lutym pozostanie bez środków do życia. Zadrżał. Na moment przymknął oczy, rozważając stojący przed nim problem. Kiedy Elaine w końcu się dowie, będzie miała kolejny argument potwierdzający, że on, George, jest niezdarą i niezgułą.

Geraldine O'Leary uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Wciąż niezadowolona z makijażu, intensywniej pomalowała usta różową szminką. Szeroko je otwarła, potem zacisnęła. Wreszcie była zadowolona. Znów się uśmiechnęła. Następnie wzięła szczotkę do włosów i zaczęła je czesać. Były długie, ciemnobrązowe. W miarę jak przesuwiała po nich szczotkę, rozlegały się cichutkie trzaski wyładowań elektrycznych.

Mick O'Leary przyglądał się swojej żonie, leżąc w łóżku. Wciąż go ekscytowała, mimo że przeżyli razem już dwanaście lat. Miała trzydzieści cztery lata, była matką jego trojga dzieci i wcale nie wyglądała na dużo starszą niż w dniu, w którym ją poślubił. W milczeniu patrzył, jak nakłada biustonosz i majtki. Wreszcie ich spojrzenia spotkały się i oboje się uśmiechnęli, znanymi tylko im dwojgu intymnymi uśmiechami.

– Nie chciałbym, żebyś dziś wieczorem wychodziła, Geny.

– Ja też bym nie chciała, Mick. Ale jeśli dzisiaj zostanę w domu, będę tego żałowała w przyszłym tygodniu, doskonale wiesz. Piętnaście funtów to piętnaście funtów. A zbliża się Boże Narodzenie... - Umilkła.

Mick westchnął. Wstał z łóżka i nałożył spodnie.

– Zapewne masz rację - powiedział. - Ale chyba nie włożysz tej bluzki, co? - Wskazał palcem.

Geraldine popatrzyła na swoją bluzkę. Właśnie zapinała ostatnie guziki.

– Dlaczego? Co ci się w niej nie podoba?

– Przecież przez nią prześwituje stanik.

– Och, Mick. Jesteś niepoprawny.

– Nie lubię, kiedy obcy mężczyźni gapią się na moją żonę.

– Do baru z winem chodzą także kobiety, dobrze wiesz. - Zacisnęła usta, patrząc na niego, i Mick zaraz się roześmiał.

– Ale nie takie śliczne jak ty, dziewczynko.

Geraldine uśmiechnęła się i włożyła czarną spódniczkę, a następnie buty na wysokich obcasach i skropiła się perfumami w sprayu.

Ostatni raz sprawdziła makijaż i otworzyła drzwi sypialni. Oboje z mężem zeszli po schodach.

Sophie, Donald i Grania, odpowiednio w wieku trzech, pięciu i dziesięciu lat, patrzyli, jak rodzice wchodzi do salonu.

– Do zobaczenia, dzieci. Bądźcie grzeczne z tatusiem.

Sophie, ubrana w różową pidżamkę, rozłożyła ręce i Geraldine podniosła ją do góry. Ucałowała pachnącą dziewczynkę i przycisnęła ją do piersi.

– Tylko niech się pani dobrze zachowuje, proszę pani - powiedziała Geraldine. Popatrzyła na męża, który właśnie przeglądał program telewizyjny w jakiejś gazecie. - Nie pozwól im zbyt brykać. Poza tym o godzinie ósmej cała trójka ma być w łóżkach.

Grania i Donald jęknęli.

– Ja nie żartuję. Albo o ósmej śpicie, albo jutro nie będzie żadnych cukierków.

Posadziła Sophie na kanapie, obok brata i siostry, po czym włożyła płaszcz. Zapinając go, wydawała ostatnie polecenia.

– W lodówce jest trochę kurczaka, Mick, możesz sobie podgrzać. Piwo też jest w domu. Och, zapomniałabym. Zostawiłam przy telefonie moje zamówienie dla Avonu. Jeszcze dzisiaj powinna zadzwonić dziewczyna z firmy.

– Już idź, Gerry. Dam sobie ze wszystkim radę. Do zobaczenia, kochanie.

Pocałowała go w usta.

– Uważaj na siebie, Gerry, i nie wdawaj się w żadne pyskówki, dobrze?

Geraldine popatrzyła na męża i szeroko się uśmiechnęła.

– Dobrze. Do zobaczenia, dzieci.

Pocałowała je wszystkie po kolei i wyszła z domu. Zimny wiatr od razu uderzył ją w twarz. Do baru z winem, w którym pracowała, miała, na szczęście, jedynie pół mili. Idąc do pracy, układała w głowie długą listę, co musi zrobić i co kupić przed Bożym Narodzeniem. Miała już większość prezentów dla dwojga najstarszych dzieci. Dla Grani kupiła rower, chwilowo schowany w szopie u teściowej, a Donald wkrótce będzie się cieszył konsolą do gier Atari. Zastanawiała się, czy Sophie podarować dziecięcy zestaw do zabawy w kucharkę czy też domek dla lalek. Z tą myślą skręciła w Vauxhall Drive.

Instynktownie ciaśniej owinęła się płaszczem. Droga była szeroka i dziurawa, po jej prawej stronie rósł las. Jako dziecko spędziła w nim na różnych zabawach mnóstwo czasu, znała więc niemal każdy jego

skrawek. Teraz jednak jego bliskość przyprawiała ją o gęsią skórkę. Było ciemno, a po drugiej stronie drogi ludzie mieszkali obecnie tylko w kilku domach. Pozostałe zostały rozebrane w trakcie przygotowań terenu pod budownictwo wielorodzinne. Niestety, jak dotąd nie wybudowano ani jednego budynku. Wiele lat temu właśnie tutaj kończyło się miasto. Teraz las był jego częścią.

Jej buty stukwały głośno o nierówny beton. Ten dźwięk trochę ją uspokajał. Wkrótce ujrzała koniec drogi i uspokoiła się.

Dziwaczka ze mnie, strofowała się w myślach. Boję się własnego cienia!

Ruszyła szybciej, jakby nagle zaczęły ją nawoływać niezbyt odległe światła.

George tkwił na skraju lasu już od piętnastu minut. Popatrzył na fosforyzujące wskazówki zegarka. Właśnie szła. Dokładnie o właściwym czasie. Było piętnaście po siódmej wieczorem.

Przełknął ślinę i rozprostował palce, na które wcześniej nałożył białe wełniane rękawiczki. W chwili, w której Geraldine go mijiała, wyskoczył z ukrycia i szarpnął ją za włosy. Za długie brązowe włosy, za to, co miała najlepszego.

Kiedy otworzyła usta, żeby krzyknąć, George ujął ją ręką pod szczęką i zaczął ciągnąć do lasu. Kopała nogami, żeby się uwolnić, jednak osiągnęła tylko tyle, że straciła jeden but. Była śmiertelnie przerażona.

George sapał i stękał. Geraldine okazała się wyższa i cięższa, niż wcześniej przypuszczał. Ciągnął ją z trudnością, a jej tłumione jęki drażniły go. Przez cały czas miał przed oczyma jej włosy i szczękę. Pociągnąwszy ją mocno jeszcze raz, rzucił na ziemię.

Geraldine uderzyła o grunt z taką siłą, że na moment straciła świadomość. Przez kilka sekund leżała nieruchomo. Ale tylko przez kilka sekund. George zobaczył, jak podnosi się powoli na rękach i kolanach. Kiedy wreszcie z trudem wstała, skulona, i spróbowała się wyprostować, George wziął zamach, po czym z całej siły kopnął ją prosto w żołądek. Znowu upadła.

Obiema rękami chwyciła się za brzuch i dopiero wtedy zobaczyła klęczącego obok niej mężczyznę. Zebrawszy całą siłę, jaka jej jeszcze pozostała, przeturlała się na bok, byle jak najdalej od niego, i znów próbowała wstać.

George patrzył, jak kobieta turla się i po raz kolejny próbuje podnieść się na nogi. Rozzłoszczony prychnął jak kot. Zaczynała mu już działać na nerwy. Wziął jakiś kawał drewna, który akurat znalazł pod ręką, i wzniósłszy go nad głowę, z całej siły trzasnął kobietę w czaszkę. Obserwował, jak pada i nieruchomieje, i wreszcie odetchnął z ulgą.

Usiadł spokojnie obok niej i odczekał, aż wyrówna mu się oddech, a w uszach przestanie mu dudnić bicie własnego serca. Następnie wyciągnął z kieszeni chusteczkę i do sucha wytarł spocone czoło.

W miarę zadowolony, popatrzył na kobietę. Leżała na plecach z twarzą odwróconą od niego. George uśmiechnął się. Dobrze! Nie chciał, żeby na niego patrzyła. Pochyliwszy się nad nią, zaczął rozpinąć jej płaszcz. Stwierdził, że jest bardzo ładny i miły w dotyku, dlatego robił to bardzo starannie, ostrożnie. Następnie, cicho podśpiewując, przez nogi ściągnął z niej spódnicę. Nie miała rajstop, w taką pogodę! Niesłychane! George syknął rozzłoszczony. Z trudem, gdyż kobieta była ciężka i leciała mu przez ręce, zdjął jej bluzkę i ułożył na płaszczu. Wtedy, wciąż podśpiewując, popatrzył na biustonosz. W półmroku z trudem wyszukał dłonią plastikowe zapięcie, ale kiedy wreszcie je rozpiął, piersi Geraldine jakby wystrzeliły mu prosto do rąk. Zapięcie biustonosza miała z przodu, wiedziała więc, co ma się wydarzyć! George zaczął pieścić jej piersi. Nagle ogarnęła go ogromna, głęboka czułość wobec wszystkich kobiet na świecie. Użył scyzoryka, żeby ściągnąć z niej majtki.

Czyniąc to wszystko, czuł, jak rośnie w nim pożądanie. Kiedy rozrzucił na bok nogi Geraldine, czuł niemal ekstatyczne szczęście. Z trudem zdusił w sobie głośny pomruk pożądania, który niemal rozsadzał mu gardło.

Właśnie tego one wszystkie pragnęły. Tego wszystkie chciały.

Kiedy potem George leżał na niej, zmęczony, ale zaspokojony, zorientował się wreszcie, dlaczego kobieta podczas całej niewinnej „zabawy” ani razu się nie poruszyła.

W kłodę drewna, którą trzasnął ją w czaszkę, wbity był sześciocalowy gwóźdź. Gwóźdź przebił czaszkę Geraldine i dotarł aż do mózgu.

George popatrzył na swą ofiarę i znów syknął z niezadowolaniem.

To była jej wina. Jej własna wina. Kobiety zawsze wywołują niepotrzebne problemy. Są takie cholernie grupie... Głupie, pierdolone suki. Uniósł rękę, zacisnął dłoń w pięść i z całej siły trzasnął nią w twarz swojej martwej ofiary.

Mick O’Leary popatrzył z niedowierzaniem na twarz policjantki. Nie spał przez całą noc i odnosił wrażenie, że umysł odmawia mu już posłuszeństwa.

– Co pani powiedziała?

Posterunkowa jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak fatalnie. Popatrzyła na trójkę dzieci, skulonych na kanapie. Strach ich ojca udzielił się także im. Zresztą, jej samej zbierało się na płacz.

– Przed godziną znaleźliśmy pańską żonę, panie O’Leary. Przykro mi.

Została zamordowana.

Policjantka ujrzała, jak na jego twarzy pojawia się niedowierzenie i zaraz potem rozpacz. Otoczyła go ramieniem.

– Nie moja Gerry. Nie moja kochana Gerry. Niech mi pani powie, że to nieprawda. Proszę...

Przy ostatnich słowach głos Micka załamał się. Przyłożył dłonie do twarzy i nagle pomiędzy jego palcami pojawiły się łzy.

– Tatusiu! Nie płacz, tatusiu!

Dziesięcioletnia Grania przytuliła do siebie młodszego brata i siostrzyczkę. Jeszcze nigdy nie widziała swojego ojca płaczącego.

– Chcę do mamy. Kiedy nasza mamusia wróci do domu?

W tym samym momencie, w którym Mick O’Leary dowiadywał się, że jego życie rozpadło się właśnie jak domek z kart, George Markham przygotowywał dla żony pyszne śniadanie.

Elaine weszła do kuchni. Rozchodzący się po domu zapach jaj smażonych na bekonie sprawił, że poczuła się strasznie głodna.

– Och, George! Sama bym to zrobiła.

George tylko się roześmiał.

– To ja przygotowuję dzisiaj dla ciebie śniadanie, moja droga. Kocham cię, wiesz o tym, Elaine?

– Naprawdę mnie kochasz, George?

Z nieznanego powodu to stwierdzenie męża przybiło ją. Jeśli chciał wprowadzić ją z samego rana w ponury nastrój, zrobił to doskonale. Kiedy siadała przy stole, uczynnie podsunął jej krzesło.

– Smacznego, moja droga.

Elaine popatrzyła na jajka, bekon, pomidory i od razu wrócił jej apetyt. George tymczasem patrzył na nią, jak je. To dlatego jesteś taka gruba, Elaine, rozmyślał. Dlatego, że jesteś łakomą suką.

– Czym popijesz, moja droga? Herbatą czy kawą? - Jego głos był miły, ugrzeczniiony, jak zwykle.

Cóż, George miał teraz swój sekret. Bardzo ważny i ekscytujący sekret, którego nigdy nikomu nie zdradzi, nie zdradzi go żadnej żywej duszy.

Zaczął jeść swoje śniadanie. Nie wiadomo dlaczego, tego poranka dopisywał mu wilczy apetyt.

ROZDZIAŁ TRZECI

Elaine siedziała w supermarkecie przy swojej kasie. Każdy klient, który tu dzisiaj wchodził przez szerokie plastikowe drzwi, myślał tylko o jednym: o zgwałceniu i zamordowaniu Geraldine O'Leary. Od chwili, w której znaleziono zwłoki, Grantley aż huczało od przypuszczeń, opinii i najzwyklejszych plotek. Jedna z klientek, która akurat płaciła za sprawunki w kasie Elaine, знаła ofiarę zbrodni.

- To takie straszne, kiedy się o tym pomyśli - mówiła, jednocześnie wpychając do torby dużą paczkę płatków kukurydzianych. - Biedna Gerry, miała trójkę najwspanialszych dzieci, jakie w życiu widziałam. I była taka szczęśliwa z mężem. - Ze smutkiem pokiwała głową. - Jak wielu z nas może to o sobie powiedzieć w dzisiejszych czasach?

- Ma pani rację. Kto ją znalazł martwą?

Kobieta poprawiła jedwabną chustkę na głowie. W gorącym supermarkecie zaczynała ją swędzić głowa.

- Jakiś młody chłopak, dostarczyciel gazet. Właśnie był w trasie. Zawsze robił sobie skrót przez Vauxhall Drive, a tu masz. Na skraju lasu zobaczył zakrwawione zwłoki. - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

Elaine zrobiła krzywą minę i podliczyła należność.

- Siedem funtów i osiemdziesiąt pięć pensów.

Kobieta otworzyła portmonetkę i wyciągnęła dwudziestofuntowy banknot.

- Rabunek w biały dzień. Z tego, co kupiłam, nawet nie zrobię porządnego obiadu.

Elaine uśmiechnęła się współczująco, jednak w tej chwili nie obchodziły jej problemy

klientki. Myślamy była przy Geraldine O'Leary. Biedna kobieta, żeby tak skończyć. Aż się wzdrygnęła.

Wydała resztę i skupiła się na następnej klientce.

Gwałt i morderstwo wstrząsnęły wszystkimi mieszkańcami Grantley. Każda kobieta w mieście zdawała sobie sprawę, że równie dobrze to ona mogła być ofiarą. Wszystkie były przerażone.

Przerażone i podniecone. Ponieważ w historii Grantley nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło.

Detektyw inspektor Kate Burrows popatrzyła na zwłoki i skrzywiła się.

Detektyw sierżant Willis spoglądał na nią ukradkiem i uśmiechał się

odrobinę, widząc, że jego przełożona z każdą chwilą coraz bardziej blednie.

Kto, zastanawiał się, przydzielił kobiecie-policjantce śledztwo w sprawie gwałtu i morderstwa? Kobiety podchodzą do tego typu spraw zbyt emocjonalnie.

Zmierzył ją od góry do dołu ukradkowym, choć doświadczonym spojrzeniem. Nie najgorsza laseczka, jak na jej wiek. Miała może trochę zbyt płaską klatkę piersiową, jak na gust sierżanta, rekompensowały to jednak zgrabne nogi i cholernie ładne oczy. Ciemnobrązowe oczy, doskonale pasujące do koloru włosów.

W chwili, w której patolog znów się odezwał, kontynuując swój wywód, Willis powrócił myślami do rzeczywistości.

- Gwóźdź przebił czaszkę w tym miejscu. - Patolog wskazał na skroń Geraldine. - Z lewej strony. Metal dostał się do mózgu i śmierć nastąpiła natychmiast. Na jej udach i piersiach znaleźliśmy ślady nasienia; rzecz raczej niezwykła w tego typu przypadkach. Tylko odrobina nasienia znajdowała się w pochwie.

Palcem wskazującym i kciukiem prawej ręki mężczyzna przetarł oczy.

- Uderzenie w twarz zostało zadane, kiedy już nie żyła. Jak widzicie, rozwaliło jej nos. Ofiara ma też kilka pękniętych żeber. Jestem skłonny wysunąć przypuszczenie, że była kopana. I to kopana bardzo mocno, ponieważ jedno z żeber pękło w taki sposób, że przebiło płuco. - Potrząsnął głową. - Napaść była bardzo brutalna. Napastnik pozbawił ją życia z zimną krwią. Na kolanach ofiary są zadrapania, a w ranach znajduje się ziemia. Moim zdaniem przez jakiś czas ze wszystkich sił walczyła o życie.

- Natrafił pan na skórę pod paznokciami? Na jakieś inne ślady, które by nam pomogły? - Głos Kate był niski i przytłumiony.

Patolog potrząsnął przecząco głową.

- Niestety, obawiam się, że nie mam nic więcej. Oczywiście, odczytamy z nasienia kod DNA sprawcy... - Umilkł, po czym wzruszył ramionami. - Może na jej ubraniu znajdą się jakieś włosy albo obce włókna? Dam wam znać.

Powróciwszy do pracy, patolog zaczął powoli, starannie czesać włosy łonowe Geraldine. Kate szybko odwróciła wzrok od gwałtownie szarzejących zwłok.

- Dziękuję - powiedziała.

Wyszła z prosektorium, a Willis podążył za nią. Nie odezwali się do siebie ani słowem, dopóki nie zasiedli nad filiżankami z kawą w małym barku na komisariacie policji w Grantley.

- Posłuchaj, dziewczyno, nie bierz tego morderstwa tak mocno do

siebie. Takie rzeczy się zdarzają.

Kate popatrzyła na młodszego policjanta i zmarszczyła czoło, koncentrując się. Wzięła głęboki oddech.

- Jak śmiesz? - zawołała. W jej głosie można było usłyszeć autentyczną wściekłość. Willisem to wstrząsnęło. - Jak śmiesz traktować mnie tak protekcyjnie? Do cholery, za kogo się uważasz? „Takie rzeczy się zdarzają!” Uważasz, że jej mąż i dzieci po prostu wzruszą ramionami i powiedzą „takie rzeczy się zdarzają”?

Mówiła coraz głośniej i Willis rozejrzał się dookoła, zakłopotany.

- Takie rzeczy nie zdarzają się tak po prostu, chłopcze! - Z naciskiem wypowiedziała to ostatnie słowo. - Gdzieś po tym mieście chodzi pieprzony morderca i gwałcień. Rozumiesz, że to nie jest normalna sytuacja? Rozumiesz to? Do cholery, rozumiesz czy nie?

Willis siedział sztywno wyprostowany na krześle, purpurowy na twarzy ze wstydu. Wszyscy klienci barku umilkli i wpatrywali się w ich stolik.

- Od dzisiaj żadna kobieta w tym mieście nie odważy się wyjść sama z domu po szesnastej trzydzieści, kiedy na dworze będzie już ciemno. Od dzisiaj kobiety, które mieszkają samotnie, i te, których mężowie pracują na nocną zmianę, nie będą się czuły bezpieczne nawet we własnych domach. Nie będą się czuły bezpieczne w samochodach, nawet jeżeli pozamykają od wewnątrz wszystkie drzwi. Od dzisiaj rodzice nastoletnich dziewcząt będą chorzy ze strachu, jeśli tylko córki będą się spóźniać kilkanaście minut ze szkoły albo z pracy. Od dzisiaj, i tak dalej. Ta lista nie ma końca. Jak więc śmiesz siedzieć przede mną i twierdzić, że takie rzeczy się zdarzają? I jeszcze jedno. Skoro już tu jesteśmy, wyjaśnijmy sobie pewną rzecz. Jestem detektywem inspektorem. Jestem twoją przełożoną. Życzę sobie więc, żebyś od teraz tak właśnie się do mnie zwracał, jak do przełożonej. Od sześciu miesięcy, odkąd tutaj jestem, obserwuję powszechny brak respektu wobec wyższych stopniem. Ale od dzisiaj to bujanie w obłokach ma się skończyć, jasne? Przynajmniej w twoim przypadku.

Zerwawszy się z krzesła, Kate wybiegła na zewnątrz. W barku zapanowało powszechne poruszenie.

Willis ciężko westchnął. Po chwili podszedł do niego jeden z jego przyjaciół, detektyw sierżant Spencer.

- A więc lisica pokazała pazurki, co? Co za dziwka! Gdyby do mnie odezwała się w ten sposób, dostałaby pięścią prosto w twarz.

- Ale z ciebie macho, Spencer! - usłyszał kobiecy głos od sąsiedniego stolika. - A może to ty jesteś tym gwałcień? Słyszałam, że ofiara miała złamany nos.

- Zamknij się. - Spencer wrócił na swoje miejsce. - Cholerne kobiety.

Ten, kto pozwolił im pracować w policji, powinien skonsultować się z psychiatrą. A jeśli chodzi o tę Burrows... Wredna krowa.

– Prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa i gwałtu. Lepiej do tego przywyknij.

Spencer popatrzył na swojego rozmówcę.

– Zobaczymy, jak jej pójdzie, co? Baba cholernie działa mi na nerwy.

Wszyscy roześmiali się głośno. Spencer wziął do ręki kubek z herbatą, a drugą uniósł do góry i wysunął środkowy palec.

– Chromolę ją! - zawołał.

Wypił herbatę do dna. Cholerne kobiety. Trzeba gwałtu, żeby pokazały swoje prawdziwe oblicza. A ta głupia O'Leary zachowywała się tak, jakby się codziennie prosiła o to, co ją w końcu spotkało.

Kate Burrows siedziała w swoim pokoju w komisariacie i próbowała się uspokoić. Musiała przyznać, że trochę za bardzo się uniosła wobec Willisa, ale naprawdę sobie na to zasłużył. Zresztą, tak po prawdzie większość policjantów z komisariatu w Grantley działała jej na nerwy. Przetarła dłońmi twarz. Od dnia, w którym wstąpiła do policji, niemal codziennie spotykała się z dyskryminacją zawodową kobiet. Jednak to, co działo się tutaj, przechodziło wszelkie wyobrażenia.

Popatrzyła na dokumenty leżące przed nią na biurku. Zamierzała zapamiętać wszystkie szczegóły zebrane dotychczas w związku z zamordowaniem Geraldine O'Leary. Jak w większości spraw, które prowadziła, chciała wiedzieć więcej niż jej partnerzy - mężczyźni. Zaczęła czytać.

Po kilku minutach ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść!

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Willis.

– Tak? - zapytała sucho.

Willis skinął głową.

– Nadkomisarz Ratchette chciałby się z panią widzieć, o ile nie jest pani zbyt zajęta.

– Dziękuję ci, Willis.

Patrzyła, jak Willis odwraca się i grzecznie wychodzi z pokoju. Kate podniosła rękę z wysuniętym palcem wskazującym. Jeden do zera dla niej.

Chciał pan się ze mną widzieć?

Nadkomisarz Ratchette uśmiechnął się, kiedy weszła do jego gabinetu.

– Usiądź, Kate. Jak przypuszczam, wiesz już, że będziemy mieli na głowie centralę?

Zrobiła niechętną minę.

– Nie wiedziałam, ale nie powiem, że się tego nie spodziewałam.

– Cóż, jak zwykle w takich przypadkach, będą nam patrzyli na ręce. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby jak najszybciej zakończyć tę sprawę i się ich pozbyć. Mam nadzieję, że złapiemy drania. Tym bardziej że zbliża się Boże Narodzenie. To już za dwa tygodnie... - Nadkomisarz Ratchette miał zmęczony głos i Kate popatrzyła na niego ze współczuciem.

– W tej chwili, proszę pana, nie mogę jeszcze wiele powiedzieć. Mam nadzieję, że coś wykażą szczegółowe badania z zakresu medycyny sądowej. Na razie wydałam polecenie, żeby porozmawiano ze wszystkimi ludźmi mieszkającymi w promieniu jednej mili od miejsca zbrodni. To rutynowa robota. Każdy chłopak i mężczyzna w wieku od czternastu do sześćdziesięciu pięciu lat zostanie przesłuchany. Zostaną sprawdzone ich samochody, przeprowadzone dyskretne wywiady w miejscach pracy, będziemy także próbowali ustalić, gdzie przebywali pomiędzy szóstą trzydzieści a siódmą wieczorem. Aha, zanim zapomnę, postanowiłam, że pracę w terenie będzie koordynować detektyw sierżant Dawkins. Jest bardzo dobra.

Nadkomisarz Ratchette zmarszczył czoło.

– Założę się więc, że wszystko idzie na razie jak po maśle.

– Niekoniecznie. - Kate zaśmiała się ponuro. - Dwie kobiety prowadzące taką poważną sprawę? Mężczyźni są wściekli.

Ratchette roześmiał się głośno. Lubił Kate Burrows.

– No cóż, niech się wściekają. Kate, to twoja sprawa i twoje śledztwo. Chciałbym tylko, żebyś na bieżąco mnie informowała o wszystkich nowych śladach i zwrotach w śledztwie.

– Oczywiście, szefie. Sprawa wydaje mi się jednak bardzo trudna. Geraldine O’Leary pracowała w barze Rudy’ego, gdzie podają tylko wino, jednak z tego, co ustaliłam, nie była kobietą, która prowokowała mężczyzn, mimo że była niewątpliwie bardzo atrakcyjna i wszystkim się podobała. W każdym razie sprawdzamy wszystkich klientów baru. Głównie miejscowych. Jeśli chodzi o męża Geraldine, opiekował się ostatniej nocy dziećmi. Około siódmej trzydzieści wieczorem zadzwoniła do niego kobieta o nazwisku Conroy, zbierająca zamówienia na kosmetyki z firmy Avon. Rozmawiali przez telefon mniej więcej do ósmej, kiedy to w domu O’Learych pojawiła się matka Geraldine. Zostawiła jakieś prezenty gwiazdkowe i została tam przez pewien czas. Nie ma więc mowy, żeby mordercą był mąż. Jego alibi jest niepodważalne.

Ratchette skinął głową.

– Wygląda więc na to, że będziesz miała zajęcie na dłużej.

Kate stłumiła ziewnięcia. Miała już za sobą długi dzień i nic nie wskazywało na to, że szybko się on skończy.

– Moim zdaniem to będzie bardzo trudna sprawa, proszę pana, bardzo trudna.

George wszedł do domu i z zadowoleniem przyłgnął do kaloryfera. Na dworze był ostry mróz. Pod ręką George trzymał lokalną gazetę. Z kuchni dotarły do niego odgłosy krzątania; to Elaine coś gotowała. Zdjął płaszcz i powiesił w szafie w holu, po czym cicho, na palcach, ruszył do kuchni.

Elaine odwróciła się od zlewozmywaka i aż podskoczyła.

– Och, George! Ale mnie przestraszyłeś. Nie usłyszałam, jak wszedłeś.

Kilkakrotnie machnęła ręką przed swoją twarzą, jakby w ten sposób mogła się szybciej uspokoić.

George uśmiechnął się.

– Przepraszam, moja droga.

Usiadł przy stole i spojrzął na gazetę. Po chwili uśmiechnął się jeszcze szerzej. Już na pierwszej stronie znalazł wydrukowane wielkimi literami słowo, którego szukał: MORDERSTWO.

Rozsiadłszy się wygodniej, George zaczął czytać. „Dziś nad ranem w Grantley Woods znaleziono zwłoki kobiety. Została zgwałcona i zamordowana...” Poczul w żyłach znajome podniecenie. Ofiara nazywała się Geraldine O’Leary, była trzydziestodwuletnią matką trojga dzieci.

Biedne dzieci. Biedne, biedne dzieci. George potrząsnął głową i czytał dalej. Kiedy Elaine postawiła przy nim filiżankę z herbatą, podniósł wzrok.

– Czy to nie jest straszne, George? Ta biedna kobieta. I te biedne dzieciaczki, które w jednej chwili straciły matkę, i to tuż przed świętami.

George był zaskoczony emocjonalnym tonem jej głosu.

– Tylko o tym rozmawialiśmy dzisiaj w pracy - kontynuowała Elaine. - W dzisiejszych czasach żadna kobieta nie może się czuć bezpiecznie, prawda?

George syknął ze złością i potrząsnął głową.

– Uważaj na siebie, Elaine. - Wyciągnął ku niej palec wskazujący. - Obiecaj mi, że będziesz wracała z pracy do domu taksówką. Nie chcę, żebyś wystawała w ciemności na przystankach autobusowych.

Popatrzyła mężowi w oczy, po czym uśmiechnęła się.

– Och, George! Ty stary głuptasie.

Niemal wbrew sobie Elaine poczuła, że jest jej przyjemnie, iż mąż tak się o nią niepokoi. Wracać z pracy taksówkami? Cóż, dobrze, tak właśnie

zrobi, skoro George twierdzi, że czekanie na przystankach autobusowych po zmroku jest niebezpieczne.

Zaczęła zmywać naczynia.

Jeszcze później zbrodnię na tle seksualnym omawiano w telewizyjnym programie informacyjnym Thames News. Oglądając audycję, Elaine potrząsała ze smutkiem głową. Jednak George ukradkiem się uśmiechał, sekretnym uśmiechem, przy którym obnażał wszystkie zęby. Ale Elaine niczego nie zauważyła.

Kiedy Kate dotarła wreszcie do domu, był kwadrans po dwudziestej trzeciej. Zatrzymawszy samochód na podjeździe, postanowiła, że da sobie dzisiaj spokój z wjeżdżaniem do garażu. Była zbyt zmęczona. Wsiadła z auta, zamknęła je i szeroko ziewnęła.

Frontowe drzwi były otwarte na oścież i stojąca w nich kobieta w nieokreślonym wieku właściwie wciągnęła ją do holu.

– Szybko, wchodź do środka, kochana, musisz być strasznie zmarznięta. W piecyku czeka na ciebie kolacja.

Kate uśmiechnęła się do siebie. Jej matce wciąż wydawało się, że córka ma osiemnaście lat.

– Gdzie jest Lizzy?

– Och, kąpie się, wkrótce zejdzie na dół. Słyszałam, co się dzisiaj stało, to straszne. Skandal, cholerny skandal! Czy to mąż ją zamordował?

Kate podążyła za matką. Przeszedłszy przez salon, znalazły się w kuchni, gdzie na wąskim stoliku śniadaniowym leżał już widelec i nóż. Kate usiadła na taborecie i z wdzięcznością przyjęła od matki filiżankę gorącej kawy.

– To nie był mąż, mamó.

Evelyn O'Dowd wcale jej nie słuchała, co zresztą Kate zupełnie nie przeszkadzało. Matka nie słuchała nikogo, w żadnej sprawie.

– To zwykle bywa mąż albo ktoś inny z rodziny.

Evelyn otworzyła piekarnik i Kate poczuła, jak ślinka cieknie jej do ust. Zapach

pieczeni wołowej był wspaniały.

– Uważaj, dziecko, talerz jest bardzo gorący.

– Tak, mamó. Dziękuję. Tego mi właśnie było teraz potrzeba.

– Nakroiłam chleba do pieczeni.

Evelyn O'Dowd była drobna i chuda jak mały ptaszek. Miała czarne oczy, które ciągle się poruszały i nigdy nie spoczęły na niczym na dłużej. Zawsze ubierała się na czarno, a ta barwa jeszcze podkreślała jej kruchość. Swoją czterdziestoletnią córkę traktowała tak, jakby ta wciąż miała dziesięć lat. Kate uwielbiała matkę.

Akurat kiedy ułamała pierwszy kawałek chleba, jej matka usiadła naprzeciwko z kubkiem kawy i nieodłącznym papierosem w ustach. Zaciągnąwszy się, wydmuchnęła dym ponad stolikiem. Uśmiechnęła się.

– Chyba wkrótce awansujesz - powiedziała do córki. - Oczywiście, jeśli rozwiążesz tę sprawę. Zresztą, nie mam wątpliwości, że ją rozwiążesz. - Oznajmiła to z absolutnym przekonaniem w głosie.

– Cóż, robimy, co możemy, ale to dopiero początek śledztwa, mamó.

Kate jadła z apetytem, co bardzo zadowalało matkę.

– Gdyby tylko twój ojciec dożył tej chwili i patrzył teraz na ciebie, umarłby ze szczęścia.

Kate uśmiechnęła się. Irlandzkie powiedzonka matki były może niezbyt inteligentne, ale bardzo wzruszające.

Declan O'Dowd był londyńskim dokerem. Jego najważniejszą troską było to, aby dwójka dzieci uzyskała dobre wykształcenie. Starszy brat Kate mieszkał teraz w Australii, dokąd wyemigrował przed dwudziestu laty. Był inżynierem, miał australijską żonę i piątkę dzieci, których ani Kate, ani jej matka nigdy nie widziały osobiście. Kate postanowiła zrobić karierę w policji. Zadowolony z dzieci, Declan O'Dowd zmarł wkrótce po tym, jak córka ukończyła szkołę oficerską w Hendon.

Matka wprowadziła się do Kate krótko po tym, jak przyszła na świat jej córka, Lizzy. Danny Burrows, mąż Kate, porzucił ją, kiedy Lizzy miała zaledwie trzy miesiące. Później pojawiał się od czasu do czasu, przewracał świat Kate do góry nogami i znowu znikał. W skrytości ducha Kate bała się nadchodzących świąt, ponieważ czuła, że Danny znów zjawi się z niezapowiedzianą wizytą. Na nieszczęście Lizzy uwielbiała ojca, co dla Kate było naprawdę trudne do zaakceptowania.

Usłyszała, jak córka wchodzi do kuchni, szurając papciami.

– Cześć, mamusiu. Słyszałam o morderstwie. Razem z babcią oglądałam wiadomości telewizyjne.

– Cześć, dziecino. Chodź i mnie ucałuj.

Lizzy podeszła do matki i objęła ją ramionami. W wieku szesnastu lat była śliczną dziewczyną. Czasami uroda własnej córki przerażała Kate. Lizzy miała ciemne włosy O'Dowdów, jak jej matka i babcia, ale miała też porcelanowobiałą skórę i urzekające fioletowe oczy. W przeciwieństwie do matki rosły jej duże piersi, wyraźnie prześwitujące przez cienką koszulkę. Była równie wysoka jak matka, jednak poruszała się z o wiele większym wdziękiem. Niestety, nie odziedziczyła po matce przenikliwego umysłu. Była bystra, owszem, lecz nie uczyła się najlepiej i w ogóle uczyć się nie lubiła. Pracowała obecnie w sklepie z obuwem, ustawiając towar na półkach, i czekała na magiczny dzień, w którym zostanie uznana za na tyle doświadczonego pracownika, by obsługiwać kasę. Wyżej jej ambicje zawodowe nie sięgały i Kate musiała to

zaakceptować.

– Jak minął ci dzień, kochanie?

– Nie najgorzej, mamusiu, jak zwykle. Zbliżają się święta i w sklepie nie ma chwili wytchnienia. Nawet nie wykorzystałam dzisiaj przerwy na kawę. A pan Williams, menedżer, powiedział, że bardzo dobrze sobie radzę.

Ostatnie słowa wypowiedziała, naśladowując wyszukany akcent Williamsa, przez co i Kate, i Evelyn roześmiały się. Kate ułamała kolejny kawałek chleba i zaczęła nim zgarniać resztki sosu z talerza.

– Przygotować ci pachnącą kąpiel, mamusiu? W zeszłym tygodniu kupiłam w drogerii kryształki do kąpeli. Pachną lawendą i podobno relaksują.

– Byłoby wspaniale. Miałam dzisiaj naprawdę zwariowany dzień.

Lizy wyszła z kuchni i Evelyn uśmiechnęła się do swojej córki.

– To naprawdę dobra dziewczyna, Katie. Znów dzwonił do niej dzisiaj ten sam młodzieniec. Myślę, że to miłość.

Katy zapaliła papierosa z jej paczki i odsunęła od siebie talerz.

– Cóż, jest młoda, ładna, trudno się więc dziwić, że otacza ją mnóstwo chłopaków.

– Prawda, Katie, ale martwię się o nią. Widzisz, ona chyba sobie nie zdaje sprawy z wrażenia, jakie na nich wywiera.

– Moim zdaniem na tym właśnie polega część jej uroku. Musimy jednak na nią uważać.

– To się rozumie. Moja droga, wypal tego papierosa, a ja tymczasem tutaj posprzątam. Wykąp się, a potem wskakuj do łóżka. Moim zdaniem, po dzisiejszym dniu potrzebujesz jak najwięcej snu.

Kate uśmiechnęła się. Jej matka byłaby nieszczęśliwa, gdyby nikim się akurat nie opiekowała. Nie wyobrażała sobie, jak przetrwałaby bez matki ostatnie szesnaście lat.

Znalazłszy się po kilku minutach w łazience, położyła się w parującej i pachnącej wodzie. Pracowała non stop przez siedemnaście godzin. W prosektorium oglądała zamordowaną kobietę, przygotowała pokój dla zespołu, który zajął się poszukiwaniem mordercy, wreszcie zebrała i zorganizowała w zwartą grupę ponad trzydzieści policjantek i policjantów, którzy mieli chodzić do domów ludzi mieszkających w promieniu mili od miejsca zbrodni.

A jednak przy matce wciąż czuła się jak dziecko. Ale po dniu takim jak ten było to bardzo przyjemne uczucie.

George leżał w łóżku obok Elaine. Wsłuchiwał się w jej głębokie chrapanie i w ciemności uśmiechał się do swoich myśli. Za każdym

razem, gdy powracał w nich do Geraldine O'Leary, czuł się wspaniale. Kolejny raz odtwarzał w myślach to, czego dokonał. Sekunda po sekundzie powtarzał sobie wszystko, co zrobił z Geraldine, i gratulował sobie sprytu i przebiegłości.

Nagle zmarszczył czoło.

Oczyrna wyobraźnia ujrział obraz własnej matki. W ciemności przetarł dłońmi twarz, jakby w ten sposób mógł wymazać niechciany widok. Ujrzał matkę taką, jak wyglądała, kiedy on sam był jeszcze dzieckiem. Ujrzał jej naturalne, rude włosy; nie pofarbowane tak jak włosy Elaine. Lśniły w promieniach słońca. Jej oczy, zielone jak morze, błyszczały wesołymi ognikami i dlatego George zawsze uśmiechał się, kiedy na nią patrzył. Widział pokój w mieszkaniu: kominek z kutego żelaza i wazon z zasuszonymi kwiatami. Widział wiktoriańskie wzory na tapecie ściennej. Widział także gumowe węże i porcelanową miskę.

Próbował odegnać od siebie to wszystko, jednak obrazy zbyt mocno pchały się przed jego oczy. Leżał w łóżku i patrzył.

– Chodź do mamusi, Georgie, mój chłopcze - mówiła matka z czułością.

Wyciągała ręce do małego chłopczyka. Z oddali docierały odgłosy artylerii

przeciwlotniczej, wściekle strzelającej w niebo. George stał przed matką bez ruchu.

Odezwała się ponownie, tym razem ostrzej.

– Powiedziałam, chodź do mamusi, Georgie.

Chłopiec popatrzył na drzwi i jego matka roześmiała się.

– Wejdźcie, dzieci! - zawołała.

George patrzył na drzwi coraz bardziej przerażonymi oczyma. Widział, jak jego starsza siostra i brat wchodzą do pokoju.

– Połóż się na podłodze, Georgie, mój chłopcze.

Dziecko potrząsnęło głową i zaczęło się cofać. Obserwowało, jak usta matki, umalowane jaskrawą czerwoną szminką, zaczynają przybierać wyraz złości.

– Nie denerwuj mamusi, Georgie. Natychmiast połóż się na podłodze.

Dziecko patrzyło, jak matka i rodzeństwo otaczają je coraz ciaśniejszym półkolem. Jego starszy brat, Joseph, był tak blisko, że czuł już docierający od niego zapach cukierków.

Zamknął oczy, czekając na nieuniknione. Przecież już im oddał wszystkie słodczyce. Ale im to nie wystarczało. Zaczynali się śpieszyć. Poczul znajome sensacje; jakby ktoś nalał mu do trzewi lodowatej wody. W tym samym momencie rodzeństwo pchnęło go na podłogę. W chwili, gdy ściągali mu spodnie, po raz kolejny ogarnęła go straszna nienawiść do matki. Przemocą przycisnęli go do podłogi, twarzą w dół.

Zaczął płakać. Najpierw cicho, bezradnie, a potem coraz gwałtowniej, żałośniej. W miarę jak matka wsuwała w jego odbył gumowy wąż, zaczynał odczuwać coraz większy ból. Próbował walczyć, odepchnąć wszystkich od siebie, ale bezskutecznie. Poczł ciepło wody z mydłem, uderzającej w jego jelita, po czym nastąpiło jakby bolesne szarpnięcie, kiedy jelita zaczynały pustoszeć. Jeszcze chwila i było po wszystkim.

Leżał na podłodze, patrząc na uśmiechniętą twarz matki. Z czoła spływały mu strugi potu. Bał się, że zaraz zwymiotuje.

Wtedy zobaczył, że pokryta grubym makijażem twarz matki zbliża się do jego twarzy, poczuł zimno jej ust, które nagle zaczęły ssać jego usta.

– Teraz jest lepiej, prawda, Georgie, mój chłopcze?

Leżąc na podłodze w salonie, słaby i otumaniony, skinął głową. Po chwili matka podniosła go, z czułością przycisnęła do piersi i zniosła do łóżka. Poczł chłód pościeli, świeży zapach proszku do prania, a później znów palący ból z tyłu.

Ujrzał, że matka się uśmiecha.

– Jesteś małym żołnierzkiem swojej mamusi, prawda? Kim jesteś?

Dziecko spoglądało na nią przez załamane oczy i westchnęło. Gwałtownie zadrżało.

– Jestem małym żołnierzkiem mamusi.

Matka wyciągnęła go z łóżka i przycisnęła do obfitego biustu, jednocześnie obsypując gwałtownie pocałunkami jego twarz i szyję.

George patrzył na to wszystko jak na film. Zamknął oczy, żeby go nie widzieć. Jednak matka nie zamierzała się łatwo poddać.

Nigdy go nie odstępowwała.

Była sobota i George został sam w domu. Starannie umywszy naczynia po śniadaniu i odłożywszy je na właściwe miejsca w szafach, przygotował sobie dzbanek herbaty. Kiedy zaparzała się na kuchennym stole, poszedł przez ogród do szopy po swoje magazyny.

Wróciwszy do kuchni, rozsiadł się wygodnie i stworzył pierwszy z nich. Patrząc na znajome fotografie, jak zwykle poczuł w żyłach przyjemny szum. Uśmiechnął się do siebie. Wkrótce będzie miał własny album o śmierci, ze zdjęciami własnych ofiar, a nie jakimiś tam... Zrobił ku temu pierwszy krok.

Upił łyk herbaty i zaczął czytać, chociaż cały tekst znał już na pamięć. Po chwili spojrzł na zegarek. Zbliżała się dopiero pora lunchu. Miał jeszcze mnóstwo czasu dla siebie, zanim Elaine wróci do domu. Postanowił pooglądać sobie filmy z kaset wideo. Zacisnął pięści z radości, że dopisuje mu takie szczęście. Nie ma Elaine. Nie ma żadnego hałasu. Nikt mu nie przeszkadza.

Schowawszy magazyny z powrotem w szopie, zamknął dom od

środku, zaciągnął zasłony we frontowych oknach, nawet wyjął z gniazdka sznur od telefonu i włączył swój nowy film.

Kiedy na ekranie telewizora pojawiły się pierwsze obrazy, wreszcie się odprężył. Dziewczyna na taśmie wyglądała dokładnie tak jak Geraldine O'Leary, a najbardziej gwałtowny z mężczyzn był wypisz, wymaluj podobny do niego.

Widział, jak dziewczyna na filmie otrzymuje to, czego pragną one wszystkie. Dokładnie to, o czym marzą, łącząc wśród mężczyzn, wymalowane na twarzach, wyperfumowane. Wśród nich były nawet młodzianki dziewczyny. George wiedział o nich wszystko.

W podnieceniu zaczął gwałtownie oddychać.

Oglądał już filmy o nastoletnich uczennicach. Ale te prawdziwe były równie złe, jak te z filmów. Każda, bez wyjątku, szybko się uczyła, jak zostać kurwą. Patrzył na nie, jak chodzą do szkoły. Niektóre miały gołe nogi. Pod obcisłymi szkolnymi mundurkami kołysały się ich cyce. Och, George wiedział o kobietach wszystko. Gotowe były umierać dla swoich babskich rozkoszy. Tak, umierać. Więc zgoda, on, George, zanim na dobre się zestarzeje, kilku z nich to umożliwi. Da im te upragnione rozkosze.

Dziewczyna na ekranie telewizora była martwa.

George głośno odchrząknął. Tak, to był najlepszy kawałek.

Uśmiechnął się.

Detektyw sierżant Amanda Dawkins przyniosła Kate filiżankę kawy.

– Dziękuję. Sama powinnam ją sobie zrobić.

Amanda pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Wygląda pani, jakby ktoś panią przekręcił przez wyżymaczkę.

Kate pokiwała głową.

– Bo i czuję się okropnie. Źle spałam w nocy i dzisiaj ledwo wstałam.

Amanda usiadła naprzeciwko niej.

– Cóż, stopniowo kompletujemy informacje od policjantów, którzy chodzili po domach. Największy problem przy takiej robocie polega na tym, że na wierzch wyłażą wszystkie sąsiedzkie waśnie.

– Wiem. A drugi problem tkwi w tym, że wśród pięciuset bezsensownych oskarżeń bywają ze dwie informacje, które są warte uwagi.

– Niech pani pije kawę, zanim ostygnie.

Kate uśmiechnęła się.

– Mów mi po imieniu. Wczoraj trochę się wygłupiłam, ale już mnie szlag trafiał na głupotę tego faceta. I paru innych. - Wskazała ręką za plastikowe przepierzenie, za którym pracowali mężczyźni. - Co za typy. Zdaje im się, że pozjadali wszystkie rozumy. W związku z tym zamierzam trochę się im dać we znaki. Próbowałam być uprzejma i

wyrozumiała, ale taka postawa wobec nich to po prostu błąd.

Amanda ukazała w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

– Zanim się pojawiłaś, nigdy nie było na tym komisariacie kobiety na oficerskim stanowisku. Mówiąc delikatnie, co najmniej ich drażnisz.

Kate upiła kolejny łyk kawy.

– Czy mogę ci coś powiedzieć, Amando?

Dziewczyna skinęła głową. Po jej twarzy przebiegł cień, kiedy usłyszała w głosie Kate ostry ton.

– Mało mnie obchodzi, co oni o mnie myślą. Odsunę od sprawy każdego, kto będzie okazywał wobec mnie jakieś fochy. Byłabym wdzięczna, gdybyś im to jakoś delikatnie przekazała. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Amanda zachichotała.

– Doskonale rozumiem, proszę pani.

– Kate.

– Przepraszam, Kate.

– To już lepiej. A teraz bierzmy się do roboty. Mam dziwne przeczucie, że to morderstwo to dopiero początek. Ktokolwiek je popełnił, już szykuje się do następnego, trzeba więc go złapać, zanim zdoła skrzywdzić kolejną kobietę.

Poważny ton Kate Amanda uznała za całkowicie uzasadniony. Wstając, skinęła głową przełożonej, zadowolona, że będzie pracować właśnie z nią, a nie z którymś z mężczyzn.

Detektyw sierżant Spencer uważnie je obserwował. W pewnej chwili ciężko westchnął. Trąciwszy łokciem detektywa sierżanta Willisa, ruchem głowy wskazał mu kobiety. Wyraz jego twarzy świadczył o jego głębokim niezadowoleniu.

– Wygląda na to, że siostrzyczki Dolly są sobie coraz bliższe - powiedział z niesmakiem.

Willis potrząsnął niechętnie głową.

– Dałbyś już spokój, na miłość boską. To Kate prowadzi śledztwo i nic już nie zrobisz. Lepiej weźmy się obaj w garść, połączmy razem nasze doświadczenie operacyjne i sami szybko znajdziemy tego zboczeńca.

Spencer udał, że jest zaskoczony.

– Co mielibyśmy połączyć? Ach, rozumiem. Przypuszczam, że twoje doświadczenie w łapaniu złodziei sklepowych i wandalii byłoby tu nieocenione.

Willis lekko poczerwieniał. Sierżantem był od niedawna i wczorajsze morderstwo miało być w jego karierze pierwszą poważną sprawą, przy której mógłby się wykazać przed przełożonymi. Wszyscy o tym wiedzieli, ale tylko Spencer odważył się powiedzieć o tym głośno. Czego jednak można było się spodziewać po tym facecie? Był największym

ignorantem, bigotem i najbardziej zapatrzonym w siebie funkcjonariuszem na całym komisariacie.

– Dzięki, że mi o tym przypomniałeś, Spencer. Rozumiem, że twoje doświadczenie będzie w tej sprawie o wiele cenniejsze. Najwyraźniej szukamy kompletnego, skończonego maniaka i idioty. Wystarczy więc, że na każdym etapie śledztwa zastosujemy właściwy tobie kretyński tok rozumowania i zaraz go złapiemy.

Spencer sprawiał wrażenie osoby, którą ktoś przed chwilą uderzył w twarz.

– Ty bezczelny mały draniu!

Willis wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Ty natomiast jesteś żalosnym starym draniem. Wiesz, na czym polega twój problem, Spencer? Nigdy już nie będziesz nikim więcej niż sierżantem. Gdybyś czasami posłuchał bzdur, które pieprzysz, zrozumiałbyś dlaczego.

Willis odszedł, pozostawiając Spencera z półotwartymi ustami, zdumionego i wściekłego. W głowie Spencera kołatała się myśl, której nie był w stanie zignorować: prawda boli. Ile razy powtarzał to innym ludziom? Zbyt wiele.

Z trudem zmusił się, żeby powrócić do pracy. Popatrzył na zawieszona na ścianie fotografie zamordowanej Geraldine O’Leary. Jedna z nich wykonana została w prosektorium. Spencer widział jej szarą twarz i rozbity nos. Obok wisiało mniejsze zdjęcie, wykonane kilka miesięcy wcześniej przez jej męża. Na nim Geraldine śmiała się, w kącikach jej oczu widniały drobne zmarszczki. Wyglądała dokładnie na osobę, którą była, na piękną, młodą żonę.

Spencer wzruszył ramionami. Willis miał rację przynajmniej w jednej kwestii. Człowieka, który zamordował tę kobietę, należało złapać, i to złapać bardzo szybko. Zanim zaatakuje ponownie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rok 1948

Dwaj mali chłopcy szli bardzo szybko. Nieprzyjemny, drobny deszcz uderzał w ich twarze. Mniejszy z chłopców miał zaczerwienione oczy; najwyraźniej płakał.

W powietrzu rozległ się potężny huk wyładowania elektrycznego, a po chwili błyskawica na moment rozjaśniła niebo.

– No, chodź, George, na miłość boską! - Większy chłopiec zaczął ciągnąć brata za rękaw. Kiedy skręcili w wąski zaułek, George próbował się wyrwać.

– Nie pójdę tam! Ani mi się śni!

Joseph ciężko westchnął i zatrzymał się naprzeciwko brata, twarzą w twarz. Wcale nie podobało mu się zadanie, które musiał wykonać. W głębi serca nie miał pretensji do George'a za to, że chce uciekać, jednak słowo matki było prawem. Popatrzył na błyszczącą, drobną twarzyczkę.

– Posłuchaj, Georgie, im szybciej się tam znajdziesz, tym szybciej będzie po wszystkim. A teraz chodź, nie marudź.

Ciągnął go, wciąż opierającego się, aż wreszcie dotarli do domu, w którym obaj mieszkali. Wśród ciemnej burzowej nocy budynek sprawiał złowieszcze wrażenie. Cegły były niemal czarne ze starości, a frontowe drzwi, mimo przybitej do nich ozdobnej kołatki z brązu, wyglądały wręcz obskurnie. Joseph pociągnął brata ścieżką ogrodową i mocno zapukał. Drzwi niemal natychmiast otworzyła im piętnastoletnia dziewczynka o włosach zaczesanych w mysie ogonki. Z czułością popatrzyła na młodszego brata.

– Jest teraz o wiele spokojniejsza, George. Pośpiesz się, zdejmuj mokre ciuchy.

Weszli do holu i George szybko ściągnął mory płaszcz. Serce w drobnej klatce piersiowej waliło jak oszalałe. Od niepamiętnych czasów w domu unosił się wyraźnie wyczuwalny odór kapusty. Wisiał w powietrzu, przykry, natrętny, przez co George'owi często zbierało się na wymioty. Mieszał się z zapachem wosku do polerowania podłóg i ta ciężka mieszanka wprost paliła w nos.

– Czy on już poszedł? - zapytał Joseph szeptem.

Dziewczynka potrząsnęła przecząco głową.

– Ty idź na górę, a ja wprowadzę George'a.

Brat i siostra popatrzeli sobie nawzajem w oczy. Joseph odwrócił się, niezdolny do wpatrywania się w siostrę ani przez chwilę dłużej. Z wysiłkiem uśmiechnął się do stojącego obok niego małego chłopca.

– Poczekam na ciebie na górze. Micky Finnigan dał mi wczoraj kilka komiksów. Jeśli zechcesz, będziesz mógł je po mnie obejrzeć.

George skinął głową i z trudem przełknął ślinę. Można było odnieść wrażenie, że jego szare oczy wypełniają całą twarz.

– Podciągnij skarpetki, George.

Wykonał polecenie, niezdarnie podciągając grube, wełniane skarpety niemal do połowy łydek. Cała trójka stała później w milczeniu, dopóki nie usłyszała ruchu w największym pokoju. Wówczas Joseph pobiegł po schodach, jakby gonił go sam diabeł. Kiedy otworzyły się drzwi do pokoju i padło na niego jasne światło, George poczuł, jak zaczynają mu się trząść ręce.

– A więc wróciłeś do domu, co? - Głos matki był twardy i niski.

Specjalnie dla niego przytrzymała otwarte drzwi, przekroczył próg jednak dopiero po tym, jak siostra lekko trąciła go w plecy. Wówczas matka walnęła go pięścią w tył głowy. Uderzenie było tak silne, że natychmiast znalazł się na środku pokoju.

– Mamo... Mamo! Nie bij go, mamo!

Nancy Markham popatrzyła na córkę.

– Idź na górę, zanim zarobisz na to samo.

George, przerażony, drżący, upadł na zimne linoleum. Matka uklękła obok niego i przysunęła jego twarz do swojej.

– A więc chciałeś uciec od swojej mamusi, co, syneczku? - Złapała go za włosy. - Dokąd tym razem uciekałeś?

Jego drżenie jeszcze ją rozsierdziło. Przygryzła jaskrawo umalowane wargi i, zamknąwszy oczy, zaczęła go okładać pięściami. Mały, chudy chłopak nie był w stanie się bronić. Padł na ziemię, zakrywając dłońmi głowę.

W pokoju na górze leżał Joseph, nasłuchując przytłumionych odgłosów uderzeń. Wrzaski matki co chwilę osiągały crescendo.

Wreszcie Nancy podniosła się. Ciężko oddychała.

– A teraz idź i przeproś, syneczku.

Dziecko łkało, co jakiś czas wciągając w bolące płuca duży haust powietrza. Z nosa ciekła mu cienka struga krwi. Niepewnie powstało, przytrzymując się blatu stołu.

– Słyszałeś mnie, chłopcze? - Z całej siły trzasnęła go otwartą dłonią w twarz.

Potyając się, George przeszedł przez pokój, kierując się ku drzwiom prowadzącym do kuchni. W kuchni poczuł, że matka stoi krok za nim. Podniósł głowę i popatrzył w twarz potężnie zbudowanego mężczyzny.

– Nie martw się, Bert, dostał takie wciury, że w przyszłości sto razy się zastanowi, zanim powie coś niewłaściwego.

Mężczyzna popatrzył na George'a ciemnymi oczyma. Chłopak czuł bijący od niego odór stęchłego potu i musiał głęboko przełknąć ślinę, żeby odegnąć od siebie niebezpieczeństwo, iż zwymiotuje. Brzuch mężczyzny zatrząsł się, kiedy ów wygodniej sadowił się na krześle. Jego podkoszulek był poplamiony od herbaty i resztek jedzenia. George próbował skoncentrować wzrok na jego ogorzałej, czerwonej twarzy, z wyraźnie widocznymi na skórze drobnymi żyłkami.

– Nic nie mówi, Nancy. Co jest z tobą, mały draniu? Kot odgryzł ci język?

George na moment przygryzł wargę.

– Bardzo przepraszam. Przepraszam.

Nancy Markham przyciągnęła twarz syna tak blisko do swojej, że czuł jej oddech.

– Chyba wiesz, co powiedzieć, syneczku?

Przełknął ślinę i po raz kolejny głęboko odetchnął.

– Przepraszam... tato. - To ostatnie słowo było ledwie słyszalne.

– Głośniej, młodzieńcze.

– Prze... Przepraszam, tato.

Mężczyzna widział w oczach chłopca nienawiść. Nienawiść, nie miał co do tego wątpliwości. Przez chwilę odczuwał strach, ale zaraz wziął się w garść i przywołał na twarz uśmiech, ukazując zęby pożółkłe od nikotyny. W końcu gówniarz nie ważył zbyt wiele! Zmrużył oczy i starając się przybrać jak najgroźniejszy wyraz twarzy, odezwał się do dziecka:

– Pamiętaj, zawsze masz tak do mnie mówić, chłopcze. - Wysunął w jego kierunku palec wskazujący. Następnie popatrzył na Nancy i ryknął: - Kobieto, gdzie jest moja pierdolona herbata? Zabierz mi to małe gówno sprzed oczu i weź się do roboty!

Nancy odepchnęła George'a od siebie i stanęła przed mężczyzną:

– Nigdy nie mów do mnie w ten sposób, Bercie Higgins...

Podniósł z krzesła potężne cielsko i podetknął pięść pod nos Nancy.

– Chcesz dostać prawym prostym, Nance, czy chodzi ci o coś innego? Możesz podporządkowywać sobie małe dzieciaki, ale nie mnie!

George widział na twarzy matki wewnętrzne zmaganie: wycofać się czy podjąć walkę. Jak zwykle w takiej sytuacji poddała się i już z pokoju chłopak przez chwilę obserwował, jak wyciąga z szafy kubek do herbaty i stawia go przed Bertem.

George w panice, przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł po schodach na górę, byle znaleźć się jak najdalej od tych dwojga. Na chwilę zapomniał nawet o przenikliwym bólu. Wbiegł do sypialni, którą

dzielił z Josephem, i wpadł prosto w ramiona siostry. Usłyszawszy z dołu odgłosy ponownej kłótni, znów zaczął łkać. Edith delikatnie głaskała go po krótko ostrzyżonej głowie, krzywiąc twarz za każdym razem, gdy z dołu docierał do sypialni głośniejszy łomot lub trzask. Zobaczyła, że Joseph leży na łóżku i gapi się w sufit, i nagle zrozumiała, jakie to wszystko jest pozbawione sensu.

– Och, Boże, spraw, żeby się pozabijali. Spraw, żeby oboje umarli - powiedziała przez łzy.

Od dnia, w którym przed osiemnastoma miesiącami wprowadził się do nich Bert Higgins, ich życie stało się jeszcze żałośniejsze, niż było przedtem. Nancy znalazła w nim tyrana gwałtowniejszego niż ona sama. Na przemian kochali się lub walczyli ze sobą do utraty tchu. A Nancy z każdym dniem stawała się coraz mniej przewidywalna. Swe frustracje najczęściej wyładowywała na George'u. Edith robiła, co w jej mocy, by trzymać go poza zasięgiem matki, jednak z czasem było to coraz trudniejsze. Bert pił, piła matka, a dzieci, głównie George, odczuwały tego skutki na własnej skórze. Zadaniem Edith było utrzymywanie porządku w domu. Nancy Markham, nawet w sztok pijana, żądała od dzieci bezwzględnej posłuszeństwa.

Cała trójka zamarła, kiedy usłyszała, że matka przebiega przez największy pokój i wypada do holu. Natychmiast na schodach rozległy się jej ciężkie kroki. Za nią biegł Bert.

– Jak śmiesz w ten sposób do mnie mówić, ty dziwko? Ty pieprzona, zasrana, gruba dziwko!

– Zabierz ode mnie swoje brudne łapska, Bert! Ostrzegam cię, precz z łapami!

Nasłuchiwali odgłosów szamotaniny na schodach, gdy rozległ się nagle głuchy łoskot i wszystko ucichło. Cała trójka popatrzyła niepewnie po sobie.

– Nance? Nance! - Niski głos Berta był pełen strachu.

Edith odepchnęła od siebie George'a i wybiegła z pokoju.

– O mój Boże!

Zbiegła ze schodów i gwałtownie pchnęła Berta. Matka leżała na najniższych stopniach, a z jej ciemienia grubą strugą sączyła się krew.

– Ja tego nie chciałem. Przewróciła się i uderzyła się w głowę!

Edith zignorowała mężczyznę, zajmując się matką. Na pierwszy rzut oka rana nie wyglądała na groźną. W pewnej chwili Nancy otworzyła oczy i odepchnęła od siebie dziewczynkę.

– Precz stąd, draniu! - Joseph i George jak skamieniali stali u szczytu schodów.

Nancy przyłożyła dłoń do rany na głowie. Spojrzawszy następnie na rękę, zobaczyła na niej krew.

– Ty draniu! Ja krwawię!

– Posłuchaj, Nancy, bardzo mi przykro. Przepraszam, kochanie, ale przecież za nic w świecie nie chciałbym cię zranić, przecież o tym wiesz! Wolałbym sobie odciąć rękę!

Edith powoli ruszyła do góry po schodach. Wiedziała, że do niczego już nie jest potrzebna. Za każdym razem było tak samo. Teraz w centrum zainteresowania przez wiele dni będzie mama. Co z tego, że Georgie przez ponad tydzień będzie chodził z nie zagojonymi ranami? Nieważne, że Joseph z każdym tygodniem będzie coraz bardziej nerwowy. Nieważne też, że to na barkach Edith spocznie prowadzenie całego domu. Teraz najważniejsza będzie mamusia i jej zraniona, obolała głowa. A jakkolwiek by na to spojrzeć, sama się o to prosiła.

– Chodźcie za mną, obaj. - Edith wpełchnęła chłopców do sypialni i zamknęła drzwi. Po chwili dzieci usłyszały, jak Bert i ich matka wchodzi do własnej sypialni.

Skrzypienie sprężyn łóżka i głośne jęki oraz pochrząkiwania odpowiedziały im, że oboje dorośli są właśnie w stadium wzajemnego godzenia się.

ROZDZIAŁ PIĄTY

23 grudnia 1989 roku

Mandy Kelly mocniej zaciągnęła płaszcz na piersiach. Na dworze był mróz. Palców u nóg w butach na płaskich obcasach już dawno nie czuła. Zamorduje Kevina, kiedy w końcu się pojawi. Jeszcze raz popatrzyła na zegarek. Była ósma piętnaście wieczorem, był już więc całe piętnaście minut spóźniony. Stała w słabym blasku światła padającego z budki telefonicznej i przestępowała z nogi na nogę. Właściwie mogłaby złapać taksówkę, ale Kevin miał jej samochód. Ujrzawszy ją wysiadającą z taksówki, ojciec od razu by się zorientował, w czym rzecz, i całe piekło wybuchłoby na nowo. Poza tym był właśnie sobotni wieczór i Mandy razem z Kevinem byli umówieni z ojcem i jego nową przyjaciółką na kolację w mieście. Prawdę powiedziawszy, nie zależało jej na tej kolacji, jednak gdyby się spóźnili, ojciec byłby wściekły. Pieprzony Kevin! Zawsze musiał zrobić jej jakiś głupi kawał.

Głębiej wepchnęła ręce w kieszenie płaszcza z owczej wełny. Zimne nocne powietrze rozsadzało jej płuca przy każdym oddechu. Ulica była opustoszała, tylko z rzadka pojawiał się na niej jakiś spóźniony samochód. Każdy był już w domu, albo strojąc bożonarodzeniową choinkę po dniu szalonych zakupów, albo grzejąc się przy kominku czy piecu, z dobrym drinkiem w rękę, czy też jedząc kolację. Świat wydawał się taki spokojny, jakby właśnie zatrzymał się czas i miał ponownie ruszyć w dniu Bożego Narodzenia. Mandy wsunęła długie jasne włosy pod kołnierz płaszcza. Wiatr wciąż je rozwiewał, smagając ją nimi nieprzyjemnie po twarzy.

Boże, jak zimno.

Popatrzyła z obawą na ciemnoniebieskiego forda oriona, który minął ją, jadąc bardzo powoli. Była pewna, że to już nie pierwszy raz, odkąd tutaj czeka. Wzruszyła jednak ramionami. Nie ma co się martwić, Kevin wkrótce się zjawi. Uśmiechnęła się do siebie. Na jej ustach, od bezustannego ich zaciskania, rozmazała się pomarańczowa szminka. Ojciec z pewnością poczeka, w końcu planowali wyjście dopiero na dziewiątą. Ale jeśli Kevin się nie pośpieszy, nie będzie miała czasu przebrać się na wieczór.

W dalszym ciągu wypatrywała chłopaka, wmawiając sobie, że w każdej chwili pojawi się w jej białym sportowym mercedesie i zawiezie ją do domu.

Czasami zastanawiała się, co takiego Kevinowi się w niej podoba. Czy może chodzi mu o to, że jej ojcem jest Patrick Kelly? Może o jej samochód? A może to ona sama naprawdę mu się podoba? Starła się nie rozmyślać w taki sposób, ponieważ takie myśli wprawiały ją w zły nastrój. Podobnie denerwowały ją przyjaciółki ojca; każda następna była młodsza od poprzedniej.

Znowu popatrzyła na zegarek. Ósma dwadzieścia pięć. Och, Kevin, ty zasrańcze! Przecież nie będę tu wystawała przez całą noc. Weszła do budki i podniosła słuchawkę telefonu. Był popsuty.

Tego już było za wiele. Owinąwszy się płaszczem jeszcze ciaśniej, ruszyła ulicą, wciąż jednak wypatrując Kevina i swego samochodu. Samochodu, do którego nigdy więcej nie dane jej będzie wsiąść.

Oślepiły ją reflektory nadjeżdżającego auta i serce zabiło jej mocniej. Boże, proszę, niech to będzie Kevin!

Ale to był ciemnoniebieski orion. Zatrzymał się obok niej.

– No, Kevin, wypijmy jeszcze po jednym.

– Nie, muszę już iść. Mandy oszaleje, czekając na mnie.

Jonny Barker roześmiał się głośno i popatrzył po twarzach mężczyzn, tłoczących się przy barze.

– Facet na dobre się pogrążył, co, chłopaki?

Wszyscy zarechotali wesoło, także Kevin Cosgrove.

– Naprawdę, muszę już iść, chłopaki. Prawdę mówiąc, jestem już pół godziny spóźniony.

Gary Aldrige poklepał go po plecach. Był już pijany w sztok.

– Ppowiem cccii coś, stary, od tego morderstwa nie wypuszczam mojej ptaszyny z domu, chyba że samochodem albo w jakiejś większej grupie.

Kevin popatrzył na szczerą twarz przyjaciela i po raz pierwszy zaczął się martwić o Mandy. Pod wieloma względami była dla niego niczym czyrak na dupie, jednak nie chciał przecież, żeby stało się jej coś złego. Nie dlatego, żeby się o nią specjalnie troszczył, ale przede wszystkim dlatego, że jej ojca powszechnie znano jako Złego Człowieka. Naprawdę Złego Człowieka.

Odstawiwszy kufel z piwem na bar, pożegnał się z kolegami i popędził do samochodu.

Otworzył drzwi i natychmiast ogarnął go luksusowy zapach skóry i piżmowych perfum. Perfum Mandy.

Kochał ten samochód. Zazdrościł Mandy pieniędzy jej ojca, ale z kolei podziwiał ją za to, że mimo wszystko chodzi do pracy. Była kosmetyczką. Za kilka miesięcy ojciec miał jej kupić własny salon.

Wjechał w Portaby Road i zaczął rozglądać się za Mandy. Nigdzie nie mógł jej dostrzec. Wymyślił, że spotkają się właśnie tutaj, ponieważ było tu spokojnie i cicho i nie było żadnego niebezpieczeństwa, że ktoś, kto zna jej ojca, zobaczy ją czekającą na chodniku. Gdyby Patrick Kelly wiedział, że to nie jego córka jeździ luksusowym samochodem, wpadłby w szal. Kupował jej samochody co roku, od kiedy w wieku siedemnastu lat uzyskała świadectwo dojrzałości. Zawsze był to nowy samochód, zawsze bardzo drogi. Kevin doskonale wiedział, że ten mercedes kosztował sporo ponad czterdzieści tysięcy funtów. Dlatego tak uwielbiał go prowadzić. Uwielbiał uczucie, które go ogarniało, gdy znajdował się we wnętrzu maszyny tej klasy. Przy końcu Portaby Road zawrócił i, jadąc bardzo powoli, ponownie zaczął szukać Mandy. Wkrótce doszedł do wniosku, że bez wątplenia już jej tu nie ma.

Mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Mogło to oznaczać tylko jedno: Mandy powróciła do domu bez niego i bez swojego samochodu. Kevin ruszył zrezygnowany w kierunku przedmieść Grantley, gdzie Patrick Kelly mieszkał z Mandy w wielkim, niezbyt gustownie urządzonym domu.

Kelly będzie wściekły. Chociaż Kevin nigdy się nie przyznał do tego ani wobec Mandy, ani wobec nikogo innego, sam przed sobą musiał przyznać, że Patrick Kelly przerażał go, przerażał go śmiertelnie. Zresztą bał się go każdy obdarzony choć odrobiną zdrowego rozsądku.

Kevin jechał powoli. Całe podniecenie, jakie zazwyczaj odczuwał, prowadząc ten samochód, zdążyło go już opuścić. Teraz zastępował je strach.

Cholerna, głupia Mandy! Dlaczego po prostu na niego nie zaczekała, tak jak jej kazał?

Patrick Kelly nalał sobie do dużej szklanki porcję brandy i usiadł na swoim ulubionym krześle. Popatrzył na nową przyjaciółkę, Tiffany, i z trudem pozbył się grymasu zniecierpliwienia, który pojawił się na jego twarzy, gdy stwierdził, że dziewczyna znów stoi przed wielkim lustrem i mizdrzy się do siebie.

Tiffany miała dziewiętnaście lat, była trzy lata młodsza od jego córki i ciało miała zbudowane niczym Jayne Mansfield. Kelly lubił, gdy jego kobiety były zmysłowe. Pozwolił sobie na lekki uśmiech. Tiffany zapewne nie wiedziała nawet, kto to taki ta Jayne Mansfield. Była, jak to ujmował w prostych słowach, ciemna niczym tabaka w rogu. Odpowiadało mu to jednak, ponieważ raczej rzadko miewał ochotę z nią rozmawiać. Wystarczało, że pasowała mu w łóżku.

Ogromna choinka bożonarodzeniowa ustawiona w rogu salonu lśniła lampkami i Kelly wpatrywał się w nią przez kilka sekund, po czym jego

wzrok powędrował po raz kolejny ku fotografii zmarłej żony, Renée, ustawionej w ramce na kominku. Nagle ogarnął go smutek. Zadrżał lekko na całym ciele, wystrojonym w garnitur od Armaniego. Powróciło do niego wspomnienie innych świąt Bożego Narodzenia. Oczyma wyobraźni widział, jak Renée trzyma na rękach Mandy opatuloną w becik. Następnie zobaczył łazienkę pełną pary, poczuł zapach kamfory. Mandy właśnie skończyła roczek, miała zapalenie krtani i oboje z Renée spędzili z nią całą noc w małej, wilgotnej łazience.

Tęsknił za Renée, tęsknił za nią każdego dnia swojego życia. Razem budowali ten biznes, i to ona, nie on, była w tej pracy bystrzejsza i bardziej praktyczna. Patrick Kelly zawsze był zbyt porywczy, zbyt niecierpliwy i gwałtowny. Zaczynał jako egzekutor przeterminowanych długów od różnych czarnych charakterów, ludzi, którzy pożyczali pieniądze na prowadzenie ciemnych interesów i nie zawsze odnosili w nich powodzenie.

Kelly potrafił odnajdywać ludzi niemal pod ziemią, brutalnie zmuszał swe przerażone ofiary do podawania miejsc pobytu dłużników. Lubił to zajęcie i parął się nim nawet teraz, mimo ogromnego domu, w jakim mieszkał, mimo szytych na miarę garniturów i aury człowieka wszechmocnego, jaka go otaczała. W głębi duszy czuł, że wciąż jest urwisem z East Endu, a możliwość wpływania na ludzi brutalną siłą ciągle napawała go satysfakcją. Nadal uwielbiał nielegalne interesy. Mimo że był obecnie obywatelem cieszącym się powszechnym respektem, wiedział, że w duchu na zawsze pozostanie Patrickiem Kellym z East Endu. Nigdy nie opuściły go wspomnienia lat, które spędził w mieszkaniu przypominającym norę, podłych zaułków, w których żyło więcej szczurów niż ludzi, i matki, która zaharowywała się na śmierć. Był szczery wobec siebie i przyznawał w duchu, że jedynie smykałka do interesów jego zmarłej żony doprowadziła do tego, iż teraz wiódł stateczne życie porządnego obywatela. To Renée w jakiś tajemniczy sposób zyskała dla nich pierwszego szanowanego klienta. Bez niej wciąż pewnie włóczyłby się po East Endzie albo, co bardziej prawdopodobne, gniłby w jakimś zawilgoconym więzieniu. Wiele się od niej nauczył i bardzo mu jej brakowało. Szanował ją, kochał i wspólnie z nią budował przyszłość dla ich jedyne dziecko.

Nagle widok Tiffany zaczął go denerwować bardziej niż kiedykolwiek. W tej chwili nie chciał już, żeby siedziała z nim tutaj, w obcisłej sukience, z zawodowo opalonymi nogami. Zapragnął Renée. Renée z jasnymi włosami, zaczesanymi do tyłu, drobną Renée w ładnej czarnej sukience, podkreślającej, przynajmniej w oczach Patricka, jej wielką klasę.

Nigdy nie ubierała się krzykliwe, zawsze była spokojna i wyważona, i to w niej kochał. Znowu popatrzył na choinkę i poczuł, jak do oczu

napływają mu łzy. Boże Narodzenie zawsze było bardzo emocjonalnym okresem w życiu. Było czasem, kiedy wspominało się ukochanych, którzy odeszli, było tą częścią roku, kiedy człowieka ogarniały gorzkie wspomnienia. Żałobę po Renée nosił już od dziesięciu lat. Od dziesięciu lat był też jedynym opiekunem swojej córki, która po matce odziedziczyła stosunek do życia i nieważne, że związała się z tym głupawym chłopakiem. Mandy zapewniała go, że jest wart jej miłości, jednak Patrick wciąż mocno w to wątpił.

Cisza panująca w domu zaczynała grać mu na nerwach. Tiffany naprawdę rzadko się odzywała. Nawet w łóżku jedynie cicho leżała, z zaciętym wyrazem twarzy, kiedy on robił swoje. Gdy kończył, bez słowa wstawiała, myła się nad bidetem, a powróciwszy do łóżka, od razu zasypiała. Czasami Patrick czuł się, jakby bzykał gumową lalkę, a nie żywą dziewczynę. Emocje okazywała tylko wtedy, gdy podziwiała siebie samą w lustrze.

Ciszę przerwał terkot telefonu i Kelly aż podskoczył na krześle. Podeszedł do stolika i podniósł słuchawkę, myśląc, że to może być Mandy.

Ale usłyszał głos Billa Doona.

– Pat, byłem u tego frajera, ale on nie ma ani pensa. Zastraniec przegrał wszystko na wyścigach. Nie dał żonie nawet jednego funta na święta.

– I co zrobiłeś, Bill?

– Właśnie dlatego do ciebie dzwonię, że nie wiem, co robić. Mam mu spuścić lanie?

Patrick na chwilę przymknął oczy i zazgrzytał zębami.

– W tej chwili pracujesz dla mnie, prawda, Bill? - Mówił głosem niskim i cierpliwym, jak do dziecka.

– Tak. - Bill był wyraźnie zaskoczony.

– I płacę ci całkiem dobry procent za egzekwowanie w moim imieniu zaległych długów, prawda?

– Tak.

– Więc wróć do niego i połam mu ręce. Na rany Chrystusa, z równym powodzeniem sam mógłbym tam pójść i wykonać tę pierdoloną robotę.

– Tak, Pat, ale uspokój się. Facet ma szóstkę dzieciaków, które mieszkają razem z nim.

– No, to wywlec go z mieszkania, ty debilu. Mamy Boże Narodzenie, możesz mu zrobić przysługę i zostawić go w okolicach jakiejś izby przyjęć, co ty na to? - Z trzaskiem odłożył słuchawkę na widełki.

Po kilku sekundach podniósł ją z powrotem i nacisnął cyfrę „4”. Natychmiast usłyszał głos swojego ochroniarza i asystenta, Willy’ego Gabneya.

– O co chodzi, Pat?

– Chciałbym, żebyś przygotował torbę z prezentami i podrzucił do mieszkania Boba Masona. Nie wróci do domu na święta.

– Zrobione, szefie. Czy Mandy już wróciła?

– Cholera, nawet jeszcze nie zadzwoniła. Ten jej zasrany Kevin pewnie wciąż się stroi na wieczór!

Odłożył słuchawkę i nalał sobie kolejną brandy. Udający dzieło sztuki pstrokaty zegar wiszący nad kominkiem pokazywał już za dziesięć dziewiątą. Do diabła, gdzie jest Mandy? Przecież zamówił stolik na wpół do dziesiątej.

Znów usiadł i dotknął palcami kartki papieru schowanej w kieszeni na piersi. Był to akt notarialny kupna małego salonu fryzjerskiego i salonu piękności, jego prezent dla córki na Boże Narodzenie. Znów pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Mandy będzie szczęśliwa.

W ciszy upił kolejny łyk brandy. Tiffany, zauważył, wciąż przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze.

George Markham uśmiechał się do dziewczyny w samochodzie. Miejsce nad okiem, w które uderzył ją pięścią, zaczynało już puchnąć. Ale to była wyłącznie jej wina, po co próbowała się stawiać? Przecież starał się, jak mógł, być dla niej przyjazny i sympatyczny. A ona tymczasem jedynie się dąsała. Dotarł w jakieś odludne miejsce i teraz oboje bacznie wpatrywali się w siebie nawzajem.

Mandy była przerażona. Od momentu, w którym ten mężczyzna zatrzymał obok niej samochód i zaczął pytać o drogę, cały jej świat stanął nagle na głowie. Podeszła bliżej do auta i później zapamiętała jedynie, że ktoś wciąga ją do środka. Kopała i wrzeszczała na całe gardło, w pobliżu nie było jednak nikogo, kto mógłby jej pomóc. Czuła bolesne pulsowanie nad prawym okiem i klucie w żebrach za każdym razem, kiedy próbowała głębiej odetchnąć. Kiedy wciągał ją do samochodu, boleśnie podrapała sobie uda i kolana. Odjechali bardzo szybko. W pewnej chwili próbowała otworzyć drzwi i wyskoczyć, lecz znów złapał ją za włosy.

George'owi Mandy natychmiast się spodobała. Z niesmakiem odbierał jedynie pomarańczową szminkę na ustach. Nienawidził pomarańczowych szminek. Mandy zobaczyła, jak zrobił krzywą minę, i serce podskoczyło jej do gardła. Z rękami za plecami zaczęła się wycofywać, cal po calu. Zamierzała otworzyć drzwi i uciec. Pobiegnie tak szybko, jak tylko będzie w stanie.

George czytał w jej myślach.

Wyciągnąwszy ze skrytki kawałek sznurka, złapał ją za ramiona.

Mandy zaczęła walczyć. Jej długie dorabiane paznokcie zbliżyły się

niebezpiecznie do jego twarzy. Ciężko dysząc, George znów z całej siły ją uderzył. Trafił w policzek i usłyszał głośny trzask, kiedy kość policzkowa Mandy pękła pod uderzeniem jego pięści.

Dziewczyna padła na fotel, oszołomiona. Ból, jaki ją ogarnął, uciszył ją i uczynił bezwolną. Ten mężczyzna był szalony. Nagle Mandy zdała sobie z tego sprawę, jasno, bez cienia wątpliwości. Jeśli nie będzie mu posłuszna, zabije ją. Może zresztą i tak ją zabije? Pół leżąc na fotelu pasażera, cicho zapłakała. Jaka szkoda, że nie ma tu taty. George mocno związał jej ręce, układając je tak, jakby za chwilę miała się modlić.

- Proszę, wypuść mnie. - Jej głos był niski i zaskakująco spokojny, łagodny, jak głos dziecka.

George poczuł się wielki, niemal szczęśliwy, słysząc uniżony ton prośby. Dziewczyna szybko się uczyła, musiał jej to przyznać. Zatarłszy ręce, przechylił się nad nią i wziął z tylnego siedzenia podręczną torbę. Wyciągnął z niej czarną skórzaną maskę, którą kupił w sex shopie.

Mandy była tak przerażona, że znieruchomiała, wprost wtopiła się w fotel. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła, jak mężczyzna nakłada maskę. Włączył nawet lampkę oświetlającą kabinę i ustawił wsteczne lustro w taki sposób, że wpatrując się w nie, mógł nałożyć maskę starannie i dokładnie.

George'owi przyszło do głowy, że dziewczyna zdołała przez chwilę wyraźnie dostrzec jego twarz, lecz nie mógł przecież jeździć przez całe Grantley z maską na twarzy, prawda? Szóstym zmysłem wyczuł strach przenikający ciało dziewczyny, i to mu wystarczyło. Maskę działała lepiej, niż się spodziewał.

Wysiadłszy z samochodu, ściągnął z siebie „dobry” płaszcz, jak Elaine nazywała jego stary płaszcz od Burberry'ego. Starannie go złożywszy, ułożył go na tylnym siedzeniu. Na dworze było przenikliwie zimno i George zadrzał. Zaraz jednak opanował się, obszedł samochód i otworzywszy przednie drzwiczki po stronie pasażera, wyszarpał Mandy na zewnątrz. Ciągnąc ją za płaszcz, doprowadził do starej szopy, która stała tutaj pusta od wielu lat. Otworzył drzwi i wepchnął dziewczynę do środka.

Mandy upadła na brudną ziemię, jednak z bólu nie zwróciła nawet uwagi na brud. Patrzyła, jak mężczyzna wyciąga z kieszeni marynarki dwie świece i je zapala.

George uśmiechnął się. No, już jest lepiej. Podeszedłszy do Mandy, rozwiązał jej ręce.

- Zdejmij płaszcz - zażądał.

Leżała na ziemi, wpatrując się w niego. Z nosa cieniutką strugą ciekła jej krew.

- Powiedziałem, żebyś zdjęła pierdolony płaszcz!

George przyłożył dłoń do ust. Przekleństwo jednak zrobiło swoje, Mandy zaczęła się bowiem powoli rozbierać.

Poczuł rosnące podniecenie. Złapał za klapę jej płaszcza i szybko go z niej zdarł. Gdy to czynił, dziewczyna przekręciła się i George usłyszał głuchy łoskot, kiedy upadła na podłogę.

Potrząsnął głową. Jeszcze jedna! W taką pogodę w cienkiej bluzeczce i spódnicy. No, ale ta przynajmniej była na tyle rozumna, że włożyła ciepłe majtki. Grube majtki.

Widząc strach w jej oczach, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Mandy patrzyła, jak mężczyzna układa jej płaszcz na ziemi. Spróbowała trochę nad sobą zapanować i rozejrzała się wokół. Pomieszczenie nie miało okien, a jedynie drzwi, zamknięte teraz na drewniany skobel. Na ziemi wałyły się różne drewniane i metalowe przedmioty. Po jej prawej stronie leżał dość spory łom. Postanowiła, że poczeka na sposobność i sięgnie po niego. Skierowała wzrok z powrotem na George'a. Miała opuchniętą twarz i trudności z przelknięciem.

– Połóż się na płaszczu, moja droga, bo inaczej zmarzniesz.

Jego głos docierający spod maski był przytłumiony. George wyczuł pod maską ciepło swojego oddechu.

Lubił tę maskę, sprawiała, że czuł się zupełnie inaczej niż zwykle. Postanowił zdobyć taką w dniu, w którym dowiedział się, że Donald Neilson używał identycznej, kiedy mordował Lesley Whittle.

Mandy przeczołgała się na swój płaszcz. Piekło ją teraz całe ciało, a szczególnie twarz i kolana. Popatrzyła na swoje nogi i zobaczyła krew w miejscach, gdzie rajstopy były podziurawione. Znow ogarnął ją paniczny strach. Z trudem, ale jednak go zwalczyła - Musiała myśleć jasno. Musiała chwycić za ten łom. Końcami palców odgarnęła włosy z twarzy. George bacznie to obserwował przez otwory w masce. To był bardzo kobiecy ruch, lekki i wdzięczny. Patrząc na nią George poczuł, jak w jego gardle rośnie dziwna kula.

Podobnie odgarniała włosy z twarzy jego matka, pełnym gracji ruchem, który tak odróżniał ją od wszystkich innych kobiet. George uśmiechnął się czule pod maską.

– Jak ci na imię, moja droga?

Mandy nie odpowiedziała, ale jedynie wpatrywała się w maskę.

George zanucił jakąś melodię, po czym westchnął. Dziewczyna znow zaczynała sprawiać trudności. Wszystkie kobiety są takie same. Jeśli tylko spróbowało się być dla nich dobrym, pomóc im, natychmiast okazywały się niewdzięczne. Ta nie była wyjątkiem.

Zaczął ciężko oddychać, przez co pod maską zrobiło mu się jeszcze goręcej. Pocił się coraz bardziej. Wszystko przez nią! Kopnął ją w nogę, mocno, gwałtownie. W jej oczach znow pojawiły się łzy.

– Pytałem, jak masz na imię, ty mała dziwko!

– Jestem Mandy... Mandy Kelly.

Miała na imię Mandy! Jego ulubione imię! Imię dziewczyny z jego taśmy wideo... Mandy!

Wpatrywał się w jej drobne, sterczące piersi, wyraźnie rysujące się pod obcisłą bluzeczką, jakby zdziwione, że muszą się pod nią kryć. Poczł swędzenie w lędźwiach.

Ukląkł przed nią.

Żałował, że musi nosić rękawiczki. W oczekiwaniu na to, co nieuchronnie nastąpi, zginał i rozprostowywał palce.

Wtedy Mandy go kopnęła. Poczł jakby mocne ukłucie, kiedy jej but trafił go w klatkę piersiową. W ułamku sekundy przetoczyła się po brudnej ziemi, byle jak najdalej od niego, nie spuszczać wzroku z kawałka metalu.

Bрудna śmierzcząca suka chciała pochwycić broń i go zaatakować! Ale George zaraz wybije jej to z głowy. Błyskawicznie skoczył w jej kierunku. W chwili, w której jej dłoń zaciskała się na łomie, przydepnął ją obcasem. Dziewczyna krzyknęła, głośno i przenikliwie.

George chwycił łom i zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, jednym uderzeniem roztrzaskał jej głowę. Po chwili odrzucił łom. Metal upadł na ziemię z głuchym łoskotem.

No i sama widzisz, do czego mnie zmusiłaś, pomyślał.

To była tylko i wyłącznie jej wina. Zresztą, wszystkie były takie same. Sprawiały jedynie kłopoty.

Pociągnął ciało dziewczyny w kierunku rozłożonego płaszcza i ułożył je na nim w taki sposób, że leżała teraz przed swym oprawcą nieruchoma, otwarta. Ale George pocił się jak świnia mimo przejmującego zimna. Wszystko przez maskę.

Ukucnął na piętach i długo wpatrywał się w martwą Mandy.

Wreszcie zaczął ściągać z niej ubranie.

– Kurczę, umieram z głodu! - Głos Tiffany brzmiał jak wołanie rozkapryszzonego dziecka.

Patrick Kelly przerwał rozmowę telefoniczną i wrzasnął na nią:

– Odpieprz się, kochanie. Odpieprz się i sama coś zeżryj!

Rzuciwszy słuchawkę na widełki, Patrick Kelly pognał w jej kierunku. Zobaczył, że wzdrygnęła się ze strachu. Kelly poderwał ją z krzesła i zaczął ciągnąć przez pokój. Kiedy znaleźli się w drzwiach prowadzących do holu, pchnął ją na środek.

– Ubieraj się. Weź taksówkę. Precz z moich oczu, Tiffany, bo inaczej oberwiesz po swojej głupiej mordzie.

Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Och, daj spokój, Pat. Przecież wiesz, że nie miałam na myśli nic złego. - W jej głosie brzmiały tak błagalne tony, że przez moment Kelly nawet jej współczuł.

Jeszcze przez chwilę ciężko oddychał, po czym nagle poczuł, że cały animusz go opuszcza. Do diabła, gdzie jest Mandy? Już dawno minęła jedenasta. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego w holu i wystukał numer.

– Jimmy? Wyprowadź samochód przed dom. Tiffany wraca do siebie. Ujrzał, jak jej usta zaciskają się. Odłożył słuchawkę na widełki.

– Kiedy cię znów zobaczę, kochany? - Świadomość, że Kelly odsyła ją do domu jednym ze swoich samochodów, a nie taksówką, trochę Tiffany ulżyła.

– Nie zobaczymy się, moja droga. Nie w najbliższym czasie. Właściwie nigdy. - Jego głos był niski i stanowczy.

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś. Jimmy zawiezie cię samochodem. Zakładaj płaszcz i spieprzaj.

Patrzyła, jak Kelly wraca do salonu. Po chwili trzasnął za sobą drzwiami. Pierdolony bydlak! Jeszcze nikt, naprawdę nikt, nigdy jej tak nie potraktował. Ona mu jeszcze pokaże.

Szczęśliwie dla siebie, nie była w stanie podjąć z nim żadnej walki.

Tymczasem Kevin wciąż siedział w fotelu w salonie Kelly'ego. Żaden z mężczyzn nie powiedział ani słowa, kiedy na zwirowanym podjeździe rozległ się szelest opon podjeżdżającego samochodu. Kelly nalał sobie kolejnego drinka. Ani myślał proponować cokolwiek Kevinowi.

– Kontaktowałem się już ze wszystkimi jej koleżankami. Ze wszystkimi krewnymi. Z każdym, kto tylko przyszedł mi na myśl. Jesteś pewien, że nie ma jakiegoś innego faceta, z którym by teraz przebywała?

Kevin obruszył się.

– Oczywiście, że jestem pewien. To nie taka dziewczyna.

Kelly pokiwał głową, jakby zgadzając się z nim.

– Chcę, żebyś wyjaśnił mi przede wszystkim jedno. Dlaczego używałaś jej samochodu? A skoro go już miałaś, w jaki sposób Mandy zamierzała wrócić do domu?

Serce Kevina biło w piersi jak oszalałe. Czekał na te pytania przez cały wieczór.

Nerwowo oblizwał wargi.

– Cóż... - Odchrząknął. - Powiedziała, że mogę dzisiaj jeździć jej samochodem, żeby przewieźć kilka rzeczy... - Głos mu zamarł.

Kelly podszedł do jego fotela i wbił wzrok w jego twarz.

– Tak? Mów dalej.

– Umówiliśmy się, że ją zabiorę sprzed budki telefonicznej na Portaby Road. Ale kiedy tam dotarłem, trochę się spóźniłem, już jej tam nie było. - Kevin zdawał sobie sprawę, że szare oczy Kelly'ego wpatrują się w niego coraz groźniej. - Przyjechałem więc tutaj, przypuszczając, że złapała taksówkę albo dostała się do domu w jakiś inny sposób.

– O której godzinie byliście umówieni?

– O ósmej.

– O której ostatecznie zjawiłeś się przy budce?

– Mniej więcej za dwadzieścia dziewięć. - Głos Kevina był tak cichy, że Kelly z trudem go słyszała.

– O której? Głośniej, chłopaku, na miłość boską!

– Mniej więcej za dwadzieścia dziewięć.

Kelly wykrzywił twarz w absolutnym niedowierzaniu.

– Jaki prezent chciałbyś na Boże Narodzenie, synu? Rolexa czy może pierdolonego Big Bena na łańcuchu na szyję, co? Kazałeś mojemu dziecku czekać w tej pogodzie czterdzieści minut przed jakąś zasraną budką telefoniczną?

Trzasnąwszy szklaneczką z brandy o podłogę, Patrick Kelly z całej siły zdzielił Kevina otwartą dłonią w ucho, wyrzucając go z fotela.

– Ty łajdaku! Ty mały zasrańcze! Być może moja Mandy już przez ciebie nie żyje! Zaczynaj się modlić, chłopcze, ponieważ, jeśli jej szybko nie znajdziesz, będziesz martwy! Słyszałeś mnie?

Wierzchem dłoni Kevin przetarł nos. Był śmiertelnie przerażony.

– T...ttttak. Bardzo mi przykro...

– Przykro ci, powiadasz? Od tygodni jeździsz sobie w najlepsze samochodem mojej Mandy! Doskonale o tym wiem, syneczku. Kazałem cię obserwować. Nie wątpię, że słyszałeś, jakie krążą o mnie opowieści. O moich interesach w Zachodnim Londynie i o grubych rybach, które dla mnie pracują. Więc pomnóż to wszystko, co słyszałeś, przez dziesięć i wtedy zdaj sobie sprawę, w co tak bardzo pragniesz się wżenić. Telewizyjny ojciec chrzestny to przy mnie drobny złodziejaszek! Zapamiętaj to, chłopcze, ponieważ jeśli mojej córeczce przytrafi się coś złego, będziesz bardziej martwy niż egipska mumia.

Twarz Kelly'ego była wykrzywiona z wściekłości. A w głębi duszy tłumił w sobie taką samą bezsilną wściekłość, jaka opanowała go w dniu śmierci Renée. Historia się powtarzała.

Zginęła, wracając do domu od swojej matki, która mieszkała w West Ham. Kiedy jej spóźnienie sięgało już dwóch godzin, Kelly w głębi serca czuł, że stało się coś złego. Jej mini morris, którego kochała tak bardzo, że dała mu nawet imię, Jason, został właściwie staranowany przez ciężarówkę na autostradzie A13, niedaleko Instytutu Henry'ego Forda.

Jednak Mandy nie mogło nic się stać w wypadku samochodowym, przecież to ten frajer, kajający się teraz przed nim, używał jej samochodu.

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Wystukał numer i popatrzył na Kevina, który zdołał podnieść się z podłogi i, płacząc, znów siedział na fotelu.

– Cholerna sprawa, co? Patrick Kelly, postrach Londynu, telefonuje na policję!

Kate była w domu. Razem z Lizzy zawieszała ozdoby na choince. Kiedy córka założyła na czubek papierową postać starej wróżki, Kate przypomniała sobie, że Lizzy wykonała ją, gdy miała pięć lat. Od tego czasu coraz to nowe kartonowe ozdoby zdobiły co roku świąteczne drzewko.

– To jest śliczne.

Lizzy cofnęła się o krok, żeby obejrzeć swoje dzieło.

– Rzeczywiście, wygląda całkiem niezłe. Nie mogę się już doczekać tegorocznych świąt, mamusiu.

– Ja także, kochanie.

Ledwie wypowiedziała te słowa, obie usłyszały głośne pukanie do frontowych drzwi. Lizzy wybiegła z pokoju i po kilku sekundach cały dom wypełnił jej radosny pisk. Kate na moment zamknęła oczy. Bohaterski wędrowiec wrócił, jak zwykle. Jej matka wyjrzała z kuchni i popatrzyła na córkę z wysoko uniesionymi brwiami.

– Czy to on?

– Tak.

– W każdym razie przynajmniej Lizzy jest z tego powodu szczęśliwa.

Kate przywołała na twarz uśmiech. Zdążyła akurat na moment, w którym jej córka wciągnęła ojca do pokoju. Po chwili jej uśmiech stał się szerszy i całkiem szczerzy. Już dawno minęły dni, kiedy wizyty Danny'ego wprawiały ją w zły nastrój.

– Cześć, Dan, dawno cię nie widziałam.

Jak zwykle wyglądał wspaniale. Był wysoki, mocno opalony i miał jasne włosy. Nie po raz pierwszy Kate zadała sobie pytanie, dlaczego, starzejąc się, mężczyźni wyglądają coraz lepiej. Przyciskał do siebie córkę z autentyczną radością.

– Cześć, Kate, staruszeko.

– Nie staruszeko, Dan, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Oboje popatrzyli na siebie ponad głową córki.

– Och, mammo, tato, trochę wyluzujcie. Prezenty dla wszystkich.

Kate ujrzała w oczach Danny'ego pytanie i w duchu westchnęła. Miał

ze sobą walizkę, co znaczyło, że chce u niej zostać „przez jakiś czas”. W ciągu ostatnich lat zrobił jej to już kilkakrotnie. Zwykle znaczyło to, że aktualna towarzyszka jego życia akurat przyłapała go w łóżku ze swoją najlepszą koleżanką albo, po prostu, przyłapała go na gorącym uczynku z jakąkolwiek inną kobietą.

Do pokoju weszła Evelyn i Dan natychmiast objął ją, uniósł w powietrze i pocałował.

– Evelyn, nic się nie zmieniasz! - Przynajmniej to było prawdą. W wieku siedemdziesięciu lat wyglądała tak samo, jak wtedy, gdy obchodziła sześćdziesiątkę.

Evelyn odczekała, aż Dan odstawi ją z powrotem na podłogę, po czym odezwała się:

– Ty też się nie zmieniasz, Dan. - Oboje przez chwilę przyglądali się sobie. Ich obopólna niechęć była niemal uchwytna. - Widzę, że tym razem zabrałeś ze sobą walizkę?

Było to raczej pytanie niż stwierdzenie. Dan unikał wzroku teściowej. Skierował spojrzenie na córkę.

– Pomyślałem, że będzie miło, jeśli spędzę trochę czasu z moją dziewczynką. No, a teraz może poczęstujecie strudzonego wędrowca filiżanką gorącej herbaty?

Lizzy natychmiast ruszyła do kuchni. Jej babcia powoli podążyła za nią. Dan popatrzył na Kate. Jego głębokie niebieskie oczy iskrzyły.

– Wyglądasz wspaniale.

– Ty także. Co u ciebie słyszeć?

Kate podeszła do choinki i zaczęła się bawić ozdobami, delikatnie kołysząc nimi na gałązkach.

– U mnie chyba w porządku, Kate. Posłuchaj, czy mógłbym u was pozostać? Jedynie na święta. - W jego głosie brzmiała tęsknota za prawdziwym domem i Kate, odwrócona tyłem do niego, pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Oczywiście, że mógłbyś, Dan. Pod warunkiem że zechcesz spać na kanapie.

– Jestem już do tego przyzwyczajony, Kate.

– Nie wątpię.

Zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza. Kate powoli się jednak odprężyła. Pogodziła się z najazdami Danny’ego dla dobra Lizzy, wiedząc, że dziewczyna uwielbia ojca. Dan był leniem i bawidamkiem, każda chwila z nim była pełna śmiechu i zabawy, dlatego córka tak przepadała za jego towarzystwem.

Kate nigdy nie próbowała uświadomić jej, kim właściwie jest jej ojciec. Za to pozwalała mu ingerować w ich życie, kiedy tylko mu się podobało, i jedynie zaciskała zęby, czekając, aż znów zniknie na długo.

W gruncie rzeczy współczuła Lizzy; przecież w swoim czasie Danny wywierał na niej takie same wrażenie, jak teraz na córce. Ale wciąż czekała, aż nadejdzie dzień, w którym Lizzy w pełni pozna wszystkie wady ojca. Wtedy będzie mogła odetchnąć z ulgą i spróbuje ułożyć sobie życie od nowa.

Lizzy wróciła do pokoju z kubkiem parującej herbaty. Dan rozsiadł się na sofie i Kate mogła jedynie obserwować, jak Lizzy podaje mu kubek, bardzo uważając, aby ani jedna kropla płynu nie spadła na jego czyste, nienagannie odprasowane ubranie. Kate gotowa była założyć się, z kimkolwiek i o cokolwiek, że Dan jest obecnie bez pieniędzy. W przeciwnym wypadku, jak zwykle, przyjechałby z wielkimi i drogimi prezentami. Tym razem najwyraźniej poszukiwał jedynie miejsca, w którym mógłby za darmo odpocząć i zebrać siły. Kate zdawała sobie sprawę, że były mąż chce ją wykorzystać jak ostatnią frajerkę, i to ją denerwowało.

– Jak się ma Anthea? - zapytała.

– Anthea? Och, doskonale, doskonale. Wyjechała z chłopcami na święta, pomyślałem więc, że skorzystam z okazji i spędzę trochę czasu z moją laleczką. - Mówiąc to, zmierzwił włosy Lizzy, a ona radośnie się do niego uśmiechnęła.

Kate poczuła, że robi jej się niedobrze, ale dzielnie zwalczyła w sobie odruch wymiotny.

– Kiedy spodziewa się ciebie z powrotem? - zapytała słodko, lecz i Dan, i Evelyn, która weszła właśnie do pokoju, doskonale zdali sobie sprawę z ciężaru pytania.

Lizzy uratowała jednak Danny'ego od konieczności udzielenia odpowiedzi.

– Och, mam! Tatuś dopiero do nas przyjechał, a już chciałabyś wiedzieć, kiedy sobie pojedzie?

Zadzwonił telefon i Kate niemal z ulgą poszła do holu podnieść słuchawkę.

– Halo, przy telefonie detektyw inspektor Burrows.

– Kate? Tu Ratchette. Przepraszam, ale mam pewien kłopot. Czy mogłabyś mi pomóc?

– O co chodzi, proszę pana?

– Wygląda na to, że zaginęła córka jednego z najbardziej wpływowych mieszkańców naszego miasta.

– Czyj a córka?

– Patricka Kelly'ego. - Głos Ratchette'a zabrzmiał głucho. - Dzwonił do mnie sam szef. Dziewczyna zniknęła dziś wieczorem, około ósmej. Jej chłopak miał ją zabrać z Portaby Road, ale kiedy pojawił się na miejscu umówionego spotkania, nie było jej. Widzisz, to nie jest dziewczyna,

która by sobie gdzieś poszła, nikomu o niczym nie mówiąc. Szef postanowił zatem, że natychmiast się sprawą zajmiemy, i to intensywnie.

Kate wyczuwała w głosie Ratchette'a niemal wściekłość.

– Dobrze, odwiedzę Kelly'ego, niech się pan nie martwi. Zapewne to nic poważnego. Przy okazji, ile dziewczyna ma lat?

– Dwadzieścia dwa. Przypuszczam, że pokłóciła się z chłopakiem i teraz zaszła się u jakiejś przyjaciółki, a chłopak pewnie boi się powiedzieć prawdę jej ojcu.

Kate roześmiała się lekko.

– Chyba nie powinniśmy mu się dziwić, co? Patrick Kelly raczej nie jest łagodnym i wyrozumiałym facetem.

– Nie, Kate, nie jest. Pozostaje za to w wielkiej przyjaźni z szefem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Niech się pan nie martwi. Zaraz się tym zajmę.

– Dziękuję, Kate. Pozdrów ode mnie tę dziewczynę, jak ją znajdziesz.

– Oczywiście. Dam panu znać, jak tylko będę coś wiedziała.

Ratchette rozłączył się, pozostawiając ją zaskoczoną ze słuchawką w ręce.

Kate weszła do pokoju i uśmiechnęła się najlepszym ze swoich uśmiechów.

– Niestety, muszę wyjść. Zaginęła pewna dziewczyna.

– Och, nie... Kto? - Na twarzy Lizzy pojawiło się napięcie.

– Nikt, kogo byś znała. Posłuchajcie, mam nadzieję, że szybko wrócę.

– Mama zajmuje się teraz morderstwem połączonym z gwałtem, tatusiu. Kieruje zespołem, który to rozpracowuje.

– Naprawdę, Kate?

– Tak. Nacieszcie się sobą oboje, zanim wrócę.

Wyszła z pokoju i szybko narzuciła na siebie płaszcz. Evelyn z Lizzy odprowadziły ją aż do drzwi wyjściowych.

– Mam nadzieję, że ta dziewczyna się odnajdzie, mamusiu.

– Ja też mam taką nadzieję, kochanie. Nic się nie martw.

– Zadzwoń, jak już będziesz wracała, to przygotuję ci na powitanie coś ciepłego. Załóż szal, na dworze jest bardzo zimno - poradziła Evelyn.

– Mamo, mam już czterdzieści lat - odparła Kate wesoło.

– Nie wyglądasz na tyle, mamusiu. Najwyżej na trzydzieści osiem.

– Stokrotne dziękuję, Lizzy. Teraz czuję się o wiele lepiej.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, że tato u nas zostanie?

Kate popatrzyła na uroczą twarzączkę córki i ogarnęło ją poczucie winy.

– Nie, oczywiście, że nie mam.

Lizzy pocałowała ją i wróciła do salonu. Kate i jej matka spoglądały po sobie przez kilka sekund.

– Ona przynajmniej dorasta, Kate.

– Wszystko na to wskazuje. Do zobaczenia, mamó. - Delikatnie pocałowała drobną staruszkę.

Evelyn przytrzymała ją jeszcze za rękę.

– Uważaj na siebie. Maniak jest przecież na wolności. Jeżeli zrobi ci krzywdę, będzie miał ze mną do czynienia.

– Do widzenia, mamó.

Wyciągnąwszy z torebki kluczyki do samochodu, Kate wyszła na mroźne nocne powietrze. Kiedy wsiadła do auta, poczuła dziwną ulgę. Ruszając, myślała już tylko o śledztwie. Właściwie nie posunęło się dotąd ani o krok. Należało przypuszczać, że zbrodnia nie została zaplanowana, również ofiara gwałciela została wybrana zupełnie przypadkowo. Geraldine O’Leary miała po prostu pecha. Takie sprawy były najgorsze do rozwikłania. W niemal osiemdziesięciu pięciu procentach popełnionych zbrodni zabójca znał swoją ofiarę, w przypadkach gwałtów ten wskaźnik był jeszcze wyższy. Tym razem jednak, Kate była o tym głęboko przekonana, ktokolwiek zamordował Geraldine O’Leary, wcześniej jej nie znał. Cóż z tego, skoro to przekonanie nie zbliżało jej nawet o krok do rozwikłania zagadki. Wręcz przeciwnie, czyniło tę zagadkę trudniejszą, znacznie trudniejszą. Przepytywanie mieszkańców okolicznych domów właściwie nic nie dało, chociaż policja podchwyciła kilka śladów. Ktoś widział ciemny samochód na Vauxhall Drive o szóstej pięćdziesiąt pięć. Ten ktoś nie rozpoznał marki, lecz twierdził stanowczo, że była to czterodrzwiowa limuzyna. Przez cały czas szukano właściwie przysłowiowej igły w stogu siana.

Na skrzyżowaniu Kate skręciła w prawo, w ulicę, która prowadziła na przedmieścia i do domu Patricka Kelly’ego. Nie musiała pytać Ratchette’a o jego adres. W Grantley wszyscy wiedzieli, gdzie mieszka Patrick Kelly.

Szczególnie policjanci.

Kate poczuła lekkie rozdrażnienie, mimo że telefon Ratchette’a oderwał ją we właściwej chwili od domu i od Dana. Jeśli Frederick Flowers tak bardzo przejmował się kłopotami Patricka Kelly’ego, dlaczego, do diabła, sam nie zabrał się za szukanie jego córki? Zwykle policja zajmowała się takimi sprawami dopiero po dwudziestu czterech godzinach od zaginięcia osoby, szczególnie wtedy, gdy chodziło o dorosłą kobietę. Inaczej było z dziećmi, ale Mandy miała przecież dwadzieścia dwa lata, na miłość boską.

Zatrzymała samochód na pochyłym, wysypanym żwirem podjeździe przed wielkim georgiańskim domem, wybudowanym w trzyakrowym

parku. Oświetlony był jak elektrownia. Bez wątpienia miesięczny rachunek Kelly'ego za prąd był większy niż cały zastaw hipoteczny Kate.

Dom wprost zalany był światłem, ozdobne lampy zawieszono były nawet na drzewach. Nikt, absolutnie nikt, nie miał szansy niepostrzeżenie dostać się pod drzwi domu Patricka Kelly'ego. Pokonawszy niechęć, Kate podeszła do nich i nacisnęła na przycisk dzwonka.

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zauważyła, było to, że dom jest urządzony luksusowo i z gustem. Raczej się tego nie spodziewała. Bez wątpienia Kelly zapłacił mnóstwo pieniędzy zawodowym dekoratorom wewnątrz. Poszła za nim do salonu i usiadła na miękkiej kanapie. Pomieszczenie było piękne, ze wspianiałymi kasetonami na suficie. Wzdłuż ścian stały regały z książkami, najróżniejszymi, od tomów pięknie oprawionych w skórę, aż po tanie i podniszczone kieszonkowe wydania. Dominował tu kolor srebrny i szary, kolor wyblakłego rózu miał jedynie dywan i zasłony na oknach. Kate była pewna, że to wnętrze zaprojektowała kobieta. Kobiece wyczucie kolorów i przestrzeni było aż nadto zauważalne. Mężczyźni mieli zazwyczaj skłonności do układania i ustawiania różnych przedmiotów tam, gdzie będą zawsze pod ręką. Kobiety z kolei myślały najpierw o samym pomieszczeniu, o tym, aby jak najlepiej wyglądało. Na drobiazgi przychodził czas potem, nie śpieszyły się, szukając dla nich właściwych miejsc.

Mimo swoich nadzwyczajnych wymiarów salon był przytulnym pomieszczeniem, bez wątpienia często wykorzystywanym. Przed kominkiem spał lśniący czarny kot. Z kolei oczy Kate spoczęły na twarzy Kevina Cosgrove'a, bladego i jakby bezradnego. Trafnie odgadła, że to on jest właśnie chłopakiem Mandy i że ostatnich godzin, jakie spędził z Kellym, nie będzie wspominał najmiej.

Z wdzięcznością przyjęła od Kelly'ego szklaneczkę whisky. Tego było jej właśnie potrzeba. A nie wypiłaby z pewnością ani kropli z Danem, dawno nie widzianym ojcem swojej córki. Przez chwilę ogrzewała szklanke w dłoni i wreszcie popatrzyła wprost na

Kelly'ego.

– Dlaczego uważa pan, że córka zaginęła? W końcu może być u przyjaciółki, gdziekolwiek.

Patrick popatrzył na Kate, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

– Przepraszam, nie dosłyszałem, jak się pani nazywa?

– Detektyw inspektor Burrows.

Kelly wysunął język spomiędzy warg i przez długą chwilę wpatrywał się w nią, jakby chciał sobie na zawsze utrwalić w pamięci jej wizerunek. Zachowanie Kelly'ego i ton jego głosu nie pozostały bez wpływu na Kate; czuła, że rośnie w niej poziom adrenaliny.

Najwyraźniej próbował dać jej do zrozumienia, że przyjechała tutaj jako członek pozostającej pod rozkazami Flowersa jednostki szybkiego reagowania i powinna stosownie do tej roli się zachowywać. Z trudem hamowała w sobie ochotę, by podobne myśli wybić mu z głowy. Zmusiła go, by oderwał wzrok od jej oczu, rozpoczynając poszukiwania notatnika i papierosów schowanych gdzieś na dnie w torebce. Nie miała już wątpliwości, że czeka ją długi wieczór.

Kiedy włożyła papierosa do ust, Kevin Cosgrove drżącą ręką podał jej ogień. Kate położyła swoją dłoń na jego dłoni, dzięki czemu zapalniczka przestała się trząść. Dopiero wówczas zdołała zapalić papierosa. W oczach Kevina czaiło się jakby nieme ostrzeżenie i prawie niezauważalnie potrząsał głową.

Kelly obserwował tę scenę ze swojego krzesła. Próbował ocenić policjantkę. Emanowała pewnością siebie, i to mu się podobało. Któregoś dnia pewnie zapragnie mieć u swojego boku kogoś w jej stylu. Kiedy się odezwała, znów popatrzył jej w oczy.

– Dlaczego aż tak bardzo martwi się pan o córkę, panie Kelly?

Kate nie miała już wątpliwości, że jest skrajnie zaniepokojony. Kelly nie sprawiał wrażenia nadopiekuńczego ojca i jego obawa o los dziecka miała z pewnością mocne podstawy.

– Ten oto szczeniak miał ją o ósmej zabrać do samochodu. - Ruchem głowy wskazał na Kevina, który intensywnie wpatrywał się w dywan. - Jeździł jej maszyną jej autem. Kiedy po nią podjechał, nie było jej w umówionym miejscu. Obdzwońłem wszystkie jej koleżanki, dzwoniłem do ciotki, pieprzonych menedżerów z jej pracy, obdzwońłem prawie całe Grantley i nic. Znikła jak kamfora. Nie mamy do czynienia z babskim wybrykiem, pani Burrows. Moje dziecko, niestety, zaginęło. Chcę wiedzieć, co w tej sytuacji zamierza pani zrobić?

Kate zaciągnęła się papierosem i tym razem nie uciekła wzrokiem przed spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu Kelly'ego.

– Czy w przeszłości Mandy kiedykolwiek zniknęła w ten sposób?

Kelly potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Nigdy. Ja i Mandy jesteśmy ze sobą, o, tak. - Skrzyżował dwa palce jednej ręki. Po chwili oblizwał usta i wypił łyk brandy.

Obserwując Kelly'ego, Kate odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Niewątpliwie był przystojny. W innych okolicznościach pewnie by się nim nawet zainteresowała. Dzisiaj po raz pierwszy widziała go osobiście. Oczywiście, wcześniej, jak wszyscy inni, wielokrotnie oglądała jego fotografie. Na żywo, musiała to przyznać, wywierał spore wrażenie. Emanował energią i witalnością. Obserwując go teraz, widząc, jak bardzo jest niespokojny o córkę, Kate nawet mu współczuła.

– Kevin, czy pomiędzy tobą a Mandy doszło może do sprzeczki? -

Popatrzyła na chłopaka. Jego twarz była szara jak popiół, wciąż wpatrywał się w dywan i lekko potrząsał głową.

Gwałtownym ruchem Kelly zerwał się z krzesła i w ułamku sekundy znalazł się przy Kevinie. Szarpnął nieszczęsnego chłopaka za kołnierz, podrywając go na nogi. Następnie popchnął go w kierunku Kate i wykrzyczał mu do ucha:

– Powiedz jej wszystko, co wiesz, chłopcze! I ostrzegam cię, nie próbuj nic kręcić. Jeśli Mandy się tu zjawi i jej opowieść będzie choć trochę różniła się od twojej, zapewniam cię, skręcę ci kark.

Kate zerwała się na nogi i rozdzieliła obu mężczyzn.

– Panie Kelly, bardzo pana proszę. Takie zachowanie nie przyniesie nikomu niczego dobrego. Niech się pan uspokoi, dobrze? Nie widzi pan, że chłopak jest śmiertelnie przerażony? Jak pan może się spodziewać, że będzie mówił prawdę, skoro przeraźliwie się pana boi?

Jej słowa na szczęście dotarły do mózgu Patricka Kelly'ego. Już dawno minęła dwudziesta trzecia, a Mandy wciąż nie było w domu. Czuł wzbierającą panikę, tak jak w dniu, w którym zginęła Renée. Kiedy nie wróciła do wpół do szóstej, był już pewien, że nie powróci w ogóle. Taka sama pewność ogarniała go i teraz. Z trudem stłumił w sobie paniczny strach i wrócił na krzesło. Jego przerażony wzrok wywoływał coraz większe współczucie Kate. Przecież gdyby w tej chwili chodziło o jej Lizzy... W dodatku tak niedawno ktoś zamordował Geraldine O'Leary... Zadrżała.

Kevin Cosgrove cicho płakał. Kate poprowadziła go z powrotem do krzesła, a następnie bez pytania Kelly'ego o zgodę naląła wszystkim trojgu po kolejnym drinku. Patrick

przyjął od niej szklaneczkę bez słowa i od razu wszystko wypił. Jego przystojna twarz była wymizerowana i udręczona.

– Nie znacie mojej Mandy. Nie zostałyby nigdzie, nie informując mnie o tym wcześniej. Nie ma mowy. - Ostatnie słowa wypowiedział z całą pewnością, jaką może mieć ojciec znający swoje dziecko.

Kate popatrzyła na zegar wiszący nad kominkiem. Dochodziła dwudziesta trzecia trzydzieści.

Patrick podchwycił jej spojrzenie i znów eksplodował.

– Co, pewnie paniusia chciałaby już iść do domu? A może panią nudzę, albo co?

Na chwilę zamilkł, ale gdy otworzył usta, żeby się odezwać raz jeszcze, Kate uniosła do góry rękę, nakazując mu ciszę.

– Nie, panie Kelly, wcale mnie pan nie nudzi. Jednak strasznie mnie pan wkurza. Dopóki się pan nie uspokoi i nie zacznie zachowywać racjonalnie, do niczego nie dojdziemy. Teraz, jeśli mi pan pozwoli, chciałabym zadać panu kilka prostych pytań. Jeśli skupi się pan na tyle,

żeby treściwie na nie odpowiadać, być może osiągniemy jakiś skutek.

Oczy Kelly'ego zwały się w ledwie widoczne szparki. Ta bezczelna baba mówiła do niego tak, jakby był po prostu niegrzecznym dzieciakiem. Poczł złość, ale także coś jeszcze. Podziw. Jego osoba wcale jej nie onieśmielała, i to właśnie mu się spodobało. Jeśli Mandy zaginęła, właśnie ta kobieta ją znajdzie. Zimny strach, który nim zawładnął w ciągu ostatnich dwóch godzin, powoli go opuszczał.

– Przepraszam, pani Burrows - powiedział, kładąc nacisk na słowo „pani”.

Kate popatrzyła na niego i nieznacznie się uśmiechnęła.

– Już w porządku, panie Kelly. Ja też mam córkę. Potrafię sobie wyobrazić, co pan teraz przeżywa.

– Naprawdę? - Oboje wiedzieli, że Kate nie może odpowiedzieć na to pytanie.

– Kevin, najpierw ty. Powiedz mi, gdzie dokładnie umówiłeś się z Mandy?

Podczas gdy Kate wypytywała chłopaka, Kelly uważnie ją obserwował. Mimo wstrząsu, pod którego wpływem pozostawał, potrafił dostrzec, że jest bardzo atrakcyjną kobietą. Była też odważna, i to podobało mu się w niej najbardziej. Równie odważna była matka Mandy. Dopóki nikt jej nie wkurzył, była cicha niczym mysz kościelna. Ale nie daj Boże nadepnąć jej na odcisk. Tak, ta Burrows była bardzo interesująca. Sprawiała, że jego myśli na kilka minut opuściły zaginioną córkę, i za to był jej wdzięczny.

Kate czuła, że zwróciła swoim zachowaniem jego uwagę, jednak postanowiła nic sobie z tego nie robić. Chciała jedynie wykonać zadanie i wrócić do domu. Dom Kelly'ego był zbyt wielki i zbyt bogaty, żeby mogła go polubić.

– Posłuchaj tylko. - Głos Caroline był wesoły i pobrzmiwał w nim śmiech. - Nie zamierzam robić tego z tobą w starej szopie.

Barry roześmiał się głośno.

– Dziewczyno, jedna rzecz na tym świecie jest pewna. Ani moja żona, ani twój mąż nie udostępnią nam dwojgu naszych łóżek, w związku z czym mamy do wyboru tylne siedzenie samochodu albo szopę. W bagażniku mam schowany śpiwór. Wejdziemy do niego i będziemy się pieprzyć jak para królików.

Caroline wybuchnęła śmiechem.

– Która godzina? - zapytała.

Barry wysilił wzrok, żeby dojrzeć wskazówki na tarczy zegarka.

– Trzydzieści minut po północy.

– Stary spodziewa się mnie dopiero po drugiej. Myśli, że dorabiam na nocnej zmianie.

– A więc na co się decydujesz? Samochód czy szopa?

– Już wcześniej to zaplanowałeś, co?

Barry pokiwał głową.

– Tak. Mam śpiwór, butelkę wina i dwie plastikowe szklanki. Wszystko dla ciebie, moja droga.

– Hmm... Niech ci będzie. Ale na pewno nikt tutaj nie przyjdzie o tej porze?

– Ręczę za to. No to dalej, do szopy.

Wyskoczyli z samochodu. Caroline zabrała wino i szklanki, a Barry wyciągnął z bagażnika szeroki śpiwór. Po chwili Caroline otworzyła drzwi do szopy. Ledwie przekroczyła próg, potknęła się o coś i głośno krzyknęła z przerażenia.

– Ostrożnie, dziewczyno. Jeśli nie będziesz uważać, stłuczysz butelkę.

Rzuciwszy śpiwór na ziemię, Barry zapalił zapalniczkę.

Tym razem Caroline wrzasnęła z całych sił, a Barry nieomal poszedł za jej przykładem.

Na ziemi leżała w kałuży krwi młoda dziewczyna. Była niemal zupełnie naga.

Zapalniczka zaczęła parzyć Barry'ego i zdjął kciuk z przycisku uwalniającego płomień. W ciemności Caroline zaczęła pisać histerycznie i Barry szybko wyciągnął ją z szopy. Na zewnątrz przycisnął ją mocno do siebie.

– Uspokój się... Uspokój się.

Usłyszał, jak szczękają jej zęby, i zrozumiał, że dziewczyna jest w szoku.

Zabrał ją z powrotem do samochodu, włączył silnik i nastawił ogrzewanie. Następnie, wyjąwszy ze skrytki latarkę, wrócił do szopy. W głowie czuł kompletną pustkę. Ostrożnie wszedł do środka i oświetlił latarką ciało dziewczyny. Jej głowa była niemal przyklejona do kałuży krwi, która zasychała we włosach i na ziemi. Barry ukląkł obok dziewczyny i przyłożył palce do tętnicy na jej szyi.

Była żywa, z całą pewnością!

Jeszcze raz dotknął jej drżącymi palcami. Teraz nie miał już wątpliwości, że wyczuł słabe tętno. Skoczył na równe nogi i, rozłożywszy śpiwór, okrył nim dziewczynę. Koniecznie musi jej być ciepło. Ciepło, koniecznie. I nie wolno jej ruszać. Oby to jej słabiutkie serce jeszcze trochę wytrzymało. Boże, pozwól jej żyć! Och, pozwól jej żyć.

Wybiegł z szopy, natychmiast wskoczył do samochodu i jak oszalały ruszył w kierunku najbliższej budki telefonicznej.

Po piętnastu minutach Mandy Kelly była już w drodze do szpitala miejskiego w Grantley, a Caroline i Barry opowiadali policji swoją krępującą historię. Policjanci obiecali, że żadne z ich współmałżonków

nie zostanie poinformowane o okolicznościach towarzyszących znalezieniu przez nich dziewczyny.

W kieszeni płaszcza policjanci znaleźli portmonetkę, a w niej karty kredytowe Mandy Kelly.

To wystarczyło, by dziewczynę zidentyfikować.

Kate słuchała, jak Kelly opowiada o swojej żonie i córce. Kevin poszedł na górę i się położył; gdy chłopak zniknął, Kelly jakby się trochę rozluźnił. Kate zdawała sobie sprawę, że jest skłonny winić chłopca o wszelkie zło, które mogło przydarzyć się dzisiaj Mandy. Ona jednak miała nadzieję, że dziewczyna w każdej chwili zjawi się z powrotem w domu. Prawdopodobnie pokłóciła się z Kevinem i pomaszerowała w nieznanym kierunku. Może poszło o samochód? Kate nie była w stanie zrozumieć, jak można sprezentować córce auto warte pięćdziesiąt tysięcy funtów na dwudzieste pierwsze urodziny. Pomyślała o złotych kolczykach, które kupiła Lizzy na Boże Narodzenie, o tym jak oszczędzała pieniądze na ich kupno, i potrząsnęła głową. Pomyślała też, że Kelly'ego, gdy nie udawał kogoś innego, można było nawet uznać za interesującego i sympatycznego mężczyznę. O żonie i dziecku mówił z wprost niewiarygodnym uczuciem. Opowiadał właśnie Kate o pierwszych miesiącach swojego ojcostwa.

- Pewnego dnia po raz pierwszy zostałem z moją córeczką zupełnie sam. - Uśmiechnął się. - Chciała jeść. Płakała z głodu jak szalona. Pamięta pani te wielkie szklane butelki z lat sześćdziesiątych? Wyciągnąłem jedną z gorącej wody, by wyczuć dłonią jej temperaturę, i upuściłem ją na podłogę. Szkło rozprysło się po całej kuchni. No i co dalej? Mieliśmy tylko tę jedną butelkę i już zacząłem panikować, ale nagle na stoliku zauważyłem butelkę ze smoczką. Posadziłem Mandy w wózku, wtedy jeszcze sypiała w wózku, ponieważ, widzi pani, nie stać nas było na łóżeczko dla niej. Opłukałem tę butelkę, wysterylizowałem ją w gotującej wodzie, napełniłem mlekiem, nałożyłem smoczek i nakarmiłem moje maleństwo.

Kate roześmiała się razem z nim, wyobrażając sobie tę scenę.

- Hmm... A potem Renée wróciła z zakupami, jednym spojrzeniem ogarnęła mieszkanie i się na mnie wściekła.

Kate raczej jego wyobrażała sobie w roli rozwścieczonego współmałżonka, ale nic nie powiedziała. Niewątpliwie był pomysłowy i zaradny. Właśnie zbierała się do wyjścia, kiedy Kelly namówił ją na jeszcze jednego drinka. Rozumiała, że boi się teraz być sam, że koniecznie potrzebuje towarzystwa drugiej ludzkiej istoty. Dała się namówić tylko dlatego, że mu współczuła, ale ani trochę tego nie żałowała. Był miłym rozmówcą, umiał barwnie i dowcipnie opowiadać i,

mimo że Kate doskonale wiedziała, do jakich rzeczy ten mężczyzna jest zdolny, musiała sama przed sobą przyznać, że wzbudza jej sympatię. Wzbudzał też zaufanie, chociaż wiedziała, że to człowiek twardy, stanowczy, okrutny i bezlitosny. Miał jednak piętę achillesową, a tą piętą była Mandy.

Po niedługim czasie Kate odnosiła już wrażenie, że doskonale zna dziewczynę. I o ile wszystko, co mówił o niej ojciec, było prawdą, Mandy z pewnością nie była osobą, która niespodziewanie poszłaby sobie dokądś na dłużej, nikogo o tym nie informując. A Kelly był takim ojcem, który zawsze będzie chciał wiedzieć, gdzie akurat przebywa córka. Nie podlegało to żadnym wyjątkom.

– Przepraszam, że na początku nie byłem zbyt grzeczny, ale wprost szaleję z niepokoju - powiedział cichym głosem. Kate doskonale wiedziała, że takie przeprosiny sporo go kosztują.

– Rozumiem pana, panie Kelly.

Tak jakby wcześniej się umówili, oboje jednocześnie popatrzyli na zegar. Północ minęła przed pół godziną.

– Do diabła, gdzie ona może być? Kiedy zjawi się w domu, przysięgam, spiorę ją na kwaśne jabłko. Jeszcze nigdy nie podniosłem na nią ręki, ale dzisiaj, na Boga, doigrała się, oberwie.

Kate położyła swoją dłoń na wierzchu jego dłoni.

– Niech się pan uspokoi. Biciem niczego pan nie załatwi.

– Nie, ale przynajmniej poczuję się trochę lepiej.

Zadzwoił telefon i Kelly natychmiast ruszył w kierunku aparatu.

– Mandy?

Kate zobaczyła, jak w ciągu sekundy z jego twarzy zniknęła nadzieja i pojawił się strach. Wyciągnął słuchawkę w jej kierunku i powiedział:

– To do pani.

Odebrała od niego słuchawkę.

– Burrows przy telefonie.

Teraz z kolei Patrick Kelly ją obserwował. Jej twarz lekko zbladła i w tym samym momencie zrozumiał, że jego jedyemu dziecku przytrafiło się coś złego. Tak mocno zacisnął dłonie w pięści, że jego ostre paznokcie wbiły się w skórę i po rękach popłynęły strużki krwi.

Kate odłożyła słuchawkę i popatrzyła na niego nieswoim wzrokiem.

– Znaleźliśmy pana córkę, panie Kelly. Wygląda na to, że ktoś na nią napadł.

Kelly wbił wzrok w stojącą przed nim kobietę. Niedowierzenie i ból walczyły o pierwszeństwo na jego twarzy.

– Ktoś na nią napadł? Na moją Mandy?

Jego głos zabrzmiał jak głos małego chłopca, oszukanego przez kolegów. Były w nim ból i niedowierzenie.

Kate pokiwała głową.

– Przebywa w szpitalu miejskim w Grantley i właśnie jest operowana. Jest w ciężkim stanie.

Patrick Kelly poczuł na policzkach łzy, jednak nie dbał o to. Nagle odniósł wrażenie, że świat właśnie się skończył. Z trudem przełknął ślinę. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był ochrypły, ledwie zrozumiały.

– Czy ona umrze?

Kate delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Najlepiej będzie, jeśli pojedziemy do szpitala, nie sądzi pan?

Kiedy w całkowitym milczeniu jechali samochodem, Kate przyszło do głowy, że wszystkie jej problemy są niczym w porównaniu z ciężarem, który spadł właśnie na barki tego człowieka.

George wciąż siedział w salonie. Minęła godzina pierwsza w nocy. Słyszał regularny rytm perkusji dobiegający z któregoś domu w sąsiedztwie. Właśnie się tam odbywało jakieś przyjęcie. Wziął do ręki szklankę i wypił łyk wody. Była bardzo zimna i George skrzywił się.

Elaine poszła dziś do łóżka znacznie wcześniej niż zwykle. George powiedział jej, że czuje się strasznie zmęczony. Wiedziała, że akurat w takim stanie miewa straszne kłopoty z zaśnięciem, dlatego nie interesując się nim już więcej, zostawiła go samego na parterze.

A George uśmiechał się do swoich myśli. Rozparłszy się wygodnie w fotelu, po raz kolejny przeżywał wydarzenia dzisiejszego wieczoru.

Była bardzo głupiutką dziewczyną. Ale za to jej pokazał, gdzie raki zimują. Tak, naprawdę zrobił dobrą robotę. Mała dziwka. Łaziła sobie ot tak, w środku nocy, po ciemnych ulicach. Musiał więc na to zareagować, bez dwóch zdań. Teraz przynajmniej wszystkie baby z Grantley pozamykają się w domach i z szacunkiem będą o nim myśleć. Jutro rano on, George, będzie na ustach wszystkich mieszkańców miasta. Doskonale wie, co ludzie będą o nim mówili. Elaine, ten wiecznie głodny hipopotam, przyniesie do domu i opowie mu wszystkie plotki z miasta. Znów uśmiechnął się do swoich myśli. Spodobało mu się porównanie Elaine z hipopotamem.

W wyobraźni odtwarzał sobie widok dziewczyny w chwili, gdy ją zostawiał. Rozrzucone nogi. Wyszczrzył zęby. Zdołał poznać wszystkie jej sekretne miejsca. Ale ona widziała jego twarz. Zdawał sobie teraz sprawę, że popełnił błąd. Należało najpierw nałożyć maskę.

Przyszło mu do głowy pytanie, czy dziewczynę już ktoś odnalazł. Mandy... Bardzo mu się to imię podobało.

Impreza w sąsiedztwie stawała się coraz głośniejsza. George z

przyjemnością wsłuchał się w muzykę. Lubił, jak ludzie się bawili.

Kiedy dotarły do niego dźwięki pierwszych taktów *Blue Velvet*, znów się uśmiechnął. Oczyma wyobraźni widział te wszystkie młode dziewczyny tańczące z mężczyznami. Wyobraził sobie ich obcisłe suknie, jędrne piersi z sutkami wyraźnie prześwitującymi przez biały materiał.

Wszystkie kobiety są takie same. Każda jest podobna do drugiej.

Wkrótce Boże Narodzenie. George cieszył się już teraz, ponieważ lubił święta. W święta będzie mógł odpocząć, bo kilka ostatnich miesięcy spędził bardzo pracowicie.

Kiedy dojechali do szpitala, Kelly poprosił Kate, żeby mu powiedziała wszystko, co wie. Wyjaśniła mu więc, że Mandy została znaleziona z okropnymi ranami głowy i właśnie z powodu tych ran jest operowana. Nie zdradziła mu szczegółów. Z pewnością nie był to właściwy czas.

Razem weszli do izby przyjęć i Kate pokrótce wyjaśniła rejestratorce, kim oboje są. Jak większość szpitalnych rejestratorek, także i ta sprawiała wrażenie, jakby pochodziła nie z tego świata. Upuściła okulary na czubek malutkiego nosa i dopiero ponad nimi zmierzyła Kelly'ego i Kate czujnym spojrzeniem. Rzadkie, słabe włosy zaczesane miała do góry głowy i spięte w kok, a jej oczy były tak wąskie, że w pierwszej chwili sprawiała wrażenie, iż jest Chinką. Kate wyobraziła ją sobie w szpitalnym kaftanie bezpieczeństwa i z trudem stłumiła śmiech.

– Proszę powtórzyć nazwisko pacjenta.

– Mandy Kelly. A ja jestem detektyw inspe...

Kobieta uniosła do góry puciołowaty palec.

– Poproszę o jedną odpowiedź na raz.

Patrick zaczynał się jej przyglądać z coraz bardziej ponurym wyrazem twarzy. Kobieta z mozołem wpisywała dane Mandy do komputera.

– W jaki sposób się u nas znalazła?

– Słucham? - Kate zaczynała już tracić cierpliwość.

– W jaki sposób tutaj dotarła? Ambulansem, samochodem...

W tym momencie Kelly odepchnął Kate od kontuaru. Niemal przyłożył twarz do szyby, która oddzielała go od stanowiska rejestratorki.

– Przyjechała pierdolonym samochodem. Z rozpiardoloną głową. Dwóch sanitariuszy wniosło ją do środka na pierdolonych, wielkich, brudnych noszach. Nawet ty musiałaś ich zauważyć. A teraz skończ z tym swoim zasranym cyrkiem i powiedz mi, gdzie się znajduje moja córka, albo sam zacznę szukać jej i opiekujących się nią lekarzy.

Usta kobiety wygięły się w wielkie „O”, a ona sama zaniemówiła. Jakaś młoda pielęgniarka, która przypadkiem usłyszała rozmowę, podeszła do niej i Kelly’ego szybkim krokiem.

– Pan Kelly?

Patrick pokiwał twierdząco głową. Patrząc na jego ramiona i plecy, Kate podświadomie wyczuwała w nich ogromne napięcie. Stał sztywno, jakby ktoś włożył mu pod ubranie metalowy drąg, żeby nie upadł.

– Gdzie jest moja córka? Chcę zobaczyć moją córkę.

– Pana córka wciąż znajduje się na sali operacyjnej. Bardzo proszę, niech pan pójdzie ze mną. Zaprowadzę pana do poczekalni.

Kelly i Kate ruszyli za dziewczyną.

– W jakim jest stanie?

– Bardzo mi przykro, panie Kelly, ale naprawdę nie wiem. Wkrótce porozmawia z panem lekarz.

Kate szła za plecami Kelly’ego. Weszli do góry dwa piętra po schodach i znaleźli się w małej poczekalni na oddziale intensywnej opieki medycznej. Kate podziękowała następnie pielęgniarce, która zaproponowała im kawę.

– Wiedziałem, że coś takiego się stało, wiedziałem. Czułem to w kościach.

Kate milczała. Wkrótce do pomieszczenia zajrzała Amanda Dawkins i ruchem głowy dała jej do zrozumienia, że powinna wyjść za nią na korytarz. Kate podporządkowała się tej prośbie i cicho zamknęła za sobą drzwi, żeby nie mógł ich usłyszeć Kelly.

– Co z nią?

– Źle, Kate. Naprawdę źle. Właściwie nie ma połowy głowy. Nie ma też wątpliwości, że sprawcą jest ten sam człowiek, który zaatakował Geraldine O’Leary. Została zgwałcona, zmaltretowana. Jest w strasznym stanie. Nawet lekarze dziwią się, że wciąż jeszcze oddycha.

Kate zacisnęła usta. Wiedziała, że Kelly zacznie szaleć, kiedy się o tym dowie. Już teraz zachowywał się jak podminowany. Skinęła na Amandę.

– Wiesz co? Oddaj mi przysługę. Trzymaj na razie wszystkich z dala od Kelly’ego. Ja z nim zostanę. Wyślij kogoś, żeby przesłuchał Kevina Cosgrove’a. Jest w domu Kelly’ego. Zrobisz to?

– Jasne. Coś jeszcze?

– Nie. Przynajmniej dopóki nie uzyskamy jakichś nowych informacji.

Kiedy Amanda odeszła na kilka kroków, Kate zawołała za nią:

– Jeszcze jedno. Zadzwoń do mnie do domu i zostaw wiadomość na sekretarce. Powiedz im, że wrócę, jak tylko będę mogła.

Amanda pokiwała głową, a Kate powróciła do Kelly’ego.

– Co się dzieje? - Jego głos był głuchy i słaby.

– Na razie nic.

– Czy Flowers j est tutaj ?

Zaskoczył Kate tym pytaniem.

– Oczywiście, że nie.

Kelly wstał i zaczął krążyć po pokoju.

– Więc niech go pani tutaj ściągnie. Proszę mu powiedzieć, że osobiście żądam jego obecności. Niech się pani też dowie, który z lekarzy zajmuje się przypadkiem mojej córki, a następnie, który w kraju jest najlepszy w leczeniu obrażeń, jakich doznała. Życzę sobie, żeby szpital natychmiast go tutaj ściągnął. Nieważne, kto to jest ani jakie poniosę koszty. Żądam, żeby natychmiast tutaj przyjechał.

Kate poczuła, że zaczyna ogarniać ją złość. Całe współczucie dla Kelly'ego w jednej chwili z niej wyparowało. Oficjalnym tonem powiedziała:

– Z całym szacunkiem, panie Kelly, nie jestem pańską sekretarką. Jeśli życzy pan sobie, żeby przyjechał tutaj Frederick Flowers albo jakiś nowy lekarz, proponuję, żeby pan sam sobie ich tutaj ściągnął.

Kelly popatrzył na nią z zaskoczeniem. Przywykł do tego, że ludzie wykonują wszystkie jego polecenia bez mrugnięcia okiem. Nie pamiętał już, by ktoś ośmielił mu się sprzeciwić. Patrzył jej prosto w oczy, a Kate niemal wyczuwała toczącą się w nim walkę. Zacisnął dłonie w pięści i Kate nie miała wątpliwości, że z trudem hamuje się, by jej nie uderzyć.

Słowa, które wypowiedziała, potraktował jako bunt.

Zagryzł wargi i ciężko oddychał. Wyciągnął ku niej rękę z wyprostowanym palcem wskazującym i zaczął wymachiwać nim przed jej twarzą.

– Jeśli natychmiast czegoś nie zrobię, zaraz eksploduję, a jeśli eksploduję, bądź pewna, kobieto, że zobaczysz coś, czego jeszcze nigdy nie widziałaś i już nie zobaczysz, do końca życia. Muszę coś zrobić, rozumiesz mnie? Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać.

Powiedział to prostymi słowami, szczerze i właśnie w tym momencie Kate zrozumiała, jak wielki jest jego strach o córkę. Poczuła się nagle jak mała, niegrzeczna dziewczynka. Kelly próbował walczyć ze swoim strachem i bólem najlepiej, jak potrafił. Musiał działać, ponieważ działanie odganiało od niego strach. A przynajmniej trzymało strach w pewnej, w miarę bezpiecznej odległości. Kate głośno przełknęła ślinę.

– Załatwię panu telefon.

Kiedy go mijala, kierując się ku drzwiom, ścisnął jej ramię. Popatrzyła najpierw na jego zaciśnięte palce, następnie prosto w jego twarz. Ujrzała w niej świadomość, że to, co nieuchronne, i tak nadejdzie. Nagle, w jednej chwili, Kelly się załamał. Wyglądało to tak, jakby otrzymał potężny cios. Zachwiał się na nogach i Kate instynktownie

otoczyła go ramieniem. Przyłgnął do niej całym ciałem.

– Jeśli ona umrze, nie pozostanie mi nic, zupełnie nic.

Poprowadziła go z powrotem do krzesła. Usiadłszy, Kelly objął głowę rękami. Jego głośny oddech chwilami zamieniał się w rżenie.

Do poczekalni weszła pielęgniarka. Kate odebrała od niej tacę z kawą i ruchem głowy nakazała jej, żeby wyszła. Następnie podała Kelly'emu papierowy kubek i zapaliła dla niego papierosa. Wsunęła mu go do ust.

– Czy to ten sam drań, który zamordował tę barmankę?

Kate rozumiała, jak wiele sił kosztowało go głośne wyrażenie swojej najgorszej obawy. Skinęła głową.

– Przypuszczamy, że tak.

– Czy ją zgwałcił?

Znów przytaknęła.

Kelly upił kilka łyków kawy i nagle ogarnął go zimny spokój. Najgorszego już się dowiedział. Nic gorszego nie mógł usłyszeć.

– Chyba rozumie pani, że on jest już martwy? Nawet jeśli teraz gdzieś chodzi i śmieje się, zadowolony z tego, co zrobił, jest już martwym człowiekiem.

Kate wypila łyk kawy.

W tej chwili nie miała nic do powiedzenia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Patrick Kelly odjechał ze szpitala do domu o ósmej nad ranem. Wyglądał strasznie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Miał cuchnący oddech od całych litrów kawy rozpuszczalnej i tanich papierosów. I był wściekły.

Jego córka balansowała pomiędzy życiem i śmiercią, zgwałcona, zmalretowana i pobita do nieprzytomności. Czuł ucisk w sercu i w szpitalu przez chwilę nawet poważnie bał się, że dopadnie go zawał. Zrozumiał, że musi nad sobą panować.

Kiedy ją zobaczył, swoje dziecko leżące bezradnie na oddziale intensywnej opieki medycznej, wśród rurek, sączków, pozawijane w bandażę, poczuł przez moment wściekłość, która odebrała mu zdolność widzenia, wściekłość, jakiej nigdy dotąd w życiu nie doświadczył. Jakiś śmieć, cholerny śmieć, ośmielił się napaść na dziecko, jego dziecko, i zdołał zniszczyć je, sponiewierać.

Najgorsze było to, że została zgwałcona. Jego dziecko zostało zgwałcone przez jakiegoś śmiecia, śmierdziela!

Cholera, niech ten śmieć zaczyna się już modlić o spokój własnej duszy, bo kiedy Kelly go znajdzie i dopadnie, rozerwie na krwawe strzępy!

Z piskiem opon zatrzymał samochód na podjeździe własnego domu. Zanim dobiegł do drzwi, otworzył mu je Willy Gabney. Nie odezwawszy się do niego nawet słowem, Kelly kilkoma długimi krokami przeszedł przez wyłożony płytkami hol i ruszył do góry po zakręconych schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Kiedy dotarł do sypialni, w której spał Kevin Cosgrove, klatka piersiowa i płuca paliły go przy każdym oddechu.

Z całej siły pchnął drzwi sypialni. Impet, z jakim to zrobił, sprawił, że drzwi trzasnęły o małe biurko, a uderzenie zepchnęło na podłogę stary porcelanowy garnek i takąż podstawkę, warte duże pieniądze. Zanim Kevin zdołał na dobre otworzyć oczy, Patrick Kelly bez słowa rzucił się na niego. Szarpnąwszy chłopaka za włosy, wyciągnął go z łóżka. Natychmiast zaczął go okładać pięściami i kopniakami, gdzie popadło, wykrzykując przy tym pod jego adresem najstraszliwsze przekleństwa.

Kevin padł na podłogę i zwinął się w kłębek, w milczeniu przyjmując ciosy. Śmiertelnie przerażony, nie był w stanie powstrzymać bezładnego ataku. Wreszcie Kelly szarpnął go za ramiona, wyprostował i, postawiwszy przed sobą, z całej siły uderzył go czołem w twarz. Siła

ciosu oszołomiła ich obu. Kelly pozwolił prawie bezwładnemu

Kevinowi znów paść na podłogę. Był tak zaciętrzewiony w swojej wściekłości i gniewie, że jęki chłopaka niemal do niego nie docierały.

Gabney, który podążył za szefem po schodach, stał w progu z kamiennym wyrazem twarzy. Gwałtowność ataku ani trochę go nie poruszyła. Zaskoczony był jedynie tym, że Kelly zaatakował chłopaka sam, osobiście; w końcu za takie akcje płacił właśnie jemu, Gabneyowi.

Kelly popatrzył wreszcie jako tako przytomnym wzrokiem na sponiewieranego i bezbronного chłopaka leżącego na podłodze. Wyciągnął w jego kierunku wskazujący palec drżącej ręki.

– Ostatniej nocy ktoś zgwałcił i niemal zamordował moją Mandy, ty pieprzony gnoju! Jakieś gówno zgwałciło moją córkę. Słyszysz, co do ciebie mówię, skurwysynu?

Kevin popatrzył na niego zdezorientowany. Mandy, zgwałcona?

Kelly z całej siły kopnął go w kolano.

– Mandy jest w śpiączce. Przez ciebie na zawsze może już pozostać w tym stanie. Ale jedno ci obiecuję, ty głupi chuju, cokolwiek stanie się z moją córką, stanie się także z tobą. Zapamiętaj to sobie. Wbij to sobie do swojego głupiego łba. - Był tak wyczerpany swoimi ostatnimi wyczynami, że z trudem mówił. Co chwilę urywał, żeby złapać głębszy oddech. - Właściwie jesteś już martwy, chłopcze. Jesteś martwy, możesz mi wierzyć.

Oparł się o szafę na ubrania i stał bez ruchu, dopóki nie powrócił mu normalny oddech. Dopiero wtedy skinął na Williamsona:

– Zbierz wszystkich chłopaków, i to natychmiast. Natychmiast! Nie obchodzi mnie, że jest wigilia Bożego Narodzenia, nie obchodzi mnie, czy któryś z nich jest akurat przy łożu śmierci własnej matki, ściągnij ich tutaj, błyskawicznie!

Gabney natychmiast wybiegł. Kiedy Patrick Kelly był rozzłoszczony, raczej nikomu nie przychodziło do głowy, by nie wykonywać natychmiast, i to dokładnie, wszystkich jego poleceń.

Kelly znów spojrzął na maltretowanego chłopaka, zwiniętego w kłębek na podłodze. Na dywanie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiły się purpurowe plamy. Kelly pochylił się i zebrawszy ślinę, splunął Kevinowi prosto w twarz.

– Wstawaj, Cosgrove, i wypierdalaj z mojego domu. Doprowadź się do porządku i wypierdalaj. I nawet nie zbliżaj się do samochodu Mandy. On już tutaj zostanie, kapujesz?

Znalezienie Mandy sprawiło, że Kate była zajęta przez cały dzień. Nikt nie miał wątpliwości, że na dziewczynę napadł ten sam człowiek, który zamordował Geraldine O’Leary. Kate była zszokowana, kiedy zrozumiała, jak gwałtowny i okrutny był jego atak. Mandy miała

połamane wszystkie palce lewej ręki, jakby ktoś specjalnie po nich deptał. Duża część jej głowy była dosłownie odrąbana od reszty czaszki. Nawet lekarze mówili, że dziewczyna nie powinna była tego przeżyć. Ale tak jak jej ojciec, miała naturę wojownika. Teraz walczyła o życie w szpitalnym łóżku.

Mimo tego wszystkiego, co wiedziała o Kellym, Kate nie potrafiła nic poradzić na to, że w ciągu ostatnich godzin po prostu go polubiła. Był zbyt pewnym siebie arogantem i w dużym stopniu też męskim szowinistą. Tyle mógł bez trudu dostrzec nawet niedoświadczony obserwator. Bez wątpienia *zarządzał* całym życiem swojej córki. A dziewczyna nie miała wyboru, musiała być mu uległa. Jednak gdy Kelly się uspokajał, nie podejmował decyzji, można było dostrzec drugie oblicze tego człowieka. W szpitalu Kate widziała go pogrążonego w najgłębszym żalu. Mimo całej jego bombastycznej postawy, gwałtownego charakteru, poczuła wtedy, że łączy ją z nim wiele pokrewnych cech.

Przypomniała sobie, jak przed wielu laty Lizzy zaginęła na całe popołudnie. Wszyscy powtarzali Kate, żeby się nie martwiła, że dziewczynka pewnie bawi się z koleżankami i po prostu zapomniała o tym, iż biegnie czas, ale ona nawet nie chciała tego słuchać. Będąc policjantką, najlepiej zdawała sobie sprawę z tego, co może się przytrafić jej córce. Widziała to w życiu już wiele razy. Drżąc o Lizzy, pragnęła objąć otwartą dłonią wszystkie wesołe twarze wokół siebie. Wreszcie dziewczynka znalazła się. W pobliskim lasku budowała obozowisko razem z chłopakiem mieszkającym dwie ulice od nich. Wtedy Kate jedyny raz w życiu dała jej porządne lanie. I to nie dlatego, że na kilka godzin zaginęła, ale z powodu strachu, jaki przez tych kilka godzin drążył ją, jej matkę. Taki sam strach wyczuwała u Kelly'ego ostatniej nocy.

Pozostała przy nim, dopóki Mandy nie wywieziono z sali operacyjnej. Podczas długiego czuwania znów opowiadał jej o swojej córce i zmarłej żonie. Jakby płynące bez przerwy słowa mogły jakoś utrzymać Mandy przy życiu. To jego czułość wobec córki tak mocno ujęła Kate. Jego okropna reputacja zesłała na drugi plan przy tak wyraźnym widocznym wielkim uczuciu ojca do jedynego dziecka.

Kelly przeszedł w życiu trudną drogę i Kate zastanawiała się, czy to przypadkiem nie ciężkie dzieciństwo ukształtowało go na człowieka, jakim był obecnie. Pracownicy społeczni nazywali taki proces socjalizacją. Kate miała na ten temat swoje zdanie. Uważała, że Kelly doszedłby do czegoś niezależnie od tego, w jakiej klasie społecznej przyszedłby na świat. Miał wrodzony spryt i pociąg do przekraczania kolejnych granic, do osiągnięcia kolejnych celów, za pomocą wszelkich środków. Kate czuła, że cele te osiągał znacznie bardziej dla żony i

dziecka niż dla samego siebie. Pracował, żeby dać Mandy wszystko, samochód za pięćdziesiąt tysięcy funtów i salon piękności na własność. Jak bardzo ona sama chciałaby dać to wszystko Lizzy... Czyż zresztą nie pragnęliby czegoś podobnego wszyscy rodzice? Cóż, reputacja Patricka Kelly'ego jako bezwzględniego człowieka była prawdziwa tylko do pewnej granicy. W głębi duszy był taki jak wszyscy. Różnił się tym, że w niekonwencjonalny sposób zarabiał pieniądze.

Kiedy w końcu pozwolono mu zobaczyć córkę, Kate bez trudu wyczuła jego udrękę. Było jasne, że Mandy nie ma żadnych szans. Jej mózg został tak uszkodzony, że zgoda na jej szybkie zejście z tego świata byłaby aktem litości. Tymczasem jednak oddychała i Kate doskonale rozumiała, że Kelly'emu trudno będzie pogodzić się z jej śmiercią. W głębi duszy marzył, że sama tylko wola życia pozwoli jej przetrwać i wyzdrowieć.

Kate westchnęła. Kiedy wreszcie zostawiła go i pojechała do domu, żeby wziąć szybki prysznic i przebrać się przed powrotem do pracy, miała uczucie, jakby go bezdusznie opuszczała. Wychodząc z oddziału intensywnej opieki medycznej, czuła jego płonący wzrok na swoich plecach. Teraz, siedząc przy biurku na komisariacie, rozmyślała o nim; musiała sama przed sobą przyznać, że uważa Patricka Kelly'ego za bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Do diabła, był naprawdę przystojny. Szybko jednak zganiła się za te myśli. Twój problem, Kate Burrows, polega na tym, że od zbyt dawna nie miałaś mężczyzny. Brakuje ci seksu. Zafunduj sobie trochę rozkoszy.

Uśmiechnęła się do siebie.

Miała w życiu tylko jednego mężczyznę i w końcu się z nim rozwiodła. Od lat nie myślała o seksie. Tymczasem dzisiaj... Co tym bardziej podkreślało, jak wielkie wrażenie wywarł na niej Kelly.

Ale nie, to nie była prawda. Oczywiście, rozmyślała o seksie, tyle że nigdy o seksie z kimś konkretnym i nigdy nie podjęła żadnych działań, by być bliżej z jakimkolwiek mężczyzną.

Ucieszyła się, kiedy detektyw sierżant Spencer przerwał jej rozmyślenia.

– Przepraszam panią, co robimy dalej?

Kate westchnęła.

– Cóż, według mnie, musimy kontynuować przesłuchania. Dowiedz się, czy którakolwiek z wypytywanych osób wspomniała coś o fordzie orionie w ciemnym kolorze.

Spencer wbił spojrzenie w sufit.

– Widzi pani, człowieka, który wspomniał o tym samochodzie, nie możemy uznawać za wiarygodnego świadka... Rozumie pani...

Kate przez chwilę rozważała coś w myślach, nim wreszcie odezwała

się:

– Doskonale wiem, że facet, o którym mowa, to włóczęga, pijak, narkoman, debil czy jak go tam nazywacie. Wiem także, że jego towarzystwo biwakuje niecałe pięćset jardów od miejskich nieużytków. To, czy facet był naćpany, pijany, czy i to, i to naraz, nie ma w tej chwili znaczenia. Chcę, żebyśmy podążyli każdym możliwym tropem. Poza tym powiedz Willisowi, że osobiście zejść na dół, żeby przesłuchać Freda Barkisa, powiedzmy za... - popatrzyła na zegarek - za kwadrans, dobrze?

– Tak, proszę pani. - Spencerowi nie udało się ukryć irytacji w głosie.

Przystąpiła do przeglądania leżących przed nią dokumentów. Fred Barkis był krętaczem i kanciarzem, znanym w całej okolicy. Niedawno nabył ciemnozieloną cortinę mark one, a w nocy, kiedy zginęła Geraldine O'Leary, aż troje ludzi zauważyło ciemny samochód krążący po Vauxhall Drive.

Kate wbiła spojrzenie w ścianę naprzeciwko i zaczęła leciutko uderzać się w policzek tępą końcówką ołówka. Fred Barkis nie zrobiłby nikomu krzywdy, gotowa była postawić na to duże pieniądze. Przed wszystkim nie miał gwałtownego usposobienia. Przez lata pracy w policji Kate nauczyła się, że zwierzęca natura wychodziła nawet z najspokojniejszych i najlepiej ułożonych ludzi, ale nauczyła się też, że w dziewięćdziesięciu pięciu procentach policyjna robota opierała się na przecuciach. A ona właśnie miała przecucie, że Fred Barkis nie jest mężczyzną, którego poszukuje. Mimo wszystko należało go sprawdzić, chociażby tylko po to, żeby wyeliminować go z grona podejrzanych.

Problem ze Spencerem i jemu podobnymi, czyli problem, z jakim już wielokrotnie się w pracy spotkała, polegał na tym, że gdy złapali podejrzanego, na wszystkie poszlaki spoglądali w taki sposób, że w ich oczach błyskawicznie stawały się dowodami świadczącymi o jego winie. Kate nigdy w taki sposób nie pracowała. Jak wiele razy widziała już zeznania świadków, które były podkolorowane? Zbyt wiele. Wiedziała, że praca policjantów może być stresująca, działając przeciw pod ogromną presją, jak teraz, kiedy mają do czynienia z morderstwem oraz z dziewczyną, która walczy o życie w szpitalu, a przy tym żadnych konkretnych śladów, żadnego punktu zaczepienia. To jednak nie upoważniało ich do stawiania zarzutów pierwszemu lepszemu osobnikowi. Barkis w pewnym sensie pasował do obrazu poszukiwanego przez nich człowieka, lecz raczej niemożliwe było połączenie go z obiema sprawami, tymczasem próbki DNA dały już pewność, że w obu przypadkach napastnikiem był ten sam człowiek. Barkis bez słowa sprzeciwu pozwolił zresztą, aby pobrano mu próbki krwi, moczu i nasienia. Nie, z całą pewnością nie był poszukiwanym przez policję osobnikiem, lecz co najwyżej utrapieniem posterunkowych ze względu na swe drobne matactwa, z pewnością zaś nie gwałcicielem i

okrutnym mordercą, działającym z pobudek seksualnych.

Kate denerwował fakt, że miejscowa prasa nazwała gwałciiciela „Rozpruwaczem z Grantley”. Kimkolwiek był przestępca, pochodził stąd, Kate nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Była też przekonana, że kiedy gwałciiciel zobaczy w gazetach swoje przezwisko, będzie z tego bardzo zadowolony. Policyjny psycholog przystąpił już do konstruowania jego profilu i pewne sprawy powoli stawały się jasne. Przestępca był mizoginistą, odczuwał nieodpartą niechęć do kobiet. Miał także stałą pracę i dom, z którego wyruszał na nocne łowy.

Jeśli chodzi o jego mizoginizm, Kate sama doszła już do właściwych wniosków. Okrucieństwo napastnika nie pozostawiało wątpliwości co do tego aspektu jego konstrukcji psychicznej. Niemożliwe było ustalenie innego motywu ataków, co zresztą było niemal regułą w podobnych sprawach. Napastnik był chorym człowiekiem.

W chwili obecnej należało wyodrębnić te wszystkie elementy, które były wspólne dla obu napadów. Kate zmarszczyła czoło. Czy napastnik mógł w jakiś sposób kontaktować się z obiema kobietami podczas pracy? Niestety, pierwsza z nich pracowała w barze, druga w salonie piękności. Nie było tu żadnego związku.

Zebranie wszystkich śladów z obu miejsc napadów właściwie niczego nie przyniosło. Nie przybliżyło ich nawet o krok do odpowiedzi na pytanie, kim był morderca. Za każdym razem nosił rękawiczki. Włókna, które ściągnięto z ciała Geraldine O’Leary, pochodziły z wełny, jaka używana była dosłownie w setkach tysięcy swetrów, płaszczy i innych częściach garderoby.

Kate poczuła, jak na jej czole, nieco powyżej linii oczu, pojawia się stalowy ucisk zapowiadający potworny ból głowy, i zaczęła ją masować palcem wskazującym i kciukiem. Później naciskała palcami zamknięte powieki, myśląc przy tym intensywnie, jakby właśnie w ten sposób chciała z gąszczy bezwartościowych danych wydobyć coś ważnego, coś, co przeoczyli inni funkcjonariusze.

Wreszcie wstała, zamierzając udać się do pokoju przesłuchań. Na ścianie, obok fotografii Geraldine O’Leary, znalazły się dwie następne. Na pierwszej z nich Mandy Kelly uśmiechała się. Długie blond włosy okalały jej twarz w kształcie serduszka. Na kolejnej dziewczyna spoczywała w szpitalnym łóżku. Ślicznych jasnych włosów już nie miała, jej czaszka została dokładnie ogolona. Ciemne linie znajdowały się w tych miejscach głowy, w których czaszka popękała. Oczy dziewczyny były opuchnięte, a nos rozbity do tego stopnia, że trudno go było rozpoznać. Kate westchnęła. Przebywający za szklanym przepierzeniem policjanci cały czas intensywnie pracowali. Amanda Dawkins stuknęła w klawiaturę komputera. Wyszukiwała nazwiska i adresy wszystkich osób w Grantley i okolicy, które były właścicielami zarówno ciemnozielonych

limuzyn, jak i ciemnoniebieskich orionów.

To bynajmniej nie stukot maszyn do pisania ani też ciągły szmer głosów w pomieszczeniu, aż niebieskim od dymu tytoniowego, przyprawiły Kate o ból głowy. W tym przypadku były to nerwy i stres.

Wziąwszy z biurka Amandy teczkę z dokumentami, wyszła z pokoju.

Patrick Kelly przypalił dunhilla złotą zapalniczką i łapczywie zaciągnął się papierosem. Zanim wziął prysznic i się przebrał, w jego domu zdążyło się zjawić sześciu mężczyzn. Siedzieli teraz w jadalni, gdzie zwykle spożywał śniadania, nerwowo oczekując na jego rozkazy.

Kelly przez długą chwilę wpatrywał się w zapalniczkę. Mandy podarowała mu ją na czterdzieste drugie urodziny. Za każdym razem, kiedy o niej myślał, czuł rosnącą panikę. Jeżeli ona umrze... Dobry Boże! Jeśli ona umrze, on, Patrick Kelly, zostanie pozbawiony wszystkiego. Już niczego nie będzie miał na tym świecie. Niczego.

Po raz pierwszy żądza posiadania pieniędzy zeszła w jego głowie na drugi plan. Zdał sobie sprawę, że zrezygnowałby ze wszystkiego, co posiada, byleby tylko zobaczyć córkę znów w takim stanie, w jakim się znajdowała, kiedy po raz ostatni z nią rozmawiał. Z Mandy szczęśliwą, uśmiechniętą i żywą. Emanującą młodością i ogromną energią.

Usłyszał dyskretne kasznięcie. Oderwał wzrok od zapalniczki i popatrzył po twarzach zgromadzonych mężczyzn.

– Jak sądzę, wszyscy wiecie, co się stało.

Na te słowa zaczęli półgłosem wypowiadać wyrazy współczucia. Kelly uniósł do góry rękę, żeby ich uciszyć.

– Chcę, żeby tego drania złapano, i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Tego, co w tej chwili przeżywam, nie życzyłbym mojemu najgorszemu wrogowi. - Umilkł na chwilę, by zebrać myśli. - Jak dobrze wiecie, szef policji w tym mieście jest moim drogim i bardzo przeze mnie cenionym przyjacielem. Zapewnił mnie dzisiaj w rozmowie telefonicznej, że przez cały czas będę miał dostęp do wszystkich informacji na temat śledztwa. Nie wierzę za bardzo w metody działania naszej staroświeckiej policji, jeśli chodzi o ściganie przestępców. W końcu mnie oni nigdy nie dopadli, prawda? Żądam więc, żebyście w tej chwili rzucili wszystkie bieżące zajęcia i znaleźli tego kretyna. I to szybko! Chcę, żeby był martwy. Martwy, j ak naj szybciej.

Jeszcze dzisiaj otrzymam pewne dokumenty. Zawierać będą nazwiska wszystkich typów spod ciemnej gwiazdy, działających w południowo-wschodniej Anglii. Chcę, żebyście wszyscy - ruchem ręki wskazał po kolei na każdego ze swoich gości - pozbiali i zmobilizowali swoich ludzi, wasze prywatne armie. Nie dbam, ile to będzie kosztować, nie dbam, z kim pracujecie, oby tylko można było na nich liczyć. Macie

do mojej sprawy zaangażować wszystkich, bez wyjątku. - Popatrzył po mężczyznach, chcąc się przekonać, jaki efekt wywołały jego słowa. - Obecnie sprawę oficjalnie prowadzi funkcjonariusz w spódnicy, detektyw inspektor Burrows, nawiasem mówiąc, bardzo miła kobieta. Nie wchodźcie jej w drogę, nie sprawiajcie jej żadnych kłopotów, rozumiano? Możecie natomiast naprzykrzać się wszystkim innym funkcjonariuszom. Każdego po kolei należy wypytać, co wie o sprawie, niech nawet opowiadają głupstwa, może coś z tego wyłowimy. Ten, kto znajdzie gwałciciela mojej córki, otrzyma dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów wolnych od podatku. Czy są jakieś pytania?

Sześciu mężczyzn wpatrywało się bez słowa w Kelly'ego. Na ich twarzach malowała się mieszanina współczucia wobec tragedii, jaka go spotkała, i zadowolenia z perspektywy łatwego, jak się im zdawało, zarobienia ćwierci miliona funtów.

Nikt się nie odezwał, Kelly pokiwał więc głową.

- W porządku, chłopaki. Raporty proszę składać mi tutaj, kiedy tylko pojawią się jakieś istotne informacje. Jeśli go znajdziecie, chcę go mieć pierwszy. A teraz napijmy się i w drogę.

Podszedł do barku i przelotnie ujrzał w wyobraźni twarz Kate Burrows. Była waleczną kobietą, jak on. Lubił takie osoby. Pozwolił sobie na lekki uśmiech. Nie okaże przy niej już nigdy więcej słabości. Przypuszczał, że Burrows ma duże szanse, by złapać bandytę, zanim on go dopadnie. Była sprawna i inteligentna, a przy tym cholernie atrakcyjna, zauważył to mimo bólu, jaki go drążył. Nie, Kelly nie pozwoli, żeby jego ludzie wchodzili w drogę Kate Burrows. Miał przeczucie, że on sam spotka ją jeszcze wiele razy. Spędziła z nim najgorsze godziny jego życia. Rozumiał, że coś jest jej za to winien.

Kiedy Mandy powróci ze szpitala do domu i życie stanie się spokojniejsze, Kelly uczyni wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę Kate, żeby jak najlepiej jej za wszystko podziękować.

Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że Mandy może już nie powrócić do domu. Nie chciał kusić losu.

Dan siedział w towarzystwie teściowej i uśmiechał się do siebie. Mimo że wiedział, iż

Evelyn go nie znosi, odczuwał wobec niej respekt. Rozglądając się po cieplej i przytulnej kuchni, dochodził do wniosku, nie po raz pierwszy, że postąpił jak skończony głupiec, porzucając Kate. Fakt, że zostawił ją z małym dzieckiem, wciąż tkwił jak tępy cień w jego sumieniu. Od tego czasu miał mnóstwo kobiet. Lubiły go, zdawał sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego, jedna po drugiej, po kolei zapewniały mu dach nad głową i stosunkowo wysoki standard życia. Jednak, w wieku czterdziestu sześciu lat, powoli zaczynał mieć tego dość. Podczas ostatniego rozstania Anthea była dla niego niezbyt miła. Właściwie to dość bezczelnie

wypomniała mu jego wiek. Miała gadane, suka. A przecież i ona, chociaż się do tego nie przyznawała, była bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki. Jej ostatnie słowa wciąż kłuły go jednak jak żądło.

Ale tak naprawdę bolało go to, że postanowiła spędzić święta Bożego Narodzenia na Wyspach Kanaryjskich i nie zabrała go tam ze sobą. Znowu musiał się zdać na łaskę Kate. Stara, dobra Kate. Wiedział, że może do niej wracać ze względu na Lizzy. Dla córki zrobiłaby wszystko. Kto wie, może nawet przyjąłaby go z powrotem do siebie? Tymczasem martwił się, co będzie robił po świętach. Po raz pierwszy nie miał drugiego domu, do którego mógłby wrócić.

Evelyn wyjęła indyka z piecyka i podlała go odrobiną wody. Zapach był absolutnie wspaniały. Nagle Dan zrozumiał, w jednej chwili, jasno i wyraźnie, że jedyna rozsądna przyszłość, jaka leży przed nim, to pozostanie w tym domu. Znowu musi przekonać do siebie Kate. Przez całe lata po jego odejściu pragnęła, by powrócił. Widział na jej twarzy nieskrywaną tęsknotę, kiedy składał ostentacyjnie wizyty, by zobaczyć córkę. Czasami sypiali wtedy razem. Dan wskakiwał do łóżka Kate i opuszczał je, kiedy miał takie widzimisię. Wiedział, że teraz już nie pójdzie mu tak łatwo. Powiedziała mu kiedyś, że jest jej piętą achillesową, ale wreszcie trzeba z tym skończyć. Dana cieszyła jednak myśl, że znowu będzie się o nią starał. Lubił to. Zanim Kate się zorientuje, będzie jadła mu z ręki. Miał przynajmniej taką nadzieję.

W ciągu tych lat Kate zmieniła się. Jakoś przywykła do samotności, zrobiła karierę w policji. Nie czekała już na Dana z otwartymi ramionami, tolerowała go tylko ze względu na Lizzy. Na tym właśnie musiał budować swoje nadzieje.

Popatrzył na Evelyn i zamknął oczy. Ją też musi jakoś do siebie przekonać.

Jego teściowa postawiła na piecyku czajnik z wodą i włączyła gaz, przygotowując sobie nie wiadomo już którą filiżankę kawy.

– Jesteś dziś jakiś taki cichy, Dan.

– Po prostu rozmyślam, Eve.

– Nie przesil tylko mózgu, synu.

Wyszczерzył zęby.

– Właściwie to rozmyślałem o Lizzy.

Zauważył, że na twarzy Evelyn pojawiło się zainteresowanie. Żyła przecież przede wszystkim dla wnuczki.

– No i co?

Dan ucieszył się. Evelyn będzie go uważnie słuchać.

– Widzisz, właściwie nie jest mi dane obserwować, jak ona dorasta.

Evelyn parsknęła śmiechem.

– Rzeczywiście! Znikasz przecież na długie miesiące. Byłeś głupcem,

wiesz, Dan? Moja Kate była dobrą żoną, tak jak jest dobrą matką. Widziałam, jak umiera w niej cała radość życia, kiedy ją opuściłeś.

Zdjęła z haczyków dwa kubki i postawiła je na kuchence.

– Pracowała jak koń, żeby dziecku niczego nie brakowało. A ty nigdy nie dałeś nawet dziesięciu funtów, żeby jej pomóc.

Na twarzy Dana pojawił się wyraz żalu. Nie tak miała się zacząć ta rozmowa. Szukał w Evelyn sprzymierzeńca, a nie złośliwego krytyka.

– Kiedy przyjechałam do niej, była w strasznym stanie. Wróciła jednak do pracy i dobrze sobie poradziła. Zostaw ją więc teraz w spokoju, Danielu Burrows. Czytam w twoich myślach jak w otwartej książce, mój chłopcze, zresztą zawsze to potrafiłam.

Twarz Dana poczerwieniała. Cóż, Evelyn bardzo dobrze go znała. Ale, wieczny optymista, postanowił trochę poczekać i potem spróbować znowu. Jeśli się dobrze postarał, nie było na świecie kobiety, która nie uległaby jego urokowi. Był tego absolutnie pewien.

– Wesołych świąt, George.

Elaine uśmiechnęła się do niego. Od czasu, gdy załatwiła sobie wakacje w Hiszpanii i zaczęła spędzać dwa wieczory w tygodniu z koleżankami z pracy, nawet życie z George'em wydawało się jej całkiem znośne.

– Wesołych świąt, moja droga. - Posłusznie pocałował nadstawiony policzek żony.

Odczekał, aż Elaine wróci do swojego gotowania, i dopiero wtedy wygiął usta w grymasie niechęci. Cały dom cuchnął Bożym Narodzeniem. Indykiem i szarlotką.

– Wkrótce tu będą Joseph i Lily. Lily przywiezie biszkopty z sherry. Mam nadzieję, że twoja matka nie będzie w tym roku wymiotować...

George poczuł, że serce opada mu aż do butów. Co roku to samo. Jego starszy brat,

Joseph, razem ze swoją żoną jak zwykle przyjeżdżał na kolację. Bracia telefonowali do siebie co roku na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, i w każde Boże Narodzenie Joseph i Lily przyjeżdżali do nich na kolację. Poza tym nie mieli ze sobą nic wspólnego. George żałował, że nie starcza mu odwagi, żeby któregoś razu podnieść słuchawkę telefonu i powiedzieć Josephowi, by poszedł do diabła.

Niemrawo zaczął poruszać nożem i widelcem po talerzu. Nie miał ochoty na śniadanie. Sama myśl o tym, że zobaczy dzisiaj matkę, odbierała mu apetyt.

Widывał ją raz w roku, właśnie w Boże Narodzenie. Mieszkała u Josepha i Lily. Albo, żeby powiedzieć to bardziej precyzyjnie, raczej oni

mieszkali u niej. Joseph przez całe życie ciężko pracował i w końcu dorobił się własnego domu, ale w dniu, w którym do tego domu wprowadziła się matka, to ona zaczęła grać w nim pierwsze skrzypce. Rządziła się jak szara gęś.

Jedyny pożytek z Elaine miał George taki, że potraktowała jego matkę bardzo krótko. Kiedy powiedział jej, że mamusia chciałaby z nimi zamieszkać, Elaine stanowczo tupnęła nogą. Nie chciała o tym słyszeć, nie poświęciła sprawie nawet minuty rozmowy. Właśnie wtedy, jedyny raz w życiu, George był naprawdę zadowolony, że poślubił akurat ją.

Elaine postawiła przed nim talerz z jajecznicą i uśmiechnęła się, usłyszawszy jego podziękowanie. Zauważył, że nawet ładnie wygląda. Przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę, wreszcie Elaine, dostrzegłszy jego spojrzenie, głośno się roześmiała. Wzięła talerz z własnym śniadaniem, podeszła do stołu i usiadła.

– A więc wreszcie zauważyłeś!

George znów na nią popatrzył. Był całkowicie zaskoczony.

– Straciłam czternaście funtów, George. Mam teraz tylko sto sześćdziesiąt jeden funtów! Jeśli tak dalej pójdzie, to kiedy będę wyjeżdżała na urlop, dojdę do stu trzydziestu trzech. - Roześmiała się wesoło.

– Cóż, rzeczywiście wyglądasz lepiej, moja droga.

– Dzięki. Naprawdę nie zauważyłeś, że od dłuższego czasu stosuję rygorystyczną dietę?

W jej głosie było tyle samo smutku co wesołości. George zdał sobie sprawę, że liczyła, iż zauważy to, zanim sama mu o tym wspomni.

– Zauważyłem, Elaine, jednak nie chciałem pytać cię o to wprost...

Po tych wszystkich latach małżeństwa nie było pomiędzy nimi ani odrobiny bliskości. Od pierwszego wieczoru, który spędziła z koleżankami, Elaine zaczęła odkrywać wspaniały nowy świat. Świat, w którym George w ogóle dla niej nie istniał. Świat, w którym mogła o nim zapomnieć, chociażby na chwilę.

Joseph Markham obawiał się, że za chwilę zwariuje. Lily przez całą drogę znów zachowywała jedynie pełne wyrzutu, bolesne milczenie. Podkreślała je ponurymi spojrzeniami, rzucanymi w jego kierunku, kiedy zatrzymywał samochód przed czerwonymi światłami. Z tylnego siedzenia Nancy Markham wpatrywała się w ich głowy. Jej mocno umalowane usta wykrzywione były w ponurym grymasie.

Nancy Markham była kobietą potężnej postury. Jej ciało, którego kształtami za młodu powalała mężczyzn na kolana, zajmowało z tyłu auta prawie półtora miejsca. Pofarbowane włosy, tym razem na kolor tak rudy, że niemal czerwony, jakby krwawą aureolą otaczały jej twarz, opadając na podwójny podbródek. Młodo wyglądały jedynie jej

błyszczące, zawsze czujne oczy, które wciąż zachowywały oszłamiająco zielony kolor, tylko nieskazitelnie kiedyś jasne białka teraz miały już żółty odcień i poprzecinane były mnóstwem drobnych czerwonych żyłek. Na kolanach, przyciskając ją do piersi jak broń, trzymała wielką torbę. Jej uchwyt obejmowała tłustymi dłońmi tak mocno, że knykcie na palcach miała zupełnie białe.

– Uważaj na ciężarówkę! - Naturalnie głośny i głęboki głos Nancy zabrzmiał w samochodzie takim ponurym basem, że mógłby rozkruszyć beton.

– Mamo, ta ciężarówka znajduje się po drugiej stronie drogi. Proszę, pozwól mi spokojnie prowadzić samochód. Mam prawo jazdy od czternastu lat...

Nancy Markham przerwała mu w taki sposób, jakby nie usłyszała ani jednego wypowiedzianego przez niego słowa.

– Jesteś jak twój ojciec, panie, świeć nad jego duszą. Zawsze w pośpiechu, nawet na moment nie zwolnisz. Dopadnie cię atak serca i umrzesz, wspomnisz moje słowa. Uważaj na ten motorower!

Ostatnie słowa niemal wyrzeszczała. Joseph wziął głęboki oddech, żeby uspokoić bicie serca. Jeśli skona na atak serca, przyczyną będzie zachowanie tej kobiety na tylnym siedzeniu samochodu!

Doprowadziła do tego jego ojca i była na najlepszej drodze, żeby spowodować atak serca i u Josepha. Był pewien, że Nancy Markham przeżyje całą rodzinę. Do cholery, miała osiemdziesiąt jeden lat i wciąż była silna jak koń. Joseph potrząsnął głową. Boże, niech George się wreszcie nią zajmie, niech on i Lily mają od niej dziś spokój, chociażby przez kilka godzin. Jego własne dzieci omijały jego dom szerokim łukiem, nie przychodziły, jeśli koniecznie nie musiały, właśnie z powodu babci.

Głos Nancy znów wyrwał go z rozmyślań.

– Widziałeś tego maniaka? Mój Boże! - Rozrzuciła ręce w geście beznadziejnego potępienia, przy okazji zahaczając o kapelusz Lily, wykonany w stylu księżnej Diany. Szerokie rondo opadło Lily poniżej linii oczu. - Chyba jechał ponad dwieście mil na godzinę.

Lily poprawiła kapelusz i odwróciła się do teściowej.

– Samochody nie jeżdżą tak szybko, Nancy. To my mamy na liczniku zaledwie czterdzieści pięć mil i wszyscy nas wyprzedzają.

Joseph zdał sobie sprawę, że jego żona zgrzyta z wściekłości zębami.

– Joseph! - zawołała jego matka. - Natychmiast zwolnij. Czterdzieści pięć mil na godzinę! Chryste! Gdyby Bóg chciał, żebyśmy podróżowali tak szybko, dałby nam nogi geparda!

Joseph specjalnie się nią nie przejmował, skupiony na prowadzeniu auta. Doskonale wiedział, że matka zgrywa zaniepokojenie żydowskiej

matrony tylko po to, żeby denerwować Lily. Czasami grała tę rolę tak doskonale, że miał ochotę utrwalić te sceny na kasecie wideo i przesłać zapis do programu *Śmiechu warte*. Czasy, kiedy był dzieckiem i kiedy o żydowskim pochodzeniu całej rodziny nawet mimochodem nie ośmielano się wspominać, dawno minęły. Ich prawdziwe nazwisko brzmiało „Markowitz”, jednak ojciec przerobił je na bardziej angielskie natychmiast po ślubie z Nancy. W tamtych czasach we wschodnim Londynie Żydzi zajmowali w hierarchii społecznej niższą pozycję nawet od Irlandczyków. Ale Irlandczycy byli przynajmniej katolikami. Teraz matka odwoływała się do swojego żydowskiego pochodzenia wyłącznie po to, żeby denerwować Lily, która była praktykującą katoliczką.

Ujrzał zjazd z szosy prowadzący do Grantley i odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, wkrótce będą u George’a.

Kate weszła do domu akurat w porze wigilijnej kolacji. Jeszcze w holu zdjęła płaszcz i przez chwilę nasłuchiwała śmiechów docierających z kuchni. Dan musiał być dzisiaj w szczytowej formie. Był urodzonym dowcipnisiem i doskonałym opowiadaczem anegdot. Kate już widziała go oczyma wyobraźni, jak siedział przy kuchennym kontuarze obok Lizzy chłonącej każde jego słowo.

Potrząsnęła głową. Mimo wszystkich wad Dan autentycznie kochał swoją córkę, tego była zupełnie pewna. Niestety, jego widok wciąż sprawiał, iż powracały do niej złe wspomnienia. Wspomnienia bólu i tęsknoty, których był powodem. Nasiliło się to dzisiaj, kiedy Kate czuła się tak źle po ciężkim dniu w pracy. Chciałaby się chociaż przez chwilę odprężyć, zapomnieć o wszystkich troskach, lecz przy nim nie potrafiła.

Weszła do ciepłego salonu, po czym przekroczyła próg kuchni. Dan siedział tyłem do drzwi, Lizzy i matka przodem. Obie głośno się śmiały. Ujrzawszy córkę w najlepszej sukience, ze starannie uczesanymi włosami i oczyma lśnącymi ze szczęścia, Kate poczuła, jak w gardle rośnie jej kula. Pomyślała, że gdyby miała przechodzić przez to, przez co dzisiaj przechodzi Patrick Kelly, chyba nie dałaby rady, chyba by umarła.

– Chodź, Katie, twoja kolacja czeka, gorąca i pachnąca. - Evelyn podstawiała jej krzesło i pochyliła się nad piekarnikiem.

– Sama sobie wszystko przygotowuję, mam, usiądź z powrotem na miejsce.

Evelyn machnęła ręką.

– To ty usiądź, młoda damo, i wypij kieliszek doskonałego wina, które kupił dla nas Dan. Niestety, my już prawie skończyliśmy jeść.

Kate usiadła obok Dana, który uśmiechnął się do niej.

– Wesołych świąt, Kate.

Podczas gdy Evelyn wyciągała posiłek z piekarnika, Dan, jakby ukradkiem, złożył na ustach Kate lekki pocałunek. Lizzy zachichotała, a Kate niemal zeszywniała, zaskoczona. Wielu różnych rzeczy spodziewała się po Danie, tego jednak nie przewidziała. A najgorsze w tym wszystkim było to, że poczuła jakieś wewnętrzne drżenie. Zmusiła się do uśmiechu i powiedziała do córki:

– Wesołych świąt, kochanie.

– Wesołych świąt, mamusiu. Jak minął dzień w policji? - Na jej twarzy widoczne było zatroskanie.

– Och, na szczęście nie najgorzej. - Specjalnie nadała swojemu głosowi lekki ton. Dan wyprowadził ją z równowagi i podejrzewała, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Patrzył teraz na nią, a na jego ustach błąkał się ledwie widoczny uśmieszek.

Evelyn postawiła przed Kate wielką porcję jedzenia. Poczuła, że powraca jej apetyt.

– Och, mamo, to wygląda wspaniale. Umierałam z głodu.

– Tato właśnie nam opowiadał o wycieczce do Egiptu.

Kate wzięła do ust kęs indyka i pokiwała głową.

Evelyn usiadła przy stole i ukradkiem zerknęła na córkę. Kate zauważyła jej zaczerwienione policzki i bez trudu odgadła, że Evelyn jest już po kilku kieliszkach whiskey albo „święconej wody”, jak nazywała tę używkę. Dan nalał Kate kieliszek wina i natychmiast wypija niewielki łyk.

– Tato, powiedz mamie o Dolinie Królów - poprosiła Lizzy.

– Twoja mama wcale się tym nie interesuje.

– Ale ja się interesuję, tatusiu. Opowiadaj dalej.

Dan był w swoim żywiole. Wokół siebie miał chłonącą każde jego słowo publiczność, co uwielbiał. Postanowił, że spróbuje zaintrygować opowiadaniem także Kate. Mogła sobie być policjantką, tropicielką gwałcicieli, morderców i innych wyrzutków. On tymczasem był podróżnikiem i poszukiwaczem przygód i miał życie o wiele bardziej interesujące niż Kate.

– No, cóż, znaleźliśmy się w Luksorze. Widzicie, Nil to jest coś zupełnie nadzwyczajnego. Zobaczyć go to niesłychane przeżycie. Piękne są spacerunki wzdłuż jego brzegów. A potem można wsiąść do łódki i przepłynąć na drugi brzeg, do Doliny Królów...

– I królowych - wtrąciła Kate z pełnymi ustami.

– Tak, oczywiście, również do Doliny Królowych. Najpierw weszliśmy do komory grobowej Tutenchamona. Spodobałoby ci się tam, Lizzy. Te rysunki na skałach...

Kate nie przerywała mu już więcej. A miała ochotę zapytać go, dlaczego nie zabrał tam córki. Lizzy też by się spodobało w Egipcie, a

przecież była tam z Danem jedynie Anthea i jej chłopcy, nie miała co do tego wątpliwości. Teraz, kiedy opowiadał swoje wrażenia z Egiptu, Kate powoli jadła i popijała winem. Słyszała już to wielokrotnie. Och, i nie tylko opowieści o Egipcjach, ale i o wielu innych miejscach, ze szczegółami, snute tym samym niby to pełnym podniecenia, melodyjnym głosem. Zamknęła oczy i zaczęła rozmyślać.

Pocałunek Dana podziałał na nią bardziej, niż była gotowa to przyznać. Cóż, już zbyt długo nie miała mężczyzny i stanowiło to teraz poważny problem. Przez te wszystkie lata wielu mężczyzn w pracy spoglądało za nią pełnym pożądania wzrokiem, lecz niestety, niemal wszyscy byli żonaci. Kilku rozwodnikom chodziło wyłącznie o seks, a tacy Kate nie interesowali. W policji nauczyła się jednego: mężczyźni mieli prawo zachowywać się nawet jak prostytutki, natomiast kobieta, policjantka, szczególnie policjantka na jej stanowisku, musiała być absolutnie poza wszelkim podejrzeniem o niemoralne prowadzenie się.

– Co się stało, mamó? - Głos Lizzy był pełen troski.

– Och, nic. Po prostu się zamyśliłam, dzieciśno.

Dan otoczył ją ramieniem i przycisnął do siebie.

– Zapomnij na chwilę o pracy, Kate. Zobacz, masz przecież rodzinę.

Odepchnęła jego rękę i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Wiem, że ją mam. Mam ją na co dzień, Dan, i doskonale o tym wiem. Ale dziękuję ci za przypomnienie.

Atmosfera przy stole w jednej chwili ochłodziła się. Kate powróciła do indyka.

– Ona zawsze jest taka, tatusiu, kiedy akurat prowadzi jakąś poważną sprawę - odezwała się Lizzy pojednawczo i Kate zrobiło się głupio.

– Cóż, robi wspaniałą robotę, dla nas wszystkich. Co z tą dziewczyną, która została wczoraj napadnięta? - zapytała Evelyn.

– W bardzo złym stanie, mamusiu. Ktoś postąpił z nią wyjątkowo okrutnie.

– Widziałam kiedyś Mandy Kelly. Jest bardzo ładną dziewczyną, z długimi, jasnymi włosami. Jej ojciec to porządny facet, tylko wciąż ma jakieś kłopoty z policją.

– Wcale nie jest porządny! - Kate powiedziała to głośniej, niż zamierzała. Po chwili przygryzła wargi.

– Ciągłe go o coś podejrzewacie, ale przecież nigdy go o nic nie oskarżono - kontynuowała Evelyn. - Nie dostał nigdy nawet mandatu za złe parkowanie, trzymajmy się więc faktów, młoda damo.

– Mama Joanie mówiła, że jest właścicielem salonów masażu i podobnych miejsc - wtrąciła Lizzie.

– Salony masażu i podobne miejsca funkcjonują całkowicie legalnie, moja droga - nie ustępowała Evelyn. - A Patrickowi Kelly'emu nie

udowodniono, że zrobił w życiu coś złego.

– A moim zdaniem facetów takich jak on, którzy żyją z wykorzystywania kobiet, powinno się rozstrzeliwać - odezwał się Dan.

Kate z trudem powstrzymała się od szyderczego śmiechu.

– Mężczyźni potrafią krzywdzić kobiety w rozmaity sposób. Powinieneś o tym wiedzieć, Dan - powiedziała.

Natychmiast przyłożyła do ust kieliszek z winem, żeby nie mógł zobaczyć jej twarzy.

Dan wstał, odsunął krzesło i poszedł do salonu. Kate spostrzegła, jak Lizzy przygryza wargi, a na jej twarzy pojawia się wyraz zakłopotania. Dan jednak niemal natychmiast wrócił, z paczką papierosów w ręce.

– Może przystąpimy do otwierania prezentów, co wy na to? - zaproponował.

– Tak, oczywiście. Czekaliśmy tylko na ciebie, mamusiu.

Kate odłożyła na talerz nóż i widelec i poszła za wszystkimi do salonu.

Dan przygotował dla Lizzy wielką paczkę, którą ta zaczęła natychmiast otwierać. Czyniła to jednak ostrożnie, powoli, starannie ściągając papier. Nic, co znajdowało się w domu, nie mogło ulec niepotrzebnemu zniszczeniu. Kate wiedziała, że denerwuje to Dana, który najchętniej rozerwałby opakowanie na strzępy; z fotela przy kominku pozwoliła więc sobie rzucić ku niemu nikły uśmiech, pełen satysfakcji. Tymczasem Lizzy aż jęknęła z zachwytu, kiedy wyciągnęła z paczki przepiękny wełniany żakiet. Był naprawdę śliczny, ostatni krzyk mody, lecz z jakiegoś powodu jego widok rozżłościł Kate. Cholerny Dan! Doskonale wiedział, czym sprawi największą radość szesnastoletniej dziewczynie na Boże

Narodzenie. Lizzy rzuciła się ojcu w ramiona i przytuliła się do niego.

– Tatusiu, wspaniały prezent! O czymś takim marzyłam. Niech go tylko zobaczy Joanie, pęknie z zazdrości.

Evelyn podała Lizzy kolejną paczkę, tym razem z prezentem od Kate, i powtórzył się rytuał otwierania. Kate siedziała wyprostowana, uważnie obserwując córkę. Kiedy Lizzy wyciągnęła małe pudełeczko, spojrzenia matki i córki spotkały się.

– Czy to jest to, co mam na myśli, mamusiu?

– Otwórz i się przekonaj.

Lizzy niemal z czcią otworzyła pudełeczko i natychmiast pisnęła z zachwytu.

– Och, dziękuję! Dziękuję! Bałam się, że będą zbyt drogie! - Wyciągnęła przed siebie przepiękne kolczyki, aby wszyscy mogli się im przyjrzeć.

– Kochanie, teraz otwórz prezent ode mnie - powiedziała Evelyn i

podala wnuczce kolejną paczkę.

– Och, babciu!

Evelyn roześmiała się, kiedy Lizzy wyciągnęła z paczki parę butów do biegania firmy Reebok.

– Wiedziałam, że ci się bardzo podobają, więc je kupiłam.

– Mamo. - Kate wiedziała, że buty kosztowały ponad osiemdziesiąt funtów, i pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie powinnaś była wydawać aż tyle pieniędzy.

– Żyje się tylko raz, a pieniądze są po to, żeby je wydawać.

– Moje drogie, teraz wasza kolej - odezwał się Dan.

Wręczył Kate i Evelyn po małej paczuszce.

– Och, nie powinienes, Dan. Ja ci nigdy niczego nie kupuję.

Kate powoli otworzyła prezent. W środku znalazła buteleczkę Joy, swoich ulubionych perfum. Evelyn otrzymała z kolei flakonik Chanel numer 5.

– Czyż to nie wspaniałe? Jeszcze nigdy nie miałam prawdziwych francuskich perfum! Dzięki ci, Dan - powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Każdą kobietę należy od czasu do czasu dopieścić, takie jest moje motto.

Kate poczuła chęć, żeby zapytać go, ile kobiet dopieszczał przez ostatnie lata, ugryzła się jednak w język. Uśmiechnęła się do Dana.

– Dziękuję ci. To uroczy prezent.

– Mam nadzieję, że to są wciąż twoje ulubione perfumy.

– Tak, wciąż mój ulubiony.

Kate popatrzyła jeszcze, jak Lizzy wsuwa prezent w ręce ojca, po czym wyszła do kuchni i nalala sobie wina do kieliszka. Patrząc na buteleczkę perfum, ciężko westchnęła. Och, Dan, dlaczego musiałeś to zrobić?

Perfumy przywoływały wspomnienia, z którymi dziś nie była w stanie się mierzyć. Zbyt wiele innych spraw zajmowało jej umysł. I nie chciała przecież akurat dzisiaj przypominać sobie, jak bardzo jest samotna.

Tylko nie dzisiaj.

George patrzył, jak jego matka pochłania posiłek, któremu z trudem dałoby radę dwóch dorosłych mężczyzn. Uśmiechnął się do siebie. Mogła sobie teraz używać do woli. Dawno już minęły dni, kiedy własna sylwetka była dla niej najważniejszą sprawą w życiu.

– Niech mi ktoś poda sól.

Nancy wyciągnęła rękę i Joseph wsunął w nią solniczkę. Nancy głośno czknęła i przyłożyła dłoń do piersi, jakby naciskając na nie,

mogła wydusić z siebie wszystkie wiatry. Lily i Elaine zacisnęły usta i popatrzyły na nią z niesmakiem.

– Lepiej to z siebie wyrzucić, niż trzymać w środku, prawda, Georgie, mój chłopcze?

– Tak, mamó. - Uśmiechnął się do niej.

Nancy wyciągnęła w jego kierunku wskazujący palec. W jej oczach zaiskrzyła złość.

– Nie jedz za dużo farszu, chłopcze, wiesz, że masz od tego zaparcia.

George pobladł.

– Nancy, zlituj się! - zawołała Elaine. - Nie będziemy przy stole rozmawiać o kłopotach George'a z trawieniem! - Nigdy nie potrafiła zrozumieć bezustannej troski swojej teściowej o jego trzewia.

Nancy przesunęła swe wielkie cielsko na skraj krzesła, żeby ją lepiej zobaczyć.

– George'a niemal od urodzenia męczą zaparcia. Jak zaraza dopadły go, kiedy był dzieckiem. Na szczęście w szpitalu powiedzieli mi kiedyś, jak mu robić lewatywę. Ale zanim to nastąpiło, musiałam to robić, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, manualnie. Musiałam wsadzać mu palce...

– Na miłość boską! Przecież właśnie jemy! - Lilian gwałtownie odsunęła od siebie talerz. - Czy nie możemy chociaż raz... przynajmniej w tym roku... dać spokój kiszkom George'a?

Nancy głośno wciągnęła nosem powietrze i powróciła do jedzenia.

– Czy wiesz, na czym polega twój problem, Lilian? - Nabrała na widelec i wsunęła do

ust potężną porcję warzyw. - Jesteś kompletnie pozbawiona charakteru, i to ci szkodzi. Przeżyłam osiemdziesiąt jeden lat właśnie dlatego, że zawsze dbałam o swoje kiszki. Jelita są najważniejszą częścią ciała, moja droga. To dzięki nim ciało pozbywa się wszystkiego tego, co najgorsze.

– Proszę cię, mamó. - Joseph był spięty do granic hysterii. - Lily ma rację, o kiszkach możemy sobie porozmawiać później. Prawda, moi drodzy? Tymczasem opowiedz nam, George, jak ci idzie w pracy? - Ponad stołem posłał bratu szeroki uśmiech.

– Doskonale.

Rzeczywiście, Joseph, pracuję tak doskonale, że wkrótce dostanę kopa w tyłek. Nie mogę sobie pozwolić na daimlera sovereign, jak ty. Ale ty o tym wiesz, prawda? Dlatego zadajesz mi to samo pytanie za każdym razem, kiedy się widzimy. A może powiesz mi, co porabia Lily, krążąc wokół swojej gderliwej teściowej w twoim ogromnym domu, stojącym na wielkiej parceli? Czyż to właśnie nie rozmiar tego domu sprawił, że matka uszczęśliwiła cię swoją obecnością?

– George, Lily mówi do ciebie. - Głos Elaine wyrwał go z rozmyślań.

– Zawsze był taki, Elaine, nawet jako dziecko. Zawsze żył w swoim własnym świecie. Mój Georgie zawsze był marzycielem. Dlatego nie stanął na nogi jak inni. Popatrz na Edith w Ameryce. Jej Joss jest chirurgiem. Oboje pływają się w luksusach. Co kilka miesięcy wyjeżdżają na Wyspy Bahama. Cieszy się serce matki, że przynajmniej części jej dzieci powiodło się w życiu - powiedziała Nancy. W każdym jej słowie pobrzmiwał wyrzut wobec George'a.

– Edith zawsze lubiła podróżować, mamó. Pamiętasz, jak uciekła do Brighton z wędrownym sprzedawcą? - zapytała Elaine.

Momentalnie wyczuła przy stole napięcie, które wywołała, jednak tym razem sprawiło jej to radość. Ucieczki Edith do Brighton nigdy się głośno w tej rodzinie nie wspominało. Tak samo jak dziecka Edith, które rok później Nancy nakazała jej oddać do adopcji.

Nancy odsunęła od siebie talerz. Zmarszczyła czoło, a zmarszczki na jej upudrowanej twarzy zdawały się jeszcze głębsze niż zwykle.

– Tylko ty, Elaine, zdolna jesteś do tego, żeby celowo łamać mi serce. Joseph, George, wyprowadźcie mnie do salonu. Chcę być sama.

– Jestem pewien, mamó, że Elaine nie miała nic złego na myśli.

– Zamknij się, George, i pomóż starszej kobiecie.

George i Joseph natychmiast ruszyli ku matce, pomagając jej podnieść z krzesła potężne cielsko. Oparła się na ich barkach i powoli podreptała wraz z nimi z kuchni do salonu. Kiedy tylko za całą trójką zamknęły się drzwi, Lily wyszeptwała:

– Ta kobieta to chodzący koszmar.

– Wszystko słyszałam, Lily. Może jestem już stara, ale nie jestem głucha!

Elaine przyłożyła dłoń do ust, tłumiąc głośny śmiech.

– Ona ma uszy jak słoń, Elaine, nawet nie wiesz, jak to jest.

– Potrafię sobie wyobrazić, dzięki ci bardzo, a zanim zadasz mi pytanie, moja odpowiedź brzmi: nie. Zarówno ja, jak i George pracujemy, a jej nie można zostawić samej na cały dzień.

Lily ciężko westchnęła. Chciała spróbować, mimo że przecież z góry znała odpowiedź.

W salonie George i Joseph posadzili matkę na kanapie, podsuwając jej kilka poduszek.

– Joseph, wracaj na kolację. Chcę porozmawiać z George'em w cztery oczy.

Uradowany Joseph wyszedł z pokoju niemal natychmiast. Miał już prawie sześćdziesiąt lat. Prowadził dobrze prosperujący interes. A jednak matka wciąż potrafiła kilkoma zdaniem doprowadzić go do takiego stanu, że czuł się jak ośmioletni szczeniak. Kiedy znalazł się za drzwiami, Nancy klepnęła dłonią w kanapę obok siebie i odezwała się

do George'a:

– Usiądź obok mamusi, Georgie, mój chłopcze.

Zachowując czujność, wykonał polecenie.

Nancy przez kilka chwil uważnie wpatrywała się w jego twarz.

– Czas nie obchodzi się z tobą łaskawie, prawda, mój chłopcze? Sam dobrze to wiesz.

George czuł zapach jej tandetnych perfum. Zapach przywodził mu na myśl dzieciństwo. Dom z tarasem w Bow, wojnę, śmierć ojca i niekończący się strumień mężczyzn, przyjaciół matki. „Wujków”, jak kazała mu ich nazywać. George nie pamiętał ojca, jednak wiedział, że z jego śmiercią było coś nie w porządku.

Po wojnie matka spakowała wszystko, co pozostało w domu i co się dało spakować, po czym przeniosła całą rodzinę do East Ham, gdzie postanowiła spędzić kolejne lata.

Nancy Markham przez całe życie była osobą wzbudzającą grozę. Rządziła swoimi dziećmi jak wojskiem. Kiedy wydała polecenie, albo się je wykonywało, albo ponosiło się poważne konsekwencje. Tak było z dzieckiem Edith, które ta chciała zatrzymać. Miała rozdarłe serce, kiedy musiała się go pozbyć. Ale, jak zwykle, stanęło na tym, co postanowiła matka. Ona wszystko wiedziała najlepiej.

Nancy długo przemawiała do George'a niskim, cichym głosem. Głaskając go delikatnie po głowie, jednocześnie wyliczała wszystkie jego życiowe porażki.

George wiedział, że matka go nie lubi, chociaż przysięgała, że go kocha. Obserwując jej rubinowoczerwone wargi, to rozchylające się, to zaciskające, oczyma wyobraźni widział samego siebie, wstającego z kanapy, wychodzącego do holu i powracającego po chwili z nożem szwajcarskiej armii ukrytym pod deskami podłogowymi spiżarni. Widział strach w oczach matki, w chwili gdy zdała sobie sprawę, że zamierza zatopić ostrze noża w jej cielsku. Widział, jak wbija w nią nóż, a potem dźga i tnie jej wielkie cycki i niewiarygodnie wielki brzuch.

– Georgie, chłopcze, ty się pocisz! Dobrze się czujesz?

Uśmiechnął się do niej. Swym sekretnym uśmiechem.

– Tak, mamo. Czuję się doskonale. Absolutnie doskonale. W gruncie rzeczy nigdy nie czułem się lepiej.

Po raz pierwszy w życiu Nancy Markham poczuła, że syn ma nad nią przewagę. Nie potrafiła rozgryźć jego myśli. I tak jak niedawno Elaine wcale się jej to nie spodobało.

Patrick Kelly siedział przy łóżku swojej córki w szpitalu miejskim w Grantley. Obrzęki na jej twarzy były trochę mniejsze, ale wciąż tkwiła w

głębokiej śpiączce. Lekarze wycięli małe okienko w jej czaszce, ponieważ mózg nabrzmiął tak mocno, że trzeba było zmniejszyć jego parcie na kość.

Trzymał w ręce jej dłoń. Boże Narodzenie nic w tej chwili dla niego nie znaczyło. Wielka kolacja, jaką planował, uroczyste rozdawanie prezentów, wszystko to straciło jakikolwiek sens.

Niedawno wziął udział w mszy świętej w szpitalnej kaplicy. Po raz pierwszy od dwudziestu lat. Modlił się do Boga, żeby ocalił jego córkę. Aby uczynił ją znów taką, jaka była przed napadem. Ale nawet w trakcie modlitwy doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej hipokryzji.

Kiedy on siedział w kaplicy, zastępy opłaconych opryszków poszukiwały już sprawcy ohydneho napadu. Kelly zazgrzytał zębami. Wiedział, że nawet jeśli będzie musiał poświęcić na to resztę życia i wydać każdy pens ze swojego sporego majątku, znajdzie drania. A kiedy już go dopadnie, zapłaci mu tak, jak na to zasłużył. Zapłaci mu śmiercią. Długą, powolną śmiercią.

Przyłożywszy dłoń Mandy do swoich ust, delikatnie ją pocałował.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Boże Narodzenie 1948 roku

George leżał w łóżku, wpatrując się w sufit. Naciągnął koce powyżej ramion i rozcierał rękami marznące uszy, co chwilę chuchając na dłonie, żeby je rozgrzać. Całe jego ciało było odrętwiałe od zimna. Otwierane pionowo okna zamarzyły od wewnątrz i poprzez lodowe wzorki pierwsze promienie wschodzącego słońca posyłały na ścianę dziwaczne refleksy. Usłyszawszy jakiś hałas dochodzący z pokoju matki, wysunął odrobinę głowę spod koców. Powoli oddychał przez usta i obserwował, jak para wodna unosi się nad nim niczym dym z papierosa. Nasłuchiwał. Odgłos nie powtórzył się. Stopniowo zaczął się odprężyć. Nagle usłyszał głuchoe odgłosy bosych nóg stąpających po linoleum. Zamknął oczy i zacisnął powieki najmocniej, jak potrafił. Może to matka szła do toalety? A może Edith? Jednak nie, ktoś zatrzymał się przed jego drzwiami.

Skulił się mocno w łóżku. Z trudem był w stanie cały się przykryć. Miał tylko jedno prześcieradło, jeden zniszczony koc i jakiś stary płaszcz.

Jeszcze mocniej zamknął oczy i próbował udawać nieprzytomnego. Ogarnął go taki strach, że zaczęły mu drzeć usta. Usłyszał, jak drzwi otwierają się ze skrzypieniem i ktoś powoli wchodzi do jego sypialni. Odruchowo pociągnął nosem, kiedy wyczuł ciężki smród męskiego potu, zmieszany z kwaśnym odorem piwa. Był przerażony. Mężczyzna ostrożnie podchodził do jego łóżka, uważnie stawiając stopy tylko na tych deskach w podłodze, o których wiedział, że nie zaskrzypią.

- Georgie? Nie śpisz?

Dziecko leżało bez ruchu. Jego serce biło tak głośno i szybko, że mężczyzna z całą pewnością musiał je słyszeć.

George mocno zaciskał oczy nawet wtedy, gdy poczuł nad sobą jego gorący oddech. Głowę miał ciągle pod kocem i płaszczem, a kolana przyciągnął do piersi, aż znalazł się w pozycji embrionalnej.

Pod przykrycie wsunęła się wielka, ciepła ręka i po chwili George poczuł jej szorstkość, kiedy powoli zaczęła pieścić jego pośladki. Nagle łóżko zapadło się i dziecko wbrew swojej woli potoczyło się w kierunku brzucha intruza.

Przynajmniej był ciepły.

W pewnej chwili wszystkie przykrycia zostały zerwane i George powędrował do świata fantazji, który był jedyną ucieczką od życia.

Później mężczyzna zwlókł się z łóżka i George mógł wreszcie zasnąć mocnym snem straszliwie zmęczonego człowieka. Na jego powiekach lśniły łzy, który toczyły się z oczu bezgłośnie, a on sam leżał w ciepłe, które pozostawił po sobie intruz.

Bert Higgins wsunął się z powrotem do łóżka obok Nancy Markham i próbował właśnie ułożyć się jak najwygodniej, kiedy ona odezwała się:

– Jak się dzisiaj sprawował Georgie, Bert?

Znieruchomiał obok niej.

– Och, doskonale wiem o twoich nocnych wizytach u George’a.

Nancy napawała się strachem, do którego go doprowadziła. Wreszcie uzyskała nad nim przewagę i bardzo jej się to spodobało. Bardzo.

Roześmiała się szyderczo.

– Wyobrażam sobie, co powiedzą twoi kumple, kiedy dowiedzą się, że lubisz małych chłopców, Bert.

Zmienił pozycję w łóżku i zacisnął dłoń na jej gardle.

– Co dalej zamierzasz, Nance?

Znów się roześmiała. Nie okazywała ani odrobiny strachu.

– Kto, ja? Nic nie zamierzam, Bert. Znasz mnie, wyznaję zasadę, że każdy robi to, co lubi. I niech tak będzie. Zażądam od ciebie jedynie więcej pieniędzy.

Bert puścił ją i zapalił świeczkę stojącą na nocnym stoliku. Położył się na plecach i wbił spojrzenie w sufit.

– Czy to znaczy... to znaczy, że nie zamierzasz mnie powstrzymać? - W jego głosie brzmiało niedowierzenie.

– A niby dlaczego? O ile dojdziemy do finansowego porozumienia, nic mnie nie obchodzą twoje słabotki.

W słabym świetle świecy na ustach Berta pojawił się uśmiech.

– Wiesz co? Dla pieniędzy zrobiłabyś wszystko, prawda?

Nancy zapaliła papierosa i po chwili wypuściła w powietrze gęsty kłąb dymu. Następnie odwróciła się twarzą do Berta.

– Rzeczywiście. Pieniądze mają w sobie taką dziwną siłę...

– W porządku, Nance. Ile?

– Dodatkowe pięć funciaków na tydzień załatwi sprawę.

Bert przez chwilę rozważał propozycję.

– Zgodziłbym się na trzy.

– Piątek albo nici z porozumienia.

– W porządku. A co z nami?

Nancy zgasiła papierosa i zdmuchnęła świeczkę.

– Z nami? A co ma być? Wszystko normalnie. Dobranoc.

– Dobranoc, Nancy.

Zasnęła w ciągu kilku minut. Tymczasem Bert jeszcze długo rozważał nową sytuację. Oto właśnie Nancy Markham sprzedała mu swojego syna za głupie pięć funtów na tydzień.

Powróciwszy do domu, George ujrzał Berta rozwalonego na kanapie i głośno chrapiącego. Kiedy Bert odwrócił się, układając się wygodniej, na twarzy George'a pojawił się uśmiech. Nikły uśmiech, prawie nie obnażający zębów.

Czuł smród alkoholu unoszący się intensywnie wokół Berta z każdym jego oddechem i trafnie odgadywał, że facetowi urwał się film w którymś momencie pijackiego wieczoru. Zapewne dlatego matka pozostawiła go akurat tutaj.

Podszedł bliżej i popatrzył na mężczyznę z góry. Bert rozlał na siebie szklankę whisky, przez co odór alkoholu był jeszcze mocniejszy. Pusta szklanka leżała na kanapie pomiędzy nim a oparciem.

George wziął do ręki butelkę whisky Black and White i delikatnie wylał resztę alkoholu na oparcie. Czuł przy tym miłe podniecenie.

Następnie odstawił butelkę z powrotem na stół i wziął do ręki pudełko zapalek. Drżącymi rękami zapalił jedną z nich. Stał, patrząc na płomień zafascynowanym wzrokiem, dopóki zapalka nie zaczęła parzyć go w ręce. Ból sprawił, że odrzucił ją od siebie. Ssąc palec, patrzył, jak zapalka podpala whisky, którą nasączona jest kanapa. W półmroku obserwował, jak początkowo słaby niebieski płomień powoli pełźnie po oparciu, z każdą chwilą nabierając intensywności. W powietrzu zaczynał się unosić lepki zapach spalenizny. George patrzył na Berta, który wciąż chrapał, jednocześnie oddychając gęstniejącym dymem.

Dopiero kiedy ogień zajął ubranie Berta, George uległ największej fascynacji. Materiał spodni zaczął się kurczyć i topić. Podniecenie George'a rosło, gdyż Bert nie robił nic, żeby się ratować.

Nagle, w jednej chwili, kanapa zamieniła się w wielką kulę ognia. Ogarnęły ją potężne płomienie, które do tej pory jedynie pełzały po oparciu i podłokietnikach, kierując się ku podłodze.

George cofnął się do drzwi. Ogromna temperatura bijąca od płomieni paliła mu twarz. A ogień jakby oszalał. Płomienie wystrzeliły aż do sufitu i zaczęły biec ku George'owi.

Tymczasem Bert wydał przeraźliwy jęk. Zerwał się z kanapy i w przerażeniu zaczął biegać po pokoju. George patrzył, jak płonący Bert łapie i zrywa z okien brokatowe zasłony i jak one również się zapalają. W pomieszczeniu zapanowało prawdziwe pandemonium. Do środka wbiegła Edith i dopiero jej krzyki trochę przywołały George'a do rzeczywistości. Teraz z przerażeniem obserwował, jak Edith zrywa z

kuchennego stołu obrus i powróciwszy do salonu, próbuje zadusić nim płomienie na Bercie. Mężczyzna padł na podłogę, a ona zaczęła okładać go obrusem.

– Biegnij po pomoc, George, na miłość boską! Pośpiesz się!

Wreszcie zdecydował się na działanie i zderzył się z Josephem, który, usłyszawszy na dole krzyki, zjechał z piętra po poręczy schodów.

– Do kurwy nędzy! - zawołał z niedowierzaniem.

Natychmiast wybiegł przez frontowe drzwi i jak oszalały, w samej pidżamie, skierował się do ogrodu. Z kolei George odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje w salonie.

Nocna koszula Edith już się paliła, po jej rąbkach pełzały niebieskie płomienie. Podbiegł do siostry i pociągnął ją za rękę.

– Twoja koszula! Edie, twoja koszula! - Pozwoliła mu zadusić płomienie wełnianymi skarpetami.

– Do cholery, co się tutaj dzieje? - zagrział niespodziewanie głos Nancy.

Stała w drzwiach i gwałtownie mrugała.

Pokój cały płonął i Edith zaczęła wypychać George'a na zewnątrz.

– Mamo, pomóż mi go stamtąd wyciągnąć. Jeszcze chwila i wszystko spłonie!

Nancy niemal wyrzuciła George'a na zewnątrz. Stanął przed domem na deszczu i patrzył, z coraz bardziej przemarzającymi stopami, jak po chwili Nancy i Edith taszcą do ogrodu potężne cielsko Berta. Przez otwarte drzwi wydobywał się na zewnątrz czarny dym, a smród spalenizny unosił się już dosłownie wszędzie. Szary popiół próbował wzbijać się w niebo, jednak deszcz spychał go z powrotem na chodnik i w końcu do rynsztoków.

W domach dookoła pozapalały się wszystkie światła i zaczęły wybiegać z nich ludzie, przestraszeni i podekscytowani widowiskiem. George poczuł, jak pani Marshall otula go ciężkim płaszczem i wyciąga z ogrodu. Łagodnie otoczyła go ramieniem i zaprowadziła do swojego domu. Po chwili obserwował już wydarzenia z uroczą ciepłego frontowego pokoju pani Marshall. Ogarnęło go uczucie, że wszystko to, co widzi, jest jakby nierealne.

Do rzeczywistości przywołały go odgłosy nadjeżdżających samochodów strażackich.

Berta wyniesiono z ogrodu na noszach. Białe prześcieradło zakrywało całą jego twarz.

George był rozradowany. Bert nie żył. Bert Higgins był martwy. Odwrócił się do pani Marshall, a ona uznała jasne iskielki w jego oczach za lśnienie łez. Objęła go mocno pachnącymi, opiekuńczymi ramionami i delikatnie pocałowała w czubek głowy.

– Biedna, maleńka kruszynko, jak się czujesz?

Jeszcze nigdy nie czuł się taki potężny. Raz na zawsze zniszczył świat, w którym istniał Bert Higgins.

Pani Marshall odsunęła go od siebie i popatrzyła mu w oczy.

– Czy chcesz, żebym zaparzyła ci filiżankę wspaniałej, słodkiej herbaty? - Delikatnie posadziła go na kanapie i wyszła do kuchni.

Do pokoju wszedł Joseph i usiadł obok George'a. Jego twarz była niemal czarna od popiołu.

– Mama pojechała z Bertem do szpitala. Edith jest z nimi. My mamy tutaj zostać, dopóki nie wrócą.

George wsunął rękę w dłoń brata i Joseph lekko ją ścisnął.

– Pani Marshall robi herbatę, Joseph. Czy chcesz się napić?

Następnego dnia George i Joseph zaczęli myszkować po ruinach domu. Wyciągnęli ze zgliszczeń całkiem sporo sprzętów. Ułożyli je w ogrodzie. Edith i Nancy wróciły ze szpitala dopiero późnym popołudniem.

Nancy udała się prosto do domu pani Marshall, a Edith podeszła do chłopców.

– Bert nie żyje. Mama dostała środki uspokajające i musiałam być przy niej w szpitalu. A z wami wszystko w porządku?

– Dokąd teraz pójdziemy?

Edith wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale nie martwcie się, wszystko się jakoś ułoży. Życie musi toczyć się dalej - powiedziała zmęczonym głosem i George w tej chwili bardzo jej współczuł.

– Pani Marshall poczęstowała nas rano jajkami na bekonie. Jeśli ładnie ją poprosisz, nakarmi także ciebie.

Edith uśmiechnęła się bez radości.

– Nie jestem bardzo głodna.

George wzruszył ramionami i powrócił do przeszukiwania zgliszczeń.

– Czy wiadomo, skąd się wziął ogień, Edie? - zapytał Joseph.

– O ile się zorientowałam, straż pożarna uważa, że Bert zasnął z zapalonym papierosem. Wiem, że był świnią, ale żeby umrzeć w taki sposób... Twarz miał powykręcaną z bólu, mówię ci, to było straszne. W kilku miejscach ciało miał wypalone do kości. Umarł w strasznych męczarniach.

Joseph podszedł do siostry i otoczył ją ramieniem.

George wszystko słyszał i uśmiechnął się do siebie. Następnie zaczął głośno chichotać. Wybiegł na ulicę i uniósłszy ręce wysoko do góry, zaczął skakać i tańczyć jak szalony. Wreszcie upadł bez tchu na chodnik.

Leżał tak na mokrym trotuarze długo, bardzo długo, a jego umysł

wprost wirował. George miał swój sekret, sekret przed całym światem.

Wreszcie Edith uklękała obok niego, a George uśmiechnął się do niej. Sekretnym uśmiechem, ukazującym wszystkie zęby.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kate zeszła do łazienki o siódmej trzydzieści. Nalała do wanny mnóstwo pianki do kąpieli, po czym położyła się w wodzie, pozwalając, aby gorąco przenikało ją aż do kości. Długie włosy spięła na czubku głowy. Nie miała makijażu. Mocno zacisnęła oczy. Sprawa Mandy Kelly naprawdę ją przerażała.

Wieczorem Lizzy przymierzyła całą swoją biżuterię i Kate obserwowała, jak jej córka co chwilę staje w salonie przed lustrem. Czowała się, jakby jakaś niewidzialna dłoń chwytiała ją za serce. A gdyby ten człowiek, ten morderca, napadł na Lizzy i zrobił z nią to samo, co zrobił z Mandy Kelly i Geraldine O'Leary? Odepchnęła od siebie te myśli. Nic złego nie mogło się Lizzy przytrafić, Kate była tego pewna. Przy odrobinie szczęścia Mandy Kelly dojdzie do siebie. Dzielnie walczyła o życie, to było widoczne.

Wsunęła ramiona pod wodę. Na jej ciele pojawiła się gęsia skórka, i to wcale nie z zimna. Znów zamknęła oczy. Walczyła jak lwica o to, żeby w Boże Narodzenie mieć dzień wolny, a tymczasem Lizzy zamierzała w całości spędzić go z ojcem.

Musiała przyznać, że Dan trzymał się doskonale. Wczoraj po kolacji przysłała do Lizzy jedna z przyjaciółek, Joanie, z młodzieńczym trądzikiem i o oślim śmiechu. Kate skarciła się za taką ocenę dziewczyny. Co się z nią działo? Przecież biedna Joanie była bardzo miłą osobą. A jednak pełne uwielbienia spojrzenie, jakim co chwilę obrzucała Dana, denerwowało Kate. To nie było fair, sposób, w jaki Dan oddziaływał na kobiety...

Usłyszała, że drzwi do łazienki otwierają się i na jej usta wypełził uśmiech. To zapewne Lizzy z kieliszkiem wina albo, jeszcze lepiej, z filiżanką gorącej kawy. Otworzyła jedno oko i nagle usiadła w wannie, zaszokowana. Woda zaczęła spływać po jej ramionach.

- Czego tutaj chcesz? - zapytała głośnym szeptem. Ramionami osłoniła piersi.

- Przyniosłem ci kieliszek wina i papierosa, to wszystko, Kate. Nie martw się, nie zamierzam cię zgwałcić. - Głos Dana brzmiał zupełnie normalnie i Kate poczuła się jak idiotka.

Do jednej ręki wsunął jej kieliszek, a do drugiej, najpierw wytarłszy ją ręcznikiem, włożył zapalonego papierosa.

- Sprawiasz wrażenie takiej spiętej, że wpadłem na pomysł, żeby

pomóc ci się trochę zrelaksować.

Kate z powrotem zanurzyła się w wodzie, zadowolona, że pianka nie pozwala Danowi patrzeć na jej ciało. A on usiadł na klapie sedesu i roześmiał się.

– Nie rozumiem, dlaczego zgrywasz taką skromniśnię. Przecież doskonale wiem, jak wyglądasz rozebrana, nie pamiętasz?

– Co robią Lizzy i Evelyn? - Kate z trudem udawało się zachować beztroski ton.

– Oglądają film z Jamesem Bondem, moja droga. Nagrałem go dla nich dzisiaj w nocy. A jak postępuje twoje śledztwo?

Mówił to lekkim, przyjaznym tonem, a Kate powróciła myślami wiele lat wstecz, kiedy oboje kąpali się razem. Wówczas wszystko pomiędzy nimi wspaniale się układało, dopóki nie urodziła się Lizzy.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo. Wciąż nie mamy podejrzanego.

– Podziwiam cię, Kate, przecież wiesz o tym. Podziwiam cię za upór i sposób, w jaki zbudowałaś swoją karierę.

– To się nazywa ciężka praca, Dan. Też mógłbyś tego kiedyś spróbować, wiesz?

Uśmiechnął się, ukazując nieskazitelnie białe, równiutkie zęby.

– Schowaj pazurki, Kate, proszę. Wiem, co sobie o mnie myślisz, ale ja się zmieniłem, uwierz mi. Już dawno temu zdałem sobie sprawę, że powinienem dorosnąć, i naprawdę nad tym pracuję.

Kate upiła łyk wina, po czym mocno zaciągnęła się papierosem. Dan znajdował się stanowczo zbyt blisko niej i ta bliskość wzbudzała jej niepokój. Zsunął się z sedesu i ukląkł przy wannie.

– Co robisz? - zapytała Kate podejrzliwie. Obie ręce miała teraz zajęte, a za grosz nie wzbudzał w niej zaufania.

– Kompletnie nic. Zamierzam jedynie umyć ci plecy, to wszystko.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek mył mi plecy, dziękuję ci bardzo. Mam jednak do ciebie ogromną prośbę. Wyjdź stąd.

Znów się wyprostowała, jednocześnie rozglądając się za odpowiednim miejscem, żeby odstawić kieliszek i odłożyć papierosa. Niespodziewanie to Dan odebrał jej i kieliszek, i papierosa, uwalniając jej ręce.

– Jak widzisz, Kate, chcę być tylko użyteczny. Skoro już przebywam w twoim domu...

Nie dała mu dokończyć.

– Skoro już przebywasz w moim domu, zostaw mnie teraz samą. Nie mamy w nim zwyczaju ryglować drzwi i byłoby mi bardzo niemiło, gdybym jednak musiała ten zwyczaj wprowadzić.

– Nie mogłabyś chociaż spróbować być dla mnie miłsza?

W jego niebieskich oczach widać było zaskoczenie i przez kilka

sekund Kate nawet mu współczuła. Dan naprawdę nie wiedział, co się z nią dzieje. Dla niego sprawa była prosta: jeśli czegoś chciał, zaraz to brał. Nigdy do końca nie rozumiał, jak bardzo w przeszłości ją skrzywdził. A przecież już wiele razy przyjmowała go z powrotem pod swój dach po to tylko, żeby pewnego dnia, powróciwszy z pracy, stwierdzić, że znów go nie ma w domu. I nie ma też żadnego listu, wyjaśnienia, niczego, poza zatroskaną twarzą matki. Już zbyt wiele razy musiała tłumaczyć Lizzy, że tatuś znów wyjechał na długo. Że pracuje gdzieś daleko, bardzo, bardzo daleko i dlatego nigdy do nich nie pisze ani nie telefonuje.

Niemal w tej samej chwili, w której zaczął delikatnie przesuwac palcami po jej ramieniu, odczuła dziwną przyjemność. Seksualnie Dan nadal ją pociągał, musiała to przed sobą przyznać, lecz nie zamierzała pozwolić, by to zauważył.

– Wiesz, Kate, jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem. Możesz myśleć o mnie, co chcesz, ale taka jest prawda.

Kate wstała, zdjęła ręcznik z poręczy i ciasno się nim owinęła. Zabawne było to, iż doskonale wiedziała, że Dan mówi jej najprawdziwszą prawdę. Był jednak typem człowieka, który ciągle poszukuje nowych wrażeń. Potrzebował wciąż nowych kobiet tak samo, jak każdy człowiek potrzebuje wody. Gdyby wcześniej potrafiła to zaakceptować, nigdy by się nie rozstali. A jednak ona z kolei potrzebowała mężczyzny, który w stu procentach należałby do niej. Takiego mężczyzny nie miała szansy znaleźć w Danie Burrowsie.

– Zostaw mnie w spokoju, Dan, naprawdę. Miałeś swoją szansę i ją zmarnowałeś. Nie mam zamiaru przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. Dawno temu przestałam za tobą tęsknić i ciebie pragnąć. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym doprowadzić się do porządku.

Posłał jej jeden ze swoich najbardziej niewinnych uśmiechów.

– Nie możesz mnie winić za wszystko, Kate. Przecież wciąż jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

Wiesz aż za dużo o atrakcyjnych kobietach, Dan, pomyślała Kate. Bóg jeden wie, ile ich w życiu miałaś.

Dan wyszedł z łazienki i Kate poczuła się nagle opuszczona i oszukana. Przecież nie miała mężczyzny już od pięciu lat, od dnia, w którym Dan porzucił ją po raz ostatni. Chociaż tego nie wiedział, był jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek spała.

Uniosła kieliszek z parapetu, na który odstawił go Dan, i jednym łykiem opróżniła jego zawartość. Ręce jej się trzęsły, i to bynajmniej nie ze strachu.

Myśli Kate powędrowały ku Patrickowi Kelly'emu, czuwającemu teraz samotnie przy szpitalnym łóżku córki. Wycierając ręcznikiem

krocze, wyczuła napięcie pomiędzy nogami. Kelly wywołał w niej tęsknoty i uczucia, jakich nie zaznała od lat. Była zmęczona i samotna, a Patrick Kelly wywarł na niej wrażenie z całkiem zrozumiałych powodów - był atrakcyjnym mężczyzną. Z drugiej strony, Dan wywierał na niej wrażenie z niezrozumiałych powodów. Właściwie tylko dlatego, że był teraz w jej domu, a Kate doskonale wiedziała, jak by się kochali, gdyby znaleźli się razem w łóżku.

Miała nadzieję, wielką nadzieję, że córka Kelly'ego przetrwała już najgorsze. Przecież tak mocno w to wierzył, tak bardzo wierzył, że Mandy wkrótce otworzy oczy i popatrzy na niego, jakby właśnie obudziła się z krótkiej drzemki. Dla niego, tylko dla niego, Kate pragnęła, żeby tak właśnie się stało.

Oczywiście, Patrick Kelly opanował jej myśli wyłącznie z powodu nieszczęścia, jakie spotkało jego córkę. Kate uczepiła się tego stwierdzenia. Po prostu jedynie mu współczuła.

A jednak wiedziała, że oszukuje samą siebie.

Patrick Kelly zawładnął całym jej sercem i całą duszą. Był pierwszym mężczyzną od pięciu lat, który wywarł na niej wrażenie.

Usłyszała głos Dana, dobiegający z salonu, i zaraz potem śmiech Lizzy. Cóż, przynajmniej dał jej Lizzy. Chociażby dlatego gotowa była wybaczyć mu wiele. Ale dni, kiedy razem sypiali, minęły i nigdy już nie wrócą.

Patrick Kelly popatrzył na zegarek. Było kilka minut po siódmej. Zdał sobie sprawę, że nic nie jadł już od ponad dwudziestu czterech godzin. Był nieogolony i brudny. Ułożywszy rękę córki delikatnie na pościeli, wyszedł z sali intensywnej terapii. W małej poczekalni zapalił papierosa i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął niewielką piersiówkę. Koniak natychmiast rozpalił mu pusty żołądek.

Do poczekalni wszedł młody posterunkowy, pozostawiony w szpitalu na wszelki wypadek, gdyby Mandy obudziła się i zaczęła coś mówić.

Patrick popatrzył, jak policjant siada na krześle. Dzieciak, pomyślał. Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia lat. Patrick poczuł, jak ogarnia go fala współczucia dla chłopaka. Trwa oto bożonarodzeniowa noc, a on musi tkwić w szpitalu przy niemalże martwej dziewczynie, czekając, czy przypadkiem nie wypowie kilku ważnych słów. A przecież mógłby być teraz w domu, na rodzinnym przyjęciu, czy gdziekolwiek indziej.

Wyciągnął w jego kierunku butelkę.

- Masz, synu, strzel sobie jednego.

Policjant przyjął poczęstunek i wypił łyk. Zakaszłał, kiedy płyn dotarł do jego gardła.

- Wesołych świąt, synu - powiedział Patrick głuchym, ponurym

głosem.

– Ona to przetrwa, proszę pana. Poza tym dzisiejsza medycyna... Lekarze potrafią czynić cuda.

Chłopak mówił to tylko dlatego, żeby podtrzymać Kelly'ego na duchu, i obaj to wiedzieli.

Nagle usłyszeli oszalały wysoki pisk, docierający z urzędzeń, do których podłączona była Mandy. Szybko zgasili papierosy i wybiegli z poczekalni.

Po chwili łóżko Mandy otaczały już zastępy pielęgniarek i lekarzy. Jedna z sióstr odciągnęła Patricka. Trwała szalona walka o zachowanie jego córki przy życiu.

Po dość długim czasie wszystko ucichło. Słysząc było tylko jednostajny pisk urządzenia kontrolującego pracę serca Mandy. Wreszcie ktoś wyłączył także ten monitor i w efekcie w szpitalu zapanowała śmiertelna cisza.

– Znow muszę iść do toalety. George, Joseph, pomóżcie mi!

Pomogli matce podnieść potężne cielsko z kanapy. Od czasu, kiedy zjawiała się w tym domu, do toalety udawała się już szósty raz.

Kiedy bracia wyprowadzili matkę z salonu, Elaine zerknęła na zegarek. Dwudziesta trzydzieści. Dzięki Bogu, wkrótce goście sobie pójdą.

– Lily, powiedz mi, jak się ma Berty?

– Doskonale. Jak wiesz, jest zaopatrzeniowcem w wielkim sklepie odzieżowym. Oczywiście, nie widzimy jej tak często, jak byśmy chcieli... - Pozostawiła zdanie niedokończone, jednak Elaine bez słów wiedziała dlaczego. Wnuki serdecznie nienawidziły Nancy.

Tymczasem Nancy siedziała na sedesie. Jej dwaj synowie stali przed drzwiami łazienki, ciężko dysząc. Prowadzenie Nancy Markham pod górę po schodach było wyczerpującym zajęciem. Obaj mężczyźni doskonale wiedzieli, że matka wciąż doskonale chodzi sama, lecz - jak wszystko, co dotyczyło ich matki - nie mogło to być tematem dyskusji.

George zauważył sine obwódki wokół ust Josepha. Przewidywał, że matka wpędzi go przedwcześnie do grobu.

– Jestem gotowa! - Głos Nancy zabrzmiał w powietrzu jak grzmot pioruna.

Mężczyźni otworzyli drzwi toalety. Smród fekaliów był porażający.

– Możesz mnie podetrzeć, George. Ostatnio robił to Joseph, cholernie niezdarnie. - Pogroziła mu palcem. - Zrób to dokładnie, synku, bo w przeciwnym wypadku będę zła.

Nancy przez chwilę stała na nogach, opierając cały ciężar swojego

wielkiego cielska na ramionach synów, po czym gwałtownie opadła na kolana. Oczywiście, pociągnęła za sobą Josepha i George'a.

– Kurwa mać! - W małej łazience rozległo się głośne przekleństwo Josepha.

George w zdumieniu popatrzył na brata.

Joseph zaklął w obecności matki!

Tymczasem Nancy zdążyła opaść na ręce i kolana, ale zaraz, zanim zastanowiła się, co robi, samodzielnie zerwała się na nogi i oparłszy ręce o obfite biodra, wbiła wzrok w starszego syna.

– Co powiedziałeś?

George podniósł się z podłogi i usiadł na skraju wanny, nerwowo chichocząc. Sytuacja zaczynała go bawić. Joseph wciąż leżał na posadzce. Matka złapała go za rękę, niemal wrywając mu ją ze stawu. Syknął z bólu.

– Co się tam dzieje? Co to za hałasy?

Potężny głos Elaine, który za jej najlepszych czasów mógł z powodzeniem konkurować z basem Nancy Markham, uniósł się na schodach i dotarł aż do łazienki. George usłyszał człapanie jej laczków na stopniach.

– Zapytałam, co powiedziałeś, Josephie Markowitz. Odpowiedz mi!

Elaine zajrzała do łazienki i zastygła w bezruchu z wyrazem niedowierzania na twarzy. Ujrzała, jak jej teściowa trąca Josepha nogą w udo.

– Przepraszam, mamó. Poślizgnąłem się.

Nancy, w tej chwili zdawszy sobie sprawę, że bez żadnego wysiłku samodzielnie powstała z czworaków, położyła rękę na klatce piersiowej i wywróciła oczyma.

– Och, George, pomóż mi... Chyba zaraz zemdleję.

Znów opadła na posadzkę, a Joseph dokonał cudu zręczności, w porę przeturlawszy się pod ścianę, żeby matka nie spadła na niego. Elaine patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczyma.

– Posłuchaj mnie tylko, George'u Markham. Uwierz mi, to był ostatni raz! Czy mnie słyszysz? - Głos Elaine był przynajmniej o piętnaście decybeli mocniejszy niż zazwyczaj. - W przyszłym roku na święta wyjeżdżamy! A teraz zabieraj stąd tę swoją popierdoloną matkę i niech natychmiast zniknie z mojego domu. Mam tego dość!

Nancy i Joseph równocześnie szeroko otworzyli usta, ale natychmiast je zamknęli, kiedy popatrzyli na George'a. A on wciąż siedział na skraju wanny i potrząsając głową, śmiał się bezgłośnie. Po twarzy ciekły mu grube łzy, które co chwilę wycierał wierzchem dłoni.

Lily, którą także sprowadziła tutaj ciekawość, oglądała tę scenę z niedowierzaniem. Matka wiele lat temu ostrzegła ją, żeby nie wchodziła

do rodziny Markhamów. Miała rację.

Markhamowie byli zabawni. Nie na tyle zabawni, żeby się z nich śmiać, ale jakoś tak... Zabawni inaczej.

Kiedy Kate odebrała telefon z wiadomością, że Mandy Kelly zmarła, natychmiast pojechała do szpitala. Teraz prowadziła sprawę dwóch morderstw. Zobaczywszy Patricka Kelly'ego, przeraziła się. To, że ciężko przyjął śmierć córki, było zrozumiałe. Straszne było to, że niemal w jednej chwili okropnie się zmienił. Sprawiał wrażenie wynędzniałego, chorowitego starca.

Podeszła do niego. Wciąż trzymał w ramionach ciało córki, mimo że zgromadzeni przy nim lekarze i pielęgniarki naciskali, by je już zostawił. Zwłoki należało zamknąć w komorze chłodniczej, i to szybko. Kate zdecydowanym gestem nakazała wszystkim opuszczenie pokoju i po chwili została z nim sam na sam.

– Naprawdę, bardzo panu współczuję, panie Kelly. Zapewniam pana, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć sprawcę tej zbrodni.

Jej delikatny głos wyrwał go z rozmyślań. Popatrzył na Kate zaczerwienionymi oczyma.

– Miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, przecież była jeszcze dzieckiem. Dzieckiem, nikiem więcej. Kupiłem jej salon fryzjerski, czy pani wie? - Głos mu załamał i Kelly głośno pociągnął nosem. - Uroczy, malutki salonik. Dałaby sobie w nim radę, nie była głupiutką dziewczynką. Moja Mandy była inteligentną osobką. - Mocno przygryzł wargę. - Co ja teraz bez niej zrobię? - Bezradny ton jego głosu chwycił Kate za serce. - Była wszystkim, co miałem.

Kate otoczyła go ramieniem i Patrick Kelly zaczął płakać w jej zakiet. Delikatnie pogłaskała go po głowie. Powszechnie nazywano go Windykatorem. Mawiano, że jest najlepszy w tym biznesie. Potrafił odzyskać wszystko, od samochodu, przez dźwig budowlany, aż po wielki jacht. Zarówno przyjaciele, jak i wrogowie za plecami mówili o nim „Sroka”. Kate doskonale wiedziała, że jego interesy nie są całkiem legalne. Prowadził sex shopy, salony masażu i wiele innych podobnych przedsiębiorstw. Teraz jednak, mając świadomość, jak rozdarte jest jego serce, Kate odczuwała wobec Patricka Kelly'ego jedynie współczucie. Przede wszystkim był kochającym ojcem, a w swoim czasie także kochającym mężem; Kate zazdrościła jego zmarłej żonie miłości, jaką ją obdarzał.

– Panie Kelly, zawiozę pana do domu, dobrze? Tutaj nie może pan już nic zrobić.

Odciągnęła go od zwłok dziewczyny. Kiedy się wreszcie wyprostował,

nie potrafił wykonać kroku. Objął Kate w talii i nadal płakał. Jego ramiona trzęsły się pod wygniecioną drogą koszulą.

Kiedy jakoś się opanował i wyszli ze szpitalnej sali, Kate dała znak detektywowi sierżantowi Willisowi, który tymczasem przybył do szpitala, żeby do nich nie podchodził. Postanowiła, że sama zawiezie Patricka Kelly'ego do jego domu.

Willis z szacunkiem patrzył za oddalającą się przełożoną. Patrick Kelly był złym człowiekiem, łotrem i zbirem, jednak w tej chwili jadł detektyw inspektor Kate Burrows z ręki. To chyba jedna z korzyści, wynikających z tego, że jest się kobietą, pomyślał.

Przed szpitalem kierowca Kelly'ego czekał na niego w rolls-roysie corniche. Kate pomogła Kelly'emu zająć miejsce na tylnym siedzeniu, z ulgą, że jednak nie musi wieźć go do domu. W chwili, kiedy miała zatrzaskiwać drzwi, powstrzymał ją jego głos:

– Proszę, niech pani pojedzie ze mną... Muszę z kimś porozmawiać.

Mówił z takim bólem i tak błagalnym tonem, że Kate wahała się tylko przez moment, po czym wsiadła do samochodu. Może niechęć poda jej jakiś trop, który pomoże dotrzeć do zabójcy? Czasami zdarzały się takie sytuacje.

Złapał ją za rękę i mocno ścisnął. Przez całą drogę Kate co chwilę spoglądała na jego profil. Tymczasem Kelly cały czas patrzył przez szyby na zimne i opuszczone ulice. Mimo bólu, jaki go drążył, mimo szklących się oczu, jego twarz wyrażała stanowczość i zdecydowanie. Ciemne włosy, choć w nieładzie, układały się we fryzurę właściwą tylko silnym mężczyznom. Tak ją przynajmniej odbierała Kate. Nie miała wątpliwości, że Patrick Kelly jest silny, gwałtowny i wkrótce da temu wyraz. Popatrzył na nią. Jego błękitne oczy wyrażały głęboką wdzięczność. Doskonale rozumiała, że głębi tej Patrick nigdy nie będzie w stanie przełożyć na słowa.

Oddała mu uścisk.

Lizzy razem z ojcem i babcią oglądała końcówkę filmu z Jamesem Bondem. Kiedy wreszcie na ekranie telewizora pojawiły się napisy, przeciągnęła się na krześle.

– Doskonały film! Uwielbiam Seana Connery'ego. Mogę się napić szampana dla dzieci, babciu?

Evelyn popatrzyła na nią.

– Och, jasne, tylko żebyś nie przesadziła.

Dan patrzył na córkę z uśmiechem. Od czasu, kiedy ostatnio ją widział, bardzo urosła.

Miała długie nogi i płochliwe spojrzenie żrebaka, właściwe szesnastoletniej dziewczynie. Jej piersi były całkiem duże; ten element z pewnością odziedziczyła po kobietach z jego rodziny. Twarz jednak otrzymała po matce. Wyglądała dokładnie tak jak Kate, kiedy Dan spotkał ją po raz pierwszy. Długie jedwabiste włosy i piękne, lśniące białe zęby bezwzględnie przypominały jej matkę. Miała nawet nos jak Kate, zabawny, lekko zadarty.

Po chwili Lizzy powróciła na swoje miejsce z kieliszkiem i odezwała się:

– Wspaniały napój.

– To niedopuszczalne, że twoja matka musi pracować nawet dziś wieczorem - powiedział Dan.

Lizzy wzruszyła ramionami.

– Cóż, taka praca. Mama ciężko haruje, ale przecież musi nas wszystkich utrzymać, prawda, babciu?

– Tak, dziecino, to prawda.

– Doskonale o tym wiem, jednak to nie w porządku, że kobieta pracuje nawet w noc bożonarodzeniową. - Dan celowo powiedział to lekkim tonem.

– Po jakimś czasie można do tego przywyknąć, tatusiu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przyszła w porę na moje urodziny. Na szczęście mam babcię.

Dan pokiwał głową i upił łyk koniaku.

Tymczasem Evelyn wstała z krzesła i zapytała głośno:

– Kto ma ochotę na kanapkę z indykiem?

Zarówno Dan, jak i Lizzy pokiwali głowami i Evelyn wyszła do kuchni. Dan ścisnął dłoń córki.

– Jesteś dobrą dziewczynką, wiesz o tym, Liz? Wiele dziewcząt znienawidziłoby swoje matki za to, że nie ma ich w domu nigdy wtedy, kiedy są potrzebne.

Lizzy przygryzła wargi i przez chwilę intensywnie nad czymś myślała.

– Tak naprawdę, kiedy bardzo jej potrzebuję, mama zawsze jest przy mnie, tatusiu. Nie martw się o to. Kiedy wraca Anthea?

Pytanie go zaskoczyło.

– Och... Właściwie to nie jesteśmy już razem.

Lizzy upiła spory łyk szampana i odstawiła kieliszek na mały stolik.

– Cieszę się, tato. Nigdy za bardzo jej nie lubiłam.

– Przecież wcale jej nie znasz - zauważył Dan napiętym głosem.

– Nie, ale kiedy do ciebie dzwoniłam, zawsze traktowała mnie lekceważąco. Jakbym jej w czymś przeszkadzała? Sama nie wiem.

– Miała po prostu taki sposób bycia. Na pewno nie chciała być zła dla ciebie. A jak dajesz sobie radę z... z przyjaciółmi mamy?

– Masz na myśli chłopaków? Nigdy nie miała żadnego. Wiem, że różni mężczyźni proponują jej spotkania, randki, ale nigdy na nie nie chodzi. Ojciec mojej przyjaciółki kiedyś zapraszał ją na kolację, ale mu odmówiła.

– Ojciec twojej przyjaciółki? - zawołał Dan z oburzeniem.

– Och, nie denerwuj się, jej mama nie żyje od wielu lat. To okropne, ale chyba rozumiesz, o co mi chodziło.

– Tak, doskonale rozumiem.

Oboje uśmiechnęli się.

– Tato, to wspaniale, że jesteś w domu.

– Też tak uważam, kochanie.

Gdyby to od niego zależało, zostałyby tutaj przez długi czas. Był przekonany, że w sercu Katie wciąż tliło się niewystygłe uczucie wobec niego. I był zdecydowany płomień tego uczucia ponownie rozpalic.

Pierwsza część planu polegała na przeciągnięciu na swoją stronę teściowej. Postanowił zabrać się do tego bez zbędnej zwłoki.

Kate i Patrick siedzieli na wielkiej kanapie w salonie, w domu Patricka. Oboje pili kawę. Patrick mówił o sobie już ponad godzinę i Kate mu nie przerywała.

Jego ból i opowieści, prawdziwe czy zmyślane, w niczym nie zmieniły faktu, że był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Ciemnobrązowe włosy, lekko siwiejące na skroniach, nadawały mu dostojny wygląd i jakby lekko łagodziły ostre rysy twarzy. Skórę miał ciemną i usta o pełnych wargach, a przy tym przenikliwe niebieskie oczy. Ze sposobu, w jaki się poruszał, Katie wnioskowała, że od lat dbał o kondycję fizyczną. Tylko trochę zbyt duży brzuch świadczył o nieubłaganiu upływającym czasie, który nie zamierzał go oszczędzać. A jednak, zdaniem Katie, był aż nazbyt atrakcyjny. Podejrzewała, że w innych okolicznościach dałby jej odczuć, iż doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Patrick Kelly kochał kobiety. Ale tylko dwie z nich kochał w życiu całym sercem i całą duszą. Swoją żonę, Renée, i córkę, Mandy. Mandy, która teraz leżała w prosektorium i czekała, aż zacznie ją kroić skalpel patologa.

Kate przymknęła oczy. Głos Patricka brzmiał w jej uszach jak delikatny szum, w którym pobrzmiwają rozpacz i nieszczęście.

Patrick wstał z kanapy i wziął ze stolika butelkę brandy. Powrócił z nią i dwoma kryształowymi kieliszkami. Jak wszystko w jego domu,

szkło było najdroższe i najwyższej jakości, lecz kiedy nalewał dwie spore porcje alkoholu, Katie uświadomiła sobie, że w tej chwili pieniądze niewiele dla niego znaczą, skoro nie ma już nikogo, z kim mógłby dzielić satysfakcję z ich posiadania.

– Moja mamuśka, widzi pani, miała się różnych dorywczych prac, głównie chodziła po domach i prała cudze ubrania. Ojciec porzucił ją bardzo wcześnie, zostawiając ją ze mną i z moimi czterema siostrami. W efekcie matka musiała harować jak wół, żeby zapewnić nam w miarę dostatnie życie i wykształcenie. Wiedziała, jak my wszyscy wówczas, że na niewykształconych ludzi czekają najgorsze zajęcia.

Kilka lat temu natknąłem się na ojca. Nawet daleko nie odszedł; znalazłem go w północnym Londynie. Mieszkał na kocią łapę z jakąś obleśną babą. Powiedziałem mu, że jestem jego synem czy coś w tym stylu. Uśmiechnął się tylko i zapytał, czy mam jakieś pieniądze. Nawet słowem nie wspomniał o mojej matce albo o moich siostrach. Ani mu nie przyszły na myśl.

Ale opowiedziałem mu o nich. Powiedziałem, że mama zmarła na rozległy zawał serca, że przez ostatnie lata cierpiała na reumatyzm, którego nabawiła się przy bezustannym praniu. Niestety, chyba go to nie interesowało...

Kelly opuścił głowę na piersi.

– A mama przez te wszystkie lata czekała na niego. Wierzyła, że pewnego dnia wróci do domu, tymczasem on ani razu nawet o niej nie pomyślał.

– Co pan zrobił? - zapytała Kate cichym głosem.

– Uderzyłem go. Pchnąłem go na jego śmierzące, brudne łóżko. Skopałem starego człowieka... Ja, jego własny syn. Wychodząc, dałem mu pięćdziesiąt funtów. Rzuciłem je na pościel. Powiedziałem mu, że tylko tyle ode mnie dostanie. Wciąż widzę go na tym łóżku. Twarz miał całą zakrwawioną, ale na pieniądze rzucił się jak pies na kość. Nienawidziłem go wtedy.

Wróciłem do domu, popatrzyłem na moją Mandy i przyrzekłem sobie, że moje dziecko nigdy nie zazna takiego bólu jak ja, nigdy nie będzie musiało wstydzić się, wyrzekać własnego rodziciela. Tymczasem Mandy zaznała o wiele większego bólu niż ja, bólu, jakiego nie jestem sobie w stanie nawet wyobrazić. - Głośno wciągnął powietrze nosem. - Ktokolwiek ją napadł, ktokolwiek jest tym zbrojcem, złapię go. Moi ludzie już rozglądają się po mieście. Kiedy go dopadnę... - Pozostawił zdanie niedokończone.

– Panie Kelly, znacznie lepiej będzie, jeśli to zadanie pozostawi pan nam - powiedziała Kate.

Patrick roześmiał się gorzko.

– Chyba pani żartuje. Naprawdę uważa pani, że pozwolę, żeby facetem zajęli się psychiatrzy? Myśli pani, że zgodzę się, aby facet wylądował w jakimś miłym szpitaliku o zaostrzonym rygorze, gdzie mógłby sobie swobodnie spacerować po parku, a w pokoju trzymać wideo i telewizor? Skąd wyszedłby po kilku latach i spokojnie podjął pracę w jakimś domu dziecka albo w podobnej instytucji? Nie ma mowy. Dopilnuję, żeby zapłacił tyle, ile się należy, za śmierć mojej córki i tej drugiej kobiety. Do ciężkiej cholery, miała trójkę małych dzieci! Niech pani będzie uczciwa, naprawdę uważa pani, że ktoś, kto sprawił, że moja córka wacha kwiatki od spodu, ma prawo do życia? W żadnym wypadku!

Kate milczała, niechętnie bowiem, ale przynajmniej w części zgadzała się ze słowami Kelly’ego. Oczywiście, można w życiu zawsze kierować się pryncypiami, twierdzić, że prymitywna żądza zemsty stawia człowieka na poziomie zwierząt. A jednak to, co powiedział Patrick, poruszyło w niej jakąś czułą strunę. Sama przecież była kochającą matką. Z drugiej strony, całe życie wyznawała pogląd, że sprawiedliwość należy wprowadzać w życie we właściwy sposób.

Wiedziała, że jeśli znajdzie gwałciiciela z Grantley, postąpi z nim tak, jak nakazuje prawo. Za to jej płacono. Mogła rozumieć wściekłość Kelly’ego, jego pragnienie, żeby fizycznie zniszczyć mordercę; w końcu było to naturalne uczucie ojca. Ale absolutnie nie mogła się zgodzić na to, żeby właśnie tak postąpił.

Nie można walczyć z przemocą, stosując przemoc. Zbrodniarz, kimkolwiek się okaże, jest chorym człowiekiem. Chorym umysłowo. Należy go odseparować od społeczeństwa. A kiedy Kate go znajdzie, nie „jeśli” go znajdzie, człowiek ten na zawsze zostanie wyłączony ze społeczeństwa.

Każdy medal ma dwie strony. Kiedy Kelly ochłonie, z pewnością przyzna jej rację.

Przynajmniej taką miała nadzieję. Słyszała ciężki oddech Kelly’ego i sama lekko westchnęła, przypominając sobie, że stracił właśnie to, co miał najcenniejszego.

– Która godzina? - zapytał w końcu Kelly.

– Za kwadrans północ.

Popatrzył na Kate ze smutkiem.

– Przepraszam. Oderwałem panią od rodziny akurat w ten najbardziej rodzinny wieczór.

– Niech pan mnie nie przeprasza, panie Kelly.

Jego twarz znalazła się tak blisko jej twarzy, że Kate poczuła w sobie dziwną pustkę, jakby właśnie zakończyła długi bieg i zabrakło jej tchu.

– W końcu to moja praca, wie pan o tym - powiedziała.

Patrick Kelly popatrzył prosto w jej brązowe oczy. Współczucie i smutek, jakie w nich zobaczył, dodały im uroku. Pomyślał, że w głębi tych właśnie oczu kryje się cała tajemnica kobiety.

O pierwszej piętnaście Kate dotarła na komisariat w Grantley. Kelly oddał jej do dyspozycji własny samochód, ale najpierw pojechała z kierowcą do szpitala, żeby zabrać swoje auto. Im mniej ludzie wiedzieli o niej i o Patricku Kellym, tym lepiej. Z drugiej strony, zastanawiała się, co tu właściwie można było wiedzieć? Po prostu dodała mu trochę otuchy w chwili, kiedy tego potrzebował, to wszystko. A jednak Kate zdawała sobie sprawę, że sytuacja wygląda inaczej. Przynajmniej z jej strony. Odpychała tę upartą myśl, zła na siebie. Patrick Kelly był w tej chwili mężczyzną pogrążonym w żałobie, to wszystko.

W pokoju detektywów Amanda, Willis i nadkomisarz Ratchette pracowali.

– Byłam z Kellym. Jest w okropnym stanie. Nigdy nie podejrzewałam, że te słowa przejdą mi przez gardło, ale strasznie współczuję temu człowiekowi.

– Rozumiem, Kate. Jak dotąd nie mamy żadnych nowych szczegółów, poza tym że ciemnoniebieski orion, którego widziano na przedmieściach, tego samego wieczoru przejeżdżał także Portaby Road. Pewna kobieta, która akurat spacerowała z psem, powiedziała, że pojazd zakręcił do tyłu niemal przy niej i dlatego właśnie go zapamiętała. Z samego rana będziemy musieli dokładnie ją przesłuchać.

– Rozumiem. Zajmę się tym.

Ratchette uniósł brwi.

– Niech to zrobi ktoś z młodszych. Jutro jest drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Odpocznij sobie, zasłużyłaś na to.

Kate gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, szefie, sama przesłucham tę kobietę. Chcę szybko złapać tego pieprzonego drania.

Willis i Dawkins popatrzyli na nią z zaciekawieniem. Kate rzadko przeklinała.

– Amando, bardzo cię proszę, zrób mi kawę. Czarną, z mnóstwem cukru. Willis, ty zaraz chodź do mnie i zrelacjonuj mi wszystko, co się dzisiaj wydarzyło.

Willis wziął z biurka teczkę z dokumentami śledztwa i ruszył do pokoju Kate.

Ratchette przyglądał się jej uważnie. Wypiła trochę alkoholu, to było oczywiste. Tkwilo w niej jednak coś jeszcze... Coś, czego nie potrafił

dokładnie nazwać. Cóż, jak mawiała jego żona, wszystko wyjdzie w praniu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jak zwykle w drugi dzień świąt, George i Elaine zrobili sobie przejażdżkę do podmiejskich lasów. Kiedy mijali Vauxhall Drive, George uśmiechnął się do siebie. Przyszło mu do głowy przelotne pytanie, co zrobiłaby Elaine, gdyby wiedziała, że to on, jej mąż, jest „Rozpruwaczem z Grantley”?

W tej chwili jednak zainteresowana była tylko swoimi wakacjami z koleżankami i dwoma wieczorami w tygodniu, które spędzała poza domem. George zdawał sobie sprawę, że Elaine jest trochę zaskoczona jego gotowością do darowania jej odrobiny wolności. Uważała, że to z jego strony bezinteresowny akt wyrozumiałego męża. Bardziej się mylić nie mogła.

W te wieczory, które Elaine spędzała z przyjaciółkami, George wymykał się na polowanie. Bardzo lubił to słowo i kilka innych. Polować, grasować, łowić. Podczas gdy Elaine zbijała bąki, on w spokoju mógł polować albo bez przeszkód oglądać swoje filmy na wideo. Uzyskał od niej obietnicę, że zawsze przed powrotem do domu zatelefonuje do niego, dzięki czemu miał czas, żeby po sobie posprzątać. Następnie wyjeżdżał po Elaine i bezpiecznie przywoził ją do domu.

Uśmiechnął się do siebie. Tak naprawdę chodziło mu jedynie o sprzątanie. Ale dzięki temu układowi życie w związku małżeńskim stało się znacznie bardziej znośne. George nie denerwował już Elaine, a to z kolei sprawiało, że swoją przemożną jadaczkę przeważnie trzymała zamkniętą na kłódkę. Żałował, że na tak proste rozwiązanie wpadł dopiero niedawno.

Zasrana Elaine! George znów się uśmiechnął. Co za śmieć. Nie było już szansy na to, żeby zaistniało pomiędzy nimi to, co Elaine uważała za prawidłowe życie seksualne.

– George, o czym myślisz?

Elaine patrzyła na niego badawczo. Nienawidziła jego długich chwil milczenia. George zaparkował samochód przed domem i znowu się uśmiechnął, tym razem do niej.

– Myślałem sobie, jakim jestem szczęściarzem, że mam taką żonę jak ty.

Elaine pochyliła się, żeby go lepiej widzieć.

– Naprawdę, George?

– Naprawdę. Jesteś dobrą żoną, Elaine.

– Och, dziękuję ci.

Wysiedli z samochodu. George zauważył, że Elaine nie odpowiedziała mu komplementem.

Ruszyła ścieżką przez ogród, a on za nią. Kiedy otworzyła drzwi do domu, zadzwonił telefon. Pobiegnęła do aparatu, żeby podnieść słuchawkę.

Tymczasem George zdjął płaszcz i powiesił go w szafie w holu.

– To twoja siostra z Ameryki - powiedziała Elaine.

George wziął słuchawkę.

– Halo, Edith! - W jego głosie brzmiało autentyczne uczucie. Zawsze była mu bardzo bliska. Oboje najbardziej odczuwali w swoim czasie podłość matki i chociażby dlatego byli sobie bliscy.

– Cześć, Georgie. Czułam, że muszę do ciebie zadzwonić. Wesołych świąt.

– Wzajemnie, moja droga. Przekaż życzenia także Jossowi. Jak się mają dzieci?

Elaine uśmiechnęła się, widząc, jaki George jest szczęśliwy i zadowolony. Jeden Bóg wiedział, jak trudne dzieciństwo miał jej mąż. Poza tym Elaine zawsze lubiła Edith. Była trochę podobna do George'a, przede wszystkim w zachowaniu, co ją, jako kobietę, czyniło atrakcyjną, a co z kolei zupełnie nie pasowało do mężczyzny i czyniło go irytującym.

Elaine weszła do kuchni i przygotowała dwie kawy po irlandzku. Do diabła, w końcu jest Boże Narodzenie. Kiedy George skończył rozmowę, podszedł do niej, rozpromieniony.

– Edith przekazuje ci pozdrowienia i wprost marzy, żebyśmy przyjechali do niej na jakiś czas.

Edith zapraszała ich do siebie co roku. Elaine na chwilę przygryzła wargę. Na jej okrągłej twarzy pojawiło się skupienie.

– Może rzeczywiście pojedziemy do niej w przyszłym roku? Co, George? W końcu stać nas na to. Poza tym ty i Edith zawsze byliście sobie bliscy. Takie spotkanie byłoby dla was wielkim świętem.

George'owi udzielił się jej entuzjazm.

– Och, tak! Och, Elaine, lećmy do niej. - Popatrzył na jej wesołą twarz. W tym momencie niemal ją kochał.

– Zatem zgoda, George. Zajmę się tym, kiedy wrócę z urlopu. Teraz chciałabym obejrzeć film w telewizji. Obejrzysz razem ze mną?

– Wkrótce do ciebie dołączę. Dokończę kawę w kuchni. Poza tym muszę chwilę pomyśleć.

– W porządku, staruszkę - skwitowała Elaine i rozpromieniona wyszła z kuchni.

George usiadł przy kuchennym stole i uśmiechnął się. Ale niemal natychmiast przypomniał sobie, że został zwolniony z pracy. Zacisnął pięści. Elaine wciąż jeszcze nic o tym nie wiedziała. Odprawa finansowa,

jaką otrzyma, będzie całkiem spora, jednak to nie to samo, co regularna pensja.

Ale zaraz jego twarz rozjaśniła się. Przecież kiedy dostanie odpłatę, będzie mógł wpłacić ją na osobne konto! Po chwili jednak spochmurniał. Elaine zaraz się o tym dowie, jeśli chodziło o takie sprawy, miała szósty zmysł. Poza tym co mógłby robić całymi dniami jako bezrobotny? Zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak powiedzieć żonie całą prawdę, i to szybko.

W każdym razie tak czy inaczej polecą na Florydę, na spotkanie z Edith. Co do tego George był zdecydowany.

Przypomniawszy sobie Edith jako małą dziewczynkę. Była prześliczna. Nie za wysoka, za to bardzo wcześnie objawiła się jej uroda. Miała takie same mysiobrązowe włosy jak George, tyle że na jej ślicznej dziewczęcej główce takie włosy wyglądały o wiele ładniej. Kręciły się delikatnie, co dodawało jej uroku. Miała porcelanowobiałą skórę, przez którą prześwitywały niebieskie żyły, szczególnie na piersiach. Miała też piękne szare oczy i ciężkie powieki, które nadawały jej zmysłowy wygląd, oraz wąziutkie usta z wargami o różowym kolorze i różowe, okrągłe policzki. Matka jej jednak nienawidziła.

Pewnego dnia Edith zniknęła. Tylko George wiedział, że pojechała do Brighton z wędrownym sprzedawcą. Matka dość szybko odgadła, że George wie, i potężnym paskiem wyprała mu tę wiedzę z tyłka. Zdradził swoją siostrę, biedną Edith. Scena, gdy Nancy zjawia się w Brighton, w domu gościnnym o nazwie Shangri-La, musiała być straszna. Jak zwykle, Nancy postawiła na swoim i zabrała stamtąd córkę. Edith była wtedy ciężarna i samotna, ponieważ wędrowny sprzedawca, kiedy dowiedział się o jej stanie, po prostu ją porzucił.

Matka sprawiła, że Edith słono zapłaciła za swój akt samodzielności. Naprawdę słono. Nancy poniżała ją przy każdej okazji. Matka, która powinna bezgranicznie kochać każde swoje dziecko!

W czasie, w którym inne ciężarne kobiety zwykle się zaokrąglają, Edith traciła na wadze. Wyglądała jak widmo. Opuściła ją cała zadziorność i witalność. Gdy zbliżyła się chwila porodu, pozostała sama w swojej sypialni, jedynie z matką, gromkim głosem udzielającą jej pouczeń i instrukcji. George siedział wtedy pod drzwiami i nasłuchiwał.

- Wszystkie dzieci przychodzą na świat w bólu, Edith - mówiła Nancy - jednak w największym bólu rodzą się bękarty.

George zacisnął zęby. Miał wówczas zaledwie trzynaście lat, lecz w tym momencie chciał wpaść do pokoju i wbić matkę w podłogę. Zawodzenia i krzyki siostry łamały mu serce. Siedział pod drzwiami przez całą noc i niemal cały następny dzień, dopóki nie usłyszał cichego pisku, jakby miauczenia kota. Zrozumiał, że po ogromnym bólu, jaki musiała znieść jego siostra, dziecko szczęśliwie przyszło na świat.

Edith od razu pokochała swojego chłopca. Kochała go całym sercem i duszą, sądząc w swej ignorancji, że matka pozwoli jej go zatrzymać; nie padło ani jedno słowo na temat adopcji. Wierzyła, że Nancy zmieni postawę wobec niej i dziecka, skoro już przyszło na świat, i że znajdzie się dla niego miejsce w sercu babci. Tak się jednak nie stało. Kiedy chłopiec miał dwa miesiące, odebrano go Edith. W domu pojawiła się potężnej postury kobieta z agencji adopcyjnej. Miała zażawione niebieskie oczy i sztuczne czereśnie w kapeluszu. Druga, drobniejsza kobieta, była trochę miłsza. Miała zażawione oczy i dużą szarą teczkę. Edith krzyczała, prosiła i błagała matkę na kolanach, by nie kazała oddawać jej dziecka, lecz ta pozostała nieugięta. W gruncie rzeczy sytuacja ją bawiła.

W końcu potężna kobieta z czereśniami w kapeluszu wyrwała zapłakanego chłopczyka z rąk jego matki, a nieszczęsna Edith czepiała się jej sukni, dopóki łkając, nie padła na linoleum. Po chwili było po wszystkim. Syn Edith zniknął z domu i z jej życia, a ona pozostała, sama i ze złamanym sercem. Następnego dnia George widział, jak matka zmuszają do wypicia szklanki zimnej herbaty z solą, żeby jak najszybciej straciła mleko w piersiach. Tego dnia ostatecznie znenawidził Nancy. Kiedy kilka lat później Edith spotkała Jossa Campbella, George cieszył się prawie tak jak ona, ponieważ Joss Campbell był od Edith starszy i potrafił sobie radzić z Nancy. A gdy matka powiedziała Jossowi, jak zresztą każdemu mężczyźnie, który interesował się Edith, o bękarcie, on tylko uśmiechnął się. Uśmiechnął się i odrzekł, że będzie z Edith bez względu na wszystko. George pokochał Jossa chociażby za to jedno zdanie.

Tak, poleci spotkać się z Edith. Nawet jeśli podróż pochłonie ostatniego pensa z jego odprawy. Miał obecnie pięćdziesiąt jeden lat, a Edith pięćdziesiąt pięć. Życie nieubłaganie toczyło się do przodu i chciał ją jeszcze zobaczyć, zanim będzie za późno.

Wypił wystygłą kawę, wdzięczny Elaine za whisky, którą do niej dołała.

Gdzieś na świecie żył mężczyzna, trzydziestoosmioletni mężczyzna, który prawdopodobnie był żonaty i miał własne dzieci. Przez niesłychaną złośliwość własnej babci nigdy nie poznał wspaniałej, pięknej kobiety, która go urodziła.

George starannie umył szklankę i talerzyk, po czym umieścił je w plastikowej suszarce. Następnie dołączył do Elaine przed telewizorem. Jednak przez cały wieczór myślał tylko o Edith.

Kate popatrzyła na zegarek. Była siedemnasta czterdzieści pięć. Od dziewiątej rano przesłuchiwała ludzi i była już zmęczona. Wsiadła do samochodu i włączyła na pełną moc ogrzewanie, zapisując tymczasem na skrawku papieru swoje uwagi po całym dniu pracy. Mężczyzna,

którego właśnie skończyła przesłuchiwać, pan Liam Groves, wcale nie był zadowolony, że musi rozmawiać z policją w drugi dzień świąt. Nie przekonało go nawet wyjaśnienie, że chodzi o to, by jak najszybciej wyeliminować go z kręgu zainteresowania osób prowadzących śledztwo.

Skończyła notatki i popatrzyła na listę podejrzanych. Peter Bordez, Geoffrey Carter, John Cranmer... na liście wciąż znajdowało się ponad pięćdziesiąt nazwisk. Postanowiła, że na tym zakończy dzień pracy.

Odłożyła kartkę na siedzenie pasażera i ruszyła. Mały fiat od razu przyspieszył i włączyła radio. Natrafiła na popularną kolędę i natychmiast z westchnieniem je wyłączyła. Nie była w świątecznym nastroju. Właściwie to nie miała w tym roku świąt. Może za rok będzie inaczej?

Wiedziała, że Dan zabrał Lizzy i Evelyn do teatru na jakąś pantomimę. Dzięki czemu Kate mogła spokojnie pracować, nie martwiąc się o sytuację w domu. Zaciśnęła ręce na kierownicy, aż zbieleły na nich kostki. Patrzyła na domy stojące wzdłuż ulic, szukając wzrokiem bożonarodzeniowych choinek w jaskrawo oświetlonych oknach i ozdób pozawieszanych na firanach. Wiedziała, że gdzieś w podobnym domu znajduje się teraz Rozpruwacz z Grantley. Siedzi pewnie przy kominku i cieszy się ze świątecznych prezentów. Może nawet bawi się z dziećmi? A jego żona ze współczuciem myśli o rodzinach zamordowanych kobiet, nie podejrzewając, że to właśnie mężczyzna, za którego wyszła, jest zabójcą.

Och, jak bardzo Kate chciałaby teraz być na pantomimie. Chciałaby śmiać się, żartować i wesoło pokrzykiwać. Właściwie to w tej chwili chciałaby znajdować się gdziekolwiek, byle nie w Grantley.

Przez całe święta Dan robił, co mógł, żeby zabawiać jej matkę i córkę. Doceniała to. Przynajmniej w te święta nie musiała nosić w sobie poczucia winy z tego powodu, że Lizzy nie ma obok siebie żadnego z rodziców. Och, jej matka była bardzo dobra, uwielbiała wnuczkę, czasami jednak Kate gnębiło ogromne poczucie winy, że tyle czasu spędza z dala od Lizzy. Było to do pewnego stopnia ponurym żartem, bo przecież gdyby była mężczyzną i pracowała w policji, nawet by się nad tą sytuacją nie zastanawiała. Jako kobieta musiała przynajmniej próbować godzić swoją pracę w policji z życiem rodzinnym, i to godzić z dużą precyzją. Jej poczucie winy łagodziła nadzieja, że córka ją rozumie.

Wiedziała przecież, jak ważna i odpowiedzialna jest praca Kate. Że pozwala utrzymywać dom, a zarazem ma ogromne znaczenie dla społeczeństwa Grantley. Ileż to razy Kate wpadała zdyszana do auli, spóźniona na jakieś szkolne przedstawienie, w którym brała udział Lizzy? Wiedziała jednak, że Lizzy ucieszy chociaż jej krótkie pojawienie się. Jej opinia służbowa nie ucierpiała nic na tym, że jest samotną matką.

Wręcz przeciwnie, mężczy współpracownicy podziwiali ją. Chociaż, jeśli miała być szczerą, podziwiali ją jedynie ci starsi.

Na dzisiaj w każdym razie miała dość, kończyła pracę. Śledztwo, które obecnie prowadziła, nie pozwalało jej na myślenie o czymkolwiek innym. Dlaczego właściwie nie miałyby uciąć sobie popołudniowej drzemki w ciepłej pościeli? Nie doszła w myślach do drzemki u boku ciepłego i czulego mężczyzny, ale była tego bliska. Wraz z pojawieniem się Dana znów przypomniała sobie, jak bardzo brakuje jej seksu. Seks z Danem zawsze był taki dobry... Właściwie za każdym razem było im obojgu wspaniale. Problem polegał na tym, że Dan tak uwielbiał seks, iż nie wystarczała mu jedna kobieta. A Kate nie była w stanie akceptować jego zdrad. Za żadne skarby.

Zatrzymała samochód na skrzyżowaniu przed ostatnim zakrętem od domu i zamiast - jak zwykle - skręcić w prawo - pojechała w lewo, w kierunku przedmieść. W kierunku ogromnego osiemnastowiecznego domu, który należał do Patricka Kelly'ego.

Postanowiła wpaść do niego na chwilę i sprawdzić, jak się czuje.

Tymczasem Patrick siedział na łóżku swej córki. Wciąż czuł tutaj jej obecność. Sypialnia dziewczyny pachniała jej piżmowymi perfumami. Na podłodze przy łóżku leżał pamiętnik. Na toaletce stały wszystkie kosmetyki i opakowania z kremami, samotne, opuszczone, jakby doskonale wiedziały, że już nikt nigdy ich nie użyje. Wśród nich ustawiona była fotografia w ramce przedstawiająca jego samego, Renée i Mandy. Wszyscy troje śmiali się. Fotografię wykonano w Marbelli, na krótko przed śmiercią Renée. Teraz obu kobiet Patricka nie było już na świecie. Podniósł głowę, usłyszawszy delikatne pukanie do drzwi. W progu stanął Willy.

- Ta ładna pani z policji jest na dole. Wprowadziłem ją do gabinetu.

- Dzięki, Willy. Zaraz zejść. Zanieś tam tacę z kawą, dobrze?

Mężczyzna skinął głową i wyszedł z sypialni. Natomiast Patrick, ciężko wstawszy z łóżka, powoli ruszył za nim. Po schodach szedł z dużym trudem, kołysał ramionami, jakby się pod nimi ugiął, jakby stanowiły dla niego ogromny ciężar. Kiedy stanął przed Kate, nie bez wysiłku wyprostował się. Wyciągnął ku niej ręce, a ona, nie zastanawiając się, co robi, natychmiast ujęła obie jego dłonie.

- Pani Burrows. Cieszę się, że panią widzę.

Kate uśmiechnęła się.

- Przejeżdżałam tędy i pomyślałam, że wpadnę na chwilę i sprawdzę, jak się pan miewa.

Oboje wiedzieli, że to kłamstwo. Nikt nigdy po prostu nie przejeżdżał obok domu Patricka Kelly'ego.

- To bardzo miło z pani strony. Poprosiłem, żeby nam zaparzano

kawę.

Kate poszła za nim do jednego z saloników. Ogień wesoło skrzył się w kominku i w pokoju było przyjemnie ciepło. Pomieszczenie urządzone tak, że można był odnieść wrażenie, iż czas cofnął się o całe sto lat. Kelly usiadł obok Kate na kanapie i uśmiechnął się smutno.

– Bardzo mnie cieszy pani towarzystwo. Moja siostra jest zupełnie nieprzydatna w takich chwilach. Dlatego spotkam się z nią dopiero na pogrzebie. Cieszę się, że mogę porozmawiać właśnie z panią. Moi przyjaciele lub, powiedzmy, ludzie, których tym mianem określam, wcale nie są mi bliscy. Aż do dzisiaj nie zdawałem sobie sprawy, że na świecie jest tak niewielu ludzi, na których mogę liczyć. Właściwie takimi osobami były jedynie moja córka i moja żona, kiedy żyły.

Kate popatrzyła na jego zmęczoną twarz o ostrych rysach, tak całkowicie różną od gładkiej buźki Dana.

– W mojej pracy widuję tyle ludzkich nieszczęść, że czasami trudno mi jest o nich zapomnieć, kiedy wyjdę do domu - powiedziała Kate. - Chyba dlatego jestem tutaj...

Przez chwilę oboje siedzieli na kanapie w zupełnej ciszy.

– A co z pani rodziną? - zapytał Kelly. - Czy nie będą się zastanawiali, gdzie pani spędza drugi dzień świąt?

– Moja córka ma szesnaście lat i dzisiaj mój były mąż zabrał ją i moją matkę na pantomimę. - Kiedy mówiła o Lizzy, ujrzała na jego twarzy przebłysk bólu; odgadła, że w tej chwili pomyślał o własnej córce. - Mam więc kilka godzin wyłącznie dla siebie - szybko dodała.

Patrick Kelly wyłowił z tonu jej głosu głęboko skrywane poczucie samotności i od razu zrozumiał, że oboje by do siebie pasowali. Oboje byli samotnikami, którzy pracowali i pracowali, a pod koniec dnia pracy nie mieli niczego prócz rodziny. Gdyby zabrakło rodzin, nikomu już nie mogliby sprezentować efektów swoich wysiłków.

– Czy jadła już pani coś dzisiaj?

Kate potrząsnęła głową.

– Od rana nic nie miałam w ustach.

– Może więc zjemy razem późny lunch? Pani towarzystwo sprawi mi prawdziwą przyjemność, a moja gosposia, pani Manners, z pewnością ma jeszcze dość indyka, żeby nakarmić cały Trzeci Świat i wszystkich biednych Albańczyków. Zjedzmy go więc, o ile nie musi pani już wracać.

– Brzmi to interesująco. Z przyjemnością zjem lunch razem z panem, panie Kelly.

– Patrick... Na imię mi Patrick. W porządku, zaraz wydam dyspozycje.

Propozycja niezwykle ucieszyła Kate, chociaż zdawała sobie sprawę, że składa ją mężczyzna, który w tej chwili potrzebuje jakiegokolwiek towarzystwa, niekoniecznie akurat jej.

Odruchowo poprawiła włosy i przyglądała na sobie ubranie. Żałowała, że nie nałożyła nowego żakietu, uspokoiła ją jednak myśl, że Patricka Kelly'ego zupełnie w tej chwili nie obchodzi, w co ubrany jest jego gość.

Wszedł Willy z kawą i uśmiechnął się do Kate. Odpowiedziała mu uśmiechem, lecz niespodziewanie zadrżała. Mężczyzna wyglądał jak potwór z najstraszliwszego koszmaru. Brakowało mu połowy ucha, a nos łamano mu w przeszłości co najmniej kilka razy. W uśmiechu ukazywał bezzębne dziąsła.

– Nalać pani kawy, słodziutka?

Kate potrząsnęła przecząco głową.

– Dziękuję, sama to zrobię.

Willy najwyraźniej się z tego ucieszył i opuścił pokój.

Wrócił Patrick Kelly, oznajmiając, że lunch będzie gotowy za dwadzieścia minut. Zaraz jednak wyszedł do biblioteki, żeby zatelefonować.

Dimitrios Brunos, londyński Grek, był jednym z najlepszych goryli na West Endzie. Był także jednym z najbardziej gwałtownych i bezlitosnych.

– Pan Kelly? Jak się pan miewa? - zapytał z autentycznym zainteresowaniem goryl.

– Posłuchaj mnie uważnie i przekaz moje słowa innym. Moja Mandy nie żyje, a ja postanowiłem podwyższyć nagrodę. Ten, kto znajdzie bandytę, dostanie pół miliona, jasne?

Patrick usłyszał w słuchawce niedowierzające westchnienie i uśmiechnął się ponuro. Podwyższenie stawki musi dać rezultaty.

– Będę szukał skurwysyna także osobiście, wyobrażam więc sobie, że szybko go dopadniemy. Jednak kto pierwszy poda mi jego nazwisko, dostanie pieniądze, w porządku?

– Tak. Niech pan przyjmie moje najszczerze kondolencje. Pańska córka była...

– Tak, tak, tak. W porządku, daruj to sobie, Dimitrios. Rób, co masz do zrobienia. Patrick odłożył słuchawkę i mocno zacisnął oczy. Zamierzał wbić mordercę swej córki w ziemię. Znajdzie go i każe mu zapłacić za zbrodnię, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką robi w życiu. Wyprostował się i złożył ręce na piersiach. Jutro zatelefonuje do szefa policji i zażąda wszystkich dokumentów, jakie do tej pory w tej sprawie zgromadzono. Naprawdę zamierzał wpaść na trop bandyty pierwszy.

Powrócił do Kate i usiadł obok niej. Mimo że była policjantką, gliniarzem, w dziwny sposób jej ufał. Miała w sobie taką samą łagodność i spokój jak Renée.

Patrick ją lubił.

George i Elaine otworzyli butelkę wina. W trakcie oglądania telewizyjnej komedii Elaine trochę się wstawiła. Zasłony były zaciągnięte i w pokoju panował kameralny półmrok. George musiał przyznać, że jego żona jest wzorową gospodynią domową. Przez wszystkie lata małżeństwa nigdy nie zabrakło mu wyprasowanej koszuli ani czystej bielizny. Jego marynarki zawsze były na czas wyczyszczone, posiłki w porę przygotowane. Co prawda, Elaine nie była najlepszą kucharką, ale przynajmniej bardzo się starała.

Jego matka, mimo jej wszystkich przewin, a nagromadziły się ich przecież miliony, była podobną gospodynią. Kochane czy nienawidzone, dzieci zawsze chodziły nakarmione. Starła się, żeby nosiły jak najlepsze, czyste ubrania i żeby dobrze się uczyły. W domu zawsze stały dobre meble, było czysto i przytulnie. Nancy z dumą obnosiła się z koronkowymi firankami z Nottingham, cieszyło ją, że wszystkie łóżka w domu są drewniane...

George podskoczył jak oparzony.

Elaine położyła właśnie dłoń na jego szyi. Popatrzył na nią kątem oka. Po chwili oparła głowę na jego ramieniu.

Mój ty Boże!

– Pocałujmy się, George. - Jej głos był niski i przytłumiony.

On skoncentrował się jednak na telewizorze. Bette Midler i Danny De Vito właśnie się kłócili. Film nosił tytuł *Bezlitośni ludzie*. Bezlitośni ludzie? To on, George, był bezlitosny. Czyż tego nie udowodnił?

– No, chodź, George, pocałujmy się. - Elaine przybliżyła swoją twarz do jego twarzy i złożyła na jego ustach mokry, lepki pocałunek.

George oddał jej pocałunek. Dalej nie wiedział już, co robić. Po raz pierwszy od ponad szesnastu lat Elaine wykazała nim jakieś zainteresowanie. Zadrzał.

– Spędziliśmy uroczy dzień, George. Uroczy dzień. A od stycznia będziemy mieli dla siebie uroczy rok. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni szczęścia. Pojedziemy razem na wakacje, na

Florydę, zobaczyć naszą Edith. A z dziewczynami pojedę do Hiszpanii. - Elaine z trudem formułowała słowa i George odgadywał, że jeśli będzie milczał, kobieta szybko zaśnie. Z trudem otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Przyłgnęła do niego i zamknęła oczy.

Dobry Boże, proszę cię, niech zaśnie.

Jego modlitwa została wysłuchana. W ciągu kilkunastu sekund wino, ciepło w mieszkaniu i wrażenia całego dnia zrobiły swoje i wkrótce Elaine zaczęła cicho chrapać, prosto w jego rozpinany sweter z grubej wełny.

George odetchnął z ulgą.

Zrobiły wiele, żeby Elaine czuła się szczęśliwa, seks jednak nie

wchodził w rachubę.

Wziąwszy do ręki pilota, szybko włączył odtwarzacz wideo. Na ekranie telewizora ukazała się jego Mandy; kasetę przygotował wcześniej, kiedy Elaine była zajęta kolacją, i postanowił poczekać, aż pójdzie do łóżka. Teraz wyłączył fonię, zadowolając się jedynie oglądaniem akcji. Element ryzyka dodawał oglądaniu niezwyklej pikanterii.

Oto Mandy przystępowała do swoich wieczornych zabaw, Elaine chrapała, a George był szczęśliwy w swoim świecie. Na wszelki wypadek trzymał palec na czerwonym przycisku pilota, w każdej chwili gotów wyłączyć i wideo, i telewizor.

Na przekór swojemu bezpieczeństwu trochę żałował, że Elaine nie otwiera oczu. Ona jednak spała, zmęczona i pijana. A George po prostu siedział i gapił się w telewizor.

Późny lunch z Patrickiem Kellym sprawił Kate, nie wiadomo czemu, w znakomity nastrój. Teraz siedziała w domu z własną rodziną i słuchała relacji z wieczoru pantomimy.

– Och, mamó, to było takie zabawne. Musiałabyś widzieć matronę. Była taka komiczna! Spotkaliśmy Joanie z braćmi. Siedzieli tuż obok nas. Mówię ci, wspaniale się bawiliśmy.

– A przecież wcale nie chciałaś iść na przedstawienie - przypomniała jej Evelyn żartobliwym głosem. - „Jestem już za stara na pantomimy, jestem już dorosła”. Pamiętasz? A podczas przedstawienia piszcziałaś z zachwytu głośniej od innych.

– Szkoda, że mnie tam nie było - westchnęła Kate.

– A byś widziała, jak głośno śmiał się tata. Naprawdę, żałuję, mamó, że cię nie było z nami.

– Ja też, Lizzy.

– Było wspaniale. - Lizzy popatrzyła na kuchenny zegar i aż pisnęła. - Boże, jeśli się zaraz nie ruszę, to się spóźnię.

– A dokąd idziesz?

– Razem z Joanie idziemy dzisiaj na imprezę. - Zakręciła pomiędzy palcami kosmyk włosów. - Jestem pewna, że ci o tym mówiłam.

– Na pewno nie.

– Ja także nic nie wiem - dodała Evelyn.

– Przecież zaplanowałyśmy to już tak dawno... Joanie wpadnie po mnie o wpół do ósmej. Naprawdę, mamó, muszę iść.

Kate i Evelyn wymieniły spojrzenia.

– Nie pamiętam, żebyś wcześniej wspominała o tym wyjściu. Gdzie będzie ta impreza?

– Niedaleko domu Joanie, na sąsiedniej ulicy. Nie pamiętam numeru.

– Rozumiem. Ale...

– Mamo, nie mów tak. Muszę tam iść. Chcę tam iść. - Lizzy była bliska łez.

– Przecież nikt jeszcze nie powiedział, że nie możesz.

Do kuchni wszedł Dan, w szlafroku.

– O czym dyskutujecie? - zapytał.

Lizzy podbiegła do niego i zarzuciła mu rękę na szyję.

– Chcę iść na imprezę, a mama mi nie pozwala. A przecież tam będą wszyscy.

– Przestań, Lizzy, mama wcale tak nie powiedziała.

– Babciu, tak bardzo chcę tam iść. Obie już się przecież zastanawiacie, jak mi tego zabronić.

– Wcale nie! Twoja matka chce tylko wiedzieć, gdzie jest ta impreza i kto na niej będzie.

– Zawiozę ją na miejsce i przywiozę do domu, co wy na to? - zaproponował Dan.

Wszystkie oczy skierowały się na niego. Lizzy pocałowała go w policzek.

– A więc postanowione, zaraz się przygotuję do wyjścia. Oj, mamusiu, czasami twoja praca za bardzo uderza ci do głowy. Przecież nie jestem o nic podejrzana, prawda?

W jej głosie pojawiła się radość i Kate zdążyła tylko zobaczyć, jak Lizzy wybiega z kuchni.

– Dzięki, Dan. Cholernie ci dziękuję.

Dan rozłożył ręce.

– Co ja takiego zrobiłem? Powiedziałem tylko, że ją podwiozę i potem przywiozę z powrotem do domu. To chyba nic złego, Kate, prawda? - Rozłożył dłonie i zaczął wyliczać na palcach. - Po pierwsze, będziemy wiedzieli, gdzie ona jest. Po drugie, będziemy w stanie uzgodnić z nią rozsądny czas powrotu do domu. A po trzecie, będę mógł zlustrować wzrokiem towarzystwo na tej imprezie. Nie widzę więc żadnych problemów.

Kiedy wychodził z kuchni, Kate poczuła, że ma ochotę skoczyć mu na plecy i powrywać włosy z głowy. Spędził w domu zaledwie dwa dni i już próbuje w nim rządzić. Zamierzał pozwalać Lizzy na wszystko, nie zdając sobie sprawy z tego, że potem, kiedy znowu zniknie, Kate będzie musiała ponosić konsekwencje takiej jego postawy.

Ciężko westchnęła.

– On ma rację, wiesz o tym, Kate - powiedziała cicho Evelyn. - Lizzy nie jest już dzieckiem.

– Och, mammo, nie podlizuj się Danowi. Lizzy jest taka dorosła, że niecałe dwie godziny temu śmiała się wniebogłosy z pantomimy dla dzieci. A ja widziałam niewiele od niej starszą dziewczynę, zmalretowaną i umierającą w szpitalnym łóżku, ledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Po mieście grasuje cholerny maniak seksualny i nie mów mi teraz, że Lizzy jest dorosła.

Evelyn położyła dłoń na ramieniu córki.

– Chyba nie tylko to cię gnębi, co? Chodzi raczej o Dana. Ogranicza twoje prawo podejmowania decyzji w kwestii córki. Posłuchaj mnie jednak uważnie: i tak byś kiedyś to prawo utraciła. Tymczasem nie możesz odbierać dziecku prawa do normalnego życia. Przecież spędzi wieczór z przyjaciółmi, z Joanie, swoją najlepszą koleżanką. I Dan zawiezie ją na miejsce. Czy może być coś bezpieczniejszego? Schowaj więc gdzieś swoją dumę i nie rób sobie wroga z własnego dziecka.

– Będę szczęśliwa, kiedy Dan w końcu nas zostawi. Przypilnuję, żeby zniknął natychmiast po Nowym Roku. Obiecuję ci to, mammo.

– Jemu chodzi tylko o to, żeby dziecko dobrze się bawiło z przyjaciółmi.

Kate głośno westchnęła.

– Nie przechodź, mammo, na jego stronę. Wystarczy już, że Lizzy traktuje go jak najjaśniejsze słońce i...

– Kate! - Evelyn przerwała potok jej słów. - Posłuchaj tylko siebie, co ty mówisz, młoda damo!

Kate usiadła przy kuchennym blacie i zapaliła papierosa. Nie chciało się jej przypominać matce, że ma już czterdzieści lat. Perspektywa spędzenia miłego wieczoru w domu była stracona. Przecież w końcu i tak puściłaby Lizzy na tę imprezę, rzadko jej czegoś zabraniała. Ale odebranie jej przez Dana możliwości samodzielnego podjęcia decyzji irytowało ją i uważała, że zachował się grubo nie w porządku.

Wiedziała jednak, że co za dużo, to niezdrowo, i postanowiła dzisiejszego wieczoru z nikim już się nie sprzeczać.

Dan wysadził Joanie i Lizzy z samochodu przed porządnie wyglądającym bliźniakiem i, pocałowawszy córkę w policzek, szybko odjechał, zadowolony z siebie i ze sposobu, w jaki rozegrał całą sprawę. Kate dobrze zrobi, jeśli uświadomi sobie, że również on ponosi odpowiedzialność za córkę.

Kiedy Lizzy pojawiła się z Joanie na imprezie, natychmiast otoczyła je chmara chłopaków. Lizzy ubrana była w krótką czarną spódniczkę i obcisłą bluzeczkę, podkreślającą krągłość jej wydatnych piersi. Kiedy śmiała się i żartowała z chłopcami, Joanie stała jedynie w milczeniu obok niej. Otoczona gromadą młodzieńców Lizzy była zupełnie inną dziewczyną niż ta, którą znały matka i babcia.

– No, chłopaki, który da mi fajkę?

Wysoki, chudy chłopak o potarganych włosach podał jej jointa. Wziąwszy go, Lizzy od razu głęboko się zaciągnęła.

– Mmm... Pachnie wspaniale. - Przytrzymała dym w płucach ponad dziesięć sekund, zanim go wypuściła.

Jej obfity biust podskakiwał przy każdym ruchu, wzbudzając uwagę wszystkich chłopaków w pobliżu.

– Wprost nie mogłam się doczekać dymka - powiedziała Lizzy. - A gdzie są Angela i Marianne?

– Przyjdą później. Na razie pindrzą się przed lustrami.

Oczy Lizzy zaświeciły się.

– Ale będą? Wspaniale. Muszę być w domu o wpół do drugiej, mamy więc mnóstwo czasu na zabawę.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, tylko Joanie uśmiechnęła się niepewnie. Niezbyt dobrze czuła się w tym tłumie chłopaków. Jak na jej gust, byli zbyt bezpośredni, Lizzy jednak ich uwielbiała. Skupiała na sobie całe ich zainteresowanie. A Joanie, jak zawsze, chodziła tylko za nią i obok niej.

Godzinę później Lizzy opierała się o ścianę na werandzie, obściskiwana przez osiemnastoletniego chłopaka, Joeya Meesona. Joey unosił do góry spódniczkę Lizzy, jednocześnie próbując ściągnąć jej majtki.

– O nie, nie w taki sposób! - zawołała Lizzy z oburzeniem.

Joey popatrzył na nią i wyszczerzył zęby.

– Lizzy, nie daj się prosić.

Dziewczyna odsunęła go i szybko opuściła spódniczkę na biodra. Narkotyki i wódka sprawiły, że czuła się bardzo lekko.

– Czy to prawda, że twoja mama jest gliną?

Lizzy zachichotała.

– Można tak powiedzieć. Jest detektywem inspektorem.

– Naprawdę? Cholera, ale czad. Co by zrobiła, gdyby dowiedziała się, co tu wyprawiamy dziś w nocy? - W głosie Joeya można było usłyszeć żywe zainteresowanie.

– Pewnie oszalałaby z wściekłości.

Oboje roześmiali się i Joey znów pocałował Lizzy. Tym razem delikatniej, bardziej czule.

– Może jednak spróbuję zdjąć z ciebie tę spódniczkę? W sypialni? - Jego głos był niski, kuszący i Lizzy poddała się. Joey był najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego dotąd spotkała.

– Wspaniale - wyszeptała.

– Chodźmy więc. - Pociągnął ją za rękę.

Przecisnęli się przez zatłoczoną kuchnię, przez hol, a potem pomiędzy ludźmi okupującymi także schody.

W sypialni Lizzy przekonała się, jaki jest pomysł Joeeya na wspólne spędzenie kolejnych godzin.

A Joeey przekonał się, że Lizzy, córka policjantki, wcale nie jest taką niewinną dziewczyną, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ostatni dzień starego roku

– Na pewno chcesz zostać w domu sam, George? - W głosie Elaine brzmiała troska, jednak w głębi duszy miała nadzieję, że nie zmieni zdania i nie pójdzie z nią na zabawę sylwestrową.

Przez kilka ostatnich dni George naprawdę działał jej na nerwy. George zdrowy i zadowolony z siebie czasami doprowadzał ją do rozpacz, chory George był najbardziej koszmarnym nieszczęściem.

– Idź na imprezę, moja droga, i wszystkich ode mnie pozdrów. Naprawdę jestem zbyt chory, żeby dzisiaj dokądkolwiek wychodzić.

Elaine odetchnęła z ulgą.

– Jesteś pewien?

George uśmiechnął się słabo.

– Idź i dobrze się baw. Mam dobrą książkę, ciepłą zupę i tabletki.

Pocałowała go w policzek.

– Zatem do zobaczenia. Mogę wrócić późno - zachichotała.

George pokiwał głową. W nowej sukience, wyszywanej lśniącozielonymi jak szmaragdy cekinami, z poduszkami wszytymi na ramionach, wyglądała, jego zdaniem, jak skrzyżowanie choinki bożonarodzeniowej z amerykańskim futbolistą.

– Wyglądasz uroczo, Elaine. Wszyscy faceci na pewno będą chcieli tańczyć jedynie z tobą.

– Och, George, ty stary głuptasie. - Elaine znów zachichotała, tym razem jak nastolatka wybierająca się na pierwszą randkę.

Niezgrabnie upuściła torebkę i kiedy z wysiłkiem nachyliła się, żeby ją podnieść, George zmarszczył czoło. Pomylił się. Wcale nie przypominała futbolisty, raczej japońskiego zapaśnika sumo. Boże, co za straszycie!

Przed domem rozległ się klakson taksówki i Elaine wybiegła z pokoju jak oszalała, pozostawiając za sobą zapach Estee Lauder i pudru do twarzy.

– Do zobaczenia, George - zdążyła jeszcze rzucić.

Przez chwilę słuchał dudnienia jej stóp na schodach i w końcu dotarł do niego odgłos zatraskiwanych drzwi frontowych. Wreszcie.

Nie było jej.

Został sam.

Alleluja!

George leżał jeszcze przez chwilę z przyspieszonym oddechem. Wskoczył z łóżka dopiero wtedy, gdy usłyszał, że taksówka skręca na rogu ulicy.

– Och, panie Kelly, w końcu mamy dzisiaj sylwestra. W taki dzień przychodzi tu mnóstwo klientów. To dobra dziewczyna...

Kelly zmierzył stojącą przed nim kobietę ostrym spojrzeniem. Violet Mapping prowadziła ten salon masażu już od pięciu lat. Była jedną z najtwardszych suk, jakie spotkał w życiu, a spotkał ich już naprawdę wiele. Miała, niestety, wadę: była lezbą i uwielbiała młode dziewczęta. Postanowił, że ta nie podejmie u niej pracy, dopóki nie uzyska odpowiednich kwalifikacji.

– Posłuchaj, Vi, załatw dziewczynie certyfikat, i zaraz potem możesz ją zatrudnić. Do tego czasu nie chcę nawet o tym słyszeć.

– Och, panie Kelly, oboje dobrze wiemy, że tym świstkiem papieru można sobie podetrzeć tyłek.

– Nie interesuje mnie, co ty wiesz, Violet. Ja wiem natomiast, że dziewczyna będzie mogła rozpocząć pracę dopiero, kiedy skończy kurs i uzyska zaświadczenie. Do tego czasu nie ma mowy.

Violet dostrzegła, że rysy twarzy Kelly'ego wyostrajają się, i uznała, że tym razem lepiej będzie, jak mu ustąpi. Wszyscy wiedzieli o Mandy; mówiła o tym cała ulica. Obecnie w żadnym wypadku nie należało go denerwować.

Westchnęła.

– Jak pan sobie życzy, panie Kelly.

– Jesteś dobrą dziewczyną, Vi, widzę, że rozumiesz, o co mi chodzi. Chciałbym cię jeszcze poprosić, żebyś od teraz zaczęła spisywać nazwiska i adresy wszystkich dziwaków, jacy się tutaj pojawiają. Informacje przekazuj bezpośrednio mnie.

Violet parsknęła śmiechem.

– Przecież ja mam tutaj wyłącznie pieprzonych dziwolągów. Przyłążą do mnie właśnie dlatego, że są wyalienowani czy niezrównoważeni.

Kelly z niezadowoleniem potrząsnął głową.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. Jeśli któryś zażyczy sobie czegoś nietypowego albo zacznie sobie poczynać z dziewczyną zbyt gwałtownie, chcę o tym wiedzieć. Rozumiesz?

Jesteś jedną z najlepiej zorientowanych osób w tym interesie, Vi. Potrafisz zajrzeć facetowi do portfela tak sprawnie, że się w ogóle nie zorientuje. Nikt nie jest w tym tak dobry jak ty. Tyle że masz te portfele zawsze zwracać na mój sce, zrozumiano?

Vi zmrużyła stanowcze niebieskie oczy.

– Już dawno przestałam się interesować cudzymi portfelami, panie Kelly, i dobrze pan o tym wie.

Przez kilka sekund oboje spoglądali sobie w oczy.

– Po prostu zwracaj portfele, Vi, a jeśli nie, to inaczej z tobą porozmawiam. A teraz wracaj do recepcji. A przy okazji, zanim zapomnę, ile lat ma ta mała czarna ptaszyna, która mi tu mignęła?

Violet skrzywiła usta w grymasie irytacji i wzruszyła kościstymi ramionami.

– Nie wiem.

Patrick Kelly wstał.

– Ty nie wiesz? Bo mnie ona wygląda na mniej więcej piętnaście. Vi, pozbądź się jej. Do kurwy nędzy, w końcu to ja ci płacę za tę robotę.

– Dobrze, już dobrze, nie ma o co kruszyć kopii. Zajmę się tym, załatwione?

– Załatwione.

– Przykro mi z powodu pańskiej Mandy, Pat, aż serce mnie boli. Wszyscy cierpimy tu razem z panem.

Głos Vi był teraz łagodny, bardzo cichy. Współpracowała z Patrickiem Kellym już od wielu lat. Był dobrym szefem, wymagającym, ale sprawiedliwym. Córka była całym jego życiem, każdy to wiedział.

Opuścił wzrok ku ziemi.

– Dzięki, Vi.

– No, dobrze, a teraz chwytam byka za rogi i przekażę mojej przyjaciółeczce złe wieści. - Mówiła już głośno, stanowczo.

– Zrób to. I powiedz jej, że kiedy skończy kurs masażu, będzie mogła nadstawiać u mnie swoją wąską dupę, ile tylko zapagnie.

– Kupię jej jakiś drobiazg, żeby się nie wściekała.

– Kupuj jej, co chcesz, kochanie, ale nie zatrudnisz jej, zanim nie skończy kursu. Ja nie żartuję, Vi.

– Wiem przecież - odparła Vi ostro.

Szybkim krokiem wyszła z biura.

Kelly zaczął przeglądać księgi rachunkowe, jednak cyfry tańczyły mu przed oczyma i szybko przerwał tę czynność. Wstał zza biurka i wyszedł do holu, największego pomieszczenia w salonie masażu. Wzdłuż wszystkich ścian stały wygodne, miękko wyściełane krzesła. Siedziały na nich dziewczyny i kobiety najróżniejszych kolorów skóry, pochodzenia, rozmiarów i wymiarów. Kiedy Kelly się pojawił, wszystkie wyprostowały się.

Skinął im głową, nieobecny myślami. Skręcił w lewo i otworzył drzwi prowadzące na zaplecze. Tam znajdowały się kabiny. Cicho stąpając,

przeszedł po grubym dywanie aż do ostatniej. Zaczął nasłuchiwać.

Po chwili zza zasłony dotarł do niego dziecinny głos.

– Czy życzy pan sobie czegoś ekstra, proszę pana?

– A ile mnie to będzie kosztować?

– Ręczna robótka jest za piętnaście funciaków, obciąganie ustami za dwadzieścia, a regularne jebanko czterdzieści pięć.

Patrick usłyszał męski śmiech.

– A więc jebanko, dziewczynko!

Patrick pokręcił głową i równie cicho, jak wszedł, wycofał się do holu. Nie wiadomo dlaczego, dziecinny dziewczęcy głos zdenerwował go. Znał tę dziewczynę. Miała zaledwie siedemnaście lat, chociaż wyglądała na dwadzieścia. Była blondynką, jak Mandy, tyle że w przeciwieństwie do Mandy nie dostała od życia żadnej szansy. Szybko wyszedł z lokalu i wsiadł do samochodu.

Tylko się teraz nie rozklejaj, chłopcze, mówił sam do siebie. Prostyucja to najstarsza profesja na świecie. Jeśli te dziewczyny nie będą pracować dla ciebie, znajdą zatrudnienie u kogoś innego.

Wsiadł do rollsa i zastukał w szybę oddzielającą go od kierowcy. Natychmiast usłyszał w interkomie głos Willy'ego:

– Dokąd, szefie?

– Teraz do Forest Gate. Chcę zobaczyć, jak sobie radzi Juliet.

Samochód ruszył, a Kelly rozsiadł się wygodnie. Dziecinny głos wciąż jednak rozbrzmiewał w jego uszach.

– Zatrzymaj się! - zawołał nagle.

– Słucham? - Auto znieruchomiało na środku ulicy. Patrick Kelly natychmiast z niego wyskoczył i pobiegł z powrotem w kierunku salonu masażu.

– Dalej, Vi! - zawołał w progu. - Za mną, do biura.

Violet podążyła za nim.

– Słucham? Co takiego? - Jej głos znów był wojowniczy.

– Ta drobna blondynka, jak jej na imię?

– Marlene?

– Tak, właśnie Marlene. Przecież ona pieprzy się z klientem.

– No i co z tego?

– Natychmiast to przerwij. Od dzisiaj nie życzę tu sobie żadnych stosunków seksualnych. Jeśli dziewczyny nie będą rozkładają nóg, policja może nam skoczyć.

Violet popatrzyła na Patricka, jakby nagle oszalała.

– Przecież zbankrutujemy! Żadna dziewczyna nie przyjdzie tutaj do pracy, jeżeli postanowimy coś takiego. Pójdzie fama, że klienci mogą się u nas spuszczać dziewczętom tylko do ust.

Kelly wykrzywił twarz.

– Vi, nie bądź taka ordynarna.

Szeroko rozłożyła ręce.

– Zwracam pana uwagę jedynie na nagie fakty, szefie. Z takimi zasadami nie uświadczymy tu żadnego klienta i dobrze pan o tym wie. Wszyscy odpłyną stąd szybciej niż darmowe piwo z beczki.

Kelly poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Wie pan co? Niech pan idzie do domu i dobrze odpocznie. Ze zmartwienia pomieszało się panu w głowie.

Nagle poczuł się jak głupiec.

– Pewnie masz rację, Vi.

– Niech pan posłucha. - Głos Violet znów był łagodny, delikatny. - W tym interesie nie możemy się zachowywać jak opieka społeczna. Dziewczyny, które u nas pracują, będą nadstawiać dupy tak czy inaczej. Przecież niczego innego nie potrafią. Nie wtrącajmy się więc do ich roboty.

– Och, Vi, przecież dookoła kręci się tylu zboczeńców. Popatrz tylko, co się stało z moją Mandy.

– Powiem coś panu. Zboczeńcy dobierają się jedynie do niewinnych dziewczyn. Im nie zależy na rozłożonych zachęcająco nogach. Lubią opór, walkę. A ci niegroźni przychodzą do nas. Jeśli nie będą pieprzyć naszych dziewczynek, zabiorą się za dziwki stojące przy drogach.

Kelly pokiwał głową. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Pewnie masz rację, Vi.

Kiedy wracał przez hol, dziewczęta niemal automatycznie przyjmowały na krzesłach postawy zasadnicze. Gdy znalazł się na chodniku, jakaś starsza kobieta wyprowadzająca na spacer małego pieska posłała mu pełne pogardy spojrzenie. Kelly ciężko westchnął. Stara baba wzięła go za zboczeńca.

Rolls znów parkował przy krawężniku i Kelly szybko wsiadł do środka.

– Forrest Gate, szefie?

– Nie, raczej do domu, Willy.

– Robi się.

Przez okno samochodu Kelly obserwował ludzi chodzących po zimnych, szarych ulicach. Był ostatni dzień starego roku. Postanowił spędzić ten dzień z Kate. Już podjął przygotowania.

Znów usiadł wygodnie. Pieprzyć salon masażu i jego klientów. I bez nich miał dosyć problemów na głowie.

– Och, mam! Dlaczego ciągle muszę trzymać się ciebie i taty? Przecież

wszystkie dziewczęta z mojej klasy tam będą! Tylko mnie zabraknie. Ja tego nie przeżyję!

Louise Butler tupnęła nogą.

Jej matka, Doreen, uśmiechnęła się. Właściwie była po stronie córki. Zerknęła na męża.

– Jak myślisz, Ron, pozwolimy jej tam pójść?

Louise odetchnęła z ulgą. Skoro matka zadawała ojcu takie pytanie, z pewnością ich zgoda jest tylko kwestią czasu. W gruncie rzeczy matka już się zgodziła. Nie usłyszawszy jeszcze odpowiedzi ojca, Louise rzuciła się jej w ramiona.

– Dziękuję ci, mamó. Wielkie dzięki.

– Pośpiesz się więc i szybko się ubierz. Zawiozę cię - oznajmił ojciec wspaniałomyślnym głosem.

Louise popatrzyła na niego z udawaną surowością.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jestem już gotowa.

Wszyscy troje roześmiali się. W jasnofioletowo-złotym jaskrawym dresie, sportowych butach marki Reebok i męskiej skórzanej kurtce wyglądała jak przeciwieństwo wyobrażeń rodziców o „ubranej” dziewczynie. Była jednak fanatyczną wielbicielką ciężkiej muzyki rockowej, o czym świadczyły nie tylko jej stroje, lecz także fryzura i wielkie kolczyki w uszach.

– No, dobrze. Tylko uważaj na siebie. Nie zażywaj narkotyków ani nic takiego. Jasne?

Louise wywróciła fioletowymi oczami.

– Tak jakbym kiedykolwiek tego próbowała. Przecież nie jestem głupia, doskonale wiesz.

– Po prostu dbamy o ciebie, kochanie, i przestrzegamy cię przed najgorszym.

– Wiem, mamó. Rusz się, tato, albo się spóźnimy. I nie chcę, żebyś wioził mnie na samą imprezę. Wysadzisz mnie przed domem Sam. Dalej pojedę już z nią.

– Dobrze, zgadzam się.

Pocałowawszy matkę w policzek, Louise wyszła za ojcem do samochodu. Pięć minut później byli przed domem Sam.

– Gdzie więc jest ta impreza?

– Mniej więcej siedem mil stąd, w kierunku Woodham Woods. Droga jest bardzo prosta. Już się o mnie nie martw, tato, wszystko będzie dobrze.

– Tylko pamiętaj, najpóźniej o pierwszej chcę cię widzieć z powrotem w domu.

– Jasne. Do zobaczenia, tato.

Pocałowała ojca i szybko wysiadła z samochodu. Przez chwilę patrzyła jeszcze za oddalającym się autem, po czym powoli ruszyła ogrodową ścieżką, prowadzącą do domu Sam. Zadzwoiła do drzwi.

– Dzień dobry, pani Jensen. Jest Sam?

– Nie, moja droga. Wyszła jakieś dziesięć minut temu. Z Georginą, Tracey i Patricią. Przynajmniej wydaje mi się, że to były one. Tak wiele ma tych koleżanek. Przyjechały po nią niebieskim samochodem.

– Aha. No, trudno. Przepraszam, że panią niepokoiłam.

Z sercem bijącym gwałtownie Louise powróciła na ulicę. Szlag by to trafił, przecież ta dziwka Sam doskonale wiedziała, że ona także po nią przyjdzie, a mimo to nie zaczekała. Fałszywa krowa! Cóż, będzie musiała wrócić do domu i poprosić ojca, żeby mimo wszystko zawiózł ją na tę imprezę. Ale jeśli tam pojedzie, zobaczy, że wszystko odbywa się w starej stodole, i to właściwie nielegalnie, i natychmiast zabierze ją z powrotem do domu.

Cóż miała począć?

Po chwili uśmiechnęła się do siebie. Sama da sobie radę. A może po drodze trafi się frajer, który ją podwiezie? Potem powie Sam, co o niej myśli.

Wyciągnęła długie czarne włosy spod kurtki i rozpoczęła samotny marsz w kierunku przedmieść Grantley.

Tak, ona im jeszcze pokaże.

Lizzy była już gotowa do wyjścia. Jeszcze raz przyjrzała się swojej sylwetce w dużym lustrze w szafie i nałożyła barani kożuch, który ojciec podarował jej kiedyś na Boże Narodzenie. Oblizwała usta, żeby nabrały lepszego połysku, i poszła do sypialni matki.

– Mamo, wyglądasz przepysznie.

Kate przyglądała ciemnopurpurową nowiutką sukienkę, podkreślającą jej figurę, i uśmiechnęła się do córki.

– Dziękuję, kochanie.

Także ona obejrzała się w lustrze. Wiedziała, że wygląda znakomicie. Jej włosy, umyte szamponem kokosowym, aż lśniły. Uszy ozdobiła dużymi złotymi kółkami i zrobiła sobie staranny makijaż.

– O której wrócisz jutro od Joanie? - zapytała.

– Chyba w porze lunchu. Nie martw się o mnie, mamo, po prostu sama baw się dzisiaj dobrze.

– Nie omieszkam, zapewniam cię. - Kate popatrzyła córce głęboko w oczy. - Wiesz co, Liz? Wyglądasz prześlicznie. Pokaż mi, co masz na sobie.

– Och, po prostu ubrałam czarną sukienkę. W końcu party odbywa się w domu Joanie. - Lizzie wydeła wyszminekowane czerwone usta i Kate roześmiała się. Rodzina Joanie miała u jej córki opinię

„wapniaków”.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko będziesz się dobrze bawić.

– Z pewnością, mam. Po prostu skoncentruję się na sobie. - Córka jeszcze raz zmierzyła matkę uważnym wzrokiem. - Użyj czerwonej szminki, do tej sukienki pasuje o wiele lepiej niż koralowa.

Kate roześmiała się.

– Jasne, szefie. - Zaczęła papierową chusteczką usuwać szminkę z ust.

– A co tatuś będzie robił dziś wieczorem?

Kate wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, kochanie. Babcia wychodzi do Doris. Wyobrażam sobie, że tata również gdzieś pójdzie.

– Nawet go o to nie zapytałaś?

Kate, która już zaczynała malować usta na czerwono, znieruchomiała.

– A niby dlaczego miałam go pytać? - Uchwyciła w lustrze wzrok córki. - Przecież jesteśmy rozwiedzeni, Lizzy. Ja żyję swoim życiem i tata swoim.

Lizzy posmutniała.

– Bardzo bym chciała, żebyście byli razem.

Kate odwróciła się i ujęła twarz córki w dłoń.

– Długo tego pragnęłam, Lizzy, ale twój tata miał zupełnie inny stosunek do życia. - Urwała, szukając właściwych słów. Nie chciała mówić o byłym mężu źle, jednak po tym, jak Dan kilkakrotnie potraktował ją w przeszłości, przychodziło jej to z trudem. - Twój ojciec jest niezależnym człowiekiem, żyje po swojemu. Ja także chcę teraz żyć w ten sposób.

Lizzy patrzyła na matkę i Kate czytała z jej wzroku, że bardzo stara się zrozumieć słowa, które przed chwilą usłyszała.

– Już chyba pójdę, bo się spóźnię.

– Poczekaj chwilkę, to podrzucę cię do Joanie.

– Nie ma potrzeby, zadzwoniłam po taksówkę. Jedź na swoją imprezę, mam, i zapomnij o mnie chociaż na trochę. W końcu jestem już dużą dziewczynką.

– A więc życzę ci szczęśliwego Nowego Roku.

Kate pocałowała córkę.

– Szczęśliwego Nowego Roku, mam.

Usłyszawszy klakson taksówki, Lizzy wyszła z pokoju. Kate patrzyła za nią z lekko przyśpieszonym biciem serca. Po chwili podniosła z łóżka torebkę i także powoli wyszła.

– Katie, wyglądasz jak z obrazka!

Evelyn była już gotowa do wyjścia. Miała na sobie jasnozielony

kostium z krempliny i ciemnozielony kapelusz. Włożyła podbite futrem buty do kostek, a w ręce trzymała dużą brązową torbę.

– Wysadzisz mnie gdzieś koło domu Doris?

– Oczywiście. Ilu osób się tam spodziewacie?

– Około dwudziestu. To będzie chyba pierwszy Nowy Rok, którego nie powitamy razem, we trzy, prawda?

– Wiem. Ale Lizzy ma rację, dorośleje już i nie powinniśmy się temu sprzeciwiać.

– A ty dokąd idziesz?

– Do jednego z kolegów z komisariatu. Wyprawia przyjęcie u siebie w mieszkaniu.

Kate nienawidziła kłamać, lecz nie potrafiła jeszcze powiedzieć nikomu o uczuciu,

jakie rodziło się pomiędzy nią a Patrickiem.

– Gdzie jest Dan?

– W salonie. Idź na chwilę do niego, a ja nałożę płaszcz.

Kate przeszła do salonu. Dan siedział na kanapie i oglądał telewizję. Kiedy Kate weszła, skierował wzrok na nią. Z pewną satysfakcją obserwowała, jak rozszerzają mu się oczy. Cichutko gwizdnął.

– Wyglądasz uroczo, Kate, naprawdę uroczo. - Jego głos brzmiał szczerze.

– Dzięki, Dan. Rozmawiałeś z Lizzy, zanim wyszła?

– Tak. - Przesunął dłonią po bujnej fryzurze gestem tak dobrze znanym Kate. - Dlaczego nie chcesz nigdzie pójść dzisiaj ze mną? - zapytał urażonym tonem. - Jesteś zbyt piękna dla zgrai starych policjantów.

– Nie postarałeś się o towarzystwo dla siebie? - Uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Cóż, nie. Zamierzałem zająć się tobą. Jak cię znam, nigdy nie wychodziłaś w sylwestra. - Znów przybrał nadąsany ton.

– Ale dzisiaj wychodzę. - Usłyszała kroki matki na schodach i uśmiechnęła się.

– Szczęśliwego Nowego Roku.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Kate.

Patrzył, jak wychodzi, i z trudem zwalczył w sobie ochotę, by przyciągnąć ją do siebie. Po raz pierwszy w życiu Kate miała nad nim przewagę i Dan nie wiedział, jak na to reagować. W przeszłości to ona bezustannie ciągnęła go niemal za rękaw, żeby się od niej nie oddalał. Tym razem nie. W grę wchodził inny mężczyzna i bynajmniej nie był to Danny Burrows. Kate wyglądała, jakby szła na randkę, a nie na huczne przyjęcie. Musiał dowiedzieć się, kto to taki.

Kiedy frontowe drzwi zamknęły się z trzaskiem, wstał z sofy i stanął przy oknie, obserwując, jak odjeżdża samochód Kate. Gdy tylko zniknął za rogiem, pobiegł do holu i złapał słuchawkę telefonu. Szybko wystukał właściwy numer i po kilku sygnałach usłyszał damski głos.

Dan wyznawał w życiu jedną zasadę: zawsze należy mieć plan awaryjny.

W samochodzie usta Evelyn nie zamykały się.

– Wiesz, naprawdę wyglądasz uroczo. Od dawna takiej cię nie widziałam. Gdybym cię dobrze nie знаła, pomyślałabym, że na horyzoncie jest jakiś mężczyzna.

– Och, przestań, mamusiu. Gdyby na horyzoncie pojawił się mężczyzna, pierwsza byś się o tym dowiedziała.

– Może po prostu ten mężczyzna jeszcze o niczym nie wie?

– Do licha, o czym ty mówisz?

Evelyn lekko się uśmiechnęła.

– O niczym, o niczym. Kate, wysadź mnie tutaj.

Zatrzymała samochód przy krawężniku i wyłączyła silnik.

– Szczęśliwego Nowego Roku, mamusiu.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie. Ale posłuchaj, jeśli z jakiegoś powodu zechcesz spędzić tę noc z przyjacielem... może coś wypijesz i nie będziesz mogła wrócić samochodem... wiesz, nie musisz się martwić o Lizzie, ponieważ ja wrócę wcześniej i wszystkim się zajmę.

Wysiadła z samochodu i wyprostowana ruszyła szybkim krokiem do drzwi domu

Doris.

Kate uruchomiła samochód i uśmiechnęła się do siebie. Miała naprawdę przebiegłą i domyślną matkę.

Ruszyła w kierunku przedmieść Grantley. Nie mogła się już doczekać spotkania z Patrickiem Kellym.

George ubrał się ciepło. Chociaż wcale nie był tak chory, jak chciał, żeby sądziła Elaine, nie czuł się najlepiej. Zresztą, zawsze o siebie dbał. Miał obsesję na punkcie własnego zdrowia. Ogrzewanie w samochodzie włączył na maksimum, mimo że szum wentylatora tłoczącego ciepłe powietrze denerwował go i trochę rozpraszał. Włączył radio.

Auto natychmiast wypełniło się dźwiękami koncertu Mozarta i George zaraz się odprężył. Wyjechał z Grantley drogą, która wiodła do małej wioski, Woodham. Często tędy jeździł. Wzdłuż niej znajdowały się liczne małe leśne parkingi, na których często przystawały samochody z kochającymi się parami. Zaparowane szyby aut ekscytowały go.

Mocniej nacisnął na pedał gazu i włączył światła drogowe. Czuł się wolny, wolny i szczęśliwy. Później wróci do Grantley i pozagłąda ludziom do mieszkań. Zaczął nucić melodię koncertu. Jego zazwyczaj smutne szare oczy teraz błyszczały. Czarne krzaczaste brwi podskakiwały w rytm muzyki. Niewielki kapelusz zakrywał łysinę na czubku głowy.

I wtedy ją zobaczył. Przed nim jechały jeszcze dwa inne samochody, co było raczej niezwykle na tej szosie. Zazwyczaj była puściutka. Ale przecież dzisiaj był sylwester, ostatni dzień starego roku, i niemal po wszystkich drogach w okolicy jeździło mnóstwo samochodów. Poza tym George nie miał pojęcia o imprezie, która właśnie zaczynała się w Woodham Woods.

Dziewczyna wyciągnęła do góry kciuk. George zobaczył, jak samochód jadący przed nim zwalnia, i on także zwolnił. Dziewczyna podeszła do auta, które natychmiast odjechało, pozostawiając ją na poboczu, z rękami opartymi na biodrach. George minął ją i skręcił na pierwszy parking. Wziął torbę z tylnego siedzenia i szybko nałożył na twarz maskę. Poczuł, jak adrenalina zaczyna szumieć mu w żyłach, i uśmiechnął się. Poprawiwszy maskę tak, by mógł dobrze widzieć przez znajdujące się w niej otwory, wyjechał z powrotem na szosę, w kierunku dziewczyny.

Po chwili serce mu niemal stanęło. Obok dziewczyny zatrzymał się jakiś samochód. George minął ją i poczuł, jak w miejsce ogromnej radości ogarnia go wielka złość.

Dziwka! Ujechał jeszcze kawałek i znów zawrócił.

Louise wpatrywała się w ciemne wnętrze XR3. Z przodu siedziało dwóch chłopaków, a z tyłu jeszcze trzech. Wszyscy bez wątpienia byli już mocno pijani.

– No, chodź, kochanie. Wsiadaj do wozu, a zajedziemy na czas.

Louise nie była pewna, czy ma ochotę na tę przejażdżkę.

Jeden z chłopaków siedzących z tyłu opuścił szybę i splunął na pobocze.

– Pośpiesz się, dobra? Albo się do nas przyłączysz, albo się odpierdol. Blondyn, który siedział za kierownicą, pochylił się w jej kierunku.

– No, dalej, wsiadaj.

Louise była przerażona.

– Nie... Nie, nic z tego. Pójdę pieszo.

– Niech sobie głupia suka pospaceruje. Ruszamy, muszę się napić.

– Ty głupia krowo!

Samochód odjechał z piskiem opon. Jeszcze przez chwilę Louise

patrzyła, jak jego tylne światła znikają w oddali.

Chłopacy byli pijani albo naćpani, albo jedno i drugie. Niezbyt jej się uśmiechał samotny spacer ciemną szosą, ale za nic w świecie nie wsiadłaby do samochodu z pięcioma narwanymi chłopakami. Nie ma mowy!

Mocniej opatulila się skórzaną kurtką. Musi iść, szybko dotrzeć do Sam i innych. Zaczęła się śpieszyć, zła na siebie, że jednak nie wróciła do domu, ponieważ myśl, że opuściłaby przez to imprezę w stodole, nagle nie wydała się jej aż taka straszna. Tyle że gdyby się na niej nie pojawiła, zostałaby pośmiewiskiem całej klasy. Ach, jak bardzo chciałyby już mieć szesnaście lat i chodzić do college'u dla fryzjerek! Jak bardzo chciałyby teraz być w domu i leżeć we własnym łóżku!

Z tyłu nadjechał kolejny samochód. Wyraźnie usłyszała, jak zwalnia za jej plecami. Boże, byleby i ten nie był pełen pijanych gówniarzy. Niech to będzie jakiś baśniowo przystojny siedemnastolatek o modnej fryzurze, taki, z jakim mogłaby pokazać się Sam i pozostałym dziewczętom.

Kiedy samochód stanął, odwróciła się.

Przednie drzwi po stronie pasażera otworzyły się i Louise z wahaniem ruszyła w ich kierunku. Ścieżkę, po której się poruszała, z jednej strony ograniczał asfalt, a z drugiej strome zbocze, opadające dziesięć stóp w dół i kończące się wielkim zaoranym polem. Pochyliwszy się, Louise zajrzała do samochodu.

Kiedy jej umysł zarejestrował to, co ujrzały oczy, natychmiast odskoczyła od samochodu, a mroźne powietrze rozdarł jej przenikliwy krzyk.

W aucie znajdował się mężczyzna w czarnej skórzanej masce.

Do tej pory nie widziała podobnej sytuacji nawet w najbardziej mrocznych nocnych koszmarach. Zrobiła jeszcze krok do tyłu. Zbyt późno przypomniała sobie o znajdującej się za nią pochyłości. Jej stopa natrafiła jedynie na powietrze i dziewczyna natychmiast poleciała w dół. Z hałasem potoczyła się po twardej, zmarzniętej ziemi i zatrzymała dopiero na polu. Leżała przez krótką chwilę, nim zdołała usiąść.

Nad sobą zobaczyła mężczyznę w masce. Próbował ją chwycić, jednak wywinęła mu się i szybko zaczęła się wspinać ku szosie. Kątem oka spostrzegła, że mężczyzna trzyma w dłoni coś błyszczącego. Od razu zdała sobie sprawę, że to jest nóż. Kiedy zrozumiała, na co się zanosi, puściły jej zwieracze. Na szosie oślepiły ją światła volkswagena golfa; kierowcy z trudem udało się ją ominąć. Z samochodu dochodziły dźwięki głośnej muzyki. Kiedy volkswagen odjechał, przystanąła bezradnie na środku szosy. Wraz z nim zniknęła nadzieja ocalenia.

Mężczyzna w masce stał na trawiastej pochyłości, obserwując Louise.

Po drugiej stronie szosy rozciągało się kolejne pole. Dziewczyna przygryzła wargę, chaotycznie zastanawiając się, w którą stronę uciekać. Było ciemno, straszliwie ciemno, a ona taka samotna.

Powoli, tyłem zaczęła oddalać się od mężczyzny, desperacko zastanawiając się, jak by mu uciec. Zobaczyła, że ruszył ku niej. W oddali rozległ się warkot silnika kolejnego samochodu, więc uniósłszy do góry ręce, pobiegła w tym kierunku, machając i krzycząc.

Terry Miller zażył tabletkę ekstazy o szóstej wieczorem. Szumiała mu w głowie, naprawdę szumiała. Siedzący obok niego brat, Charlie, bezładnie potrząsał głową. Jeździli już prawie od godziny, próbując natrafić na imprezę w stodole, tę, o której wszyscy rozprawiali od kilku dni. Muzyka techno rozbrzmiewała w samochodzie tak głośno, że obaj z trudem słyszeli własne myśli. Kiedy Terry ujrzał w światłach reflektorów dziewczynę, parsknął śmiechem.

– Popatrz, Charlie, musi być nieźle narąbana.

Charlie wyszczerzył zęby, usiłując jednocześnie zebrać myśli.

– A popatrz tylko na tego starucha za nią. Co za dzikus! Patrz tylko, co on ma na łbie!

Minęli dwie sylwetki i Terry nacisnął na klakson, rozbrzmiały pierwsze dźwięki hymnu narodowego Stanów Zjednoczonych.

- Pojebany! Widziałeś tego starucha, człowieku? Naprawdę, pojebany!

Louise Butler patrzyła z przerażeniem, jak oddalają się jej potencjalni wybawcy. Dźwięki klaksonu jeszcze przez chwilę słychać było wśród czarnej nocy. Zaczęła płakać. Rozejrzała się, jakby spodziewała się, że nagle na szosę wybiegnie ktoś z pola i ją ocali, lecz zobaczyła jedynie zbliżającego się prześladowcę.

Odwróciła się i ruszyła biegiem przed siebie. Zdołała zrobić tylko pięć kroków i wbiegła na druciane ogrodzenie pola, którego w ciemności nie zauważyła. Siatka trochę się wygięła, a potem dosłownie odrzuciła ją prosto w ramiona mężczyzny w masce.

Kiedy otoczył ją żelaznym uściskiem, opuściła ją wszelka chęć do obrony. Górę wziął strach i poczuła, że uginają się pod nią kolana. Jej ramiona zatrzęsy się, kiedy zaczęła przeraźliwie łkać.

Och, Boże, proszę cię, Boże, pomóż mi!

George ni to zaniósł, ni to zaciągnął dziewczynę do samochodu. Pod maską miał szeroki uśmiech. W swoim sekretnym uśmiechu obnażał wszystkie zęby.

Kate wypięła do kolacji kieliszek wina i teraz raczyła się armaniakiem. Patrick uśmiechał się do niej ponad stołem. Już drugi raz jadła kolację w jego domu i stwierdzał z coraz większą pewnością, że lubi jej towarzystwo. Pozwalała mu oderwać myśli od Mandy, co wydawało się bardzo dziwne, jeśli zważyć, że prowadziła śledztwo w sprawie zabójstwa jego córki.

Patrick Kelly niezbyt liczył na skuteczność policji. Miał przecież z nią do czynienia przez całe życie. Kate była pierwszym policjantem, z jakim kiedykolwiek spotkał się na gruncie prywatnym. Och, oczywiście, upijał się czasami w ich towarzystwie, chociażby z miejscowym szefem, ale jedynie dlatego, że miał w tym interes. Natomiast z Kate spotykał się tylko i wyłącznie dla czystej przyjemności. Uwielbiał patrzeć na nią i z nią rozmawiać.

Wyglądała dziś tak ślicznie, że wprost pożerał ją wzrokiem. Czerwony kolor bardzo do niej pasował. Jej czarne włosy lśniły w świetle świec. Wyglądała o wiele łagodniej, sprawiała wrażenie o wiele delikatniejszej niż na co dzień. Była bardziej kobieca. Po tych wszystkich ślicznotkach o pustych głowach, które pętały się dotąd po jego domu, czuł, że w końcu mógłby się związać z kobietą godną szacunku.

Przyznawał sam przed sobą, że specjalnie dobierał sobie cyncate nastolatki, których jedyną zaletę stanowił fakt, że były dobre w łóżku. Nie kłopotał się koniecznością prowadzenia z nimi poważnych rozmów. Do diabła, o czym mógł rozmawiać czterdziestopięcioletni facet z osiemnastolatką? O niczym. Koniec, kropka.

Z Kate sprawa była więc zupełnie inna. Rozprawiali we dwoje na wszelkie możliwe tematy. Okazało się, że Kate jest inteligentna, ale zarazem nie jest napuszoną mądralińską, która inteligencję nosi niczym bokser parę rękawic, aby wypunktowywać rozmówcę, kiedy tylko natrafi na jego słabe miejsce. Nic z tych rzeczy. Kate uważnie słuchała jego opinii, a potem dodawała swoje, cicho i szczerze. Z minuty na minutę coraz bardziej ją lubił. Wiedział, że poszukiwania zbrojcy, który zabił jego córkę, nie posunęły się ani o krok, ale przecież jemu także nic się w tej sprawie jeszcze nie udało zdziałać. Facet najwyraźniej atakował przypadkowe ofiary i do tej pory swoje zbrojenie starannie skrywał. Kate dokładnie, cierpliwie, wyjaśniła mu ten mechanizm. Napastnik nie zostawił na miejscach zbrodni jeszcze żadnego śladu. Ale zostawi, była tego pewna. Któregoś dnia popełni błąd, a wtedy nie będzie miał już żadnych szans.

Kate nie wiedziała jedynie, że kiedy ten przełom nastąpi, Patrick również podąży śladem mordercy. A gdy z nim skończy, dla policji nie będzie już nic do roboty. Nie da się go nawet rozpoznać.

– Więc naprawdę nie masz żadnego punktu zaczepienia? - zapytał.

Kate potrząsnęła przecząco głową, a Patrick z zafascynowaniem

patrzył, jak przy tym ruchu falują jej włosy.

– Stopniowo eliminujemy poszczególne osoby, które potencjalnie mogły mieć związek ze zbrodniami, ale to wymaga czasu. Wciąż przesłuchujemy mężczyzn, właścicieli ciemnych fordów orionów. W ciągu dziesięciu dni powinniśmy z tym skończyć. Od jutra rana ja także wezmę udział w przesłuchaniach razem ze Spencerem i Willisem.

– Rozumiem - powiedział Patrick łagodnie.

– W końcu go dopadniemy, Patrick, naprawdę. Zazwyczaj, kiedy zostaje popełnione morderstwo albo gwałt, znajdujemy przestępcę. - Kate uśmiechnęła się przepraszająco. - Chyba już ci to dzisiaj mówiłam.

– Mówiłaś. Wiesz co, zmieńmy wreszcie temat. - Niemal wybuchnęła śmiechem i Kate popatrzyła na niego pytająco. - O mało nie zapytałem „co u ciebie w pracy?” Moja głowa jest w ostatnich dniach jak przełącz Chajber. Wiesz co, przejdźmy do pokoju rysunków, zgoda? - Zaczął naśladować dystygowanego arystokratę i Kate roześmiała się. Potrafił zachowywać się oryginalnie.

W pokoju rysunków usiedli obok siebie na wielkiej kanapie. Patrick przyniósł karafkę z brandy i dwa kieliszki.

– To piękny dom. Pochodzi chyba z osiemnastego wieku, prawda?

Patrick pokiwał głową.

– Tak, kupiłem go za marne pieniądze, jakieś dwanaście lat temu. Kosztował mnie siedemdziesiąt tysięcy, ale rząd tylko na tym skorzystał, mówię ci. To była po prostu ruina. - Machnął ręką. - Drugie tyle forsy włożyłem, żeby doprowadzić go do dawnej świetności, ale było warto. Renée się w nim zakochała, tak samo zresztą Mandy. Teraz, cóż, bez nich jest pusty. Bo cóż to za dom bez kobiety?

Kate instynktownie ujęła jego dłoń.

Patrick odwrócił głowę i popatrzył w ciemną głębię jej oczu. Była naprawdę urocza, emanowała dojrzałą kobiecością.

Nagle zapragnął jej z całego serca. Zapragnął poczuć, jak oplatają go jej ręce. Zapragnął, żeby go kochała. Pragnął, potrzebował kobiecej miłości. Potrzebował miłości kobiety, a nie dziewczyny. Prawdziwej kobiecej miłości.

Kate bezbłędnie wyczytała to z jego oczu i nieznacznie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. W tym momencie ją pocałował długim, namiętym pocałunkiem, który wywołał w niej przyjemny dreszcz od głowy aż po stopy. Oddała mu pocałunek, przepelniona uczuciem nie mającym nic wspólnego z karierą ani ich wzajemnymi relacjami.

Pragnął jej. Poczula, jak pchają na plecy, na puszystą kanapę, i pozwoliła mu na to z radością.

Właściwie czekała na to od ich pierwszego spotkania, chociaż aż do tej pory sama przed sobą się do tego nie przyznawała. Dan już od dawna

się nie liczył. Pragnęła Patricka Kelly'ego.

Poczuła jego szeroką dłoń, sunącą po jej nowej sukience. Kiedy dotarł do odkrytej skóry na udzie, poczuła rozkoszne mrowienie w całym ciele. A potem wszystko przestało się liczyć, ważna stała się jedynie ta chwila. Lecz Patrick odsunął się od niej i popatrzył jej w oczy. Wyraz twarzy miał zarazem łagodny i poważny.

– Zostaniesz na noc, Kate? - W jego głosie słychać było pożądanie. Pokochała go chociażby za to, że w takim momencie potrafił zdobyć się na to proste i zarazem trudne pytanie. Chciał się upewnić, że Kate wie, co robi.

Pokiwała głową.

Uniósłszy ją, jakby była lalką, postawił ją na niepewne nogi.

Poszła za nim wielką, zakreconą klatką schodową, przekonując się w myślach, że nawet jeśli ma to być tylko jedna noc, i tak będzie z tego powodu szczęśliwa. Nawet jedna noc z Patrickiem Kellym była warta więcej niż noc żadna.

Znalazłszy się w sypialni, rozejrzała się po niej uważnie, z respektem dla jej rozmiarów i nagromadzonego tu bogactwa.

Patrick powoli zaczął się rozbierać i Kate na moment się przestraszyła. Przecież nie była już młodziutką dziewczynką. Miała czterdzieści lat.

Patrick podszedł do niej i ściągnął jej przez głowę czerwoną sukienkę, eksponując jej drobne nagie piersi, które na dobrą sprawę nigdy nie potrzebowały biustonosza, i długie nogi w czarnych pończochach. Kiedy uwolniła głowę z sukienki, popatrzyła na Patricka z wahaniem.

Uśmiechnął się.

- Jesteś urocza, Kate. Naprawdę urocza.

I wtedy w to uwierzyła.

Pociągnął ją na łóżko. Nareszcie nadzy, przypatrywali się sobie w słabym świetle nocnych lampek, umieszczonych po obu stronach łóżka.

Podczas tych wszystkich lat spędzonych z Danem Kate nigdy nie doświadczyła uczucia tak wyjątkowego jak w tej chwili. Nie poczuła tak dojmującej ekscytacji. Nie doświadczyła takiego głodu mężczyzny, jaki właśnie teraz ją zżerał.

Gdzieś na dnie umysłu kołatała się w niej myśl, że nie powinna była dopuścić do tej sytuacji. Przecież ten mężczyzna był złoczyńcą, łajdakiem. Patrick Kelly był czarnym charakterem, złodziejem, ściągał haracze. „Komornik”, taką nosił ksywę. Jednak w tej chwili Kate nie zainteresowałyby się nawet wiadomością, że jest on seryjnym mordercą.

Pragnęła go.

Miała go.

Całowała go.

Później będzie się martwić wszystkim innym. Znacznie później.

Patrick Kelly oddał jej pocałunek, po czym zaczął pieścić jej piersi. Delikatnie gryzł sutki, lekko ciągnąc je wargami, dopóki nie przybrały w jego ustach kształtu małych piramid. Wilgotność jego języka przesuwanego się po nich sprawiała, że Kate z rozkoszy wygięła plecy w łuk.

Kelly był doświadczonym kochankiem. Już od tak dawna Kate nie kochała się tak namiętnie, od tak dawna nie odnosiła wrażenia, że jest tamą, która w każdej chwili może pęknąć z wielkim hukiem. Czula jego dłoń muskającą delikatnie jej ciało, pieszczącą jej uda, a kiedy nagle wsunął w nią palec, ogarnęło ją gorąco, a w środku zrobiła się bardzo wilgotna. Jęknęła. Czula erekcję Patricka; jego podniecenie sprawiało, że niemal brakowało jej oddechu. Bawił się jej maleńkim guziczkiem, delikatnie głaszcząc go kciukiem, aż musiała odsunąć stamtąd jego rękę. Drżała na całym ciele. Rozłożyła szerzej nogi, czując, jak jej własne soki zraszają palce Patricka. Wówczas Patrick przesunął się wzdłuż jej ciała ku nogom, po drodze pieszcząc ustami skórę na jej brzuchu. Co chwilę lekko jej gryzł, co było źródłem największej przyjemności.

Kiedy usta Patricka dotarły do jej płci, długim haustem nabrała w płuca powietrza. Czula, że zaraz dojdzie. Czula, że na jej ciało opadają potężne fale rozkoszy. W miarę zbliżania się kolejnych fal, Patrick przybliżał do niej usta; lizał ją i ssał, równocześnie poruszając w niej palcem. Jeszcze nigdy w życiu Kate nie doświadczyła takiej ekstazy.

Kiedy wreszcie drżenie ustało, popatrzyła ponad łóżkiem na jego uśmiechniętą, lśniącą twarz.

– Och, Patrick...

Patrzyła, jak wstaje z łóżka i zakłada szlafrok. Jego członek wciąż był nabrzmiały i purpurowy.

– Dokąd idziesz? - zapytała głosem, w którym brzmiało pożądanie. Świadomość, że Patrick nagle chce ją opuścić, zdeorientowała ją.

– Po doświadczeniu takim jak to pozostaje mi tylko jedno.

– Co takiego?

– Iść do piwniczki i przynieść dla nas butelkę szampana z dobrego rocznika. Myślę, że po dwóch kieliszkach będziesz gotowa do drugiej rundy.

Pocałował ją w usta. Kiedy wyszedł z sypialni, objęła się ramionami. Bardzo chciała, żeby wrócił jak najszybciej.

Patrick schodził po schodach oszołomiony. Kate była taka soczysta. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie doświadczył. Odnosił wrażenie, że w pewnym sensie stworzył ją dla siebie. Musiał maksymalnie się kontrolować, żeby nie eksplodować w nią już na samym początku.

Instynkt podpowiadał mu, że Kate potrzebuje przede wszystkim czułości, że czas na ostrą penetrację dopiero nadejdzie. Dzisiejszego wieczoru należało kochać ją długo i łagodnie; Patrick był zdecydowany to właśnie jej dać.

Wprost nie potrafił uwierzyć w swoje szczęście. Kto by pomyślał, że policjantka okaże się taka sexy? Wziął butelkę szampana, dwa kieliszki i ruszył z powrotem po schodach. Uśmiechnął się do siebie, kiedy zdał sobie sprawę, że właściwie biegnie do Kate. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd zachowywał się w taki sposób po raz ostatni.

Zbyt dużo czasu.

Louise Butler głośno, rozpaczliwie płakała. Jej szloch działał George'owi na nerwy.

– Zamknij się! - wrzasnął. Jego głos podziałał na nią jak uderzenie i sprawił, że przez jej ciało przebiegł potężny dreszcz.

– Ja... Ja chcę do... do domu. Proszę. - To ostatnie słowo wypowiedziała bezradnie, piskliwie.

George zazgrzytał zębami. Pod maską znów było mu za gorąco. Jego białe wełniane rękawice oznaczały się na kierownicy jaskrawo jak promienie światła. Popatrzył na dziewczynę. Płacząc, zagryzała wargi i kołysała się w fotelu pasażera to do tyłu, to znów do przodu. Z obu dziurek nosa zwisały jej długie smarki.

George zadrżał.

Zaufaj kobiecie, a zrobi z igły widły. Przecież nikt teraz nie uwierzy, że nie chce jej zamordować. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w jego ręce wciąż tkwi nóż szwajcarskiej armii. Lśnił w chwilach, gdy padało na niego światło księżyca, i przyciągał wzrok Louise jak magnes.

Bez wątpienia to on był Rozpruwaczem z Grantley, człowiekiem, o którym wszyscy od dawna w mieście mówili. Zamierzał ją zabić. Louise była tego tak pewna, jak tego, że już nigdy nie dotrze na imprezę w Woodham Woods.

Zapłakała jeszcze głośniejsze, czując, jak oblewa ją fala mdłości.

George dojechał do dużego kamieniołomu, położonego nieopodal Woodham. Zatrzymał samochód na poboczu pustej drogi i wytaszczył Louise na zewnątrz. Podłoże było nierówne i w pewnej chwili dziewczyna potknęła się, po czym upadła na zimny, oszroniony grunt. George powłókł ją dalej za włosy.

– Denerwujesz mnie, młoda damo.

Przeciągnął ją przez dziurę w ogrodzeniu. Louise usłyszała muzykę z imprezy dobiegającą z oddali. Co jakiś czas w zimnym powietrzu rozlegał się czyjś potężny wrzask. Płakała z desperacją. Jej ciało dawno już opuściła wszelka energia, nie miała siły walczyć o życie. Pogodzona z losem, była w stanie jedynie czekać na to, co ma się wydarzyć.

George wepchnął ją do dziury, która była jeszcze czarniejsza niż panująca dookoła noc. Krzyknęła, padając w ciemność. Poczula, że jej nogi zadzierają się aż za głowę, wreszcie usłyszała głuchy trzask, kiedy jej kostka uderzyła w twardy kawałek granitu. Bluza i kurtka zadarły się wysoko. Krańcowo wystraszona i zwinięta w kłębek, obolała, zaległa w bezruchu. Usłyszała, jak mężczyzna w masce zsuwa się do dziury. Wiedziała, że powinna teraz się podnieść i podjąć próbę ucieczki, jednak jej kostka w ekspresowym tempie nabrzmiewała w sportowym bucie. Ręce i twarz miała poodrapywane, do świeżych ran kleiły się ziarenka piasku, kłując ją boleśnie.

Leżała więc w całkowitej ciemności, nie ruszając się. Potężny ból w klatce piersiowej nie był spowodowany upadkiem; tak objawiał się strach. Nagi, przeogromny strach.

George wreszcie dotarł do niej. Pod maską było mu gorąco, lecz to uwielbiał. Kochał dotyk tej skóry i jej zapach. Kochał też strach, który emanował z tej dziewczyny. Dziewczyny, która z podniesionym kciukiem, samotna, łapała w nocy okazję. Boże, przecież aż się prosiła o kłopoty, wręcz ich żądała! No, to ma, co chciała, do cholery. Dokładnie to, o co się dopraszała.

Poczuł, jak wściekłość uderza mu do głowy. Czerwona, gorąca wściekłość, powodująca drżenie rąk. Wyrwawszy z kieszeni spodni latarkę, oświetlił nią pogrążoną w rozpacz postać. Zmarszczył czoło. Dziewczyna była nieprzytomna. Westchnął ciężko, po czym cofnął nogę w ciężkim bucie, i z całej siły kopnął ją w piersi. Jej ciało przesunęło się po żwirze, jednak w żaden inny sposób nie zareagowała.

George znów westchnął. Skóra na twarzy zaczynała swędzić go pod maską.

Jego ofiara nie ruszała się.

George ukląkł na żwirze i zacisnąwszy dłoń na rękojeści noża, z całej siły przebił nim brzuch dziewczyny. Gdy ostrze zagłębiło się w ciele, jakby zareagowała, ale tylko na krótki moment. George był zaskoczony. Odciągnął ciężką skórę kurtki z jej przedramienia i spróbował znaleźć puls. Nie wyczuł go. Była martwa, co George'a natychmiast rozwścieczyło. Jak śmiała mu to zrobić? Z jakiej racji ośmieliła się umrzeć tak nagle, tak po prostu? Wbił nóż w jej łydkę, przebijając cienki materiał spodni, skórę, docierając ostrzem aż do kości.

Ukucnął, przygryzając wargi pod maską. Zerwał ją w końcu i wreszcie poczuł na gorącej skórze zimne grudniowe powietrze. Jego krótkie włosy wyprostowały się i zaczęły łagodnie falować, głaskane delikatnym wiatrem. George splunął, wyciągnął nóż z nogi dziewczyny i zaczął ją rozbierać.

Ostrożnie ściągnął z niej spodnie od dresu i, posługując się nożem, zerwał z niej majtki. Zdjął jej skórzaną kurtkę, złożył na ziemi, po czym

rozpiął zamek błyskawiczny bluzy. Kiedy ujrzał, jak duże są jej piersi, był zaskoczony. Ruchem noża rozerwał biały lycrowy biustonosz, uwalniając je.

Położył latarkę na małej muldzie z piasku i jej światło padło na zimne, pozbawione życia ciało Louise Butler.

George trochę się rozpromienił. Popatrzył na zegarek. Do powrotu do domu miał jeszcze mnóstwo czasu. Zaczął nucić jakąś niezrozumiałą melodię.

Hałas dochodzący z imprezy w stodole był coraz potężniejszy. Muzyka rozbrzmiewała potężnymi akordami, a uczestnicy zabawy tańczyli w najlepsze i po prostu szaleli. W końcu były to ostatnie minuty starego roku. Wszyscy czekali na północ i na początek 1990 roku.

Wszyscy, z wyjątkiem Louise Butler.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Kate. - Głos Patricka był delikatny, bardzo łagodny.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Patrick. Mam nadzieję, że będzie on dla ciebie dobry. Naprawdę mam taką nadzieję i szczerze ci tego życzę.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Jeśli mam być szczery, dziewczyno, raczej marne są w nim widoki na szczęście.

Kate ogarnęło ogromne współczucie dla człowieka leżącego obok niej. Kiedy się kochali, była tego zupełnie pewna, zapomniał, przynajmniej na krótką chwilę, o wydarzeniach minionego tygodnia. Nawet przyszło jej na myśl, że właśnie w tym celu ją wykorzystywał, ale czy i ona nie wykorzystywała jego? Był zaledwie drugim mężczyzną, z którym się przespała. Przez czterdzieści lat życia miała tylko dwóch mężczyzn! Rzecz śmiechu warta w tych czasach. Tyle że Kate wcale nie było do śmiechu.

Zaskoczyła samą siebie intensywnością własnej reakcji na poczynania Patricka. Nie знаła dotąd innego mężczyzny, poza Danem, i po tej nocy stała się bardziej niż świadoma tego, co traciła przez te wszystkie lata. Dan kochał się z nią w taki sam sposób, w jaki robił w życiu wszystko inne: zadowalał jedynie siebie. Patrick Kelly, którego Dan określiłby pewnie mianem niewydukanego chama, miał dziś w nocy niemal wyłącznie na celu sprawienie jej jak największej rozkoszy. Och, jakże jej się to podobało! Dotąd nie wyobrażała sobie, że można w łóżku osiągnąć taki stan. Orgazmy, podczas których kobiety odnoszą wrażenie, że trzęsie się ziemia, a o których czytała przed laty, wcale nie były fikcją lecz realnymi przeżyciami. Przyłgnęła do ciała Patricka, ciesząc się jego dotykiem.

– Założę się, że gdyby ktoś z komisariatu w Grantley dowiedział się o

nas, nie spotkałoby się to z uznaniem. Pomyśl tylko, detektyw inspektor bzykająca się z miejscowym łotrem - powiedział Patrick żartem i Kate roześmiała się.

- Bzykająca się? Co to za sformułowanie, panie Kelly? Dziękuję bardzo!

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- To tylko taki skrót myślowy. Jesteś dobrą kobietą Kate.

Przybliżyła twarz do jego twarzy i pocałowała go. Niech świat na zewnątrz jeszcze trochę na nią poczeka. W tym momencie interesowała się jedynie Patrickiem. O dobrych i złych stronach dzisiejszej nocy zacznie się martwić dopiero nad ranem. Czując, jak jego dłonie wędrują wzdłuż jej ciała, zamknęła oczy, a wraz z nimi także umysł.

- Och, szczęśliwego Nowego Roku!

Elaine przyjęła tyle pocałunków, że wreszcie napuchły jej wargi, a po szmince na ustach pozostało jedynie wspomnienie. Podczas całego małżeństwa z George'em tak dobrze się nie bawiła. Zazwyczaj, kiedy zapraszano ich na imprezę, George nie chciał iść, zatem Elaine także odmawiała. Od chwili jednak, gdy na nowo poznała smak wolności, postanowiła, że będzie korzystać z życia, ile tylko się da. Z George'em albo, o ile to będzie możliwe, bez niego. Dzisiejsza noc była dla niej przełomowa. Tańczyła i tańczyła bez końca, smakując każdą minutę tego szaleństwa.

Zacząła rozglądać się po sali, poszukując swojej najlepszej przyjaciółki, Margaret Forrester. Uśmiechnęła się, widząc ją siedzącą na kolanach męża. Załowała, że jej własne małżeństwo takie nie jest. Proste, zgodne, pełne śmiechu i wspólnych żartów. Niespodziewanie jej twarz spochmurniała: pomyślała właśnie o swoim życiu z George'em. Mimo wszystko rozpromieniła się, przypomniawszy sobie, że razem polecą na Florydę, a ona sama odwiedzi Hiszpanię. Tak, ten rok nie zapowiadał się jednak najgorzej. Poza tym wciąż przecież znajdowała się na imprezie, której końca nie było widać.

- Zatańczysz? - Elaine odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, który zadał to pytanie.

Miał co najmniej pięćdziesiąt pięć lat i był gruby, ale chrzanić to! Tańczyła z nim już dzisiaj trzy razy. Ktoś właśnie włączył płytę Roya Orbisona i na pierwsze dźwięki melodii *Crying* znów utonęła w ramionach partnera. Uwielbiała Roya Orbisona i uwielbiała tego mężczyznę za uwagę, jaką jej poświęcał.

- Przepraszam bardzo, ale zapomniałam, jak ci na imię.

Mężczyzna uśmiechnął się, obnażając nieskazitelnie białe, ale źle dopasowane sztuczne zęby.

– Jestem Hector... Hector Henderson. A ty jesteś uroczą Elaine.

Poczuła dreszcz spływający wzdłuż kręgosłupa. Mógł być spowodowany nagłym podnieceniem, a może po prostu za dużo wypła. Bez względu na przyczynę bardzo się jej to spodobało.

Kiedy wychodzili do sali tanecznej, wyznaczonej dla gości w największym pokoju w domu Margaret Forrester, odsunęła od siebie wszelkie myśli związane z George'em.

Joey Meeson obserwował tańczącą Lizzy. Jej ciało zdawało się falować w rytmie ciężkiej rockowej muzyki. Mniej więcej przed godziną oboje zażyli po tabletkę ekstazy i Joey czuł, że „dochodzi”. Wszystko dookoła niego wydawało się stopniowo barwić na różowo, a jądra mu buzowały. Włosy Lizzy fruwały wokół jej głowy, z każdą chwilą tańczyła coraz szybciej. Ponieważ chodził z nią, miał prawo spodziewać się dziś po niej dobrej zabawy. Cholera, nikt by nie pomyślał, że jej matka jest policjantką. Lizzy pragnęła spróbować w życiu wszystkiego i swoje próby podejmowała z wielką klasą.

Także Joanie ją obserwowała. Joanie była zmarznięta i przejedzona. Popatrzyła na zegarek i westchnęła. Na użytek rodziców wykombinowała historyjkę, że nocuje w domu Lizzy; Lizzy z kolei powiedziała matce, że nocuje u niej. To oznaczało, że musi spędzić tu całą noc, czy tego chce, czy nie. Ostatnio Lizzy strasznie działała jej na nerwy. Interesowały ją jedynie nocne wypadki do miasta i spółkowanie z chłopakami.

Jakiś czarny chłopak z cienkimi warkoczykami podszedł do Joanie i poprosił ją do tańca. Joanie rozchmurzyła się. Może dzisiejszy wieczór nie będzie jednak taki nudny?

Lizzy podeszła do Joeya i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jak się bawisz, Liz?

– Och, wspaniale. Naprawdę wspaniale. Popatrz tylko na te światła.

Dla Lizzy, odurzonej narkotykiem, wszystkie światła miały już tylko niebieski i czerwony kolor.

– Może pójdziemy na chwilę do mojego samochodu? - zaproponował Joey.

Lizzy zachichotała.

– Jasne.

Miała już taki odlot, że Joey musiał pomóc jej przejść przez trawnik, za którym parkowały samochody. Młodzi ludzie śmiali się i żartowali z nich, kiedy się pomiędzy nimi przeciskali. Jakiś chłopak, ubrany jak uciekinier z Woodstock, tańczył przed nimi, zataczając duże koła. We włosach miał kwiaty, a w ustach wielkiego skręta. Lizzy i Joey roześmiali się na jego widok. Im bardziej oddalali się od sali tanecznej, tym więcej napotykali leżących ciał. Pary kochały się, samotnicy obejmowali dłońmi

czaszki, pogrążeni we własnych światach.

Joey otworzył forda sierrę i oboje wskoczyli na tylne siedzenie. Pocałował dziewczynę energicznie, wpychając jej swój język niemal do gardła.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Lizzy.

Uniosła głowę, próbując skoncentrować wzrok na jego brązowych oczach.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Joey.

Wsunął dłoń pod jej bluzkę i Lizzie zachichotała.

– Poczekaj chwilę, mam dla ciebie noworoczny prezent.

– Co to takiego? - Joey uśmiechnął się w ciemności.

Wówczas poczuł, jak dziewczyna rozpiną mu spodnie, a jej usta dotykają jego członka.

– Och, Lizzy. Szczęśliwego Nowego Roku.

Była nieprzewidywalna, dzika i wspaniała. I to w niej uwielbiał.

George postanowił zasypać zwłoki dziewczyny żwirem. Niech sobie tej akurat długo szukają. Niech cholerni policjanci tym razem solennie zapracują na swoje pieniądze. Pogrzebał ją i, posługując się latarką, sprawdził, czy nie zostawił w dole czegoś, co mogłoby naprowadzić kogoś na jego trop. Czubkiem buta zgarnął przed siebie jeszcze trochę żwiru, starając się jak najdokładniej zasypać martwą dziewczynę. Nie ułatwi im zadania, nie ma mowy!

Szybkim krokiem ruszył z powrotem do samochodu. Dudnienie ciężkiej muzyki w powietrzu było już wszechogarniające. George starannie złożył maskę i wsunął ją do brązowej torby. Dopiero wtedy uruchomił auto.

Zmarszczył czoło. Dzisiejsi młodzi ludzie byli jak zwierzęta. Poza tym jacy to rodzice, którzy pozwalają młodocianej córce szwendać się samej do późnej nocy? Współczesny świat stracił wszelkie poczucie przyzwoitości. Pojęcie przykładowej rodziny szybko stawało się wspomnieniem niezbyt odległej przeszłości. Snując te i podobne rozważania, George odjechał do domu.

No, niech oni wszyscy teraz uważają. Rok 1990 będzie jego rokiem! George sprawi, że wszyscy rodzice i mężowie z Grantley będą trząść się ze strachu. Ale przynajmniej zaczną trochę bardziej uważać na swoje pociechy i nie będą już beztrąsko wypuszczać z domów młodych dziewcząt, żeby szwendały się samotnie nocami po ulicach jak zwykłe prostytutki!

Ktoś musi się tym zająć. Jest to obowiązek dla prawdziwego mężczyzny. A George Markham nigdy nie uchylał się od swoich

obowiązków.

Wrócił do domu, wziął prysznic, nałożył czystą bieliznę i o dwudziestej trzeciej czterdzieści dwie leżał z powrotem w łóżku. Kiedy Elaine, zataczając się, powróciła od Margaret Forrester, na zegarze była już czwarta trzydzieści, a George smacznie i głęboko spał. Popatrzawszy na jego twarz, Elaine przez chwilę odczuwała wyrzuty sumienia. Zaraz jednak pomyślała o Hectorze Hendersonie i uśmiechnęła się. Hector Henderson. Kilkakrotnie powtórzyła szeptem to nazwisko, radując się jego brzmieniem. Dobre nazwisko, nazwisko silnego człowieka. Hector Henderson. Dał jej numer telefonu!

Zachichotała, chowając twarz w poduszkę i zaciskając dłonie w podnieceniu. W tygodniu do niego zatelefonuje.

Wreszcie zasnęła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Od jak dawna jej nie ma?

– Od wczorajszego wieczoru. Jej matka odchodzi od zmysłów i trudno chyba się temu dziwić, prawda? Rodzice telefonowali już do wszystkich jej kolegów i koleżanek. Ojciec wysadził ją wczoraj z samochodu przed domem najlepszej koleżanki...

Kate słuchała Amandy Dawkins bardzo uważnie.

– Nigdy dotąd nie zostawała gdzieś na noc? Ma chłopaka?

– Odpowiedź brzmi „nie” na oba pytania, Kate. Wszystko wskazuje na to, że dziewczyna jest idealną córką. Zawsze telefonuje, jeżeli ma się spóźnić do domu, zawsze dokładnie informuje rodziców, dokąd idzie. Po rozmowie z tą jej najlepszą koleżanką, Samanthą Jewson, odnoszę wrażenie, że towarzystwo trochę ją lekceważy, właśnie z tego powodu. Moim zdaniem Samanthą uważa się za dorosłą dziewczynę i spogląda przez to na Louise z góry, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Cóż, przekaz informację do wszystkich radiowozów, żeby patroli rozglądały się za nią, jednak coś mi mówi, że ta dziewczyna już nie wróci do domu. W każdym razie nie wróci żywa. - Kate urwała na chwilę. - Posłuchaj, może przekazemy informację o jej zniknięciu do prasy? Może przypomni ją sobie któryś z czytelników? Po pojawieniu się przed domem Jewsonów dziewczyna jakby zapadła się pod ziemię. A przecież ktoś musiał ją widzieć. Może jakiś efekt przyniesie także przepytывanie sąsiadów?

– Nie jestem pewna. Osiemdziesięciu ludzi w mundurach chodzi od drzwi do drzwi, niemal w całym mieście, i przepytuje ludzi. Wytypowaliśmy kilku podejrzanych osobników, okazało się jednak, że wszyscy mają niepodważalne alibi. Aha, przy okazji, zanim o tym zapomnę, otrzymaliśmy listę z nazwiskami przestępców na tle seksualnym, zbrojeńców i zwyczajnych gwałcicieli. Próbuje wszystkich po kolei zlokalizować. Większość policjantów z całego hrabstwa zgodziła się dla nas pracować po godzinach, w wolnym czasie.

– Jasne, każdy człowiek się przyda. Na razie jednak najlepsze, co możemy zrobić, to trochę uspokoić rodziców Louise Butler. Jeśli była na tej szemranej imprezie w stodole, dlaczego nie mamy żadnych informacji od patroli?

Amanda ciężko westchnęła.

– Tam nie było ani jednego samochodu patrolowego.

Na twarzy Kate pojawiło się przerażenie.

– Żartujesz! W porannych gazetach przeczytałam, że bawiło się tam osiemset osób!

– Wiem. Zdaje się, że w wydziale patrolowym jest już od rana wielka awantura. A stary biega po komisariacie jak lunatyk.

– I trudno się dziwić. Dobry Boże! Jeśli nie będziemy uważni, ludzie przybiegną tutaj, żeby nas zlinczować.

– Dobra, najlepiej będzie, jeśli od razu pójde do Ratchette'a. Zrób mi przysługę i znajdź mi filiżankę dobrej kawy.

Amanda tylko pokiwała głową.

Roztrzęsiona Kate udała się do gabinetu nadkomisarza. Żadnego wozu patrolowego podczas niemal plenerowej imprezy? Stara stodoła, w której się ona odbyła, należała do Johna Ellisa i Kate zdawało się, że doskonale wie, w czym rzecz. Ellis sprzedałby własną matkę, gdyby tylko miało mu to przynieść jakiś zysk. Zapukała do drzwi Ratchette'a.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Ach, witaj, Kate. Cholerna sprawa. Co o tym myślisz?

– Szczerze mówiąc, nie wierzę, by Louise Butler mogła jeszcze wrócić do domu. Raczej szukamy już zwłok. Kiedy tylko zorientujemy się, gdzie przebywała, będziemy wiedzieć trochę więcej. Ktoś musiał ją gdzieś widzieć.

– Jasne. A teraz uważnie mnie posłuchaj. Miałem już dzisiaj na głowie kilku waśniaków. Przysyłają szefa inspektora, który ma z tobą współpracować. Muszę podkreślić słowo: współpracować. Czy to jasne? To dobry fachowiec i prawdopodobnie już o nim słyszałaś. Caitlin.

Kate jęknęła. Nie, tylko nie Kenneth Caitlin!

Ratchette właściwie zinterpretował jej minę i powiedział nieprzyjemnie:

– Posłuchaj, Kate, czy ci się to podoba, czy nie, facet już do nas jedzie. Jesteś detektywem inspektorem, a ja nadkomisarzem. Ty wykonujesz moje rozkazy, a ja wykonuję rozkazy szefa policji. Weź się w garść i podejmij współpracę z Caitlinem. Niezależnie od tego, jaką ma reputację, osiąga doskonale wyniki.

Kate wbiła wzrok w ziemię. Serce w niej zamarło.

– Wszystko jasne? - Głos Ratchette'a nadal był twardy, nieprzyjemny.

– Tak, proszę pana.

– To dobrze. A teraz, zanim Caitlin się tu zjawi, czy w związku ze sprawą, którą prowadzisz, chcesz mi coś powiedzieć?

– W gruncie rzeczy, tak. W 1984 roku w Enderby, w Leicesterze, zostały zgwałcone i zamordowane dwie młode dziewczyny. Właściwie nie było punktu zaczepienia, żeby

rozpocząć śledztwo. Policja pobrała próbki krwi niemal od każdego

mężczyzny z okolicy. Tym razem dysponujemy jedynie DNA mordercy. Moim zdaniem, jeżeli nie możemy na razie zrobić nic innego, moglibyśmy wyeliminować z kręgu podejrzanych mnóstwo mężczyzn z Grantley, badając ich DNA.

Na pomarszczonej twarzy Ratchette'a pojawiło się niedowierzenie.

– Chyba żartujesz. Czy wiesz, ile by to kosztowało?

– Trochę ponad pół miliona funtów. Wiem, że to ogromny koszt, ale, na miłość boską, mamy do czynienia z maniakami.

– Zdajesz sobie sprawę, że znajdą się mężczyźni, którzy nie zgodzą się na pobranie im krwi?

– Natychmiast staną się podejrzаныmi.

Ratchette potrząsnął głową.

– Sam nie wiem, Kate. Taką rzecz musiałbym przedyskutować z szefem. Wiem już, że nasza sprawa będzie omawiana w *Crimewatch*, w telewizji. Mam nadzieję, że dzięki temu ktoś się do nas zgłosi z jakąś istotną informacją. Ten zabójca nie jest w końcu niewidzialny, ktoś musiał go zauważyć.

– Jak dotąd, facet całkiem sprytnie nam ucieka.

– Jak dotąd. Caitlin będzie tu mniej więcej za godzinę. Przygotuj się na jego powitanie, dobrze?

Od kilku chwil Kate zdawała sobie sprawę, że nadkomisarz unika jej wzroku.

– Oczywiście, szefie. Coś jeszcze?

Ponieważ nie odpowiedział, wstała z krzesła i wyszła z gabinetu. Stan swojego umysłu ujawniła przed przełożonym, trochę zbyt mocno trzaskając drzwiami. Pieprzony Caitlin! Kurwa mać!

Elaine miała kaca, dlatego przenikliwy dzwonek telefonu działał na nią jak uderzenia młotkiem w głowę. W końcu usłyszała, że George podnosi słuchawkę.

Telefonowało do nich niewielu ludzi, dlatego w każdym innym przypadku Elaine popędziłaby do holu, żeby sprawdzić, kto i co od nich chce. Dzisiaj jednak pragnęła tylko zwinąć się w kłębek i umrzeć. Usta miała suche jak pieprz, a oczy zamknięte, gdyż każde światło było dla niej niepożądanym, natrętnym intruzem. Pragnęła, żeby George jak najszybciej przyniósł jej obiecaną filiżankę herbaty.

– Halo? - odezwał się cicho do słuchawki.

Kto to mógł dzwonić? Właściwie to telefonowali do nich jedynie Joseph i Lily i od czasu do czasu jakieś koleżanki Elaine z pracy.

– Halo? Pan Markham? - Głos po drugiej stronie był nieprzyjemny,

chropowaty.

– Przy telefonie - odparł George, zaskoczony.

– Tu Anthony Jones, z Sexplosion, w Soho. Prosił mnie pan o wiadomość.

George poczuł, że serce tłucze mu się w piersiach jak szalone. Ściszył głos niemal do szeptu.

– Przecież powiedziałem, że to ja do pana zadzwonię. Kto dał panu mój numer? Usłyszał, jak mężczyzna się śmieje.

– Zapłacił pan kartą kredytową Barclaycard, pamięta pan? Pański adres mam z prawa jazdy. Pokazał mi je pan jako dodatkowy dokument do identyfikacji. Niech pan posłucha, człowieku, przecież w żadnym wypadku bym pana nie wydał. Gdyby odebrała pana żona, puściłbym jej jakąś bajeczkę. Powiedziałbym, że sprzedaję podwójne szyby do okien albo coś takiego. Niech się pan uspokoi, na miłość boską.

– Czego pan chce?

– A jak pan myśli? Mam kilka nowych filmów, naprawdę gorących.

Mimo strachu George poczuł, jak przeszywa go lekki dreszczyk ekscytacji.

– Przyjechały do mnie z Tajlandii, a pewnie pan wie, jak napalone są tamtejsze ptaszyny, co? - Mężczyzna zachichotał, ale chichot zaraz przerodził się w kaszel. George odsunął słuchawkę od ucha i przybliżył ją z powrotem dopiero, kiedy jego rozmówca był w stanie kontynuować chropowatym głosem: - Najnowszy film sprawi, że ten ostatni, który panu sprzedałem, wyda się panu bajeczką dla dzieci.

– Ile?

– Trzysta.

Już po dwóch sekundach mężczyzna zdał sobie sprawę, że George uciął.

– Ale panu sprzedam za dwieście pięćdziesiąt. Jak by nie było, jest pan stałym klientem.

– Cóż...

– One tu długo u mnie nie poleżą, zapewniam. Takie filmy nigdy nie leżą długo. George był w rozterce. Bardzo chciał mieć ten film, ale z drugiej strony musiał już przecież ukryć przed Elaine jeden wyciąg bankowy z Barclaycard. Intensywnie myślał.

– Posłuchaj pan, jeśli to dla pana za dużo... - Mężczyzna mówił łagodnie, smutno.

– Biorę!

– Kiedy więc pan do mnie wpadnie?

– Jutro z samego rana.

– Zatem, do zobaczenia.

Anthony Jones rozłączył się. George odłożył słuchawkę na widelki i wrócił do kuchni. Ponownie włączył gaz pod czajnikiem z wodą na herbatę dla Elaine.

Telefon przstraszył go. Poczul się jak złapany na gorącym uczynku. Nalał wodę do dzbanuszką. Tym razem wyciągnie gotówkę z banku. Elaine pewnie spostrzeże jej brak, ale z równym powodzeniem może niczego nie zauważyć. Skoro do tego doszło, George musi posunąć się o krok dalej. Chińskie kobiety... Lubił Chinki. Doskonale wiedziały, gdzie jest ich miejsce.

– George! - Aż się skrzywił, kiedy dotarł do niego piskliwy głos Elaine.
- Kto to telefonował?

George zaniósł jej herbatę.

– Kolega z pracy. Peter Renshaw. Życzył ci wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, moja droga.

Elaine wzięła od niego herbatę.

– Och, czy go znam?

– Chyba nie, moja droga. Ale często ci o nim mówiłem. Chcesz ciasteczko do herbaty?

– Chętnie, ale przy mojej diecie... - Uśmiechnęła się do niego z dziewczęcym wyrazem twarzy.

George oddał jej uśmiech. Jeśli czekała, że powie jej, iż nie potrzebuje żadnej diety, czekała na próżno.

Uśmiech tak szybko znikł z twarzy Elaine, jak się na niej pojawił. W głowie wciąż czuła pulsujący ból. Upiła łyk herbaty.

Coś takiego, do George'a zadzwonił kolega. A jednak cuda zdarzają się na tym świecie.

Patrick Kelly znajdował się w swoim głównym biurze w Barking. Zazwyczaj pierwszy dzień Nowego Roku spędzał w domu, z Mandy. Pani Manners gotowała wtedy wspaniałą wczesny obiad, przy którym oboje siadali na długo i toczyli wesołe rozmowy. Teraz w Nowym Roku pozostało mu jedynie pochowanie córki. Zabawne, ale cieszył się na myśl, że wreszcie to zrobi. Dopiero wtedy będzie zupełnie pewien, że jej ciało nie leży zapomniane w lodówce w jakimś przekłętym prosektorium.

Złotą zapalniczką zapalił papierosa. Mocno zacisnął ją w dłoni. Na obudowie miała inskrypcję: TATUSIOWI, KOCHAJĄCA MANDY. Tylko tyle mu po niej pozostało.

Głośne pukanie do drzwi powiodło jego myśli z powrotem ku ziemskim sprawom.

– Wejść.

Do gabinetu weszli dwaj potężnie zbudowani mężczyźni. Byli to bracia, Marcus i David Tully. Urodzili się w odstępie zaledwie dziesięciu miesięcy i wyglądali jak bliźniacy. Obaj mieli głowy ostrzyżone niemal do skóry, obaj nosili identyczne szare dresy i obaj mieli identycznie wzdęte brzuchy od piwa. Obwieszani byli wielkimi złotymi łańcuchami. Marcus, starszy, odezwał się pierwszy:

– Dokąd teraz, szefie?

– Chcę, żebyście obaj pojechali na północ, do Huddersfield. Chodzi o nowiutkiego jaguara i dwie inne maszyny, które powinniśmy przejąć najszybciej, jak to możliwe. Weźcie ze sobą broń, może się przydać. Jeśli facet nie będzie chciał oddać wozu, możecie go postraszyć. Jak tylko wrócicie, dostaniecie godziwą nagrodę, jasne?

Dwaj mężczyźni pokiwali głowami.

– Weźcie też kilku kierowców. Najlepiej młodego Sonny’ego i Declana, są naprawdę dobrzy, i tego nowego... Jak mu tam? Dodsona. Tu macie adres. Jutro chcę was widzieć z powrotem. Zameldujecie o wykonaniu zadania.

– A te inne maszyny, to co to takiego?

– Dwie wielkie maszyny do robót ziemnych. Szczegóły wam zapisałem. Dokładnie sprawdźcie numery. Jaguar ma prywatne tablice.

– W porządku szefie. Do jutra.

– Spróbujcie tym razem nie strzelać. Po prostu wystraszcicie faceta.

– Szefie, nie zabijemy go, a najwyżej zranimy. Znamy naszą robotę.

– Chodzi mi tylko o to, żebyście byli ostrożni. A teraz ruszajcie w drogę.

Mężczyźni opuścili gabinet, a Patrick potrząsnął głową. Ci dwaj byli najlepszymi specami od wymuszeń, jakich kiedykolwiek w życiu spotkał, a w swoim czasie spotykał takich wielu. Potrafili wykonać najtrudniejsze zadania i w gruncie rzeczy o to chodziło.

Nacisnął przycisk interkomu.

– Przynieś mi filiżankę herbaty, Debbie.

– Tak jest, szefie.

Pracował, dopóki nie weszła Debbie z herbatą. Uśmiechnęła się do niego, stawiając filiżankę na biurku tak, aby mógł zajrzeć w jej dekolt.

– Dzięki, kochanie.

– Czy coś jeszcze? - Było to dwuznaczne pytanie i Kelly doskonale o tym wiedział.

– Nie, dziękuję. - Uśmiechnął się na widok jej zawiedzionej miny.

Zanim spotkał Kate Burrows, Debbie znajdowała się na jego liście „spraw do załatwienia”. Miała być następczynią Tiffany. Teraz pragnęła jedynie, żeby go zostawiła w spokoju.

– Idź już, Debbie.

Sztywnym krokiem wyszła z gabinetu. Fizycznie miała z pewnością więcej do zaoferowania niż Kate, jednak z jakiegoś nieznanego powodu policjantka naprawdę bardzo mu się spodobała. Miała coś w sobie, coś nieokreślonego. Kiedy był z nią, kiedy się do niej tulił, Mandy, Renée i wszystko inne schodziło na odległy plan.

Był za to losowi nadzwyczaj wdzięczny.

Kate usłyszała Caitlina, jeszcze zanim go zobaczyła. Ponieważ pogłoski, że to właśnie on dołączy do zespołu prowadzącego najtrudniejszą ze spraw w Grantley już się rozeszły, cały komisariat wpadł w stan ekscytacji. Kate jęknęła w głębi duszy. Facet przypominał postać z komiksu „Boy’s Own”. Prawdziwy macho. Pozostawała na swoim miejscu, dopóki nie opadła z niej pierwsza fala irytacji. Głośny irlandzki akcent Caitlina rozbrzmiewał już w całym budynku.

– Chryste, tutaj nie ma czym oddychać! Wpuście do środka chociaż trochę świeżego powietrza!

Wszyscy śpieszyli się, żeby go przywitać. Był żywą legendą. Biedny stary Fabian i Spilsbury tracili dystans do niego już w przedbiegach. Sherlock Holmes wyglądał przy nim jak amator! Kate obserwowała, jak jego potężna postać nieuchronnie zbliża się do jej biurka. Kiedyś już z nim pracowała; wtedy była jeszcze detektywem sierżantem. Kiedy mu ją przedstawiono, natychmiast posłał ją po kawę, chociaż wcześniej zdążył klepnąć ją w tyłek. Sprawę rozwiązał z mężczyznami, sierżantem i posterunkowym. A przynajmniej tak to wyglądało w końcowym raporcie. Przywołała na twarz miły uśmiech.

– Katie! Jak się masz? - W jego głosie słychać było autentyczne zadowolenie.

Kate wstała i wyciągnęła do niego rękę.

– Szef inspektor Caitlin.

Wyglądał bardzo staro, co zaskoczyło Kate. Zestarzał się jednak ładnie, w antycznym stylu. Był niemal zupełnie łysy, wargi na pełnych ustach jakby zmały, jak to u starzejących się mężczyzn, a przenikliwe zielone oczy stały się szkliste. Powieki unosiły się i opadały jak weneckie żaluzje.

– Nie wyglądasz ani o jeden dzień starzej jak wtedy, kiedy ostatni raz z tobą pracowałem. - Irlandzka wymowa Caitlina była o wiele wyraźniejsza niż dawniej. - Słyszałem o tobie wspaniałe rzeczy.

Kate uśmiechnęła się.

Caitlin przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

– Skoro będziemy razem pracować, sądzę, że moglibyśmy także razem dzielić biurko. Niech stanie się trochę mniej bezosobowe.

Kate poczuła, jak uśmiech zastyga na jej twarzy. Dotarł do niej zapach whisky i tanich cygar, przez co mimo woli wzdrygnęła się.

Tymczasem Caitlin wygodniej rozsiadł się na krześle.

– No więc co to za szaleniec jeżdżący irlandzkim fordem?

Kate zmarszczyła czoło.

– Przepraszam... Irlandzkim fordem?

– No, O’Ryanem. To jest orionem.

Kate wybuchnęła śmiechem, sprawiając, że skierowało się ku niej mnóstwo par oczu. Caitlin roześmiał się razem z nią.

– Mów mi Kenny - powiedział i Kate zdała sobie nagle sprawę, że facet jest pijany. Znow przywołała na twarz wymuszony uśmiech.

– Jak sobie życzysz. A teraz, czy chciałbyś, żebym cię zapoznała ze sprawą?

Caitlin odchylił się na krześle. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno się wysmarkał.

– Jasne, Kate, do roboty. Im szybciej znajdziemy tego drania, tym lepiej.

Wspaniale. Przynajmniej w tej jednej kwestii się zgadzali. Wziąwszy głęboki oddech,

Kate zaczęła mówić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

2 stycznia

George wyszedł z domu jak zwykle do pracy, o ósmej piętnaście. O dziesiątej trzydzieści wchodził do Sexplosion. Anthony Jones znajdował się za kontuarem i George uśmiechnął się do niego trwożliwie. Sprzedawca natomiast obdarzył go szerokim uśmiechem, ukazując wszystkie zęby.

– Cześć, stary. Szczęśliwego Nowego Roku. - Miał dobry humor i był w przyjaznym nastroju.

– Szczęśliwego Nowego Roku. Eee... Przyniosłem forszę.

– Dobrze, dobrze.

Tony Jones podniósł ruchomą część kontuaru i szerokim gestem zaprosił George'a na zaplecze sklepu. Ten rozejrzał się z wahaniem dookoła i dopiero wtedy ruszył we wskazanym kierunku. Mimo wczesnej pory w sklepie było całkiem sporo klientów. Tony Jones krzyknął do ciemnowłosego chłopaka w wieku około osiemnastu lat:

– Emmanuel, przypilnuj sklepu, mam pewien interes do załatwienia. - Kiedy obaj z George'em znaleźli się na zapleczu, szepnął mu do ucha: - Jest stuprocentowym pedałem, ale to dobry, spokojny pracownik. No, ale popatrz tylko na to.

Zatarł ręce w radosnym oczekiwaniu i nacisnął przycisk odtwarzania w magnetowidzie ustawionym na małym stoliku. Na ekranie telewizora stojącego na magnetowidzie ukazała się młoda Chinka. Jej twarz wykrzywiało straszliwe przerażenie.

– Usiądź sobie wygodnie, przyjacielu, zrobię ci herbatkę.

George usiadł, obserwując wydarzenia na ekranie. Niemal natychmiast, mimo że znajdował się na brudnym, małym zapleczu sklepu z pornografią, poczuł pierwszy dreszcz emocji.

Godzinę później wychodził ze sklepu z filmem za pazuchą oraz z numerem telefonu i pewnym adresem w kieszeni. Wsiadł do samochodu i zaczął bez celu jeździć po Londynie. Był szary, pochmurny dzień. Nawet ludzie na chodnikach wydawali się szarzy. Szarzy i brudni.

Dotarłszy po jakimś czasie do Paddington, George uśmiechnął się. Tak długo grzebał w kieszeni płaszcza, aż znalazł kartkę z adresem, którą otrzymał od Tony'ego Jonesa.

Zaparkował samochód przy Warwick Avenue i, zamknąwszy go

starannie, zaczął szukać. Ruszył Harrow Road i szedł nią tak długo, aż dotarł do ostrego zakrętu. Znalazłszy się na Chippenham Road, zaczął sprawdzać numery kolejnych domów. Kiedy przystanął przed tym właściwym, jeszcze raz dokładnie porównał jego numer z tym, który miał zapisany na kartce papieru. Podszedł do drzwi wejściowych i popatrzył na umieszczone przy nich przyciski dzwonek. Nad wszystkimi znajdowały się małe zalaminowane karteczki.

Mieszkanie numer jeden: Suzie, francuska modelka.

Mieszkanie numer dwa: Sexy Sado, pełna nauczka.

Mieszkanie numer trzy: Imogen, masaż szwedzki.

Mieszkanie numer cztery: Carol, szkolne pokusy.

Mieszkanie numer pięć: Beatrice, dla niegrzecznych chłopców.

Chodziło mu o mieszkanie numer sześć; wreszcie dotarł do właściwej kartki.

Mieszkanie numer sześć: Tippy - uległość moją specjalnością.

George nacisnął na dzwonek.

– Tak, o co chodzi? - Głos w domofonie zaskoczył go. Bynajmniej nie był uległy. Głośno odchrząknął.

– Eee... Przysłała mnie Tony. Tony Jones.

Nagle głos się zmienił.

– Och, przepraszam. Cóż za nieroztropność z mojej strony. - George usłyszał chrapliwy śmiech. - Jak dla mnie, jest trochę za wcześnie, kochany, ale mimo wszystko wchodź na górę.

Rozległ się sygnał brzęczyka i cichy klik mechanizmu w drzwiach. George ostrożnie je otworzył. Jego tani kapelusz i równie tani płaszcz nadawały mu wygląd marnego kombinatora, wywodzącego się z klasy robotniczej. Drobne szare oczka aż łzawiły, emanując oczekiwaniem. Wcześnie rano wypłacił z banku trzysta funtów. Dwieście pięćdziesiąt wydał na kasetę wideo, którą schował bezpiecznie w bagażniku samochodu. Wciąż więc pozostawało mu pięćdziesiąt. Postanowił zrobić sobie przyjemność. Jeżeli wszystko, co mówił Tony Jones, było prawdą Tippy była właśnie tym, czego potrzebował.

Z lekkim obrzydzeniem zmarszczył nos, wyczuwszy ostry, drażniący zapach panujący w tym domu. Wąski hol zaśmiewały stare gazety i ulotki. Był ciemny, obskurny. George nacisnął włącznik światła na ścianie przy schodach i nad jego głową zapaliła się słaba żarówka. Zaczął liczyć gołe, zniszczone schody. Tapeta dawno już poodpadała ze ścian, w kilku miejscach widać było na nich ciemne rdzawe plamy, które wyglądały jak plamy krwi. George zaczął się śpieszyć.

W swoim pokoju Tippy - prawdziwe nazwisko Bertha Knott - w pośpiechu robiła pobieżne porządki. Poprzednia noc była szalona, odwiedziło ją aż siedmiu klientów, jeden po drugim. W okresie

świętecznym zawsze było tak samo. Zebrała porzucane części swojej garderoby i wcisnęła je do szuflady małego, starego biurka, mocno poodrapywanego i naznaczonego innymi śladami wielu lat używania. Właściwie wrzuciła przepełnioną popielniczkę i pustą butelkę po wódce do wnęki kuchennej. Niedopałki papierosów pofrunęły na kuchenny blat i do zlewozmywaka. Cholera jasna! Pieprzony Tony Jones. Że też nie ma lepszych pomysłów, jak przysyłać jej klienta o tej porze! Żaden waśniak i żadne pieniądze nie są warte jej wysiłku przed dwunastą trzydzieści!

Usłyszała nieśmiało, jakby bojaźliwe pukanie do drzwi i westchnęła. Miała nadzieję, że facet nie okaże się zbyt gwałtowny. Po ostatniej nocy była cała obolała. Narzuciła na kościste ciało brzydki, brudny negliż i z szerokim zawodowym uśmiechem otworzyła drzwi.

George z rozczarowaniem popatrzył na kobietę. Była absolutnie okropna. Miała farbowane czarne włosy, wyglądające jak wełna wymoczona w płynnej paście do butów, a pod pachami tyle włosów, że można by zrobić z nich dla niej kolejną identyczną perukę. Twarz miała chudą i dziką.

– Proszę, wejdz, jebako. - Jej głos brzmiał jowialnie. - Napijesz się herbaty czy może czegoś mocniejszego?

George wszedł do pokoju. Popatrzył, jak kościste pośladki kobiety znikają za zasłoną i z niechęcią zaczął rozglądać się wokół siebie. Pokój był wprost obrzydliwie brudny, a większość miejsca zajmowało w nim wielkie podwójne łóżko. Kłębiła się na nim czarna pościel, ale George nie był pewien, czy jest to jej oryginalny kolor, czy też szerniała podczas wielu lat używania. Sztruksowy dywan na podłodze pokrywało mnóstwo niedopałków papierosów, a dookoła żelaznego kominka były ich wprost setki. Bez wątpienia mężczyźni, którzy przez lata korzystali z tego pokoju, próbowali wrzucać niedopałki do paleniska, celując prosto z łóżka, jednak na ogół im się to nie udawało. Pod oknem stało wielkie krzesło, zarzucone mnóstwem garderoby, głównie pończochami, paskami do pończoch i innymi częściami bielizny.

Tippy wróciła po chwili z dwiema stosunkowo czystymi szklankami, napełnionymi wódką z tonikiem. Nie mając większego wyboru, George przyjął jedną z nich. Swoją Tippy postawiła na starym biurku. Bieliznę z krzesła jednym ruchem ręki zgarnęła na podłogę.

– Usiądź sobie wygodnie, kochany, a ja się przygotuję. Przepraszam cię za bałagan, ale wyobraź sobie, że właśnie zabierałam się za porządki. Zacznę od siebie. To potrwa z dziesięć minut. - Wypowiedziawszy te słowa, zniknęła za drzwiami, których początkowo George nie zauważył. Z progu krzyknęła jeszcze: - Zdejmij płaszcz i w ogóle czuj się jak u siebie w domu.

Stanął na środku pokoju, z drinkiem w ręce, zastanawiając się, czy

nie będzie najlepiej, jak sobie stąd pójdzie. Pedantyczne zamiłowanie Elaine do absolutnego porządku działało mu na nerwy, wołał jednak to niż kobietę żyjącą w smrodzie i brudzie. Podszedł do krzesła i przez brudną siatkową firanę wyrżał na zewnątrz. Ruch na ulicy był duży. George przyglądał się ludziom, śpieszącym gdzieś za własnymi sprawami, i w pewnym momencie przyszło mu do głowy pytanie, co on właściwie tutaj robi? Był rozczarowany. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że prostytutka kroczy w parze z nędzą. Zawsze uważał prostytutki za kobiety takie, jak je prezentowano w mediach - piękne młode dziewczęta, które uwielbiają swój zawód i żyją jak królowe. Prawda o nich była inna i George'owi wcale się ta prawda nie spodobała.

Odwrócił się od okna, zamierzając wyjść, ale właśnie w tym momencie kobieta weszła z powrotem do pokoju. Wyglądała zupełnie inaczej niż przed chwilą! Zobaczyła, jak George'owi opada szczęka, i uśmiechnęła się. Włosy miała związane w dwa świńskie ogonki. Kształt oczu grubo podkreśliła czarnym ołówkiem, a usta pomalowała na jaskrawy czerwony kolor. Pozbyła się brudnego negliżu i teraz miała na sobie długie, jedwabne czarne pończochy i pasek do nich, czarny biustonosz z otworami na sutki oraz majtki z otworem w kroczu. Jak chmura otaczał ją zapach mocnych perfum.

- No, teraz chyba bardziej ci się podobam, co? - Jej głos był bardzo dziewczęcy i kuszący. Wszystkie wcześniejsze ponure myśli w jednej chwili wyparowały George'owi z głowy. prostytutka wyglądała dokładnie tak jak kobiety, które jako nastolatek podziwiał nagie na kartach do gry przeznaczonych tylko dla dorosłych i które śmiało wpatrywały się z fotografii dorosłym wzrokiem w jego zachłanne młodzieńcze oczy. Krótko rzecz ujmując, wyglądała jak rasowa kurwa.

Buty na wysokich obcasach podkreślały smukłość jej długich nóg. Jej piersi były drobne i szelmowsko zadarte, a ich różowe aureole twardniały w zimnym powietrzu.

- Nie zdjąłeś płaszcz. Czy Tippy ma to zrobić za ciebie?

Zsunęła mu płaszcz z ramion, złożyła go i ułożyła starannie na krześle. George stanął przed nią, twarzą w twarz, a jego oczy znów zalśniły.

Tippy wydeła wargi.

- Tippy chce najpierw dostać swoje pieniądze. Dwadzieścia funciaków za robotę. Seks analny to dodatkowa dziesiątka.

George skinął głową i podał jej banknoty.

- Dobrze. Doskonale. Cóż, jestem gotowa, jeśli i ty jesteś, kochasiu.

Patrzyła, jak George ściąga ubranie i uśmiechnęła się szeroko. Wszyscy oni są tacy sami. Głupie gnoje. Niemal zazgrzytała zębami. Och,

żeby tylko facet szybko skończył. Nie miała nastroju na pieprzenie się przez cały dzień.

Położyła się na brudnym łóżku. Mimo że mocno się wyperfumowała, i tak czuła nieznośny odór pościeli. Miała nadzieję, że klient zauważy prezerwatywę, którą strategicznie ułożyła na jednej z pończoch. Sprawiał wrażenie bardziej zielonego niż przysłowiowa trawa na łące. Powinna była zażądać od niego pięćdziesięciu funtów. Wyglądał na takiego, który by mógł sobie na to pozwolić.

Cóż, rozmyślała, chcąc zagłuszyć żal za straconą okazją tego typu faceci zazwyczaj powracają. Bardzo to lubiła. Jeśli trafi kolejnego stałego klienta, na dłuższy czas będzie mogła uciec od ulicy. King's Cross nie było już takim miejscem jak dawniej. Z tymi wszystkimi gówniarzami na gigantach i niepełnoletnimi narkomanami...

George ugryzł jej sutek tak boleśnie, że z trudem stłumiła okrzyk bólu.

Jeszcze jeden cholerny złośliwy drań. Ciężko westchnęła. Do roboty. Uniosła się z łóżka i, uklękawszy w taki sposób, że George mógł widzieć jej piersi w ich najkorzystniejszym położeniu, wzięła do ust jego fallusa.

Po kilku minutach wpadła na pewien pomysł. Uniosła głowę i popatrzyła klientowi prosto w twarz.

– Jeśli dasz mi jeszcze dziesiątaka, będziesz mógł mnie związać.

Wstała z łóżka i, otworzywszy biurko, wyciągnęła z niego parę kajdanek i kawałek skórzanej linki.

George pokiwał głową, w związku z czym Tippy przyniosła wszystko do łóżka i wręczyła mu. Kiedy ją związał, pomyślała: trochę więcej szmalu tanim kosztem.

Ale nawet ona zdziwiła się, usłyszawszy, jak wiążąc ją, George nuci coś pod nosem. Kiedy wreszcie skończył i prostytutka leżała na plecach, rozpostarta szeroko, George był szczęśliwy.

To właśnie była uległość. Kobieta nie będzie się z nim zmagać, walczyć. Po prostu będzie leżeć, przyjmując wszystko, co on, George, zechce z nią zrobić.

Wstawszy z łóżka, podszedł do swojego płaszcza. Wyjął z kieszeni białe wełniane rękawiczki i zaraz je nałożył. Tippy obserwowała go, teraz już mocno znudzona. Ale kiedy zobaczyła, co wyciąga z innej, wewnętrznej kieszeni płaszcza, nagle zrobiło się jej słabo ze strachu. Był to wielki nóż w skórzanej pochwie. Kiedy George powoli wydobywał go z pochwy, ostrze odbiło kilka słabych promieni styczniowego słońca i Tippy napięła się w krępujących ją więzach.

– Hej, co ty chcesz z tym zrobić?

George podszedł do łóżka i uśmiechnął się.

– Nie bój się, nie skrzywdzę cię, moja droga.

Uklęknąwszy nad jej ciałem, z obwisłym brzuchem niemal opadającym na jej kolana, zaczął delikatnie rozcinać jej majtki.

Tippy oddychała ciężko. Jej twarz była biała pod czarnym makijażem i grubą warstwą różowego pudru, a umysł pracował jak szalony. Ten facet był pierdolonym wariatem, zbrojnym, a ona pozwoliła mu, żeby ją związał.

– Mam nadzieję, że nie zrobisz mi nic złego, co? Obiecujesz?

– Obiecuję. A teraz się zamknij!

Głos George'a zabrzmiał tak groźnie, że Tippy zamknęła się bez chwili wahania.

Nagle zahukany człowieczek o dobrych manierach przestał się jej wydawać zielonym naiwniakiem. Stał się groźny, niebezpieczny. Szczególnie przez ten uśmiech, uśmiech, w którym obnażył wszystkie zęby. Tippy zacisnęła powieki.

Niech no tylko spotka tego Tony'ego Jonesa. Cholerny alfons! Podesłał jej tu kandydata do szpitala dla czubków! Tippy rozluźniła mięśnie i zaczęła przygotowywać się na najgorsze popołudnie w życiu.

– A więc co o tym myślisz?

Kenneth Caitlin zapalił cygaro, po czym wydmuchnął dym grubymi kłębam, które zaczęły krążyć nad jego łysą głową.

– Z tego, co widzę, Katie, ten człowiek jest albo bardzo ostrożny, albo ma wiele szczęścia. Naprawdę, mnóstwo szczęścia. Na miejscach zbrodni właściwie nie znajdujemy niczego. Także na zwłokach, jeśli, oczywiście, nie wspomnimy o jego genetycznym odcisku palca, jak słusznie wskazałaś. Właściwie nie dysponujemy żadną inną wskazówką. - Uśmiechnął się do niej. - Ale mimo to znajdę drania. - Wyciągnął ku niej palec. - Ani się obejrzysz.

W głosie Kate zabrzmiał sarkazm.

– A zatem co proponujesz, od czego powinniśmy zacząć?

– Cóż, mundurowi są w terenie, szukając tej dziewczyny, Butler. Niestety, myślę, że ona już nie żyje. Facet nigdy dotąd nie ukrywał zwłok, prawda? Bez wątpienia więc, skoro tę jedną ofiarę schował, rozpoczął z nami jakąś nową zabawę. Powiem ci coś jednak, Kate. Wszyscy oni w końcu okazują się prostytutkami i partaczami. Pomyśl tylko o rozpruwaczu z Yorkshire.

Kate była wściekła. Caitlin działał jej na nerwy.

– Rozpruwacz z Yorkshire zamordował trzynaście kobiet i w końcu został złapany jedynie w wyniku naszych rutynowych działań eliminacyjnych. Gdyby nie to, nie wiadomo, ile jeszcze kobiet by zabił. Także w tym przypadku mamy do czynienia z przestępcą, który wybiera

przypadkowe ofiary. Dysponujemy psychologicznym profilem mężczyzny, który nienawidzi kobiet, tyle już o nim wiemy. Według psychologów ścigamy mężczyznę, który ma pracę prawdopodobnie pozwalającą mu kontaktować się z ofiarami, chociaż ja osobiście tak nie uważam. Gdyby te kobiety go znały, dotarlibyśmy do jeszcze kogoś, kto by go znał, jego nazwisko natychmiast pojawiłoby się w pewnym kręgu osób. Psycholodzy mówią także, że facet prawdopodobnie jest żonaty. Jeśli to prawda, znacznie zawęży to krąg potencjalnych podejrzanych. Zabójca dobrze zna też okolicę, mamy więc do czynienia z kimś pochodzącym stąd, żyjącym wśród nas. A jednak, poza ciemnym samochodem z drugiego morderstwa i ciemnozielonym, widzianym przy okazji pierwszego, właściwie nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

Caitlin obserwował ją. Kobiety tak łatwo ulegają emocjom. Wszystkie prowadzone sprawy traktują tak osobiście...

– Cóż, jeszcze w tym tygodniu wezmę udział w programie telewizyjnym. Może coś z tego wyniknie? Może ktoś, kto nie pochodzi stąd, akurat przejeżdżał w okolicy i coś zauważył?

– Tak, a śwynie nauczą się latać - powiedziała Kate gorzko. Caitlin po raz kolejny zaciągnął się cygarem.

– Śwynie od dawna potrafią latać, a przynajmniej tak się wydaje ćpunom, kiedy widzą na niebie policyjne helikoptery.

Kate zamknęła oczy. Ponad wszystko facet był niepoprawnym kawalarzem. Wstała i złapała za kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła.

– Dokąd idziesz?

– Zamierzam osobiście przekonać się, jak postępują poszukiwania.

– Masz od tego ludzi. Kiedy tylko czegoś się doszukają, natychmiast się dowiesz. Poza tym na dworze jest strasznie zimno.

W chwili kiedy Kate otwierała usta, żeby coś odpowiedzieć, zadzwonił telefon na jej biurku. Podniosła słuchawkę.

– Zaraz tam będę - odrzekła po chwili.

Caitlin bez trudu dosłyszał w jej głosie ekscytację.

– O co chodzi? - zapytał.

– Chyba mamy przełom. Ruszamy.

Geoffrey Winbush z wahaniem wszedł do komisariatu i skierował się do dyżurki. Dyżurny sierżant uśmiechnął się do niego.

– Czym ci mogę służyć, synu?

– Chodzi mi o zniknięcie Louise Butler. Myślę, że mógłbym być pomocny. Chyba ją widziałem.

Dyżurny w jednej chwili zerwał się na równe nogi. Otworzywszy niespodziewanemu gościowi drzwi, natychmiast poprowadził go do pokoju przesłuchań.

– Jak się nazywasz i gdzie mieszkasz, synu?

– Nazywam się Geoffrey Winbush, mieszkam przy Tenerby Road, numer 122.

Sierżant szybko zanotował tę informację.

– Usiądź wygodnie. Za chwilę ktoś do ciebie przyjdzie.

Pozostawiwszy Geoffreya w pokoju przesłuchań, sierżant Mathers powrócił do dyżurki i zatelefonował do Kate. Miał nadzieję, że chłopak rzuci trochę światła na najważniejsze spośród prowadzonych obecnie śledztw.

Po chwili Kate, a za nią Caitlin, weszli do pokoju przesłuchań. Jej pierwsza myśl była taka, że świadek jest bardzo przystojnym chłopakiem. Był blondynem, miał głęboko osadzone, brązowe oczy, w których w tej chwili kryło się zdenerwowanie, i był dobrze ubrany. Wyglądał na dwadzieścia lat. Miał szerokie ramiona i mimo że siedział na krześle, Kate oceniła, iż jest postawny, wysoki. Uśmiechnęła się do niego.

– Nazywam się detektyw inspektor Burrows, a to jest szef inspektor Caitlin. Rozumiem, że masz dla nas informacje na temat Louise Butler?

Kate usiadła naprzeciwko niego, a tymczasem Caitlin, z tłącym się cygarem w ustach, oparł się o ścianę.

Chłopak popatrzył na oboje ze zdenerwowaniem.

– Cóż, nie znam jej osobiście, ale tej nocy, tak mi się wydaje, widzieliśmy ją na Woodham Road.

– „My?” - rzucił Caitlin.

Chłopak pokiwał głową.

– Tak, ja i kumple. Jechaliśmy na balangę, ja, mój brat - Ricky i trzech innych: Tommy Rigby, Dean Chalmers oraz Mick Thomas.

Z trudem przełknął ślinę i Kate zrobiło się go żal.

– Mów dalej.

– No, cóż, po drodze zauważyliśmy młodą dziewczynę idącą poboczem. Była sama. No, to zatrzymałem się i zaproponowałem, że ją podwiozę. Ale nie chciała wsiąść. Jestem pewien, że to była ona.

– Dlaczego nie wsiadła? Czy powiedziała, że na kogoś czeka? Czy mówiła, dlaczego spaceruje sama w środku nocy?

– Nie, nic z tych rzeczy. Mick Thomas zaczął się zachowywać jak wariat. Zbluzgał ją. - Głos chłopaka załamał się. - W ogóle nikt z nas nie był dla niej miły. Zostawiliśmy ją tam, na tej drodze. Zostawiliśmy ją na śmierć. Pojechaliśmy dalej na balangę i zostawiliśmy ją, a ona chciała, żeby ją ktoś podwiózł. Wyciągała kciuk do góry.

– Wyciągała kciuk? Na pewno tak robiła?

Chłopak pokiwał głową. Po chwili niemal podskoczył, gdy dotarł do niego spod ściany dudniący głos Caitlina:

– Zostawiłeś młodą dziewczynę na ciemnej drodze w środku nocy? Zbluzgałeś ją, jak się wyraziłeś, i ją tam zostawiłeś? Młody człowieku, czy masz siostrę?

– Tak, proszę pana, dwie.

Caitlin niemal gryzł cygareto. Wyciągnął je z ust, zanim odezwał się po raz kolejny, cicho, jadowicie:

– Mam nadzieję, że jeśli kiedykolwiek znajdą się w sytuacji Louise Butler, zostaną potraktowane lepiej, niż ty potraktowałeś tę dziewczynę. A teraz dawaj mi nazwiska i adresy pozostałych chłopaków. *Pronto!* Nie mam zamiaru oglądać cię dłużej, niż to jest niezbędne!

Kate zamknęła oczy. Caitlin miał, oczywiście, rację. Chłopcy nie powinni byli zostawiać dziewczyny na drodze. Ale z drugiej strony, młoda dziewczyna powinna mieć dość rozumu, żeby nie spacerować samotnie w nocy. Cóż, cholerny Caitlin musiał się popisać. A najgorsze było to, że Kate musiała słuchać starego drania.

Uśmiechnęła się do chłopaka, którego twarz pobieliała jak papier.

– Przyniosę nam po filiżance kawy, a ty tymczasem przygotuj się do złożenia oficjalnego zeznania, dobrze?

– Tak, proszę. - Zaczął płakać. - Przecież nie mieliśmy pojęcia, że ktoś ją zamorduje. Wypiliśmy wcześniej...

– A więc do tego wszystkiego prowadziłeś jeszcze samochód po pijanemu? I, do diabła, skąd wiesz, że tę dziewczynę zamordowano? Nie znaleźliśmy żadnych zwłok, przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Chłopak popatrzył błagalnie na Kate. Policjantka wstała i, złapawszy Caitlina pod ramię, wyprowadziła go z pomieszczenia. Na zewnątrz zaczęła szeptać mu do ucha.

– Nie sądzisz, że i bez tego chłopak wystarczająco podle się czuje?

Caitlin wzruszył ramionami i zapiął górny guzik pogniecionej koszuli. Wydmuchnął dym z cygara prosto w twarz Kate.

– Wcale tak nie sądzę, Katie. Uważam, że to cholerny dupek.

Z tymi słowami na ustach Caitlin powrócił do pokoju przesłuchań, a Kate jedynie bezradnie zacisnęła dłoń.

Jeśli jeszcze raz powie do niej „Katie”, zostanie aresztowana. Za ciężkie uszkodzenie ciała przełożonego.

Poszła po kawę.

Kate zatrzymała samochód na podjeździe przed domem. Czowała się zmęczona. Tak naprawdę Winbush nie okazał się pomocnym

świadkiem. Caitlin wystraszył go niemal na śmierć i potem chłopak bardzo konsekwentnie uważał, żeby nie powiedzieć ani jednego słowa za dużo. Po jakimś czasie Kate pojechała do niego do domu, żeby porozmawiać z nim w cztery oczy. Problem z Caitlinem polegał na tym, że wciąż zachowywał się tak jak w dawnych czasach, kiedy dosłownie wszyscy świadkowie bardzo się starali pomóc policji. A przecież powinien był zejść na ziemię. Po sprawie West Midlands i powszechnych przypuszczeniach, że policja fabrykuje dowody, popularność tego zawodu sięgała dna.

Weszła do domu. W nozdrza uderzył ją zapach mięsa i, kierując się nim, poszła prosto do kuchni. Jej matka przewracała właśnie na gazowym grillu baranie kotlety.

– Cześć, Kate, usiądź wygodnie. Zaraz dostaniesz kawę.

Dan wstał zza kuchennego blatu.

– Ja to zrobię, Eve. Dla ciebie także?

Evelyn potrząsnęła przecząco głową.

– Przy okazji, Kate, dopóki pamiętam. Był telefon do ciebie. Facet przedstawił się jako Pat. Prosił, żebyś do niego oddzwoniła.

Kate poczuła, jak serce zamiera jej w piersi. Świdrujące oczy Dana próbowały przeniknąć jej myśli.

– Dzięki, mamó. - Zapaliła papierosa, żeby zająć się czymkolwiek. A więc zadzwonił tu Patrick. Ogarnęła ją fala gorąca.

– Kto to jest ten Patrick? - Kate wyczuła w głosie Dana nutę zazdrości.

– Prawdę mówiąc, Dan, to nie twoja sprawa. - Wciąż świdrował ją spojrzeniem i Kate opuściła oczy. - To mój przyjaciel, jeśli musisz wiedzieć.

– Rozumiem. Gdzie go poznałaś?

Evelyn obserwowała oboje z lekkim uśmiechem. Pytania Dana denerwowały Kate i Evelyn wiedziała, że - jeśli nie będzie uważał - usłyszy jakąś nieprzyjemną ripostę. Jeszcze na chwilę położyła kotlety na grillu i na długi moment jedynym dźwiękiem słyszalnym w kuchni stało się skwierczenie mięsa.

– Pytałem cię, gdzie go poznałaś. - Dan podniósł głos.

Kate odstawiła filiżankę z kawą i popatrzyła na swojego byłego męża.

– Do cholery, co cię to obchodzi?

– Bardzo mnie to obchodzi. Moja córka...

– Och, oczywiście, chodzi ci o córkę. Szkoda, że nie myślałeś o niej, kiedy szlajałeś się po świecie. Małeństwo jeszcze nie potrafiło chodzić, kiedy nas zostawiłeś. Pamiętasz?! - krzyknęła.

Dan wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Zdał sobie sprawę, że przed chwilą niepotrzebnie włożył kij w mrowisko.

– Chcę tylko powiedzieć, Kate...

– Wiesz, na czym polega twój problem, Dan? Nie wiesz, kiedy i co wypada mówić. Niechętnie ci to przypominam, ale gdyby nie ja, sypiałbyś teraz w jakimś tanim pensjonacie. Właśnie z powodu Lizzy pozwalałam ci mieszkać w moim domu, ale ostrzegam cię, Dan, jeśli będziesz próbował wtrącać się w moje życie, wyrzucę cię za drzwi tak szybko, że nawet się nie obejrzysz. Czy wyraziłam się dość jasno?

Twarz Dana była purpurowoczerwona, a Kate przez krótką chwilę wstydziła się swojego wybuchu.

– Doskonale - mruknął.

Cicho, z opuszczoną głową, wyszedł z kuchni.

Kate kilkakrotnie głęboko odetchnęła, po czym ukryła twarz w dłoniach.

– Sam się o to prosił, Katie. Nie miej wyrzutów sumienia.

– Och, mamó. Mimo wszystko nie powinnam była tak mówić. Nie powinnam. Ale on mnie tak strasznie denerwuje...

– Zrobię ci jeszcze jedną kawę. Ale powiedz mi, kim jest ten Pat? Chyba że na mnie też chcesz nakrzyczeć.

– To mężczyzna, którego poznałam, wykonując obowiązki zawodowe.

– Ten, z którym powitałaś Nowy Rok?

Kate ostro popatrzyła na matkę. Ujrzawszy na jej twarzy szelmowską minę, uśmiechnęła się.

– Tak, trudno zaprzeczyć.

Evelyn szeroko rozłożyła ręce.

– Jesteś dorosłą kobietą, Kate, i możesz robić, co ci się podoba. Osobiście uważam, że już najwyższy czas, żebyś od nowa ułożyła sobie życie.

Kate uśmiechnęła się. Sądziła dokładnie tak samo, Patrick Kelly był jednak dla niej zbyt niebezpiecznym człowiekiem. Chociażby dla jej kariery. W ogóle stanowił poważne zagrożenie dla wszystkiego, lecz świadomość tego wcale Kate nie pomagała. Pragnęła go niemal desperacko. Zbyt długo, stanowczo zbyt długo była samotna...

Na Dana była wściekła, ponieważ wymówił imię Patricka, imię, które miało być jej sekretem.

Lecz przecież takiego sekretu nie da się długo zachować.

Zapaliła jeszcze jednego papierosa. Co robi, kiedy tajemnica przestanie już być tajemnicą?

Gdy do tego dojdzie, będzie musiała dzielnie sprostać wszelkim wyzwaniom losu. W końcu wszystko, co ludzie mówili o Kellym, opierało się tylko na przypuszczeniach, nigdy niczego mu nie udowodniono, a w tym kraju było się niewinnym aż do skazania przez sąd. Myśl ta zabrzmiała jednak bardzo fałszywie.

Kate czuła, że pakuje się w coś, wobec czego jest zbyt słaba, żeby

podjąć skuteczną walkę.
Ale podejmie tę walkę.
Jeśli nadejdzie czas walki.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W Sexplasion rozpoczynał się popołudniowy szczyt, prawdziwe zatrzęsienie klientów, gdy Tony Jones ujrzał w drzwiach Tippy. Uśmiechnął się do niej.

– Do cholery, dziewczyno, wyglądasz na niezbyt zadowoloną z życia. Twarz Tippy była ściągnięta i blada.

– Muszę z tobą porozmawiać, Tony. Natychmiast! Był zaskoczony.

– W porządku, dziewczyno, chodź do mojego biura.

Rozejrzał się po sklepie za Emmanuelem, który próbował właśnie poderwać starszego mężczyznę w doskonale skrojonym garniturze.

– Emmanuel! Właż natychmiast za kontuar! Chodź ze mną Tippy, kochana. - Podniósł barierkę i oboje przeszli na zaplecze.

W brudnym pokoju dziewczyna usiadła na rozklekotanym krześle. Tony obserwował ją czujnie. Coś było z nią nie tak. Miał nadzieję, że nie złapała AIDS ani nic w tym rodzaju. Wyglądała na słabą, chorą, a przecież w swych najlepszych czasach zawsze była impulsywna i gwałtowna. Wszystkie dziewczyny, które pracowały jako uległe panienki, w „cywilu” były właśnie takie.

– Masz coś do picia, Tone?

Otworzył drzwiczki w starym kredensie i wyciągnął butelkę dżinu.

– Nie mam nic do rozcieńczenia. Wypijesz mimo wszystko?

Tippy pokiwała głową.

– Wypiłabym dzisiaj filiżankę zimnych szczyn, Tony, gdyby mogły oczyścić mi pamięć. Jeszcze nigdy w życiu tak źle się nie czułam.

Tony nalał jej dżin do szklanki.

Tippy upiła spory łyk. Tony zauważył, że jej ręce drżą. Skonsternowany przygryzł dolną wargę.

– Kochana, nie chcę być natrętny, ale nie mam dla ciebie całego dnia. Popatrzyła na niego zamglonymi oczyma.

– Ten klient, którego przysłałeś mi wczoraj... To był dziwak, Tony, autentyczny dziwak.

Tony odetchnął z ulgą. Czyżby tylko o to chodziło?

– Przecież oni wszyscy są dziwakami, dziewczyno...

Przerwała mu.

– To nie był zwyczajny dziwak. Prawdziwy wariat, Tony, cholerny,

pojebany wariat.

Tony wyobraził sobie spokojnego, ułożonego George'a. W pewnym sensie polubił starego zboczeńca. Poza tym, że był zboczeńcem, był też miłym, spokojnym, grzecznym człowiekiem.

– Chyba jesteś zdołowana, Tippy. Wszystkie stajecie się takie na święta...

Roześmiała się pogardliwie.

– Posłuchaj, Tone, tkwię w tym interesie od osiemnastu lat, jako dziewczyna i kobieta, i miałam już w życiu paru dziwnych klientów, ale nigdy takiego! Popatrz...

Wstała i uniosła spódnicę. Usłyszała, jak Tony krztusi się własnym oddechem.

– Niech skonam, Tip, on to zrobił?

Pokiwała głową. W jej oczach pojawiły się wielkie łzy.

– Mam to na całym ciele. Na cyckach, na dupie, wszędzie.

Tony wpatrywał się w krzyżowe nacięcia na jej udach. Niektóre były powierzchowne, a niektóre bardzo głębokie. Na wszystkich widniały krwawe strupy, a wokół nich liczne purpurowe i czarne siniaki.

– Przez całą noc szczałam krwią, Tony. On wepchnął coś we mnie. - Jej głos załamał się. - Związał mnie, miał nóż. Trzymał go przy moim gardle i groził mi...

Rozplakała się gwałtownie i Tony po raz pierwszy w życiu współczuł pracującej dla niego dziewczynie. Objął ją ramionami i przytulił do siebie.

– Wszystko będzie dobrze, Tippy. Uspokój się, kochana.

– Jak ja mogę pracować w takim stanie, Tony? Wypadam z gry na długie tygodnie? A co będzie, jeśli on wróci? Przecież wie, gdzie mieszkam, i wie, że nie pójdę na policję. - Jej twarz była cała zalana łzami. Tony delikatnie posadził ją na krześle.

– Posłuchaj, Tippy. Dam ci dość forsy, żebyś jakoś przetrzymała najgorsze. I porozmawiam ze skurwysynem, dobrze? Zapewniam cię, że więcej już cię nie tknie. Zgoda?

– Obiecujesz?

– Obiecuję. A teraz może zawiozę cię do znajomego lekarza w Swiss Cottage? Płatne gotówką i nikt nie będzie zadawał żadnych pytań. Co ty na to?

Tippy pokiwała głową, ocierając twarz dłońmi.

– Powiem tylko Emmanuelowi, żeby pilnował sklepu, i zaraz ruszamy.

Tony Jones wyszedł z pokoju. Kto by pomyślał, że przydarzy się coś takiego? Greczny, spokojny facet przemienił się w tygrysa? Tony z zastanowieniem potrząsnął głową.

Będzie musiał delikatnie przywołać George'a do porządku. W końcu nie miał zamiaru stracić stałego klienta. Po prostu będzie go trzymał z daleka od Tippy pod byle jakim pretekstem, na przykład mówiąc, że ma bardzo zazdrosnego chłopaka. To zawsze działało na takich jak George.

Znów potrząsnęła głową. Biedna, stara Tippy. Będzie miała bliźny do końca życia.

Terry Miller wziął do ręki egzemplarz „Grantley Times”. Właśnie przygotował sobie filiżankę kawy i siedział w kuchni u mamy, paląc papierosa. Millerowie mieli sześcioro dzieci, w wieku od siedmiu do dziewiętnastu lat. Terry miał lat osiemnaście, a jego brat, Charlie, dziewiętnaście. Możliwość spędzenia w domu kilku spokojnych minut była u Millerów rzadkością; Terry właśnie na taką chwilę trafił i wprost ją chłonał. Dopóki nie zobaczył tego, co wydrukowano na pierwszej stronie gazety.

Była to fotografia Louise Butler. Terry natychmiast rozpoznał w niej dziewczynę, która przebiegła przed maską jego samochodu tej nocy, kiedy jechał na podmiejską balangę. Dziewczynę, którą gonił facet w dziwnym nakryciu głowy. Terry musiał mocno skrócić kierownicą, żeby w nich nie wjechać. Przeczytał artykuł i zmarszczył czoło. Uważano, że dziewczynę zamordował Rozpruwacz z Grantley, chociaż do tej pory nikt nie odnalazł ciała. Podrapał się po głowie. Czy nie powinien przypadkiem pójść na policję?

Jeśli pójdzie, będzie musiał przyznać, że zostawił dziewczynę na pastwę losu. Lecz przecież była to taka noc, że myślał po prostu, iż dziewczyna i facet wygłupiają się!

Złożył gazetę i położył ją na kuchennym stole.

Wiedział już, co robi. Porozmawia z Charliem, kiedy ten wróci z pracy.

Podjąwszy decyzję, Terry trochę się uspokoił. Charlie będzie wiedział, co robić. Zawsze znajdował wyjście z trudnych sytuacji.

Poszukiwania Louise Butler trwały już od ponad dwóch dni. Policja przeszukała wszystkie nieużytki, zarośla, pola i lasy. Nawet kamieniołom.

Na próżno.

Kate Burrows i Kenneth Caitlin byli coraz bardziej zaniepokojeni. Jeśli nie nastąpi jakiś przełom, i to szybko, wrócą do punktu wyjścia. Nurkowie spenetrowali miejscową rzekę. Przeszukano każdą szopę, garaż, wszystkie zabudowania gospodarcze. I nic. Louise Butler po prostu zniknęła z powierzchni ziemi.

Przesłuchano wszystkich przestępców seksualnych i gwałcicieli. Sprawdzono ich alibi na czas zbrodni.

I znów nic.

Rozpruwacz z Grantley nie pozostawiał wątpliwości, że strach przez niego zasiany zapanuje w okolicy na długo.

Kate siedziała przy swoim biurku, przeglądając teczki z dokumentami. Kilkakrotnie już przecierała kciukami oczy, zaczerwienione ze zmęczenia. Caitlin wyjechał do studia BBC, gdzie miał wieczorem uczestniczyć w nagraniu programu policyjnego. Do tej pory nie doszedł do żadnych rzeczowych wniosków, mimo że przecież był chodzącą legendą policji. Kate podniosła głowę i popatrzyła na tętniący życiem pokój detektywów.

Bez przerwy dzwoniły telefony, monitory komputerów co chwilę wyświetlały nowe informacje, a mimo to policja wciąż nie miała żadnego punktu zaczepienia. Kate znów powróciła myślami do morderstw z Leicester. Gdyby dało się chociaż część mężczyzn z Grantley poddać badaniu krwi, z pewnością posunęliby się duży krok naprzód. Bo przecież gdyby chociaż trzy tysiące spośród potencjalnie podejrzanych pięciu tysięcy mężczyzn przeszło ten test, liczba podejrzanych spadłaby właśnie o te trzy tysiące. Poza tym istniała szansa, że morderca znalazłby się właśnie wśród tych trzech tysięcy. Gdyby w miejscowych firmach i biurach pojawili się hematolodzy, z pewnością przejście tego testu stałoby się sprawą honoru każdego mężczyzny, nawet nie proszonego o to. Subtelna forma nacisku.

Jednak nikt na górze nawet nie chciał słyszeć o tym pomysle. Pieniądze. Wszystko zawsze sprowadzało się do cholernych pieniędzy.

Kate przygryzła dolną wargę. Musi tkwić w tej sprawie coś, co do tej pory wszyscy przeoczyli.

Z zeznania Geoffreya Winbusha dowiedzieli się jedynie, że Louise była na Woodham Road. Może widział ją tam ktoś jeszcze? Była atrakcyjną dziewczyną, ubraną w rzucający się w oczy kolorowy sportowy dres i skórzaną męską kurtkę. Nawet w tłumie trudno było jej nie zauważyć. A na balandze, imprezie na wolnym powietrzu, bawiło się ponad ośmuset młodych ludzi. Ktoś musiał ją zapamiętać.

Kate powróciła do dokumentów.

Wciąż przesłuchiowano właścicieli ciemnych fordów Orionów. Jak dotąd, bez rezultatu. Na liście dostarczonej przez wydział ruchu drogowego znajdowało się jeszcze tylko kilka nie sprawdzonych nazwisk. Może morderca jedynie dawniej mieszkał w Grantley i już się stąd wyniósł, dokądkolwiek? Pomyślała o tym wcześniej, ale przecucie podpowiadało jej mimo wszystko, że ma do czynienia z kimś, kto nadal tutaj przebywa. A skoro tak, najlepszym sposobem na zidentyfikowanie

go było badanie krwi.

Zadzwonił telefon i podniosła słuchawkę.

– Halo. Przy telefonie detektyw inspektor Burrows.

– Cześć, Kate.

Poczuła, że przestaje bić jej serce. To był Patrick Kelly.

– Czy wciąż jesteśmy umówieni na dzisiejszy wieczór? - zapytał.

– Tak, oczywiście. Nie wiem jednak, o której godzinie będę wolna. Wychodząc z pracy, zadzwonię do ciebie. Trochę jesteśmy tu zakopani w...

– Nadal nic istotnego nie macie? - znów zapytał, od niechcienia.

– Nie, nic konkretnego.

– Do zobaczenia więc. Cześć.

– Cześć.

Kate odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się. Coraz bardziej lubiła Patricka Kelly'ego. Właściwie to lubiła go już szalenie. Chociaż rozsądek podpowiadał jej, że powinna się z tego zauroczenia jak najszybciej wyleczyć. Przecież była policjantką a on...

Kim on właściwie był?

Miłym mężczyzną, oto kim był. A poza tym po wyjściu z komisariatu jej życie należało tylko do niej!

Znów zaczęła studiować akta. Płacono jej w końcu za odnalezienie tego mordercy i ona z pewnością go znajdzie.

Charlie Miller wrócił do domu o osiemnastej piętnaście. O tej porze w domu panowało już, jak zwykle, jedno wielkie pandemonium. Wszystkie dzieciaki były na miejscu, a ich irlandzkie pochodzenie powodowało, że głośne kłótnie stanowiły normę. Poza tym, jak większość dzieci z dużych rodzin, już od najmłodszych lat uczyły się przekrzykiwać nawzajem. Charlie poszedł prosto do pokoju, który dzielił z Terrym, i wsunął do magnetofonu kasetę z nagraniami Fine Young Cannibals. Właśnie zaczął się rozbierać, kiedy do pokoju wszedł jego brat z gazetą w ręce.

– Wszystko w porządku, Tel?

Terry potrząsnął przecząco głową i usiadł na dolnej części piętrowego łóżka, na nie uprzątniętej pościeli.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo.

Charlie zmarszczył czoło i zastygł bez ruchu, rezygnując ze ściągnięcia koszuli. Terry wyglądał bardzo źle. Usiadł obok niego.

– O co chodzi, bracie?

– O tę dziewczynę, która zniknęła. Louise Butler. Popatrz tylko...

Rozłożył gazetę i Charlie popatrzył. Terry przyglądał się jego twarzy.

– To ta laseczka, którą spotkaliśmy w nocy. Ta, którą gonił ten

dziwak, w masce na twarzy!

Terry pokiwał głową.

– Chyba powinniśmy zgłosić się na policję. Powiedzieć, że ją widzieliśmy.

Charlie energicznie potrząsnął głową.

– Do ciężkiej cholery, w żadnym wypadku! Nie mam zamiaru znaleźć się nawet w pobliżu jakiegokolwiek policjanta! I ty także nie!

– Ale, Charlie...

Charlie ściągnął koszulę i rzucił ją w róg ciasnego pokoju.

– Żadnych ale, Tel. Skończ już z tym!

Ton głosu brata podpowiadał mu, że skoro już raz tak postanowił, nie ma od tej decyzji odwołania. Charlie bardzo nie lubił, jak ktoś się z nim nie zgadzał.

Zmartwiony Terry zacisnął zęby. Dziewczyna zaginęła. A może wciąż żyje?

Charlie popatrzył na brata i westchnął. Terry był takim mięczakiem... Ściągnął dzinsy, w których chodził do pracy, i rzucił je na stertę w rogu. Pochylił się i popatrzył bratu prosto w oczy.

– Posłuchaj, Tel. Przykro mi z powodu tej laski i tak dalej. To sprawka tego Rozpruwacza, o którym wszyscy ostatnio mówią. Lecz mimo to nie mam zamiaru wystawiać na widok publiczny mojej... ani twojej twarzy. Kapujesz?

Terry pokiwał głową.

– To dobrze. I więcej nie chcę już o tym słyszeć. Poza tym byliśmy wtedy zdrowo naćpani. Czy w tej sytuacji możemy być dla nich użyteczni?

Wypowiedziawszy te słowa, Charlie zabrał dezodorant i szampon i poszedł do łazienki, pozostawiając skonsternowanego Terry'ego na łóżku. A tymczasem Fine Young Cannibals śpiewali: „Jonny, kochamy cię, wróć do domu”. Słowa te doprowadzały Terry'ego niemal do płaczu. Pragnął, by Louise Butler wróciła bezpiecznie do domu i by on sam mógł przestać już o niej myśleć.

Wyłączywszy magnetofon, położył się na łóżku i skrzyżował ręce pod głową.

Przecież prawie ją przejechali. Jeżeli Rozpruwacz z Grantley dopadł ją, jak sugerowały gazety, to nawet szkoda, że nie wpadła pod ich samochód. Jej koniec byłby przynajmniej krótki i bezbolesny.

Elaine i George siedzieli w salonie przed telewizorem, oglądając popołudniowe wydanie wiadomości. W pewnej chwili na ekranie pojawiła się informacja o zniknięciu Louise Butler. Ujrawszy fotografię dziewczyny, Elaine potrząsnęła głową.

– Och, George, to straszne, prawda?

Zdjęcie prezentowało Louise w szkolnym mundurku. Wyglądała bardzo młodo i zupełnie nie przypominała dziewczyny z minionej soboty.

– Tak, moja droga. Wszyscy u mnie w pracy mówią tylko o niej.

– To samo u mnie. Jej matka robi zakupy u mnie w supermarkecie. Jak ona musi się teraz czuć? To przecież dla niej koszmar. To już chyba trzecia ofiara, prawda? Czytałam dzisiaj w „Sun”, że ojciec tej poprzedniej, jak się ona nazywała, jest londyńskim gangsterem.

– Mandy Kelly.

– O, właśnie, Mandy Kelly. Coś takiego, że też ty tak po prostu pamiętasz jej nazwisko.

George poczuł ucisk w okolicach serca. Strach.

– Och, zwykły przypadek.

Czy Elaine spojrzała na niego dziwnie?

– Napijesz się herbaty, moja droga?

Zanim Elaine zdołała odpowiedzieć, oboje usłyszeli głośnie pukanie do frontowych drzwi.

– Na Boga, kto to może być? - zapiszczała Elaine.

Ludzie pukający do drzwi tego domu byli niecodziennym zjawiskiem. Szybko wstała i poszła otworzyć.

George pozostał w fotelu. Próbował uspokoić się po fali strachu, jaka go ogarnęła przed chwilą. Zrobił jednak bardzo zdziwioną minę, kiedy Elaine zjawiła się w salonie z dwoma mężczyznami.

– George, to jest detektyw sierżant Willis, a to - posterunkowy Hemmings. Chcą z tobą zamienić kilka słów. - Głos Elaine lekko drżał. - Czy mogę panów poczęstować kawą albo herbatą?

Willis uśmiechnął się.

– Będzie nam bardzo miło, proszę pani.

George tkwił w fotelu jak oniemiały. A więc wiedzieli już, że to on. Przyszli po niego!

– Proszę, usiądźcie, panowie. George, chcesz świeżej herbaty?

Poczuł, jak jego głowa w odpowiedzi porusza się w górę i w dół. Był świadom tego, że Elaine wychodzi z pokoju. Niemal przyłgął wzrokiem do dwóch mężczyzn, którzy usiedli na kanapie. Czuł, jak jego oddech nabiera coraz szybszego tempa, i podjął desperacką walkę, żeby go uspokoić.

– Przepraszam za kłopot, jednak odwiedzamy wszystkich mieszkańców Grantley, którzy są właścicielami ciemnoniebieskich sedanów. Dzięki tym wizytom będziemy w stanie wyeliminować z naszego śledztwa sporo ludzi.

Wyeliminować. Wyeliminować. Wyeliminować. A więc nie wiedzą. Nie wiedzą. George uśmiechnął się.

Elaine, która dosłyszała słowa policjantów, także odetchnęła z ulgą. Weszła do kuchni i włączyła elektryczny czajnik. Jej serce kołatało się w piersiach jak szalone.

Przecież George nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Co też jej przyszło do głowy? Była wobec niego zbyt surowa.

To chyba z powodu szoku, który przeżyła, kiedy zobaczyła w progu dwóch policjantów. Poczła się tak jak poprzednim razem. Wówczas to było straszne przeżycie. Ale zaraz przyszła jej do głowy pewna myśl. Czyżby chodziło im znów o to samo? Po tych wszystkich latach?

Zaczęła przygotowywać herbatę.

George już nigdy czegoś takiego nie robi. Nigdy. Nawet za milion lat.

Willis i Hemmings słuchali odpowiedzi George'a na pytanie, co robił podczas nocy, gdy zdarzyły się morderstwa i gdy zniknęła Louise Butler.

– Leżałem w łóżku z okropną gripą. Moja żona może to potwierdzić. Mogę zadać jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Skoro jeden z panów jest posterunkowym, powinien pełnić służbę w mundurze, prawda?

Willis uśmiechnął się.

– W sprawach podobnych do tej staramy się nie rzucać w oczy. Przebieramy mundurowych funkcjonariuszy w cywilne ubrania, żeby ludzie tacy jak pan, których eliminujemy z kręgu podejrzanych, nie odczuwali później żadnej presji. Na przykład ze strony sąsiadów.

– To bardzo uprzejme ze strony panów.

Do salonu weszła Elaine z herbatą. I tak niezgrabna, poczuła się jak ostatnia niezdara, kiedy postawiła na stoliku tacę z głośnym brzękiem naczyń.

Willis przypatrywał się jej ukradkiem. Zdawało mu się, że jest kłębkiem nerwów. Zaczęła nalewać herbatę do filiżanek i kiedy wreszcie skończyła i usiadła, wyglądała tak, jakby właśnie przebiegła Maraton Londyński. Bez powodzenia usiłowała nad sobą zapanować.

Willis odezwał się bezpośrednio do niej:

– Rozumiem, proszę pani, że drugiego grudnia zeszłego roku, to była sobota, mąż spędził cały wieczór razem z panią, w domu?

Elaine pokiwała głową.

– George bardzo rzadko wychodzi gdzieś wieczorami.

– Rozumiem. A zatem dwudziestego trzeciego grudnia, to także była sobota, również był z panią w domu?

– Tak.

– I ostatni wieczór starego roku także spędziliście razem?

– Tak. Nie. George zaległ w łóżku z ciężką gripą. Sama więc

pojechałam na prywatkę do przyjaciół. George był zbyt chory, żeby opuścić dom.

Elaine zdała sobie sprawę, że bełkocze.

Teraz zarówno Willis, jak i Hemmings wpatrywali się w nią uważnie. Nawet jej rude włosy zdawały się drżeć.

Willis uśmiechnął się i zamknął notatnik.

– To już będzie wszystko. Bardzo przepraszam, że państwa niepokoił, jestem jednak pewien, że okażecie państwo wyrozumiałość.

– Oczywiście. - George był już całkowicie sobą. Czuł, że jeszcze chwila i wybuchnie głośnym śmiechem. Co za głupcy! Beznadziejni głupcy. Z trudem przełknął ślinę i powstrzymywał śmiech. - A może, panowie, wypijecie jeszcze po filiżance herbaty?

Hemmings miał już się zgodzić, ale Willis głośno odmówił. George uśmiechnął się do młodszego policjanta. Hemmings odwzajemnił uśmiech. Tymczasem Elaine obserwowała całą trójkę. Czy jej się zdawało, że George sobie z nich drwi? Od pewnego czasu odnosiła wrażenie, że George się zmienia. A teraz to. Eliminacja z kręgu podejrzanych.

– Czy znaleźliście już tę dziewczynę? Tę, która zaginęła?

– Louise Butler? Nie, jeszcze nie. Mamy resztki nadziei, że wyjechała gdzieś z koleżanką albo z chłopakiem i wkrótce skontaktuje się z rodzicami. Jednak każdy mijający dzień czyni to coraz mniej prawdopodobnym.

George cmoknął współczująco.

– To straszne. Ten zabójca jest bardzo przebiegły. Zamordował już trzy kobiety i nie zostawił żadnych śladów. Oczywiście, o ile ta młoda dama, ta trzecia, także została zamordowana.

– W końcu zabójca popełni błąd, proszę pana. Nie ma innej możliwości.

– Jasne. - George uśmiechnął się. Jasne, zabójcy zawsze popełniają jakiś błąd. Ale nie ten zabójca, sprytni panowie policjanci. Nie tym razem.

– To jakieś zwierzę, nie człowiek - powiedziała Elaine niskim, chrapliwym głosem. - Biedne dziewczęta. Żadna kobieta nie czuje się już bezpieczna w tym mieście.

Hemmings skinął ku niej głową, myśląc: ty jednak jesteś zupełnie bezpieczna. Facet, który chciałby cię zaatakować, musiałby być niespełna rozumu.

Willis wstał i podał rękę George'owi, który mocno nią potrząsnął.

– Dziękujemy panu za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zawsze jestem do panów

dyspozycji.

Hemmings jedynie skinął głową. Elaine poderwała się z krzesła i odprowadziła mężczyzn do drzwi.

– Dziękujemy za herbatę.

– Nie ma za co. Do widzenia.

Zamknęła za policjantami drzwi i oparła się o nie. Jej serce znów zaczęło bić jak szalone. Co się z nią działo? Dlaczego była taka rozkojarzona?

George wyszedł do niej z holu.

– Wszystko w porządku, moja droga? Wyglądasz okropnie.

– Nic mi nie jest, George. Ale to było jak wtedy. Wiesz... - Zamilkła.

Otoczył ją ramieniem.

– Elaine, nie ma już czym się martwić. To było straszne nieporozumienie. Poza tym wszystko zdarzyło się dawno temu i spłaciłem już dług wobec społeczeństwa. - Poprowadził ją z powrotem do salonu i posadził na krześle. - Przestań się martwić, moja kochana. Czy tylko dlatego, że mój samochód to ciemnoniebieski sedan... Czy tylko dlatego jestem mordercą?

Potrząsnęła głową.

– Oczywiście, że nie, George. Bardzo cię przepraszam.

– Znowu wywołujesz duchy z przeszłości, Elaine. One na zawsze już pozostały pomiędzy nami, prawda? - Głos George'a był bardzo łagodny.

Nie potrafiła spojrzeć mu w twarz. Po dwudziestu latach George dziś po raz pierwszy odniósł się do tego, co się wydarzyło. I miał rację, to już na zawsze pozostało pomiędzy nimi. Ponieważ utkwiło to na dnie jej mózgu i trwało w nim całymi dniami, bez przerwy, od porannego budzenia aż do wieczornego spoczynku. Nawet w nocy wracało do niej w koszmarach.

– Przykro mi, Elaine. Naprawdę, bardzo mi przykro. Z całego serca chciałbym cofnąć czas i wszystko zmienić, jednak nie mogę, po prostu nie mogę.

George obserwował, jak na twarzy Elaine pojawia się wyraz winy. Znowu powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem.

– Wiem o tym, George. Ale kiedy ich zobaczyłam na progu...

– Wiem, kochana, i cię rozumiem. Wiem, że nigdy nie wybaczyłaś mi tego, co się stało, i nie winię cię za to, kochanie. Doceniam to, że jesteś ze mną. Naprawdę. - Ujął jej pulchną dłoń i przycisnął do swojej piersi. - Kocham cię, Elaine. Zawsze kochałem.

Wierzchem dłoni przetarła oczy, w głębi serca zdając sobie sprawę, że uczyniła to tylko dlatego, żeby przerwać fizyczny kontakt z George'em.

– Jestem po prostu starą głupią babą, George. Zrobię jeszcze herbatę.

George odsunął się, umożliwiając jej wstanie z krzesła. Patrzył, jak materiał jej obcisłego kostiumu napina się do granic wytrzymałości, kiedy pochyłona zbierała z powrotem na tacę filiżanki i talerzyki. Zapewne na czas świąt Bożego Narodzenia zarzuciła dietę.

Kiedy wyszła z pokoju, usiadł w swoim fotelu i uśmiechnął się. Co za cholerni głupcy! Wszyscy, co do jednego. On, George, był o wiele sprytniejszy od tej bandy małp, jak mawiała matka, i przechytrył ich wszystkich. Nawet tę grubą, tłustą sukę urzędującą teraz w kuchni.

Elaine po raz kolejny przyrządzała herbatę. Nagle poczuła ochotę, by trzasnąć czajnikiem w ścianę. Tej nocy, kiedy zamordowano Mandy Kelly, George'a nie było w domu. Poszedł na jeden ze swoich nocnych spacerów. Bez powodzenia próbowała wyrzucić tę myśl z głowy. W nocy kolejnego morderstwa była razem z nim. W ostatnim dniu roku George cały czas leżał chory w łóżku. Bardzo chory. Ogarniała ją paranoja, to był w tej chwili jej problem. Pragnęła, żeby czas przyspieszył i zaczęły się już jej wakacje w Hiszpanii, żeby mogła wyjechać, zostawić George'a i cieszyć się życiem. Zalała wodą woreczki herbaty ekspresowej i poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

Mimo wszystkich jego wad i win George nie był przecież mordercą. Nie zabijał ludzi!

Musiała w to wierzyć.

Musiała.

Oby do piątku. W piątek miała się spotkać z Hectorem Hendersonem. W miarę jak mijały dni, coraz bardziej czuła, że go potrzebuje, potrzebuje jego prostoty i jowialności. A nade wszystko jego dobroci.

Willis i Hemmings rozmawiali o George'u i Elaine w drodze pod kolejny adres.

– Facet wydaje się w porządku, ale ta kobieta! Była kłębkim nerwów.

Willis wzruszył ramionami.

– Niestety, na pewnych ludzi policja właśnie w taki sposób wpływa. Sprawia, że stają się nerwowi. Ludzie tacy jak ona właściwie nie mają z nami do czynienia, pamiętaj. A kiedy już się pojawiają, stanowi to dla nich wstrząs. Facet był jednak bardzo miły. Bardzo grzeczny i wygadany.

Hemmings pokiwał głową.

– Życzyłbym sobie, żeby więcej ludzi było takich jak oni oboje i żeby od czasu do czasu okazali szacunek policji. W zeszłym tygodniu złapałem jakiegoś chłopaczka na drobnej kradzieży w sklepie, a jego ojciec chciał mnie pobić. Jakbym to ja był złodziejem, a nie jego własny syn.

Willis wyszczerzył zęby.

- Rozumiem cię. Ludzie ostatnio skaczą nam do oczu.
- Odczuwam to na własnej skórze.

Po śniadaniu Evelyn i Dan siedzieli w kuchni przy stole. Evelyn zapaliła papierosa.

– Myślę, że powinieneś znaleźć dla siebie jakieś nowe miejsce, Dan. W końcu mieszkasz już tutaj dwa tygodnie. Kate jest uprzejmą kobietą, ale jej uprzejmość ma swoje granice. - Upiła łyk kawy i popatrzyła na byłego zięcia ponad filiżanką.

– Czy coś mówiła? To znaczy o tym, że powinienem się wyprowadzić? Evelyn ciężko westchnęła.

– Powiedzmy po prostu, że według mnie ma już ciebie dosyć.

Dan wziął ze stołu paczkę jej papierosów i zapalił jednego. Evelyn zaraz wyrwała mu paczkę i włożyła do kieszeni fartucha.

– Chyba aż tak źle ci się nie wiedzie, co? Masz pieniądze, żeby sobie kupić papierosy?

Dan uniósł wzrok, próbując podjąć decyzję, czy może się jej zwierzyć, czy nie. Jego rachunki zawsze płaciła Anthea. Wiedli przyjemne życie. Od ponad dziesięciu lat Dan nie miał żadnego konkretnego zajęcia. Z rosnącym niepokojem z każdym dniem coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że w wieku czterdziestu sześciu lat nie ma właściwie żadnych konkretnych kwalifikacji. Jego perspektywy na przyszłość były okropne.

– Posłuchaj mnie, Dan, próbuję ci tylko pomóc. Kate nie może utrzymywać nieroba, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Kiedyś byłeś agentem ubezpieczeniowym, czy nie możesz do tego wrócić? Firmy ubezpieczeniowe szukają takich mężczyzn jak ty. Przystojnych, uprzejmych, takich, którzy samym tylko wdziękiem potrafią sprawiać, że klienci wyskakują z forsy.

Dan odwrócił wzrok. Jak mógł wyjaśnić starej kobiecie siedzącej naprzeciwko niego, że przyzwyczał się do zegarka za pięć tysięcy funtów? Że od wielu lat nosił tylko najdroższe garnitury, kupowane jednak za pieniądze Anthei? Że od nie wiadomo jak dawna nie kłopotał się płaceniem rachunków? Jak mógł jej wytłumaczyć, że Kate była jego ostatnią szansą? Ponieważ to Kate, ze wszystkimi wadami, prawdziwymi i wyimaginowanymi, była jedyną osobą, która traktowała go dokładnie tak, jak na to zasługiwał.

Popatrzył na swojego rolexa i zamknął oczy. Dopiero wtedy, wzięwszy głęboki oddech, zaczął mówić. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. W końcu musiał wypowiedzieć bardzo trudną dla niego prawdę.

– Posłuchaj, Eve. Dawno już skończyłem czterdziestkę. Nie jestem pewien, czy dostałbym teraz chociażby posadę sprzedawcy w sklepie. A ile mógłbym zarabiać? Dziesięć tysięcy rocznie? No, może piętnaście. Przecież za takie pieniądze nie kupię sobie nawet ubrań...

Beznadziejny ton jego głosu nie pozostał bez wpływu na Evelyn.

– Żebyś tylko mógł samego siebie usłyszeć! - zawołała. - Siedzisz tu i jak duża beksa użalasz się nad sobą i swoim życiem. Gdybyś pozwolił swojemu sercu rządzić głową, a nie członkiem, nie znajdowałbyś się dzisiaj w takim stanie!

Dan utkwiał w niej zaskoczone spojrzenie.

– Och, Danny Burrows, widziałam w życiu mnóstwo takich ludzi jak ty, tyle że większość z nich to były jednak kobiety. Nadszedł czas, żebyś się pozbierał. Weź się do życia, jak mawia Lizzy. Znajdź sobie miejsce do życia, a potem jakieś zajęcie. W pewnym momencie każdy z nas musi wziąć się w garść, nazywa się to wzięciem odpowiedzialności za samego siebie. Czy ty wiesz, że przez te wszystkie lata obserwowałam, jak Kate za tobą tęskni? Aż mnie tym zadziwiła. Jak mogła taka inteligentna i pełna uroku kobieta wodzić oczami za kimś tak beznadziejnym jak ty? Na Boga, Dan, dziwi mnie z kolei, jak ty mogłeś aż tyle lat przeżyć w taki pasożytniczy sposób?

Atmosfera w niewielkiej kuchni stała się bardzo napięta. Dan poczuł chęć, by starej kobiecie z całej siły przyłożyć pięścią w twarz. Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Zbyt wielkim był tchórzem. Anthea też o tym wiedziała i właśnie dlatego postępowała z nim tak, jak postępowała. Decydowała o tym, jak się ubierał i co jadł, kiedy chodził spać i kiedy mógł się z nią kochać. Przez te wszystkie lata, które z nią spędził, ani jednego dnia nie był szczęśliwy, ponieważ Anthea zawsze była szefem. Jej słowo było święte. Dużo podróżowali, ale nawet podczas podróży musiał ulegać wszelkim jej kaprysom. Jeśli zdecydowała, że na dzisiaj koniec zwiedzania albo opalania, podporządkowywał się temu. Ale teraz Anthei już przy nim nie było i rzeczywiście po raz pierwszy w dorosłym życiu musiał wziąć odpowiedzialność za samego siebie.

– Wiem, że masz rację, Eve, jednak nie jestem pewien, czy starczy mi charakteru, żeby postąpić tak, jak sugerujesz.

Wydobyła z kieszeni paczkę papierosów i poczęstowała go.

– Posłuchaj, Dan, Kate jest aż chora, kiedy codziennie widzi cię na tej kanapie. Przeprowadź się gdzieś i wtedy dopiero staraj się odzyskać jej szacunek. Zdobądź pracę, uporządkuj sobie jakoś życie. Jeżeli naprawdę chcesz ją odzyskać, jest to, moim zdaniem, jedyny sposób.

– A ten facet, z którym Kate się spotyka?

– Jaki facet? - W głosie Evelyn zabrzmiało zaskoczenie.

– Och, daj spokój, Eve. Kate ma faceta albo ja nie nazywam się Danny

Burrows.

– Jeśli nawet Kate ma faceta, to ja po raz pierwszy o tym słyszę.

Boże, wybacz mi to kłamstwo, pomyślała. Tak naprawdę była pewna, że Kate wreszcie spotkała jakiegoś mężczyznę. Tajemniczego mężczyznę, przyznawała, ponieważ nie była w stanie wyciągnąć na jego temat od córki ani słowa. Lecz, w każdym razie, mężczyznę.

– Zamieszkaj najpierw z jakąś kobietą, a dopiero potem rozpocznij kampanię o Kate. Życie przynosi czasami zabawne niespodzianki. Przez długie lata nauczyłam się tej prawdy aż za dobrze.

Dan uśmiechnął się do niej. Był to autentyczny, niewymuszony uśmiech. Danny nigdy nie lubił matki Kate, ponieważ przekonany był, że i ona nie lubi jego. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Evelyn potrafi go rozszyfrować w każdej sprawie, że nie jest w stanie utrzymać przed nią niczego w tajemnicy.

– Dzięki, Eve. Ta rozmowa wiele mi dała.

Evelyn ujęła go za rękę i uśmiechnęła się.

– Próbuję jedynie ci pomóc, synu.

Popatrzyła na swoją ślubną obrączkę; nie była w stanie spojrzeć Danny'emu w twarz. W tej chwili pragnęła jedynie, żeby jak najszybciej wyniósł się z domu.

Podczas tej rozmowy o nim, o Kate i o Tajemniczym Nieznajomym Dan ani razu nie wymienił imienia swojej córki.

To było dla niego typowe.

Lizzy przeczesła palcami swoje długie włosy i ziewnęła. Joey leżał obok niej i uśmiechał się. Oboje byli nadzy. Lizzy rozejrzała się po pokoju i ze zdumieniem zamrugęła.

– Tutaj jest strasznie brudno.

Joey roześmiał się głośno.

– Oczywiście. Jesteśmy w budynku, który zajmują wyłącznie dzicy lokatorzy.

Ściany były raczej pomazane, niż pomalowane, różnymi farbami. Gdzieś tam znajdowały się na nich rysunki wielkich oczu z wystającymi sztyletami.

– Kto wykonał te dekoracje, Joey?

– Och, pewien gość o imieniu Nipper. Uważa się za rysztockiego poetę i artystę.

– Poradziłabym mu na przyszłość, żeby nie tracił ani dnia i bezustannie tworzył.

Do jej nozdrzy dotarł kwaśny zapach pościeli i zrobiła krzywą minę.

– Może byśmy tak zapalili?

– Doskonale.

Joey usiadł na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i zaczął zwijać jointa. Lizzy obserwowała go leniwie. Bardzo lubiła Joeya. Był taki ekscytujący. Znał wszystkie miejsca, które warto było odwiedzać, i wszystkich ludzi, których warto było znać. Olała w tym tygodniu pracę, powiedziała Joanie, że ma „grypę”, i każdy dzień spędzała właśnie w taki sposób, w cudzym mieszkaniu albo samochodzie. Kiedy była w domu, zamykała się we własnym pokoju. Matka zaczęła coś podejrzewać, jednak Lizzie powiedziała jej, że każdy lubi czasami trochę samotności.

Matka była jak wrzód na tyłku. Bezustannie chciała wiedzieć, gdzie Lizzie przebywa, z kim i co robi. Babcia nie była wiele lepsza. Wciąż ją pouczała i wciąż o czymś przypominała. Przez wiele lat Lizzie to nie przeszkadzało, ale teraz miała już dosyć. Chciała wreszcie żyć po swojemu i cieszyć się tym życiem. Kiedy tylko ojciec znajdzie sobie jakieś inne miejsce, uda się tam za nim.

Pod wieloma względami była taka jak on. Ojciec lubił wesołe życie i dobrą zabawę. A życie matki było takie puste. Czekala na wydarzenia, zamiast je kreować. Dziwne podejście do sprawy.

Joey zapalił jointa, zaciągnął się mocno, po czym podał go Lizzie. Ona także wciągnęła dym głęboko do płuc, przez chwilę go w sobie przytrzymała, po czym powoli zaczęła go wypuszczać ustami.

– Tak to się właśnie robi - powiedziała mentorskim tonem, aż Joey wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Jeszcze nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ona. Lizzy Burrows była doskonałą partnerką do każdej zabawy. Patrzył, jak siada i otrzepuje na podłogę popiół ze skręta. Ani trochę nie wstydziła się swojego ciała. Joey złapał jej pierś i ścisnął w dłoni. Miał chropowatą rękę i brud pod paznokciami. Lizzy odepchnęła ją. W tej chwili pragnęła jedynie nawalić się narkotykiem i leżeć na materacu, rozmyślając o przyjemnych sprawach. W domu postępowała dokładnie tak samo, słuchając Shinead O'Connor i Pink Floyd.

Podala jointa z powrotem Joeyowi i położyła się na plecach. Zaciągnął się i, przyłożywszy swoje usta do ust dziewczyny, wdmuchnął jej dym prosto do płuc. Roześmiała się i pocałowała go. Z jednego z sąsiednich pokoi dobiegały chropowate dźwięki jakiegoś utworu Guns’N’Roses. Potężne tony gitary elektrycznej sprawiały, że wibrowały wszystkie ściany.

– O cholera! Stud niedługo wraca. Ubieraj się i spadamy stąd.

Lizzy ze śmiechem naciągnęła brudną pościel na piersi.

– Dlaczego?

– Ponieważ spotkanie ze Studem zawsze grozi jakimś ciężkim wypadkiem, dlatego.

– Och, pieprz się, Joey. Jest mi tak dobrze, że nigdzie się stąd nie ruszę.

Joey westchnął i podrapał się po tłustych włosach.

– Posłuchaj, wyjdźmy stąd i postarajmy się o coś do picia, dobrze?

– Dobra, ale pod warunkiem, że zaraz tutaj wrócimy. Umowa stoi?

– Stoi. A teraz się ubierz, zanim wrócą wszyscy ci wariaci na swoich motocyklach.

Joey był autentycznie zaniepokojony. Gang motocyklistów składał się zasadniczo z równych facetów, ale czasami wydarzenia wymykały się spod kontroli. Nie chciał pokazywać im Lizzy. Niech by im przyszło do głowy, że wspólnie chcą się z nią zabawić? Nie byłby to przecież pierwszy podobny przypadek.

Lizzy włożyła majtki i dżinsy. Akurat kiedy nakładała koszulkę, otworzyły się drzwi. Stanął w nich potężny mężczyzna z rudą brodą. Brzuch wypukły od bezustannego picia piwa zwisał mu nad paskiem od spodni. Jego koszulka ozdobiona była trupią czaszką.

– Cześć, Joey, a kto to taki? - zapytał basowym głosem, w którym pobrzmiwało coś, co Lizzy od razu się nie spodobało.

– To jest Lizzy... Lizzy Burrows. Lizzy, poznaj JoJo Downeya. To on zarządza tym domem.

Lizzy wyczuła w głosie Joeya nutkę strachu.

– Cześć - powiedziała cicho.

JoJo zmarszczył czoło, zerkając na nich przymrużonymi oczyma, ale zaraz jego twarz rozjaśniła się i obdarzył oboje szerokim uśmiechem, w którym obnażył potężne braki w uzębieniu. Było to bardziej przerażające niż jego zadumanie.

– Chodźcie i napijcie się z nami.

Lizzy szybko nałożyła buty i poszła za Joeyem oraz JoJo do pokoju, w którym rozbrzmiewała głośna muzyka. Zobaczyła w nim około piętnastu osób, głównie mężczyzn. Były z nimi dwie dziewczyny. Obie miały pofarbowane na czarno włosy i ubrane były w damskie skórzane kombinezony motocyklowe, czyli czarne skórzane minispódniczki, czarne góry z lycry i krótkie dżinsowe kurtki. Obie nosiły gruby czarny makijaż, a usta wymalowały purpurowymi szminkami. Obie uśmiechnęły się do Lizzy, a ona zaraz uśmiechnęła się do nich.

– Usiądź, kochanie, i napij się z nami. - Ruchem ręki JoJo nakazał dziewczynom posunąć się na zapadniętej kanapie, a one szybko zrobiły miejsce dla Lizzy. Usiadła pomiędzy nimi. Joey zajął miejsce na podłodze razem z innymi mężczyznami. Niemal natychmiast jointa zabrał mu jakiś facet w wieku około czterdziestu lat, z nabijaną ćwiekami skórzaną kurtką przerzuconą przez kolana.

Dopiero pijąc wino jabłkowe, Lizzy zdała sobie sprawę, co robi

mężczyzna z kurtką na kolanach. Podgrzewał coś w małym tygielku, obserwując bąbelki na powierzchni płynu. Po chwili, ustawivszy tygielk na kurtce, podniósł z podłogi strzykawkę i zaczął naciągać do niej płyn. Złapał spojrzenie obserwującej go Lizzy i mrugnął do niej.

Na prośbę jakiegoś grubasa, który mimo hałasu próbował spać, muzykę przyciszono. Lizzy zobaczyła, że Joey przygotowuje kolejnego skręta. Westchnęła. W tej chwili pragnęła jedynie się stąd wydostać. Wyjść stąd i już nigdy nie wrócić.

Ale Joey znów był rozluźniony i wesoły. Dziewczyny po obu stronach Lizzy paplały jak najęte o swoich dzieciach. Gdy były pochłonięte rozmową, do pokoju wbiegła dziewczynka w wieku mniej więcej dwóch lat. Dziewczyna po prawej stronie Lizzy wyciągnęła do niej ręce i dziecko szybko potuptało w jej kierunku. Spomiędzy jego nóżek wysunęła się ciężka, wilgotna pielucha, wywołując rozbawienie osób zebranych w pokoju. Do innych zapachów unoszących się w pomieszczeniu dołączył smród uryny. Lizzy popatrzyła ponad główką dziecka na mężczyznę ze strzykawką. Igła gładko weszła w niebieską żyłę na jego ramieniu i czując, jak narkotyk wpływa w jego ciało, zamknął oczy. Po chwili je otworzył i popatrzył prosto na Lizzy.

– Chcesz spróbować?

Lizzy potrząsnęła przecząco głową.

– Więc, kurwa, przestań się na mnie gapić.

Lizzy przygryzła wargę, a mężczyzna głośno się roześmiał.

Joint, który przygotował Joey, dotarł właśnie do niej i przyjęła go z wielką wdzięcznością. Potem zabrała go dziewczyna siedząca obok niej i wydmuchnęła dym ponad główką dziecka.

Joey uśmiechnął się do Lizzy i ona także się odprężyła. Marihuana wreszcie zaczynała działać. Ktoś wstał i włączył płytę zespołu Pink Floyd. Pokój wypełniło *The Great Gig in the Sky*. Niesamowity głos wokalisty jeszcze bardziej ukoił Lizzy. Tak już było lepiej, słuchała muzyki, którą znała, i wreszcie pokój przestał się jej wydawać nieprzyjazny i groźny. Mężczyzna na podłodze, wstrzyknąwszy sobie narkotyk, uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. Wówczas JoJo zaproponował jej tabletkę LSD. Przyjęła ją i wsunęła pod język. Joey uczynił to samo. Godzinę później miała totalny odlot. Było jej wspaniale. Do pokoju zbiegło się jeszcze więcej małych dzieci. Muzyka, mimo że wciąż głośna, jakoś nikomu nie przeszkadzała. Ktoś nawet przyniósł kanapki. Talerz z nimi przekazywano sobie z rąk do rąk, razem z wódką zmieszaną w butelce z tanim winem jabłkowym. Joey leżał na podłodze, potrząsając głową.

Wtedy ktoś głośno zapukał do drzwi.

Jedna z dziewczyn wstała, żeby otworzyć, i po chwili do pokoju

weszły dwie ładnie ubrane kobiety.

JoJo podniósł się i wyprowadził je do kuchni. Joey patrzył ze swego punktu obserwacyjnego na podłodze, jak cała trójka ubija interes. W zamian za gruby plik banknotów Jo Jo otrzymał trzy tysiące tabletek ekstazy.

Joey ucieszył się, że narkotyku wystarczy w tym domu przynajmniej na kilka najbliższych tygodni. Ale w chwili, gdy dwie kobiety wychodziły, rozpoczęło się pandemonium. Policjanci zdawali się wytaczać z każdego kąta.

Lizzy miała już wtedy taki odlot, że jedynie uśmiechała się do nich, kiedy pakowali ją do radiowozu.

Kate i Caitlin przeglądali materiały związane z potencjalnymi „podejrzanymi”. Oznaczało to, że wydobywali z gąszczu zeznań informacje otrzymane od notowanych przestępców na tle seksualnym i sprawdzali, czy w jakikolwiek sposób da się je powiązać z morderstwami w Grantley. Jak dotąd, do niczego nie doszli. Caitlin ziewnęła głośno.

– Tutaj nic nie ma, Katie, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Ten facet, ktokolwiek to jest, z pewnością nie jest zwyczajnym zbrodniarzem. To jakiś nowy gatunek.

Katie uśmiechnęła się wbrew swojej woli.

– Nowy gatunek?

– Czy nie tak właśnie powiedziałem? Przez wiele lat pracy zaobserwowałem, że gwałtowne zbrodnicze napady na kobiety podlegają subtelnym zmianom. Jeśli sięgniemy do lat pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych, przypomnimy sobie tylko kilku zabójców tego typu.

Jednak ich ataki, oczywiście, okrutne, wcale nie były aż tak gwałtowne jak obecnie. A popatrz tylko na faceta, z którym mamy do czynienia teraz. Katuje dziewczyny na śmierć. Większości typowych gwałcicieli wystarczyło i nadal wystarcza zdobycie władzy nad kobietą. Walka, ich strach, świadomość, że czyni się kobiecie najgorsze zło, jakie może ją spotkać za życia, to im wystarcza. Tymczasem nasz gwałciciel ponad wszystko pragnie posyłać te kobiety na zawsze do piachu. Tak jakby chodziło mu o doprowadzenie ich do najwyższego stopnia uległości.

Kate popatrzyła na rumianą twarz Caitlina i pokiwała głową.

– Chyba cię rozumiem. Ale nawet wiedząc to, nie posuwamy się ani o krok na drodze do odnalezienia naszego gwałciciela i mordercy.

– Och, znajdziemy go, nie przejmuj się. To tylko kwestia czasu. W końcu popełni jakiś błąd, nikt spośród nich nie jest w stanie tego

uniknąć.

Zadzwonił telefon na ich biurku i Kate podniosła słuchawkę. Caitlin obserwował, jak na jej twarzy powoli pojawia się zdumienie.

– Zaraz tam będę.

– Co się stało, Katie? Kolejna ofiara? - W głosie Caitlina brzmiało niedowierzenie.

– Nie, tym razem nie chodzi o kolejne morderstwo. Ale mogło się to tak skończyć. Złapała torebkę i niemal wybiegła z pokoju, odprowadzana zaniepokojonym spojrzeniem Caitlina.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kate wpadła do domu i z całej siły zatrzęsła za sobą drzwi. Dan i Evelyn usłyszeli jej szybkie kroki na schodach i oboje podążyli za nią. Znaleźli ją w sypialni Lizzy, dosłownie rozdzierającą pokój na strzępy.

– Do diabła, Kate, co się dzieje? - W głosie Dana brzmiało niedowierzanie.

Wyciągała właśnie z szuflady bieliznę córki i uważnie przeglądała każdą sztukę.

– Lizzy znajduje się właśnie na komisariacie w Grantley i oskarżona jest o posiadanie marihuany - odpowiedziała rozdrażnionym tonem.

– Co takiego? - Evelyn aż przyłożyła dłoń do serca. - Jesteś pewna?

– Och, jestem pewna, aż za pewna. Chyba wiem, jak wygląda moja córka.

Wyciągnęła z szafki ostatnią szufladę i zajrzała do wnętrza mebla. Dopiero tam, na samym dnie, znalazła małą plastikową torebkę z amfetaminą, przylepioną do drewna przezroczystą taśmą. Kate oderwała ją i szybko wsunęła do kieszeni swojej kurtki.

– Kate, uspokój się na chwilę i powiedz nam, co się dzieje. To musi być jakaś pomyłka.

– Nie ma żadnej pomyłki, Dan. Początkowo też tak myślałam, dopóki jej nie zobaczyłam. Wywołał mnie z gabinetu sierżant dyżurny, który ją rozpoznał. Znalaziono ją w domu zamieszkiwanym przez dzikich lokatorów, w Tillingdon Place. Tak, w Tillingdon Place, najgorszej okolicy w Grantley. Była już tak naćpana, że nie wiedziała, co się dookoła niej dzieje.

– Nie wierzę. - Evelyn zrobiło się niedobrze.

– Niestety, mam. A teraz wyjdźcie stąd, oboje. Muszę zorientować się, co ona ma, co się z nią dzieje. Lekarz dyżurny zrobił jej badanie krwi, tylko do mojej wiadomości. Stłukę ją na kwaśne jabłko!

– Posłuchaj, Kate, może ktoś ją tam zaprowadził, podał narkotyki...

– Och, sądzisz, że o tym nie pomyślałam? Naprawdę tak uważasz? - zapytała z wyrzutem Dana. - Poszłam do celi, ale Lizzy powiedziała mi tylko, żebym się od niej odpieprzyła. Dokładnie tak mi powiedziała. Przeklinała i głośno obrażała wszystkich dookoła. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak poniżona. Okazało się, że moja córeczka już od tygodnia nie była w pracy. Pojechałam do Joanie i wszystkiego się od niej dowiedziałam. Lizzy wcale nie spędzała u niej nocy sylwestrowej,

była na tej cholernej balandze pod miastem! Moja córka jest cholerną kłamliwą ladacznicą!

Zaląła się łzami. Evelyn podeszła do niej i otoczyła ją ramionami.

– Na razie chodźmy na dół, Katie, zrobię kawę, dobrze? I obejrzyj oczy, płacz nic tu nie pomoże.

– Przecież zrobiłam dla tej dziewczyny wszystko, co tylko mogłam! Dobrze ją traktowałam, starałam się właściwie wychować. Dlaczego nam to zrobiła? Dlaczego zrobiła to sobie? Czuję się, jakbym jej dotąd w ogóle nie знаła.

Evelyn pocałowała ją w czoło.

– Tak to już bywa w życiu, kochanie - stwierdziła. - Wychowujesz dzieci, robisz wszystko, żeby było im w życiu jak najlepiej, a potem one i tak odchodzą własną drogą.

– Gotowa byłam ją tam zabić, w tej celi, za to, co zrobiła. Z tego, co dowiedziałam się od Joanie, Lizzy zażywa narkotyki już od ostatniego roku nauki w szkole. - Kate zacisnęła pięści. - Ona mnie jeszcze popamięta. Co za głupie, głupie dziewczuszko!

Kompletnie oszołomiony Dan wyszedł z pokoju.

Lizy i narkotyki? Jego Lizy? Usiadł na schodach i dopiero wtedy cała potworność tej wiadomości zaczęła się sączyć do jego umysłu. Kilka chwil później ucichł szloch Kate. Evelyn wyszła z pokoju Lizy i minęła Dana, zmierzając do kuchni, żeby zaparzyć kawę dla córki. Tymczasem Kate kontynuowała przeszukiwanie. Dan wszedł do pokoju akurat w chwili, gdy Kate znalazła pigułki antykoncepcyjne Lizy.

– To wszystko przez ciebie, Kate. Kiedy Lizy cię potrzebowała, nigdy cię przy niej nie było. Powinnaś się była bardziej poświęcić wychowaniu córki..

Banalne słowa Dana były akurat tym, czego Kate potrzebowała, żeby się natychmiast uspokoić. Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy. Kiedy się odezwała, jej głos był śmiertelnie spokojny.

– I ty, Danny Burrows, ośmielasz się mówić mi, co powinnam była robić? Ty ośmielasz się mówić, jak powinnam była wychowywać moje dziecko? - Uderzyła się dłonią w piersi. - Tak, moje dziecko. Ono nigdy nie było twoje, Dan. To cię nigdy nie było przy Lizy. Moja matka i ja ją wychowywałyśmy, a jeżeli teraz tak nisko upadła, to wyłącznie z własnej winy. Jeśli chodzi o tę dziewczynę, nie mam sobie absolutnie nic do zarzucenia. Słyszysz? Nic!

Kate jednak doskonale wiedziała, że niezależnie od tego, ile razy wypowie te słowa, zawsze będzie winiła siebie za tragedię córki. Zawsze.

Zacząła wyciągać z szafy ubrania Lizy, systematycznie sprawdzając zawartość wszystkich kieszeni.

– Spójrz tylko na siebie, zachowujesz się, jakbyś przebywała w domu

podejrzanego, a nie w sypialni własnej córki. Nawet nie próbowałaś wysłuchać, co ona ma do powiedzenia. - W głosie Dana brzmiał niesmak i rozgoryczenie. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Kate wyszła za nim aż na półpiętro i krzyknęła:

- Znalazł mi się nauczyciel! Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się stąd! Mam już dość pasożytów. Ona jest taka jak ty, Dan, i na tym polega kłopot. Wygląda jak aniołek, a tymczasem jest zwykłą zdzirą...

Usłyszała, jak Dan trzaska frontowymi drzwiami, i wróciła do pokoju córki. Tapeta z Misiem Paddingtonem, którą były oklejone ściany w tym pokoju od wielu lat, teraz sobie z niej drwiła. Na półce nad łóżkiem siedziały lalki Lizzy z dzieciństwa. Wziąwszy do ręki jedną z nich, o imieniu „Łezka”, Kate przytuliła ją do siebie, przykładając plastikową główkę do swojej twarzy.

Och, Lizzy, Lizzy, kiedy zaczęło się dziać z tobą źle? Jak mogłam tego nie zauważyć?

Ułożywszy lalkę na kolanach, sprawnie oderwała jej nóżkę. Kate doskonale wiedziała, gdzie należy szukać narkotyków. W końcu na tym poległ jej zawód.

Patrick otworzył drzwi osobiście i uśmiechnął się z zachwytem, kiedy w progu ujrzał

Kate.

- Witaj, kochanie. Wejdz do środka.

Weszła do holu.

Wprowadziwszy ją do salonu, Patrick zasępił się. Raczej nie wyglądała na szczęśliwą kobietę. Dopiero kiedy usiadła na kanapie z kieliszkiem brandy w ręce, odezwał się do niej:

- O co chodzi, Kate? Wyglądasz strasznie. Czy to ma związek ze sprawą, którą prowadzisz?

Upiła łyk alkoholu.

- Nie. Nie ma z nią absolutnie nic wspólnego - odpowiedziała.

A potem słowa popłynęły już same. Patrick siedział obok niej, nie mogąc uwierzyć, że to, o czym Kate mu opowiada, jest prawdą. Kiedy skończyła, ciężko westchnął.

- Wygląda na to, że twoja córka potrzebuje dobrego kopniaka w tyłek, o ile mi wybaczysz wyrażenie.

- Przepraszam, że przyszedłam tu z moimi kłopotami, ale właściwie nie wiedziałam, kogo mogę się poradzić.

Patrick uścisnął jej rękę.

- Posłuchaj, Kate, kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, jestem do twojej dyspozycji. Dobrze?

Mówił to bardzo poważnie, z naciskiem. Widząc Kate w takim stanie, czuł się jej jeszcze bliższy. Uświadomił sobie, że miewała takie same kłopoty, zmartwienia i nadzieje jak on. Dzięki temu była bardziej zwyczajną kobietą, a mniej policjantką.

Kate przesunęła dłonią po swoich długich włosach i pociągnęła nosem.

– Chodzi też o to, jak Lizzy zachowała się, kiedy weszłam do jej celi. Potraktowała mnie, jakbym co najmniej była jej wrogiem.

– Bo w tym momencie, kochana Kate, jesteś jej wrogiem. Prawdopodobnie bardzo się ciebie wstydzi.

– Wiem, co masz na myśli, a jednak, widzisz, ona naćpała się prawie do nieprzytomności. Zgarnięto ją z domu pełnego dzikich lokatorów razem z dobrze nam znanymi narkomanami. Chłopak, który ją tam przyprowadził, ma na imię Joey. Ma zaledwie osiemnaście lat, a kartotekę w policji długą jak moje ramię. Próbowałam wmawiać sobie, że to przypadek, że chłopak zaciągnął tam Lizzy, a potem... Chyba znasz ten scenariusz. Ale nic z tego, porozmawiałam z jej najlepszą przyjaciółką i nagle zdałam sobie sprawę, że moja córka jest po prostu małą zdzirą.

Patrick zdecydowanie uderzył ją dłonią w kolano.

– Hej, hej, Katie, nie zapędzaj się, przecież mówisz o własnym dziecku. Ja sam nie wypominałbym mojej Mandy, gdyby przytrafiło się jej coś podobnego, byleby tylko do mnie wróciła. Jesteś zbyt surowa. Przecież ta dziewczynka ma dopiero szesnaście lat. Boże Wszechmogący, czy w wieku szesnastu lat nigdy nie popełniłaś żadnego głupstwa? Przed dzisiejszymi dziećmiakami rozpościera się morze pokus. Narkotyki są obecnie częścią ich codzienności. Dlatego zbierają się na tych swoich balangach. My byliśmy przecież takimi samymi jak oni szesnastolatkami i siedemnastolatkami, ale my, jako pokolenie, chcieliśmy zmieniać świat. Pamiętasz sierżanta Pieprza i całą tę narkotyczną muzykę? W tej chwili, Kate, powinnaś zbudować jakiś most, który połączy cię z Lizzy. Spróbuj z nią porozmawiać, kiedy dojdziecie do równowagi i będziecie w stanie rozmawiać bez emocji.

Kate popatrzyła mu w oczy. To, co mówił, pod pewnymi względami miało sens. Jednak wiedziała, że nigdy, przenigdy, nie wybaczy Lizzy zakłamania. Była przekonana, że ma dobrą i grzeczną córkę, i co się okazało? Chociażby to, że owo grzeczne dziecko zażywa narkotyki. Czuli się tak, jak czułaby się kobieta, której siostra-bliźniaczka okazała się morderczynią. To było niewiarygodne. Aż do tej pory wprost nie chciało się jej wierzyć, że widziała własną córkę leżącą w więziennej celi, zaćpaną, nie wiedzącą, co się dookoła niej dzieje. To tak, jakby ktoś wbił jej nóż w żołądek i mocno nim pokręcił.

Kelly patrzył, jak Kate zmienia się na twarzy. Odgadł, że intensywnie

myśli.

– Czuję, że zawiodłam Lizzy, Pat. Strasznie ją zawiodłam. Ponad wszystko postawiłam moją pracę. Mogłam zwyczajnie i spokojnie pracować od dziewiątej do piątej, ale nigdy tego nie chciałam. Postanowiłam robić karierę, zostać policjantką. Przypuszczam, że szczególnie tobie trudno jest w coś takiego uwierzyć.

Patrick wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, Katie, twoja praca to twoja sprawa. Przyznam, że dopóki cię nie poznałem, niewiele mnie obchodziło, co gra w duszy policjantów. I nie lubiłem policji. Ale to już historia. Obecnie nie robię niczego nielegalnego.

– Mimo wszystko, Pat, moje spotkania z tobą mają taki sam status jak przygoda Lizzy z narkotykami. Obie zapragnęłyśmy tego, do czego nie powinnyśmy się nawet zbliżyć.

Patrick popatrzył jej prosto w oczy. Wyraz jego twarzy był bardzo łagodny.

– Narkotyki niszczą ludzi, Kate. A ja nikogo nie niszczę. Nie chcę, żebyś tak myślała. Nigdy w życiu nie skrzywdziłem celowo żadnej kobiety. Jeśli uważasz, że kompromitujesz się, bywając w moim towarzystwie, oboje powinniśmy powiedzieć sobie „do widzenia” już teraz, bo później będzie to o wiele trudniejsze.

Kate nie uciekła od jego wzroku. Oferował jej wyjście z niezręcznej sytuacji i jako policjantka musiała go za to szanować. Lecz wyłącznie kobieca część jej świadomości zdecydowanie odpychała perspektywę zakończenia tej krótkiej, lecz gorącej znajomości.

– Będę jednak za tobą tęsknił, Kate. Dzięki tobie nie postradałem zmysłów po śmierci Mandy. Bardzo mi na tobie zależy. Powiem więcej, zakochałem się w tobie. Ale to, co przed chwilą powiedziałaś, zabrzmiało jak dzwonek ostrzegawczy. Na swoją obronę mogę powiedzieć jedynie tyle, że w tej chwili nie ma w moim życiu niczego, co powinienem przed tobą ukrywać. Jako policjantką.

– A co z przyszłością?

Patrick uśmiechnął się.

– A któż może wiedzieć, co szykuje dla nas przyszłość?

Kate odwróciła od niego głowę i skoncentrowała wzrok na mosiężnym zegarze stojącym nad kominkiem. Jego tykanie było w tej chwili jedynym dźwiękiem rozlegającym się w pokoju. Zacisnęła usta. Tak wiele wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jej życie zmieniło się i nie będzie już takie jak przedtem. Zmieniają się jej relacje z Lizzy. Jedyna osoba, którą Kate uważała za zawsze dobrą, miłą i godną zaufania, pokazała się w jak najgorszym świetle. Przeraziło ją to. Jak można tak bardzo mylić się co do własnego dziecka? Z drugiej strony,

mężczyzna, z którym obawiała się spotykać, mężczyzna o jak najgorszej reputacji, z którym przenigdy nie powinna była się związać, okazał się pod wierzchnią warstwą złoczyńcy i opryszka bardzo dobrym człowiekiem. Był dobrym i miłym mężczyzną, a jego złą reputację roznosili po świecie tylko tacy ludzie, którzy nigdy naprawdę go nie poznali.

– Nie chcę zrywać znajomości z tobą, Kate.

Jego głos był łagodny i cichy.

– Ja także nie chcę przestać cię widywać, Pat.

Nie była pewna, czy potrafiłaby przerwać tę znajomość, nawet gdyby bardzo chciała.

– Kiedy ona wróci do domu?

– Jutro. Jako policjantka, sam rozumiesz, mogłam ją zabrać już dzisiaj, ale nie byłam w stanie sobie zaufać, Pat. Mogłabym jej zrobić jakąś krzywdę.

– Dlaczego przyszedł do mnie? - zapytał niskim szeptem.

– Chyba dlatego, że ci ufam.

Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

– Chodź.

– Niby dokąd?

– Przygotuję ci miłą kąpiel, Katie, osobiście namydlę ci całe ciało, każdy zakamarek. A potem położę cię do łóżka i usunę z ciebie każdą troskę i zmartwienie. I kiedy młoda dama wróci jutro z aresztu do domu, będziesz tak dobrze się czuła, że doskonale dasz sobie radę z tą trudną sytuacją.

Poprowadził Kate do schodów, jednak tam wyrwała się z jego objęć.

– Pat, sama nie wiem, co mam robić. W końcu ścigam seryjnego mordercę, teraz ta sprawa z Lizzy... - Jej głos załamał się i Patrick jeszcze raz ujął jej dłoń.

– Po prostu pamiętaj, że teraz masz mnie, Kate, i będziesz mnie miała tak długo, jak tylko będziesz chciała. Jestem do twojej wyłącznej dyspozycji, kiedykolwiek będziesz kogoś potrzebowała.

Było to takie szczere i proste, że Kate już bez żadnego oporu ruszyła za nim po schodach. Po raz pierwszy od wielu lat miała przy sobie kogoś, na kim mogła polegać. Było to oszałamiające uczucie.

– Po kąpieli pogadamy sobie jak starzy, dobrzy znajomi. Tego teraz naprawdę potrzebujesz. Rozmowy z kimś, kto nie przebywa zbyt blisko twoich problemów.

Kate szła za nim. Wychodząc z domu, widziała, że Dan się pakuje, a matka była zamknięta w swoim pokoju. Czowała wtedy, że nie potrafi pozostać w tym domu ani chwili dłużej. W pokoju córki znalazła nie tylko marihuanę, ale także amfetaminę. To, co powiedział

Patrick, miało sens. Rzeczywiście potrzebowała teraz kogoś, przed kim mogłaby się wyżyć.

Niewiele później, po kąpielach, kiedy Patrick już cicho chrapał na łóżku obok niej, zdała sobie sprawę z nieodwołalnych skutków swojej dzisiejszej wizyty u niego. Była w tym mężczyźnie beznadziejnie zakochana. I czuła się z tym dobrze. Bardzo dobrze.

Wyobraziła sobie Lizzy, kiedy była małym dzieckiem. Miała białe skarpetki i nowiutkie sandały na drobnych nóżkach. Doskonale na niej leżała dziecięca sukienka. Długie ciemne włosy lśniły. To był jej pierwszy dzień w szkole. Kate była z niej taka dumna... Co sprawiło, że zaczęła zażywać narkotyki? Kiedy urosła aż tak bardzo, że zaczęła się od niej oddalać?

Poczuła, jak po jej twarzy spływają ciężkie łzy cierpiącej matki, i szybko je starła. Nie było sensu płakać. Patrick miał rację, musi zacząć budować most, który jej i córce przyniesie porozumienie. Musi zrobić wszystko, żeby zło, które się wydarzyło, zamienić w dobro.

Patrick poruszył się i jego dłoń znalazła się na jej brzuchu. Czuła się przy nim tak dobrze, bezpiecznie.

Pocałowała ciemną głowę leżącą obok niej i usiadła. Nie pora na sen, powinna starannie przemyśleć i zaplanować przyszłość. Jej początkowy szok i wściekłość powoli ustępowały. Teraz nie miała innego wyjścia, jak ułożyć plan działania. Musi dla tego zadania zachować całą energię, jaka jej pozostała.

Gdzieś, w jakimś nieznanym momencie, przeoczyła ważny moment w życiu Lizzy. I od niej tylko zależało, czy naprawi ten błąd.

Znów położyła się i przytuliła do Patricka. Zamknęła oczy i pozwoliła, by miłe wspomnienia krążyły bezładnie pod jej opuszczonymi powiekami.

W swoich rozmyślaniach nad przyszłością zapomniała zastanowić się, jak Lizzy zareaguje na to, co się dzisiaj wydarzyło.

Był to błąd, którego miała wkrótce pożałować.

Podpisując się na zwolnieniu córki z aresztu, Kate niemal fizycznie czuła świdrujące spojrzenie sierżanta dyżurnego utkwione w jej głowie. Z ciężkim sercem ruszyła do celi. Aresztowanie Lizzy było tematem dnia w całym komisariacie, doskonale o tym wiedziała. Po drodze minęła Amandę Dawkins, która uśmiechnęła się do niej życzliwie. Kate odwróciła głowę. Kiedy otworzono przed nią celę, wstrzymała oddech. Lizzy siedziała ze skrzyżowanymi nogami na materacu rzuconym na podłogę. Makijaż miała rozmazany na całej twarzy i włosy w nieładzie. Ujrzawszy matkę, popatrzyła jej buntowniczo w oczy.

- A więc wreszcie przyszłaś.

Kate z trudem przełknęła ślinę.

– Wstawaj, Lizzy.

Dziewczyna ociężale powstała z materaca i stanęła w agresywnej pozycji, z jedną ręką opartą o biodro. Dyżurny aresztu potrząsnął głową z niedowierzaniem. Gdyby była jego córką, trzasnąłby ją w tej chwili tak mocno, że zapamiętałaby ten moment na całe życie i na całe życie odechciałoby się jej buntów.

– Zabieraj swoje rzeczy, idziemy do domu. - Głos Kate był cichy, pełen przygnębienia. Popatrzyła na dyżurnego, funkcjonariusza o nazwisku Higgins. Miał prawie pięćdziesiąt lat i Kate dostrzegła w jego oczach współczucie. - Czy ona coś jadła?

– Zupełnie nic. Podaliśmy jej jednak sok pomarańczowy. To im zawsze trochę pomaga, sama pani rozumie, witamina C i tak dalej.

– Tak, wiem. No, chodźmy stąd.

– Chcę, żeby tata mnie stąd zabrał. - Powiedziane to zostało przez zaciśnięte zęby.

– Nie może po ciebie przyjść, więc zabierzesz się ze mną. Dalej, Liz, nie mam nastroju do wygłupów.

Lizy zaśmiała się szyderczo i znów usiadła.

– Ja jednak wolę poczekać na tatę, dobrze?

– Wrócisz teraz do domu, i to ze mną, Lizzy.

Lizy uśmiechnęła się w sposób bardzo irytujący.

– Pójdę stąd, dokąd będę chciała, mam. Mam już dosyć ciebie i babci, i waszych wiecznych pouczeń, co mam robić, co powinnam robić...

Kate poczuła, że czerwieni się na twarzy. Desperacko starała się panować nad swym głosem.

– Porozmawiamy o tym w domu, Lizzy. Teraz nie jest ani czas na to, ani właściwe miejsce.

– Naprawdę? Zabawne, że spędzasz tutaj mnóstwo czasu. Wydawało mi się, że to miejsce ci pasuje bardziej niż jakiegokolwiek inne.

– Mówię po raz ostatni, Liz, wstań i wracajmy do domu. Porozmawiamy o tym, co się stało, spróbujemy wyciągnąć z tego właściwe wnioski.

Lizy roześmiała się głośno, najwyraźniej rozbawiona.

– To ci odpowiada, prawda? Przeanalizujemy wszystko, znajdziemy we wszystkim ukryte znaczenie. Och, pieprz się, mam. Brzmisz jak zdarta płyta.

Przez zaciśnięte zęby Kate odezwała się do dyżurnego:

– Mógłby pan nas na chwilę zostawić same? Bardzo proszę.

Policjant był tak zakłopotany, że od dłuższego czasu zdawał się czytać

graffiti na ścianie więziennej celi. Szybko wyszedł na korytarz, zatrzasnął za sobą drzwi. Bardzo lubił Kate Burrows. Była miłą kobietą i dobrym detektywem. Z trudem panował nad sobą, widząc, jak poniża ją jej własna córka.

Matka i córka mierzyły się wzrokiem. Kate doskonale zdawała sobie sprawę z wojny nerwów rozgrywającej się pomiędzy nimi. Z niewiadomego powodu Lizzy się ta wojna podobała. Nie okazywała ani skruchy, ani wstydu, ani żadnego innego uczucia, jakiego można by się po niej w takiej chwili spodziewać. Gdzie się podziała grzeczna córka swojej matki, zaledwie sprzed dwóch dni? Gdzie się podziała dziewczyna o miłym uśmiechu i uroczej buzi? Zamiast niej Kate miała przed sobą obcą osobę o twarzy i ciele swojej córki. Ciele doskonale wykorzystywanym, jak wynikało z dziennika, który znalazła Kate.

– O co ci właściwie chodzi, Lizzy. Proszę, powiedz mi.

Lizzy wstała i podeszła do ściany, byle jak najdalej od matki. Włosy opadły jej na oczy i odgarnęła je niecierpliwym ruchem.

– Chcę, żeby tu przyszedł tato.

– Na razie ja tu jestem, a nie on. I jeśli zajdzie potrzeba, Lizzy, wyciągnę cię stąd siłą.

Dziewczyna znów roześmiała się głośno.

– Chciałabym zobaczyć, jak tego próbujesz.

Zostało to wypowiedziane z taką pogardą, że Kate poczuła, jak coś w niej pęka. Zrobiła kilka kroków do przodu i, złapawszy córkę za włosy, pociągnęła ją w kierunku drzwi celi. Ale Lizzy nie zamierzała się poddawać. Ścisnęła dłoń w pięść i z całej siły uderzyła matkę w ramię. Kate boleśnie odczuła ten cios, dlatego, na dobre już zdenerwowana, odwróciła ku sobie twarz córki i zdzieliła ją otwartą dłonią w policzek. Lizzy natychmiast oderwała się od niej i upadła pod ścianą.

Obie ciężko oddychały.

– Wstawaj, Lizzy, zanim naprawdę wyjdę z siebie! Wstawaj, powiedziałam! - Ostatnie zdanie odbiło się w celi z wielokrotnionym echem.

Kate podeszła do niej i Lizzy z trudem podniosła się na nogi.

– Idziesz teraz ze mną do domu. A jeśli po drodze choć raz się odezwiesz, natychmiast tego pożałujesz.

Niemal histeryczny ton głosu matki podpowiedział Lizzy, że tym razem nie ma żartów. Kate złapała ją pod ramię i doprowadziła pod drzwi celi. Dwukrotnie uderzyła w nie wolną ręką i Higgins natychmiast otworzył. Następnie obie przemaszerowały korytarzem, przed biurkiem dyżurnego sierżanta, i wyszły na parking. Kate niemal wrzuciła Lizzy do samochodu. Po chwili usiadła na miejscu kierowcy i włączyła silnik.

– Lepiej dobrze się zastanów, zanim zaczniesz odpowiadać na moje

pytania, Lizzy, ponieważ będę chciała dokładnie się dowiedzieć, co się z tobą dzieje. I, uwierz mi, będę cholernie dociekliwa.

Wypowiedziawszy te słowa, Kate ruszyła w kierunku domu. Przez całą drogę ani matka, ani córka nie wypowiedziały już ani słowa.

Evelyn bardzo chciała posprzątać pokój Lizzy, ale Kate zabroniła jej cokolwiek w nim ruszać. Dlatego po prostu siedziała na łóżku, oglądając otaczający ją chaos. Fotografie Lizzy, wykonane, kiedy jeszcze była dzieckiem, walały się dosłownie wszędzie. Potrząsnęła głową. Gdyby jeszcze wczoraj ktokolwiek jej powiedział, że wnuczka zagustuje w narkotykach, roześmiałyby się temu komuś prosto w twarz.

– Nie moja Lizzy - powiedziałyby.

Teraz jednak prawda docierała do niej z coraz większą mocą, raniąc jej serce. Ta śliczna dziewczyna rujnowała sobie życie, niszczyła rodzinę, i to z jakiego powodu? Głupich narkotyków!

Z tego, co Kate jej powiedziała, Evelyn zrozumiała, że Lizzy zażywała amfetaminę już od kilku lat. Potrząsnęła głową. Wstała z łóżka i znów rozejrzała się po tak dobrze znanym sobie pokoju. Ile razy przychodziła tutaj ukołysać małą Lizzy do snu? Ile razy całowała jej słodziutką buźkę? Szczotkowała jej długie włosy, aż lśniły?

Podeszła do okna, ale zaraz odwróciła oczy, oślepione blaskiem popołudniowego słońca. Właśnie wtedy dostrzegła pamiętnik dziewczyny, z ptaszkami i kwiatkami wymalowanymi na jasnozielonej jedwabnej okładce. Nie zastanawiając się, co robi, otworzyła pamiętnik, właściwie dziennik, i zaczęła czytać.

Kiedy Kate i Lizzy wróciły, wciąż czytała. Kate musiała siłą wyszarpnąć dziewczynę z samochodu i właściwie zaciągnęła ją do domu ogrodową ścieżką. Otworzywszy drzwi, wepchnęła córkę do środka.

Lizzy weszła do salonu, a potem do kuchni, gdzie zaczęła parzyć sobie kawę, tak jakby w ogóle nic się nie stało. Kate ściągnęła płaszcz i przełożyła go przez poręcz na schodach. Dopiero wtedy ruszyła za córką do kuchni.

– No, dobrze. Chcę dokładnie wiedzieć, co się stało. Chcę się dowiedzieć, skąd masz narkotyki, od kogo i w jakim towarzystwie je bierzesz.

Lizzy naląła mleko do filiżanki.

– Mamo, to nie twoja sprawa.

Kate zmierzwiła palcami włosy.

– Nie mam czasu, żeby się z tobą sprzeczać przez cały dzień, Lizzy, naprawdę. Chcę usłyszeć odpowiedzi na moje pytania, i to natychmiast.

Lizzy stanęła przed matką i złożyła ręce na piersiach.

– Nic innego nie potrafisz? „Chcę usłyszeć odpowiedzi na moje pytanie, i to natychmiast”. Do cholery, kim ja jestem? Twoją córką czy jednym z twoich pieprzonych podejrzanych?

– Młoda damo, w tej chwili jesteś dla mnie i tym, i tym. Złapano cię w domu znanego dealera, w jakiej więc pozycji cię to stawia, jak myślisz? Znalazłam narkotyki w twojej sypialni. Znalazłam także twój dziennik. Zatem nie mogę w tej chwili przypuszczać, że mam do czynienia z Królową Śnieżką nie sądzisz?

Lizzy odwróciła się od niej i przelała zagotowaną wodę z czajnika do dzbanka.

– Nie chcę teraz tego słuchać, mam. Miałam straszną noc. Może później odzyskam siły na tę rozmowę.

Kate w zdumieniu patrzyła, jak Lizzy miesza łyżeczką kawę. Długie palce zaciskała tak mocno, że aż pobielaly jej knykcie. Obserwując kobietą figurę córki, ubranej w luźną koszulkę i w dżinsy, zauważyła, że dziewczyna nie nosi biustonosza. Koszulka była poplamiona i pognieciona. Włosy Lizzy były rozczochrane i brudne, a ona spokojnie robiła sobie kawę. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Kate zaczęła zachodzić w głowę, co też, do diabła, stało się z jej dzieckiem?

Evelyn przez długi czas nasłuchiwała, co się dzieje w kuchni. Teraz weszła do środka i rzuciła na stół dziennik wnuczki.

– Elizabeth Burrows, widziałam w życiu wiele rzeczy, ale nie spodziewałam się, że zobaczę jeszcze coś takiego. Aż mnie mdliło, kiedy czytałam te świństwa. - Głos Evelyn był twardy i zimny.

Lizzy wzięła dziennik do ręki i popatrzyła na babcię.

– Nie powinnaś była tego czytać, babuniu - powiedziała cicho. Babcia była dla niej ważną osobą.

– Nie nazywaj mnie babunią! Nigdy więcej tak do mnie nie mów! Że też ośmieliłaś się wyczyniać te wszystkie bezceństwa, a potem jeszcze o tym pisać! To wstrętne!

– Takie właśnie jest życie, czyżbyś o tym nie pamiętała? Też przecież kiedyś byłaś młoda. - Lizzy poczuła, że mówi coraz głośniej. Z ogromnym trudem, ale zapanowała nad sobą. - Moje życie należy do mnie, mam prawie siedemnaście lat. Chcę sypiać z chłopakami, którzy mi się podobają, i to jest tylko moja sprawa. Moja. Ani twoja, ani mamy, ani niczyja.

Moja!

Evelyn posłała jej pogardliwe spojrzenie.

– I tylko tym się teraz interesujesz? Wiesz, to zabawne, ale przez te wszystkie lata pamiętam, jak często mówiłaś: ja, moja, moje. Ja chcę, ja uważam, ja i ja i ciągle ja. Nigdy głębiej nie zastanowiłaś się nad

uczuciami innych ludzi. Obie z twoją matką starałyśmy się, żeby ci było jak najlepiej, wprost zgadywałyśmy twoje życzenia, zanim je wypowiedziałaś. Nigdy nie myślałyśmy o sobie. A ty okazałaś się po prostu płytką intrygantką i ladaczną.

– Mamo!

– Daj spokój z tą „mamą”, Kate. Jej pamiętnik mówi o niej wszystko. Moja miłość cię dusiła, co, Lizzy? Kiedy cię do siebie przytulałam, to cię denerwowało. Ale już się nie martw, Lizzy, nie dotknę cię do końca życia!

Wypowiedziawszy te słowa, Evelyn wyszła, przygarbiona, z kuchni.

Lizzy ukryła twarz w dłoniach.

– Czy to musiało się stać? Dlaczego pozwoliłaś jej to przeczytać? - Kate usłyszała rozpacz w głosie córki.

– Moim zdaniem, Lizzy, musisz najpierw sama siebie zapytać, dlaczego to wszystko napisałaś. To jest w tej chwili ważne, a nie to, co o tym myślimy.

Po twarzy Lizzy potoczyły się łzy. Instynkt macierzyński podpowiadał Kate, że powinna ją teraz przytulić i uspokoić. Jednak powstrzymywało ją wspomnienie tego, co przeczytała w dzienniku. Powstrzymywała ją wyobraźnia, na przykład obraz własnej córki kochającej się jednocześnie z dwoma chłopakami na skrzyni ładunkowej furgonetki. Lektura tych zapisków utworzyła szeroką przepaść, która, Kate doskonale zdawała sobie z tego sprawę, już na zawsze pozostanie pomiędzy nią a Lizzy.

– Dlaczego po prostu nie pozwolicie mi żyć tak, jak ja tego chcę?

– Ponieważ znajdujesz się na najprostszej drodze ku samodestrukcji, oto dlaczego, Lizzy.

– Wcale nie myślę tak, jak napisałam o tobie i babci w pamiętniku. Byłam wtedy zdołowana i samo jakoś tak wyszło spod pióra. Kocham babcię, zawsze ją kochałam.

Kate usiadła naprzeciwko niej i westchnęła.

– Nie to, co napisałaś, boli nas najbardziej, Lizzy. Chodzi o to, że przez długi czas żyłaś w kłamstwie.

– Musiałam kłamać! Gdybyś wiedziała, co robię, poruszyłabyś niebo i ziemię, żeby mnie powstrzymać. To moje życie, mamo, moje własne życie!

Kate zapaliła papierosa. Lizzy sięgnęła nad stołem i poczęstowała się z paczki matki.

– Tak, palę również papierosy. Skoro wiesz już o mnie tyle, możesz także dowiedzieć się i o tym.

Kate podała jej pudełko z zapalkami. Na moment ich dłonie zetknęły się. Dotyk ciepłej skóry córki podziałał na Kate jak wyładowanie

elektryczne.

Patrzyła, jak Lizzy zapala papierosa. Jej palce były brudne, a lakier na paznokciach popękany. Wargi miała spękane i suche. Wyglądała, jak dziewczyna, która przez całą noc ćpała. Wyglądała też bardzo młodo i na bardzo niepewną siebie, ale Kate wiedziała, że to pozory. W pracy miała już niejednokrotnie do czynienia z takimi dziewczynami. „Picerki”, tak je nazywała na własny użytek. Małe picerki charakteryzowały się zbyt obfitym makijażem i były zbyt wyszczerkane. W tej chwili, dzięki córce, dowiadywała się jeszcze więcej o tego typu dziewczynach. Jej córka zaczęła sypiać z chłopcami i mężczyznami, odkąd skończyła czternaście lat. Kate nie mogła nawet pocieszyć się, że chodziło jedynie o chłopaka, którego Lizzy kochała i z którym była od dawna, przez co seks stawał się naturalnym rozwinięciem wzajemnych relacji. Z tego, co przeczytała w dzienniku córki, Lizzy odpowiadał każdy chłopak o sympatycznej buzi czy chociażby ubrany w modne ciuchy. Zacisnęła powieki.

– Gdzie jest tato?

– Odszedł, Lizzy. Nie wiem dokąd.

– Jasne. Nigdy się nim nie interesowałam.

– Posłuchaj! Pozwoliłam mu tu mieszkać tylko ze względu na ciebie. Gdyby chodziło o mnie, już dawno wywaliłabym go na ulicę. Pokazywał się w moim domu, wyłącznie kiedy mu to pasowało. Uważałam jednak, że potrzebujesz ojca, chociażby kiepskiego ojca. Ojciec, który cię kochał, był lepszy niż żaden.

Lizzy roześmiała się cicho.

– Nigdy nie miałam ojca. Matki nie miałam także, nieprawdaż?

Kate głęboko zaciągnęła się papierosem i westchnęła.

Do cholery, co się działo z jej życiem?

Evelyn leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Szok po tym, co przeczytała, powoli ustępował. Złość zastępowało współczucie. Współczucie wobec córki. Nie wnuczki, ale właśnie Kate. Ciężko walczyła w życiu z najróżniejszymi przeciwnościami, żeby dać swojej dziewczynce wszystko, czego tylko pragnęła. Evelyn obserwowała Kate przez lata, dostrzegała przecież, że ta właściwie rezygnowała z własnego życia, poświęcając je wyłącznie dla Lizzy. I po co?

Musiała przyznać przed sobą, że i ona była winna, przynajmniej częściowo.

Przyczyniła się do tego, że z Lizzy wyrosła samolubna, egoistyczna pannica. Ale czy mogła postępować inaczej? Zresztą, kto by pomyślał, że z inteligentnej, wrażliwej dziewczynki wyrośnie coś takiego? Że mała, kochana Lizzy, która z taką radością siadała na kolanach babci, bawiła

się z nią i śmiała do rozpuku, okaże się puszczałką, oddającą się każdemu chłopakowi, który tylko tego zechce? Czyżby naprawdę nie dość mocno starała się wpoić jej obowiązujące zasady moralne? Nie po raz pierwszy zatęskniła za zmarłym mężem. Już on by wiedział, co teraz robić. Otarła dłonią zażawione oczy.

Lizzy nigdy nie zaznała ojcowskiej miłości, prawdziwej miłości prawdziwego ojca. Przecież Kate tak często siadywała w holu albo na schodach i cierpliwie czekała, aż usłyszy na ścieżce prowadzącej do drzwi ciężkie buty ojca powracającego z pracy. A kiedy otwierał drzwi, natychmiast rzucała mu się w ramiona. Kate знаła bezpieczeństwo i radość szczerą miłości, i jako dziecko, i jako dorosła kobieta. Dopiero pojawienie się Dana bardzo ją zmieniło. Kiedy zostawił ją z małym dzieckiem, zamknęła się w sobie. Och, kochała Lizzy z całego serca, Evelyn dobrze o tym wiedziała, ale równocześnie mnóstwo energii spożytkowała na pracę zawodową. Dopiero teraz Evelyn zaczęła zastanawiać się, czy było to dla niej najlepsze rozwiązanie. Gdyby Kate wyszła za mąż ponownie i dała Lizzy namiastkę ojca...

Mimowolnie potrząsnęła głową. „Co ma ktoś we krwi, to zawsze wyjdzie na jaw”. Jak wiele razy powtarzała to różnym ludziom? Lizzy była taka sama jak jej ojciec. Wykorzystywała ludzi dla własnych celów. Dan był identyczny. I nic się nie zmieniał. Kiedy pojawiały się kłopoty, pakował torbę i znikał. Twierdził, że nie potrafi zmagać się z przykrymi sytuacjami. Dokładnie tak mówił. A przecież to on sam powodował przykre sytuacje; szkoda, że nigdy się do tego nie przyznał.

Usłyszała, jak drzwi do pokoju otwierają się, i osłoniła ręką oczy, by ochronić je przed blaskiem, który wtargnął do środka.

– Przyniosłam ci kawę, mamó.

Kate postawiła filiżankę na stoliczku przy łóżku.

– Jak się czujesz?

Evelyn zamknęła oczy. Kiedy Kate usiadła obok niej, poczuła, jak napinają się sprężyny łóżka. Kobiety uściśniły sobie ręce.

– Prawdę mówiąc, sama nie wiem, jak się czuję. Powoli opuszcza mnie już pierwszy szok i staram się szukać dla niej jakichś usprawiedliwień.

Usłyszała, jak Kate westchnęła.

– Rozumiem cię.

– Och, Katie, że też nadszedł dzień... - Głos Evelyn załamał się.

– Wiem, mamó. Uwierz mi, wiem, co czujesz. Dla mnie najgorsze jest to, że absolutnie niczego nie podejrzewałam. Ja, policjantka, detektyw inspektor, nie potrafiłam zauważyć tego, co działo się na moich oczach.

– To dlatego, że jej ufałaś.

W głosie Evelyn brzmiał tak wielki ból, że Kate znów poczuła

wściekłość. Wściekłość na własną córkę, nie za to, co zrobiła, ale za zawód i ból, jaki sprawiła swojej babci. Evelyn wychowała się w innej epoce niż wnuczka. Wyszła za mąż jako dziewica i przez całe małżeństwo pozostała wierna mężowi. Nawet kiedy młodo owdowiała, nie zbliżyła się już do żadnego mężczyzny. Kate zazdrościła matce prostego, czystego życia. Teraz Lizzy odebrała babci wszystkie ideały, które ta uważała za najcenniejsze, i wyrzuciła je w błoto.

Kate bardzo trudno będzie jej to wybaczyć.

Dwie zrozpaczone kobiety siedziały obok siebie w całkowitej ciszy. Nie trwało to długo, ponieważ zadzwonił telefon.

Kate wyszła do holu, żeby podnieść słuchawkę. Po chwili wróciła do matki

– Frederick Flowers mnie wzywa. Nie mam wątpliwości, w jakiej sprawie. – Jej głos drżał.

Szef był dla niej całkiem miły. Zapytał, co się stało, a Kate opowiedziała mu o wszystkim tak szczerze, jak tylko potrafiła. Z oskarżenia o posiadanie narkotyków zrezygnowano, ponieważ jej córka miała przy sobie niewielką ich ilość. Zbyt mało, żeby ją uznać za dealerkę, a jedynie tyle, że można było określić, iż jest to narkotyk przeznaczony „do osobistego użytku”.

Do domu wracała w otępieniu. Wiedziała, że to zdarzenie będzie nad nią wisiało jak ciemna chmura już do końca kariery zawodowej. Ale nie o to teraz chodziło. Problem zawarty był w pytaniu, dlaczego jej córka odczuła potrzebę sięgnięcia po narkotyki. Dlaczego przez tak długi czas okłamywała i oszukiwała matkę? Jakie myśli, do diabła, kłębiły się w umyśle dziecka?

Zatrzymała samochód na podjeździe i nie wysiadając z niego, w milczeniu wpatrywała się w swój dom. Był dopiero wczesny wieczór, a Kate odnosiła wrażenie, że przeżyła bardzo długą i bardzo trudną dobę. Dłonią w rękawiczce pomasaowała kark. Jutro będzie musiała pójść do pracy i spojrzeć w twarz kolegom. Gotowa była postawić każde pieniądze, że aresztowanie jej córki było głównym tematem rozmów w całym komisariacie.

Cicho jęknęła i wysiadła z samochodu. W domu było cicho. Kate weszła do kuchni i włączyła światło. Nastawiła wodę na kawę. Przygotowawszy trzy filiżanki napoju, poszła na górę, do pokoju matki. Odrobinę uchyliła drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Do jej uszu dotarł jedynie odgłos lekkiego pochrapywania. Cicho zamknęła drzwi, po czym przeszła do pokoju córki.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Lizzy leżała w łóżku, przykryta po samą głowę. Kate podeszła do niej na palcach i popatrzyła na nią. Jej długie, ciemne włosy rozrzucone były na całej poduszce. Lizzy była

naprawdę ładna. Dlaczego więc postanowiła wstąpić na drogę destrukcji? Przecież, o ile Kate było wiadomo, tak właśnie postępowali wszyscy ludzie, którzy zażywali narkotyki.

Poczuła, że do kącików oczu napływają jej łzy. Odwróciła głowę i rozejrzała się po tak dobrze sobie znanym małym pokoju. Patrzyła na lalki Lizzy, jej przybory do makijażu porzucane po toaletce, na książki byle jak poukładane na półkach. Niespodziewanie naszła ją ochota, żeby szybko tutaj posprzątać.

Nagle dostrzegła dużą białą kartkę. Podeszła kilka kroków w kierunku stolika i wzięła ją do ręki. Przeczytała poszczególne słowa, lecz w pierwszej chwili nie pojęła ich znaczenia. Jeszcze kilkakrotnie odczytała przesłanie od córki, zanim zaczęło do niej docierać coś niepokojącego.

„Przepraszam, mamusiu... Przepraszam, mamusiu. Powiedz babci, że ją kocham... Powiedz babci...”

Oderwała wzrok od kartki i popatrzyła na łóżko. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że twarz Lizzy jest śmiertelnie blada. Jednym szarpnięciem ściągnęła kołdrę z córki. Mimo półmroku panującego w pokoju, od razu spostrzegła krew. Jej umysł niemal automatycznie zarejestrował fakt, że krew ciągle sączy się z ran.

Z oparcia stojącego obok krzesła zerwała dwa ręczniki i natychmiast zaczęła ciasno owijać nimi oba przeguby Lizzy. Jej palce zrobiły się nagle sztywne, z trudem nad nimi panowała. Słyszała uderzenia własnego serca.

Wybiegła do swojej sypialni, żeby zatelefonować po pogotowie. Niemal natychmiast zauważyła krew na białym telefonie. To była krew Lizzy. Lizzy. Jakimś cudem spokojnie i chłodno odpowiedziała na wszystkie pytania dyżurnej pogotowia. Zapewne w tym momencie górę brała w niej policjantka.

Proszę, pośpieszcie się. Boże, proszę, pośpieszcie się. Nie była pewna, czy to są tylko jej myśli, czy też głośno wypowiada te słowa. Odłożyła słuchawkę i popędziła z powrotem do Lizzy.

O Boże, niech jej się nic nie stanie. Zrobię wszystko, co zechcesz, byleby tylko moja

córka to przeżyła. Już do końca życia będę codziennie chodziła na mszę świętą...

Jak wielu rodziców przed nią, próbowała zawrzeć z Bogiem układ, byleby tylko nie zabierał życia jej dziecku.

Wreszcie ogarniającą ją ciszę przeciął przenikliwy sygnał szybko zbliżającego się ambulansu.

Wybiegając z pokoju Lizzy, zobaczyła swoją matkę. Stała w progu z twarzą szarą jak popiół.

Kate nie była w stanie na nią spojrzeć. Zbiegła po schodach, żeby otworzyć drzwi załodze karetki.

Tego, czego doświadczyła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, jej dotychczasowe życie ani przez moment nie zapowiadało. Gdyby ktoś jej powiedział, że przytrafi się jej właśnie coś takiego, roześmiałyby się mu prosto w twarz.

Teraz, w samym środku najważniejszego śledztwa, jakie zdarzyło się jej prowadzić w karierze policyjnej, stawała przed problemami życiowymi o skali znacznie to śledztwo przewyższającej. Zdawała sobie sprawę, że jej życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem.

Kate siedziała w szpitalnej poczekalni. Uśmiechał się do niej młody lekarz. Na wychudłych policzkach miał co najmniej całodobowy zarost.

– Zaszyliśmy jej rany, pani Burrows. Nacięcia były dość głębokie, ale w sumie nie zagrażały życiu. Ponacinała sobie ręce wzdłuż, a nie w poprzek, i szczęśliwie ominęła główne arterie. Była nieprzytomna, ponieważ zażyła trochę tabletek nasennych. Teraz już jest przytomna, chociaż oszołomiona.

– Czy mogę się z nią zobaczyć?

– Oczywiście. Zostanie u nas na noc, a jutro zajmie się nią psychiatra.

– Psychiatra? - Głos Kate zadrżał.

– To standardowa procedura po próbie samobójczej. Niech się pani nie martwi, wszystko będzie dobrze.

Kate puściła mimo uszu tę banalną uwagę. Wiedziała, że lekarz chce ją jedynie pocieszyć.

Wstała i zgmiotła w popielnicze papierosa.

– Mogę więc ją zobaczyć?

– Tak. Jednak niech to nie trwa zbyt długo. W tej chwili najlepszą dla niej rzeczą jest sen. Sen to najlepszy uzdrowiciel.

Kate poczuła chęć, by powiedzieć lekarzowi, żeby się wypchał. Zamiast tego posłała

mu jednak słaby uśmiech.

– Dziękuję.

Wyminęła go i poszła do sali, w której leżała Lizzy. Zasłony wokół jej łóżka były zaciągnięte i Kate ostrożnie odsunęła jedną z nich.

Zauważyła, że dziewczyna ma otwarte oczy i próbuje się do niej uśmiechnąć.

– Przepraszam, mamu. Naprawdę, przepraszam.

– Och, Lizzy! - Cały ból i cierpienie dzisiejszego dnia eksplodowały w Kate niczym potężna fala pływowa. Podeszła do łóżka córki i rozpłakała się. Po chwili płakała i matka, i córka. - Wszystko będzie dobrze, Lizzy,

obiecuję ci. Wyjdziemy z tego, przysięgam. Damy sobie z tym radę.

– Och, mam, tak bardzo żałuję, że babcia widziała mój pamiętnik.

Kate usłyszała w jej głosie autentyczną rozpacz.

– Poradzimy coś i na to. Teraz postaraj się szybko wyzdrowieć.

Z cichym szelestem fartucha pojawiła się przy nich pielęgniarka.

– Najlepiej będzie, jeśli pani pójdzie już do domu. Ta dziewczyna potrzebuje mnóstwo snu.

Kate pokiwała głową. Pocałowała Lizzy w usta, odsunęła z jej twarzy kosmyk włosów i dzielnie próbowała się do niej uśmiechnąć.

– Przyjdę do ciebie rano, dobrze?

Lizzy skinęła głową i zamknęła oczy. Kate wyszła z za przepierzenia, a potem przez obrotowe drzwi na korytarz. Wtedy ujrzała Patricka, który ruszył w jej kierunku.

– Och, Kate, tak ci współczuję. - Wyciągnął ku niej ramiona, a ona natychmiast przytuliła się do niego.

Biła od niego niezwykła siła i dawał jej ogromne poczucie bezpieczeństwa. Przyciągnął ją do siebie i delikatnie głaskał jej włosy, całował w czoło. Ten gest współczucia sprawił, że Kate kompletnie się rozkleiła. Zaczęła płakać w jego kaszmirowy kołnierz, wchłaniając jednocześnie zapach charakterystyczny tylko dla Patricka. Zapach Old Spice'a i dobrych cygar.

Wyszła razem z nim ze szpitala. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zapytać, skąd wiedział, gdzie się znajdowała, ani skąd się dowiedział, co się wydarzyło.

Po prostu cieszyła się, że był przy niej.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Evelyn usłyszała odgłos hamującego samochodu i, lekko odsunawszy zasłonę, wyjrzała przed dom. Głośno pociągnęła nosem. To był duży, drogi samochód, zapewne należał do kogoś z sąsiadów. Po chwili jednak dostrzegła wysiadającą z niego Kate. Zmarszczyła czoło. Zbyt wiele już się dziś wydarzyło, żeby cokolwiek jeszcze miało ją zaskoczyć. Zobaczyła, jak z samochodu wysiada także mężczyzna, i kiedy oboje z Kate skierowali się do domu, szybko schowała się za zasłonę.

Usiadła z powrotem na kanapie i siedziała, dopóki nie usłyszała klucza Kate obracającego się w zamku. Jakoś nie potrafiła zdobyć się dzisiaj na swoje zwykłe żywiołowe powitanie córki. Usłyszała jej głos, a potem niski, głęboki głos mężczyzny. Czekala nieruchomo, aż oboje wejdą do pokoju.

Patrick pomógł Kate ściągnąć płaszcz, a potem zdjął swój. Oba przewiesił byle jak przez poręcz schodów. Jakoś ten właśnie gest Patricka sprawił Kate przyjemność. Jej dom nie był duży i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Lecz Patrick zachowywał się teraz, jakby żył tak jak ona, co zresztą było prawdą, ale jedynie z jego przeszłości.

Ruszył za nią do salonu, uważnie się rozglądając. Zauważał wszystko, od dobrych, lecz podniszczonych dywanów, po książki, których w salonie było mnóstwo. Pokój robił wrażenie wygodnego i ciepłego. Ujrzał drobną kobietę w czerni siedzącą na kanapie. Miała niezwykłą twarz, świadczącą o nieprzeciętnym intelekcie i dobrym sercu. Z miejsca ją polubił.

– Mamo, to jest mój przyjaciel, Patrick Kelly. Przywiózł mnie do domu ze szpitala.

Evelyn skinęła głową. Zauważyła, jak szerokie są ramiona tego mężczyzny, jak długie ma nogi i przystojną, ciemną twarz. Uznała, że Kate ma lepszy gust, niż by się tego po niej spodziewała. Nagle dotarło do niej znaczenie jego nazwiska. To był ten sam mężczyzna, o którym rozmawiali podczas kolacji bożonarodzeniowej. Zaraz jednak odsunęła od siebie tę myśl. Nosząc takie nazwisko, musiał mieć w sobie trochę irlandzkiej krwi, nie mógł więc być z gruntu zły.

– Dzień dobry panu.

Patrick uśmiechnął się do niej i mimowolnie oddała mu uśmiech.

– Co z dzieckiem? - Spojrzała na ściągniętą twarz córki.

– Czuje się dobrze, mamo, o ile w ogóle można czuć się dobrze w tych

okolicznościach. Rany na nadgarstkach nie były na tyle głębokie, żeby poważnie zagrozić jej życiu. Znalazłam ją w samą porę. Rano będzie miała spotkanie z psychiatrą.

Patrick usiadł na krześle przy kominku i Kate zwróciła się do niego:

– Napijesz się czegoś? Gdzieś tu mam chyba trochę szkockiej.

Podeszła do barku i otworzyła drzwiczki. Nalała do szklanek trzy duże porcje whisky.

Rozdała szklanki i usiadła obok matki. Patrick popatrzył na obie kobiety. Były jak dwa ziarenka grochu w strączku, z identycznymi wysokimi kośćmi policzkowymi i identycznie osadzonymi oczyma. Obie miały lekko zadarte nosy. Obie były ładne i miały w sobie to coś, co każe określać kobiety mianem uroczych. Były kobietami, które nabierają urody w miarę, jak się starzeją.

Evelyn przerwała ciszę.

– A więc, Kate, zbada ją psychiatra? To chyba dobrze. Z tym dzieckiem dzieje się ostatnio coś bardzo niedobrego.

Kate pokiwała głową, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Pan jest tym mężczyzną, który ostatnio stracił córkę, prawda? - zapytała znów Evelyn.

– Tak.

– To ogromna tragedia stracić dziecko w taki sposób.

Patrick popatrzył w oczy starej kobiety. Ujrzał w nich współczucie i zrozumienie.

– Widzi pan, mój syn wyjechał do Australii. Nie widziałam go już od dwudziestu lat. To tak, jakby umarł. Utrzymuję z nim regularny kontakt, piszemy do siebie listy, ale to nie to samo, co osobiste spotkania. To nie to, co obserwowanie, jak dorasta, jak się zmienia, jak staje się poważnym mężczyzną. Mam jedynie jego fotografie, które niewiele potrafią powiedzieć o tych przemianach. Bardzo chciałabym je oglądać na własne oczy.

To krótkie przemówienie ujęło Patricka za serce. Poczuł, jak pomiędzy nim a tą kobietą rodzi się płynące z głębi duszy porozumienie. Zdał sobie sprawę, że Evelyn pragnie ukoić jego ból po stracie Mandy i przez kilka niebezpiecznych sekund czuł, że może się rozpłakać. Z trudem przełknął ślinę i upił łyk whisky.

– Czy pańska rodzina pochodzi z Irlandii, panie Kelly? - Evelyn czuła potrzebę prowadzenia rozmowy. Odrywało to jej myśli od Lizzy.

– Tak. Mój ojciec urodził się w Dublinie, a matka w Cork. Jeśli chodzi o mnie, urodziłem się w Glasnevin. Przyjechałem do Anglii, kiedy miałem dwa lata.

– Chryste, znam Glasnevin doskonale! Czy pańska matka wciąż żyje? Patrick potrząsnął głową.

- Nie. Niestety, nie. Była wspaniałą kobietą.
- Założę się, że ma pan wiele miłych wspomnień z nią związanych. Patrick uśmiechnął się.
- Tak, oczywiście.

Wyobraził sobie matkę: jej ramiona, czerwone od palców po łokcie od prania i prasowania cudzych ubrań, i jej kolana, bezustannie napuchnięte od klęczenia przy szorowaniu podłóg. Ale wyobraził sobie także jej wesoły uśmiech i spokój, z jakim codziennie przychodziła do domu z porannej mszy. Przypomniawszy sobie, jak wsuwała mu do ręki szylinga na każde urodziny, chociażby w domu było nie wiadomo jak trudno. Przypomniawszy sobie pomarańcze i drobne prezenty na Boże Narodzenie. Tak, rzeczywiście, miał wiele miłych wspomnień związanych z matką.

Kate jak w transie obserwowała swą matkę i Patricka. Wiedziała, że gdyby okoliczności były inne, oboje potrafiliby przy dobrym drinku (Evelyn pewnie naruszyłaby swoje sekretne zapasy Bushmilla) przegadać całą noc. Cieszyła się, że Patrick przebywa teraz z nimi. Był dla nich jak wielka, mocna skała, służąca podporą, ale przede wszystkim jego osoba pozwalała chociaż na chwilę oderwać myśli od Lizzy. Niestety, jej córka potrzebowała pomocy i trudno było o tym nie pamiętać.

Wstała i podeszła do barku, żeby uzupełnić whisky w szklankach. Z konsternacją stwierdziła, że butelka Bella jest niemal pusta. Widząc to, Evelyn wstała z kanapy i powiedziała:

- Przyniosę mojego Bushmilla.

Wyszła z pokoju, a Patrick uśmiechnął się do Kate.

– Spróbuj się trochę odprężyć. Lizzy znajduje się w tej chwili w najlepszym dla niej miejscu na świecie. Jutro będziesz miała dość czasu, żeby znowu się martwić.

– Czuję się taka cholernie bezużyteczna. Jak mogło to wszystko rozgrywać się pod moim nosem?

Patrick chwycił jej rękę i przyciągnął ku sobie, a Kate popatrzyła mu w oczy.

– Widzisz, Kate, nie jesteś jedyną osobą której się coś takiego przytrafiło. Każdy rodzic mówi sobie coś takiego przynajmniej raz w życiu. Pamiętam, gdy zorientowałem się, że Mandy sypia z tym palantem, Kevinem, myślałem, że obojgu flaki wypruję. Ale przecież takie rzeczy mają prawo się dziać i rodzice nie mogą temu zapobiec. Nawet gdyby nie wiadomo jak bardzo tego chcieli. Powiedziałem ci, zacznij teraz budować mosty. Postaraj się wydobyć z tej całej sytuacji wszelkie korzyści, jakie tylko jesteś w stanie.

Och, brzmiało to tak pięknie i mądrze. Kate jednak rozmyślała

wyłącznie o tym, że w którymś momencie życia kompletnie zawiodła swoją córkę.

Evelyn wróciła do pokoju z butelką swojej irlandzkiej whiskey.

– Nazywam ją moją wodą święconą. Przysyła mi ją kuzynka z Coleraine, niech Bóg ją błogosławi i utrzymuje w dobrym zdrowiu. To górská woda nadaje jej niepowtarzalny smak. Wie pan, że ta moja kuzynka nazywa się Katie Daly? Słowo honoru.

Patrick roześmiał się.

Katie Daly była jedną z ulubionych piosenek jego matki. Opowiadała o dziewczynie, która pędziła poteen, nielegalną irlandzką whiskey, i o policjantach, którzy przyszli ją aresztować.

Evelyn naląła wszystkim po solidnej miarce trunku. Kate upiła niewielki łyk i zaraz odniosła wrażenie, że płonie jej całe gardło.

– Jutro pojedę z tobą do szpitala, Kate. Po spotkaniu Lizzy z psychiatrą spróbujemy zapanować nad sytuacją. Uda nam się, zobaczysz.

– Że też tak poprzecinała sobie żyły, mamó. Zdenerwowała się zwłaszcza tym, że przeczytałaś jej dziennik.

– I powinna była się zdenerwować, mała niewdzięcznica!

Patrick dokończył drinka. Rozmowa stawała się zbyt osobista. Poczul, że nic tu po nim.

– Chyba już pójdę. Zapewne macie sobie, panie, mnóstwo do powiedzenia.

Kate pokiwała głową. Kierowca siedział na zewnątrz w samochodzie i... Nagle Kate sobie o nim przypomniała.

– Och, biedny Willy, chyba zamarznął!

– Słucham cię, Kate Burrows?

Mimo zmartwień Kate roześmiała się, widząc na twarzy matki wyraz zgorszenia.

– To jest kierowca, mamó. Ma na imię Willy. Czeka na zewnątrz na Patricka.

– Aha, rozumiem. Cóż, niech wejdzie do środka. W tym domu nie bawimy się w takie ceregiele, jak trzymanie kierowcy pod drzwiami.

Patrick zerwał się na równe nogi. Wątpił, by matka Kate była w stanie zaakceptować Willy'ego. Jeszcze nie dzisiaj.

– Nie, już i tak zbyt długo się tutaj zasiedziałem. A przecież chciałem się jedynie upewnić, że Kate bezpiecznie trafi do domu. - Obie kobiety także wstały. Patrick potrząsnął dłonią Evelyn. - Bardzo mi było miło panią poznać, pani...

– O'Dowd. Evelyn O'Dowd.

Uśmiechnął się do niej po raz kolejny.

– Pani O’Dowd, mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze, i to w bardziej przyjemnych okolicznościach.

– Też mam taką nadzieję, synu.

Kate wyszła z nim do holu i Patrick czule ją pocałował.

– Na razie przestań się martwić, Kate. A jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, czegokolwiek, natychmiast do mnie zadzwoń, dobrze?

Kate jedynie pokiwała głową. Gdyby teraz miała coś powiedzieć, znów by się rozpląkała.

Patrzyła za nim, jak wychodzi na podjazd i wsiada do rolls-royce’a. Kiedy samochód zniknął jej z oczu, zatrzasnęła drzwi i powróciła do ciepłego salonu.

– Proszę, proszę, co za partia - powiedziała Evelyn.

– Och, mam, to jest po prostu przyjaciel. - Kate usiadła i wzięła do ręki szklanę z whiskey.

– Po prostu przyjaciel, co? Jeśli chcesz posłuchać mojej rady, uczyn go kimś ważniejszym niż tylko przyjacielem, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Mężczyźni tacy jak on nie rodzą się na kamieniu.

– Patrick jest właścicielem salonów masażu, mam.

Evelyn O’Dowd miała własny system wartości, który w razie konieczności modyfikowała.

– Przecież wszyscy nie możemy być policjantami, prawda? A temu mężczyźnie dobrze patrzy z oczu. Posłuchaj mojej rady i chwytaj go szybko, a dopiero później zaczniesz mu tłumaczyć, co jest dobre, a co złe.

Kate upiła łyk whiskey.

– Jeżeli szef się dowie, że spotykam się z Patrickiem, wybuchnie piekło.

Kate nie miała pojęcia, że Frederick Flowers wie już wszystko o niej i Kellym. Patrick Kelly i Frederick Flowers przebyli razem długą drogę. Byli sobie bliżsi, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, ale z pewnością nie zamierzali nikomu o tym opowiadać.

Evelyn obruszyła się.

– W takim wypadku skieruj go do mnie, młoda damo. To, co robisz, kiedy wyjdiesz z komisariatu, nic go nie powinno obchodzić.

Gdyby Kate nie miała w tej chwili tak wielu problemów na głowie, roześmiałaby się, słysząc zgorszony ton głosu matki.

– Wcale tak nie jest, mam, i wiesz o tym dobrze. Patrick to miły człowiek, i w tym punkcie się z tobą zgadzam, ale przecież on wciąż balansuje na granicy prawa.

– Ja sama balansuję na tej granicy, moja droga. Gdybym tylko znała nazwisko człowieka, który podał Lizzy narkotyki, osobiście bym go oskalpowała.

Przez moment obie kobiety milczały.

– Posłuchaj, Katie. Jeśli lubisz tego mężczyznę i jesteś szczęśliwa w jego towarzystwie, powinnaś postępować tak, jak podpowiada ci serce. Nieważne, co twój szef, Dan, ja albo Lizzy myślimy na ten temat. Żyje się tylko raz. Więc musisz swoje przeżyć tak, jak ty tego chcesz. Zgódź się ze mną, zanim się zestarzejesz. Zanim będziesz taka stara, jak ja. A kiedy dotrwasz do mojego wieku, będziesz spoglądała na życie z zupełnie innej perspektywy niż teraz. Nagle każdy dzień zacznie ci się zdawać trochę krótszy. Zacznieś odczuwać bóle w kościach, niby zupełnie bez powodu. Zrozumiesz, że najlepsza i najbardziej owocna część życia jest już poza tobą. Przeczytałam kiedyś, że gdy ludzie starzeją się i niedołączniają, powracają myślami do tych chwil w życiu, kiedy byli zdrowi i użyteczni. Kiedy mieli małe dzieci i żonę lub męża powracającego codziennie do domu z pracy. Łatwo zrozumieć tę ucieczkę ich myśli do dni, kiedy byli „potrzebni”. Sama jestem taka, ponieważ dni, kiedy byłam „potrzebna”, już dawno przeminęły.

Kate zsunęła się z krzesła i uklękła przed matką.

– Ja zawsze będę cię potrzebowała, mamuniu.

Usłyszawszy to ostatnie słowo, Evelyn mocno przytuliła córkę do siebie. Kate i jej brat, kiedy byli dziećmi, zawsze mówili do niej „mamuniu”.

– Cóż, Kate, będę przy tobie tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebowała. I Lizzy też, Boże, miej ją w opiece. Zawsze będę ją kochała, niezależnie od tego, czego się jeszcze o niej dowiem.

Kiedy Kate i Evelyn usiadły, doktor Plumfield zmierzył je obie uważnym spojrzeniem. Kate poprosiła w pracy o kolejny wolny dzień, żeby uporządkować wszystkie sprawy rodzinne. Niechętnie go jej udzielono i teraz zdawała sobie sprawę, że jej dalsza kariera staje pod wielkim znakiem zapytania. Przełożeni jej współczuli, oczywiście, ale dla nich była przede wszystkim detektywem inspektorem i powinna jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Szczególnie wtedy, kiedy ścigała wielokrotnego zabójcę.

Nie miała wątpliwości, że głównym tematem plotek na komisariacie jest obecnie próba samobójstwa Lizzy.

Plumfield był młody i Kate oceniła, że wygląda raczej jak pracownik pomocy społecznej, a nie jak psychiatra. Ubrany był w parę wypłowiałych niebieskich dżinsów i koszulkę do rugby. Na czubku głowy był niemal zupełnie łyсы, jednak z tyłu włosy związane miał w mały koński ogonek. Przez cały czas bawił się długopisem palcami poźółkłymi od papierosów.

Lekarz rozparł się wygodnie w fotelu i westchnął. Kate czuła się jak

mała dziewczynka, którą ktoś nakrył na ściąganiu podczas ważnego sprawdzianu.

– Pani córka, pani Burrows, jest bardzo zagubioną i nieszczęśliwą dziewczyną.

Słuchała lekarza uważnie, przez cały czas intensywnie myśląc. Powiedz mi, człowieku, coś, czego bym o mojej córce nie wiedziała.

Plumfield nie mówił, lecz przemawiał nosowym głosem i Kate przyszło do głowy, że w codziennym życiu musi być nie do zniesienia. Nie odzywał się do ludzi jak do równych sobie, ale wszystkich traktował z góry.

– Lizzy wykazuje oznaki ciężkiej depresji, w związku z czym uważam, że zażywanie przez nią narkotyków i inne nienormalne zachowania wymagają bacznej analizy. Poza tym trzeba ją wciąż obserwować, poświęcić jej mnóstwo uwagi.

– Twierdzi pan, że powinnam była poświęcać Lizzy więcej uwagi?

Plumfield uniósł do góry rękę.

– Ja jeszcze nie skończyłem, pani Burrows.

Kate wzniosła oczy ku sufitowi. Nie, ten facet nie może być prawdziwy!

– Widzę, że lubi pani dowodzić. - Wyciągnął palec w jej kierunku. - Przypomnę więc pani, że nie znajdujemy się w komisariacie.

Uśmiechnął się, czerpiąc z tej uwagi widoczną przyjemność, i nagle Kate zrozumiała, że podczas pracy w policji poznała już wielu takich facetów. Od adwokatów, którzy próbowali ocalić przed karą notorycznych przestępców, po pracowników socjalnych, którzy stawali przed sądem i bez zająknięcia wydawali rewelacyjne opinie o ludziach, których należało raz na zawsze zamknąć w więzieniu.

Wiedziała już, że ten facet zechce za chwilę o wszystko, co przytrafiło się Lizzy, oskarżyć ją i tylko ją.

Przygryzła wargę i pozwoliła mu mówić.

– Pani córka - zabrzmiało to jak oskarżenie - zgodziła się na pobyt w szpitalu psychiatrycznym do czasu, kiedy będziemy mogli poprawnie ocenić jej stan. Pojedzie tam jeszcze dzisiaj, późnym popołudniem. Skierowaliśmy ją do Warley Hospital... Evelyn wpatrywała się w jego nalaną twarz, obwisłe wargi i poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma.

– Przepraszam, doktorze Plumtree...

– Plumfield.

– Zatem, doktorze Plumfield. Wydaje mi się, że jest pan bezczelny. Mówi pan o mojej wnuczce i pański ton mi się nie podoba, młody człowieku. Proszę nam jedynie prostymi słowami powiedzieć, kiedy Lizzy zostanie stąd zabrana, co się będzie z nią działo i jak długi będzie jej pobyt w tamtym szpitalu.

Doktor Plumfield potrząsnął głową, jakby miał do czynienia z dwójką krnąbrnych dzieci. Kate położyła dłoń na ramieniu matki.

– Pani córka pozostanie w szpitalu tak długo, jak długo będzie trzeba, żeby jej pomóc, pani Burrows. Ona jest przeciwko czemuś zbuntowana. I nie wiemy jeszcze, przeciwko czemu. - Wypowiedziawszy te słowa, popatrzył na Kate. Przesłanie jego słów dotarło do niej bardzo wyraźnie. - Destrukcyjnemu zachowaniu pani córki trzeba się bardzo uważnie przyjrzeć. Jeśli chce się pani z nią zobaczyć, oczywiście, jest to możliwe, musimy jednak zażądać, aby pani w żaden sposób jej nie zaniepokoiła.

Kate wstała.

– Dziękuję bardzo, doktorze Plumfield. Zanim wyjdziemy... Czy to pan będzie się zajmował moją córką w Warley?

– Nie.

Usłyszawszy odpowiedź, Kate uśmiechnęła się.

– Cóż, bądźmy wdzięczne chociażby za to. Chodź, mamó, odwiedzimy Lizzy.

Pozostawiły doktora Plumfielda, siedzącego na fotelu i potrząsającego głową. Kiedy szły szpitalnym korytarzem na oddział, na którym przebywała Lizzy, Evelyn nie kryła oburzenia.

– Co za bezczelny facet! Żeby tak otwarcie insynuować, że zrobiliśmy coś złego! Chciałabym jednak wiedzieć, co mu naopowiadała Lizzy.

Jak zwykle, kiedy była rozżłoszczona, Evelyn mówiła z silnym irlandzkim akcentem. Kate wpuszczała wszystko jednym uchem, a drugim wypuszczała.

Wreszcie dotarli na oddział Lizzy. Dziewczyna siedziała na łóżku i słuchała radia przez słuchawki. Była umyta i miała uczesane włosy. W szpitalnej koszuli zdawała się bardzo młoda. Popatrzyła na matkę i babcię i po chwili na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. Zdjęła z głowy słuchawki i wyciągnęła rękę. Kate uściśnęła ją.

– Och, mamó, babciu! Tak się cieszę, że jesteście.

Evelyn delikatnie odepchnęła Kate od łóżka i uściśnęła wnuczkę. Lizzy zaczęła płakać.

– Przestań już, przestań. Wszystko będzie dobrze.

– Chcą mnie zabrać do szpitala dla wariatów, mamó.

– A co ty na to?

Lizzy potrząsnęła głową.

– Sama nie wiem. Uważają, że jestem trochę postrzelona...

– Nie mów w ten sposób - przerwała jej Evelyn. - Nie potrzebujesz żadnego szpitala dla wariatów, a jedynie odpoczynku i spokoju, żeby z powrotem zebrać myśli.

– Ja jednak sama nie wiem, co mi jest.

Lizzy była na granicy hysterii. Kate mocno ścisnęła jej dłoń.

– W Warley lekarze wszystkiego się dowiedzą. Samój... Zrobiłaś przerażającą rzecz, Liz. Musisz zrozumieć dlaczego.

– Wiem, dlaczego to zrobiłam! To dlatego, że babcia przeczytała mój pamiętnik! Nie było żadnego innego powodu!

– Dlaczego brałaś narkotyki?

– Och, dzisiaj prawie każdy zażywa narkotyki. Nie jestem od nich uzależniona, nie jestem narkomanką, mam. Nie biorę heroiny ani niczego takiego.

– Z pamiętnika wyczytałam, że zażywałaś narkotyki bardzo często, niemal każdego dnia. Amfetaminę, marihuanę, ekstazę. Nie potrafię zrozumieć, jak to wszystko mogło się dziać pod moim nosem?

Lizzy opadła na łóżko.

– Czasami, mam, kiedy byłam nawalona, przychodziłam do ciebie w wesołym nastroju i sobie z tobą żartowałam. Nie mogłaś niczego zauważyć, bo amfetamina wprawia ludzi w radosny nastrój. Jest się wesołym, błyskotliwym, szczęśliwym.

– A bez amfetaminy nie potrafisz być szczęśliwa?

Lizzy wbiła wzrok w bandaż na swoich przegubach.

– Niezbyt często.

– Ale dlaczego? - Kate podniosła głos, aż dziewczyna na sąsiednim łóżku popatrzyła na nią.

– Nie wiem, mam. Po prostu nie wiem. Przez cały czas myślę o śmierci.

Kate wbiła spojrzenie w białe kafelki na podłodze. Jakże szesnastoletnia dziewczyna mogła myśleć o śmierci? Przecież jej życie dopiero się zaczęło.

– Gdzie jest tata?

– Nie wiem.

– Pewnie nawet nie próbował się dowiedzieć, co jest ze mną, prawda?

- Jej głos był głuchy, obojętny.

– Odezwie się, Lizzy, on cię uwielbia.

– Tak, oczywiście - powiedziała Lizzy głosem tak gorzkim, że Kate i Evelyn

wymieniły zmartwione spojrzenia.

Życie układa się bardzo dziwnie, pomyślała Kate. Człowiek sądzi, że już ma w nim wszystko poukładane, a tu proszę, nagle pojawia się zakręt, o jakim trudno było śnić nawet w najbardziej mrocznych koszmarach.

Doktor Plumfield w jednej sprawie miał na pewno rację. Lizzy rzeczywiście powinna pojechać do Warley Hospital. Potrzebowała pomocy, profesjonalnej pomocy, a Kate była na tyle uczciwa przed samą sobą, że przyznawała, iż takiej pomocy nie jest w stanie udzielić jej ani

ona, ani Evelyn.

Patrick stał przed domem w Barking z trzema spośród swych najlepszych ludzi. Była za dwadzieścia dwunasta; przyjechał tu zaledwie przed dziesięcioma minutami. Było to jedno z tych zajęć, których nienawidził. Za chwilę mieli wyeksmitować z wynajmowanego domu małżeństwo i trójkę dzieci. Patricka zawołano, kiedy mężczyzna zaczął grozić jego ekipie kijem baseballowym. W normalnych okolicznościach jego ludzie wdarliby się do domu i odebraliby mu broń. Ktoś jednak wezwał policję i wszystko musiało się odbyć zgodnie z literą prawa. Mężczyzna przez cały czas przypatrywał im się z okna sypialni, nie pozostawiając nikomu wątpliwości, że kij ma ciągle przy sobie.

Jakiś młody policjant podszedł do drzwi, po czym zaczął krzyczeć do środka przez otwór na listy.

– Panie Travers, to jest niedorzeczne. Niech pan zejdzie na dół, to przynajmniej porozmawiamy.

Cofnął się kilka kroków i popatrzył w górę. Pan Travers, tynkarz, który stracił dom, kiedy został zmuszony do ogłoszenia bankructwa, lekko uchylił okno. Wysunął przez nie na chwilę siwą głowę.

– Odpierdolcie się wszyscy ode mnie. Zapłaciłem temu draniowi i on dobrze o tym wie.

Konstabl podszedł do drzwi i spróbował jeszcze raz.

– Mężczyzna, od którego wynajmuje pan dom, nie spłaca hipoteki. To towarzystwo budowlane pana eksmituje, panie Travers, a nie pański gospodarz. Jeśli zejdzie pan na dół, spróbujemy to wszystko omówić.

Popatrzył do środka przez otwór na listy. Ujrzał w holu kobietę z dzieckiem na ręce. Miała zniszczoną twarz, pogniecione ubranie i była bez butów. Zauważył też, że jej nogi są brudne. Widząc jego oczy w otworze, pokręciła rozpaczliwie głową.

– Zapłaciliśmy mu całkiem niedawno. Co miesiąc płacimy mu czterysta funtów.

Mieszkamy tu od pół roku. Nie mamy dokąd pójść.

Do kobiety podeszły dwie małe dziewczynki, bliźniaczki, które wyszły z któregoś z pokoiów. Policjant ciężko westchnął. Oderwał głowę od drzwi i podszedł do niewielkiego tłumu zgromadzonego na chodniku.

– Biedni ludzie. To się dzieje coraz częściej. Ktoś kupuje dom, zastawia hipotekę, a potem wynajmuje go takim biedakom jak ci. Płacą po czterysta funtów co miesiąc, albo coś koło tego, tak długo, jak mogą, a kiedy dom zmienia właściciela, zostają na bruku. Niektórzy z tych oszustów mają nawet osiem i dziewięć domów naraz. Zbijają fortuny.

Patrick pokiwał głową. Oszustwa na hipotekach były stare jak świat.

Nienawidził ich.

– Może ja spróbuję? - zaproponował.

Policjant wzruszył ramionami.

– Skontaktuję się z opieką społeczną. Znajdą im jakiś nocleg ze śniadaniem albo coś podobnego.

Patrick pokiwał głową i podszedł do drzwi.

– Nazywam się Patrick Kelly i poproszono mnie, żebym odzyskał tę posesję dla właściciela. Jestem komornikiem sądowym. Panie Travers, znajduje się pan w środku z żoną i dziećmi, które zapewne są tą sytuacją śmiertelnie przerażone. Niech pan zejdzie na dół, żebyśmy mogli dojść do jakiegoś porozumienia.

Ben Travers stał w sypialni. Wiedział, kim jest Patrick Kelly, wszyscy to doskonale wiedzieli. Patrick Kelly był legendą już za życia.

Travers rozejrzał się po mrocznym, brudnym pokoju. W tak zwanej „umeblowanej” sypialni znajdowały się dwa stare łóżka, kupione w sklepie „z drugiej ręki”, podniszczona kanapa i kuchenka gazowa, której zapewne używano już podczas wojny. Poczul, jak wzbiera w nim frustracja i złość. Musiał tutaj zamieszkać z żoną i trójką dzieci.

Każdego pensa, jakiego zdołał zaoszczędzić, wydał na wynajęcie tego domu. Tysiąc funtów na początek, a potem po czterysta co miesiąc. Musieli przecież wyprowadzić się od matki Louise. Mieszkali z nią przez trzy miesiące, zanim znaleźli to miejsce, trzy o wiele za długie miesiące. A jeszcze dwa lata wcześniej Ben Travers mieszkał w sprywatyzowanym domu pokomunalnym w East Ham, gdzie prowadził małą, lecz dochodową firmę, i na dobrym poziomie utrzymywał rodzinę. Teraz znowu, już po raz drugi, do jego drzwi pukał komornik. Mocniej zacisnęła dłoń na kijku baseballowym i powoli zaczął schodzić po schodach.

Żona cicho płakała i popatrzył na nią ze smutkiem.

– Bardzo mi przykro, Lou.

– Wpuść ich, Ben, miejmy to już za sobą.

Skinął głową i podszedł do drzwi. Kiedy je otworzył, do domu wszedł Patrick Kelly. Zatrzasnął za sobą drzwi, żeby nikt ciekawski nie mógł dostać się do środka.

– Pan Travers? Bardzo mi przykro, ale mam nakaz eksmisji. Wiem, że drań, który pana w to wszystko wplątał, wykręci się sianem. Przy okazji, zna pan jego nazwisko? Może go znajdę i odzyskam dla pana trochę pieniędzy?

Ben Travers pokiwał głową.

– To Micky Danby. Zaufałem łotrowi. Ostatnio był tu w zeszłym tygodniu po pieniądze za bieżący miesiąc. Nigdy nic nam nie mówił. Podpisaliśmy umowę na roczny wynajem, wartą chyba jedynie tyle, ile papier, na którym ją zapisano. Do cholery, co mamy teraz zrobić?

Patrick wyciągnął z kieszeni portfel i wydobył z niego trzy banknoty pięćdziesięciofuntowe.

– Niech pan to weźmie, na podstawowe wydatki. Zamieszkajcie w jakimś hoteliku ze śniadaniem albo w pensjonacie. Oto moja wizytówka. Zostawcie mojej sekretarce informację, gdzie się zatrzymaliście; postaram się trochę wam powetować straty. Micky Danby to palant i ja też mam z nim na pieńku.

Mężczyzna wziął pieniądze.

– Dziękuję, panie Kelly. Któregoś dnia oddam je panu - powiedział drżącym głosem.

– Niech pan mi odda ten kij, a ja zajmę się resztą. - Patrick ruchem głowy wskazał na obserwującą ich kobietę. - A tymczasem może przygotuje nam pani po filizance herbaty?

Kobieta pokiwała głową, zadowolona, że może się czymś zająć.

Patrick otworzył drzwi i uśmiechnął się do wszystkich czekających na zewnątrz.

– Dobra, panowie, można wchodzić.

– Uff, ulżyło mi - odetchnął policjant. - Rozmawiałem już przez radio z opieką społeczną. Postarają się dla nich o jakiś lokal zastępczy. Do widzenia, panie Kelly.

Policjant wsiadł do samochodu i odjechał. Patrick ruszył za Benem Traversem do głównego pokoju. Nie było tu prawie nic, poza przenośnym telewizorem i winylową kanapą pochodzącą z lat sześćdziesiątych. Usiadł na niej, a po jego bokach przycupnęły dwie dziewczynki, które natychmiast obdarzył szerokim uśmiechem. Postanowił poczekać na opiekę społeczną. Zobaczy, co zaoferują Benowi Traversowi. Popatrzył na niego. Był dobrze zbudowanym, silnym mężczyzną.

– Pracuje pan? - zapytał.

– Tylko dorywczo, tu i tam. Budownictwo jest w kryzysie. Kładzie się fundamenty pod domy, a potem zostawia się je na pastwę losu. Pieprzony interes.

Patrick pokiwał głową.

– A myślał pan kiedyś o takiej robocie?

Ben Travers zmarszczył czoło.

– Ma pan na myśli pracę komornika sądowego?

– Czemu nie? To dobra i stabilna praca.

– Nigdy o tym nie myślałem.

– Umówię pana z jednym z moich ludzi i on powie panu, co trzeba zrobić. Przyjąłbym pana do siebie. Ciągle brakuje mi dobrych ludzi z głową na karku.

– Piszę się na to, panie Kelly, czemu nie?

Patrick uśmiechnął się do kobiety, która właśnie przyniosła herbatę.

– Dzięki, kochana. - Szerokim ruchem ręki ogarnął cały pokój. - To nie jest warte czterystu funciaków na miesiąc.

Kobieta zrobiła niechętny grymas.

– Pewnie, że to nie jest żaden zasrany Ritz. Gdybym tylko dorwała tego Micka Danby'ego, złamałabym mu kark.

Patrick popatrzył na Bena Traversa.

– Jak pan myśli, żona także podjęłaby pracę?

Ben Travers wybuchnął śmiechem. Był to gwałtowny i szczery śmiech; nie sądził, że jest jeszcze zdolny do takiego śmiechu.

Patrick spokojnie upił łyk herbaty.

Od czasu, gdy pochował Mandy, złagodniał, przyznawał to sam przed sobą. Miał świeżo w pamięci żal i smutek i chciał oszczędzić tego cierpienia tylu ludziom, ilu tylko zdoła. Z wyjątkiem Rozpruwacza z Grantley. Ten będzie musiał odpokutować za swoje. A kiedy drań będzie już martwy, być może nadejdzie czas, żeby rozpocząć nowe, normalne życie, życie, w którym - miał nadzieję - będzie miejsce także dla Kate Burrows.

Z każdym dniem Kate znaczyła dla niego coraz więcej. Myślał o niej bezustannie. Czuł się jej coraz bliższy i bliższy od dnia, w którym przekroczyła próg jego domu w związku z zaginięciem Mandy. Wiedział, że Kate jest doskonałym detektywem. Wiedział, że oboje pochodzą z różnych światów, ale to go nie odstraszało.

Kiedy powiedziała, że obawia się swoich przełożonych, bardzo chciał ją pocieszyć, powiedzieć że jej najważniejszego przełożonego ma w swojej kieszeni, jednak nie mógł tego zrobić. Kate by tego nie zniosła, była zbyt prostolinijna. I to w niej lubił. Spodobała mu się już tego wieczoru, kiedy przekroczyła po raz pierwszy próg jego domu. Była jedną z niewielu osób, które nie okazywały wobec niego strachu; nawet jej szef byłby zszokowany, słysząc, jak czasami spiera się z Kellym.

Kate była kobietą w każdym znaczeniu tego słowa, ale też nie należała do kobiet łatwych. Kiedy poszli do łóżka w noc noworoczną, było to dla niego jak objawienie. Nigdy dotąd, nawet z Renée, nie czuł w sobie takiej siły miłości. Później Kate wyznała mu, że był to jej pierwszy kontakt seksualny od ponad pięciu lat. Że do tej pory miała w życiu tylko jednego mężczyznę. To oświadczenie postawiło ją w oczach Patricka na piedestale, ponad wszystkimi innymi ludźmi. Kate była czysta i szcera, a on bardzo jej pragnął.

Zaczął się zastanawiać, co się dzieje z Lizzy. I jak Kate daje sobie radę z ogromem nieszczęścia, jakie ją spotkało w ciągu ostatnich dwóch dni.

Myślał o niej niemal bez przerwy.

I było to bardzo miłe, chociaż nie był pewien przyszłości tego

związku.

Kate i Evelyn same zawiozły Lizzy do Warley. Po drodze zatrzymały się w domu i razem spakowały jej torbę podróżną. W szpitalu zostały z nią przez chwilę, pomagając jej zaadaptować się w nowym miejscu. Zabawne było to, że Lizzy niemal cieszyła się z pobytu w szpitalu. Wszyscy byli tam dla niej mili, szpital oznaczał bezpieczeństwo oraz pozostawanie przez cały czas w centrum uwagi. Dzielili pokój z dziewczyną o imieniu Anita, uzależnioną od heroiny. Anita była pełną energii, drobną blondynką. Zaprzyjaźniła się z Lizzy niemal natychmiast.

Lizzy wymogła na Kate przyrzeczenie, iż nikomu w szpitalu nie powie, że jest policjantką. Kate zgodziła się na to niechętnie, widziała w tym jednak sens. Na oddziale, na którym większość pacjentów stanowili ludzie, którzy znaleźli się tutaj z powodu problemów z narkotykami, informacja o tym, że matka jest policjantką nie mogła przynieść Lizzy popularności.

Kiedy wychodziły ze szpitala i zmierzały przez szeroką ulicę na parking, Evelyn złapała córkę za rękę. Kate mocno zacisnęła oczy. Matka wciąż chciała przeprowadzać ją przez jezdnię. Naprawdę, śmiechu warte.

Wysadziła Evelyn pod domem, a sama pojechała jeszcze do pracy. Musiała spotkać się z Ratchette'em i spróbować nadrobić przynajmniej część zaległości, jakie spowodowała przez Lizzy. Tak jak bardzo ją kochała i jak bardzo chciała jej pomóc, tak samo zależało jej na pracy. Ale tego Lizzy nie była w stanie tak do końca zrozumieć.

Kiedy Kate i Evelyn opuściły szpital, pojawił się w nim Dan. Minęli się dosłownie o kilka minut. Dobrze się stało, ponieważ Kate nie miała nastroju, by się z nim spotykać. Jego obecność bardzo jednak uradowała Lizzy.

Ratchette i Kate znajdowali się w jego gabinecie. Szef zaproponował jej kawę i teraz oboje siedzieli w fotelach, powoli popijając gorący napój.

– Czy masz pewność, że wszystko w porządku, Kate? Jeśli potrzebujesz urlopu okolicznościowego...

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, nie potrzebuję. Lizzy ma zapewnioną dobrą opiekę, dlatego mogę jutro wrócić do pracy.

– Cóż... - Ratchette mówił przez zęby - to jest bardzo stresująca sprawa, Kate. Zapewne jesteś świadoma faktu, że potrzebujemy ludzi, którzy poświęcą się jej w stu procentach...

W chwili, gdy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść!

Do gabinetu wtoczył się Caitlin.

– Cześć, Katie! Jak się ma twoja biedna córka? - Uśmiechnął się do obojga. - Cieszę się, że cię złapałem. Kiedy wracasz do roboty? Bo, widzisz, na razie zapisuję, specjalnie dla ciebie wszystko, co się dzieje. Nic więc nie stracisz.

– Będę jutro.

– Wspaniale, doprawdy, wspaniale. Mam nadzieję, że z dziewczyną też już wszystko w porządku.

– Czego właściwie chcesz, Kenny? - zapytał głośno Ratchette.

Caitlin uderzył się palcem w pierś.

– Kto, ja? Właściwie niczego. Dowiedziałem się, że jest tutaj Katie, wszedłem więc, żeby zapytać, kiedy będzie z powrotem w pracy, to wszystko. Zatem do jutra.

Uśmiechnął się i puścił do niej oko. Otworzył drzwi i nagle, stojąc w progu, otwartą dłonią uderzył się w czoło. Odwrócił się.

– Skończyłaś już z szefem, Kate?

Popatrzyła na Ratchette'a, który pokiwał głową.

– Tak.

– Chodź więc ze mną, przejrzymy ostatnie raporty. Muszę ci powiedzieć, że są bardzo ciekawe.

Odstawiła filiżankę i, ukłoniwszy się Ratchette'owi, wyszła z gabinetu razem z Caitlinem. Kiedy znaleźli się na korytarzu, otoczył ją ramieniem i poprowadził do niewielkiego barku, przeznaczonego dla pracowników komisariatu. Policjanci nazywali go potocznie „Łabędź”; bezustannie był zajęty. Caitlin kupił dwie duże whisky i, usiadłszy z Kate przy stoliku w rogu, wznosił toast za zdrowie jej córki.

– Dzięki, Kenny.

Machnął ręką.

– Nie dziękuj, wiem, co teraz przechodzisz. Pamiętam, jak jedna z moich córek musiała poddać się aborcji, przez kilka dni chodziłem jak wariat. Teraz musisz na poważnie zająć się pracą; tylko praca utrzyma cię przy zdrowych zmysłach.

– Myślałam, że jesteś katolikiem.

– Och, jestem, wszyscy jesteśmy katolikami, ale widzisz, ona miała wtedy zaledwie czternaście lat. To było straszne, naprawdę straszne. Ale powiedz mi, jak się ma twoje dziecko.

Kate niespodziewanie otworzyła się przed nim. Opowiedziała mu dosłownie wszystko.

– Narkotyki to zhora każdego rodzica. Miej na nią oko i trzymaj ją z dala od wszelkich okazji.

Kate uśmiechnęła się. Nie miała wątpliwości, że Caitlin dobrze jej życzy.

– A co się dzieje w naszej sprawie? - zapytała.

– Mówiąc szczerze, Kate, wielkie nic. A przed Ratchette'em po prostu udawałem. Mam jednak nadzieję, że wkrótce nastąpi jakiś przełom. Wciąż depczemy po piętach różnym zboczeńcom, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, przypomina to szczanie w oceanie. Ich jest zbyt wielu.

– Dziękuję więc, że mnie wspomogłeś u Ratchette'a.

Caitlin roześmiał się.

– A gdzie znajdę drugą taką uroczą detektyw inspektor? Daliby mi pewnie do współpracy jakiegoś brzuchatego, spoconego pijaka, śmierzącego jak nie prany przez rok ochraniacz na jaja. Jeden taki, czyli ja, zupełnie w tej sprawie wystarczy.

Kate uśmiechnęła się. Przyjaciół i sprzymierzeńców znajduje się w najmniej spodziewanych chwilach i miejscach.

– Co z Louise Butler?

– Nic. Traktujemy to jak morderstwo, jednak jeśli jej ciało wkrótce się nie znajdzie... - Pozostawił zdanie niedokończone.

Kate wstała.

– Jeszcze po jednym?

– I to mi się podoba w dzisiejszych kobietach. Bardzo tanim kosztem można się z nimi napić.

Kate podeszła do baru. Popatrzyła na duży zegar wiszący na ścianie. Była osiemnasta trzydzieści. Wypije jeszcze małą porcję whisky i pojedzie do domu. O ósmej umówiła się z Patrickiem, a wcześniej chciała złapać gdzieś Dana. Zamierzała przeprowadzić z nim rozmowę, którą Dan na długo popamięta.

Nie mogła się tej rozmowy doczekać.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

George stał w swojej sypialni skonsternowany. Na jego twarzy widniał wyraz napięcia. Wiedział, właściwie był absolutnie pewien, że szpilkę do krawata włożył ostatnio do górnej szuflady swojej toaletki. Teraz jednak nigdzie jej nie było. Wyciągnął szufladę z szafki i położył na łóżku. Jeszcze raz przejrzał jej zawartość.

Nic.

Zdezorientowany aż przygryzł policzek. Przecież to było jedyne miejsce, gdzie powinna się znajdować ta przekłeta szpilka. Mimo wszystko przeszukał całą sypialnię. Skoro nigdzie jej nie było, musiał ją zgubić w noworoczną noc. Natychmiast się spocił. Kiedy Elaine wyszła wieczorem, zaczął szybko się ubierać. Nie pamiętał, czy nałożył krawat, czy nie, jednak zdrowy rozum podpowiadał mu, że z pewnością to zrobił. Nieobecny myślami odruchowo włożył szufladę na miejsce.

I co teraz? Wiedział, że jedną rzecz uczyni z pewnością: wróci i dokładnie sprawdzi, czy szpilka nie została przypadkiem przy zwłokach. Dzięki Bogu, coś go tknęło, i te akurat pochował. Diabeł pomaga swoim, pomyślał. Było to jedno z ulubionych powiedzeń matki. Jeszcze raz okazało się, że matka zawsze ma rację.

Popatrzył na zegarek. Osiemnasta pięćdziesiąt dwie. Elaine była umówiona na jakąś balangę z koleżankami. Postanowił wyjść zaraz po niej. Wygładził pościel na łóżku, ponieważ nie cierpiał nieporządku w sypialni, i wyszedł z pokoju; już na schodach usłyszał, jak Elaine śpiewa w wannie: „Przetańczyć całą noc...” Skrzywił się. Śpiew Elaine był taki sam, jak wszystko z nią związane: okropny. Drażnił go. Drażniła go cała Elaine.

O dwudziestej czterdzieści pięć George stał nad prowizorycznym grobem Louise Butler. Miał przy sobie dużą latarkę. Oświetlając nią ziemię, zaczął rękami, jedynie w ogrodniczych rękawiczkach, odgrzebywać zwłoki dziewczyny. Sapał przy tym i stękał, z trudem odsuwał ciężkie kamienie. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że zakopał ją tak głęboko. Na chwilę przykucnął, żeby odzyskać oddech.

Wtedy dotarł do niego smród. Okropny smród gnijącego mięsa. George podniósł się. Jego twarz w świetle latarki jakby pozieleniała i w jednej chwili postarzała się. Drżącą ręką wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przewiązał nią usta i nos. Głęboko odetchnąwszy, znów

zaczął odsuwać kamienie i piasek.

W pewnym momencie poczuł pod rękami coś miękkiego i mruknął z satysfakcją. Nareszcie!

Ściągnął z prowizorycznego grobu ostatnie, najmniejsze kamienie, po czym zaczął odgarniać piach. Starannie oczyścił twarz i korpus dziewczyny. Wkrótce oświetlił latarką całe ciało.

Cmoknął z niezadowoleniem.

Po ośmiu dniach od śmierci zwłoki Louise były wzdęte. W połowie nagie, były też dziwacznie powyginane. Jej śliczne włosy pełne były piachu, a oczy wpatrujące się w George'a miały mlecznobiały kolor. Usta dziewczyny były otwarte w doskonale okrągłym kształcie litery „O” i pełne piasku. George wyskrobał ten piasek palcem w rękawiczce, tak jak akuszerka oczyszcza usta nowo narodzonemu dziecku. Następnie zaczął dokładnie oglądać cały piasek przy zwłokach, od czasu do czasu przesiewając jakąś jego partię pomiędzy palcami.

Ani śladu szpilki do krawata.

Zaczął oczyszczać resztę zwłok Louise Butler. Wstrętny odór już mu nie przeszkadzał, gdyż wzięła w nim górę chęć znalezienia obciążającego go dowodu. Szukał go wszędzie, nawet między udami i pośladkami zamordowanej dziewczyny. Jej skóra była jak nasiąknięta gąbka, a kiedy próbował przewrócić zwłoki na bok, zostawała mu w rękach, lepiąc się do jego rękawic ogrodniczych.

Znów głośno cmoknął, niezadowolony, tym razem nawet wściekły. Cholerna mała dziwka. Przez nią wpadnie w kłopoty!

Popatrzył na zegarek. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem. Obszukiwał już swoją ofiarę od przeszło godziny. Przetrzęsnał cały piasek i dokładnie sprawdził całe ciało głupiej dziwki, a szpilka do krawata jakby zapadła się pod ziemię.

Wstał i zaczął się otrzepywać. Wilgotna pogoda sprawiła, że ziemia kleiła mu się do ubrania. Zdawał sobie sprawę, że musi zaraz wracać do domu, żeby znaleźć się tam przed Elaine.

W tym momencie ogarnęła go złość. Zaczął kopać Louise, ciesząc się, gdy jego buty z całą siłą trafiały w miękkie ciało. Kopał, dopóki się nie zmęczył. Rozbolały go oczy i zamknął je na kilka sekund. Kiedy je ponownie otworzył, ciężko westchnął.

Twarz Louise Butler była zamieniona w papkę.

George ściągnął rękawiczki i wsunął je do kieszeni płaszcza. Pochylił się i nagle w miejsce złości pojawiła się czułość. Resztki włosów dziewczyny starannie ułożył dookoła jej twarzy, daleko odrzucając stonogę, która ponownie chciała się schronić w ciepłe jej ucha.

Zadowolony, że dziewczyna jako tako wygląda, George podniósł latarkę i ruszył w drogę powrotną do samochodu. Zaparkował go aż

ćwierć mili stąd i kiedy do niego dotarł, był przepocony, brudny i nieco otumaniony.

Do cholery, gdzie się podziała ta spinka?

Louise Butler leżała na ziemi, całkiem odkryta. Jej sponiewierane zwłoki miały w świetle księżycy mleczny kolor.

Elaine siedziała w restauracji z Hectorem Hendersonem. Uśmiechała się do niego radośnie. On także się uśmiechał, odsłaniając nierówne zęby. Elaine nie dbała o to, że czasami, gdy mówił, ruszała mu się sztuczna szczeka, ani o to, że co chwilę wsuwał ją językiem na właściwe miejsce. Dla niej ten potężny, gruby, jowialny mężczyzna, siedzący naprzeciwko, był teraz jej osobistym Rudolfem Valentino.

– Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku, Elaine.

– Och, oczywiście, Hector, wspaniale.

Obdarzył ją kolejnym promiennym uśmiechem. Kiedy wychylał się niezdarnie z krzesła, żeby nalać jej kolejny kieliszek chianti, jego tłusta twarz lśniła z bliska grubą warstwą potu.

– Bo mnie upijesz! - zawołała Elaine dziewczęcym głosem. W przytłumionym świetle wyglądała młodziej niż zwykle.

Uchwyciła swoje odbicie w wielkim lustrze wiszącym na ścianie naprzeciwko. Była zadowolona. Dieta pozbawiła ją już kilku niechcianych okrągłości. W rzeczy samej, wyglądała całkiem dobrze. Może nie była chuda, zdawała sobie z tego sprawę, ale przynajmniej nie była już wielkim kawałem mięsa.

Siedząc w restauracji z Hectorem, który opowiadał jej dokładnie to, co chciała słyszeć, czuła się swobodnie i wesoło. Byli w tej restauracji już dwukrotnie. Znajdowała się tuż za tunelem Dartford, oficjalnie w hrabstwie Kent. Spotykali się tutaj, ponieważ małe było prawdopodobieństwo, że natkną się tu na kogoś znajomego. Powoli miejsce to stawało się „ich” restauracją. Elaine uwielbiała włoskie jedzenie i właściwie głodowała trzy dni wcześniej, by nie odmówić sobie małej porcji doskonałych potraw.

Hector obserwował, jak Elaine z widoczną radością zajmuje się jedzeniem. Lubił kobiety z dużym apetytem. Podobały mu się jej rozmiary i sylwetka, w końcu, jako słusznej postury mężczyzna, lubił duże kobiety. Dzisiejszego wieczoru zamierzał dostać się pomiędzy uda Elaine, chociażby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Na samą myśl o tym odczuwał miły dreszczyk podniecenia. Jej piersi, nie miał co do tego wątpliwości, były ogromne. Jako namiętny prenumeratorka tygodnika „Wielkie Piersi”, ekscytował się nimi niemal automatycznie. Zamknął oczy i w wyobraźni zaczął się napawać ich widokiem, uwolnionych ze stanika i spoczywających na jego otwartych

dłoniach.

– Zjesz deser, Elaine?

Znów posłała mu dziewczęcy uśmiech.

– Nie powinnam, naprawdę. Ważę tyle...

Hector uniósł do góry rękę, żeby ją uciszyć.

– Masz ponętą sylwetkę dojrzałej kobiety. Pragnę, żeby takie właśnie były wszystkie moje kobiety.

Elaine poczuła, że zaraz zemdleje przy stole. Co prawda, słowo „dojrzałość” niezbyt się jej spodobało, ale reszta zabrzmiała w jej uszach jak muzyka. Hector chwycił jej dłonie i obie po kolei pocałował.

– Gdybyś tylko była naprawdę moja. Należysz do innego mężczyzny i mogę jedynie wielbić cię z daleka, zamiast pełną garścią brać to, co masz do zaoferowania, zamiast w pełni spijać wodę z twojej fontanny.

Elaine słuchała go z fascynacją.

Przysłuchujący się ich rozmowie kelner z trudem powstrzymywał się od głośnego śmiechu. Elaine natomiast wcale nie było do śmiechu. Hector ponownie przywoływał ku niej stare tęsknoty, które tak długo w sobie tłumila. Sprawiał, że czuła się pożądaną kobietą. Oferował jej romans, którego z desperacją od wielu lat łaknęła. Mówiąc krótko, był jej rycerzem w lśniącej zbroi.

Właśnie wtedy postanowiła się z nim przespać. Jeśli o nią chodziło, mógł wypić z jej fontanny całą wodę, do ostatniej kropli.

Kate siedziała w pokoju, słuchając muzyki na tyle cicho, by nie przeszkadzać matce, która poszła spać o dziewiątej, a więc przed godziną. Słuchała Billy’ego Paula, śpiewającego *Me and Mrs Jones*, relaksując się muzyką i próbując wysnuć jakieś racjonalne wnioski z ostatnich wydarzeń związanych z Lizzy. Wcześniej wzięła prysznic i teraz ubrana była w wełniany szlafrok. Włosy miała swobodnie rozczesane, by wyschły w sposób naturalny, a z twarzy zmyła makijaż. Nałożyła jedynie krem na noc, dzięki czemu lśniła w blasku padającym z kominka. Kiedy kolejna piosenka z płyty skończyła się, zmieniła trochę pozycję na kanapie, wsuwając nogi pod siebie. Potrzebowała spokoju i czasu; przeszkadzałyby jej teraz nawet matka. Czasami odnosiła wrażenie, że zbyt rzadko jest sama, może poza godzinami, które spędza w łóżku. W chwili, gdy zespół Sad Cafe zaczął śpiewać *Every Day Hurts*, usłyszała pukanie do drzwi. Popatrzyła na zegar stojący na kominku. Było dziesięć po dziesiątej wieczorem. Kto mógł pukać o tej godzinie? Niechętnie zszedłszy z kanapy, wyszła do holu. Przez judasza w drzwiach sprawdziła, kogo lichy niesie. Zobaczyła, że to Dan.

Tego jej akurat było trzeba!

Otworzyła drzwi. Dan minął ją bez słowa, z zasępioną, ponurą twarzą, i pomaszerował prosto do salonu.

– Proszę, może wejdiesz, Dan? - powiedziała lodowato, cichym głosem. Nie chciała, żeby także matka zeszła na dół.

W salonie Dan od razu skierował się do barku i nalał sobie brandy. To już na dobre rozzłościło Kate. Do diabła, za kogo on się uważał? Przyszedł tu bez zaproszenia, a na dodatek zachowywał się, jakby znajdował się u siebie w domu!

Stanął przed nią, jednym haustem wypił brandy ze szklanki i groźnie wyciągnął w jej stronę palec. Przemawiał do niej w tej pozycji, jakby chciał podkreślić znaczenie swoich słów.

– Co ja słyszę? Spotykasz się z tym dzikusiem? Nasza córka jest w szpitalu, dodam, że w szpitalu dla chorych na głowę, a ty ganasz po mieście z tym grantleyowskim wcieleniem ojca chrzestnego!

Kate powstrzymała uśmiech. A więc o to chodziło mu tak naprawdę. Wiedział, że się z kimś spotyka. Nie pragnę cię, ale nie pozwolę, żeby cię miał ktoś inny, tak chyba sobie myślał.

– Będę wdzięczna, jeśli ściszysz głos. Moja matka jest już w łóżku. A jeśli chodzi o moje życie prywatne, bo to się właśnie tak nazywa, głównie cię obchodzi, z kim się spotykam, kiedy i co z tym kimś robię. A teraz, bardzo proszę, dopij swojego drinka i spieprzaj stąd. Miałam dziś ciężki dzień i nie zamierzam cię znosić ani minuty dłużej.

– Nigdzie nie pójde, dopóki wszystkiego mi do końca nie wyjaśnisz.

Kate była już na dobre rozdrażniona.

– A co ja mam ci do końca wyjaśniać, na miłość boską? Jestem dorosłą dziewczyną, Dan. To, co robię, nie jest twoją sprawą!

– To jest także moja sprawa, kiedy ma to wpływ na zdrowie mojej córki.

Powiedział to tak cicho, że z trudem dosłyszała jego słowa. Uniosła brwi.

– Co powiedziałaś? - zapytała. Jej głos zabrzmiał jak syk jadowitego węża i Dan powinien był wyczuć zawarte w nim ostrzeżenie.

– Słyszałaś.

Podeszła do niego. Patrzył, jak rozstępuje się przed nią przód szlafroka, odsłaniając nogi. Zawsze miała ładne nogi.

– Posłuchaj mnie, znosiłam cię tutaj długo, tylko dla Lizzy. Ale teraz cię ostrzegam, zostaw mnie w spokoju. Ja nie żartuję. Precz z moich oczu!

Dan roześmiał się.

– Mój Boże, nawet już mówisz jak gangster! Ty mnie ostrzegasz? Robisz z siebie dziwkę, wiesz? Nic dziwnego, że Lizzy robiła to, co robiła, mając ciebie za przykład!

Piosenka Sad Cafe właśnie się skończyła i odgłos, który rozległ się, kiedy Kate trzasnęła go otwartą dłonią w policzek, zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Dan odstawił szklanę. Aż trząsał się ze złości. Trzeba mu było jednak oddać, że nigdy nie ośmielił się podnieść ręki na kobietę. Łamał im serca, wykorzystywał je, nadużywał ich zaufania, ale uważał się za dżentelmena i unikał stosowania przemocy fizycznej.

– Gdyby naprawdę obchodziła cię Lizzy, Dan, widywałbyś ją o wiele częściej przez te wszystkie lata. Próbowalbyś dać jej poczucie bezpieczeństwa, miłości i akceptacji z twojej strony. Lizzy jest, jaka jest, ponieważ to ty właśnie ciągle pojawiałeś się i znikaleś z jej życia, budując w niej nietrwałe nadzieje, które bezlitośnie burzyłeś. Moja wina w tym wszystkim polega na tym, że wpuszczałam cię do mojego domu. A to był dla ciebie zaledwie jeden z wielu domów, wesoły przerywnik pomiędzy innymi kobietami i innymi domami, w których zamieszkiwałeś. Wydawało mi się, że spotkania z tobą dobrze wpływają na Lizzy. Ale niestety, Danny, sympatyczny chłopcze, od dzisiaj, jeśli Lizzy zapyta mnie o cokolwiek, co będzie związane z tobą, nie usłyszy przesłodzonej, ocenzurowanej wersji, a jedynie prawdę. Powiem jej, że tak naprawdę, to jej ojciec jest zwykłym łajdakiem!

Dan przyłożył dłoń do piersi Kate i z całej siły pchnął ją do tyłu. Wylądowała na kanapie.

Jego twarz była aż szara od gniewu, jednak mówiąc, zachowywał spokój.

– A co powiesz jej o sobie? Będziesz opowiadać o wspaniałej Kate, o cudownej kobiecie? Kate, jesteś modliszką, dlatego cię opuściłem! Zawsze chciałaś ode mnie tylko tego, żebym był twoją bezwonną własnością! Chciałaś jedynie, żebym był taki, jakiego ty mnie zapragniesz. Posłuchaj mnie i nie uroń ani słowa. Zawsze uważałem cię za dobrą kobietę, ale kiedy mi powiedziano, że flirtujesz z Patrickiem Kellym, przejrzałem cię wreszcie. I nie pozwolę, żebyś pociągnęła moją córkę za sobą! Kiedy wyjdzie ze szpitala, zaproponuję, żeby zamieszkała ze mną. A kiedy opowiem jej o Patricku Kellym, myślę, że nie będzie wiele się zastanawiać, jaką podjąć decyzję.

Kate wyprostowała się, kompletnie zaskoczona.

– Nie wierzę w to, co słyszę.

– A co na to wszystko twoi przełożeni? Chciałbym dowiedzieć się, co sądzą o tym, że ich detektyw inspektor spotyka się z tym cholernym łajdakiem?

Nagle Kate miała już tego dosyć.

– Idź stąd, zanim oboje powiemy coś, czego będziemy później żałować. Lizzy wróci do tego domu tylko na krótko. Napisałam do mojego brata w Australii list z pytaniem, czy przyjmie do siebie Lizzy i

Evelyn na dłuższe wakacje. Uważam, że zmiana otoczenia i trochę słońca mogą jej bardzo pomóc. Teraz Lizzy potrzebuje spokoju i bardzo prostego życia, czasu, żeby wyciągnąć wnioski z tego, co się jej przydarzyło. Jeśli spróbujesz się temu sprzeciwić, urządzę cię tak, że popamiętasz mnie do końca życia, Dan. Ja nie żartuję. Nie zrujnujesz mi tego dziecka, nie dopuszczę do tego. Poza tym powiem ci, co cię boli, Dan. Jesteś zazdrosny, bo oto dowiadujesz się, że się z kimś spotykam, być może mam romans. Dobra prostolinijna Kate, która zawsze na ciebie biernie czekała, teraz ma mężczyznę! Niesłychane! I możesz mi wierzyć, Dan, ten facet bardziej jest mężczyzną, niż ty nim kiedykolwiek byłeś, w łóżku czy w jakimkolwiek innym miejscu!

Słowa te wypowiedziane zostały w złości i w bólu, jednak wyraz twarzy Dana nie pozostawiał wątpliwości, że spełniły swoje zadanie. Zawsze uważał się za doskonałego kochanka, mężczyznę uwielbianego przez kobiety. Wiódł żywot, w którym na pierwszym miejscu stawiał uciechy ciała. A teraz, gdy znudziła mu się taka egzystencja, jak domek z kart rozsypywała się jego ostatnia nadzieja na rozpoczęcie normalnego życia, w normalnej rodzinie. Kate triumfowała. Wreszcie powiedziała mu prawdę, wreszcie odegrała się za lata poniżeń.

– Sympiasz więc z nim? Czy to prawda?

Nagle jakby opuściła go cała agresja i chęć walki. Przygarbił się. W ciągu kilku sekund Kate zobaczyła, że jego ciało zwiotczało, dostrzegła wypukły brzuch, który tak bardzo starał się dotąd skrywać, ujrzała opuchliznę pod oczami, bez wątpienia skutek alkoholu pitego w nadmiarze i braku snu, zauważyła, jak luźno chodzi mu szczęka, wskazując na jego prawdziwy wiek. Zobaczyła Dana takim, jakim naprawdę był, a to oznaczało absolutny koniec jego mitu.

Przez całe lata Dan nieodmiennie potrafił zdobywać względy Kate kilkoma słodkimi słówkami, kilkoma wystudiowanymi pieszczotami. Lecz dzisiaj zdał sobie nagle sprawę, i to bez cienia wątpliwości, że tym razem spotkanie z byłą żoną rozegrał fatalnie.

Kate w końcu nieodwołanie dorosła. I w tej dorosłości nieuchronnie oddaliła się od niego. Fanfaronada i patos już na nią nie działały, ponieważ nie dbała o to, co Dan myśli i czego chce. Ale najgorsze w tym wszystkim było dla Dana to, że nigdy dotąd nie wyglądała w jego oczach tak ślicznie, z płonącymi policzkami i włosami rozrzuconymi na ramionach, i nigdy j jej nie pożądał tak j ak dzisiaj.

Zaprzagnął rzucić się na nią, zaprzagnął osiąść ją właśnie w tej chwili, na tej kanapie, tak jak to czynił dawniej. Kate nigdy się nie broniła, kiedy jej dotykał. Teraz pewnie by początkowo krzyczała, opierała się, ale w końcu by mu i tak uległa, i wszystko znowu byłoby jak dawniej - dopóki natura wędrowca ponownie nie pchnęłaby go w drogę. Wtedy znów pognąłby w świat, na nowy popas, w pogoni za nowymi twarzami,

nowymi znajomymi i za zupełnie innym życiem.

Kate usłyszała, że ktoś stuka w szybę, i natychmiast popatrzyła na Dana. Kto to mógł być?

Przeszła przez pokój i odgarnęła zasłonę. Dan patrzył za nią i nagle dostrzegł w jej oczach przerażenie.

– Kto to? Czy to ktoś ze szpitala? - Jej głos przepełniony był troską o Lizzy. Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści; przecież nikt rozsądny nie składał wizyt o takiej porze, na dodatek w taki dziwny sposób.

– To chyba twój chłopak. Wygląda na to, że chce cię jeszcze dzisiaj zaliczyć przed snem.

Jego słowa dotarły do Kate dopiero po kilku sekundach. Patrick? Tutaj? Ruszyła do holu, żeby otworzyć drzwi, ale Dan złapał ją za rękę.

– Nie otwieraj, Kate, proszę. Zrobię wszystko, co zechcesz, możemy znowu się pobrać, ale proszę, nie otwieraj mu drzwi. Jeśli to zrobisz, pozostanie to już na zawsze pomiędzy nami.

Kate wbiła spojrzenie swoich ciemnych oczu w błękitne oczy Dana. Dostrzegła w nich bezradne pragnienie. Ale teraz to ona była górą, po raz pierwszy od dnia, kiedy go poznała, i jego pragnienie już się nie liczyło. Za drzwiami stał Patrick Kelly, i to właśnie on się dla niej liczył, nikt inny.

Kate nigdy nie kochała tak siebie, kochała zawsze w stu procentach i teraz, patrząc jej w oczy, Dan zrozumiał, że związek pomiędzy nimi skończony jest raz na zawsze. Nie był zdziwiony, gdy wyszarpnęła mu rękę i, wygładzając szlafrok, ponownie skierowała się do drzwi. Te kilka kroków ostatecznie zerwało pomiędzy nimi jakikolwiek związek.

Patrick stał zakłopotany na progu. Zauważył światło w salonie i dziwił się, dlaczego Kate tak długo nie otwiera. Było mu trochę głupio, że przyszedł tak późno, ale pchała go ku niej siła, której nie potrafił się przeciwstawić. Siedział sam w domu, w głowie kłębiły mu się wspomnienia o Mandy, jak zawsze, kiedy nie miał nic ważnego do zrobienia, i nagle poczuł, że musi zobaczyć się z Kate. Wsiadł do BMW i przyjechał pod jej dom sam, bez kierowcy. Teraz dopiero dochodził do wniosku, że nie był to najlepszy pomysł.

Odgłos kroków na posadzce podpowiedział mu, że Kate podchodzi do drzwi. Kiedy je otworzyła, uśmiechnął się do niej szeroko.

– Wiem, że jest późno, ale widziałem, że światła się palą... - Urwał, jakby zabrakło mu tematu.

Kate jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyła się z niczyjej wizyty tak bardzo jak dzisiaj.

– Wejść do środka, na dworze jest mróz.

Ruszył za nią przez hol do salonu. Nie zdziwiła się, stwierdziwszy, że nikogo w nim już nie ma. Otwierając Patrickowi, usłyszała cichy trzask

zamykających się tylnych drzwi. O Danie można było powiedzieć wiele, ale nie to, że grzeszył nadmiarem odwagi.

– Napijesz się czegoś? Herbaty? Kawy? Brandy? - Na stoliku, tam, gdzie ją zostawił, ujrzała szklanę Dana z resztą alkoholu.

– Chętnie napiję się kawy. Dzisiaj, niestety, sam prowadzę samochód. Gdzie jest twoja matka?

– W łóżku. Podałam jej tabletki nasenne. To, co się działo z Lizzy, bardzo nią wstrząsnęło. - Kate sama była zdziwiona, jak spokojnie i normalnie brzmi jej głos.

– Jak się ma Lizzy?

– Już lepiej. Zmiana otoczenia dobrze na nią wpływa. Może to zabrzmi dziwnie, ale z tego, co powiedział lekarz, wynika, że szpital to środowisko wolne od stresów. Daje ludziom czas na zebranie myśli i podejmowanie decyzji, bez żadnej zewnętrznej presji.

Wyszła do kuchni i nastawiła czajnik z wodą na gaz. W kuchni paliła się tylko mała lampka nad stolikiem. Górnych świateł Kate nie włączyła. Patrick podążył za nią i zdjął płaszcz. Widział zarys jej ciała poprzez materiał szlafroka i poczuł przypływ pożądania. Podszedł do niej od tyłu i objął ją ramieniem w talii.

Kate odwróciła się, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła jego twarz do swojej twarzy. Nagle desperacko go zapragnęła. Zdawała sobie sprawę, że Patrick stanowi dla niej potencjalne niebezpieczeństwo. Przecież żył tak, jak chciał, nie oglądając się na żadne konwenanse. Był łobuzem, draniem, łajdakiem, ale był też najbardziej ekscytującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Przez związek z nim mogła sobie zrujnować karierę, ale w tej chwili mało ją to obchodziło.

Był przy niej, pożądał jej i, o Boże, jak bardzo ona pożądała jego! Po sprzeczce z Danem pragnęła zatopić się w czyichś ramionach, być kochaną, chcianą, pożądaną.

Patrick rozwiązał pasek jej szlafroka i delikatnie przesunął dłonią po jej piersiach. Kate jęknęła mu do ucha. Raz posmakowawszy tego, co potrafił kobiecie zaoferować Patrick Kelly, gotowa była podjąć każde ryzyko, byleby tylko jej tego nie odmówił.

Oddała mu się, nieświadoma, że Dan przygląda im się przez kuchenne okno. Kiedy zobaczył swoją żonę, jak wciąż myślał o Kate, obejmującą nogami tułów Patricka Kelly'ego, poczuł do niego czystą nienawiść.

Dysponował teraz czymś, co będzie mógł wykorzystać przeciwko niej. Pójdzie z tym prosto do jej szefa. Przekona się, co szef policji myśli o całej tej sytuacji. Powoli, ostrożnie, odszedł od okna.

Dzisiejsze doświadczenia nauczyły go jednego: perspektywa zemsty wcale nie jest słodka. Wręcz przeciwnie, ma bardzo cierpki posmak.

Elaine i Hector Henderson zabawili się doskonale, dlatego Elaine zjawiała się w domu dopiero trzydzieści minut po północy. Weszła do środka na palcach, zachowywała się bardzo cicho, i dopiero, kiedy zaczęła gramolić się po schodach do sypialni, w ciemności odezwał się do niej George. Przerazona, krzyknęła wniebogłosy.

– Och, George! Ty cholerny głupcze! Prawie dostałam przez ciebie ataku serca.

Włączył światło w holu i ujrzał zaczerwienioną i zdenerwowaną Elaine, siedzącą na najniższym stopniu schodów, z rękami przyłożonymi do serca. Jej rozwiane rude włosy robiły takie wrażenie, jakby przed chwilą została porażona prądem.

– Przepraszam, kochanie. Wróciłaś bardzo późno.

– Dlaczego siedziałeś po ciemku, czekając, aż wrócę? Sprawdzasz mnie, George?

Głos Elaine był niebezpiecznie niski. Jak większość winnych partnerów w związku, za najlepszą obronę uznała atak.

George zmierzył ją długim, nieprzyjemnym spojrzeniem. Chyba nie pomyślała, że jest zazdrosny? Na Boga, kto chciałby jej dotknąć?!

– Oczywiście, że cię nie sprawdzam. Po prostu znów dopadł mnie ból głowy.

Elaine popatrzyła na niego uważnie. Poprzednia kłótnia i zrzędliva Elaine walczyła w niej z tą nowszą bardziej pewną siebie i swobodniejszą. Gdy tak patrzyła na męża, przyszło jej do głowy, że już nawet go nie nienawidzi! Nie odczuwała wobec niego zupełnie nic i wcale nie była pewna, czy ta sytuacja jest lepsza niż poprzednia. Kiedy się nienawidzi, przynajmniej się coś odczuwa.

– Może zrobię ci coś gorącego do picia i przyniosę na górę, co, kochanie?

– Doskonale, George.

Elaine zaczęła wspinać się po schodach. Była zmęczona. To George zawsze sprawiał, że czuła się zmęczona i zniechęcona do wszystkiego. Dobrze, że miała Hectora.

Kiedy kilka chwil później George przyniósł jej filiżankę herbaty, siedziała w gorsecie na toalecie i zdejmowała pończochy. George postawił filiżankę na nocnym stoliku i obserwował ją, zaskoczony, że tak bardzo schudła. Jej nogi nabierały całkiem sympatycznego kształtu! Kiedy ściągnęła pończochy i zaczęła wymachiwać stopami, George zauważył na jej szyi drobne czerwone ślady. Jego usta z miejsca ułożyły się w ponurą linię. Elaine uniosła ręce i rozpięła złoty medalion; przy tym ruchu jej wielkie piersi uniosły się wysoko w biustonoszu z fiszbinami. Poruszała się zupełnie naturalnie, swobodnie. Po wielu latach związku, podczas których mąż nie zwracał na nią najmniejszej

uwagi, traktowała go jak powietrze. W pewnym momencie zerknęła na niego i drgnęła, stwierdziwszy, że George się jej przypatruje.

– O co znowu chodzi, George? - zapytała obojętnie, nie oczekując odpowiedzi.

Nadal na nią patrzył. Otworzyła pudełko na biżuterię, w którym trzymała swoje

skarby, i wrzuciła do niego naszyjnik.

– Och, przy okazji, George, mam tutaj twoją szpilkę do krawata. - Wysunęła jedną z szuflad, wyciągnęła z niej okrągłe pudełeczko i rzuciła mu je. - Nie wiem, co mnie naszło, żeby zamykać ją w mojej szufladzie. Miałam dać ci ją już wczoraj, ale zapomniałam.

George złapał pudełeczko i je otworzył. Ujrzał swoją szpilkę. Na twarzy wykwitł mu najszerszy z uśmiechów. Podszedł do Elaine, objął ją i pocałował w czoło.

– Spokojnie, George. - Odepchnęła go z wielkim obrzydzeniem, ale był zbyt szczęśliwy, żeby to dostrzec.

Miał swoją szpilkę do krawata.

Nie zginęła.

Nie zostawił śladów.

Był wolny jak ptak.

Kate obudziła się z uczuciem leniwej euforii, która miała źródło gdzieś w jej nogach i w trakcie nocy rozeszła się po całym ciele. Czuła na sobie zapach Patricka Kelly'ego. Naciągnęła na siebie całą kołdrę, by poczuć go jeszcze mocniej, i przez kilka chwil głęboko oddychała zapachem, który po sobie pozostawił.

Wynurzywszy się wreszcie spod pościeli, stwierdziła, że na dworze jest już jasno. Zasłony na oknach były rozsunięte na jakieś dwa cale i pomiędzy nimi widziała błądy świt. Popatrzyła na budzik. Szósta piętnaście. Miała jeszcze czas, żeby trochę poleżeć i porozmyślać nad tym, co się stało wieczorem i w nocy. Nie o kłótni z Danem, on już mógłby dla niej nie istnieć, ale o Patricku. Patrick Kelly... Nawet wymawianie jego nazwiska sprawiało jej radość.

Należał do niej, a przynajmniej tak właśnie to odczuwała. W tej chwili zupełnie to jej wystarczało.

Dotąd żyła w całkowitej próżni. Dopiero teraz, w wieku czterdziestu lat, wreszcie dowiadywała się, o co tak naprawdę chodzi w życiu. Dowiadywała się przynajmniej tego, ile w życiu potrafi zmienić miłość.

Gdyby jeszcze tylko mogła umieścić w tym życiu dawną, grzeczną Lizzy, wszystko byłoby prawie doskonałe. Prawie doskonałe, ponieważ zdawała sobie sprawę, że absolutna doskonałość jest niemożliwa.

Dlatego to sformułowanie, „prawie doskonałe”, całkowicie jej pasowało.

Zadzwonił telefon stojący na nocnym stoliku.

– Halo.

– Kate? Tu Amanda. Znaleźliśmy ciało Louise Butler.

Kate głęboko odetchnęła.

– Gdzie?

– W starym kamieniołomie. Posłuchaj, nie chciałabym mówić za dużo przez telefon. Raczej nie przegapisz tego miejsca, dookoła jest już pełno naszych samochodów. Tam się spotkamy.

Kate odłożyła słuchawkę i wyskoczyła z łóżka. Kiedy brała prysznic, nie myślała już o niczym innym, jak o tym, co ją czeka w pracy. Jak zawsze podczas ważnego śledztwa, kiedy na światło dzienne wychodziło coś konkretnego, koncentrowała się wyłącznie na tym. W jej głowie nie było już miejsca dla Patricka, Lizzy i Dana. Myślała jedynie o Louise Butler. Kiedy zeszła na dół, gotowa do wyjścia, jej matka stała w holu z filiżanką kawy dla niej i z zapalonym papierosem, także dla niej.

– Pięć minut cię nie zbawi, Kate. Co się stało?

Kate z wdzięcznością przyjęła kawę i głęboko zaciągnęła się papierosem. Przez chwilę kaszłała, po czym wypła kolejny łyk.

– Znalaziono zwłoki Louise Butler.

– Boże, zlituj się nad biednym dzieckiem. Jesteś gotowa, żeby je zobaczyć?

– Tak jak zawsze.

Kate oddała filiżankę matce. Nakładając płaszcz, papierosa trzymała między zębami. Dym unosił się do jej oczu, powodując nieprzyjemne pieczenie. Po chwili pocałowała Evelyn i ruszyła do drzwi.

– Powiedz Lizzy, że wpadnę do niej wieczorem, dobrze? Nie mogę obiecać, że wyrobię się do popołudnia, ale mimo wszystko spróbuję.

Jeszcze raz pocałowała matkę i wyszła z domu. Poranek był bardzo chłodny, dlatego od razu postawiła kołnierz płaszcza.

Na miejsce jechała z mieszaniną niepokoju, połączonego z ekscytacją. Boże, niech przy zwłokach znajdzie się coś, co pozwoli szybko złapać mordercę. Nie prosiła o wiele.

Do kamieniołomu dotarła przed Caitlinem i, ślizgając się po luźnych kamieniach, zeszła w dół, ku miejscu zbrodni. Kiedy znalazła się przy zwłokach, pożałowała, że wciąż nie leży w łóżku.

Ciało dziewczyny było zakryte. Gdy ściągnięto z niego brezent, Kate poczuła mdłości.

Detektyw sierżant Spencer, obserwujący ją wymownie wznosił oczy.

– Musiał tu wrócić i ją odkopać - powiedziała nagle Kate. Spencer popatrzył na przelożoną ze zdziwieniem.

– Słucham panią? Odkopać? - W jego głosie brzmiał sceptycyzm. - Według mnie to jakieś zwierzę ją odgrzebało.

– Rozumiem, że w pierwszej chwili można wysnuć taki wniosek, ale popatrz tylko, jak ten piach dookoła jest starannie uklepany. Poza tym spójrz na jej włosy, zostały niemal uczesane. Niestety, nasz zabójca tu wrócił i z jakiegoś powodu ją odkopał. Zakryj ją, Spencer. Gdzie jest patolog?

– Schował się w jednym z pojazdów, proszę pani.

Kate podeszła do dużego policyjnego radiowozu i zajęła miejsce na tylnym siedzeniu.

– No i co wiemy do tej pory? Czy mam rację, uważając, że nasz człowiek wrócił tu, żeby ją odkopać?

– Wspaniale! Jesteś dziś w najwyższej formie, Kate! Owszem, jestem skłonny uznać, że niedawno ją odgrzebano. Obrażenia na twarzy powstały sporo po jej śmierci, dam za to każde pieniądze.

Kate była zaskoczona.

– Chcesz powiedzieć, że facet wrócił, odkopał ją i znowu zaatakował?

– Strzał w dziesiątkę. Niezłego przyjemniaczka szukasz, nie zazdrozczę ci. Patrz, zjawił się Caitlin. Niezbyt dobrze wygląda, poranne wstawanie nigdy mu nie służyło.

Kate patrzyła, jak Caitlin niezgrabnie zbliża się do zwłok Louise Butler.

– Jeszcze jedno, Katie. Tej nocy dziewczynę rozebrano do naga. Facet zwykle nie zostawia na nich ubrania, zrywa bieliznę. Nie znalazłem świeżych śladów aktywności seksualnej, ale sądząc po śladach na jej skórze, w szczególności pośladkach, muszę powiedzieć, że ktoś ją szarpał, i to dość gwałtownie. Oczywiście, o wiele więcej dowiesz się ode mnie po sekcji. Raport przygotuję najszybciej, jak będę mógł. Rzucam wszystko i zabieram się wyłącznie do tego. Nie cierpię takich śmierdzieli, Kate, szczególnie jeśli są to młode dziewczyny. Przez całe dni będę czuł formaldehydy przy jedzeniu.

Kate zerknęła na medyka sądowego i postanowiła nie komentować jego wypowiedzi. Skinąwszy mu głową, wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku Caitlina. „Nie cierpię takich śmierdzieli!” W końcu facet mówił o bestialsko zamordowanej piętnastoletniej dziewczynie! Kate mogła mieć tylko nadzieję, że sama nigdy nie będzie podchodziła do swojej pracy z takim cynizmem.

– Cześć, Katie, kochanie. - W zimnym wietrze dotarły do niej słowa Caitlina, wypowiedziane z wyraźnym irlandzkim akcentem. - Pieprzony drań ją odkopał!

Kate była mu wdzięczna za tę wyraźnie słyszalną udrękę w głosie. Skoro poruszony był nawet tak twardy i doświadczony policjant jak

Caitlin, istniała nadzieja i dla niej.

– Cóż, proszę pana, oszczędził nam roboty, co? - Spencer zwrócił na siebie uwagę Caitlina, Kate i zgromadzonych dookoła mundurowych policjantów.

– Och, tak, synu, rzeczywiście oszczędził nam roboty. - W głosie Caitlina brzmiał sarkazm. - Szkoda, że nie wszyscy zbrojeńcy, którzy zakopują swoje ofiary, później je z powrotem odkopują. Oszczędzilibyśmy fortunę na poszukiwaniach. Ty głupcze! Zejdź mi z oczu, zanim ci skopię tyłek!

Zawstydzony Spencer natychmiast ruszył do swojego samochodu. Kate trochę mu współczuła. W końcu wiedziała, o co mu chodziło. Pomimo ponurych okoliczności najważniejsze było to, że zwłoki się znalazły. Pomyślała przelotnie o pani i panu Butler. Biedni rodzice.

– Medyk sądowy uważa, że minionej nocy znowu ją zaatakował. Nie jest jednak pewien, czy ten atak miał podłoże seksualne. Uważa, że morderca na pewno zmasakrował jej twarz, ale dowodów napaści seksualnej nie znalazł.

– Może się nad nią onanizował.

– Nie jestem pewna. Popatrz tylko, jak ułożył jej włosy, jak starannie wygładził piasek wokół niej. Moim zdaniem przeszukiwał ją. Wiemy, że to zbrojeniec i dewiant seksualny.

Kate uklękła przy zwłokach, z trudem zwalczając obrzydzenie. Odór gnijącego ciała był niemal nie do wytrzymania.

– Przypuśćmy, iż przyszło mu do głowy, że zostawił przy niej jakiś obciążający go dowód? Cokolwiek, nieważne co. Wrócił więc, odkopał ją i przeszukał. A kiedy nie znalazł tego, czego szukał, a może nawet mimo że to znalazł, zaatakował zwłoki. Kierował się zapewne swoją własną, pokręconą logiką.

Caitlin pokiwał głową.

– Zawsze byłeś inteligentną dziewczyną, Katie. Prawdopodobnie masz rację. Ale facet popełnił w końcu swój największy błąd. Wkurzył mnie, Kate... Tego już nie zdzierzę. Kiedy go dopadniemy, a na pewno go dopadniemy, osobiście wypiorę mu ten jego popaprany mózg. - Rozejrzał się po umundurowanych policjantach, otaczających miejsce zbrodni, i krzyknął: - Gdzie są technicy, do diabła? Włóżcie to dziecko do plastikowego worka i zabierzcie je stąd!

Kate wyprostowała się. W szarym świetle budzącego się dnia Caitlin wyglądał okropnie. Na jego zniszczonej twarzy z szarym zarostem pojawiło się cierpienie. Mimo wszystkich jego przewin i przywar, a miał ich mnóstwo, w tej chwili Kate niemal go kochała.

– Chodźmy, wracajmy na komisariat i pozwólmy technikom zrobić tu swoje - powiedziała do niego. Ujęła go pod rękę i zaczęła delikatnie

odciągać od zwłok. - Napijemy się gorącej kawy - dodała.

Nie uszło uwagi nikogo, że nie wspomniała o śniadaniu.

Ronald Butler powoli wszedł do kostnicy w podziemiach Grantley Hospital. Kate szła za nim. Jeden z pracowników ściągnął ze zwłok białe prześcieradło i Ronald Butler ujrzał ciało swojej córki. Kate odwróciła głowę. Jedyne kątem oka dostrzegła, że dłoń mężczyzny powędrowała do ust.

- Czy to pańska córka? - zapytała cichym głosem. Formalna identyfikacja była koniecznością.

Mężczyzna skinął głową a potem zgiął się w pół. Pracownik kostnicy szybko zakrył Louise i razem z Kate doskoczył do Butlera, który przyciskał dłoń do piersi. Kiedy Butler opadł na podłogę, Kate krzyknęła:

- Niech pan natychmiast zawoła tu zespół reanimacyjny! On ma atak serca!

Kiedy pracownik wybiegł, Kate rozpięła Butlerowi koszulę i poluźniła krawat.

Ronald Butler był szary na twarzy, a na jego skórze pojawiła się cienka warstwa potu.

Usta zrobiły się niebieskie. Kate pochyliła się nad nim i zbadała puls na szyi. Był ledwo wyczuwalny. Zacisnąwszy palce obu dłoni, mocno zaczęła nimi ugniatać klatkę piersiową mężczyzny.

Och Boże, niech się tylko pośpieszą!

Jej prośba została wysłuchana, ponieważ niemal w tej samej chwili usłyszała, jak zespół reanimacyjny ze sprzętem wbiega przez plastikowe drzwi do kostnicy.

Kontynuowała masaż serca, dopóki ratowaniem Ronalda Butlera nie zajęli się

fachowcy. Po kilku minutach usłyszała, że nieszczęśnik oddycha już stosunkowo normalnie. Odczekała, dopóki nie ułożono go na noszach i nie przygotowano do transportu na oddział intensywnej opieki. Butler mocno ścisnął rękę Kate:

- Niech pani powie mojej żonie, bardzo proszę... Żeby się nie martwiła.

- Oczywiście, powiem jej. - Kate poczuła ogień we własnych piersiach. Nie był to fizyczny ból, lecz nienawiść, jaka wzbierała w niej od samego rana.

- Louise była całym naszym życiem. Mieliśmy nadzieję... Mieliśmy mimo wszystko nadzieję, że wróci do domu. Wie pani... - Zacisnął oczy, żeby powstrzymać napływające łzy. - Że mimo wszystko gdzieś żyje. Gdziekolwiek.

Kate czuła rozpacz mężczyzny, jakby to było coś namacalnego. Kiedy wózek z noszami wytoczono, uklękła i podniosła z podłogi torebkę, którą odrzuciła od siebie, gdy Ronald Butler upadł. Powstawszy, powróciła do zwłok Louise Butler i zsunęła prześcieradło z jej twarzy.

Piętnaście lat. Kochana i uwielbiana. Całe życie było przed nią. A w tej chwili pozostała z niej tylko krwawa miazga.

Ciężko przełknąwszy ślinę, Kate wyszła z kostnicy. Postanowiła wziąć udział w sekcji zwłok, ruszyła więc do gabinetu patologa, żeby poczekać, aż ciało Louise Butler zostanie ułożone na ceramicznym stole. Tam dopiero będzie systematycznie cięte na drobne kawałki.

Ronald Butler sprawił, że zrozumiała, jak po omacku i bez celu prowadzone było dotąd całe śledztwo. Przecież jego córka nie żyła, nie żyła Mandy Kelly, martwa była także Geraldine O'Leary. Trzy kobiety, zgwałcone i zamordowane w ciągu niecałych siedmiu tygodni.

Trzeba złapać mordercę, zanim uderzy znowu, a tymczasem policja nie ma żadnego punktu zaczepienia. Dosłownie nic. Każdy ślad prowadził donikąd. Zbrodniarz albo był bardzo sprytny, albo po prostu miał szczęście. Albo i to, i to. Dlaczego?

Wciąż się nad tym zastanawiała, kiedy rozpoczynała się sekcja. Otrzymała małą białą maseczkę i kiedy patolog naciął Louise Butler od mostka po pępek, w duchu mu za tę maseczkę podziękowała. Odór gazów znajdujących się w ciele był porażający.

Kate obserwowała pracę patologa piekącymi oczyma. Znowu poczuła ogień w piersiach. Tym razem o wiele mocniejszy.

Rozmyślała, jakim człowiekiem musi być ktoś, kto zgwałcił, zamordował i pogrzebał młodą dziewczynę, a potem do niej powrócił, wykopał z ziemi zwłoki i okaleczył je.

Takiego zwyrodnialca trzeba złapać bez względu na wszystko.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kate była przygnębiona. Właśnie otrzymała informację, że zarówno zwłoki Geraldine O'Leary, jak i Mandy Kelly można wydać rodzinom w celu pochowania. Postanowiła sama im o tym powiedzieć, chociaż podjęła tę decyzję z ciężkim sercem.

Do domu O'Learych pojechała z uczuciem trwogi. Zatrzymała samochód na ulicy, niedaleko, i przez kilka minut siedziała za kierownicą, wpatrując się jedynie w budynek. Firanki w oknach były nieskazitelnie białe. Bez wątpienia albo Mick O'Leary był dobrym panem domu, albo ktoś mu pomagał w porządkach. Pewnie matka Geraldine; Kate spotkała ją kiedyś i odniosła wrażenie, że to zaradna i zorganizowana kobieta. Wziąwszy głęboki oddech, wysiadła w końcu z auta i zamknęła drzwi na kluczyk. Powoli podeszła do domu i zadzwoniła.

Drzwi otworzyła jej Kathleen Peterson, matka Geraldine, ze swą najmłodszą wnuczką, Sophie, na rękach. Kate wyobraziła sobie Geraldine obok dziewczynki: obie miały takie same długie, ciemne włosy i leszczynowe oczy o kształcie migdałów. Uśmiechnęła się.

– Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Jestem detektyw inspektor Burrows...

– Tak, tak, kochana. Niech pani wejdzie.

Kobieta odsunęła się od drzwi i Kate mogła wejść do małego przedsiionka.

– Proszę za mną.

Poprowadziła Kate na lewo i po chwili obie weszły do salonu. Na dywanie porozrzucone były zabawki. Telewizor był włączony; na fotelu przy kominku siedział Mick O'Leary i wpatrywał się w ekran. Na jego widok Kate niemal doznała szoku. Mick O'Leary garbił się jak staruszek, od wielu dni się nie ogolił, a jego ubranie było pomięte i brudne.

Kathleen Peterson podchwyciła spojrzenie Kate i wzruszyła ramionami. Nieznacznym gestem nakazała jej przejść do kuchni.

Postawiwszy Sophie na podłogę, cicho zamknęła kuchenne drzwi.

– Niech pani usiądzie. Napije się pani kawy? A może herbaty? - Chętnie wypiję kawę. Bez cukru.

Kathleen nalala wodę do czajnika, a tymczasem Kate obserwowała dziecko. Stało na podłodze dokładnie w tym miejscu, w którym je postawiła babcia, i uważnie śledziło każdy jej ruch. Kate uśmiechnęła

się, ale Sophie popatrzyła na nią tylko przelotnie i nadal wpatrywała się w babcię.

Kiedy Kathleen postawiła przed Kate filiżankę z kawą, usiadła przy małym stoliku, a czekające na nią dziecko posadziła sobie na kolanach. Sophie przycisnęła się do jej piersi i wsunęła sobie palec do ust. Przez kilka chwil wierciła się niecierpliwie, aż wreszcie uznała, że zajęła już odpowiednio wygodną pozycję. Kathleen odgarnęła z jej czoła włosy i popatrzyła na Kate.

– Najmłodsze dziecko bardzo to przeżyło. Zresztą tak jak oni wszyscy. Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ma pani już jakieś wiadomości... o tym mężczyźnie?

Kate potrząsnęła przecząco głową.

– Przyszłam tu, bo chodzi o Geraldine. Możecie już państwo odebrać jej zwłoki i urządzić pogrzeb.

Kobieta upiła łyk kawy z własnej filiżanki i drżącymi rękami odstawiła ją z powrotem na podstawek.

– Dzięki Bogu. Myślę, że jeśli... Jeśli pogrzebiemy ją, jak należy, nie będzie tak źle. Zapamiętamy ją...

– Wiem. Niech mi pani wierzy, rozumiem, co pani czuje. Proszę się teraz nie denerwować.

– To zabawne. - Kathleen przyjęła konfidencjonalny ton. - Przez wiele lat uważałam, że nic złego nie może nam się przydarzyć. Słuchałam różnych strasznych rzeczy w wiadomościach, o Suzy Lamplugh, morderstwach i gwałtach, i tak dalej. Myślałam, jakie to straszne, a potem wracałam do kuchni, żeby przygotować kolację, albo jeszcze coś innego, i zapominałam o tym wszystkim, rozumie pani? To zadziwiające, jak niewiele człowiek przejmuje się różnymi nieszczęściami, dopóki nie dotkną one jego samego. Jego własnej rodziny. Och, oczywiście, współczułam ofiarom i ich rodzinom, ale czy to było prawdziwe współczucie? A teraz nieszczęście spadło na mnie, rozpacz tkwi we mnie w każdej świadomej sekundzie. Czuję je, czuję jego obecność.

Kate siedziała w milczeniu, pozwalając kobiecie się wyzalić. Słusznie zgadywała, że jest pierwszą obcą osobą od wielu tygodni, która przekroczyła próg tego domu. Po pierwszym szoku ludzie zwykle omijają pogrążone w bólu rodziny ofiar przemocy szerokim łukiem. Może uważają, że trzeba je wtedy zostawić w spokoju, a może po prostu boją się, że ich nieszczęście przeniesie się na nich? Tak jakby tego rodzaju przypadłość była zaraźliwa.

– Któregoś dnia robiłam w mieście zakupy i spotkałam dziewczynę, która chodziła z Geraldine do szkoły. Miała ze sobą dzieci, dwóch chłopców. Urocze małe stworzenia. Przywitała się ze mną i przez chwilę rozmawialiśmy, a potem pomyślałam o niej: dlaczego to nie byłaś ty?

Dlaczego to musiała być akurat moja Geny? Później czułam się strasznie. Strasznie z tego powodu, że życzyłam jej i jej rodzinie tego, przez co my tutaj przechodzimy. Sama pani widzi, w jakim stanie jest Mick. Cały czas funkcjonuje na środkach uspokajających. Jak można życzyć bliźniemu czegoś podobnego? To jest ohydne. Ale i tak w głębi serca mam żal do całego świata, że ta tragedia dosięgła właśnie moje dziecko, a nie kogoś innego. Starsze wnuczeta chodzą już do szkoły, przybite, ale jakoś sobie dają radę, a to tu maleństwo kompletnie nie ma pojęcia, co się stało. Ciągłe się dopytuje, kiedy mamusia wróci do domu. Może po pogrzebie jakoś wszyscy dojdziemy do siebie? Po prostu pożegnamy się z nią? Rozumie pani...

Kate pokiwała głową, czując, jak w jej gardle rośnie wielka, ciężka kula. Upiła łyk kawy, żeby się jej pozbyć.

– Proszę się skontaktować z kostnicą, a Geraldine zostanie pani wydana.

– Geraldine zostanie wydana. - Kathleen uśmiechnęła się smutno. - Mojej Gerry już nie ma, pozostały po niej jedynie wspomnienia i zwłoki. No i dzieci. Tak bardzo chciałam być babcią. Teraz bezustannie przebywam z wnukami i wcale się z tego nie cieszę. Ale wszystkie nieszczęścia niebiosa zrzucają na nas po to, żeby nas poddać próbie. Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję. Będę musiała już iść.

– Czy wpadła pani chociaż na ślad tego, kto to zrobił? Mówią, że moja Gerry była pierwszą z trójki kobiet i ten facet uderzy znowu. Złapiecie go?

– Złapiemy. Mogę to pani obiecać.

Głos Kate był zdecydowany, mocny i Kathleen jej uwierzyła.

Sophie zeszła z kolan babci na podłogę. Podbiegła do tylnych drzwi i zsiadała się na wycieraczkę, z palcem wciąż wetkniętym do buzi. Kate ujrzała, jak Kathleen z przerażeniem wznosi oczy.

– Sophie, nie wypada tak się zachowywać. - Popatrzyła na Kate. - Ostatnio zdarza się to jej dość często. Zabawne, bo w nocy nigdy się nie zsiada. Chodź, paniusiu, ściągniemy z ciebie mokre majteczki i rajstopy. Ale jeśli się nie poprawisz, każę ci przez cały dzień chodzić w mokrej bieliźnie. Zobaczymy, czy ci się to spodoba.

Kathleen podeszła do dziecka, a Kate wstała.

– Muszę już iść, pani Peterson. Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

– Ja też mam taką nadzieję, kochana.

– Sama znajdę drogę do drzwi. Do widzenia.

– Do widzenia pani. Dziękuję, że przyszła pani do nas z wiadomością. Przynajmniej jeden problem wkrótce będziemy mieli z głowy.

Kate wyszła z kuchni i przeszła przez salon. Mick O'Leary wciąż wpatrywał się w migoczący ekran telewizora. Nawet nie zauważył, jak Kate weszła i wyszła.

Znalazłszy się na ulicy, poczuła się o wiele gorzej niż jeszcze przed godziną.

Patrick Kelly przebywał w West Endzie. Salony masażu, których był właścicielem, porozrzucane były po całym Londynie i okolicach. Dzisiaj odwiedzał Soho, teoretycznie po to, żeby poprzeglądać księgi rachunkowe, a praktycznie w celu przypomnienia ludziom swojej twarzy. W tym biznesie dobrze było nad wszystkim czuwać osobiście. Gdyby dziewczyny zwietrzyły szansę na rozluźnienie dyscypliny i chociaż najmniejszą okazję do nieróbstwa, natychmiast zaczęłyby z niej korzystać.

Kiedy zasiadł w prowizorycznym biurze, jego myśli natychmiast powędrowały ku córce. Księgi rachunkowe leżały przed nim otwarte. Gdyby ktoś tu wszedł, zrobiłby oficjalną minę i udawał, że je uważnie studiuje.

Pukanie do drzwi aż poderwało go z krzesła. Niemal natychmiast otworzyła je wysoka kobieta i bez zaproszenia wkroczyła do biura.

– Wszystko w porządku, Pat? Wszystko cacy?

Kelly pokiwał głową. Juliette Kingsley pracowała dla niego od wielu lat i jak wszystkie najważniejsze dziewczyny - to znaczy kobiety, które prowadziły salony - cieszyła się jego zaufaniem.

– Jeśli można, Pat, chciałabym cię o coś poprosić. - Usiadła na krześle po drugiej stronie biurka i wyciągnęła papierosa z leżącego na nim pudełka.

– Co jest, Ju? Jakież kłopoty?

– Coś w tym rodzaju. Ale nic wspólnego z tym przybytkiem. Pamiętasz mojego najmłodszego syna, Owena?

Patrick przez chwilę zastanawiał się, aż wreszcie przypomniał sobie wysokiego, jasnowłosego, przystojnego chłopaczka, zupełnie niepodobnego do matki.

– Tak. Co z nim?

Juliette z wahaniem przesunęła dłonią po krótkich blond włosach i Patrick ze zdumieniem stwierdził, że kobieta jest w najwyższym stopniu wzburzona.

– A znasz Jimmy'ego McDougalla, tego sutenera? - zapytała.

Pokiwał głową, zmarszczywszy czoło.

– Co z nim?

– Zaciągnął mojego chłopaka gdzieś na Piccadilly i teraz nie mogę go

znaleźć. Pat, wprost odchodzę od zmysłów! Chłopak ma dopiero dwanaście lat. Na ulicy mówią, że właśnie McDougall się nim zajął. Wiem, nigdy nie żyłam jak dziewica, nie zaprzeczam, ale wszystkie moje dzieci wychowuję porządnie, przecież wiesz. Moja najstarsza córka jest sekretarką, najstarszy chłopak studiuje na uniwersytecie, Owen też dobrze sobie radzi w szkole. To moje najukochańsze dziecko, Pat, moja mała niespodzianka, jak go nazywam. A teraz nie mogę jeść, nie mogę spać, nie wiem, co się z nim dzieje.

Patrick uważnie przyjrzał się Juliette. Wyglądała strasznie. A przecież w swoim czasie była jedną z najpiękniejszych dziewcząt w jego interesie. Zdołała kupić dom i przez wiele lat samodzielnie utrzymywała i dom, i męża, dopóki nie zapił się drań na śmierć. Patrick lubił ją i szanował.

– Porozmawiaj z McDougalem w moim imieniu. Wiem, że może jestem zbyt śmiała...

Patrick poczuł, jak wzbiera w nim złość. McDougalla uważał za zwykłe ścierwo.

Ścierwem był dla niego każdy, kto zarabiał na młodych chłopcach. Homoseksualiści nie interesowali go, o ile byli to świadomi swoich poczynań dorośli ludzie. Brzydzili go jednak mężczyźni, którzy sypiali z dziećmi, czy to chodziło o małych chłopców czy o dziewczynki. Na stręczeniu dzieci można było zarobić fortunę, ale Kelly nigdy się za coś takiego nie brał.

– Nie martw się, Ju. Owen wróci do ciebie za dwadzieścia cztery godziny. Idź już, wypij coś na uspokojenie, a ja zajmę się sprawą.

Ściągnięta twarz Juliette wygładziła się.

– Dziękuję, Pat. Gdybyś tylko wiedział, przez co przechodzę...

– Chyba doskonale wiem, Juliette.

– Tak, oczywiście. Przepraszam cię, Pat. Z tym zmartwieniem o Owena...

– Zostaw to mnie, dziewczyno. Od jak dawna go nie ma?

– Prawie od dwóch tygodni. Powiedziałam w szkole, że ma grypę. Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić...

– Jak doszło do jego spotkania z McDougalem?

– Z tego, co się dowiedziałam, jakiś jego kolega szkolny uciekł przed rokiem z domu. Biedak, nie mógł już dłużej wytrzymać z przyjacielem matki. Jestem pewna, że potrafisz to sobie wyobrazić. No i zadzwonił któregoś dnia do Owena i powiedział mu, jak to sobie fajnie żyje. Owen pojechał go odwiedzić i od tego czasu ani go nie widziałam, ani nie miałam żadnej wiadomości.

– Dobrze, już się tym nie martw. Jeśli przebywa z McDougalem, wkrótce wróci do domu, cały i zdrowy.

Juliette wstała i wyszła z pomieszczenia.

Patrick podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił. Postanowił raz na zawsze rozprawić się z McDougalem.

Tony Jones rozmawiał właśnie o czymś w Sexplosion z Emmanuelem, gdy do sklepu wkroczył Patrick Kelly i trzech potężnie zbudowanych mężczyzn.

– Wszystko w porządku, Jonesy? - Tony od razu zdał sobie sprawę, że głos Kelly'ego wcale nie brzmi przyjaźnie.

– Dzień dobry, panie Kelly. W czym mogę panu pomóc?

– Chciałbym się dowiedzieć, gdzie mogę znaleźć Jimmy'ego McDougalla. Teraz. Natychmiast.

Tony Jones wbił wzrok w czubki swoich butów. Jimmy McDougall nie był facetem, którego można by lekceważyć, ale takim facetem nie był też Patrick Kelly. Uznał, że z tej dwójki bardziej boi się Kelly'ego. Popatrzył na Emmanuela.

– No i co się gapisz, ty głupia cioto? Spierdalaj na zaplecze i posegreguj kasety. Albo w ogóle zajmij się czymkolwiek. I trzymaj gębę na kłódkę. Niczego nie widziałeś i nie słyszałeś.

Emmanuelowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wybiegł ze sklepu jak oparzony.

– Jaki mamy dzisiaj dzień? Wtorek... McDougall powinien być w swoim bezpiecznym domu, niedaleko King's Cross Station. Zaraz zapiszę adres.

Podszedł do kontuaru i pośpiesznie napisał kilka linijek na kartce papieru. Kelly wziął ją od niego i rzucił na nią okiem.

– Wiesz co, Jonesy? Kiedyś cię lubiłem, ale teraz mnie brzydzisz. Prowadzenie takiego sklepu to jedna rzecz, ale aktywne uczestnictwo w tego rodzaju bezceństwach... - Kelly pomachał mu kartką przed oczyma, po czym wzruszył ramionami. Następnie odwrócił się, splunął na podłogę i wyszedł, a jego ludzie za nim.

Jones głęboko odetchnął z uczuciem ulgi. Przyszło mu do głowy, że powinien zatelefonować do McDougalla i ostrzec go, ale po rozważeniu wszystkich argumentów za i przeciw postanowił tego nie robić. McDougallowi z pewnością nic się nie stanie, jeśli przyjmie od Patricka Kelly'ego kilka ciosów na głupią gębę. Właściwie już od dawna to mu się należało.

Owen siedział na wielkiej kanapie i oglądał film z kasety wideo. Blask nowego życia już mu dawno spowszedniał. Właściwie poza zbijaniem bąków oglądał jedynie wideo, pił alkohol i palił papierosy. Nie robiło to już na nim wrażenia. Wrażenie robił natomiast ten facet, potężny

Jimmy, który początkowo był bardzo przyjacielski, a potem dwa razy przyszedł do jego pokoju i kazał mu wyczyniać te wszystkie rzeczy, od których dostawał mdłości. Wtedy Owen zdał sobie sprawę, że właściwie jest tutaj więźniem.

Ostatniej nocy został zabrany na King's Cross Station. Tam jego przyjaciel, Joseph, zaprowadził go do zupełnie obcego mężczyzny i zaczął pytać tego mężczyznę, czy chce załatwić „interes”. Przez cały czas Jimmy stał obok z Owenem, trzymając go mocno za rękę. Owen jeszcze nigdy w życiu nie bał się tak jak wtedy. Joseph robił to, co nazywano „rżnięciem głupa”. Zaczepiał potencjalnego klienta i oferował mu „kurczaczka”. Kurczaczkami nazywano w tym interesie młodych chłopców. Jeśli mieli mniej niż dziesięć lat, zwano ich „wiosennymi kurczaczkami” i byli warci fortunę.

Początkowo Jimmy'ego trochę martwił wzrost Owena, lecz jego gładka, jedwabista twarz była dla każdego potencjalnego klienta wystarczającym dowodem, że rzeczywiście ma do czynienia z kurczaczkiem. Niestety, już za pierwszym razem Owen zaczął gwałtownie wymiotować i Jimmy zabrał go do domu, a następnie sprawił mu srogie lanie za głupotę. Zdaniem Owena, było to jednak lepsze niż robienie tych rzeczy z ludźmi, których wynajdował Jimmy. Teraz, co prawda z podbitym okiem i posiniaczonym niemal całym ciałem, przynajmniej przez chwilę był bezpieczny.

Na ekranie Sylvester Stallone zaszywał właśnie swoje świeże rany, a Owen chłonał obraz, jak to tylko dziecko potrafi. *Pierwsza krew* była jego ulubionym filmem, a Sylvester Stallone ulubionym aktorem. Nie lubił innych filmów na wideo, które z kolei bardzo podobały się Jimmy'emu. W niektórych występował nawet Joseph. Joseph, Jimmy i inni chłopcy, niektórzy naprawdę bardzo młodzi. Tacy jak ten chłopczek, którego Jimmy trzymał w sypialni i którego nikt nie mógł zobaczyć. Przez cały czas płakał, dlatego trzeba było bardzo głośno słuchać telewizora, żeby zagłuszyć ten płacz. Od czasu do czasu Jimmy przyprowadzał mężczyznę, który wchodził do sypialni razem z nim. Bezpośrednio po takiej wizycie płacz chłopca był szczególnie głośny.

Owenowi udało się go zobaczyć tylko raz, i to przez krótki moment. Miał mniej więcej pięć lat i nieprawdopodobnie duże brązowe oczy. Potem rozpoznał go na filmach, które oglądał Jimmy. Joseph mówił, że kiedy kręcili filmy, Jimmy dawał chłopcom whisky i jakieś tabletki, dlatego na filmach się śmiali. Owen jednak wątpił, czy on sam mógłby się wtedy śmiać. Chciał wrócić do mamy. Do mamy i swojej poprzedniej sypialni. W końcu przyjechał tutaj tylko na kilka dni, a przecież minęły już dwa tygodnie. Zaczynał się bać. Miał dość pizzy i jedzenia z Kentucky Fried Chicken. Robiło mu się niedobrze na widok tego jedzenia. I na widok Josepha i Jimmy'ego.

- Znowu oglądasz to gównno? - Tubalny głos Jimmy'ego przywołał Owena do rzeczywistości.

Jimmy podszedł do niego. Jego zwaliste, potężne ciało wprost ociekało tłuszczem. Nie miał na sobie niczego poza parą brudnych majtek. Owen, instynktownie, szczelniej otulił się cienką pidżamą. Nie wolno mu było nosić w domu własnego ubrania.

Jimmy ciężko usiadł na zdezelowanej kanapie. Grubą ręką klepnął poduszkę obok siebie.

- Chodź, usiądź obok mnie. Obejrzę ci to oko. Nie powinienes być mnie denerwować, wiesz, Owen? Nie lubię krzywdzić moich chłopców. Chciałbym tylko się nimi opiekować.

Głos McDougalla był łagodny i melodyjny. Owen nie cierpiał u niego tego tonu, tak zresztą jak i wszystkiego, co dotyczyło tego mężczyzny. A melodyjny głos zapowiadał, że Jimmy za chwilę będzie chciał go do czegoś namówić.

- No, Owen, przecież wiesz, że to wszystko robię dla ciebie. Pomyśl o pieniądzach, jakie zarobisz, jeśli będziesz ze mną współpracował... Na przykład Joseph otrzymuje ode mnie codziennie dziesięć funtów i może je wydawać, na co tylko ma ochotę. Znasz wielu dwunastolatków, którzy mają taką forszę, co? No, odpowiedz mi. Czasami chłopak dostaje ponad siedemdziesiąt funtów tygodniowo. Pomyśl o innych chłopcach. Jak chyba wiesz, mam wielu chłopców, w różnym wieku i w różnych rozmiarach. - Głos Jimmy'ego stał się groźniejszy, ale mężczyzna zaraz się opanował. Nie chciał w ten sposób straszyć Owena. - Niektórzy moi chłopcy, Owen, są bardzo niegrzeczni. Jeśli dowiedzą się, że ktoś, szczególnie bardzo młody i zielony, mnie olewa, bardzo się zdenerwują. Wiesz dlaczego? Ponieważ mnie kochają, oto dlaczego.

Ciche pukanie do drzwi Owen przyjął jednocześnie z ulgą i ze strachem. Z ulgą, ponieważ odwróciło od niego uwagę Jimmy'ego, a ze strachem, ponieważ za drzwiami mogli stać starsi chłopcy, o jakich Jimmy właśnie mu opowiadał. Jimmy wstał z sofy i naciągnął w miarę czyste spodnie, które podniósł z podłogi. Następnie, przyglądziwszy dłonią włosy, poszedł otworzyć.

Owen usłyszał przytłumione głosy, po czym Jimmy wrócił do pokoju, a z nim mężczyzna w czarnej marynarce. Miał ze sobą neseser i uśmiechnął się do Owena. Chłopiec poczuł, jak serce zaczyna mu szaleć w piersiach.

- Chłopak jest tutaj, proszę pana. Trzymam drzwi zamknięte na klucz, bo wie pan, jakie dzisiaj są dzieci. Zawsze wpychają nos tam, gdzie ich akurat nie potrzeba. - Jimmy mówił jak dobry tatuś i uśmiechał się do gościa. Ten odpowiedział uśmiechem i Owenowi znów zrobiło się niedobrze. Mężczyzna zapewne pójdzie do małego chłopca, który znajdował się w sypialni.

Dom, w którym przebywali, kiedyś był dużą, imponującą rezydencją. Teraz podzielony był na kilkanaście większych i mniejszych mieszkań oraz kawalerek. Wciąż miał wspólne dla wszystkich mieszkańców drzwi frontowe. Salony i pokoje dzienne na parterze, wynajmowanym przez Jimmy'ego, pozamieniano na sypialnie. Na wszystkich oknach parteru, już od początku istnienia tego budynku, znajdowały się kraty. Jimmy miał tutaj także niewielkie mieszkanie na poddaszu. Zresztą, podobnych dziupli posiadał kilka w całym Londynie. Planował, że kiedy Owen zostanie już oswojony, ulokuje go w innym bezpiecznym domu.

Tymczasem Owen patrzył, jak Jimmy otwiera kluczem drzwi do sypialni i mężczyzna z neseserem wchodzi razem z nim do środka. Kilka minut później Jimmy stamtąd wyszedł i skierował się do kuchni. Owen obserwował, jak wyciąga z szuflad buteleczkę z tabletkami i whisky. Słyszał dobiegający z za drzwi płacz chłopca i zasłonił dłońmi uszy.

Bardziej niż kiedykolwiek dotąd pragnął, żeby teraz była z nim tutaj mama. Wiedziałyby, co robić.

Na pewno by go tu nie zostawiła. Zabrałaby go do domu.

Owen zdał sobie sprawę, że taśma wideo się skończyła i ekran telewizora jest czarny. Patrzył w ten ekran, próbując powstrzymać napływające mu do oczu łzy. Jeżeli Jimmy z tym obcym facetem zamierzają robić chłopcu to, co Jimmy robił Owenowi, czeka go mnóstwo bólu.

Owen znów poczuł nudności.

Wtedy do drzwi zapukał ktoś jeszcze. Tym razem pukanie było znacznie głośniejsze i Owen nie miał już wątpliwości, że za drzwiami stoją ci starsi chłopcy, o których mówił mu Jimmy. Skulił się na kanapie.

Jimmy wyszedł z sypialni i zawołał:

- Zaraz, zaraz, już idę. Cholera, pali się czy co?

Otworzył drzwi i Owen ze zdumieniem spostrzegł, że natychmiast próbuje je zatrzasnąć, napierając na nie z całej siły. Ten, kto stał po drugiej stronie, okazał się jednak od niego silniejszy, i to znacznie, ponieważ naparł na niego tak, że Jimmy padł jak długi na podłogę, a drzwi z ogromnym hałasem trzasnęły w ścianę, niemal wypadając z futryny.

Nad Jimmym stanęło czterech potężnie zbudowanych mężczyzn, a jeden z nich, ciemnowłosy, w lekkim brązowym płaszczu, kopnął go z całej siły w nerki. Następnie popatrzył na chłopca.

- Ty jesteś Owen, prawda?

Chłopiec w odpowiedzi pokiwał głową.

- Przyszedłem tutaj, ponieważ twoja mama bardzo się o ciebie martwi, chłopcze. Chodź teraz ze mną, zabiorę cię do domu, dobrze?

Owen wstał na drżących nogach. Próbował obciągnąć na sobie bluzę

od pidżamy, chcąc osłonić nagie genitalia. Ujrzał, jak mężczyzna w brązowym płaszczu marszczy czoło.

– Gdzie jest twoje ubranie, chłopcze? Idź po nie i się ubierz, a my tu na ciebie zaczekamy, dobrze?

Owen pokiwał głową i poszedł do sypialni, z której korzystał razem z Josephem i Jimmym. Zaczął się ubierać najszybciej, jak potrafił, ucieszony z przybycia nieznanego wybawcy. Wrócił do pokoju i nałożył buty. Jimmy wciąż leżał na podłodze, a jeden z mężczyzn, potężny łysy młodzieniec z ogoloną głową i szczerbami pomiędzy zębami, klęczał nad nim i uśmiechał się do niego z drwiną. Przy jego szyi trzymał duży śrubokręt.

– Powiedz im, że nie zrobiłem ci żadnej krzywdy, synu. Proszę cię, powiedz im to, dobrze?

W głosie Jimmy'ego słychać było przerażenie. W tej chwili Owen przypomniał sobie o chłopcu w sypialni. Było tam teraz zupełnie cicho. Zbyt cicho.

– Proszę pana, tam jest jeszcze jeden chłopiec. - Wskazał na drzwi. - Bardzo mały. Jest z nim jakiś mężczyzna.

Rysy twarzy Patricka stwardniały, kiedy otworzył drzwi. Na łóżku leżał mężczyzna, już bez marynarki, i mały chłopiec. Mężczyzna trzymał dłoń na ustach chłopczyka. Spodnie miał rozpięte, a starannie wyprasowana koszula zakrywała jego sflaczały penis.

– Do kurwy nędzy, panie Kelly, co się tutaj dzieje? - zapytał jeden z ludzi Patricka, twarzą o nazwisku Dicky Brewster.

Brewster wszedł do sypialni i z całej siły trzasnął mężczyznę w szczękę. Chłopiec, którego ust nic już nie zakrywało, zaczął krzyczeć ze strachu. Wielkie brązowe oczy miał szeroko otwarte, a do ust spływały mu smarki z nosa i łzy. Dicky Brewster złapał za róg prześcieradła i delikatnie otarł mu twarz, oczy i usta.

Patrick i pozostali mężczyźni patrzyli na to wszystko z niedowierzaniem. Czegoś takiego się nie spodziewali. Dicky otulił chłopca prześcieradłem i wziął go na ręce, starając się robić to bardzo delikatnie.

– Zabierz obu chłopców do mojego samochodu, Dicky - zarządził Kelly. - Ty pójdziesz z nim. - Skinął na drugiego ze swoich ludzi.

Mężczyźni pokiwali głowami i wyszli z chłopcami z mieszkania. Po chwili płacz

malucha zrobił się ledwo słyszalny, ale Patrick odczekał, aż zatrzasną się za odchodzącymi zewnętrzne drzwi budynku, i dopiero wtedy wrócił do sypialni. Zaczął systematycznie kopać znalezionego tam mężczyznę, w głowę, w klatkę piersiową, gdzie tylko dał radę. Tkwiąca w nim złość rozpaliała jego nerwy do białości i musiał dać jej ujście. Wreszcie, gdy

mężczyzna zaprzestał wszelkiej obrony i zaległ bez ruchu na podłodze, Patrick Kelly przestał. Nie obchodziło go, czy mężczyzna żyje, czy nie. Ciężko oddychając, przeszedł do salonu.

- Jesteś pierdolonym kawałem gówna, McDougall. Osobiście dopilnuję, żebyś już nigdy więcej nie uprawiał w tym mieście swojego obrzydliwego procederu. - Skinął na mężczyznę z ogoloną głową. - Wiesz, co robić, Tim. Zrób to.

Jimmy McDougall był przerażony, a strach dodał mu energii. Przez kilka krótkich sekund walczył o wolność ze wszystkich sił, jednak Patrick Kelly kopnął go w głowę tak mocno, że go ogłuszył. Tim natychmiast wbił śrubokręt w jego ucho aż po rękojeść i kilkakrotnie mocno nim przekręcił.

Jimmy leżał cicho i nieruchomo.

Tim wytarł ręce w dżinsy i obaj z Kellym wyszli z mieszkania. Obaj byli zdegrustowani. Nie własną przemocą, ale świadomością tego, co tutaj się działo, zanim przyszli. Zupełnie nie pasowało to do ich kodu pozwalającego rozróżnić dobro i zło.

Według Kelly'ego, przysługiwało mu prawo do wielu rzeczy, jak na przykład do spacyfikowania takiego typu jak McDougall. Ktokolwiek dla pieniędzy wykorzystywał seksualnie dzieci, niezależnie od tego, czy wysyłał je na ulice, czy produkował dziecięcą pornografię, klasyfikowany był przez niego jako bydło lub śmieć. Takich należało bezwzględnie i bezlitośnie tępić. Ale obrabowanie banku było czynem wcale nie wzbudzającym potępienia. W kręgu Kelly'ego często psioczono, że złodzieje otrzymują o wiele wyższe wyroki niż gwałciciele. Własność miała wyższą cenę niż ludzie. Tymczasem Kelly, chociaż właściciel salonów masażu i windykatów, przynigdy nie podniósłby ręki na kobietę ani na dziecko. Jego ludzie mieli podobny system wartości.

Istniały po prostu zachowania akceptowalne i nieakceptowalne. Można było, na przykład, złamać komuś nogę albo rękę za niespłacony dług lub przekroczony termin płatności; to było jak najbardziej sprawiedliwe. Kiedy ktoś pożyczał pieniądze, wiedział, jaka będzie kara za ich nieoddanie i kiedy już mu tę karę wymierzano, przeważnie zachowywał się jak mężczyzna. W takim systemie Kelly funkcjonował przez całe życie. Dzięki twardemu trzymaniu się zasad, trwał w nim i miał się zupełnie dobrze. Swój pierwszy interes założył, pożyczycywszy dwa tysiące funtów od jednego z największych łajdaków, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi. Kelly zwrócił dług wraz z odsetkami. Okazał mu należny szacunek i teraz, po wielu latach, mężczyzna ten był jednym z jego najbardziej zaufanych przyjaciół.

Kelly był staroświeckim łotrem i był z tego dumny. Gardził młodzieńcami, którzy okradali ludzi w przepełnionym metrze, albo tymi, którym przychodziło do głowy, by ukraść jakiś drogi samochód, na

przykład range rovera, i trochę sobie nim pojeździć. Uważał to za głupie, frajerskie zabawy. Za samo istnienie takich ludzi winił całe społeczeństwo. Ani mu było w głowie się z nimi porównywać. Siebie i swoich kumpli uważał za biznesmenów. Ludzi, którzy po prostu wykonywali swoją robotę. Tak jak dzisiaj.

Wiedział, że kiedy znajdzie Rozpruwacza z Grantley, a był pewien, że go znajdzie, spłaci w stu procentach dług, który miał wobec swojej córki. Zrobi to osobiście, bez większych ceregieli, zadając bandycie maksimum bólu. Według Kelly'ego, takiej właśnie postawy oczekiwał po nim świat. Gdyby sam nie pilnował swoich spraw, któż by się o nie troszczył?

Potrząsnął głową, chcąc się uwolnić od tych ponurych myśli.

W samochodzie Owen siedział sztywno, jakby był martwy. Z ulgą wyszedł z mieszkania, ale nadal nie miał pewności, czy nie grozi mu kolejne niebezpieczeństwo.

– Zabierzemy cię do domu, chłopcze, do mamy. Najpierw jednak musimy odwieźć tego malca. W porządku?

Owen niepewnie pokiwał głową.

– Daj mi telefon, Tim.

Kelly zadzwonił i po chwili usłyszał głęboki głos swojego przyjaciela, szefa inspektora. Używając minimalnej liczby słów, opisał mu sytuację, po czym uśmiechnął się i przerwał rozmowę.

– Zabierzemy go do Charing Cross Hospital; będzie tam oczekiwany. Jedźmy więc.

Uśmiechnął się do Owena.

– Kiedy się ostatnio kąpałeś? Śmierdzisz jak stara lampa parafinowa.

– Chyba jak stary trampek, szefie. - To włączył się Dicky, który teraz, kiedy odjeżdżali z chłopcami, czuł się o wiele lepiej niż w mieszkaniu Jimmy'ego.

Prowadzili rozmowy o byle czym, dopóki nie zostawili małego chłopca w szpitalu. Kelly przez chwilę zastanawiał się, jaki czeka go los. Czteroletni albo pięcioletni brzdąc nie uciekł przecież z domu, prawdopodobnie Jimmy kupił go po prostu od matki lub od ojca. Kelly'ego wciąż zdumiewało, do czego są zdolni ludzie dla kilku uncji heroiny.

Owena dostarczył prosto do matki, która na jego widok głośno się rozplakała. Przytuliła chłopca mocno do siebie, a Patrickowi i jego ludziom dziękowała przez łzy tak długo, dopóki twarz syna nie zrobiła się czerwona z zakłopotania.

Później Patrick wrócił do domu. Było mu dziwnie lekko na sercu. Od dnia śmierci Mandy ani razu nie czuł się tak dobrze.

Na wieczór umówiony był z Kate i wprost nie mógł się doczekać spotkania. Zauważył, jak szczęśliwy był Owen, gdy matka wprost

przyłgnęła do niego, całowała go i tuliła, uradowana, że wrócił do domu w jednym kawałku. Przyszło mu wówczas na myśl, że niezależnie od tego, czy ma się dwanaście, dwadzieścia, czterdzieści czy osiemdziesiąt lat, każdy potrzebuje kogoś, komu by na nim zależało. Żałował, że nie ma już z nim Mandy.

Gdyby tylko trafił na ślad mordercy swej córki!

Nie zdawał sobie sprawy, że tego dnia rozmawiał z człowiekiem, który dysponował wszystkimi danymi George'a, jego nazwiskiem, adresem i numerem telefonu.

Jeszcze tego wieczoru zatelefonował do Patricka jego informator z policji.

McDougall przeżyje, ale już do końca życia będzie chodził tak, jakby przed chwilą wysiadł z karuzeli.

Kelly uśmiechnęła się do siebie. Dobra robota.

Teraz pragnął jedynie złapać mordercę córki. Później postara się prowadzić zupełnie normalne życie.

Kate obserwowała twarz Patricka z bardzo bliska.

- Próbowałam się wczoraj z tobą skontaktować, ale nigdzie nie mogłam cię znaleźć. Chciałam ci to powiedzieć osobiście.

- Wiem, Kate. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło. - Do pewnego stopnia przyniosło mi to ulgę, ale z drugiej strony, znów wszystko do mnie powraca, staje się takie realne. Czasami budzę się w nocy i odnoszę wrażenie, że wszystko to było wielką pomyłką, że jeśli wyjdę z łóżka i pójde do jej pokoju, ona tam będzie. Będzie spokojnie spała, z ręką na oczach. Zawsze tak zasypiała, łatwo i szybko, od najmłodszych lat. Przypuszczam jednak, że w końcu się z tym uporam. Jutro od rana rozpocznę przygotowania do pogrzebu. A co słyhać u rodziny O'Learych?

- Byłam tam wczoraj, rozmawiałam z matką Geraldine, Kathleen. Owdowiały mąż bardzo cierpi.

- Chodzi mi raczej o to, jak sobie radzą. Mają pieniądze? Kate była zaskoczona.

- Tego nie wiem. Jakoś wiążą koniec z końcem. Wykupili od miasta na raty dom komunalny i myślę, że pieniądze z polisy po Geraldine ułatwią jego spłacenie. Jednak jej mąż wciąż jeszcze nie pracuje, a pamiętaj, że Geraldine dorabiała wieczorami w barze, żeby mieć dodatkowe pieniądze na Boże Narodzenie, pewnie więc im się teraz nie przelewa. W końcu Kathleen właściwie sama utrzymuje trójkę dzieci.

Kate ujrzała, jak szczęki Patricka zaciskają się. Wiedziała, że

najbardziej boli go świadomość, że z powodu zbrodni aż troje dzieci zostało sierotami.

– Jutro wyślę kogoś, żeby się spotkał z matką zamordowanej. Poza tym zapłacę za pogrzeb. Także za pogrzeb dziewczyny Butlerów, kiedy nadejdzie jej czas na pochówek.

Kate milczała. Nie chciała mu mówić, że być może Butlerowie nie życzyliby sobie, aby Patrick płacił za coś tak bardzo prywatnego jak pogrzeb ich córki. W głębi jego serca zachodziły ogromne przemiany, poza tym dobrze czuł się tylko wtedy, kiedy mógł robić coś konkretnego. Realna możliwość udzielenia pomocy pokrzywdzonym ludziom działała na niego jak balsam. Na swój sposób chciał zdjąć z nich przynajmniej część straszego brzemienia.

Kate nie była przekonana, czy Patrick dobrze postępuje. W końcu nie był Bogiem.

– Chcesz, żebyśmy gdzieś wyszli, Kate?

– Raczej nie, Pat, ale zrobię to, co ty zechcesz.

Patrick przytulił ją.

– Dobrze. Zatem pani Manners przygotowuje dla nas dwojga dobrą kolację. Zjemy i wcześniej pójdziemy do łóżka. Co ty na to?

Spróbował się do niej uśmiechnąć, ale Kate zdała sobie sprawę, że nie włożył w ten uśmiech całego serca. Nie chciała mu się jednak przeciwstawiać. Czują, że potrzebuje jej dziś w nocy z o wiele ważniejszych powodów niż zwykle. Nawet gdyby nie mieli się dzisiaj kochać, potrzebował kogoś, kto by przy nim przez cały czas był.

– Doskonale. Chętnie wcześniej się położę. Miałam dziś koszmary dzień.

– A więc w porządku. Zaraz zarządzę przygotowania.

Kiedy wychodził z pokoju, Kate nie mogła nie zauważyć, że jest, jak nigdy, przygaszony i jakby zgarbiony. Wyraźnie coś go gnębiło. Poczwała nagle, że kocha go tym bardziej, im większe Patrick ma problemy. Usiadła z powrotem na kanapę i ciężko westchnęła. Nie potrafiła powiedzieć sobie, czy to dobrze, czy źle. Wiedziała jednak, że bardzo lubi to uczucie.

George przez cały czas obserwował Elaine. Od momentu, kiedy odnalazła się szpilka do krawata i kiedy wpadł z tego powodu w euforię, czerwone znaki na szyi żony coraz bardziej go martwiły. Patrzył, jak wkłada do ust kanapkę z serem o niskiej zawartości tłuszczu. Bez wątplenia była o wiele szczuplejsza i - musiał to niechętnie przyznać - jak na swój wiek, robiła się całkiem atrakcyjna. Zaczęła stosować bardziej stonowany makijaż i czarnym ołówkiem podkreślać wewnętrzne strony dolnych powiek. Ten drobny zabieg nadawał jej

oczom tajemniczy wyraz. George zacisnął zęby.

Ach, te kobiety. Wszystkie były takie same. Wiedział, bez cienia wątpliwości, że Elaine, ta flejtuchowata Elaine, ma jakiś romans. Podnosi suknię na tylnym siedzeniu czyjegoś samochodu i siada na czyjś sztywny...

– George! Dobrze się czujesz? - Usłyszał jej ostry głos.

Obraz, który miał przed oczyma, natychmiast wyparował i George powrócił do rzeczywistości.

– Doskonale, moja droga. - Jego głos był, jak zwykle, łagodny i pełen pokory.

– Więc nie gap się na mnie tak, że aż mnie ciarki przechodzą.

George wstał z krzesła i poczuł lekkie oszołomienie, gdyż dopadł go kolejny obraz Elaine. Tym razem to on stał nad nią z nożem szwajcarskiej armii wzniesionym nad głową...

– Chyba pójdę na spacer, moja droga. Przyznam, że nie czuję się zbyt dobrze. Świeże powietrze dobrze mi robi.

– Przecież za chwilę rozpocznie się *Taggart* w telewizji.

Taggart był ulubionym programem George'a. Dzisiaj jednak musiał wyjść z tego domu, zostawić Elaine, zanim eksploduje.

– To nie potrwa długo, moja droga. Nagraj dla mnie cały program.

Elaine z powrotem skierowała wzrok na telewizor. George doskonale wiedział, że nie minie kilka sekund, a ona o nim zapomni. Będzie myśleć o swoim kochanku. Niemal wybiegł z salonu, w holu złapał płaszcz i wyszedł z domu. Idąc ulicą wyciągnął z kieszeni rękawiczki i je nałożył. Czuł, że wzbiera w nim złość. Oślepiająca złość. Jak ta dziwka śmiała? Nie chciał jej, nie pragnął jej od wielu lat, ale w końcu wciąż była jego żoną. Jego żoną! Ożenił się z nią i dał jej swoje nazwisko. Wydobył ją niemal z rynsztoka i uczynił panią domu. Lecz w końcu, tak jak one wszystkie, okazała się perfidną pizdą!

Znów ją sobie wyobraził, przypomniał sobie, jak rozbierała się przy nim tej nocy, kiedy pojawiły się na jej szyi te czerwone ślady. Wyobraził ją sobie na tylnym siedzeniu samochodu, z mężczyzną bez twarzy, dotykającym jej wszystkich sekretnych miejsc. A Elaine to się podobało! Podobało się cholernej dziwce.

George szedł coraz szybciej. Tak, Elaine była taka sama jak jej matka. Obie udawały, że są dobrymi kobietami, ale w głębi duszy były kurwami. Tak jak Ewa w rajcu, zdradzały, nie dotrzymywały żadnych przyrzeczeń. I śmiały się, zdrajczynie, w nos mężczyznom, którzy im naiwnie zaufali.

Oddech George'a stawał się coraz cięższy.

Przystanął i rozejrzał się dookoła. Znajdował się właśnie przed blokiem komunalnym, przed którym kiedyś został napadnięty. Przeszedł

przez ulicę i wszedł na niewielkie wzniesienie. Stał przy swoim drzewie. Zaczął obserwować drugie piętro, co chwilę przeklinając Elaine, ponieważ to przez nią w pośpiechu zapomniał zabrać teatralną lornetkę.

Leonora Davidson oglądała program *Taggart*, nieświadoma tego, że z odległości zaledwie dwudziestu jardów Rozpruwacz z Grantley obserwuje ją przez okno sypialni. Siedziała wygodnie w fotelu, zadowolona z życia, z papierosem w dłoni; obok na małym stoliku stała filiżanka gorącej kawy.

George wpatrywał się w okno przez dziesięć minut. Nic. Popatrzył na zegarek. Była dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt.

Ruszył w kierunku bloku, uważnie lustrując wzrokiem ulicę i wszystkie okna, gotów zareagować na jakikolwiek ruch.

Leonora usłyszała pukanie do drzwi i cmoknęła z rozdrażnieniem. Taggart miał właśnie zdemaskować zabójcę. Wstała z fotela i przeszła do niewielkiego korytarza.

– Kto tam? - zapytała głośno i niecierpliwie.

– Czy pani Davidson?

Leonora zmarszczyła czoło. Nie знаła tego głosu.

– A kto pyta?

– Jestem mężczyzną, którego tutaj napadnięto. Pani wybiegła wtedy z domu, żeby mi pomóc. - George mówił cicho i potulnie.

Leonora uniosła do góry brwi.

– Ach, tak, przypominam sobie.

Otworzyła drzwi. Żeby to zrobić, musiała najpierw zdjąć z nich łańcuch, a potem odciągnąć dwie stalowe zasuwę.

George stał w progu, uśmiechając się.

– Przepraszam, że przychodzę tak późno, ale pracuję w różnych dziwacznych godzinach, sama pani rozumie... Chciałbym pani bardzo podziękować za pomoc tamtego wieczoru. Naprawdę, nie wiem, co by się wówczas ze mną stało, gdyby nie pani. - Usłyszał, że piętro wyżej ktoś otwiera drzwi na korytarz, i zaczęła go ogarniać panika. - Czy mogę na chwilę wejść? Nie zabiorę pani dużo czasu, obiecuję. - Słyszał już czyjeś kroki na półpiętrze. Ktokolwiek to był, zaraz go zobaczy. Zobaczy jego twarz, a później wszyscy się dowiedzą, że tutaj był.

Leonora cofnęła się i George wszedł na korytarz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Uśmiechnął się do niej swoim lekkim uśmiechem, ukazującym jednak wszystkie zęby. Obserwował ją wielokrotnie i doskonale wiedział, że w mieszkaniu nie ma żadnego mężczyzny. Zawsze chodziła spać sama.

Leonora odpowiedziała mu uśmiechem. Teraz, kiedy już wiedziała, z

kim ma do czynienia, poczuła się swobodniejsza. Zawsze uważała, kogo wpuszcza do mieszkania; w końcu, kiedy mieszka się samotnie, nigdy dość ostrożności.

– Proszę, może przejdzie pan do saloniku? Właśnie piłam kawę, może także pan się napije? - Jej otwarta i wesoła twarz działała kojąco na George'a.

– Jeśli nie sprawiam pani kłopotu... Nie chciałbym naprawdę pani fatygować.

Przeszedł za Leonora do salonu.

– Niech pan usiądzie, zaraz przygotuję kawę. Pije pan z mlekiem i z cukrem?

Pokiwał głową.

– Widzę, że ogląda pani *Taggarta*. Uwielbiam ten program. Moja żona mi go właśnie nagrywa.

– Niech pan usiądzie, panie...

– Markham. George Markham.

– Niech pan usiądzie, panie Markham. Za sekundę wracam.

George usiadł na starej winylowej sofie, która bez wątpienia miała już za sobą swoje najlepsze dni. Zauważył, że pokój jest czysty i schludny, chociaż dość chaotycznie wypełniony meblami nie pierwszej młodości. Z pewnością można by je było trochę poprzestawiać. Rozpiął płaszcz. Uśmiechając się pod nosem, popatrzył na ekran telewizora. Zaraz jednak do pokoju wróciła Leonora i podała mu filiżankę z kawą.

– Niech mi pan powie, jak pan się czuje? Bo muszę panu powiedzieć, panie Markham, że ta okolica robi się coraz gorsza. Coraz bardziej się tu panoszą różne łobuziaki. Jeśli nie muszę, to w ogóle nie wychodzę z domu po zmroku. W mroku czają się różni chuligani, no i Rozpruwacz z Grantley. Kobieta nie może dzisiaj czuć się bezpieczna.

George upił łyk kawy.

– Ma pani absolutną rację. Codziennie powtarzam mojej żonie, że musi bardzo na siebie uważać. Naprawdę bardzo uważać. - Zachmurzył się.

Leonora zapaliła papierosa.

– Był pan na policji? Wiedzą, kto na pana napadł?

– Och, nie. To by była tylko strata czasu. Policjanci nie potrafią nikogo złapać. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Leonora pokiwała głową, nie mając pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– Jest pani rozwiedziona?

– Tak. Mija właśnie dziesięć lat - powiedziała ze smutkiem.

George patrzył, jak powoli piła kawę. Miała mysiobrazowe włosy i bladoniebieskie oczy. Dookoła jej ust widoczne były głębokie zmarszczki. Niezbyt atrakcyjna, pomyślał. Jego wzrok powędrował ku jej

piersiom. Tak, piersi Leonory podobały mu się. Widział je już wiele razy.

Odstawił filiżankę na stół.

– Czy mógłbym skorzystać z toalety? - zapytał.

– Oczywiście. Drugie drzwi na prawo, w korytarzu. Musi pan mocno pociągnąć za łańcuszek, ponieważ inaczej nie splecze pan po sobie.

George wstał.

– Dziękuję pani.

Wyszedł na korytarz i zaraz wszedł do kuchni. Powoli i po cichu zaczął otwierać szuflady. Znalazł tę z nożami i, wyciągnąwszy duży nóż do krojenia chleba, wsunął go sobie za pasek od spodni, po czym zakrył płaszczem. Wrócił na korytarz.

Uśmiechnął się do kobiety.

Ona także uśmiechnęła się do niego.

Powoli podszedł do niej.

– Ta ozdoba, mógłbym się dowiedzieć, skąd pani ją ma? - Wziął do rąk dużą wazę, wysoką mniej więcej na szesnaście cali, wykonaną z rżniętego szkła. Zdjął ją z gzymsu nad gazowym kominkiem. Z wazą w rękach odwrócił się do Leonory.

– Och, należała do mojej matki.

Wychyliła się z fotela, stojącego niemal przy kominku, i rozłożyła ręce, jakby chciała odebrać wazę od George'a. Kiedy otworzyła usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, nagle znieruchomiała, a jej twarz zamarła.

George uniósł wazę nad głowę, przez co rozchyliły się poły jego płaszcza. Leonora ujrzała za jego paskiem nóż kuchenny i w tej samej chwili zdała sobie też sprawę, że ciężka waza kieruje się nieuchronnie ku jej głowie. Wydawało się, że przynajmniej zdąży krzyknąć, lecz George był dla niej za szybki.

Z ogromną siłą uderzył wazą w jej czoło. Zdziwił się, ponieważ waza nie pękła. Nawet nie rozcięła skóry na czole Leonory, chociaż w miejscu, w które trafił, wkrótce pojawił się guz wielkości j ajka.

Kobieta była nieprzytomna.

George usiadł na sofie i przez kilka minut przyglądał się swej ofierze. Siedziała bez czucia w fotelu. Jej sweter i fartuch były brzydko zadarte.

George wstał i odstawił wazę dokładnie w to samo miejsce, w którym znajdowała się przedtem. Następnie ułożył Leonorę na fotelu w bardziej naturalnej pozycji, przy okazji poprawiając sweter i fartuch. Z kolei wyciągnął z paska nóż i położył go obok fotela. Zdjął płaszcz i starannie złożył go na kanapie.

Zadowolony z dotychczas wykonanej pracy, znów złapał za nóż i rozciął sweter kobiety od szyi po pępek. Nie zdjął go z niej, zabrał się natomiast za biustonosz.

Ręce Leonory zwisały luźno z fotela, a jej głowa przekrzywiła się na

bok. W chwili gdy zaczął zajmować się jej fartuchem, poruszyła się. Mruknął z niezadowoleniem i, wyszedłszy na chwilę na korytarz, powrócił z szalem w szkocką kratę, który ściągnął z wieszaka. Złapał Leonorę za włosy, sprawiając, że jęknęła. Owinął szal dookoła jej szyi i pchnął jej głowę do tyłu.

Zaraz też przystąpił do finału. Zawinął oba końce szala na dłoniach, żeby móc lepiej je trzymać, i zaczął ciągnąć. Materiał z każdą chwilą coraz mocniej zaciskał się na szyi kobiety. Jej twarz siniała.

Mimo wysiłku, jakby od niechcienia cicho gwizdał jakąś melodyjkę. Wszelkie napięcie go opuściło. Czuł się swobodny i zrelaksowany.

George Markham znów był górą.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Elaine usłyszała, jak klucz George'a obraca się w zamku, i zerknęła na zegar. Było dwadzieścia minut po północy. Słuchała, jak George nuci pod nosem, zdejmując płaszcz i wieszając go na wieszaku. Dygotała ze zdenerwowania i zanim zeszła na dół, musiała kilkakrotnie głęboko odetchnąć, żeby się trochę uspokoić. Twarz George'a była jak nawiedzona. Kiedy patrzył na Elaine, jego szare oczy jakby iskrzyły.

– Cześć, moja droga, czy zrobić ci coś do picia? Bo ja zaraz się napiję, konam z pragnienia.

– Gdzie byłeś, George? - zapytała go monotonnym głosem.

Zaskoczyła go, mimo że nie chciał tego po sobie okazać.

– Jak to, gdzie byłem? Na spacerze, moja droga, a gdzie indziej mógłbym być?

– Spacerowałeś więc sobie przez trzy godziny, czy tak?

Elaine wyczuła jego zakłopotanie. Zdała sobie sprawę, że nie miał pojęcia, jak długo był poza domem.

– Ja... tak, po prostu sobie spacerowałem. Często wychodzę na spacer, przecież o tym

wiesz.

Elaine wpatrywała się w niego ciężkim wzrokiem. Zanim znów się odezwała, przesunęła językiem po wargach. George także nie odrywał od niej oczu.

– Mogłabym na palcach jednej ręki policzyć, ile to razy podczas naszego małżeństwa wyszedłeś sam na spacer. Ale ostatnio, niespodziewanie, zbyt rzadko bywasz w domu. Chcę wiedzieć, dokąd chodzisz. I ostrzegam cię, George, jeżeli mnie okłamiesz, jeszcze dzisiejszej nocy zostanie w tym domu popełnione morderstwo.

Patrzył na nią przez kilka sekund, a potem poczuł to: chichot błyskawicznie wydostający się aż z żołądka i kierujący się prosto do gardła. Rozpaczliwie próbował się uspokoić, gwałtownie przełykając ślinę, jednak na próżno.

Wybuchnął nerwowym, wysokim śmiechem. Śmiał się tak, jak czasami ze strachu śmieje się dziecko zbesztane w szkole przez nauczyciela. W głowie kołatało mu tylko jedno słowo: morderstwo.

Właśnie popełnił morderstwo, zupełnie niedawno. Elaine zamordowałyby więc mordercę! Za każdym razem, gdy to zdanie do niego powracało, wybuchał jeszcze głośniejszym i bardziej histerycznym

śmiechem.

– George! - zawołała Elaine. Jego śmiech zaczynał ją przerażać. - Na miłość boską, George, uspokój się!

Padł na kolana, dłońmi przytrzymując brzuch. Po jego twarzy toczyły się łzy.

Kiedy jako tako nad sobą zapanował, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno się wysmarkał. Dopiero wtedy usiadł na najbliższym krześle. Już mu nie było do śmiechu, poczuł strach, że Elaine go przejrzy. Jego mózg pracował niezwykle intensywnie, kiedy patrzył na żonę. Czy ona może się czegoś domyślić?

– Coś jest nie w porządku, George, doskonale wiem. Te spacerki, znikanie na długie godziny... Zachowujesz się, jakbyś nie był sobą. Przecież na ogół z trudem wyciągałam cię z domu nawet na zakupy! - Ciężko usiadła na drugim krześle. - Opowiedz mi dokładnie, co się dzieje?

Mówiła to wszystko stanowczym tonem, nie znoszącym sprzeciwu, ale tak naprawdę niczego nie chciała się dowiedzieć. Nie chciała wierzyć w to, co racjonalna część jej umysłu już jej podpowiadała.

George siedział w milczeniu, wykręcając w palcach chusteczkę. Musiał wymyślić coś, co całkowicie zbije Elaine z tropu. Raptem przyszło mu coś takiego do głowy i chwycił się tego jak tonący brzytwy. Popatrzył na żonę z wyrazem niezwykłego smutku na twarzy.

– Mam straszny problem, Elaine. Odchodzę od zmysłów, nie wiedząc, jak ci o tym powiedzieć. Wydarzyło się coś okropnego.

Elaine poczuła, jak w ustach robi jej się sucho. Proszę cię, Boże, niech mi tylko George nie powie... Nie chcę o tym wiedzieć. Nie chcę wiedzieć!

– Redukcja, Elaine. Zostałem zwolniony z pracy.

Zmrużyła oczy, pozostawiając jedynie wąskie szparki.

– Słucham cię?

– Zostałem zwolniony z pracy. Już jakiś czas temu. Razem z czterema innymi osobami. Redukcja personelu, tak to nazywają. Nie potrafiłem ci tego powiedzieć, moja droga. Czuję, że znów cię zawiodłem. Chodzę po pustych ulicach jak w amoku. Dzisiaj... Musiałem wyjść, nie mogłem ci tego powiedzieć, kiedy oglądaliśmy telewizję.

Elaine była kompletnie zaskoczona.

– Rozumiem.

George znów z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Był szczerwanym starym lisem. Był sprytny jak stado małą. Umiał znaleźć wyjście z każdej trudnej sytuacji. Był prawdziwym mężczyzną.

– Przykro mi, moja droga. Wiem, że uznasz to za kolejny zawód, jaki ci sprawiłem.

Mimo że zawsze chciałem ci ofiarować wszystko, co najlepsze.

Niestety, nigdy nic mi się nie udawało, chociażbym nie wiadomo jak mocno się starał.

Elaine siedziała w milczeniu. Lata przyzwyczajęń sprawiły, że w decydującym momencie okazała się ślepa i głucha na problemy George'a. Coś jej podpowiadało, że powinna wstać, objąć George'a i mocno go do siebie przytulić. Ale nie potrafiła. Całe lata unikania z nim fizycznego kontaktu spowodowały, że teraz ten prosty akt był zwyczajnie niemożliwy.

Biedny George. Czy może go spotkać coś jeszcze gorszego? W wieku pięćdziesięciu jeden lat właściwie już do niczego się nie nadawał. Nigdy nie podejmie żadnej stałej pracy. Tymczasem ona, jego żona, była szczęśliwa, że miał tylko takie problemy. Że jednak nie był mordercą. Że nie był gwałcicielem. Wiedziała, że nie powinna nawet w myślach oskarżać go o takie straszne rzeczy, ale po tym, co kiedyś się wydarzyło...

Odrzuciła od siebie tę myśl. Nie będzie się więcej nad tym zastanawiała. Chociażby dlatego, że miała wobec George'a pewne obowiązki.

– Bardzo ci współczuję, George. Myślę, że jakoś damy sobie radę. Zapewne dostaniesz dużą odprawę. Dom jest spłacony, ja pracuję... Damy sobie radę.

Uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

– Dlatego właśnie w Boże Narodzenie zaproponowałem, żebyśmy pojechali do Edith, na Florydę. Wiedziałem już o odprawie, no i chciałem, żebyś żyła jakąś ciekawą perspektywą. Chciałem ofiarować ci podróż do Ameryki. Podróż życia.

George piekł już dwie pieczenie na jednym ogniu. Wyobrażał sobie, co Elaine myślała o nim jeszcze przed kilkoma minutami, i - co gorsza - miała rację. Absolutną rację. Wyplątywał się właśnie z bardzo trudnej sytuacji. Przecież przed chwilą mogło dojść do tego, że musiałby poderznąć jej gardło; uczyniłby to bez wahania. A tymczasem ogłosił jej nowinę, którą obawiał się powiedzieć przez długie tygodnie, i zamiast zarządzenia i połajanek zyskał współczucie. Znow był górą.

– Nie wiem, czy podróż do Ameryki to teraz najlepszy pomysł, George. Skoro straciłeś pracę...

– Pojedziemy, Elaine. Pojedziemy. Należy ci się to. Bóg jeden wie, że nigdy nie byłaś przy mnie szczęśliwa, a przecież zawsze tego pragnąłem.

Elaine utkwiała spojrzenie w jego szarych, pozbawionych życia oczach. To słabe iskrzenie, które zauważyła w nich wcześniej, zniknęło, i znow miała przed sobą George'a, którego dobrze знаła.

– Napijesz się herbaty? - zapytał.

Elaine pokiwała głową.

George wstał i poszedł do kuchni. Zegar wskazywał godzinę pierwszą

trzydzieści. George postanowił, że musi się pośpieszyć, bo w przeciwnym wypadku będzie nad ranem nieprzytomny ze zmęczenia. Mruczał pod nosem jakąś melodię, nastawiając czajnik na gaz.

Dorothy Smith jak zwykle zapukała do drzwi Leonory. Jeździły razem do pracy. Na głowie Dorothy miała ciemnobrązową perukę, a na pulchnej twarzy radosny, przyjazny uśmiech. Kiedy Leonora nie odpowiedziała na pukanie, zmarszczyła czoło. Znów zapukała, tym razem o wiele mocniej. I wciąż nikt nie odpowiadał.

Czyżby Leonora już wyszła? Przecież jeździły razem do pracy od dwóch lat, ponieważ pracowały na tej samej zmianie, od dziesiątej do osiemnastej. Popatrzyła na zegarek. Dziewiąta trzydzieści dziewięć. I tak przysłała trochę za wcześnie. Gdzie więc jest Leonora? Może wyszła na chwilę do sklepu? Dorothy usiadła na schodach pomiędzy parterem a pierwszym piętrem, z ciężką torbą na kolanach. Wypaliła papierosa i znów zerknęła na zegarek. Prawie za dziesięć dziesiąta. Leonora przeginała, przecież spóźnią się do pracy. Butem zdusiła niedopałek papierosa na cementowej posadzce. Prawie w tej samej chwili usłyszała na schodach czyjeś kroki; ktoś szedł do góry. Wstała, znowu uśmiechnęła się, chcąc wesoło powitać przyjaciółkę, ale to nie była Leonora, lecz jej sąsiadka z naprzeciwka.

– Dzień dobry. Widziała pani może dziś rano Leonorę?

Kobieta jedynie wzruszyła ramionami.

– Nie.

– Zastanawiam się, co się mogło z nią stać? Czekam tu już kawał czasu.

– Może zasnęła?

Kobieta właśnie otwierała swoje drzwi.

– Nie. Wystarczająco głośno pukałam.

– A może ma dzisiaj wolny dzień?

– Wolne mamy zawsze równocześnie. Nie podoba mi się to wszystko. Gdyby musiała nagle wyjść, na pewno by do mnie zadzwoniła. Przecież wie, że muszę zboczyć z drogi, żeby po nią wejść.

Sąsiadka z westchnieniem postawiła siatki z zakupami za progiem mieszkania i wyciągnęła klucze z zamka.

– Mam do niej klucz. Dała mi go po tym, jak któregoś dnia zatrzasnęła się w środku. Tak na wszelki wypadek. Musiała wtedy wymienić wszystkie zamki i kosztowało ją to aż czterdzieści funtów. Skandal!

Dorothy pokiwała głową zgadzając się z nią.

– Myśli pani, że mogłybyśmy do niej wejść? Może coś jej się stało, może jest ciężko

chora?

– Jeszcze raz zapukajmy.

Żadna z kobiet nie chciała wchodzić do mieszkania Leonory, o ile nie byłoby to absolutnie konieczne. Dorothy mocno zapukała do drzwi, lecz odpowiedziało jej tylko echo na pustej klatce schodowej.

Nic.

Otworzyła szczelinę do wrzucania listów i zawołała Leonorę. Później nasłuchiwała przez kilka sekund, na wypadek gdyby Leonora jednak leżała w łóżku. Po chwili wyprostowała się.

– Telewizor jest włączony.

Sąsiadka powoli otworzyła kluczem drzwi. W korytarzu było zupełnie ciemno. Wszystkie drzwi były zamknięte, dlatego nie docierało tu światło z okien. Dorothy włączyła lampę. Obie kobiety wciągnęły nosami powietrze i popatrzyły po sobie. W mieszkaniu unosił się słaby zapach chemicznych środków czystości, ale nad nim górował jakiś inny gryzący odór. Kobiety poczuły się nieswojo, lecz skierowały się do sypialni Leonory. Dorothy otworzyła drzwi.

– Łóżko jest zaścielone. - W jej głosie zabrzmiało zdziwienie.

Sąsiadka Leonory wciąż stała nieruchomo przy drzwiach wejściowych. Miała straszne przeczucie.

Drzwi do pokoju dziennego były zatrzaśnięte. Kładąc dłoń na klamce, Dorothy nagle poczuła, że ogarnia ją lęk. Weszła do środka.

Kominek gazowy rozkręcony był na całą moc, telewizja nadawała właśnie jakiś film animowany dla dzieci. Oba te fakty zarejestrował jej umysł. Jednak jej oczy spoczęły na przyjaciółce.

Dorothy przystanęła i wbiła wzrok w zwłoki Leonory Davidson.

Wreszcie, po chwili, która zdawała się trwać wieczność, z jej ust wydobył się wysoki, piskliwy, niemal zwierzęcy wrzask, który spowodował, że w pokoju zadrżały wszystkie małe przedmioty. W tym krzyku zawarła cały swój strach, niedowierzanie i złość, wszystkie uczucia, jakie w tym momencie ją ogarnęły.

Kończąc spotkanie z Leonorą, George wbił w jej lewe oko nóż do krojenia chleba aż po rękojeść.

Gołe nogi Leonory rozłożone były przed kominkiem i przez całą noc stopniowo się

przypalały. Nawet nie myśląc o tym, Dorothy zdała sobie nagle sprawę, że to właśnie przypalone nogi Leonory są źródłem gryzącego odoru.

Caitlin i Kate niemal wpadli w euforię. Zabójca jeszcze raz zmienił taktykę. Tym razem wszedł do mieszkania swojej ofiary. Oznaczało to,

że ofiara go znała.

Policyjny wywiad przeprowadzony wśród wszystkich sąsiadów miał pomóc ustalić nie tylko, gdzie wszyscy ci ludzie przebywali, ale także, czy widzieli kogoś obcego przed blokiem, a może na klatce schodowej.

Euforia Kate przeminęła natychmiast, kiedy ujrzała zwłoki zamordowanej. Jaki człowiek mógł postąpić tak okrutnie z drugim człowiekiem?

– Znalazłem nasienie na ustach, piersiach, wewnątrz i wokół waginy. Nasz człowiek trochę w nocy zaszalał. No i zgwałcił ją po śmierci, gotów jestem postawić na to mnóstwo pieniędzy. - Lekarz sądowy potrząsnął głową.

Caitlin wpatrywał się w martwą kobietę, jakby chciał na zawsze zachować w pamięci jej obraz. Wyglądała jak groteskowy posąg, z nożem wciąż wystającym z oka. Ktoś z techników zdążył jednak otworzyć okna i wyłączyć gaz na kominku.

Policjanci fachowcy sprawnie wykonywali swoje zadania. Miejsce zbrodni zostało dokładnie sfotografowane. Z dywanu i z mebli zebrano włókna pochodzące z różnych tkanin. Pozbierano pojedyncze włosy. Ze zwłok, z krzesła i z dywanu pobrano próbki krwi. Kate zobaczyła, jak któryś z ekspertów zabiera do plastikowych worków filiżanki po kawie, które zostaną poddane analizie daktyloskopijnej; nie miała jednak wątpliwości, że na nich akurat żadnych śladów nie będzie. Morderca zawsze nosił rękawiczki. Zawsze. Pod tym względem był sprytny.

Caitlin oderwał wzrok od Leonory i jego spojrzenie spoczęło na Kate.

– Tym razem musimy na coś natrafić. Facet nie jest niewidzialny, na miłość boską! To niemożliwe, żeby nikt go nie zobaczył.

Kate odnosiła wrażenie, że Caitlin próbuje przekonać samego siebie.

– Obie kobiety, które znalazły zwłoki, są w szpitalu. W szoku.

– Wcale się nie dziwię, Katie. Popatrz, na co natrafiły. Ale tym razem facet już się nie wywinie. Mamy go. Jestem o tym przekonany. Czuję to w kościach.

Kate mogła tylko mieć nadzieję, że Caitlin się nie myli.

– Pojedziesz ze mną na sekcję zwłok?

Pokiwał głową.

– Tak, będę przy tym, Katie. Chcę dokładnie wszystko widzieć i wiedzieć. Coś musi

nas doprowadzić do tego drania. Po prostu musi.

Detektyw sierżant Spencer wszedł do pokoju i popatrzył na zwłoki Leonory. Bardzo szybko szarzały. Spencer wpatrywał się w nie tak samo intensywnie, jak wcześniej Caitlin.

– Raczej trudno będzie ustalić czas śmierci. Jeśli kominek palił się przez całą noc, wysoka temperatura opóźniła rigor mortis. - W głosie

Spencera brzmiało dziwne zadowolenie.

– Jak zbierzemy zeznania od ludzi, czegoś się na ten temat dowiemy, nie musisz się martwić.

Kate nie lubiła Spencera i wiedziała, że on o tym wie. Stosunki pomiędzy nimi były napięte.

– Zostaniesz tu, Spencer, dopóki nie wywiozą ciała - oznajmiła. - Ja tymczasem sprawdzę, jak mundurowi dają sobie radę z przesłuchiwaniami ludzi. Chciałabym z kilkoma sąsiadami porozmawiać osobiście. Dopiero potem pojadę do szpitala zadać kilka pytań kobietom, które znalazły zwłoki. Może któraś z nich wie, gdzie obecnie przebywa były mąż zamordowanej? Z tego, co się zorientowałam, ta kobieta nie miała dzieci ani żadnej bliskiej rodziny. Chcesz mi towarzyszyć w rozmowach z sąsiadami? - spytała Caitlina.

– Och, Katie, nie jestem ci potrzebny. Spotkamy się w szpitalu podczas sekcji zwłok.

– Dobrze.

Z ulgą wyszła z mieszkania zamordowanej. Obraz martwej kobiety wciąż tkwił jej przed oczami.

W pierwszym mieszkaniu na klatce schodowej, które odwiedziła, zaproponowano jej kawę. Z wdzięcznością przyjęła filiżankę. Po tym, co widziała piętro niżej, dobra kawa była jej bardzo potrzebna. Kobieta, która ją ugościła, mimo wielkiej gotowości do współpracy, nie mogła jej jednak w niczym pomóc. Nie minęło nawet pięć minut, jak Kate zdała sobie z tego sprawę. Uzyskała jedynie trop, który mógł doprowadzić do byłego męża Leonory. Wyjechał z Grantley z jej przyjaciółką i teraz mieszkał w Kanadzie. Kate uprzejmie podziękowała kobiecie i wyszła.

Po chwili stanęła przed drzwiami naprzeciwko i zapukała. Otworzył jej potężnie zbudowany mężczyzna w podkoszulku. Fred Borrings wprowadził Kate do swego niewielkiego mieszkania i ceremonialnym gestem wskazał jej, gdzie powinna usiąść. Bez wątpienia, spodziewał się jej.

– A zatem, pani...

– Detektyw inspektor Burrows, proszę pana.

– Wczoraj wieczorem, krótko przed dziesiątą, zbierałem się właśnie, żeby wyjść do pubu. Kiedy się mieszka w takim bloku, odgłosy sąsiadów stają się częścią życia, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Z grubsza orientuję się, o której godzinie ludzie się codziennie wypróżniają. Niektórzy robią to bardzo regularnie. W każdym razie poprzedniego wieczoru wychodziłem z mieszkania około dziesiątej i kiedy znalazłem się na schodach, usłyszałem odgłos zamykających się drzwi. To były drzwi Leonory. Pamiętam to i pamiętam moje zdziwienie; gość w jej mieszkaniu to było coś niezwykłego. Odwiedzało ją naprawdę niewielu

ludzi. To bardzo miła kobieta, jeśli chce pani wiedzieć, ale też bardzo zamknięta w sobie. Nie widywała mężczyzn, jeśli pani rozumie, o co mi chodzi. Natomiast kilka innych kobiet w tym bloku! Boże wszechmogący, jakby prowadziły burdele! Ale Leonora była dobrą kobietą.

– A więc w ogóle nie miała męskich przyjaciół?

– Nie. Cały czas pracowała. Bała się wychodzić w nocy z powodu chuliganów panoszących się w tej dzielnicy. Jakoś Ignie tutaj najgorszy element, nie wiadomo dlaczego. Pełno tu takich, co wachają klej. Czasami trzeba przez nich przeskakiwać, kiedy się wraca w nocy do domu. Włazą do przedsiionków, żeby się ogrzać. Tymczasem biedna Leonora... Ona nie skrzywdziłaby nawet muchy.

– Zatem nikogo pan nie widział?

Fred potrząsnął głową.

– Nie. Doskonale natomiast pamiętam, co słyszałem. Teraz żałuję, że do niej nie zapukałem. Czasami, kiedy schodzę na dół, tak robię. Pytam ją, czy potrzebuje paczkę papierosów albo coś innego ze sklepu. Bo wiem, że sama nigdy wieczorami nie wychodzi. A więc ktokolwiek wszedł do niej wczoraj do mieszkania, bez wątplenia ją znał. Kiedy pukam do jej drzwi, zawsze mnie pyta: „Kto tam?” albo: „Czy to ty, Fred?” Nigdy nie otwierała drzwi, nie upewniwszy się, kto za nimi stoi. Dlatego właśnie uważam, że go znała. Zastanawiałem się nad tym przez cały ranek. Kiedy usłyszałem zamieszanie, natychmiast zbiegłem na dół. Dwa stare babska stały na półpiętrze i wrzeszczały ze wszystkich sił. To ja zadzwoniłem po policję i pogotowie. Od tej chwili przez cały czas myślę tylko o tym. Leonora znała napastnika, jestem o tym przekonany.

Kate nie przerywała mężczyźnie. To, co mówił, miało sens. Leonora Davidson mieszkała sama i niezbyt udzielała się towarzysko, poza tym, według słów Freda, zdawała sobie sprawę z czyhających na samotną kobietę zagrożeń. Takie kobiety zawsze z dużo większą ostrożnością traktowały ludzi pukających do ich drzwi niż panie spragnione towarzystwa, takie o charakterze bardziej rozrywkowym.

– Czy zauważył pan na zewnątrz jakiś obcy samochód, kiedy pan wychodził do...

– Byłem w Hoy and Helmet. Ale nie, nie widziałem żadnego samochodu, który rzuciłby się w oczy. Później, mniej więcej o jedenastej piętnaście, kumpel podwiózł mnie z powrotem do domu i zobaczyłem, że światło u Leonory wciąż się pali. Zauważyłem to przez szpary pomiędzy zasłonami. Jak już pani wcześniej mówiłem, właściwie wie się wszystko o wszystkich, gdy się mieszka, tak jak my, jedni nad drugimi.

– Czy kiedykolwiek widział pan Leonorę z mężczyzną? Może jakiś kolega z pracy podrzucił ją do domu?

– Z pracy i do pracy zawsze jeździła ze swoją przyjaciółką, Dorothy. Nigdy żadna z nich nie jechała sama. Miały nawet te same wolne dni.

Kate uśmiechnęła się, nie chcąc, żeby następne pytanie uraziło Freda.

– Odnoszę wrażenie, że wie pan bardzo dużo o Leonorze Davidson, panie Borrings.

Popatrzył na nią ponuro.

– Tak się składa, że ją lubiłem, proszę pani. Bardzo ją lubiłem. Prawo tego chyba nie zabrania, prawda? A teraz bardzo się staram pani pomóc, żeby jak najszybciej znalazła pani zbrodniarza. To wszystko. Może mnie pani sprawdzić. Mnóstwo ludzi widziało mnie w Hoy; w ogóle często bywam w tym pubie.

– To nie będzie konieczne, panie Borrings. - Oczywiście, policja wszystko sprawdzi, ale Kate była zbyt inteligentna, żeby mu o tym opowiadać. - Widzi pan, to jest normalne, że ludzie zwykle nie mają absolutnej pewności w kwestii tego, co słyszeli albo co widzieli. Na przykład po napadzie na bank każdy świadek wymienia inny kolor swetra złodzieja albo przypomina sobie inny kolor jego włosów.

– Doskonale rozumiem, do czego pani zmierza - odparł Fred twardym tonem. - Ale to mnie nie dotyczy. Nie jestem taki. Nie lubię marnować słów. Mówię to, co myślę, i myślę to, co mówię. Gdyby wszyscy ludzie tak się zachowywali, ten cholerny świat byłby o wiele lepszy.

– Trudno się nie zgodzić. Cóż, zabrałam panu mnóstwo czasu, panie Borrings. Dziękuję panu bardzo, wiele mi pan pomógł.

Mężczyzna wstał i skinął jej głową, lecz po jego przyjaznej postawie nie było już śladu. Kate zrozumiała, że Fred Borrings to typ człowieka, który lubi dominować. Zapewne zdominował także Leonorę Davidson. Poza tym był jak dziecko, któremu wydaje się, że na wszystkie pytania istnieją proste, jedynie słuszne odpowiedzi.

– Bardzo chętnie formalnie zidentyfikuję zwłoki, proszę pani. Były mąż Leonory jest w Kanadzie, albo w innym podobnym miejscu.

– Dziękuję panu. Jeśli to będzie konieczne, damy panu znać.

Kate wyszła z mieszkania, po czym pojechała do szpitala na sekcję zwłok.

Kiedy znalazła się na miejscu, przede wszystkim poszła do Dorothy Smith. Kobieta była już spokojna dzięki silnym środkom, które jej zaaplikowano. Kiedy Kate usiadła obok niej, zorientowała się, że Dorothy patrzy w przestrzeń, nie widząc zupełnie nic. Jednak gdy Kate uśmiechnęła się do niej, Dorothy próbowała skupić na niej wzrok.

– Dzień dobry. Jestem detektyw inspektor Burrows. Chciałabym pani zadać kilka pytań, jeśli jest pani w stanie...

Dorothy pokiwała głową.

– Jest pani pewna? Mogę wrócić później.

– Nie, proszę zostać. Odpowiem na wszystkie pytania. W końcu i tak kiedyś będę musiała. Niech więc to się stanie już teraz, kiedy wszystko mam jeszcze świeżo w pamięci.

– Czy Leonora kiedykolwiek wspominała pani o przyjaciółach - mężczyznach? Nie o chłopakach, kochankach, po prostu o przyjaciółach w ogólnym znaczeniu tego słowa. A może jakiś kolega z pracy wyrażał nią zainteresowanie?

Dorothy potrząsnęła głową.

– Nigdy. Widzi pani, ona niezbyt lubiła mężczyzn. Była zamknięta w sobie, żyła dla siebie, taką mniej więcej była kobietą. Znam ją od ponad piętnastu lat i gdyby miała jakiegoś przyjaciela, wiedziałabym o tym. Mówiliśmy sobie wszystko. - W oczach Dorothy zabłysnęły łzy. - Leonora była dobrą kobietą, taktowną, uprzejmą. Dlaczego ktoś jej to zrobił? Dlaczego?

Kate nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Położyła jednak dłoń na rękę kobiety, lekko ją ścisnęła i pozwoliła Dorothy się wypłakać.

Kiedy ta się uspokoiła, Kate odezwała się znowu:

– A co pani sądzi o Fredzie Borringsie?

Dorothy wyzwoiliła rękę z uścisku Kate.

– Opiekował się nią, to wszystko. Myślę, że chciałby stać się dla niej kimś więcej, niż był, ale Leonora... - Jej głos znów się załamał. - Nie chciała już nikogo takiego. Mąż ją zdradzał z byle zdziurą i przysięgła sobie, że nigdy się z nikim nie zwiąże.

Kate wpatrywała się w kobietę, niemal jej nie widząc.

Bo w takim razie jak, do diabła, morderca zdołał wejść do mieszkania Leonory? Może przebrał się za robotnika? To w końcu stary trick. Puka się do drzwi i mówi: jestem z gazowni albo z elektrowni, i ludzie niemal automatycznie wpuszczają człowieka do środka. Ale ktoś musiałby kogoś takiego zauważyć. Może zagadka się rozwiąże, kiedy mundurowi skończą przesłuchania wszystkich mieszkańców bloku?

Ktoś musiał, do licha, coś zauważyć, chociażby jakiś drobny szczegół. Przecież wokół tych mieszkań i wokół tego bloku ciągle się coś działo. Krążyli wachacze kleju, narkomani, uzależnieni od heroiny i temu podobni osobnicy. Nawet ich zeznania, choćby bardzo mgliste, mogły rzucić jakieś światło na zagadkę brutalnego morderstwa.

Kiedy rozpoczęła się sekcja zwłok, Kate i Caitlin myśleli o tym samym: po raz kolejny zabójca pojawił się i zniknął niezauważony.

Patrick usłyszał o Leonorze Davidson od swojego przyjaciela, szefa policji w Grantley. Wysoko postawiony urzędnik zgodnie z obietnicą nadal przekazywał mu wszystkie informacje prawie na bieżąco. Patrick

siedział więc teraz w swoim gabinecie, zastanawiając się nad ostatnim zdarzeniem. Pomyślał, że bardzo lubi Kate, lecz przecież dziewczyna przez cały czas zmierza ze swoim śledztwem donikąd. Błądzi tak samo, jak błądzą jej przełożeni. Zamknął oczy i mocno przetarł powieki palcami.

Gdyby tylko miał coś, od czego mógłby zacząć własne poszukiwania, jakiś drobny trop. Potrzebował jedynie malutkiej wskazówki. Wiedział, że Kate robi wszystko, co w jej mocy, ale wiedział też, że morderca ma wszelkie powody, by siedzieć gdzieś teraz spokojnie i drwić sobie z policji. Patrick Kelly nie potrafił o tym spokojnie myśleć. Za każdym razem, kiedy ta wizja przychodziła mu do głowy, zaciskał dłonie z wściekłości.

Wybrał dla córki białą trumnę z ciemnoczerwonym aksamitnym wnętrzem. Trumna była wzmocniona ołowiem i hermetycznie zamykana, odporna na wszelkie robactwo. Myśl o ukochanym dziecku, pod ziemią w zimnie i ciemnościach, z gąsienicami i innymi stworzeniami sunącymi po twarzy, wśród jasnych włosów, wchodzącymi do ust, doprowadzała go do mdłości.

A mężczyzna, z którego powodu Mandy spocznie pod ziemią... Przecież nie miał żadnych szans. Już on, Patrick Kelly, przypilnuje, żeby zginął w równie wielkich męczarniach jak kobiety, które zamordował. To tylko kwestia czasu... Znów przetarł oczy. Powoli brało nad nim górę zmęczenie. Zdawał sobie sprawę, że znajduje się niebezpiecznie blisko chwili, w której stres i zmęczenie pokonają go, nie wytrzyma serce. Popatrzył na fotografię Mandy stojącą na kominku. Została wykonana na kilka tygodni przed jej śmiercią, na przyjęciu urodzinowym którejś z jej przyjaciółek. Właśnie ta dziewczyna powiększyła ją, oprawiła i przysłała Patrickowi w akcie współczucia, który doprowadził go do łez. Fotograf uchwycił Mandy z odchyloną głową, lekko przymkniętymi oczami i roześmianą, ukazującą w tym śmiechu zęby piękne jak perły.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Po chwili w progu stanął Will.

- Pat, jest tutaj Kevin Cosgrove. Chciałby się z tobą zobaczyć. - Potężnie zbudowany ochroniarz uniósł brwi. - Mam go trzasnąć i wysłać w diabły? - zapytał z nadzieją w głosie.

Kelly potrząsnął głową.

- Nie. Wprowadź go tutaj.

Znów poczuł ten okropny ucisk w piersi. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to oznaka jakichś kłopotów z sercem, lecz na razie nie miał czasu na zajmowanie się swoim zdrowiem.

Kevin wszedł do salonu. Widok chłopaka wstrząsnął nawet Kellym. Kevin mocno stracił na wadze i był o wiele mniej przystojny. Włosy miał

brudne, potargane i widać było, że od kilku dni się nie golił.

– Boże Wszechmogący, wyglądasz jak lampa parafinowa!

Kevin stał niepewnie w progu, z twarzą pobladłą ze strachu.

– Przyszedłem w sprawie pogrzebu Mandy, proszę pana.

Patrick uświadomił sobie, że chłopak musiał wykrzesać mnóstwo odwagi, żeby przyjść do tego domu, i był pod wrażeniem. Znał mężczyzn z pozoru twardszych niż granit, którzy by w jego sytuacji zrejterowali.

– A dokładnie? - zapytał łagodnie.

Kevin nerwowo rozejrzał się po pokoju. Zanim odpowiedział, utkwiał wzrok w japońskiej wazie.

– Chciałbym w nim wziąć udział. Bardzo pana proszę.

Patrick popatrzył na chłopaka, zmagając się ze sobą.

– Możesz przyjść na pogrzeb, chłopcze, jednak trzymaj się z daleka ode mnie. Ja nie żartuję, Kevin. Do końca życia będę cię winił za to, co stało się Mandy. Zawsze. Gdybyś nie zostawił jej samej... - Patrick umilkł. Znow poczuł ukłucie w piersi. - Idź już, spieprzaj stąd, zanim znów stracę panowanie nad sobą. I pamiętaj, co ci powiedziałem, Kevin. Trzymaj się z daleka ode mnie. Nie wiem, co będę w stanie ci zrobić, jeśli ujrzę cię w chwili, kiedy moją Mandy będą zakopywać.

Kavin zwiesił głowę, odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Przez długi moment Patrick się w nie wpatrywał. W końcu przyszedł Will z dzbankiem gorącej kawy. Postawiwszy tacę na małym edwardiańskim stolczku przy sofie, nalał kawę do dwóch filiżanek, dla Kelly'ego i dla siebie. Następnie do każdej filiżanki wlał po sporej porcji koniaku. Kelly patrzył na niego z niedowierzaniem. Jego ruchy były niezgrabne, jako kelner prezentował się nadzwyczaj nieudolnie.

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy trochę pogadać, Pat. To chyba niezbyt dobrze, że wciąż przebywasz sam. Od czasu do czasu przyda ci się towarzystwo. Na zdrowie. - Uniósł filiżankę z kawą i wypił odrobinę, parząc się w usta. - Do diabła, czy pani Manners chce, żebym zespawał sobie wargi?

Patrick roześmiał się głośno. Willy czasami działał na niego jak balsam, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Masz jakieś nowe wiadomości, Pat?

Kiedy zaczęli tylko we dwóch rozmawiać o poważnych sprawach, wszelkie różnice pomiędzy nimi się nie liczyły. Kelly doskonale rozumiał się z Willym i dawał mu mnóstwo swobody. W końcu przebyli razem bardzo długą drogę.

– Nie, właściwie nic. Jutro dowiem się szczegółów na temat nowego morderstwa.

– Ten mały drań ma mnóstwo tupetu, nie sądzisz? Kręci się po

Grantley jak po swoim terenie i robi, co chce. Niech ja go dorwę...

Patrick machnął ręką.

– Daj spokój, szkoda nerwów. Któregoś dnia facet się pomyli - Jeśli Bóg tego nie dopilnuje, to jestem jeszcze ja.

– A wiesz, Pat, zastanawiałem się...

Kelly zamknął oczy. To było coś niesłychanego, Willy się nad czymś zastanawiał.

– Chodzi mi o tę policjantkę, którą posuwasz... To znaczy spotykasz się z nią i w ogóle.

Kelly pokiwał głową. Stał się czujny.

– Co z nią? - Mimo wszystko nie miał nastroju, by wysłuchiwać lepszych lub gorszych rad w związku z Kate.

– Przypadkiem słyszałem, jak rozmawialiście któregoś dnia. Mówiła coś o próbkach krwi do DNE albo czegoś takiego.

– Chodzi o DNA. No i co w związku z tym?

Na twarzy Willy'ego pojawiło się zdziwienie.

– Co to takiego to DNA?

Rozmowa zaczęła drażnić Patricka.

– Skąd, do cholery, mogę wiedzieć? Czy ja jestem naukowcem?

– Nie, skądże, Pat, uspokój się.

– O co ci właściwie chodzi?

– Powiedziała, że zrobiliby to, jednak to jest za drogie.

– Co by zrobili?

– No te cholerne badania krwi. Niech mnie kule biją, Pat, czy ty nigdy nie słuchasz, co

ludzie do ciebie mówią?

Popatrzywszy na szczerze zdziwioną twarz Willy'ego, Kelly nagle zrozumiał, że chociaż raz Willy wpadł na dobry pomysł.

Któregoś wieczoru, przy kolacji, Kate powiedziała mu, że DNA to takie genetyczne odciski palców. Zresztą tyle to każdy człowiek wie, chociażby z gazet. Ale aż do tej pory Patrick nie do końca zdawał sobie sprawę z pełnego znaczenia tego, co powiedziała mu Kate.

– Wiesz co? Wyświadczyć mi przysługę. Połącz się z miejscowym szefem policji i powiedz mu, żeby mi przysłał informacje o wszystkich sprawach, które kiedykolwiek rozwiązano dzięki temu DNA. I zapamiętaj, DNA, a nie DNE.

– Jasne, Pat. - Willy wstał i ruszył do drzwi.

– Aha, Willy. - Mężczyzna odwrócił się. - Dzięki. Bardzo mi teraz pomogłeś. Docenię to.

Willy wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

– DNA... DNA... - powtarzał, znikając za drzwiami, jakby bał się, że

mógłby zapomnieć.

Patrick wziął do ręki filiżankę z kawą i powoli sączył stygnący płyn, rozkoszując się zapachem rozpuszczonego w kawie koniaku.

Może będzie mógł spełnić z pozoru nierealne życzenie Kate? Może właśnie dzięki temu wpadną na trop zabójcy?

Caitlin i Kate mieli przed sobą spisane zeznania większości mieszkańców bloku i byli wyraźnie zniechęceni. Nie sposób było wydobyć z tych kartek nawet najmniejszej wskazówki przydatnej w śledztwie, żadnego śladu.

Sekcja zwłok wykazała, że chociaż napastnik dusił Leonorę, przyczyną jej gwałtownej śmierci była niemal na pewno „inhibicja nerwu błędnego”. Inaczej mówiąc, po prostu umarła ze strachu.

– Cholera, kolejne morderstwo, a my wciąż nic nie mamy. Do diabła, przecież ktoś musiał coś zauważyć. To wszystko nie trzyma się kupy. Nie istnieją niewidzialni zabójcy.

Caitlin pokiwał głową.

– Ludzie często widzą różne rzeczy i nawet sobie z tego nie zdają sprawy. - Wskazał na leżące przed nim papiery. - Ktoś z tych ludzi pewnie widział mordercę, jednak wcale nie przywiązuje wagi do tego spostrzeżenia. Albo więc mordercą jest ktoś, kto mieszka w tym bloku i kogo po prostu widuje się tam często, albo ktoś, kogo często mijają się na ulicy. To jedna wersja. Zwróć uwagę, że zabójca zrezygnował z używania samochodu. A to z kolei może znaczyć, że albo dojechał na miejsce zbrodni taksówką, albo mieszka tak blisko, że mógł tam dojść pieszo.

– Może jechał autobusem?

– No właśnie. Jeśli jechał autobusem, musiał go ktoś widzieć. Jeżeli zdołamy dotrzeć do osoby, która, choćby jadąc z pracy, widziała w autobusie kogoś, kogo nie widuje się w nim codziennie, będziemy mieli jakiś trop.

– Spencer kontaktuje się z wszystkimi firmami zajmującymi się przewozami ludzi i sprawdza wszystkie taksówki, które wozily pasażerów pomiędzy dziewiątą a dwunastą tego wieczoru, kiedy zginęła Leonora. Jak dotąd, skupił na sobie jedynie ludzką złość, wściekłość i niezadowolenie, ale nie uzyskał niczego konkretnego.

– Te morderstwa konfliktują ludzi z policją. Jedna zbrodnia ekscytuje, dwie ekscytują, cztery znaczą już, że źle pracujemy, i każdy osobnik, którego przesłuchujemy, daje nam to odczuć.

– Właściwie się nie dziwię. Posłuchaj, pošlę Willisa, żeby porozmawiał z kierowcami autobusów. Może któryś z nich coś zobaczył, albo, żeby być bardziej precyzyjnym, może zobaczył kogoś, i to właśnie

tę osobę, której szukamy? - Kate pokiwała głową. - „Inhibicja nerwu błędnego” - powiedziała. - Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałam. To brzmi okropnie.

- Niedobrze mi się robi, kiedy o tym myślę. Idź już do domu, Katie. Ja tu jeszcze trochę zostanę, a ty powinnaś dobrze wypocząć.

Katie wstała i wygładziła dłońmi spódnice.

- Masz ładne nogi, wiesz, Katie? - Zanim zdołała zareagować, Caitlin zadał jej kolejne pytanie: - A jak się ma dziewczynka?

- Lizzy? Doskonale. Prawdę mówiąc, zaraz jadę ją odwiedzić.

- Zobacysz, z bożą pomocą wkrótce stanie na nogi. Zanim wyjdiesz, podaj mi jeszcze teczki oznaczone literą „W”.

Kate podeszła do szafy z aktami i otworzyła odpowiednią szufladę. W kącie grzecznie stała butelka Teacher's. Wyciągnęła ją i podała Caitlinowi.

- To okropny kraj, Katie. Żeby Irlandczyk pił szkocką whisky. - Potrząsnął głową. - Boże, pozwól mi pewnego dnia znaleźć sklep, w którym sprzedają Bushmilla.

- Mówisz jak moja matka.

- A to znaczy, że twoja matka jest bardzo przebiegłą kobietą.

Kate zdjęła z wieszaka torebkę i żakiet.

- No to do jutra rana, Kenneth.

- Mam na imię Kenny.

Uśmiechając się, Kate przeszła przez pokój funkcjonariuszy, celowo unikając patrzenia na fotografie ofiar wiszące na ścianie. Zatrzymała się przy biurku Amandy Dawkins.

- Masz coś?

Amanda potrząsnęła głową.

- Nic.

Kate westchnęła.

- A więc do jutra.

- Dobranoc.

Pojechała do Warley Hospital. Był wczesny wieczór i ruch na ulicach osłabł już na tyle, że bez trudu w ciągu dwudziestu minut dotarła na miejsce. Gdy wysiadła z samochodu i popatrzyła na wielki stary budynek, poczuła kulę w gardle. Patrick miał jednak rację, kiedy mówił, że Lizzy przynajmniej żyje i oddycha. Gdyby musiała identyfikować córkę w kostnicy tak jak Ronald Butler, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by się zachowała.

Po ostatnim morderstwie policja znalazła się pod ogromną presją. Zbrodniarza trzeba było złapać, i to szybko. Natychmiast. Panowało

przekonanie, że o ile mordercy nie złapie się w ciągu trzech dni, prawdopodobieństwo znalezienia go później staje się minimalne. Lecz ten konkretny morderca popełniał zbrodnię za zbrodnią. Kiedy już raz spróbował, polubił swoje zajęcie i wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały teraz, że nie jest w stanie się powstrzymać.

Ruszyła korytarzem w kierunku oddziału, na którym leżała Lizzy. Z którejś sali docierała do niej piosenka Simply Red *If you don't know me by now* i Kate lekko się uśmiechnęła. Przynajmniej nie jest tu tak jak w innych szpitalach. Lizzy może słuchać muzyki, chodzić we własnych ubraniach i rozmawiać ze specjalnie wyszkolonymi ludźmi, potrafiącymi wysłuchać, co jej leży na sercu.

Kiedy Kate dotarła na miejsce, Lizzy siedziała przy stoliku z dwiema innymi dziewczynami. Kate podeszła do niej i pocałowała ją w czoło.

– Cześć, mamgo! - Lizzy wyglądała doskonale. W ciągu tygodnia, który spędziła w szpitalu, jej stan znacznie się poprawił.

Kate usiadła przy stoliku i skinęła dwóm pozostałym dziewczętom. Jedna z nich, wysoka, o ciemnych włosach, wstała i zapytała:

– Czy przynieść pani kawę?

– Tak, dziękuję. Bez cukru.

– Słyszałam o kolejnym morderstwie, mamgo. To straszne. Właśnie o tym rozmawialiśmy.

Kate nie wiedziała, jak zareagować. W końcu to Lizzy prosiła ją, żeby nie wspominała tutaj, że jest policjantką. A teraz wręcz o to prosiła.

Drobna blondynka z dużymi zielonymi oczami i trwałą ondulacją potrząsnęła głową.

– To musi być bardzo stresująca praca, proszę pani. Nie wiem, jak pani potrafi bezustannie patrzeć na te wszystkie zwłoki! Chryste!

Kate uśmiechnęła się. Dziewczyna naprawdę ją podziwiała.

– Przyznaję, to nie jest miłe, jednak ktoś to musi robić.

– Moja mama wytropiła wielu morderców, prawda, mamgo?

Kate była lekko zakłopotana.

– Nie mogę powiedzieć, że wielu, ale przynajmniej kilku. Morderstwa nie zdarzają się tak często, jak wam się wydaje.

– A czy domyśla się pani już, kto jest Rozpruwaczem z Grantley?

Kate popatrzyła w zielone oczy dziewczyny.

– Nie. Szczerze mówiąc, nie mamy pojęcia, kto nim jest. Ale nad tym pracujemy. Ciemnowłosa dziewczyna wróciła z kawą, po czym obie towarzyszki Lizzy zostawiły matkę i córkę same.

– To się nazywa „czas przeznaczony dla rodziny”, mamgo. Kiedy ktoś z nas ma gościa, inni pacjenci muszą odejść.

– Dlaczego one są tutaj? - Kate upiła łyk kawy.

– Ta ciemnowłosa to Andrea. Próbowwała się zabić, ponieważ miała mnóstwo problemów. Przygotowywała się właśnie do matury i nagle zważyło się na nią tyle spraw... Jest bardzo miła, jak sama widzisz.

– A ta drobna blondynka?

– To pielęgniarka, mamó! Trudno nas tutaj odróżnić, co?

Kate roześmiała się.

– Rzeczywiście. A teraz powiedz mi, jak się czujesz?

Lizy westchnęła i poprawiła grzywkę.

– O wiele lepiej. Znow miałam dzisiaj spotkanie z psychiatrą. Jest bardzo miły, mamó. Powiedział mi, że tkwił we mnie konflikt osobowości. Że próbowałam być inną osobą, niż w rzeczywistości chciałam. Powiedział, że moje zachowanie wynikało z braku poczucia bezpieczeństwa. Chciałam do kogoś należeć, a z drugiej strony przeciwko wszystkiemu się buntowałam.

– Uważasz, że psychiatra ma rację?

Lizy popatrzyła matce w oczy i pokiwała głową.

– Przepraszam cię, mamó, za to, co zrobiłam. Kiedy dowiedziałam się, że babcia przeczytała mój pamiętnik, chciałam już tylko umrzeć. Wiem, że mnie kochasz, i wiem, że babcia także mnie kocha. Ale czasami czułam, że jestem dla ciebie taka mało ważna. Twoja praca była ważniejsza. Taty tak naprawdę nigdy przy mnie nie było. Wiem, że to drań i wyzyskiwacz kobiet. Taki był też dla mnie, przez długi czas, ale mimo to go kocham. To w końcu mój ojciec. - Wyraz jej oczu nie pozostawiał wątpliwości, że prosi matkę o zrozumienie.

Kate pokiwała głową.

– Będę szczerą, praca długo była ważniejsza, ponieważ potrzebowałam pieniędzy, Lizzy. Twój ojciec nigdy nie dał mi ani grosza na twoje utrzymanie. Zostawił mnie z hipoteką do spłacenia, dzieckiem i rozdartym sercem. - Kate uśmiechnęła się, wypowiedziawszy ostatnie dwa słowa. - Musiałam jakoś ułożyć nasze życie, musiałam pracować. Zabiegałam o awanse, ponieważ każdy awans oznaczał więcej pieniędzy. W końcu spłaciłam dom, w którym dzisiaj mieszkamy, ale utrzymanie nas trzech wciąż dużo kosztuje. Babcia ma tylko niewielką emeryturę... - Kate mocno zacisnęła dłoń na ręce Lizzy. - Nigdy nie chciałam, żebyś czuła się odrzucona, córeczko. To dla ciebie tyle pracowałam. Pragnęłam, żebyś miała w życiu wszystko, co tylko mogę dla ciebie zdobyć. I przede wszystkim dlatego przez te wszystkie lata właściwie nie miałam życia osobistego.

– Tata powiedział mi o twoim chłopaku.

Kate poczuła, że oblewa ją zimny pot, ale spojrzawszy na Lizzy, stwierdziła, że dziewczyna się uśmiecha.

– Nie bądź taka zaskoczona, mamó. Myślę, że to wspaniała sprawa.

Kiedys go widziałam, tego Patricka Kelly'ego. Przyszedł do mojej szkoły z jakąś forszą. Uważam, że jest bardzo przystojny. Ciemny i ma zawsze taką ponurą minę. To mój typ, mam, mamy taki sam gust.

Kate opuściła głowę na piersi i przygryzła wargę. Po tym, co wyczytała w pamiętniku Lizzy, odnosiła wrażenie, że każdy mężczyzna jest w typie jej córki. Zaraz jednak pozbyła się tej myśli. Musiała zaprzestać osądzania jej, bo w przeciwnym wypadku obie nie miały szansy na doprowadzenie wzajemnych stosunków do porządku.

– Tak, to fajny facet. Ale chyba jestem zbyt stara, żeby mieć chłopaka, nie sądzisz? On jest dla mnie bardziej takim... męskim przyjacielem, kimś w tym rodzaju.

– Zdaniem tatusia to twój chłopak i kochanek. Jest bardzo zazdrosny. Mówię ci, mamusiu, musiałybyś go widzieć, kiedy mi o nim opowiadał. Był wprost zielony na twarzy. - Lizzy wybuchła głośnym śmiechem, co natychmiast zwróciło na nią i jej matkę uwagę pozostałych osób w sali.

– Co mu powiedziałaś, Liz?

Lizzy pochyliła się nad stolikiem i typowym dla niej gestem, który spowodował, że w gardle Kate nagle powstała gruba kula, odgarnęła z twarzy włosy i uśmiechnęła się. W tej chwili wyglądała jak zwykła uczennica. Ta przemiana sprawiła, że w oczach Kate błysnęły łzy.

– Powiedziałam mu, że to nie jego zasrany interes.

Oczy Kate rozszerzyły się.

– Coś takiego! I jak to przyjął?

Lizzy głośno się roześmiała.

– Jakby spadł mu na głowę ołowiany balon, mam. Wygarnęłam mu wszystko prosto z mostu. - Lizzy znów spoważniała. - Powiedziałam mu, że problem naszej rodziny polegał zawsze na tym, że wszyscy robili to, czego się po nich spodziewano, a nie to, na co mieli ochotę.

Kate wpatrywała się w Lizzy z niedowierzaniem. Jej córka zachowywała się tak dorośle i tak inteligentnie, jak jeszcze nigdy dotąd.

– Mówię ci, poszedł stąd jak zmyty.

– Och, Lizzy.

– Po co te westchnienia? Jeśli mam mówić to, co naprawdę myślę, jak każą mi psychiatrzy, będę tak mówiła, niezależnie od tego, czy ktoś się będzie na mnie obrażał, czy też będzie ze mnie zadowolony. - Dziewczyna szeroko rozłożyła ręce. - Czuję się wspaniale, mam. Naprawdę wspaniale, po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu. Dziś rano przyszła do mnie Joanie i długo ze sobą rozmawiałyśmy. Powiedziała mi bez ogródek, że ostatnio zachowywałam się jak ostatnia łajza, i musiałam się z nią zgodzić. Ale obiecałam jej i to samo obiecuję teraz tobie: poprawię się. Będę o wiele lepsza, niż byłam do tej pory, naprawdę.

– Lizzy, kocham cię, bez względu na to, jak się zachowujesz i co robisz.

Lizzy uśmiechnęła się.

– Wiem, mamó. Teraz powiedz mi jednak, jaki jest ten Patrick Kelly.

– Jest po prostu przyjacielem. Kiedy została zamordowana jego córka, właściwie to sama nie wiem, ale chyba właśnie z tego powodu się do siebie zbliżyliśmy.

– Babcia mówi, że jest uroczy. To chyba dlatego, że ma irlandzką krew. Pamiętasz, kiedy Boy George był na szczycie muzycznej listy przebojów? Babcia pytała: „Do diabła, a to co za cudak w tej telewizji?” Odpowiedziałam: „To Boy George, babciu. Naprawdę nazywa się George O’Dowd i pochodzi z Irlandii”. Babcia przez chwilę go słuchała i wreszcie stwierdziła, że wcale nie jest taki zły.

Kate roześmiała się.

– Tak, doskonale to pamiętam.

– Więc powiedz mi, mamó, jaki on naprawdę jest. - Wyraz twarzy Lizzy nie pozostawiał wątpliwości, że dziewczyna jest bardzo ciekawa.

– To bardzo miły mężczyzna. No, ale nie mówmy już o nim, moja damo. Powiedz mi, co słychać u ciebie. Co tutaj się dzieje?

Lizzy zaczęła opowiadać, jak spędza czas w szpitalu, i Kate uważnie słuchała, zadowolona, że nie musi rozmawiać o Patricku.

Musiała jednak przyznać przed sobą, że w jej myślach Patrick pojawia się nad wyraz często. W najmniej odpowiednich chwilach przypominała sobie godziny spędzone z nim w łóżku. Ekscytował ją i stanowił dla niej potencjalne niebezpieczeństwo, ale Kate o to nie dbała. Po raz pierwszy w życiu była szczerze kochana i czuła się fantastycznie.

– Żebym nie zapomniała, Lizzy, co byś powiedziała na wyjazd do Australii?

Oczy dziewczyny rozszerzyły się.

– Naprawdę? Do wuja Pete’a?

Kate pokiwała głową.

– Och, mamó, to by było wspaniałe.

– Babcia pojechałaby z tobą. Ja nie mogę, ponieważ nie dostanę wolnego z pracy. Myślę jednak, że obie dobrze spędzicie czas. Miałybyście małą przerwę od angielskiej codzienności. Poza tym słońce, no i zobaczyłybyś wreszcie swoich kuzynów.

Lizzy podniosła się z krzesła i otoczyła matkę ramionami. Kate czuła, że już sama myśl o wyjeździe do Australii ekscytuje córkę.

I ona przycisnęła do siebie Lizzy. Chętnie też pojechałaby do Australii, lecz po prostu nie mogła sobie na to pozwolić. I tak musiała wkrótce wziąć dużą pożyczkę z banku na koszty podróży i wydatki dla Lizzy i dla Evelyn. Gotowa była jednak na każde poświęcenie, byleby

tylko widzieć swą córkę szczęśliwą.

– Och, mam, jesteś dla mnie taka dobra!

Kate delikatnie pocałowała Lizzy.

– Zobaczmy, kiedy będziesz mogła opuścić szpital. Wtedy zarezerwuję bilety na samolot, zgoda? Masz teraz na co czekać.

Lizzy podbiegła do grupy ludzi zgromadzonych przed gramofonem i przekazała im radosną dla siebie nowinę. Widząc uszczęśliwioną twarz córki, Kate poczuła, że jest jej o wiele lżej na sercu.

W tym samym czasie Dan siedział naprzeciwko Fredericka Flowersa. Minęła już godzina dziewiętnasta i Flowers starał się ukradkiem popatrzeć na zegarek. Kiedy Dan to zauważył, odrobinę się zdenerwował.

– No, i co pan o tym sądzi? - zapytał.

Z kolei Flowersa irytowało natarczywe, pełne oczekiwania spojrzenie Dana. Od samego początku ta rozmowa wywoływała w nim niesmak.

– Pańska była żona, panie Burrows, jest wysokiej rangi oficerem policji. Zajmuje się między innymi sprawą śmierci córki pana Kelly'ego...

Dan przerwał mu.

– Ale ona sypia z tym człowiekiem!

Flowers uśmiechnął się protekcyjnie.

– Obawiam się, że mam na to tylko pańskie słowo. - Wstał i wyciągnął rękę. - Obiecuję panu, że osobiście zajmę się zbadaniem sprawy.

Dan wstał i zignorował wyciągniętą rękę. Wycelował palcem w stojącego przed nim mężczyznę.

– Moja była żona pieprzy się ze znanym na całą okolicę łajdakiem. Osobiście uważam, że należy zwrócić na to baczną uwagę.

Obróciwszy się na pięcie, Dan wyszedł z gabinetu Flowersa. Ten westchnął i znów usiadł za biurkiem.

Już wyobrażał sobie, jak podnosi słuchawkę, dzwoni do Patricka Kelly'ego i mówi mu, żeby przestał sypiać z Kate Burrows. Flowers i Kelly byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Od wielu lat.

Lecz musiał przyznać, że Kate Burrows go zaskoczyła. Była dobrą policjantką, jedną z najlepszych. Nigdy by nie przypuścił, że zwiąże się z Kellym. Cóż, kobieta zawsze pozostanie kobietą. A któż zrozumie babską logikę?

W pełni jednak rozumiał ją, że pozbyła się tego swojego męża przystojniaczka. Facet był zwykłym despotą.

Flowers wstał i starannie poprawił kanty na spodniach. Po całym dniu w pracy zaczynał tęsknić za domem. Wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi, notując w pamięci wiadomość dla sekretarki, żeby nigdy

już nie wpuszczała do niego Dana Burrowsa, choćby nawet miał bardzo pilną sprawę.

Jedno spotkanie z nim zupełnie mu wystarczyło.

Kate zajechała do domu, w pośpiechu zjadła kolację, wykąpała się, przebrała i w rekordowym czasie z powrotem wsiadła do samochodu. Matce powiedziała, żeby na nią nie czekała, co wywołało na twarzy Evelyn pełen zrozumienia uśmiech.

Przed dom Patricka zajechała krótko po dziewiątej. Zanim zdążyła zapukać, Willy otworzył jej drzwi i wprowadził ją do salonu.

– Pan Kelly zaraz zejdzie. Czy napije się pani czegoś?

– Poczekam z tym na Patricka, jeśli wolno.

Willy uśmiechnął się do niej najbardziej przyjaznym ze swoich uśmiechów. Skinął głową i wyszedł.

Kate usiadła na sofie i uśmiechnęła się z kolei sama do siebie. Była już całkowicie rozluźniona. Jak wszystko w tym domu, sofa, na której siedziała, była piękna, praktyczna i bardzo wygodna. Świadomość, że Lizzy czuje się już lepiej, przynosiła Kate ogromną ulgę. Odnosiła wrażenie, że ktoś zdjął z jej piersi wielki ciężar. Psychiatra mnóstwo jej opowiedział o młodych ludziach, przechodzących przez to, przez co właśnie przeszła Lizzy. Był to niemal nieuchronny fragment procesu dorastania we współczesnym świecie. To właśnie psychiatra zasugerował, że bardzo dobrym rozwiązaniem dla Lizzy może okazać się całkowita zmiana otoczenia. Powiedział też, że dziewczyna nie uzależniła się jeszcze od narkotyków, zażywała je wyłącznie po to, żeby uciekać od rzeczywistości. Stwierdził także, że nadzwyczaj bujne życie seksualne Lizzy w obecnych czasach nie było już u tak młodej dziewczyny czymś nienormalnym. Mnóstwo młodych dziewcząt miało ośmiu czy dziewięciu partnerów seksualnych jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia; znak czasów. Psychiatra bardziej interesował się tym, czy partnerzy Lizzy używali prezerwatyw.

Cóż, człowiek uczy się przez całe życie, pomyślała Kate.

Do pokoju wszedł Patrick. Miał na sobie ciemnoniebieski szlafrok.

– Kąpałeś się?

– Nie, budowałem domowe ognisko.

Kate roześmiała się. Patrick podszedł i pocałował ją w usta. Po raz kolejny wyczuła jego niemal zwierzęcą siłę. Działał na nią jak narkotyk, niebezpiecznie pociągał.

– Kazałem Willy'emu otworzyć butelkę znakomitego wina. Napijemy się po kieliszeczku?

Kate skinęła głową i Patrick wyszedł. Tym razem usiadła na krześle.

Przyszło jej do głowy, że powinna podziwiać u Patricka kolejną rzecz: w salonie nie można było dostrzec telewizora. Wiedziała tylko, że nowoczesny odbiornik, o trzydziestodwucalowym ekranie, ukryty jest w jednej z szafek. Kate nie przepadała za telewizją. Woląla książki i odprężała się właśnie przy lekturze. Patrick wydawał się taki sam. Cóż, mieli ze sobą wiele wspólnego. Chociaż gdzieś, w głębi duszy, obawiała się go. Wiedziała o nim mnóstwo rzeczy i nie wszystkie świadczyły o nim dobrze. Jednak kiedy była z nim, blisko niego, mogła wybaczyć mu dosłownie wszystko, bez wyjątku.

Wrócił do pokoju z butelką i dwoma kryształowymi kieliszkami. Nalał wino do obu i usiadł na podłodze, obok krzesła Kate.

– Czuję się wspaniale, Kate. Jak to dobrze, że w tym domu znów jest kobieta.

– A pani Manners?

Patrick upił łyk wina.

– Pani Manners jest doskonałą kucharką i kochaną gosposią, ale niezbyt na mnie działa. Chyba mnie rozumiesz?

Kate popatrzyła na jego pomarszczoną twarz i poczuła ucisk w żołądku.

Bardzo pragnęła tego mężczyzny.

– Jak postępuje śledztwo? - Tym razem głos Patricka zabrzmiał ponuro.

Kate poczuła, że dobry nastrój pryska.

– Rozumiem, że wciąż nie masz żadnych wieści?

Kate potrząsnęła głową.

– Robimy, co możemy, ale jak już ci mówiłam, Pat, wobec takiego mordercy to żmudna i trudna praca.

Patrick ukląkł przed nią i znów upił łyk wina.

– Ostatnio o czymś mi wspominałaś... O DNA?

– Och, to jakby genetyczne odciski palców. Takie ślady morderca pozostawił. Problem polega na tym, że nikt nie wyrazi zgody na wydanie pieniędzy w celu zbadania krwi pięciu tysięcy mężczyzn. W przeszłości takie masowe badania już prowadzono, w Enderby, w hrabstwie Leicester. To było chyba w osiemdziesiątym trzecim roku.

– Czy to przyniosło jakiś skutek?

Kate pokiwała głową.

– Prawdę mówiąc, tak.

Oboje zamilkli, a Patrick znów usiadł na podłodze. W miłej ciszy sączyli wino. Była to kolejna okoliczność, która czyniła przebywanie z Patrickiem tak atrakcyjnym: cieszyli się swoją obecnością, nie mówiąc ani słowa. Kiedy Kate przebywała z Danem, cisza pomiędzy nimi zawsze była pełna napięcia. W obecności Patricka cisza zdawała się stanem

zupełnie naturalnym. Wreszcie Patrick wstał i odebrał jej kieliszek. Pociągnąwszy ją za rękę, sprawił, że wstała z krzesła, i pocałował ją zdecydowanym, długim pocałunkiem.

- Chodź ze mną do łóżka, Kate. Bardzo cię pragnę.

Lekko pokiwała głową. Zabrawszy kieliszki, poszli po schodach do sypialni. Tam Patrick powoli zaczął ją rozbierać, pieszcząc każdy fragment jej ciała w miarę, jak je odsłaniał. Kiedy robił to po raz pierwszy, miała wrażenie, że umrze z rozkoszy. Nie martwiło jej wcale, że był tak doświadczonym kochankiem. Kochał ją w swoim powolnym tempie, utrzymując ją w rozkosznym stanie erotycznego oczekiwania. Do pierwszego orgazmu doprowadzał ją ustami, jeszcze zanim w nią wszedł, a potem wsuwał się w nią długimi, gwałtownymi ruchami, doprowadzając ją do kolejnego szczytowania. Zanim poznała Patricka, seks nie dawał jej tak wielkiej przyjemności i szczęścia. Wiedziała, że trudno będzie jej z tego zrezygnować.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

1953

George czuł już zmęczenie w rękach. Podniósł paczki i przycisnął je mocno do piersi. Stał w kolejce, było mu zimno i prawie wszystko go bolało. Koniecznie potrzebował nowej pary butów. Te, które miał na nogach, były o wiele za małe, a jeden z nich miał w podeszwie wielką dziurę, zamaskowaną kartonem. Ze zniecierpliwieniem przyglądał się starszej kobiecie skrupulatnie liczącej resztę pieniędzy, którą właśnie otrzymała od urzędniczki z okienka. Miał ochotę szarpnąć ją i dać takiego kopniaka, żeby wyleciała na ulicę. A jednak tylko uśmiechnął się do niej, kiedy odeszła od kontuaru, i wreszcie sam ułożył na nim paczki, które kobieta w okularach szybko zważyła i ostemplowała.

Uwolniony od ciężaru, wsunął ręce do kieszeni, gdzie bezpiecznie spoczywały pieniądze z wypłaty.

Uśmiechnął się do siebie. Jego pierwsza tygodniówka. Z pewnością kupi sobie nowe buty. Wykonawszy ostatecznie zadanie dnia, rozpoczął długi spacer do domu. Od jutra będzie już mógł jeździć autobusem. O ile... Potrząsnął głową, żeby odegnać od siebie złe myśli. Zatloczonym chodnikiem kroczył pewnie, jak chłopak, który doskonale wie, co robi. Przez lata dobrze poznał Londyn - północ, południe i wschód. Jego matka przeprowadzała się tak często, że niemal w każdej części miasta czuł się jak u siebie. Teraz mieszkali w Ilford; o okolicy wiedział już niemal wszystko.

Po godzinie marszu dotarł wreszcie do budynku w Green Lanes. Był zmęczony, strasznie zmęczony. Na szczęście mógł o matce powiedzieć jedną pozytywną rzecz: zawsze przygotowywała doskonałe posiłki. Wszedł do domu tylnym wejściem i od razu skierował się do kuchni, starannie wycierając buty w szmatę leżącą przed drzwiami.

– Spóźniłeś się! - zawołała Nancy niezadowolonym głosem.

George pokiwał głową, nagle świadom, że nie wita go żaden kuszący zapach. Z konsternacją popatrzył na kuchenkę gazową.

– Nie patrz tak, Georgie, mój chłopcze. Dopóki nie dostanę nowej pracy, nie będziemy mieli nic do jedzenia. A chciałam, żebyśmy dzisiejszy wieczór uczcili frytkami.

George zdjął kurtkę i powiesił ją na haczyku, specjalnie w tym celu przymocowanym do drzwi. Nancy nienawidziła nieporządku.

– No i? - Trudno to było uznać za pytanie.

George wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął kopertę z wypłatą. Była zaklejona. Nancy chwyciła ją chciwie i szybko rozdarła. Wysypała monety na wielką, czerwoną dłoń.

– To wszystko? - Jej zielone oczy zwężyły się, kiedy patrzyła na syna. - Trzydzieści szylingów?

George znów pokiwał głową.

– Potrzebuję nowych butów.

Nancy roześmiała się.

– Wszyscy przecież potrzebujemy nowych butów. - Rzuciła na stół dwie półkoronówki. - To twoja dola, Georgie, mój chłopcze. Dwadzieścia pięć szylingów pójdzie na utrzymanie domu. - Ujrzała na jego twarzy rozczarowanie i przeszła do defensywy. - Posłuchaj tylko, utrzymywałam cię przez całe życie, nadszedł czas, żebyś choć w części się odwdzieczył...

Kiedy tak trajkotała, do kuchni wszedł Jed McAnulty. Najwyraźniej dopiero przed chwilą się obudził. Popatrzył na pieniądze na stole i jego twarz rozjaśniła się. Nancy natychmiast go ostrzegła:

– Nie licz, że cokolwiek z tego trafi do twoich łap, bo nie trafi.

George ciężko westchnął i pośpiesznie wziął ze stołu dwie monety. A więc nie będzie miał nowych butów i nie będzie jeździł autobusem do pracy. Będzie musiał ciężko oszczędzać. Wolność, która zdawała się w zasięgu ręki, nagle stała się znów odległą. Podczas gdy Nancy z przyjacielem rozpoczęli regularną kłótnię, George przeszedł do salonu i usiadł na kanapie. Po chwili usłyszał trzask tylnych drzwi i odgłos butów na wysokich obcasach, odbijający się na betonowej ścieżce prowadzącej do furtki. Jed wszedł do salonu.

– Poszła po frytki. - Jed usiadł na krześle przy kominku i plastikowym grzebieniem przeczesał włosy. - Dziwię się, George, że nie poszukasz sobie jakiegoś własnego kąta. Miałbyś z głowy tę starą jędzę. Nie musiałybyś jej dawać ciężko zarobionej forsy.

George milczał, wpatrując się w kominek.

– Posłuchaj mnie, synu, ona przecież zbija fortunę na tym, co robi. Wcale nie potrzebuje twojej forsy, zabiera ci ją, bo jest zwyczajnie złośliwa. Jeszcze nigdy w życiu nie znałem takiej kobiety.

George popatrzył chłodno na mężczyznę.

– Żyjesz z niej, Jed. To na ciebie wydaje wszystkie pieniądze.

Jed zagryzł wargę i lekko się uśmiechnął.

– Zawarłem z twoją matką układ. Dostarczam jej, hmm... materiału do pracy, to

wszystko. Ale to jest nieistotne, ważne jest to, że zgromadziła już taką fortunę, że naprawdę nie potrzebuje twojej forsy.

George wiedział, że to prawda. Wiedział też, że Jed tylko próbuje mu

pomóc. Jednak, jak zwykle, lojalność wobec matki brała w nim górę.

– Wszyscy wy, mężczyźni, z którymi matka się spotyka, wykorzystujecie ją.

Jed znów się uśmiechnął.

– Posłuchaj, chłopcze, twoja matka lubi takie życie. Jest jedną z niewielu cichodajek... to znaczy chciałem powiedzieć, pracujących kobiet... które uwielbiają swoje zajęcie.

George zamknął oczy. Jed przyprowadzał do domu mężczyzn dla Nancy, a potem siadał w salonie, popijając alkohol, podczas gdy Nancy na górze ubijała interes. Ostatnim mężczyzną, jakiego przyprowadził Jed, był potężny Irlandczyk, który jednym z elementów układu uczynił tym razem George'a. Jed, trzeba mu to oddać, nigdy czegoś takiego nie próbował. Kiedy Nancy mu o tym powiedziała, wpadł w szal, krzycząc, że to zboczenie. George nawet go po tym incydencie polubił. Zdawało się, że zaczyna zajmować przy nim miejsce, które opuściła Edith.

– Pomyśl o tym, co powiedziałem, synu. Masz dobry zawód, spróbuj więc teraz żyć na własny rachunek.

Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że Nancy stoi w kuchni i podsłuchuje ich rozmowę. Wróciła, ponieważ zapomniała swojej portmonetki pełnej pieniędzy, którą zawsze zabierała na wszelki wypadek. Pełnej pieniędzy, o których Jed wiedział, a których nigdy nie potrafił znaleźć. Wróciła więc do domu i wszystko usłyszała. Na jej twarzy pojawił się grymas złości. Cicho zamknęła za sobą kuchenne drzwi i ruszyła do sklepu po frytki.

George leżał w łóżku, wsłuchując się w ciszę. Był zmęczony, nie mógł jednak zasnąć. Słowa Jeda rozbrzmiewały mu w głowie echem. Gdyby opuścił dom matki i wynajął jakiś pokój w mieście, mógłby rozpocząć życie na własny rachunek. Zaczął fantazjować o własnym kącie, ładnej tapecie na ścianach i gramofonie. Oczyma wyobraźni widział to miejsce tak wyraźnie, jakby istniało naprawdę. Czysta narzuta na podwójnym łóżku. Sterta płyt przy gramofonie i elektryczny kominek, żeby w pokoju zawsze było ciepło. Może też mała szafa z ładnymi ubraniami i butami. I dywaniki po obu stronach łóżka. W jednym rogu wygodne krzesło i stolik z ulubionymi książkami George'a. Był tak zagłębiony w swojej fantazji, że nie usłyszał, jak otwierają się drzwi do sypialni. Kiedy Nancy usiadła na skraju łóżka, aż podskoczył z wrażenia.

– Georgie, mój chłopcze - powiedziała cichym łagodnym głosem.

Nie odpowiedział.

Nancy włączyła lampkę przy łóżku i popatrzyła na niego z szerokim uśmiechem. Z kieszeni szlafroka wyciągnęła dziesięcioszylingowy banknot, po czym położyła go na nocnym stoliku.

– To dla ciebie, Georgie. Piętnaście szylingów na tydzień w zupełności wystarczy mi na twoje utrzymanie. Nie zniósłabym myśli, że chodzisz do pracy w dziurawych butach, szczególnie w taką pogodę jak teraz.

George wpatrywał się w nią czujnie. Uniosła rękę, a on niemal automatycznie zadrżał i zamknął oczy. Usłyszał, jak parsknęła, po czym poczuł, jak jego twarz pieszczą jej zimne dłonie. Dłonie przesunęły się wzdłuż jego ciała, ku klatce piersiowej, wywołując ciarki na skórze. Wbrew swojej woli poczuł erekcję i szybko podciągnął koldrę pod szyję. Nancy pociągnęła ją w dół i uśmiechnęła się.

– Nie opuścisz swojej mamusi, Georgie, mój chłopcze, prawda?

Miała kuszący głos. Kiedy przysunęła się bliżej, George poczuł zapach jej perfum.

Chciał, żeby już sobie poszła. Błagał ją w myślach, żeby zostawiła go w spokoju, z przyzwyczajenia z dzieciństwa trudno się jest jednak wyzwolić. Udzieliło mu się podniecenie Nancy. Kiedy poczuł jej palce na swoim penisie, zamknął oczy.

Nancy bawiła się jego członkiem. W jej oczach błyszczało światło nocnej lampki.

– Mamusia cię kocha, Georgie, mój chłopcze.

Wytrysnął, a jego drobne ciało zaczęło trząść się gwałtownie.

– I Georgie także kocha swoją mamusię, prawda?

Pocałowała go w usta, przyciągnawszy go do siebie. Po chwili wyłączyła lampę i wyszła z pokoju tak bezszelestnie, jak tam weszła.

George poczuł lepkość na udach i nagle całe tkwiące w nim napięcie eksplodowało. Rozpłakał się - gwałtownym, spazmatycznym szlochem, równie histerycznym jak wszystkie jego myśli. Po chwili wcisnął pięści do oczu, żeby powstrzymać łzy. Nienawidził jej. Strasznie jej nienawidził. Nienawidził tego, co z nim robiła, nienawidził stanu, do jakiego go doprowadzała, i nienawidził sposobu, w jaki go dotykała. To wszystko go przerażało. Lecz najbardziej przerażało go to, że kochał ją równie mocno, jak jej nienawidził.

Nancy leżała w łóżku obok Jeda i z uśmiechem na ustach wsłuchiwała się w szloch chłopaka. George był wszystkim, co miała, i nie chciała, żeby ją opuścił. A przynajmniej żeby ją opuścił wcześniej, niż z nim skończy.

Zasnęła. Jed odwrócił się na drugi bok i głośno wypuścił wiatry. Spał, zadowolony z siebie, zupełnie nieświadomy tego, że po rozmowie z George'em jego dni są policzone.

George wstał, zjadł w kuchni czekające już na niego śniadanie, po czym z pełnym brzuchem pojechał autobusem do pracy. Podczas półgodzinnej przerwy na lunch kupił sobie nowe buty. Kiedy wrócił autobusem z pracy, w domu czekał na niego gorący obiad.

Nancy zupełnie zamieszała mu w głowie. Później tego wieczoru zorientował się, że Jeda już nie ma. Gdyby był bardziej rozzagrabnym chłopakiem, zdałby sobie sprawę, do czego zmierza Nancy. Tymczasem, jak zwykle, był jej wdzięczny za chwile wytchnienia, jakie niespodziewanie na niego spadły w grze, którą z nim prowadziła.

Wydarzenia ostatniej nocy usunął z pamięci. Do następnego razu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Szef policji Frederick Flowers siedział w swoim gabinecie, czytając najnowsze informacje o postępach w sprawie Rozpruwacza z Grantley. Nie był zadowolony. Rozpoczął się właśnie luty, a morderca wciąż znajdował się na wolności. Wszystkie morderstwa bywały zwykle przedmiotem zainteresowania dziennikarzy, musiał się z tym pogodzić, jednak morderstwa na tle seksualnym zdawały się wyjątkowo skupiać uwagę mediów. A brukowce starały się, jak mogły, przypiąć policji jakąś łatkę. Flowers ciężko westchnął.

W ciągu dwudziestu dwóch lat służby w policji zaobserwował wiele zmian. Pamiętał czasy, kiedy policjanci byli poważani, podziwiani i gdy się ich obawiano, tak, obawiano. Teraz, kiedy złapało się przestępcę za rękę, na gorącym uczynku, istniała duża szansa, że jakiś parlamentarzysta zacznie wykrzykiwać w Izbie Gmin o „brutalności policji”. Dawniej aresztowanie bandyty dwadzieścia cztery godziny po popełnieniu przestępstwa nie było niczym nadzwyczajnym.

Zmarszczył czoło. Podejrzewał, że gdy tylko złapią tego człowieka, zaraz ktoś zacznie rozpaczać nad jego ciężką dolą. Wezmą go w obroty psychologowie i pracownicy opieki społecznej oraz wszelkiej maści liberałowie z tytułami naukowymi przed nazwiskami i w końcu okaże się, że mężczyzna nie jest zdolny do stawania przed sądem. Wyląduje więc w szpitalu w Broadmoor w lepszych warunkach niż te, w jakich spędził całe dotychczasowe życie. Flowers widział to już zbyt wiele razy, żeby mieć wątpliwości. Jednak w tej chwili wszystkie gazety i tak zwana opinia publiczna żądały tylko jego krwi, krwi Flowersa. Dlatego gwałciciela należało złapać, i to szybko.

Flowers znów wziął do ręki raporty, ale jakoś nie potrafił się na nich skupić. Miał dziś grać w golfa, jak w każdą środę, ale wiedział, że nie zagra. Tylko tego mu było trzeba: wielkiej fotografii na polu golfowym podczas ważnego śledztwa. Gazety wykończyłyby go w ciągu tygodnia. Był tak pogrążony w myślach, że kiedy rozległ się brzęczyk z sekretariatu, aż podskoczył na fotelu.

Nadusił przycisk interkomu.

- Co znowu?

Za drzwiami Janet wzniosła oczy ku sufitowi. Nie przepadała za Frederickiem Flowersem i jego złe maniere działały jej na nerwy.

- Na dole jest dwóch mężczyzn, którzy chcą się z panem spotkać, pan Kelly i pan Gabney. Czy mam powiedzieć dyżurnemu, żeby ich do pana

przysłał?

Frederick Flowers poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Na moment ogarnęła go fala mdłości. Patrick Kelly tutaj? Jeśli ktoś zobaczy ich obu razem, doda dwa do dwóch...

Racjonalna część umysłu przypomniła mu, że Kelly'ego nigdy o nic nie oskarżono i że miał w końcu pełne prawo przebywać na komisariacie policji. Mimo wszystko niebezpiecznie było kojarzyć się z Kellym na gruncie zawodowym. Spotykali się prywatnie, o czym wiedziało wielu policjantów i przestępców - to była najważniejsza część jego codziennego życia. Obaj byli masonami, członkami tych samych klubów. Obaj regularnie biesiadowali z lokalnym członkiem parlamentu. A jednak Kelly tutaj, w jego gabinecie, na oczach wszystkich... Przypuśćmy, że zwróci się do niego „Freddie”...

– Proszę pana, czy mogę tu przysłać pana Kelly'ego i pana Gabneya?

– Och, tak, tak, Janet. Niech wejdą na górę, bardzo proszę.

Najgorsze było to, że nie istniała żadna możliwość odmówienia im spotkania.

Flowers otworzył szufladę w biurku i wyciągnął małą paczkę gumy do żucia. Wsunął dwa płatki do ust i głośno żując, czekał na Kelly'ego.

Dlaczego nie poczekał do spotkania w klubie, jak zwykle? Jaka ważna sprawa sprowadzała go aż tutaj?

Do chwili, gdy Janet wprowadziła dwóch mężczyzn do gabinetu, Flowers zdołał się uspokoić. Lecz kiedy sekretarka zamknęła za sobą drzwi, wyraz niechęci powrócił na jego twarz.

– Czyś ty oszalał? Tak po prostu przychodzisz sobie aż tutaj? Czy zdajesz sobie sprawę, że dziennikarze właściwie czają się w progę? Nie mogliśmy spotkać się jak zwykle, w klubie?

Kelly popatrzył na stojącego przed nim wysokiego, siwiejącego mężczyznę. Nietrudno było odgadnąć, że on i Flowers są w tym samym wieku, chociaż frustracje i niezadowolenie z życia postarzały Flowersa. Miał wydęty brzuch, co próbował ukrywać pod gorsetem, czasami farbował też włosy. Kelly uważał go za nie zanadto rozgarniętego, próżnego faceta i niezbyt go lubił. Odezwał się lodowatym głosem:

– Mówisz może do mnie?

Flowers gwałtownie zamrugnął, gdy Kelly wbił w niego spojrzenie.

Patrick wycelował we Flowersa wyprostowanym palcem i z zadowoleniem patrzył, jak z policjanta wylatuje całe dotychczasowe nadęcie.

– Na wypadek gdyby umknęło to twojej pamięci, Freddie - z pogardą wymówił jego imię - niedawno została zamordowana moja córka. Wiem, że wiadomość o tym dotarła do ciebie, ponieważ osobiście przypominałem ci o tej zbrodni przy kilku okazjach. - I Flowers, i Willy

słyszeli w głosie Kelly'ego wyraźny sarkazm.

Patrick usiadł i jego ochroniarz uczynił to samo. Flowers powrócił na fotel za biurkiem. Popełnił gafę i doskonale to rozumiał. Był już jednak spokojniejszy. Jeśli prasa wywęszy, kim jest Kelly, zawsze będzie mógł powiedzieć, że to ojciec jednej z ofiar, co będzie wystarczającą zasłoną dla faktu, że obaj spotykają się na gruncie prywatnym.

– Przepraszam, Patrick, ale komisariat jest w zasadzie obłożony.

– Opuściłeś również partię golfa. A ja tęsknię za tobą.

Flowersowi nie podobało się, że Kelly mówi do niego tak obcesowo, lecz przełknął zniewagę. Patrick był wpływowym człowiekiem i wiedział zbyt wiele o Flowersie i innych, by robić sobie z niego wroga.

Do gabinetu weszła Janet z kawą i postawiła filiżanki na biurku. Zanim wyszła, uśmiechnęła się do Patricka. Odrobinę drżącymi rękami Flowers nalał kawę z dzbanka. Kelly zawsze działał na niego w ten sposób.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Mam dla ciebie propozycję, Freddie, mój stary druhu.

Flowers sprawiał wrażenie zaskoczonego. Czyżby Kelly przyszedł tutaj, żeby rozmawiać o interesach?

– Jakiego rodzaju propozycję?

– Chodzi o mordercę. Chyba wiem, w jaki sposób możemy dorwać łotra.

Flowers odstawił swoją filiżankę.

– Czyżbyś wiedział, kto to jest? - Oczywiście dotarła do niego informacja, że Patrick Kelly wyznaczył cenę za głowę zabójcy.

Patrick powoli popijał kawę.

– Nie, nie wiem. Gdybym wiedział, facet byłby już martwy, Freddie. Bardziej martwy niż tygodniowy śledź. Więc nie wiem, co to za typ, ale wiem, w jaki sposób można go złapać. Potrzebuję jednak do tego twojej pomocy.

– W jakim sensie? - Flowers był zaskoczony.

– Kilka lat temu w Leicester każdy mężczyzna mieszkający w pobliżu miejsca zbrodni został poddany badaniu krwi. A to znacznie zawężyło podejrzanych.

Flowers podniósł rękę, chcąc uciszyć Kelly'ego.

– To by zbyt wiele kosztowało, Patrick. Poza tym nie ma gwarancji, że cokolwiek by to dało. No i nawet nie wiesz, ile by z tym było kłopotów. Mielibyśmy zaraz na głowie obrońców praw człowieka wszelakiej maści, wykrzykujących, że stosujemy jedynie wymówkę, aby śledzić wszystkich obywateli. Że zbieramy próbki DNA, które potem będą sprawdzane przy każdym przestępstwie na tle seksualnym, jakie się wydarzy w kraju. Że świadomie naruszamy prawa obywatelskie. Och,

nie jesteś w stanie wyobrazić sobie nawet połowy tego, co by się działo.

Patrick dokończył kawę i odstawił filiżankę na biurko.

– Posłuchaj, Freddie, gównu mnie to wszystko obchodzi. Należy to wykonać i ja za to zapłacę. Zamknij więc na pięć minut jadaczkę i posłuchaj mnie, dobrze?

Kelly patrzył na niego twardym wzrokiem i Flowers wręcz fizycznie poczuł siłę mężczyzny siedzącego naprzeciwko.

Patrick Kelly zaczął mówić, powoli, starannie dobierając słowa. W ciągu pięciu minut doprowadził Flowersa do stanu takiego strachu, że wręcz mógł go smakować. Jednak po piętnastu minutach Flowers zaczął wyławiać sens z jego słów i trochę się rozluźnił. Dwie godziny później doszli do przyjacielskiego porozumienia.

– Wczoraj wieczorem był u mnie pewien facet, Daniel Burrows... - Flowers odczekał kilka sekund, aż nazwisko utkwi w pamięci Kelly'ego, i dopiero wtedy zaczął mówić dalej. - Zdaje się, że oczekuje po mnie, iż udzielę reprimendy jego byłej żonie z powodu związku z twoją szacowną osobą.

Flowers był już całkowicie odprężony. Wreszcie to z siebie wyrzucił!

Obserwował oczy Patricka, które nagle stały się twarde jak dwa krzemienie. Wreszcie, po chwili, która zdawała się trwać wieczność, Kelly wyszedł z gabinetu. Piętnaście minut później Flowers również zakończył dzień pracy.

Przez resztę popołudnia Patrick Kelly odbył mnóstwo rozmów telefonicznych. Do ósmej wieczorem zdążył rozmówić się z prokuratorem generalnym, dwoma znaczącymi członkami gabinetu oraz z wieloma innymi ważnymi ludźmi. O ósmej piętnaście zatelefonował do Flowersa, informując go o rezultatach swoich wysiłków.

Następnego dnia Kate i Caitlin zostali wezwani do gabinetu Ratchette'a. Kate ze zdziwieniem ujrzała tam także Flowersa. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, właśnie on się odezwał:

– Rozumiem, pani detektyw inspektor Burrows, że wyraża pani opinię, iż skoro jedynym dowodem, jaki obecnie posiadamy, są genetyczne „odciski palców” mordercy, powinniśmy przystąpić do zbadania krwi wszystkich mężczyzn w okolicy, w wieku od czternastu do siedemdziesięciu lat.

Kate popatrzyła po twarzach trzech mężczyzn.

– Tak, proszę pana. Jestem o tym przekonana. Jeśli nie przyniesie to innych korzyści, przynajmniej wyeliminuje z kręgu podejrzanych mnóstwo osób.

– Jednak bez wątpienia zabójca nie będzie na tyle głupi, żeby poddać się badaniu.

Kate wzruszyła ramionami.

– Może tak być, proszę pana. Ale i tak zawężimy krąg podejrzanych. Dzięki temu...

– Dobrze, dobrze, potrafimy sobie to wszystko wyobrazić - przerwał jej Flowers niecierpliwie.

W gabinecie zapadła cisza. Kate dostrzegła, jak Caitlin i Ratchette wymienili ze sobą spojrzenia. To jej wystarczyło, by dojść do przekonania, że chodzi tutaj o coś, o czym ona jeszcze nie wie.

Flowers wyciągnął z kieszeni wielką chusteczkę i głośno wydmuchnął nos. Później długo ją składał i Kate doszła do wniosku, że chce zyskać na czasie.

– Ratchette, zaznajom ich ze szczegółami, ja muszę wracać. - Wypowiedziawszy te słowa, Flowers wyszedł. Kate ze zdumieniem wbiła wzrok w drzwi.

– Do diabła, co się tutaj dzieje? - zapytała niepewnym głosem.

Ratchette uśmiechnął się do niej.

– Masz, czego chciałaś Kate. Przeprowadzimy badania krwi i śliny.

Kate opadła na krzesło, zupełnie zaskoczona.

– Mój Boże! - zawołała.

Caitlin roześmiał się.

– Wszystko jest już ustalone, Kate. Od czasu wesela mojej córki nie widziałem przedsięwzięcia, które by zaplanowano tak szybko. Testy rozpoczną się w poniedziałek, dwunastego lutego.

Kate popatrzyła na niego.

– A ty skąd wiedziałeś? I dlaczego szef był w tak okropnym nastroju? Co się tutaj dzieje?

Odpowiedział jej Ratchette.

– Powiedzmy po prostu, że twój pomysł dotarł do kilku ważnych ludzi i się im spodobał, Kate. Szef Flowers jest przeciwny dużym nakładom finansowym, ale tego faceta po prostu trzeba złapać. Mamy do czynienia z silnym naciskiem opinii publicznej, w związku z czym rząd dał nam do dyspozycji spore fundusze. Musimy więc wykorzystać je jak najlepiej.

– Ale jak to się stało, że wy o tym wiedzieliście, a ja nie?

– Uznajmy po prostu, że sprawa została najpierw przedyskutowana przez twoich przełożonych.

Ton głosu Ratchette'a zabrzmiał wystarczająco jasno, lecz Kate nadal nie była zadowolona. Mimo radości, jaką jej sprawił fakt, że badania krwi zostaną przeprowadzone, tajemnica, w jakiej podjęto ostateczną decyzję, nie dawała jej spokoju. Wiedziała jednak, że Ratchette nie

odpowie jej na żadne pytanie. Zmieniła taktykę.

– Ile dostaniemy mobilnych zespołów? Myślę, że jeśli wyślemy taką jednostkę do każdej dużej firmy, mężczyźni będą musieli poddawać się testom, chociażby pod presją kolegów. To chyba najprostszy sposób na złapanie naszego człowieka.

– Powoli, Kate, zacznijmy od rzeczy najważniejszych. Dostaniemy osiem takich zespołów, to już wiemy. Na początku skoncentrujemy się na największych firmach. Mam na myśli zakłady Forda i fabrykę sprzętu elektronicznego. Z drugiej strony, skupimy się na centrum miasta. Każdy mężczyzna w interesującym nas wieku otrzyma list z wezwaniem i dokument potwierdzający, że poddał się badaniu. Wszyscy spoza dużych firm, także bezrobotni, otrzymają zaproszenia do odwiedzenia którejś z jednostek w konkretnym dniu. To już ustalono. Nam w tej chwili pozostają tylko prace przygotowawcze. Wystąpię dzisiaj w lokalnym radiu i telewizji, żeby wszystkich ludzi poinformować, co się właściwie będzie działo. Poprosimy firmy, żeby przedłożyły nam szczegółowe informacje o osobach, które nagle wyjechały na wakacje albo otrzymały zwolnienia lekarskie. Myślę, że nie zapomnieliśmy o niczym. Każdy mieszkaniec Grantley, który nie podda się w porę badaniu, stanie się automatycznie podejrzany i będzie znajdował się na liście, dopóki nie zostanie zweryfikowany.

Ratchette umilkł, dając znak, że spotkanie jest zakończone.

– Chodź, Katie, jest dziesięć po dwunastej - powiedział Caitlin. - Postawię ci drinka i kanapkę. - Wstał i mrugnął do Ratchette'a.

Kate także wstała i popatrzyła przełożonemu w oczy.

– Dziękuję panu.

Ratchette uśmiechnął się.

– Idź na lunch, Kate. Od teraz znów będziesz pracowała jak mrówka. Czeka cię długa i żmudna robota, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak.

Kate i Caitlin wyszli z pokoju.

Ratchette usiadł. Kate Burrows najwyraźniej nie uświadamiała sobie, że ma potężnego sprzymierzeńca w Patricku Kellym. Naprawdę, bardzo potężnego sprzymierzeńca.

Kate wbiła zęby w kanapkę z befsztykiem i pomidorem, zdziwiona, jak bardzo jest głodna. Obserwowała Caitlina, plotącego coś do barmanki, podczas gdy ta nalewała drinki. Powoli przeżuwała kanapkę, napawając się jej bogatym smakiem. Coś w tym wszystkim się nie zgadzało, nie wiedziała jednak co. Caitlin wrócił do stolika z wódką z tonikiem dla niej i kuflem guinnessa z whisky na popitkę.

– Co się dzieje, Kenny? - Kate rzadko zwracała się do niego po imieniu. W tej chwili uczyniła to specjalnie, żeby nawet nie myślał o

wymigiwaniu się od odpowiedzi.

Caitlin najpierw upił kilka łyków piwa.

– Posłuchaj, Katie, czy sobie z tego zdajesz sprawę, czy nie, masz bardzo wpływowego przyjaciela, i to właśnie on postawił Flowersa pod ścianą.

Kate, jak rażona piorunem, zamarła z kęsami kanapki w ustach. Wszyscy wiedzieli. Wszyscy wiedzieli o niej i o Patricku.

– Nie bądź taka cholernie zdziwiona. Policja to bardzo mały świat, dobrze o tym wiesz. Popatrz na to w taki sposób: kiedy do służby przychodzi nowy policjant albo policjantka, w ciągu dwudziestu czterech godzin wszyscy znają jego przeszłość, stan cywilny, dosłownie wszystko. Normalna rzecz. A skoro facet, z którym się spotykasz, jest na swój sposób grubą rybą to naturalne, że wzbudza zainteresowanie ludzi. Wątpię, czy o tobie i o nim wiedzą ludzie z patroli, ale na pewno wiedział Ratchette i ja, a teraz także Flowers. O ile mi wiadomo, twój ważny przyjaciel odwiedził go wczoraj. Wszystko wskazuje też na to, że ma on innych ważnych przyjaciół, o wiele bardziej znaczących niż Flowers. Pewnie dlatego nigdy dotąd nie zdołaliśmy go zamknąć.

Zdeprymowana Kate wpatrywała się w swoją szklankę. Caitlina nagle ogarnęło współczucie.

– Mogę ci coś powiedzieć? Zawsze byłem przekonany o tym, że dla ludzi w naszej branży istnieją tylko dwie drogi. Albo zostają łajdakami, na przykład rabują banki i tym podobne - bynajmniej nie popełniają przestępstw takich, jak chociażby zboczenie, którego poszukujemy - albo stają się prawdziwymi policjantami. W końcu każdemu z nas potrzeba trochę łajdackiej krwi w żyłach, żeby takich ludzi wyłapywać. Ja sam już wielokrotnie przyskrzyniałem ludzi, wobec których odczuwałem pewien szacunek. Nie mam tu na myśli drobnych oszustów czy kieszonkowców. Chodzi mi raczej o facetów, którzy podstępnie okradli z grubej gotówki największe banki w tym kraju. Podziwiałem ich nawet wtedy, kiedy ich szukałem. W końcu każdy z nas miewa marzenia o rozbiciu banku i wzięciu całej puli, prawda? A ci ludzie zdobywali się na kradzież takich pieniędzy, jakie sprawiają, że przeciętny facet z ulicy potrafi się na myśl o nich jedynie oślinić.

Teraz, jeśli chodzi o Kelly'ego. Funkcjonuje w granicach prawa lub czasami ponad nim, ale przede wszystkim jest biznesmenem. Tyle że nie jest biznesmenem koszernym, jak, sam nie wiem, na przykład Henry Ford czy ktokolwiek tego pokroju. Jest biznesmenem nowego rodzaju i osobiście jestem skłonny go podziwiać. Każdy, kto potrafi sprawić, że szef Flowers robi w gacie ze strachu, musi mieć w sobie coś z dobrego człowieka, prawda?

Kate uśmiechnęła się lekko, jednak jej umysł wirował.

A więc Kelly przyszedł tu i sprawił, że Flowers przejrzał na oczy? Tak to chyba określił, kiedy z nią rozmawiał na ten temat. W krótkim czasie, odkąd poznała Patricka, zdążyła go trochę zrozumieć. Dla niego nie istniało czarne i białe. Liczyło się tylko jego własne zdanie. I to właśnie zdanie było dla niego warte o wiele więcej niż wszystkie kamienie korony królewskiej.

– Popatrz na to w ten sposób, Kate. Kelly dał ci do tej sprawy wszystko, czego chciałaś, i, przyznam, czego ja chciałem. To najbardziej skomplikowana zagadka spośród wszystkich, nad jakimi w życiu pracowałem. Mamy cztery straszliwe morderstwa i dosłownie żadnego punktu zaczepienia poza mgliście opisanym samochodem mordercy. Świadkowie nie potrafią nawet dokładnie podać jego koloru! Bez wahania wykorzystaj, dziewczyno, szansę, która spadła nam jak z nieba!

Kate upiła odrobinę alkoholu i znów ugryzła kanapkę. To, co mówił Caitlin, miało sens, musiała przyznać. Mimo to martwiła się. Skoro o jej związku było powszechnie wiadomo...

– Posłuchaj, Kenny, czy mogę cię o coś zapytać?

Caitlin upił kilka sporych łyków guinnessa i wierzchem dłoni otarł usta.

– Wal, śmiało.

– Co się właściwie mówi o mnie i o Kellym? Naprawdę chciałabym to wiedzieć.

– A jak myślisz? „Kate Burrows bzyka się z miejscowym łotrem”. Zwykle rzeczy. - Ujrzał, że Kate zbladła, i aż nabrał ochoty, by uderzyć się w twarz. - To był żart, Kate, głupi żart, przyznaję, ale jednak żart. Ludzie mówią zupełnie inaczej. Kate Burrows spotyka się z Patrickiem Kellym. Och, czy to chodzi o tego Pata Kelly’ego, komornika?, pyta druga osoba. Tak, tego samego, odpowiada pierwsza. Och, ten Kelly to cholerny szczęściarz. Na Boga, dziewczyno, przecież większość oficerów z tego komisariatu starała się kiedyś zajrzeć do twoich majtek z większą lub mniejszą determinacją, wszyscy to wiemy. Wiemy też, że się bardzo szanujesz i że jesteś cholernie dobrym detektywem. Zatem dopóki Kelly nie zostanie za coś skazany, jesteś bezpieczna, a przecież nie ma w tej chwili najmniejszego zagrożenia, że ktoś go na czymś złapie. Wszystko, co obecnie robi, jest w zasadzie zgodne z prawem.

Uspokój się więc, zrelaksuj. Bo sprawiasz wrażenie przewrażliwionej na jego punkcie.

– Harowałam jak wariatka, żeby dojść do tego, do czego doszłam, Kenny. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie to były ciężkie zmagania.

– Oczywiście, że sobie nie zdaję sprawy. Ale skoro naprawdę jesteś taka wrażliwa i przeczulona, po prostu przestań się z nim spotykać. Chociaż osobiście uważam, że popełniłabyś głupi błąd. Kiedy ostatnio

razem pracowaliśmy, nazywano cię Matką Teresą z Enfield. W tej chwili nie robisz niczego złego, dziecko. Czy on kiedykolwiek próbował wywierać na ciebie wpływ jako na policjantkę?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek prosił cię o coś, o co prosić nie powinien?

– Nie!

– W takim razie po co to całe zamieszanie? Jezu Chryste, wy, kobiety, same utrudniacie sobie życie. Rób z tym Kellym, co tylko zapragniesz. Facet jest przystojny i pewnie dobry w łóżku. Tak długo, jak długo nie wtrąca się do twojej pracy, nikt ci nie powie złego słowa. Za tydzień ludzie będą plotkować już o kimś innym.

Kate musiała przyznać, że słowa Caitlina mają sens. Rzeczywiście, nie robiła niczego złego. I skoro jej związku nie skomentował nawet Flowers, nie stanowił on żadnego problemu.

Chciała w to wierzyć. Musiała w to wierzyć.

– Masz rację. Właściwie martwię się o nic.

Wzięła do ręki kieliszek i wypła do dna.

Caitlin roześmiał się cicho i podniósł się, żeby przynieść jej następny kieliszek wódki.

– I tak właśnie należy do tego podchodzić, dziewczyno.

Kate zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. Tak bardzo by chciała, żeby Patrick był teraz przy niej; kiedy znajdował się obok, nie miała żadnych wątpliwości. Żadnych. Lecz nagle w jej głowie zrodziło się pytanie. W jaki sposób Kelly sprawił, że policja zgodziła się na badania krwi? Może właśnie z tego powodu Flowers był na nią taki wściekły? Przecież wszyscy wiedzieli, że Kate pragnęła tych badań, i to od dawna, a w jakiś cudowny sposób to Patrick do nich doprowadził. I wtedy Kate zdenerwowała się, strasznie zdenerwowała, a najbardziej denerwujące w tym wszystkim było to, że właściwie nie wiedziała dlaczego.

Elaine i George wypili herbatę i siedzieli w salonie, oglądając wiadomości telewizyjne sieci Thames. Od dnia, w którym George powiedział, że został zredukowany i stracił pracę, żyli w przyjaznym zawieszaniu broni. Całe Grantley mówiło o zamordowaniu Leonory

Davidson i Elaine doskonale zdawała sobie sprawę, że morderstwo popełniono tej nocy, gdy George wyszedł na cer. Sto razy dziennie powtarzała sobie, że to tylko zbieg okoliczności, że podczas nocy, kiedy dokonano pozostałych morderstw, George był w domu razem z nią, z wyjątkiem nocy noworocznej. Jednak wówczas, Elaine nie miała wątpliwości, George był zbyt chory, żeby w ogóle wstać z łóżka.

Kiedy spiker zaczął mówić o Rozpruwaczu z Grantley, Elaine nastawiła uszu. Obraz przeniósł się ze studia w teren. Na ekranie pojawiła się młoda reporterka, a w tle wyraźnie widoczny był komisariat policji w Grantley. Kiedy dziewczyna zaczęła mówić, Elaine zerknęła na George'a, chcąc zaobserwować jego reakcję:

„Sprawa Rozpruwacza z Grantley. Dzisiaj ogłoszono, że policja zbada krew i ślinę wszystkich okolicznych mieszkańców w wieku od czternastu do sześćdziesięciu pięciu lat. Oznacza to, że testowi zostanie poddanych około pięciu tysięcy chłopców i mężczyzn.

Tego typu test na szeroką skalę przeprowadzono jedynie raz, w 1983 roku w Enderby, w hrabstwie Leicester, po dwóch gwałtach i morderstwach. Policja ma nadzieję, że badania wyeliminują mnóstwo potencjalnych podejrzanych i przyspieszą poszukiwania Rozpruwacza z Grantley. Prowadzone będą w objazdowych laboratoriach, które dotrą do fabryk i biur, szkół oraz urzędów zatrudnienia. Każdy mężczyzna, który odmówi poddania się badaniom, stanie się automatycznie podejrzany. Przez cały czas będziemy państwa na bieżąco informować o postępach w śledztwie intensywnie prowadzonym przez miejscową policję”.

Elaine znów popatrzyła na George'a.

– To chyba dobrze, nie sądzisz, George?

– Masz całkowitą rację, moja droga. To najlepsza rzecz, jaką mogą zrobić, jeśli chcesz znać moją opinię.

Sam nie wiedział, w jaki sposób zdołał zachować normalny ton głosu. Po całym ciele spływał mu gorący pot.

– Moim zdaniem, George, kimkolwiek jest ten Rozpruwacz, to maniak, chory maniak. Należy go złapać i zamknąć najszybciej, jak to możliwe. Gdyby go powieszono, byłoby to dla niego zbyt wielką łaską. Powinno się go torturować, tak jak on torturował te nieszczęsne kobiety.

George machinalnie pokiwał głową. Jego umysł wprost szalał. Co teraz? Przecież nie może poddać się temu badaniu. No, ale przyjdą do niego do pracy. Nie będzie mógł się wykręcić na oczach wszystkich kumpli.

– Jeszcze filiżankę, George? Bo sobie także przygotuję.

– Tak, moja droga. Byłoby mi bardzo miło.

Elaine poszła do kuchni. Cóż, George wydawał się w porządku, nie zauważyła, żeby zachowywał się nienormalnie. Gdyby miał powody do zmartwień, rozumowała, właśnie teraz by je okazał. Czytała w nim jak w otwartej księdze. Kiedy naląła herbatę do filiżanek, George wszedł do kuchni i zabrał swoją.

– Idę do szopy, moja droga, Muszę posortować cebulki na wiosnę. To nie potrwa długo.

– Jasne. Mam cię zawołać, kiedy w telewizji rozpoczną się *EastEnders!*

– Nie, nie będę tego dzisiaj oglądał. Mam zbyt dużo pracy.

George wyszedł z kuchni, a Elaine, znacznie spokojniejsza niż przed chwilą, poszła ze swoją herbatą do salonu. Gdyby George miał na głowie poważne zmartwienie, nie zajmowałby się czymś tak przyziemnym jak przebieranie cebulek na wiosenne sadzonki.

Tymczasem George zaryglował się w szopie i zapalił światło. Na oknie zawiesił kawałek grubego materiału, po czym włączył mały grzejnik gazowy. Już po chwili w szopie zrobiło się ciepło i przytulnie. Usiadłszy na starym krześle, powoli sączył herbatę i zaczął głęboko zastanawiać się nad swoim położeniem. Nie widział żadnej drogi wyjścia. W końcu wstał i usunął z biurka katalogi ogrodnicze, ostrożnie odsłaniając swoje magazyny. Dokończył herbatę i znów opadł na krzesło, z magazynami na kolanach.

Zaczął je gwałtownie kartkować, lecz dzisiaj nie czuł zupełnie nic. Nie miał nawet półerekcji, jaka zwykle mu się zdarzała, kiedy chociaż przebywał w ich pobliżu. Popatrzył na stertę na swoich kolanach i wybrał swoje ulubione pismo. Spoglądając na twarz dziewczyny ze zdjęcia, próbował oczyścić umysł ze wszystkich złych myśli. Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak dosiada tę dziewczynę, jak wsuwa, wbrew jej woli, sztywny penis do jej ust. Jego oddech stał się szybszy, rozpiął rozporek i wyciągnąwszy członek na zewnątrz, próbował tchnąć w niego trochę życia.

Zaczynał sztywnieć. George powoli go obciągał, głęboko usatysfakcjonowany doznaniem, jakie ten ruch powodował. Teraz już wpychał członek w pochwę dziewczyny, zaciskał dłonie na jej nagich piersiach, mimo że prosiła, błagała go, żeby przestał. George bawił się sobą coraz szybciej i gwałtowniej, a wszystko, co przy tym czuł, sprawiało, że wszelkie zmartwienia i problemy odpływały od niego bardzo daleko. Już, już był bliski orgazmu, kiedy Elaine zaczęła walić pięściami w drzwi szopy.

– George... George! Telefon do ciebie. Dzwoni jakiś facet, Tony Jones!

Poczuł na szyi lodowatą dłoń strachu. Szybko schował członek w spodnie. W niewielkiej szopie było już bardzo gorąco i w chwili, w której George zdał sobie sprawę, jakie nazwisko wykrzykuje Elaine, zebrało mu się na wymioty.

– Czy ty mnie słyszysz, George?

– Już idę, moja droga. Przysnąłem na chwilę na krześle, oglądając katalogi.

Na zewnątrz, na ciemnym chłodzie, Elaine wzniosła oczy ku niebu.

– Pośpiesz się, George, to czekanie musi kosztować faceta fortunę.

George wstał i rzucił magazyny na biurko. W połowie drogi do domu przypomniał sobie, że ma niedopięte spodnie. Szybko zasunął zamek błyskawiczny i obciągnął bluzę. Tony Jones. Do diabła, czego ten facet znów chce? Przeszedł przez kuchnię i odebrał telefon w holu.

– Halo.

– Georgie? To ja, Tony Jones.

– Czego chcesz? - zapytał ostro.

– Uspokój się, powiedziałem twojej żonie, że jestem twoim kumplem. Chyba masz kumpli, co?

– Czego chcesz, Tony?

– Mam kilka nowych filmów, Georgie. Myślę, że ci się spodobają.

– Chwilowo brakuje mi forsy...

– Georgie, wpadnij do mnie i z pewnością się dogadamy. Jesteś dobrym klientem i nie darowałbym sobie, gdybym cię stracił. - Tony mówił bardzo przyjaznym głosem.

– Spróbuję zajrzeć do ciebie po weekendzie.

– Na pewno będziesz chciał obejrzeć te filmy, są cholernie gorące. A te ptaszyny... Cyce, jakich jeszcze w życiu nie widziałeś.

George już zaczynał je sobie wyobrażać i Tony doskonale o tym wiedział. Kto jak kto, ale on potrafił zachwalać i sprzedawać swój towar.

– Jedna z nich zbudowana jest jak pieprzona Amazonka i uwielbia to, co z nią robią, Georgie. Mimo wszystkich krzyków i protestów. Zobaczysz, jaki ma orgazm...

George'owi zrobiło się gorąco. Tak, chciał obejrzeć te filmy. Już, teraz, natychmiast.

– Będę u ciebie jutro wieczorem, po pracy. Zgoda?

– Jasne, przecież wiesz.

Rozmówca rozłączył się i George odłożył słuchawkę.

– Przynieś mi gazetę, George! - zawołała Elaine i George mimowolnie się skrzywił. Wziął gazetę ze stolika, na którym stał telefon, i zaniósł ją do pokoju.

– Proszę bardzo, kochanie.

– Kto to dzwonił?

– Kolega z pracy. Chodziło o odprawę finansową w związku z moim odejściem.

– Odprawę finansową? Dla ciebie? - W głosie Elaine brzmiało niedowierzanie.

– Tak, Elaine. Dla mnie.

George był już wściekły. Nie miał najmniejszej ochoty odpowiadać na głupie pytania Elaine. Udowodniać, że ma w pracy kolegów. Czy ona mogłaby czasami trzymać gębę zamkniętą?

– Wiem, trudno ci uwierzyć, że jacyś ludzie mnie lubią, a jednak tak właśnie jest!

Jego wybuch nie spodobał się jej.

– Przepraszam cię, George, ale po piętnastu latach spodziewałabym się, że wspomnisz o którymś z kolegów od czasu do czasu.

– A czy kiedykolwiek interesowali cię moi koledzy, Elaine? Odpowiedz mi. Czy kiedykolwiek mnie o nich pytałaś?

Wypowiedziawszy tę kwestię, wrócił do szopy. Zdawał sobie sprawę, że dał Elaine wiele do myślenia i był z tego zadowolony. Niech dla odmiany trochę pogłókuje. Zawsze traktowała go powierzchownie. Zamknął się w szopie i ponownie włączył grzejnik gazowy.

Po piętnastu minutach znów całkowicie był pogrążony w świecie swoich fantazji.

George usiadł za biurkiem. Och, jak bardzo nie chciałby już chodzić do pracy. Jedynym tematem rozmów było teraz badanie krwi. Peter Renshaw przez cały czas wygłupiał się, rozprawiając na ten temat. George żałował, że nie jest to akurat pora jednego z jego biznesowych wyjazdów do hrabstwa York albo jeszcze lepiej - do Szkocji. Upór, z jakim Peter nalegał, by być jego przyjacielem, denerwował go. Ale czy w końcu nie powiedział Elaine wczoraj wieczorem, że ma kolegów? Na chwilę zatrzymał się myślami na tej kwestii. Obserwował jednocześnie Renshawa, który nie dopuszczał nikogo do słowa i bacznie świdrował oczyma tłumek adoratorów, jakby chciał wyłowić z niego kogoś, kto niezbyt uważnie wsłuchuje się w jego słowa.

George zaczął się zastanawiać, czy w ogóle ma jakichś kolegów. Pytanie to przyszło mu do głowy po raz pierwszy od wielu lat. Jako dziecko nie miał ich wielu, ale to była wina matki. Raczej nie zachęcała dzieci, by przyprowadzały koleżanki i kolegów do domu. Nieświadomie zacisnęła usta. Chyba nigdy nikogo nie przyprowadził do domu, przynajmniej nie mógł sobie czegoś takiego przypomnieć. Nie mógł sobie przypomnieć chociażby jednego prawdziwego przyjaciela z dzieciństwa. Ogarnęła go fala współczucia dla samego siebie. Żadnych przyjaciół. W wieku pięćdziesięciu jeden lat nie miał ani jednego prawdziwego przyjaciela. Przecież nawet Elaine miała przyjaciółki. Wielkie, tłuste babska, ubierające się jak dziwki, spędzające wolny czas w salach gry w bingo, sprawiające wrażenie baranów przebranych za jagnięta. Jego matka nie myliła się co do Elaine. Powiedziała mu, że jeszcze będzie żałował dnia, w którym z nią się ożeni, i tak się stało. Lecz przecież Elaine była kiedyś taka słodka. Dawno temu. Była jedyną dziewczyną, która okazała mu odrobinę zainteresowania, i był jej za to autentycznie wdzięczny. Skrzywił się. Wdzięczny Elaine?

Teraz mógł mieć każdą kobietę, jakiej tylko zapragnął. Pozwolił, by jego myśli powędrowały ku Leonorze Davidson. Nie czuł najmniejszego żalu. Była samotna, nie miała męża ani dzieci, które by ją oplakiwały. Po prostu, samotna kobieta. W gruncie rzeczy wyświadczył jej przysługę. Ostatnio wzdrygał się na myśl o Geraldine O'Leary. Fotografie jej dzieci ukazały się w lokalnej prasie. Piękne dzieci, tak jak ich matka. Elaine powiedziała, że jej męża zabrano do szpitala dla umysłowo chorych. Że przeżył załamanie nerwowe. Odepchnął od siebie te myśli. Musiał się głęboko zastanowić nad innymi nagłącymi sprawami

– Georgie, mówię do ciebie! - Potężny głos Petera Renshawa zadudnił w pokoju. George popatrzył na niego. - Zastanawiamy się, co zrobisz z odprawą, stary druhu. Proponuję spotkanie w piątek w Fox Revived, od razu po pracy. Mam dla ciebie niespodziankę, chłopie. Cholernie wspaniałą niespodziankę.

George uśmiechnął się do niego.

Do pokoju weszła Josephine Denham. Jak zwykle, była nieskazitelnie szykowna. Na nosie miała okulary w wielkich oprawkach, nadające jej wygląd kobiety inteligentnej i wyrafinowanej. Pod pachą niosła jakieś papiery.

– Czy mogę was poprosić o chwileczkę uwagi?

Wszyscy umilkli i popatrzyli na nią.

– W czwartek, dwudziestego drugiego tego miesiąca, przyjedzie do nas objazdowe laboratorium w celu pobrania próbek krwi od wszystkich mężczyzn. Badaniu poddany zostanie najpierw personel działu administracji, a następnie pracownicy produkcji i magazynów. Jeżeli całą akcję przeprowadzimy sprawnie, nie będzie miała istotnego wpływu na przebieg procesu produkcji. Rozmawiałam dzisiaj rano z policją i uzyskałam informację, że w miarę jak będzie się zbliżał termin badania, wszyscy otrzymają szczegółowe kwestionariusze. Każdy, kogo tego dnia nie będzie w pracy, musi mnie zawiadomić o miejscu swego pobytu. Ja tę informację przekażę policji. Jeśli ktoś jest przeciwny badaniu, może się do mnie zgłosić, chociaż osobiście nie widzę żadnych powodów do takich gestów.

Zmierzyła wzrokiem grupę mężczyzn, a jej spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że każdy, kto nie podda się badaniom, natychmiast zostanie uznany za winnego, przynajmniej przez nią. Ponieważ w ciągu kilkunastu sekund nikt się nie odezwał, odwróciła się na obcasie i wyszła z pokoju. Odgłosy jej kroków jeszcze przez kilka chwil odbijały się echem w korytarzu, którego podłoga wyłożona była kafelkami.

– Wiecie co, zaraz do niej pójde, jednak wcale nie będziemy rozmawiali o badaniu krwi, ha, ha!

Wszyscy się roześmiali, nawet George, chociaż czuł w tej chwili w głowie kompletną pustkę. Do diabła, co robić?

Popatrzył na zegarek. Była jedenasta trzydzieści. Wstał z krzesła i zaczął nakładać marynarkę.

– A ty dokąd, George? - zapytał go Carstairs, mężczyzna, z którym przepracował razem piętnaście lat i którego prawie nie znał.

– Idę do pubu na lunch.

– Przecież jest dopiero wpół do dwunastej!

George nigdy nie ruszał się z miejsca przed dwunastą.

– Wiem, która godzina. - Z tymi słowy wyszedł.

– Nie wpadłbym na coś takiego. - Carstairs popatrzył po pozostałych mężczyznach.

Peter Renshaw złapał swój barani kozuch, zarzucił go na ramiona i szybko ruszył za

George'em. Dogonił go dopiero w Fox Revived.

George wszedł do ciepłego pubu. Wiedział, że Peter idzie za nim, i próbował go ignorować, niepotrzebnie łudząc się nadzieją, że ten zostawi go w spokoju. Peter Renshaw nie miał jednak takiego zamiaru, to nie było w jego stylu. Kiedy George zamówił drinka, Peter przepchnął się do baru obok niego i zamówił drinka dla siebie, płacąc od razu za dwa. George westchnął. Wziął szklankę, podszedł do małego stolika przy oknie i usiadł. Renshaw ruszył za nim.

– Georgie, dobrze się czujesz?

George wypił od razu pół swego drinka i skinął głową. Pomyślał, że Renshaw jest jak wirus. Trzeba go znosić, dopóki sam nie uzna, że czas odejść.

– Posłuchaj, George, wiem, że redukcja była dla ciebie strasznym ciosem, ale tak prawdę mówiąc, to jest najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przydarzyć. Po dwudziestu pięciu latach lojalnej pracy... Zdaje się, że dostaniesz dobre dwadzieścia pięć tysięcy odprawy, prawda?

Oczy George'a rozszerzyły się.

– Tak dużo?

– Tak, rozmawiałem z Jonesem. Mówi, że ponieważ nie odchodzisz dobrowolnie, dostaniesz na pożegnanie złotą odprawę. Tak jak kiedyś pracownicy portowi czy z fabryk samochodów. Dobrze cię spłacą, Georgie.

– Dwadzieścia pięć tysięcy funtów?

Peter uśmiechnął się.

– To dużo szmalu, Georgie. Powinieneś więc postawić następną kolejkę.

Teraz uśmiechnął się George. Był to jego sekretny uśmiech. Czuł się już o wiele lepiej. Miał jeszcze przed sobą cztery tygodnie pracy. Później

będzie mógł udać się, dokąd tylko zechce. Ale na razie musi pomyśleć, jak uniknąć badania krwi.

Gdy na biurku zadzwonił telefon, Kate podniosła słuchawkę. Wciąż wczytywała się w zeznania ludzi, których policja przesłuchiwała, chodząc od mieszkania do mieszkania. Musiało w nich być coś trywialnego, bardzo prostego, a jednocześnie ważnego, czego jeszcze nie dostrzeżono.

– Halo, Burrows przy telefonie.

Usłyszała głos Patricka i w tej samej chwili ścisnął się jej żołądek.

– Co się z tobą działo wczoraj wieczorem? Próbowałem się dodzwonić, ale telefon miałaś albo wyłączony, albo byłaś na jakiejś imprezie.

Mówił wesołym głosem, jednak Kate wyłowiła z niego także nutkę niepewności. Starannie ukrytą, lecz wyczuwalną.

Zamknęła oczy.

– Miałam trochę pracy. Chciałam zadzwonić do ciebie dzisiaj, ale tkwię po uszy w papierach. Rozumiem, że wiesz już o badaniach krwi? - Jej głos zabrzmiał ostrzej, niżby tego chciała.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Spotkamy się później, Kate? Chyba musimy porozmawiać.

Westchnęła. Caitlin niby to czytał kolejne zeznanie, lecz nie miała wątpliwości, że nastawia uszu.

– Zadzwonię do ciebie z domu. Kiedy wreszcie tam dotrę. - Odłożyła słuchawkę na widełki, nie żegnając się z Patrickiem.

Popatrzyła na Caitlina, który uważnie ją obserwował.

– No i na co się gapisz? - zapytała dziecinnym nadąsanym głosem.

– Nie wiem. A na co? - odparł pytaniem.

– Och, odpieprz się, Kenny.

Caitlin roześmiał się, po czym odrzekł poważnie:

– Nie bądź głupia i nie gryź ręki, która cię karmi. On ci zrobił przysługę, dziewczyno, chyba potrafisz to zauważyć?

Kate opuściła wzrok, udając, że czyta kolejne zeznanie.

Tak, Caitlin powiedział z pewnością prawdę, jednak jej duma została zraniona. Kelly bez trudu zdołał przeprowadzić to, o co ona walczyła bezskutecznie od miesięcy.

To ją drażniło.

Patrick popatrzył na słuchawkę, którą wciąż trzymał w dłoni.

Kate przerwała rozmowę bez słowa pożegnania. To tak, jakby rzuciła

słuchawką! Nie potrafił w to uwierzyć.

Odłożył słuchawkę na widelki. Po jego przystojnej twarzy przebiegł cień złości. Do diabła, za kogo ona się uważa? Wczoraj wieczorem go zlekceważyła. Teraz rzuciła słuchawkę, a przecież wyczuł sarkazm w jej głosie, kiedy mówiła o badaniach krwi. Czyżby nie otrzymała właśnie tego, o co jej chodziło?

Kiedy wszedł do pokoju porannego, Willy, który akurat czytał gazetę, szybko zerwał się z krzesła.

– Wygodnie ci? Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem.

– Przepraszam, Pat. Zrobiłem sobie pięć minut odpoczynku.

– Idź i wyprowadź samochód, Willy, o ile ci to nie sprawi kłopotu. Nie zniósłbym myśli, że się z mojego powodu przepracowujesz.

Willy wybiegł z szelestem papieru, gdyż w biegu próbował złożyć gazetę.

Patrick uśmiechnął się. Jego wzrok powędrował ku oknu i nagle dopadło go wspomnienie Renée. Ujrzał ją oczyma wyobraźni. Bez skrupułów rzucała czasem słuchawkę telefonu, gwałtownie kończąc z nim rozmowę. Czasami krzyczała na niego. „Tam”, wskazywała ręką na okno, „możesz być sobie nie wiadomo jakim ważniakiem, ale w tym domu jesteś tylko moim mężem. Kapujesz?”

Roześmiał się. Miała w sobie tyle energii...

Może z tego samego powodu tak bardzo polubił Kate?

Ale żeby na tym etapie znajomości rzucać słuchawkę? Bezczelna krowa.

Pięć minut później spoczywał wygodnie na tylnym siedzeniu rolls-royce'a, jadąc do swojego salonu masażu w Manor Park.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

Naprawdę rzuciła słuchawkę.

Niewiarygodne!

Maybelline Morgan znana była z wielkich piersi i szerokich ust. Właśnie kłóciła się gwałtownie z Violet Mapping na temat jednego z klientów.

– Zawsze przychodzi do mnie, Vi, i cholernie dobrze o tym wiesz!

Violet obnażyła zęby.

– Nie chciał ciebie, Maybelline. Tym razem chciał blondynki, i to wszystko.

Oczy Maybelline rzucały iskry jak krzemień. Skierowała ku twarzy Violet palec z długim paznokciem pomalowanym na jaskrawy czerwony kolor.

– Do ciężkiej cholery, nie wkurwiał mnie, Vi. Potrzebuję forsy i ty o tym wiesz. Nie będziesz tu ze mnie robiła idiotki. Wiem, że ta mała nadstawia ci swoją szparę i dlatego dostaje wszystkich najlepszych

klientów.

Niemal wbiła paznokiec w pierś Vi.

– Załatwię najpierw ciebie, a potem ją. Porozrywam was na strzępy...

Violet wiedziała, że klótnię słyszy większość dziewczyn, które siedzą przed drzwiami biura, i zdawała sobie sprawę, że jeśli natychmiast nie uciszy Maybelline, straci cały autorytet. Dlatego złapała ją za włosy i w tej samej chwili kopnęła ją kolanem w żołądek. Maybelline zgięła się w pół. Wciąż przytrzymując ją za włosy, Violet uderzyła jej twarzą w róg ciężkiego drewnianego biurka. Maybelline padła na dywan, brocząc krwią z rozciętego łuku brwiowego.

Violet uśmiechnęła się złośliwie.

– Nigdy więcej nie próbuj mi grozić. A teraz zabieraj swoje rzeczy i wynoś się stąd.

Wspierając się o biurko, Maybelline podniosła się na nogi i stanęła twarzą w twarz z Violet. Na jej długiej, kościstej twarzy, okolonej płomiennymi rudymi włosami, rysował się ból i nienawiść. Włożyła rękę do kieszeni w spodnicy i wyciągnęła nóż. We fluorescencyjnym świetle błysnęło stalowe ostrze.

Violet pobladła, co nie uszło uwagi Maybelline. Ruszyła na nią, zamierzając się nożem. Violet uniosła rękę, żeby się bronić, i natychmiast poczuła, jak zimna stal przebija jej skórę tuż nad łokciem, docierając aż do kości. Maybelline wyrwała nóż i zaatakowała Violet ponownie. Tym razem ugodziła ją z boku w twarz. Krew trysnęła na obie kobiety.

Violet uczyniła wysiłek, by złapać Maybelline za nadgarstki. Używając całej siły, zdołała chociaż na chwilę unieruchomić rękę, która trzymała nóż.

Kiedy Patrick Kelly i jego ochroniarz wkroczyli do salonu, zastali jeden wielki chaos. Wokół drzwi prowadzących do biura tłoczyły się kobiety i dziewczęta, a zza drzwi dobiegały odgłosy walki i ciężkich przekleństw.

– Do diabła, co tu się dzieje?

Bez błędnie rozpoznawszy głos, kobiety rozstąpiły się przed Patrickiem niczym Morze

Czerwone przed Mojżeszem. Dwaj mężczyźni po chwili znaleźli się w biurze.

– Do ciężkiej cholery! - W głosie Patricka brzmiało niedowierzanie.

Bez dalszych słów złapał z tyłu Maybelline, a Willy dopadł Violet. Po kilku sekundach zmagania obie kobiety zostały rozdzielone. Patrick przycisnął dłoń Maybelline do biurka i trzymał ją w uścisku, dopóki nie puściła noża. Następnie pchnął ją na ścianę i nadepnął na nóż. Willy z ulgą puścił Violet.

- Co się tutaj dzieje? Ty... - Wskazał palcem na Violet. - Do ciężkiej cholery, co się tutaj dzieje?

Odpowiedziała jednak Maybelline.

- Ona podrywa dziewczyny, panie Kelly, i wszystkie już mamy tego dosyć. Ta mała, z którą się ostatnio pieprzy, zarobiła dzięki niej tysiąc funtów w ubiegłym tygodniu. Każdego bogatszego klienta, który się pojawi, natychmiast kieruje do niej. Ja i inne dziewczyny możemy tylko patrzeć. Jeśli coś się z tym nie zrobi, odejdziemy do konkurencji, do Paki. On przynajmniej dba o swoje dziewczyny.

Patrick był oszołomiony. Wszędzie dookoła była krew i pomyślał nawet, że przy odrobinie pecha mógłby tu złapać wirusa HIV.

- Obie pójdziecie teraz do kuchni i się umyjecie. Kiedy to zrobicie, natychmiast tu wróćcie i wtedy zajmiemy się waszym problemem. Macie dziesięć minut, ruszcie więc dupska.

Dwie kobiety wyszły z biura i natychmiast zostały otoczone przez te, które dotychczas czekały pod drzwiami. Willy zatrzęsął za nimi drzwi i popatrzył na szefa z uniesionymi brwiami.

- Będę szczery, Pat, ta cała Maybelline ma rację. Słyszałem, że Vi oszalała na punkcie tej małej blondynki. W końcu więc coś takiego musiało się stać, prawda? Nawet stare lesby...

- Willy, zamknij się! Płacę ci za to, że prowadzisz mój samochód i zgrywasz ochroniarza. Gdybym chciał wysłuchiwać od ochroniarza plotek, zatrudniłbym Nigela Dempstera, jasne?

Patrick wyszedł z biura i poszedł do kuchni. Klepnął w ramię młodą czarną dziewczynę.

- Wyświadczyć mi przysługę, Suzie, weź wiadro i jakąś szmatę i posprzątaj biuro, dobrze, kochanie? Będę ci bardzo wdzięczny.

- Tak, oczywiście, panie Kelly.

Dziesięć minut później Patrick siedział za biurkiem, a Maybelline i Violet stały przed nim jak krnąbrne uczennice.

- Mówię panu, panie Kelly, jeśli nie zapanują tu jasne zasady, pójdziemy sobie. To nie jest w końcu jedyne miejsce, gdzie możemy pracować.

- Zawsze dbałem o moje dziewczyny. Przykro mi, jeśli działa ci się krzywda, Maybelline.

- To ja nie byłam w porządku, Pat - odezwała się Violet. - Przyznaję to.

Maybelline uśmiechnęła się do niej, a Patrick z niedowierzaniem potrząsnął głową. Te kobiety zadziwiały go. W jednej chwili skakały sobie do gardeł, a w następnej znów były najlepszymi przyjaciółkami.

- Bardzo nie lubię, kiedy moje dziewczyny mają przy sobie broń. Jeśli kiedykolwiek znajdę przy tobie nóż, albo coś podobnego, Maybelline,

będziesz w kłopotcie. W wielkim kłopotcie, rozumiesz?

– Tak, panie Kelly.

– Co do ciebie, Violet, musisz się na coś zdecydować. Jeśli nie będziesz sprawiedliwa wobec swoich podopiecznych, pozbędę się ciebie, i to z wielkim hukiem. A teraz obie stąd spierdalajcie i zostawcie mnie samego.

Kobiety w milczeniu opuściły pomieszczenie.

– Nalej mi brandy, Willy, dużą porcję.

Willy podszedł do barku i otworzył go. Złapał za butelkę Remy Martin, która okazała się pusta.

– Została tylko szkocka, szefie.

Patrick zacisnął dłonie w pięści.

– Dobra, niech będzie. - Wstał zza biurka i podszedł do drzwi. - Violet! - krzyknął tak głośno, że dziewczyny aż podskoczyły na krzesłach. Violet wybiegła z kuchni z twarzą bladą jak papier.

– O co chodzi?

– Przestań chlać moje pierdolone alkohole! Nic dziwnego, że to miejsca wygląda jak dom wariatów. Albo jesteś nawalona, albo naćpana.

Trzasnął drzwiami.

Wziął od Willy'ego szklanekę z whisky i wypił alkohol do dna. Natychmiast oddał szklanekę do uzupełnienia. Dopiero wtedy, znów usiadłszy za biurkiem, otworzył szufladę i wyciągnął z niej księgi rachunkowe. Jeśli Violet skubała inne dziewczyny, subsydiując swoją kochankę, istniała duża możliwość, że skubała także jego.

Cholerna Violet! Postawiłby na jej uczciwość każde pieniądze, dotąd uważał ją przecież za najbardziej godną zaufania spośród pracujących dla niego kobiet. Od wielu lat byli przyjaciółmi.

– Willy, idź gdzieś kupić butelkę Remy Martin, a rachunek daj Violet, dobrze?

Willy pokiwał głową i wyszedł, a Patrick zaczął przeglądać księgi. Kiedy zadzwonił telefon, aż podskoczył.

– Słucham, tu Kelly.

– Pat, dzięki Bogu, że tam jesteś, od jakiegoś czasu próbuję cię namierzyć. Rusz dupę i przyjedź tutaj, kolego.

– Co się stało, Karen?

– Kłopoty, Pat. Cholerne, duże kłopoty.

Karen przerwała rozmowę.

Kelly zamknął oczy. Jeśli jeszcze jedna kobieta rzuci dzisiaj słuchawką, to naprawdę się wścieknie. Odłożył księgi, czekając na powrót Willy'ego.

– Dalej, jedziemy do Barking. Rozmawiałem przez telefon z Karen,

ma tam jakieś poważne kłopoty.

Wyszedł z biura. Mijając Violet, wymierzył w nią palcem.

– Nie dotykaj ani mojego alkoholu, ani ksiąg, Vi.

Wsiadł do samochodu i Willy natychmiast ruszył do Barking. Następane głupie problemy z jeszcze głępszymi babami.

Tym razem problem był większy, niż mógł sobie wyobrazić.

Kiedy tylko przekroczył próg salonu masażu w Barking, ze zdumieniem ujrzał, że wszystkie dziewczęta są blade i milczące. Przeszedł natychmiast do biura, gdzie Karen, szefowa tego przybytku, uspokajała się, sącząc dużą brandy.

– Czyżbyś piła moją brandy?

– Och, zamknij się, Pat. Chodź ze mną.

Głos Karen drżał i pewnie dlatego Patrick ruszył za nią już bez żadnych dalszych pytań.

Zaprowadziła go do tej części salonu, gdzie za grubymi zasłonami znajdowały się kabiny dla klientów. Kiedy wskazała na jedną z nich, po jej twarzy potoczyły się ciężkie łzy.

– To tam, Pat. Nie potrafię tam wejść. Nie wiedziałam, co robić. Nie zadzwoniłam na policję, po prostu nie wiedziałam, co mam robić.

W jej głosie brzmiała rozpacz. Willy stał za nią i Patrickiem i teraz Patrick ruchem głowy nakazał mu odciągnąć zasłonę. Niespodziewanie ogarnął go strach.

Willy odsłonił kabinę i obaj z Patrickiem zamarli. W środku, na stole do masażu leżała dziewczyna. Jej długie jasne włosy niemal dotykały podłogi, a oczy były zamknięte. Gdyby nie to, że jej szyja spoczywała pod nieprawdopodobnym kątem, można by pomyśleć, że dziewczyna śpi. Była półnaga. Wciąż miała na sobie szeroki biustonosz, chociaż piersi zostały z niego wyciągnięte. Dolna część jej ciała była naga, a nogi szeroko rozrzucone.

– Ona nie żyje, Pat. Tak ją właśnie znalazłam. A facet, który ją zabił, musiał stąd spokojnie wyjść frontowymi drzwiami. - Głos Karen znów się załamał.

– Jak on wyglądał, Karen? - Patrick szarpnął nią gwałtownie. - Widziałaś jego wóz?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. Oni wszyscy wyglądają dla mnie identycznie.

– Do cholery, ktoś go przecież musiał widzieć. Na miłość boską, przykryjcie to biedne dziewczę!

Patrick przeszedł do głównej sali. Na twarzach dziewcząt malowały się szok i przerażenie.

– Czy którakolwiek z was widziała tego faceta? Czy któraś go zapamiętała?

Niemal wszystkie potrząsnęły przecząco głowami. Odezwała się tylko jedna, o azjatyckiej urodzie.

– Ja myślę, że to ten starszy facet, który przyszedł po południu. Wtedy po raz ostatni widziałam Gilly.

– O której godzinie po południu?

– Około pierwszej, pierwszej trzydzieści.

Patricka zatkało. Popatrzył na zegarek.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ona leży tu martwa od pięciu godzin? A wy przez cały czas robicie swoje i żadna z was nie zauważyła, że jej brakuje?

Kobiety patrzyły na niego w milczeniu.

– Jak on wyglądał?

Dziewczyna o azjatyckiej urodzie zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem. Miał czterdzieści osiem, może pięćdziesiąt lat... I brodę.

– Nie, to ja z nim byłem. To pan Jenkins. Przychodzi do mnie co tydzień. - Na Patricka spojrzała nieśmiało dziewczyna o ciemnych włosach. - To bardzo miły mężczyzna, panie Kelly, bardzo grzeczny.

– Wezwę policję - powiedział Patrick cicho.

Pomyślał o Mandy. Właściwie wszystko mogło odbyć się tak samo, tyle że teraz nastąpiło to z jego winy. Jakiś łajdak zwyczajnie zamordował jedną z jego dziewcząt. Z jego winy, bo był właścicielem tego miejsca. Należała do niego każda cegła w każdej kabinie dla klientów i każda dziewczyna, która tutaj pracowała.

Przeszedł do biura i zatelefonował na policję. Następnie ciężko usiadł za biurkiem i czekał na jej przybycie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Patrick dotarł do Kate dopiero o wpół do jedenastej wieczorem. Zaparkował przed jej domem i ucieszył się, kiedy zobaczył, że w salonie pali się światło. Powiedział Willy'emu, żeby już sobie pojechał, po czym ruszył zwirową ścieżką w kierunku drzwi frontowych. Nadusił przycisk dzwonka. Kate akurat przygotowywała sobie w kuchni kanapki z serem. Pośpieszyła do drzwi, oblizując palce.

– Telefonowałam do ciebie o ósmej, ale pani Manners powiedziała, że cię nie ma. Nie spodziewałam się, że się jeszcze dzisiaj zobaczymy.

Wszedł do holu.

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, czy zadzwonisz do mnie czy nie. Poza tym, rzeczywiście nie było mnie w domu. - Patrick przeszedł za Kate do salonu.

– Zdejmij płaszcz. I zachowuj się cicho, bo moja mama już śpi. Właśnie przygotowuję kanapki. Masz ochotę?

– A z czym te kanapki? Mam jakiś wybór? - Kelly ostatnio jadł coś w porze lunchu.

– Z serem albo z serem.

– Niech więc będzie z serem. Może sam zrobię herbatę?

Przeszli do kuchni i przez chwilę oboje pracowali w milczeniu.

– Zdenerwowałeś mnie, wiesz, Pat? Tym, co zrobiłeś. Jednak nie mam wątpliwości, że bez względu na sposób uzyskania decyzji o ich przeprowadzeniu, badania krwi mogą dać jedynie pozytywny rezultat.

Patrick już dawno zapomniał o tej sprawie. Wzruszył ramionami.

– Kate, wiesz przecież, że jestem komornikiem. Zawsze odzyskuję to, co mi się należy.

Jego głos był cichy i poważny. Zabrzmiało w nim coś, co sprawiło, że Kate uważnie popatrzyła na mężczyznę.

– Wiem o tym. Dlaczego to mówisz?

– Czy wiesz także, że jestem właścicielem salonów masażu?

– Tak, wiem. Ale dlaczego o tym mówimy?

Nagle przyszło jej do głowy, że nie powinna usłyszeć ani słowa więcej. Jak to powiedział Caitlin? Patrick Kelly był biznesmenem nowego rodzaju. Owszem, funkcjonował w granicach prawa. Ale czy teraz nie zechce poprosić o pomoc w nie do końca legalnej sprawie?

– Dzisiaj zamordowano jedną z moich dziewczyn. Nie wiem, czy słyszałaś o tym w wiadomościach. To było w Barking. Ktoś złamał jej

kark. Złamał jak gałązkę. Czuję się okropnie, Kate, naprawdę okropnie. Ta dziewczyna miała dwadzieścia jeden lat. Z tego, co się zorientowałem, przeciętnie przyjmowała pięciu do sześciu klientów dziennie. Sypiała z tymi ludźmi każdego dnia. Może się zdziwisz, Kate, ale nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Te kobiety były dla mnie jak zwierzęta. Czasami było mi przykro, że klienci źle je traktują, ale szybko o tym zapomniałem...

Kate przyglądała mu się przez chwilę. Zabrała talerze z kanapkami i zaniósła je do salonu. Następnie pomogła mu zaparzyć herbatę i przeniosła do salonu także filiżanki.

– Usiądź, Patrick. Myślę, że musisz to wszystko z siebie wyrzucić.

Poszedł za nią i kiedy usiadł na kanapie, natychmiast wziął do ręki filiżankę.

– Co tak naprawdę najbardziej cię przybiło, Pat? To, że dziewczynę zamordowano, czy też to, że w chwili morderstwa znajdowała się na twoim terenie?

Kate zabiła mu przysłowiowego ćwieka. Zdumiony był, jak dobrze go poznała w tak krótkim czasie.

– Obie te rzeczy po trochu, jeśli mam być szczery. Musiałabyś ją widzieć, Kate, mogłaby być moją Mandy, kiedy tam leżała. Robię wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby dorwać tego Rozpruwacza, a tymczasem wykarmiłem podobnego łajdaka na własnych śmieciach.

– Wiesz co, Pat? Kobiety będą zawsze sprzedawały swoje ciała. W filmach erotycznych i pornograficznych, na ulicach i w burdelach. Seks to jeden z najbardziej dochodowych interesów na świecie. Ta konkretna dziewczyna pewnie i tak by się sprzedawała, jeśli nie pracując dla ciebie, to dla kogoś innego. Czy to właśnie chciałeś ode mnie usłyszeć? Chciałeś, żebym to powiedziała?

Mimo że mówiła cicho, nie sposób było nie usłyszeć w jej głosie wściekłości. Patrick popatrzył jej w twarz i po raz pierwszy ujrzał na niej autentyczną złość. To go wytrąciło z równowagi.

– Słyszałam dzisiaj o śmierci tej dziewczyny, Pat, ale nie wiedziałam, że to ty jesteś właścicielem tego salonu masażu. Mam ci jednak powiedzieć, co mi przebiegło przez głowę, kiedy słuchałam radia? Zadałam sobie pytanie, kto robił forszę na usługach tej dziewczyny. Wiedziałam, że to musi być mężczyzna. Zabawne, prawda? Nie przyszło mi do głowy, że to ty, facet, który zapłacił za badania krwi pięciu tysięcy mężczyznom, byleby tylko znaleźć zbrodnicę, który zamordował jego córkę. Czy za poszukiwania kolejnego mordercy także zapłacisz? - Kate uniosła brwi, wpatrując się w Kelly'ego. Miał w sobie dość przyzwoitości, by odwrócić wzrok. - Nie, chyba nie. Jeżeli przyszedłeś tutaj na herbatę, po współczuciu i żeby lizać rany, obawiam się, że

trafiłeś pod zły adres, Pat. W sprawie tej dziewczyny nie oczekuj ode mnie pomocy. Pomogłeś jej mordercy, to właściwie tak, jakbyś sam złamał jej kark. A współczucie mam jedynie dla jej rodziny. To ci także nie przyszło do głowy, prawda? To, że wszystkie kobiety, które dla ciebie pracują, są czyimiś córkami albo matkami. Nie masz monopolu na ból, Pat. Spróbuj postawić się w sytuacji rodziców tej dziewczyny. Kiedy ty dowiedziałeś się o śmierci Mandy, przynajmniej nie przeżywałeś takiego dramatu, jaki przeżywałbyś, gdybyś się dowiedział, że twoja córka zginęła, pieprząc się z obcymi mężczyznami. Co ty mi przed chwilą powiedziałeś? „Te kobiety były dla mnie jak zwierzęta”, chyba tak to zabrzmiało. Boże, Patrick, jak tak można?

Patrick wreszcie popatrzył jej w oczy.

– Skończyłaś już? Gdybym chciał wysłuchać jakiegoś cholernego wykładu, pojechałbym na uniwersytet. Przyjechałem do ciebie, żeby jakoś zebrać i uporządkować myśli, to wszystko. Nigdy w żaden sposób nie skrzywdziłem tej dziewczyny, nie chciałem, żeby przytrafiło się jej cokolwiek złego, jej ani którejkolwiek...

Jąkał się, szukał wymówek i doskonale o tym wiedział. Kate uzmysłowiła mu prostą, nieprzyjemną prawdę, a on potrafił odpowiedzieć jedynie tym prymitywnym atakiem.

– Czasami mnie śmieszysz, cholerna intelektualistko w policyjnym mundurze. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że wiele z tych dziewcząt po prostu lubi swoją pracę? Nie pomyślałaś o tym? Że gdyby nie pracowały dla mnie, pracowałyby dla kogoś innego? Pomyślałaś o tym? Pomyślałaś?

Kate ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Nie spotykam się z kimś innym, Pat, lecz z tobą. Nie obchodzi mnie, jak bardzo przeżywasz dzisiejszy dzień; w tej chwili nie mam ci nic do zaoferowania. I nie współczuję ci, bardzo mi przykro. Sugeruję jedynie, żebyś pojechał do rodziców tej dziewczyny. To mogłoby otworzyć ci oczy. Chociaż po tym, co się stało z Mandy, powinieneś bardziej niż inni ludzie rozumieć, co oni w tej chwili przeżywają.

Patrick czuł, jak rośnie w nim wściekłość. Był wobec siebie na tyle uczciwy, że potrafił przyznać, iż tej wściekłości wcale nie wywołują słowa Kate, lecz jego własny wstyd.

– Cholera, idę stąd. Powiniennem być się domyślić, że w chwili, kiedy muszę podjąć ważną decyzję, z pewnością nie pomoże mi policjantka. Twój problem polega na tym, Kate, że samą siebie traktujesz jak jakąś świętą i dobrze się czujesz w tej roli. Posłuchaj mnie tylko. Nie potrzebuję ani ciebie, ani nikogo innego, żeby zdać sobie sprawę z moich słabości.

Doskonale o nich wiem, i to od wielu lat, dokładnie od czasu, kiedy

zrozumiałem, na czym polega otaczający mnie świat. Tak, przyszedłem do ciebie na herbatę i po odrobinę ciepła i współczucia. Potrzebowałem od ciebie tego samego, czego ty potrzebowałaś ode mnie, kiedy twoja córka przedawkowała prochy. I bardzo ci dziękuję za wszystko. Powiem ci coś, właściwie to w ogóle cię nie potrzebuję. Nikogo nie potrzebuję, nie potrzebowałem i nie będę potrzebował.

Kiedy wypowiedział te słowa, zrobiło mu się nieprzyjemnie. Przecież tak naprawdę to chciał wziąć Kate w ramiona i ją kochać, chciał, żeby i ona go kochała; teraz było to już niemożliwe.

Kate patrzyła za nim, jak wychodzi z salonu. Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi.

To prawda, że oboje musieli kiedyś z siebie wyrzucić wszystko, co ich gnębiło, jednak Kate było przykro, że rozmowa przebiegła właśnie w taki sposób. W końcu salony masażu Patricka zawsze byłyby pomiędzy nimi barierą nie do pokonania. Teraz oboje przynajmniej wiedzieli, na czym stoją.

Biedna dziewczyna była martwa. Cokolwiek by o nim powiedzieć, Patrick miał z tego powodu ogromne poczucie winy. Ale jakie znaczenie miało to dla niej?

Kate popatrzyła na swoją kanapkę.

Już nie czuła głodu.

Patrick wyszedł z jej domu i cicho zaklął. Wcześniej zwolnił Willy'ego i teraz musiał znaleźć jakąś budkę telefoniczną, żeby zadzwonić po taksówkę. Szukając jej, zaczął krążyć po ulicach. Tak jak George, w ciemności znajdował ukojenie. Wciągnął głęboko w płuca mroźne powietrze i po raz kolejny przed oczyma stanął mu widok Gillian Enderby. Widział ją, jak leży w kabinie, widział jej włosy opadające na podłogę, niemal dotykające posadzki. Była bardzo ładną, słodziutką dziewczyną. Nie wyglądała na prostytutkę, ale na początku żadna z nich nie wygląda. Przypomniawszy sobie Violet za młodu - jakie to było wtedy śliczne stworzenie!

Ujrzał światła budki telefonicznej i przyśpieszył kroku. Renée nigdy nie była zadowolona z tego, że jej mąż opiekuje się prostytutkami. Wspierała go jako komornika, ale raz na zawsze odmówiła współpracy w prowadzeniu salonów masażu. Mieli milczące porozumienie, nigdy w domu o nich nie wspominali, nawet mimochodem.

Wszedł do budki i, nie potrafiwszy znaleźć żadnego numeru firmy taksówkowej, zatelefonował w końcu do Willy'ego i polecił mu, żeby natychmiast po niego przyjechał. Willy był zbyt inteligentny, by pytać, dlaczego szef telefonuje z budki, a nie z domu Kate.

Patrick wyszedł z budki i stanął przed nią, co chwilę przestępując z nogi na nogę. Na dworze był mróz. Przecież Kevin Cosgrove miał zabrać

Mandy właśnie sprzed budki telefonicznej. Budka była zniszczona przez chuliganów, dlatego Mandy samotnie ruszyła w kierunku domu. Patrick wsunął dłonie głębiej do kieszeni płaszcza. Gillian Enderby w tej chwili spoczywała już w prosektorium, a jej rodzice przechodzili przez to, przez co on sam przeszedł tak niedawno.

Nieco później, gdy leżał już w łóżku, nagle zapragnął, żeby Kate znalazła się przy nim. Tęsknił za nią. Miała ze czterdzieści lat. Miała ciemne włosy, a on przecież zawsze wolał blondynki. Miała drobne piersi, a on zawsze preferował kobiety o dużych biustach. Jakby nie dość tego, była policjantką. W gruncie rzeczy stanowiła antytezę wszystkiego, co - jak często mawiał - chciał widzieć w kobiecie.

A mimo to strasznie jej pragnął.

Do jego rozbieganych myśli znów wkradły się Mandy i Gillian Enderby. W końcu Patrick poddał się, wstał z łóżka i zszedł na dół. Postanowił zrobić sobie coś ciepłego do picia. Przygotowawszy duży kubek herbaty, dolał do niego sporą porcję brandy.

Wróciwszy z napojem do sypialni, wypił go bez pośpiechu. Kiedy znów się położył, i tak wciąż się rzucał i przewracał z boku na bok.

Kate, także samotna w swoim łóżku, zachowywała się dokładnie tak samo.

Willy był zaskoczony, ujrawszy Patricka o szóstej trzydzieści ubranego i rozmawiającego przez telefon. Bardzo chciałby się dowiedzieć, kogo szef o tak wczesnej porze wyciągnął z łóżka. Kiedy Willy skończył śniadanie, o siódmej piętnaście, Patrick zawołał go i oznajmił, że chce pojechać w pewne miejsce w East Ham. Okazało się, że pod wskazanym adresem znajduje się dwupoziomowe mieszkanie komunalne. Kiedy Patrick zadzwonił do drzwi, w progu stanął jakiś mężczyzna. Po krótkiej wymianie zdań wpuścił Patricka do środka.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślał Willy. Po czym wziął do ręki gazetę i znów zaczął oglądać fotografię rozebranej pani, umieszczoną na trzeciej stronie.

Patrick przedstawił się Stanowi Enderby i mężczyzna zaprosił go do mieszkania. Enderby był mniej więcej w jego wieku, nie był jednak tak bogaty. Wyglądał na znacznie starszego, miał palce poplamione od nikotyny i wielki brzuch, świadczący o tym, że jego właściciel lubi napić się piwa, oraz rzędzące włosy.

- Moja żona jest na górze, panie Kelly. Bardzo źle to znosi. Gilly była jej dumą i radością, musi pan to zrozumieć. Nie mieliśmy pojęcia, że jest... że robiła to, co robiła.

Patrick wszedł za nim do niewielkiego salonu, skromnie umeblowanego, lecz bardzo czystego. Usiadł na jednym z krzeseł

ustawionych przy oknie i rzucił krótkie spojrzenie na swój samochód.

– Napije się pan herbaty? A może czegoś mocniejszego? - Stanley wyciągnął z szafy butelkę taniej whisky i Patrick potakująco kiwnął głową. Począł, aż mężczyzna poda mu szklanę.

– Dziękuję.

Kelly widział, że Enderby jest w rozterce. Jak zwykle, jego reputacja go wyprzedziła i nie mógł spodziewać się naturalnej reakcji na swoją wizytę. Przygotowany był więc na najgorsze oskarżenia, na wybuchy złości. Na wszystko, tylko nie na pasywność Stanleya Enderby i na jego udawanie, że Patrick jest mile widzianym gościem. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że mężczyzna się go boi. W przeszłości bawiły go podobne sytuacje, lecz teraz zachowały się z pokorą nawet wówczas, gdyby Enderby chlusnął mu whisky w twarz.

– Przyszedłem, żeby przekazać panu moje kondolencje, panie Enderby. Czuję się do pewnego stopnia odpowiedzialny za to, co się stało z pańską córką, i będę bardzo wdzięczny, jeżeli pozwoli mi pan zapłacić za jej pogrzeb.

– To bardzo wspaniałomyślne z pana strony, panie Kelly. Nigdy nie spodziewalibyśmy się, że...

Kiedy mówił, otwarły się jedne z drzwi i do pokoju weszła drobna kobieta. Miała wypłowiałe jasne włosy i Kelly od razu rozpoznał w niej matkę Gillian. Matka i córka były do siebie podobne jak dwie krople wody.

– Czego pan tu chce? - zapytała agresywnym tonem.

Stanley Enderby z przerażeniem popatrzył na żonę.

– To jest pan Kelly, Maureen.

– Zamknij się, Stan, do cholery. - Odwróciła się znów do Patricka. - Zadałam panu pytanie, panie Kelly, czego pan tu chce?

Opuścił wzrok. Z jej oczu odczytał oskarżenie.

– Przyszedłem złożyć państwu wyrazy współczucia, pani Enderby.

– Pan Kelly zamierza także zapłacić za pogrzeb, prawda, panie Kelly?

Stanley mówił ściśniętym głosem. Nie był mężczyzną skłonny do kłótni i awantur. W ciągu całego małżeństwa unikał konfrontacji ze swoją żoną, drobną, lecz o bujnym temperamencie.

Maureen Enderby parsknęła szyderczym śmiechem. Powoli zmierzyła wzrokiem całą postać Patricka.

– A więc Pat Kelly przyjechał do nas z książeczką czekową i myśli, że za jej pomocą wszystko naprawi? Pamiętam cię, kiedy sikałeś jeszcze w majtki, ty łotrze! Pamiętam twoją matkę i twoje siostry. Bardzo wczesnie wyuczyłeś się zawodu sutenera, co? Nie popuściłeś mojej dziewczynce i teraz ona nie żyje! Ale zdaje się, że jakiś zboczeniec załatwił także twoją córkę, prawda? Cóż za sprawiedliwość!

Twarz Patricka była biała jak kreda.

– Nigdy nie chciałem, żeby właśnie pani córka zajmowała się prostytutką, pani Enderby. Nie wiedziałem, że pracuje dla mnie. Nie znam nazwisk moich dziewcząt.

Maureen ruszyła ku niemu i uderzyła go pięścią w pierś. Na jej twarzy malował się ogromny ból.

– A powinieneś je znać! Powinieneś wiedzieć, kim one są jakie one są! Moja córka była uzależniona od narkotyków. Nie wiedziałam o tym, dowiedziałam się dopiero dzisiaj. Sypiała z obcymi mężczyznami, żeby mieć pieniądze na narkotyki. Narkotyki, które prawdopodobnie kupowała od ciebie.

Patrick gwałtownie potrząsnął głową.

– Nigdy, powtarzam, nigdy nie sprzedawałem narkotyków. O co jeszcze będzie mnie pani chciała oskarżyć? Jednego może być pani pewna: nigdy nie miałem nic wspólnego z narkotykami. Nie sprzedawałem ich.

– Nie, Patricku Kelly. - Głos Maureen zabrzmiał zaskakująco łagodnie. - Ty sprzedawałeś jedynie ludzką degradację, prawda?

Popatrzyła na męża.

– Wyrzucić tego śmiecia z mojego domu, Stan. Natychmiast!

Patrick popatrzył na stojącego przed nim mężczyznę i potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: doskonale ją rozumiem.

– I niech pan zabierze swoją książeczkę czekową, panie Kelly. Nie chcę ani pensa z pańskich brudnych pieniędzy. Pochowam córkę za moje pieniądze, a nie za pańskie.

Patrick wyszedł z pokoju, a Stanley odprowadził go na schody.

– Przykro mi, panie Kelly, ale nie wytrzymała tego wszystkiego. Mam nadzieję, że po jakimś czasie dojdzie do siebie. Widzi pan, w tej chwili jesteśmy bez grosza. Nie pracuję od czterech lat. A teraz nawet nie będziemy mieli pieniędzy, które regularnie dawała nam Gilly.

Kelly pokiwał głową.

– Dostanie pan pieniądze, panie Enderby.

– Najlepiej gotówkę, widzi pan, nie mamy nawet konta bankowego.

Enderby umilkł i Patrick znów skinął głową. Powoli zszedł po schodach i po chwili siedział już w samochodzie. Z dwojga rodziców lepsze wrażenie wywarła na nim matka dziewczyny. Przynajmniej jej żal po stracie córki był autentyczny. Ojciec Gillian Enderby chciał na rodzinnej tragedii chociaż trochę zarobić. Sama śmierć córki jakby nie wywarła na nim specjalnego wrażenia.

Wywarła natomiast wrażenie na Patricku Kellym. Ogromne wrażenie.

Kate przyszła do kościoła dość wcześnie i usiadła w jednej z tylnych ławek, rozkoszując się ciszą i samotnością. Zgodnie z obyczajem kościoła katolickiego, ciało Mandy Kelly pozostawiono w świątyni na noc, gdzie oczekiwało na poranną mszę pogrzebową. Przy zwłokach czuwała przez noc ciotka Mandy, siostra Patricka, Grace. W tym czasie dusza zmarłej miała ulecieć do nieba. Był to bardzo stary irlandzki zwyczaj, wciąż pielęgnowany przez kolejne pokolenia.

Kate uklękła i zaczęła się modlić po raz pierwszy od wielu lat. Przypomniała sobie dawno zapomniany nastrój wyciszenia i refleksji panujący w pustych kościołach. Modliła się za duszę Mandy Kelly oraz dusze wszystkich zamordowanych kobiet i dziewcząt.

Godzinę pogrzebu wyznaczono na dziewiątą trzydzieści, jednak kościół zaczął wypełniać się ludźmi na długo przed dziewiątą. Ze swego miejsca Kate obserwowała, jak wchodzą do niego znani przestępcy i biznesmeni. Nie zdziwiła się za bardzo, kiedy zobaczyła także Fredericka Flowersa z żoną. Albo miejscowego posła do Izby Gmin, także z żoną. Zdziwiła się jednak, kiedy wyłowiła z tłumu dwóch prominentnych naczelników wydziałów policji w Grantley. Obaj potrząsnęli ręką Patricka, a jeden z nich, znany na komisariacie jako Szalony Bill McCormack ze względu na swe nieortodoksyjne metody dokonywania aresztowań, mocno go do siebie przytulił. Była to dla Kate prawdziwa lekcja; właśnie w tym kościele zrozumiała, jak naiwną policjantką była do tej pory. Była dobrym detektywem, doskonale знаła swoją robotę, lecz ta swoista bliskość świata przestępczego i policji nigdy nie rzuciła się jej w oczy z taką ostrością jak w tej chwili. Och, wiedziała, że coś takiego istnieje, ale nie sądziła, że czasy, kiedy policjanci spotykali się prywatnie z przestępcami tylko pod osłoną nocy, odeszły aż tak daleko.

Odepchnęła od siebie te myśli. W końcu znajdowała się na pogrzebie jedyne dziecko Patricka i powinna być raczej zadowolona, że tak wielu ludzi pojawiło się, by okazać mu swój szacunek.

Widziała, że Patrick niespokojnie przebiega wzrokiem po całym kościele, i wreszcie ich oczy spotkały się. Uśmiechnęła się do niego krótko. Na twarz Patricka powrócił spokój.

Kilka krótkich sekund, kiedy na siebie spojędali, wystarczyło Kate, żeby ponownie zdać sobie sprawę, jak bardzo ten przystojny mężczyzna ją do siebie przyciąga.

Po mszy, gdy żałobnicy opuścili kościół i kondukt ruszył w kierunku grobu, Patrick postarał się znaleźć blisko niej. Lekko, lecz zdecydowanie, jakby bał się, że będzie chciała mu uciec, ujął Kate pod rękę. Popatrzyła na niego i pod długimi czarnymi rzęsami ujrzała łzy. Zdała sobie sprawę, że Patrick jej potrzebuje. Zrozumiała również, że i ona potrzebuje jego. Towarzyszyła mu w milczeniu podczas całej ceremonii nad grobem Mandy. Kiedy kapłan wypowiedział ostatnie

błogosławieństwa, czuła ból Patricka tak, jakby był fizycznym ciężarem w jej własnej piersi. Przygarbił się, a Kate mocno uścisnęła jego dłoń, przyciągając go do siebie. Zdawała sobie sprawę, jak wielką toczył ze sobą walkę, ile wysiłku go kosztowało, żeby nie załamać się na cmentarzu w obecności tych wszystkich ludzi, którzy przyszli tutaj, by po raz ostatni pożegnać jego córkę. Wreszcie pochował swoje ukochane dziecko i dopiero teraz dotarło do niego pełne znaczenie tego, co się stało.

Mandy nie wróci już do domu.

Ani teraz, ani nigdy.

Kate spostrzegła, że córka została pochowana obok matki. Biedny Patrick. Całe jego życie pogrzebane zostało w jednym małym skrawku ziemi.

Zobaczyła, że obserwuje ją siostra Patricka, i opuściła wzrok. Wkrótce było po wszystkim i ludzie zaczęli rozchodzić się do samochodów. Patrick tkwił przy grobie, nieświadomy składanych mu kondolencji. Kate pozostała przy nim i zauważyła Kevina Cosgrove'a, stojącego zupełnie na uboczu. Odczekał, aż cmentarz opustoszeje, i dopiero wtedy zbliżył się do grobu. Rzucił na umieszczoną w dole trumnę Mandy jedną białą różę. I zaraz odszedł.

– Chodź, Patrick, najlepiej będzie, jak pojedziesz do domu. - Kate delikatnie pociągnęła go za rękaw.

– Nie mogę wrócić do domu, Kate. Nie mogę rozmawiać z tymi wszystkimi ludźmi.

– Musisz. Chodź, pojedę z tobą. Musisz stanąć twarzą w twarz z innymi ludźmi i dasz radę. W tej chwili jesteś tylko w szoku.

Siostra Patricka, Grace, ruszyła z nimi. Kate oceniła, że ma mniej więcej pięćdziesiąt lat i całkiem dobrze wygląda, jeśli wziąć pod uwagę, że nie spała przez całą noc. Miała doskonale ułożoną fryzurę, nieskazitelny makijaż i starannie wyprasowany kostium. Była jasną blondynką, podczas gdy Patrick był brunetem.

– Chodź, Pat. Miejmy już to za sobą. Nie wierzę, że się w końcu spotkałyśmy, moja droga. Jestem Grace... Grace Kelly. Wiem, co byś teraz chciała powiedzieć, ale jestem do tego przyzwyczajona. Patrick, rusz się, im szybciej zajmiemy się gośćmi, tym szybciej będziesz miał to wszystko z głowy. Stara ciotka Ethel podskakuje jak fraszka i jeśli nie będziemy na nią uważać, zacznie przyjmować zakłady, ile trzeba zrobić fikołków, żeby okrążyć kościół.

Kate dostrzegła, że spięcie i ból zaczynają powoli opuszczać twarz Patricka. Grace Kelly była najwyraźniej osobą, której poleceń się słuchało, i tyle. Przez całą drogę do samochodu mówiła coś do Patricka.

– Posłuchaj, Patrick, zostawię cię z siostrą - zdołała jej wreszcie

przerwać Kate. - Muszę wracać do pracy.

- Myślałem, że chcesz pojechać ze mną do domu.

- Miałam taki zamiar, ale skoro jest przy tobie siostra, wolałabym wrócić do pracy.

- Zobaczmy się wieczorem, Kate? - zapytał głosem człowieka tak samotnego i nieszczęśliwego, że nie mogła mu odmówić, nawet gdyby chciała.

- Tak, zobaczymy się wieczorem. Przyjedź do mnie.

Uważała, że będzie dla niego najlepiej, gdy opuści wieczorem własny, pusty dom, przynajmniej na kilka godzin.

George wszedł do Sexplosion wieczorem tego samego dnia, którego odbył się pogrzeb Mandy. Nie wiedział nic o tym pogrzebie; jego umysł zaprzątnięty był znacznie poważniejszymi problemami, na przykład tym, jak uniknąć badania krwi. W jego głowie zaczął się rodzić pewien pomysł, jednak chciał go skonsultować z Tonym Jonesem.

Tony uśmiechnął się do niego i od razu zaprowadził go na zaplecze. George odczekał, aż włączy wideo, i dopiero wtedy odezwał się:

- Czy ta dziewczyna umiera?

- Tak. Ale oni się nią zajmują nadal, mimo wszystko - odparł Tony znudzonym głosem.

- Rozumiem, że tego typu filmy są nielegalne? To znaczy za ich sprzedawanie pewnie poszedłbyś do więzienia.

Tony Jones nagle stał się czujny.

- Można pójść do więzienia także za kupowanie czegoś takiego - odrzekł ze złością.

George uśmiechnął się.

- Wiem, wiem, Tony, ja tylko po prostu pytałem. Nie masz powodu, żeby się denerwować.

- Chcesz ten film czy nie? - George usłyszał w głosie Tony'ego agresję i wiedział już, że go mocno przestraszył. Poklepał go po plecach.

- Masz jakiegoś drinka, Tony? Przyszedłem do ciebie z pewną propozycją...

- Jaką propozycją?

- Bardzo lukratywną.

Tony Jones obliznął wargi i przez kilka sekund uważnie wpatrywał się w George'a.

- Czego chcesz? Piwa czy czegoś mocniejszego?

George roześmiał się.

- Myślę, że dzisiaj najlepiej mi posłuży mocny alkohol.

Odczekał, aż Tony przyniesie szklanki i naleje do nich whisky. Kiedy

wreszcie obaj wygodnie usiedli, odezwał się:

– Potrzebuję kogoś, kto mi pomoże w pewnej delikatnej sprawie. Kogoś absolutnie godnego zaufania i koniecznie chcącego zarobić trochę forsy.

– Za co? - Tony Jones był najwyraźniej zaintrygowany.

– Chcę, żeby ktoś oddał za mnie krew do zbadania. Żeby podczas badania udawał, że jest mną.

George zaobserwował, że Tony'emu Jonesowi zrzęda mina. Ten nagle zaczął intensywnie przeszukiwać pamięć. Badanie krwi... badanie krwi. Do cholery, z czym to się kojarzyło? Aha, czytał w gazetach. Czytał o tym w gazetach. George Markham pochodził z Grantley, w Essex. George Markham był Rozpruwaczem z Grantley! Za George'a Markhama wyznaczono pół miliona funtów nagrody...

– Do kurwy nędzy!

Na George'a spadła fala strachu.

– To ty jesteś tym draniem, Rozpruwaczem, prawda?

George popatrzył na Tony'ego. Spojrzenie jego rybioszarych, pozbawionych życia oczu sprawiło, że przez ciało mężczyzny przebiegł krótki, zimny dreszcz. Po raz pierwszy w życiu się bał. Ostrożnie, pomyślał, bo wszystko stracisz.

– Czego ode mnie chcesz? - zapytał. Głos miał już spokojniejszy, bardziej nad nim panował.

– Chcę zapłacić istotną kwotę pieniędzy komuś, kto podda się w moim imieniu badaniu krwi. Jeśli zostanę złapany, sam rozumiesz, będę miał mnóstwo do opowiedzenia o sobie i udziale mojego współnika we wszystkich morderstwach.

– Wspólnika? Jakiego współnika? - Tony był zaskoczony.

– Ciebie, oczywiście. - George znów się uśmiechnął. - Przecież gdybyś nie pokazał mi tych wszystkich filmów z zabijaniem kobiet, nigdy nie wpadłbym na to, żeby kogokolwiek mordować.

Tony zbladł.

– Ja z tym nie mam nic wspólnego! Mnóstwo ludzi kupuje u mnie filmy i jakoś nikogo nie mordują!

Tony Jones trząsał się ze strachu. Już wyobrażał sobie Patricka Kelly'ego, jak dowiaduje się, że sprzedawane przez Tony'ego filmy doprowadziły do śmierci jego córki. W najlepszym wypadku poderznąłby mu gardło.

– Skąd ty to wiesz, Tony? Skąd wiesz, że filmy kupowane u ciebie nie wpływają na innych mężczyzn tak, jak wpłynęły na mnie? Śmierć mnie podnieca i podnieca wielu ludzi. Stąd tak wielkie zapotrzebowanie na twoje filmy. Pamiętam, jak ostatnio mówiłeś mi, że rozchodzą się niczym ciepłe bułki.

Ujrzał, że Tony'emu niemal opadła szczęka, i stwierdził, że nadszedł czas, by zagrać kartą atutową.

– Prowadzę pamiętnik, wiesz? Zapisałem w nim wszystkie wizyty w twoim sklepiku, opisałem dokładnie wszystko, co tutaj kupiłem. Tak to ułożyłem, że można cię uznać za wtajemniczonego we wszystkie moje sprawy. Jeśli mi nie pomożesz, Tony, i zostanę złapany... - Nie dokończył zdania.

– Kurwa, ja cię zabiję!

– Tony, nie bądź głupiutki. Jeśli umrę, wszystko wyjdzie na jaw. Najpierw moja żona, a później policja dowiedzą się, kim byłem i kto był moim współnikiem. A przecież ani ty tego nie chcesz, ani ja, prawda?

Tony ujrzał, jak pół miliona funtów dosłownie rozplywa mu się przed oczyma. Przez chwilę patrzył, jak George pije whisky, potem starannie wyciera usta chusteczką, i wówczas wpadł mu do głowy załączek pewnego pomysłu. Owszem, zagra z George'em Markhamem, ale w swojej własnej grze.

– Ile mógłbyś zapłacić?

George uśmiechnął się. Szło mu coraz lepiej.

– Tysiąc funtów.

Tony potrząsnął lekceważąco głową.

– Za mało. Za oszustwo kryminalne należą się przynajmniej dwa tysiączki.

– Oszustwo kryminalne?

– To znaczy podszywanie się pod kogoś innego. Czyli to, co zrobię dla ciebie.

– Zrobisz to osobiście?

– Oczywiście. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. Będziesz musiał przekazać mi trochę informacji o sobie. Policjanci, jeśli chcą, potrafią być bardzo sprytni. Dowiesz się, jak wygląda takie badanie, i mi powiesz. Wtedy zacznę się przygotowywać. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie mam na koncie żadnego wyroku. W życiu nie dostałem nawet mandatu za złe parkowanie. Mogę więc być George'em Markhamem jedynie za dwa tysiące funtów.

George wyciągnął rękę i zdziwił się, kiedy Tony jej nie przyjął.

– Interes ubity.

Tony wpatrywał się w siedzącego przed nim mężczyznę i pomyślał, że to nie interes, lecz George Markham został właśnie ubity.

George wrócił do domu krótko po ósmej wieczorem. Elaine siedziała na kanapie i kiedy wszedł do holu, zaraz do niego zawołała:

– Zaczynałam się o ciebie martwić, George.

Ściągnął płaszcz i położył go, razem z kasetami, które kupił od Tony'ego, na kredensie. Podszedł do Elaine.

– Przepraszam za spóźnienie, moja droga, ale mieliśmy mnóstwo roboty. Kończę pracę za kilka tygodni i właśnie przekazuję wszystkie niezbędne informacje człowiekowi, który ma przejąć moje księgi.

Elaine pokiwała głową.

– Chodźmy do kuchni. Kolacja wciąż jest ciepła.

George usiadł przy stole i pozwolił, by Elaine plotła różne głupstwa. W ciągu wielu lat małżeństwa zauważył, że bezsensowne gadulstwo jest jej lekarstwem na ciszę, której nienawidziła. Gadała, gadała i gadała, najwyraźniej zupełnie nieświadoma, że George jej wcale nie słucha.

Dziś nie mógłby słuchać jej głupiutkich opowieści, nawet gdyby chciał. Miał na głowie znacznie poważniejsze sprawy.

W pokoju detektywów Caitlin wyjaśniał właśnie podwładnym istotę badania krwi. Wszyscy słuchali go bardzo uważnie. Zdecydowana większość detektywów zdawała sobie sprawę z istnienia genetycznych odcisków palców, jednak najnowsze zadanie nie dla każdego było do końca jasne. Caitlin miał nadzieję, że zdoła wszystko dokładnie wytłumaczyć.

– Mężczyzna, którego szukamy, ma grupę krwi 0. Taką grupę posiada mniej więcej pięćdziesiąt procent populacji Wielkiej Brytanii. Idźmy dalej, zawężając krąg podejrzanych. Siedemdziesiąt pięć procent tej populacji ma czynnik Rh B dodatni, a pozostałe dwadzieścia pięć procent Rh B ujemny. Miło mi was poinformować, że poszukiwany przez nas mężczyzna wywodzi się właśnie z tej ostatniej grupy. A to oznacza, że możemy z kręgu podejrzanych natychmiast wyeliminować ludzi z grupą krwi 0 o czynniku Rh B dodatnim.

Teraz jeśli chodzi o sam przebieg badania. Będziemy pytać wszystkich mężczyzn o panięskie nazwisko matki, imiona żony i dzieci, o miejsce pracy i tym podobne. Będziemy także pobierali odciski palców. Każdy z uczestników badania będzie musiał, naturalnie, podpisać dokument, w którym wyraża zgodę na to badanie. Zamknie to usta wszystkim awanturnikom, walczącym rzekomo o prawa obywatelskie.

Ludzie zgromadzeni w pomieszczeniu zaczęli nerwowo chichotać. Nie potrafili się pogodzić z tym, że jedyny trop, którym mogli skutecznie podążać, tak długo był dla nich z różnych powodów niedostępny. A przecież, z drugiej strony, opinia publiczna żądała jak najszybszego ujęcia mordercy.

Caitlin zapalił cygaro. Głośno odchrząknął i znów zaczął mówić:

– Za chwilę otrzymacie zestaw instrukcji szczegółowo określających, o co macie pytać podejrzanych, dokąd chodzić, i tak dalej. Otrzymacie

ludzi do pomocy, jednak to wyłącznie na was spoczywa odpowiedzialność za to, by śledztwo w terenie i wszystkie dodatkowe przesłuchania prowadzone były skutecznie i możliwe jak najdyskretniej. Dysponujemy informacjami, że całkiem spora grupa przestępców seksualnych, przebywających akurat na wolności, została pobita od czasu, kiedy zaczęły się interesujące nas zbrodnie. Sam nie mam czasu, żeby zajmować się zbrodniami, ale wy musicie pamiętać, że ci ludzie oficjalnie nie są podejrzani, dlatego też w pełni zasługują na ochronę z naszej strony. Wszyscy siedzimy na potencjalnej bombie i nie chcę, żeby ktoś - popatrzył krótko na Spencera - cokolwiek w tej sprawie spieprzył.

Idźmy dalej. Większość z was uważa, że poszukiwany przez nas osobnik musiałby być szaleńcem, żeby zgodzić się na to badanie. Osobiście też tak uważam. Policyjny psycholog twierdzi jednak, iż jego wybujałe ego skłoni go mimo wszystko do poddania się badaniu. Że taką samą radość, jaką dają mu morderstwa, przynosi mu zabawa w kotka i myszkę z policją.

– Urwał i wpatrując się w morze twarzy, czekał, aż znaczenie jego słów dotrze do wszystkich.

– Zatem, jeśli natkniecie się na szczególnie podejrzanego osobnika, natychmiast przekazcie mi informację o nim. Już w samym tym komisariacie znalazłoby się kilku samochwałów. - Znowu popatrzył na Spencera. - Mam nadzieję, że rozumiecie, o jaki typ podejrzanego mi chodzi.

Znów wszyscy się roześmiali.

– Dobra, są jakieś pytania?

W górze natychmiast znalazła się ręka Spencera. Caitlin skinął na niego.

– Chciałbym się dowiedzieć, ilu dodatkowych ludzi będzie nam pomagać? Przecież przesłuchanie wszystkich nowych podejrzanych zajmie całe lata...

Caitlin uniósł rękę, uciszając go.

– Ludzi mamy więcej niż pod dostatkiem. Mnóstwo policjantów zaoferowało nam swój wolny czas, i to nie żądając pieniędzy. Sądzę jednak, że uzyskamy dodatkowe środki finansowe z Funduszu Najpoważniejszych Przestępstw, zarówno dla was, jak i dla nich. - Odwrócił wzrok od Spencera i popatrzył na inne twarze. - Jeszcze jakieś pytania?

Zanim ktokolwiek był w stanie zareagować, odezwał się ponownie:

– Dobra, niech więc teraz każdy weźmie materiały informacyjne, zapozna się z nimi i do roboty.

Kate uśmiechnęła się do siebie. Nie żałowała, że pozostawiła ten występ Caitlinowi. Doskonale sobie poradził. Wszystkie najważniejsze

rzeczy omówił na początku i potrafił szybko zakończyć zebranie, dzięki czemu można było przystąpić do najważniejszych zadań bez chwili zwłoki. Kiedy otwarła się możliwość podążenia nowym tropem, policjanci zabrali się do pracy z nową energią i entuzjazmem.

Raz jeszcze popatrzyła na fotografie zamordowanych kobiet i dziewcząt. W momencie, gdy jej wzrok natrafił na wizerunek Mandy Kelly, pomyślała o Patricku. Ale nie trwało to długo. Zaraz pogrążyła się w pracy.

George wrócił do domu po szczególnie ciężkim dniu w pracy. W biurze nie mówiono o niczym innym, jak o jego pożegnalnym przyjęciu, a on miał przecież ochotę jedynie wrzasnąć na tych wszystkich ludzi, żeby zostawili go w spokoju. Do akcji włączyło się nawet kilka osób z magazynu, co tym bardziej drażniło George'a. Przecież nigdy z żadną z nich nie rozmawiał, nawet przelotnie. Konwersacje z tłumem brudnych robotników były ostatnią rzeczą, jaka by mu w pracy sprawiała przyjemność. Potrafił rozmawiać jedynie o seksie i o kobietach; och, gdyby cokolwiek o nim wiedzieli, zamknęliby się pewnie raz na zawsze. Nie musiał dzielić z nimi ich fantazji, przecież mógł mieć każdą kobietę, jaką chciał. I kiedy chciał.

Mocno zacisnął powieki. Elaine, jak zwykle, paplała coś do niego. Czasami żałował, że nie ma w sobie dość odwagi, by trzasnąć ją otwartą dłonią w głupią gębę tak mocno, żeby w wielkich, tłustych uszach usłyszała wszystkie dzwony tego świata.

- George, czy ty mnie słuchasz? - Jej ostry głos przeszył jego czaszkę jak świeżo zaostzona siekiera.

- Oczywiście, że cię słucham, moja droga. Zawsze cię słucham.

- Co więc sądzisz o tym, co właśnie powiedziałam?

- Naprawdę... Naprawdę nie mam pojęcia. - George bezskutecznie starał się dotrzeć pamięcią chociaż do fragmentu paplaniny Elaine, nie ustającej od chwili, w której wszedł do domu.

Ciężko westchnęła i zaczęła odcedzać z tłuszczu pieczone ziemniaki.

- Nie dosłyszałaś ani słowa z tego, co mówiłam, prawda? Powiedziałam, że mój menedżer poważnie myśli o redukcji personelu.

- Ale przecież nigdy nie pozbędzie się ciebie, Elaine - stwierdził George z przekonaniem.

- A kto mówił o pozbyciu się mnie? Czy ty mnie w ogóle słuchasz, George? Menedżer powiedział, że stoję przed dużą szansą, żeby zostać szefową wszystkich kasjerek. A więc mimo redukcji - wbiła sobie w pierś palec wskazujący - ja nadal będę miała pracę. I wyższą pensję, rzecz jasna. Spójrzmy prawdzie w oczy, George, teraz, kiedy ty zostałeś zwolniony, moja regularna pensja bardzo nam się przyda, nie sądzisz?

Jej ostatnie, szerokie machnięcie nożem sprawiło, że George zaczął oddychać płycej i szybciej. A więc o to jej chodziło. W gruncie rzeczy wcale mu nie współczuła, że stracił pracę. Miała wreszcie szansę, aby stać się tym, kim zawsze chciała zostać. Niekwestionowaną głową rodziny. Jego łaskawą żywicielką.

George wyobraził sobie, jak wstaje z krzesła, chwytając wielki nóż do krojenia chleba i podrzyna jej gardło od ucha do ucha jednym szybkim ruchem, głośno się przy tym śmiejąc. Śmiejąc się do rozpuku.

Niepewnie powstał na nogi.

– Dokąd idziesz?

Zignorował jej pytanie i wyszedł z kuchni, z nerwami napiętymi jak postronki. Oto spotkała go najstraszliwsza z możliwych zniewag. Po drewnianych schodach poszedł na piętro, do sypialni, którą dzielił z Elaine. Tam padł na łóżko i zapatrzył się w sufit. Właściwie czekał na nią, aż dowlecze się do sypialni i zapyta, dlaczego tak gwałtownie wyszedł z kuchni, jednak zostawiła go w spokoju.

A Elaine, która została na dole, przyszło do głowy, że - być może - tym razem posunęła się trochę za daleko.

George leżał nieruchomo, dopóki nie uspokoił mu się oddech, a przed oczyma przebiegało mu całe życie z Elaine. Przypomniawszy sobie, jak wyglądała w dniu ślubu - był z niej wówczas całkiem dumny. A właściwie dumny z siebie, że naprawdę się ożenił. Chciał wykrzyczeć głośno całemu światu: „Widzicie? A jednak ktoś mnie zechciał!” Małżeństwo sprawiło przykrość jego matce. Chciała przecież mieć go zawsze przy sobie, w domu. Chciała się nim opiekować, jak mawiała. Elaine nazywała rudą kurwą. Cóż, o kurwach wiedziała sporo, w końcu była kurwą przez większość życia. Mimo wszystko początkowo małżeństwo George'a i Elaine nie układało się źle. Elaine oddała mu się w noc poślubną jako dziewica i potrafił to docenić. Przed ślubem nie próbował z nią seksu, ponieważ uważał ją za „dobrą dziewczynę”. Czuł, że pozwoli mu jedynie na zdawkowy pocałunek po wspólnym wieczorze spędzonym w mieście.

Jednak po ślubie okazało się, że seks bardzo jej spodobał. Miała na to ochotę częściej niż George. George nalegał na eksperymenty, podczas gdy Elaine wolała prosty seks, bez pocałunków. Ale jego to nudziło i kiedy zaszła w ciążę, z ulgą to przerwał.

Właśnie wtedy ponownie odkrył, jak dobrą rozrywką może być oglądanie pornografii. Przed poślubieniem Elaine wręcz namiętnie oglądał magazyny z nagimi dziewczętami - albo magazyny dla onanistów, jak je nazywał na swój użytek. Stworzył sobie w głowie fantazyjny świat kobiet, które robiły wszystko, czego chciał. Po ślubie, przypuszczał, świat ten nie będzie mu już potrzebny, ale trwało to krótko. Odkrył, że właśnie teraz potrzebuje go bardziej niż

kiedykolwiek.

Początkowo ekscytował go sam fakt, że swoje magazyny trzyma w domu. Przecież ryzykował, że zostanie przyłapany na ich oglądaniu. Wiedział, że jeśli Elaine je znajdzie, wścieknie się. Zaczął regularnie odwiedzać kina pornograficzne w Soho i liczne skupione tam księgarnie z pornografią. To z filmów, które wtedy obejrzał, wiele się nauczył. I to wówczas właśnie otworzył się przed nim świat sadomasochizmu i zniewolenia.

Kiedy po raz pierwszy kupił sadomasochistyczny magazyn, poczuł się, jakby nagle odzyskał wolność po długiej niewoli. Fotografie kobiet i wyrafinowane uśmiechy kwitnące na ich twarzach, podczas gdy krępowano je łańcuchami i poniżano, poruszyły gdzieś głęboko w nim jakąś czułą strunę. Wtedy też popełnił okropny błąd.

Wracał właśnie pociągiem do domu po wizycie w kinie Electric Blue. Mieszkali wówczas z Elaine w Chatham, w Kent. Kupili tam stary budynek i powoli go odnawiali i przerabiali na prawdziwy dom. W pociągu George ujrzał dziewczynę. Miała długie, rudawozłote włosy i zwrócił na nią uwagę dlatego, że przypominała mu jego matkę, kiedy była młoda. Dziewczyna spostrzegła, że się jej przypatruje, i posłała mu lekki uśmiech. Taki niezobowiązujący uśmiech, który przeznaczony był dla mężczyzn podziwiających z daleka jej urodę, do czego była pewnie przyzwyczajona.

W miarę jak zbliżało się Chatham, pociąg pustoszał, i w końcu zostali w nim tylko oni dwoje: George i dziewczyna. George myślał wyłącznie o niej i o filmie, a kiedy jej dotknął, pragnął jedynie poczuć na dłoni puszystość jej włosów, to wszystko. Ona jednak wrzasnęła, wydała z siebie długi, przenikliwy wrzask. George instynktownie zakrył dłonią jej usta. Wtedy dziewczyna zachwiała się i opadła na siedzenie. Jej pulower zadarł się do góry, obnażając mlecznobiałą skórę. George natychmiast wsunął drugą rękę pod pulower i wyczuł dłonią sterczące piersi. Nagle zaznał ekstazy, z jego umysłu wszystko wyparowało, pozostała w nim jedynie świadomość rozkoszy, jaką w tej chwili przeżywa. Nie pamiętał już, jak zerwał z dziewczyny rajstopy i majtki, nie pamiętał, jak bił ją po twarzy i po głowie, było mu zbyt miło i zbyt rozkosznie. Było zbyt wspaniale, aby zdołał dostrzec, że w rzeczywistości dzieje się coś złego.

Zatrzymano go, kiedy pociąg dotarł na stację w Chatham. W podnieceniu z niczego nie zdawał sobie sprawy.

A potem nagle pojawiło się mnóstwo policjantów.

I pytań.

I areszt.

I Elaine. Szeroka, ciężarna Elaine, którą w szoku zabrano do szpitala po tym, jak policjanci zapukali do jej drzwi i o wszystkim jej

opowiedzieli.

Elaine, która urodziła martwego syna.

Elaine, która z jakiegoś powodu trwała przy nim przez cały proces, która sprzedała dom w Chatham i przeniosła się do Essex, żeby po odbyciu kary George mógł powrócić do domu. Elaine, która regularnie odwiedzała go w więzieniu i raz w tygodniu pisała do niego list.

Elaine, która poprzez samą swoją obecność przy nim już nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć o tym zdarzeniu, ponieważ go za to znienawidziła i dawała mu to odczuć. Znienawidziła go za to, co zrobił, i za to, że zabił ich dziecko.

Elaine, która później nigdy nie wspomniała słowem o tamtej nocy, z wyjątkiem dnia przed kilkoma tygodniami, kiedy przyszli do nich dwaj policjanci. Elaine, którą nienawidził i kochał. Och, kochał ją, ponieważ była matką jego dziecka. Dziecka, którego pragnął jak niczego innego w życiu.

Jego syn był martwy. Jego małżeństwo też było martwe.

Elaine miała romans, doskonale to wiedział. Był tego tak pewien, że niemal czuł swoją pewność na języku. Wyobrażał sobie Elaine na tylnym siedzeniu samochodu obok jakiegoś mężczyzny bez twarzy. Widział jej wielki, gruby tyłek opuszczający się na członek mężczyzny. I to go podniecało. Chciałby ich podglądać. Chciałby kiedyś podkraść się do tego samochodu i patrzeć, jak to robią. Myśl o tym sprawiała, że miał ochotę w tej chwili wytrysnąć spermą do własnych spodni. Jego oddech znów stał się płytszy, urywany.

Już nie była taka grymaśna jak kiedyś, prawda? Już nie ograniczała się do pozycji misjonarskiej. Świadczyły o tym chociażby ślady na jej szyi. Szyi, którą George chciałby objąć dłońmi i na której chciałby zaciskać palce tak długo, aż Elaine wyzionęłaby ducha.

Cztery kobiety nie żyły. Ale to nie była jego wina. Prosiły się o to tak jak Elaine i ta dziewczyna z pociągu. Powiedział policji, że uśmiechnęła się do niego, sprowokowała go. Jednak mu nie uwierzyli.

To jej uwierzyli, a przecież była kurwą. One wszystkie są kurwami.

I George został zamknięty w kryminale. Zwyczajnym kryminale! A jedynym jego przestępstwem było to, że ofiarował dziewczynie to, czego chciała. To, czego chciały one wszystkie.

W więzieniu bili go mężczyźni nie lepsi od zwierząt, a stawiający się ponad nim!

Ale to przetrwał. I w końcu wygrał, ponieważ wyszedł na wolność, wrócił do Elaine, dostał pracę i jakoś się ustawił. Dobrze mu się wiodło aż do tej przekłętej redukcji.

Co powiedział Peter Renshaw? Że lubi spędzać czas z wnukami...

Kiedy George spędzał czas z wnukami, były to wnuki cudze.

Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie Mandy Kelly. Jej dziadkowie z pewnością nie byliby zachwyceni, gdyby wiedzieli, jak zabawił się z ich wnuczką.

Leżąc w łóżku, pozwolił, by ogarnęły go ciepłe myśli, jakie wywołało w nim wspomnienie Mandy Kelly. Było mu trochę przykro, że nie żyje, ponieważ nawet ją polubił. Poza tym Mandy to było jego ulubione imię.

Poczuł się nieco lepiej i stopniowo zaczęło go opuszczać napięcie.

Tymczasem Elaine siedziała w kuchni i jadła kolację. Jeszcze tego wieczoru miała zaplanowane spotkanie z Hectorem i Bogu za to dziękowała. Od dnia, w którym wkroczył w jej życie, czuła się tak, jakby z jej ramion ktoś zdjął ogromny ciężar. Ciężar, którym był George i wszystko, co się z nim wiązało.

Kate odcedzała spaghetti, a jej matka dodawała ostatnie przyprawy do sosu bolońskiego.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, że on przyjdzie na kolację, mamo?

Evelyn popatrzyła na córkę.

– Niby dlaczego miałabym coś mieć przeciwko? - Wyłączyła gaz pod rondelkiem i przeniosła naczynie na stół.

– Dlaczego nakrywasz tylko dla dwóch osób, mamo?

– Ponieważ wychodzę dziś wieczorem do Doris na bingo. Tam się dość najem.

– Och, nie, tylko nie to. Nie chcę, żebyś z powodu Patricka musiała wychodzić ze swojego domu...

Evelyn przerwała jej.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że przez ostatnie lata miałam ochotę spędzać niektóre wieczory poza domem, ale nigdzie nie wychodziłam, ponieważ musiałam opiekować się Lizzy albo czekać na ciebie? Nie, chyba o tym nie pomyślałaś.

Natrafiwszy na pełne urazy spojrzenie Kate, Evelyn uśmiechnęła się.

– Daj spokój, Kate. Chcę, żebyś mogła spędzić trochę czasu tylko z tym mężczyzną, to wszystko. Pochował dzisiaj swoje jedyne dziecko i uważam, że bardzo cię potrzebuje. Ale nie obawiaj się, gdybym chciała zostać w domu, i tak bym została. Idę do Doris, bo mam ochotę na bingo. Lubię tę grę, więc zaproszenie od Doris akurat dzisiaj bardzo mi pasuje. Tymczasem wyciągnij parmezan. Wcześniej już go starłam.

Kate podeszła do niej i obie kobiety mocno się wyściskały.

– Tylko nie bądź dla niego zbyt surowa. Dzisiaj Patrick potrzebuje raczej ukojenia, słyszysz? Zapomnij więc o badaniach krwi i wszystkim, co jest związane z twoją pracą. W ogóle o tym nie rozmawiajcie. Przy

okazji możesz jedynie pamiętać, że wyświadczył ci ogromną przysługę.

Kate pokiwała głową. Usłyszała pukanie do drzwi i poszła otworzyć. Evelyn zdjęła fartuch i zmierzyła wzrokiem stół. Był starannie nakryty i sprawiał doskonałe wrażenie. Rozumiała, że Patrick ma wielki dom z drogimi dywanami, gosposią i mnóstwem cennych drobiazgów. Jeśli jednak ktoś ją zapytałby o zdanie, dom Katie był równie dobry, chociażby dlatego, że mieszkały tu zgodnie ona sama, Katie i Lizzy.

Pomyślawszy przelotnie o Lizzy, uśmiechnęła się. Już nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Petera w Australii. Oczekiwanie na to spotkanie wprost ją rozsadzało, jak mawiała kiedyś jej matka.

Patrick wszedł do holu, trzymając w ręce butelkę czerwonego wina. Kate wzięła ją od niego, dzięki czemu mógł zdjąć płaszcz, który tradycyjnie przełożył przez poręcz przy schodach. Ruszył za Kate do kuchni i po chwili jednym ze swoich najszerzych uśmiechów powitała go Evelyn.

– Proszę, niech pan wejdzie i siada za stołem. Przygotowałyśmy tyle jedzenia, że nie ma pan prawa wyjść stąd dzisiaj głodny.

Patrick uśmiechnął się. Uwielbiał słuchać głosu Evelyn, czuł się wtedy tak, jakby znów słuchał własnej matki. Bardzo mu brakowało południowoirlandzkiego akcentu. Miał w sobie przecież wyraźnie słyszalną muzyczną jakość, nawet wtedy, gdy ktoś mówił głośno i plótł bzdury.

Kate podała mu korkociąg i otworzył butelkę z winem. Rozlał je do kieliszków. Evelyn wzięła do ręki swój i, upiwszy spory łyk, powiedziała:

– Musiał to być dla pana okropny dzień, Patricku. Niech pan usiądzie i zje coś ciepłego. Jak świat światem, jedzenie zawsze poprawiało ludziom nastrój.

Patrick wbił wzrok w czubki swoich butów.

Kate przygotowywała sałatkę. Kiedy umyła warzywa, Evelyn pocałowała ją w policzek.

– Wychodzę już, Katie. Do widzenia, Patrick. Pewnie się jeszcze dziś zobaczymy.

– Może cię chociaż zawiozę do Doris, mamó?

Evelyn chwyciła ją za rękę.

– Sama doskonale dam sobie radę, Kate. A wy pałaszujcie kolację, dopóki wszystko jest gorące.

Patrick z uśmiechem patrzył, jak starsza pani nakłada płaszcz, szal, wełniany kapelusz i nieprzemakalne, ciepłe buty. Wszystko miała już przygotowane w salonie. Pomachawszy jeszcze obojgu, wyszła z domu z dużą skórzaną torbą przyciśniętą do piersi.

– To urocza kobieta, Kate. Musisz być szczęśliwa, że masz taką matkę.

– Jasne! Podejdź do mnie z talerzami, sałatka jest prawie gotowa.

Patrick zaczął jej pomagać. Pracując, żartowali i rozmawiali wesoło o zupełnie nieistotnych rzeczach. Możliwość zajęcia się prostymi, przyjemnymi czynnościami pozwalała mu zapomnieć o nieszczęściu. Dopiero dzisiaj przyszło mu do głowy, że dotąd nie opłakiwał swojego dziecka tylko dlatego, że tak naprawdę nie wierzył w śmierć Mandy. Nieodwracalność sytuacji uświadomił sobie, kiedy trumna spoczęła w ziemi. Ostatecznie i nieodwołalnie.

Kate postawiła jeszcze na stole chleb czosnkowy i usiadła naprzeciwko Patricka.

Patrick uniósł kieliszek z winem i dotknął nim kieliszka Kate.

– Za nas? - Było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

Kate wzięła do ręki swój kieliszek.

– Za Mandy. Niech spoczywa w pokoju.

– Tak, wypijmy za to.

Patrick upił łyk wina, po czym odstawił kieliszek i zaczął sobie nakładać jedzenie. Nie był szczególnie głodny, właściwie to wydarzenia dzisiejszego dnia odebrały mu apetyt.

Wiedział, że gdyby nie spotkanie z Kate, tego wieczoru upiłby się do nieprzytomności.

– Po raz pierwszy jem sałatkę grecką ze spaghetti po bolońsku, Kate. - Wypowiedziawszy te słowa, wsunął sobie do ust potężną porcję sałatki.

– Wiem. Ale te dania doskonale do siebie pasują. Tak przynajmniej uważam, a skoro jesteśmy w moim domu... Cóż, musisz się zdać na moją opinię.

Lody przełamane zostały już całkowicie i jedząc, oboje na zmianę to śmiali się, to prowadzili zupełnie niezobowiązującą rozmowę. Nie mówili o niczym ważnym; ich wspólne problemy będą musiały jeszcze jakiś czas poczekać. Dzisiaj wieczorem zostały odłożone na bok. Byli po prostu parą przyjaciół cieszących się nawzajem swoim towarzystwem.

Patrick jadł. Popatrzył, jak Kate wciąga do ust makaron, i uśmiechnął się. Wiedział, że kiedy już minie ból, zawsze będzie kojarzył Kate ze swoją Mandy. Zawsze będzie myślał o nich niemal jednocześnie, najpierw o Mandy, a potem o Kate. Była jedynym pozytywnym elementem nieszczęścia, które go dotknęło. Wiedział, że gdyby dzisiejszego wieczoru został sam, załamałby się. Potrzebował towarzystwa, ale towarzystwa kogoś, na kim mu zależało, a nie kolejnej przypadkowej partnerki do łóżka. Gdyby dzisiaj postarał się o kogoś takiego, musiałby uznać, że całe wspomnienie o córce rozmienił na drobne. Próbując zapomnieć o tragedii, próbując koić ból po jej pogrzebie z pierwszą lepszą kobietą, obraziłby Mandy.

Po posiłku zabrali resztę wina do salonu i zaczęli się kochać. Kate pozwoliła Patrickowi, aby ją rozebrał. Potem położyła się na dywan, z

ozdobną poduszką pod głową, i patrzyła, jak Patrick pozbywa się kolejnych części garderoby.

Widok ten wywoływał w niej fale gorąca, stopniowo ogarniające całe ciało. Ucieszyła się, kiedy zobaczyła, że Patrick jest już mocno podniecony. Nie zależało jej dzisiejszego wieczoru na grze wstępnej. Pragnęła ostrej, szybkiej, ale słodkiej miłości.

Kiedy po dziesięciu minutach Patrick oderwał się od niej, poczuła, że oboje pozbyli się ogromnego napięcia. Przytrzymała jego głowę na swoich piersiach, mierzwiła jego fryzurę, a tymczasem ich oddechy i rytm serca powracały do normalnego stanu.

– Och, Kate, tak tego potrzebowałem.

Pocałowała go w usta, najpierw delikatnie, a potem mocniej, wsuwając język pomiędzy jego wargi.

– Wiem, Pat. Cieszę się, że do mnie przyszedłeś.

Pocałowawszy jej piersi, stoczył się z niej i zapalił dla obojga po papierosie. Po chwili położył się obok niej. Na brzuchu Kate postawił ciężką szklaną popielniczkę.

– Och, ty! Przecież to jest zimne!

Patrick uśmiechnął się, lecz nie uwolnił Kate od ciężaru. Podłożył sobie ramię pod głowę.

– Wiesz, że od lat nie leżałem na podłodze tak jak teraz? A ty?

– Och, na komisariacie zdarza się nam to prawie codziennie. A musiałbyś nas widzieć w policyjnym barze!

Patrick roześmiał się wesoło.

– Czasami bywasz szalona.

– To przez to, że się z tobą bzykam.

Popatrzył na jej profil.

– Tego, co z tobą robię, nie nazywam „bzykaniem”, Kate. Nazywam to kochaniem się. To chyba różnica, prawda?

Odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Jesteś bardzo romantyczny, Patricku. Skąd ci się to wzięło?

A przecież wiedziała, skąd mu się to wzięło, oboje zresztą wiedzieli. Utrata jedyne dziecko uzmysłowiła Patrickowi, że szczęścia należy intensywnie szukać, a gdy już się je znajdzie, trzeba je mocno trzymać, obiema rękami, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy najdzie je ochota, by odejść.

Odebrał papierosa od Kate, zdusił go w popielniczce, po chwili dołożył swojego i wyrzucił niedopałki do kominka. Następnie przytulił się do Kate.

– Kocham cię. Wiem, że nie znamy się długo, ale przyznaj, że czujesz łączące nas więzi.

Kate uważnie patrzyła mu w oczy. Potrafiła w nich dostrzec jedynie uczciwość i czułość. Niespodziewanie poczuła grubą kluchę w gardle.

– Powiedz, że mnie kochasz, Katie, uczyni mnie szczęśliwym.

To była prośba, niemal błaganie. Dzisiejszego wieczoru Patrick oczekiwał od niej słów czułości i miłości. Oczekiwał czulej reakcji na uczucia, które kształtowały się w nim stopniowo od chwili, kiedy jego wzrok po raz pierwszy spoczął na Kate. Wiedział, bez cienia wątpliwości, że gdyby spotkał ją w innych okolicznościach, także by jej zapragnął. To wcale nie smutny fakt, że spotkał ją w najgorszym momencie swojego życia, zbliżył go do niej. Po prostu pewnego dnia natrafiły na siebie dwie pokrewne dusze, na dodatek obie bardzo nieszczęśliwe.

Kate wmawiała sobie, że to pogrzeb córki go rozkleił, że jest załamany i po prostu potrzebuje kogoś, kogokolwiek, a jednak jakiś cichy głos szeptał jej do ucha: „On naprawdę to czuje. Ma to wypisane w oczach”.

Wiedziała, że jeśli zamieni na słowa to, co zaczęło dziać się w jej sercu w dniu, kiedy po raz pierwszy go spotkała, nie będzie już drogi odwrotu. A przecież Patrick był komornikiem, i to komornikiem o złej sławie. Poza tym maczał palce w całym mnóstwie wątpliwych przedsięwzięć. Mimo to, mimo wszystkich negatywnych okoliczności, autentycznych bądź zmyślonych, pragnęła go.

Zdawała sobie sprawę, że mógł bardzo szybko pociągnąć ją w przepaść. Ich związek mógł zagrozić wszystkim jej życiowym celom, które uważała za ważne i drogie swojemu sercu. Mimo to pragnęła go. Przez całe życie nikogo tak bardzo nie pragnęła, jak teraz Patricka.

– Kocham cię, Patrick. Tak myślę.

Powiedziała to chropawym szeptem, a Patrick roześmiał się.

– Tylko tak myślisz? Cóż, przypuszczam, że na razie musi mi to wystarczyć.

Kate musnęła palcami jego mocne włosy, opuszkami palców zaczęła sunąć po jego twarzy, stopniowo przenosząc je w dół, wzdłuż całego muskularnego ciała. Czują, jaki jest silny. Jego skóra była ciepła, miła w dotyku. Kiedy go pocałowała, romantyczny nastrój przerwany został przez ostry dzwonek telefonu.

Kate zerwała się z podłogi i pobiegła do holu, w biegu nakładając bluzkę.

Patrick pozostał na dywanie i zapalił kolejnego papierosa. Był teraz spokojny, zrelaksowany. Nie czuł się tak od wielu dni.

Kate wróciła do salonu i usiadła obok niego. Jej ciemne brodawki prześwitywały przez cienki jedwab bluzeczki.

– Dzwoniła moja matka. Postanowiła, że zanocuje u Doris. -

Potrząsnęła głową. - Jest subtelna jak młot parowy.

Patrick uśmiechnął się do niej.

- To urocza osoba, Kate. Przypomina mi moją matkę. Podchodziła do życia tak samo jak Evelyn. Umarła z przepracowania, Panie, świeć nad jej duszą. Żałuję, że nie żyła dość długo, bym mógł jej zapewnić choć kilka lat godnej egzystencji. Kupiłbym jej salę do bingo, którą miałyby tylko dla siebie.

Kate roześmiała się. Wiedziała, że Patrick mówi prawdę.

- Możesz się śmiać, Kate, ale naprawdę bym to zrobił.

- Śmieję się, bo wiem, że mówisz prawdę. Prawie potrafię sobie ciebie wyobrazić, jak kupujesz tę salę.

Kate odebrała mu papierosa i głęboko się zaciągnęła.

- Chcesz zostać na noc?

Patrick złapał jej udo i mocno uściskał.

- Ja nie jestem z tych chłopaków, proszę pani. - Zamrugał oczyma i Kate znów się roześmiała.

Patrzył na nią i uświadomił sobie, że gdyby nie ona, nigdy w życiu już by się nie śmiał.

Była dobra niczym tonik, jak mawiała jego matka. I kochał ją. Bardzo ją kochał.

Później kochali się w łóżku i Kate znów wyznała mu miłość. W ciemności, w ciepłej sypialni, wśród wymieszanych zapachów ich ciał, nie wydawało się to już niczym złym.

Aż do rana rozmawiali o Mandy i Lizzy, oboje uwalniając się od swoich widm. Mieli ze sobą bardzo wiele wspólnego i byli do siebie bardzo podobni, chociaż w oczach osób postronnych z pewnością musieli sprawiać wrażenie przeciwności. Patrick zgodził się, że Lizzy powinna pojechać do Australii. Powiedział, że pewnego dnia posłałby tam także Mandy. Lizzy była dziewczyną, która wszystko bardzo głęboko przeżywała, zbyt głęboko - mówił Patrick - i Kate pokochała go za to zrozumienie jeszcze bardziej. Zdawał się odgadywać, że Kate czuje się odpowiedzialna za problemy córki, i na swój sposób próbował odegnąć od niej to uczucie. Wreszcie oboje zasnęli, objęci ramionami, i dotrwali tak aż do wczesnej pobudki.

Przy śniadaniu Patrick przekazał Kate najnowsze wiadomości.

- Sprzedałem salony masażu, Kate. Wszystkie. W ciągu pięciu dni podpiszę ostateczną umowę i nie będę miał już z nimi nic wspólnego.

Kate otworzyła szeroko oczy.

- Żartujesz?

- Nie, nie żartuję. Od śmierci tej dziewczyny... Po tym, co się stało z moją Mandy, i w ogóle... Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Kate objęła go wpół i mocno się do niego przytuliła.

– Cieszę się, Pat.

– Dotarło do mnie, że mężczyzna, który zamordował moją dziewczynkę, był taki jak ten, który zamordował młodą Gillian Enderby; pewnie zboczony, rozchwiany emocjonalnie. Różnica jest jedynie taka, że na moją Mandy napadnięto na ulicy, a Gillian przez cały czas znajdowała się właściwie w pułapce i nieświadomie czekała na to, co było nieuchronne. Nie jestem na tyle głupi, by sądzić, że poprzez sprzedaż salonów zapobiegnę jakiemuś morderstwu, w tej chwili jednak wiem przynajmniej, że się do niego nie przyczynię. A salony masażu... Cóż, zawsze będzie istniało zapotrzebowanie na tego typu usługi.

– Myślę, że Renée byłaby bardzo zadowolona.

Patrick uśmiechnął się.

– Tak. Z pewnością. Pod wieloma względami jesteście do siebie podobne. Renée była drobną blondynką, a ty jesteś wysoka i ciemnowłosa, lecz jeśli chodzi o osobowości... Cóż, dobra, stara Renée była bardzo inteligentna. Czasami zaskakiwała ludzi swoją przenikliwością.

– Wciąż za nią tęsknisz, prawda?

Patrick pokiwał głową.

– Ale już nie tak jak dawniej. Fizyczny ból przeminął. Kiedy umarła, miałem wrażenie, że ktoś oderwał mi nogę albo rękę. Teraz to samo czuję, myśląc o Mandy. Renée wspominał jednak bez bólu. To po prostu smutne, gorzkie, ale zarazem słodkie wspomnienia.

– Rozumiem.

– Teraz mam przecież ciebie i bardzo mi to pomaga. Bardzo. Gdyby Renée mogła mnie oglądać, jestem pewien, że byłaby zadowolona. Polubiłaby cię, Kate. Ty także byś ją polubiła.

Kate nie była tego taka pewna, jednak wątpliwości pozostawiła dla siebie. Nalała Patrickowi kolejną filiżankę kawy i uśmiechnęła się.

– Myślę, że postąpiłeś słusznie. Nie byłbyś zadowolony z siebie, wciąż posiadając te salony masażu, chyba się ze mną zgodzisz. Tymczasem w ciągu kilku dni policja rozpoczyna akcję badania krwi mężczyzn z Grantley i wkrótce powinniśmy do czegoś dojść. Jeśli nie znajdziemy bezpośrednio mordercy, przynajmniej wyeliminujemy z kręgu podejrzanych dużą grupę osób. A to ułatwi dalsze poszukiwania.

– Naprawdę uważasz, że te badania przyniosą rezultat?

Kate pokiwała głową.

– Tak, mocno w to wierzę.

Patrick upił łyk kawy i uśmiechnął się do Kate. Miał nadzieję, że Kate się nie myli, ponieważ płacił za badania słony rachunek. Uznał jednak, że nie może żałować pieniędzy, chcąc dorwać osobnika, który spowodował śmierć jego córki. Nie miało znaczenia, kto go dorwie

pierwszy, on sam czy policja, ponieważ był pewien, że gdziekolwiek zostanie zamknięty, on będzie w stanie go dopaść. Więzienie nie uchroni go przed Patrickiem. Niejeden strażnik więzienny winien był mu jakąś przysługę.

Nie powiedział jednak tego Kate. Mimo że byli teraz prawdziwymi kochankami, cieszącymi się swoim związkiem, nie widział powodu, aby ujawniać przed nią prawdziwe motywy swojej pomocy w poszukiwaniu mordercy. Kate dowie się, kiedy przyjdzie na to czas.

Tak naprawdę, potrzebne mu było tylko nazwisko mordercy. Reszta należała już do niego. Lecz Katie nie może jednak poznać jego planów.

Kilka minut później, stojąc razem z nią pod prysznicem, poczuł wyrzuty sumienia spowodowane tym, że utrzymuje ją w niewiedzy. Wkrótce jednak poczucie winy go opuściło. Znając Kate, wiedział, że ze wszystkich sił walczyłaby o prawo tego mężczyzny do sprawiedliwego procesu i jeszcze wygłosiłaby mu wykład o prawach obywatelskich. Uwielbiał ją za to, i nie tylko za to. Uśmiechnął się do siebie.

– Z czego się śmiejesz?

– Z ciebie - odparł wesoło.

– Ze mnie?

Zrobiła nadąsaną minę, więc ją pocałował. Pewne rzeczy musiały pozostać niedopowiedziane.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Lizzy pakowała w szpitalu swoją małą walizeczkę. Na samym wierzchu ułożyła w niej klapki z zielonymi noskami w kształcie Kermita, żaby z *Muppet Show*, po czym z całej siły przycisnęła pokrywę, żeby ją zamknąć. Długie, luźne włosy opadały jej na oczy. Niecierpliwym ruchem odgarnęła je z twarzy.

Wreszcie się udało! Podniosła walizkę z łóżka i postawiła ją na podłodze. Następnie podeszła do narożnego stolika i nalała sobie dużą porcję kawy z ekspresu. Usiadła i zaczęła powoli popijać.

Dwa tygodnie, które spędziła w szpitalu, były punktem zwrotnym w jej życiu. Za każdym razem, kiedy wspominała chwilę, w której podcinała sobie żyły, doświadczała poczucia upokorzenia. Jak mogła coś takiego zrobić, przecież nie tylko sobie, ale także mamie i babci? To miał być ostatni dramatyczny akt jej życia, chciała w ten sposób wszem wobec powiedzieć: „Skoro już wszystko o mnie wiecie, mogę od was odejść z hukiem, bez skamlenia, że jest mi źle i że czuję się nieszczęśliwa. Zostawiam was i obarczam jeszcze większym poczuciem winy”.

Tak naprawdę zrobiła to ze wstydu przed babcią, która przeczytała jej pamiętnik.

Psychiatra opowiedział jej o zachowaniach autodestrukcyjnych. Lizzy słuchała go uważnie, z szacunkiem dla jego inteligencji, doskonale wiedząc, że próbuje jej pomóc w wyprostowaniu przyszłego życia. Po dwóch tygodniach rozumiała już, że przebyła długą drogę. Jedną z dziewcząt przywieziono do szpitala po załamaniu nerwowym, którego przyczyny nikt nie znał. Któregoś dnia zażyła zbyt wiele tabletek aspiryny i prawie umarła. Jej ojciec, znany i szanowany prawnik, odwiedzał ją w szpitalu codziennie, codziennie tulił do siebie i w ogóle spędzał z nią tyle czasu, ile tylko mógł. W końcu dziewczyna, drobna rudowłosa nastolatka o imieniu Marietta, powiedziała lekarzom, że ojciec wykorzystywał ją seksualnie od ósmego roku życia, czyli od śmierci matki.

Właśnie to wydarzenie sprawiło, że Lizzy popatrzyła na swoje życie z zupełnie innej perspektywy niż dotychczas. Zdała sobie sprawę, ile niepotrzebnych uraz do ludzi chowała dotąd w sercu. Na przykład do matki o to, że nigdy nie miała jej przy sobie, gdy jej naprawdę potrzebowała. Kiedy Kate w ostatniej chwili wślizgiwała się do sali na szkolne przedstawienie, w mundurze, Lizzy chciała umrzeć. Wołałaby

mieć matkę taką jakie miały wszystkie inne dzieci. Ciepłą ludzką istotę, która odbierała córkę po lekcjach ładnym volvo kupionym z drugiej ręki, a potem razem z nią spędzała czas aż do wieczornego pocałunku na dobranoc. A tymczasem miała matkę, która uparcie robiła karierę w policji, obalając po drodze takie przeszkody, które zniechęciłyby nawet Herkulesa.

W głębi serca Lizzy była dumna z matki. Kiedy ludzie dowiadywali się, że jest oficerem policji, wywierało to na nich spore wrażenie, wywołując czasami zazdrość Lizzy. Odziedziczyła po matce świetną urodę, jednak - niestety - nie inteligencję. Prawdę powiedziawszy, Kate Burrows trudno było naśladować i Lizzy nawet tego nie próbowała. A najgorsze w tym wszystkim było to, że matka akceptowała córkę taką, jaka jest, i nigdy nie próbowała zmuszać jej, by robiła coś wbrew swojej woli.

Chwile, które spędzały razem, były wspaniałe. Lizzy uwielbiała przebywać w towarzystwie matki i skupiać na sobie jej uwagę. Jednak kiedy te chwile się kończyły i Kate wracała do pracy, żeby rozwiązywać kolejną poważną zagadkę kryminalną Lizzy czuła się jeszcze bardziej samotna niż wcześniej. Czuła się odrzucona. Czuła, że matka poświęca całą swoją energię nie jej, lecz zupełnie innym ludziom, innym sprawom. Czasami wracała do domu długo po tym, jak Lizzy zasnęła. Czasami też Lizzy leżała w łóżku w półśnie, czekając, aż usłyszy cichutkie kroki Kate, która po powrocie do domu nigdy nie zapominała jej pocałować. Kiedy w środku nocy czuła dotyk jej zimnych ust na swoim czole, bardzo chciała objąć ramionami jej wysmukłą szyję i powiedzieć, jak bardzo za nią tęskniła. Nigdy jednak tego nie zrobiła, ponieważ matka zawsze pachniała wtedy perfumami Joy i nikotyną, a te zapachy wywoływały u Lizzy łzy.

Upiła kolejny łyk kawy. Czarny płyn był teraz zaledwie ciepły i pojawił się na nim cienki kożuch, który usunęła palcem, strząsając go na talerz.

Z kolei ojciec pojawiał się w domu jedynie sporadycznie, za każdym razem powodując ogromne zamieszanie. Lizzy uwielbiała spotkania z nim, cieszyła się, kiedy był przy niej, cieszyły ją jego prezenty, uściski i przytulanki. Ale po tym wszystkim zawsze następował poranek, kiedy budziła się, a ojca już nie było. Później wracał i znów sypiał w łóżku razem z mamą. Mama wtedy kwitła, wprost lśniła szczęściem. Tak dobrze im było ze sobą... Lecz trwało to krótko. Wraz z kolejnym zniknięciem ojca znowu znikало z domu całe szczęście.

Słyszała, jak mama łka po nocach, i serce pękało jej z bólu. Jako kilkuletnia uczennica przysięgała sobie w takich chwilach, że jeśli ojciec znów się pojawi, w ogóle nie będzie się do niego odzywała, nie pozwoli się wykorzystywać. Ale po miesiącach zapominała o swoich przysięgach

i kiedy pewnego dnia wracała ze szkoły i znowu go widziała, wygodnie rozpartego w fotelu, z wielkim uśmiechem na przystojnej twarzy, jego głos przyjmowała jak najśłodszą pieszczotę. Uwielbiała, kiedy mówił jej, jak ostatnio urosła, jaka jest piękna i jak się cieszy, że znów jest w domu, przy niej.

A przecież to było takie nietrwale.

W jej życiu wielką rolę odgrywała także babcia. Kochała ją bardzo. W głębi serca często zadawała sobie jednak pytanie, dlaczego babcia nie robi nic, żeby mama częściej przebywała w domu. Dlaczego aż tak poświęca się dla córki i wnuczki? Stopniowo nabrała przekonania, że babcia jest głupia. Że jest słaba i niezaradna, gdyż żyje tylko po to, aby opiekować się dorosłą córką i wnuczką. I nic z tego nie ma.

Lizzy bardzo chciała pojechać do Australii. Chciała się pozbyć wspomnień o tym, co zrobiła sobie i rodzinie. Potrzebowała czasu, żeby się raz na zawsze z nich wyleczyć. Kiedy matka przypatrywała się jej swoimi dużymi brązowymi oczami, Lizzy potrafiła z nich wyczytać, jak bardzo ją zraniła, widziała w nich z trudem skrywane zakłopotanie i bolało ją to, że właśnie ona jest jego przyczyną.

Przez całe życie interesowała się tylko sobą, tym, jak się czuje i czego chce. Ani jednej myśli nie poświęciła matce i walce, którą toczyła, by wychować i utrzymać córkę, kupić jej dom, ubranie i jedzenie. Ostatnie dwa tygodnie były okresem, który wystarczył jej, aby przejrzeć na oczy. Były także czasem łagodnej kuracji.

Popatrzyła na czerwone linie na swoich nadgarstkach. Za każdym razem, kiedy na nie spoglądała, przypominała sobie, co zrobiła. Bez wątplenia pamiętały o tym też mama i babcia.

Wiedziała, że wyjazd do Australii jest najlepszym wyjściem. Jej nieobecność da mamie czas, żeby ochłonęła po wszystkim i zregenerowała nadwątlone siły.

Dopiła resztki kawy. Zerknąwszy ku drzwiom, nagle poczuła, że serce podeszło jej do gardła. W progu stał ojciec, z bukietem kwiatów i żenującym uśmiechem na ustach.

Po raz pierwszy przyznała sama przed sobą, że ojciec ją irytuje.

Myśl ta sprawiła, że posmutniała.

Przyjęła kwiaty, obowiązkowo się nimi zachwyciła, a potem usiadła i rozmawiała z ojcem, starannie unikając jakiegokolwiek wzmianki o życiu osobistym matki.

Śmiała się z dowcipów ojca, ale nie zdradziła mu, że właśnie dzisiaj wychodzi ze szpitala. Wiedziała, że będzie nalegał, by ją zawieźć do domu, a przecież jego wizyta w domu była ostatnią rzeczą, jakiej by sobie teraz życzyła mama. Apodyktyczny Danny Burrows nie był jej do niczego potrzebny. Lizzy zauważyła, że nie nosi złotego zegarka i złotej

biżuterii. Pewnie musiał ją zastawić.

Lizy była już dorosłą osobą.

Patrick stał z Willym przed małym wzgórkem ziemi, który był grobem jego dziecka.

Leżały na nim świeże kwiaty. Patrick trochę je poprzekładał, zupełnie zakrywając prześwitującą spomiędzy nich czarną ziemię. Na grobie złożono ponad sto wieńców. Część z nich kazał zabrać do Grantley Hospital, aby kwiaty z nich wyjęte mogły przez jakiś czas zdobić sale chorych. Zdumiała go i ucieszyła liczba ludzi, którzy przyszedli na cmentarz, aby po raz ostatni pożegnać jego Mandy. Zjawili się nawet jej nauczyciele z dawnej szkoły. Z pewnością nie z jego powodu - Mandy była po prostu bardzo lubianą i popularną osobą.

Usłyszał, jak Willy gwizdże przez zęby, i odwrócił się do niego. Willy czytał właśnie inskrypcję na grobie Renée. Popatrzył na Pata i uśmiechnął się.

– Pamiętasz, jak Renée nie wpuściła cię kiedyś do domu?

Patrick zmarszczył czoło.

– Kiedy to było?

– Zaraz po waszym ślubie, kiedy mieliście tę kawalerkę w Ilford.

Patrick uśmiechnął się na to wspomnienie. To było ich pierwsze mieszkanie. Patrick usiłował jeszcze wówczas odmieniać cały świat. Tymczasem oboje z Renée mieli po siedemnaście lat; dwoje dzieciaków udających dorosłych ludzi.

Willy kontynuował:

– Była Wigilia Bożego Narodzenia i obaj spędziliśmy dzień w Ilford Palais, pamiętasz? Spiełeś się do nieprzytomności i musiałem zataaszczyć cię do domu. Kiedy tam w końcu dotarliśmy, Renée zaryglowała się w środku i nie chciała cię wpuścić. Skończyłeś dzień na kanapie u mojej mamy.

– Tak, przypominam sobie. A kiedy następnego dnia wróciłem do siebie, Renée na powitanie rzuciła we mnie talerzem z wigilijnym obiadem.

Obaj mężczyźni roześmiali się, wspominając wspólną przygodę.

– To była dobra dziewczyna, biedna Renée. Często o niej myślę, Pat, wiesz?

– Tak. Teraz nie mam ani jej, ani Mandy.

Z ciężkim sercem zaczął się oddalać od grobu. Willy szedł o krok za nim.

– Czasami ta sympatyczna Kate przypomina mi Renée. Nie chodzi mi o jej wygląd, ale rozsiewa wokół siebie podobną aurę.

Patrick pokiwał głową.

– Rozumiem, o co ci chodzi.

– Czy to poważna sprawa? Wasz związek? - zapytał Willy niepewnie. Wiedział, że porusza się po niebezpiecznym gruncie, ale jego naturalne wścibstwo wzięło górę nad strachem.

Patrick nagle zatrzymał się na świeżo przyciętej trawie Corbets Tey Cemetery i popatrzył na starego przyjaciela.

– Wystarczająco poważna, mój drogi. Zadowolony?

Willy podrapał się po podbródku.

– Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Czasami więc chciałbym wiedzieć, co się z tobą dzieje.

Patrick potrząsnął głową. Zacisnąwszy dłoń w pięść, przeciął nią powietrze, tuż obok głowy Willy'ego.

– Przebyliśmy razem długą drogę. Wiesz o mnie wszystko, tak samo jak ja wiem wszystko o tobie. Wiem też, że dobrze mi życzysz, i wiem, że chciałbyś wiedzieć, jak znoszę ostatnie tygodnie. Przyjmij więc do wiadomości, że z każdym dniem coraz bardziej dochodzę do siebie, coraz lepiej się czuję.

Willy uśmiechnął się.

– Wspaniale! Może więc wpadniemy na piwo do Robin Hooda? Nie byłem tam od lat. Pamiętasz, kiedy byliśmy młodzi, nazywaliśmy ten pub „latające butelki”. Latem siadaliśmy na zewnątrz z Mandy w wózeku i baliśmy się, że zobaczy nas ktoś znajomy i powie Renée, że zabraliśmy dziecko do pubu.

Patrick pokiwał głową, uśmiechnąwszy się, gdyż wspomnienie tamtych chwil powróciło do niego jak żywe. Mandy siedziała w wózeku, ubrana w pomarańczowo-różowe wdzianko, i wymachiwała nóżkami za każdym razem, kiedy Willy zrobił do niej jakąś głupią minę.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że śmierć Mandy może boleć Willy'ego tak samo jak jego. Przecież przez te wszystkie lata traktował ją niemal jak własne dziecko. Obserwował, jak dorasta. I nigdy nie zapomniał o prezencie dla niej czy to na urodziny, czy na Boże Narodzenie.

Patrick poczuł, jak w gardle rośnie mu twarda kula, i z trudem przełknął ślinę. Objął ramieniem swego ochroniarza i przyjaciela, a ten poklepał go po dłoni.

– Tak, Willy, doskonale to pamiętam.

Evelyn ugotowała irlandzką potrawkę, prawdziwą irlandzką potrawkę, tak gęstą, że można było postawić w niej łyżkę. Posmakowała ją, po czym dodała trochę soli i znów pomieszała. Kiedy zapach i smak wreszcie jej odpowiadały, ułożyła na wierzchu tłuste kluski i nakryła garnek pokrywką. Irlandzkie potrawy Evelyn wytrzymały nawet

tydzień. Codziennie dodawała do nich inne warzywa i inne rodzaje mięs. Płatki zbożowe i nasiona roślin strączkowych nadawały daniu ostrość i gęstość, w końcowym efekcie czyniąc z niego wspaniałą, gęstą bulion.

Lizzy wracała dzisiaj do domu i Evelyn pragnęła powitać ją zapachem doskonałego, pożywnego posiłku.

Wszystko było gotowe. Kiedy usłyszy, jak otwierają się frontowe drzwi, wstawi jeszcze chleb sodowy do piekarnika. Zjedzą go na ciepło ze stopionym masłem. Biszkopt z owocami i bitą śmietaną mroził się już w lodówce, a w kieszeni fartucha miała ukrytą małą butelkę Bushmilla. Od czasu do czasu mogła pociągnąć sobie łyka, przez nikogo nie zauważona.

Usiadła na chwilę na taborecie.

Cudownie, że Lizzy znów będzie w domu. W ciągu ostatnich tygodni nastąpiło tyle różnych i niespodziewanych zdarzeń, że Evelyn skłonna była przyznać sama przed sobą, iż jest już za stara na takie nagłe zmiany sytuacji.

Przynajmniej Kate w tym wszystkim kwitła i to było dobrą stroną ostatnich wydarzeń. Evelyn cieszyła się także, że Kate i Lizzy w końcu wzajemnie się zrozumiały. Fizycznie były bardzo do siebie podobne, ale jeśli chodzi o charaktery, pasowały do siebie jak dzień do nocy. Evelyn z przykrością zauważała, że Lizzy ma w sobie wiele egoizmu Dana. Winiła za to jednak tylko siebie. W końcu od dnia urodzin nie odmawiała temu dziecku dosłownie niczego.

Oddaliła od siebie te myśli. Dziecko wracało przecież do domu i chciała, żeby nic dzisiaj nie zakłócało atmosfery radości.

Wiedziała jednak, że to, co przeczytała w pamiętniku Lizzy, tkwić będzie w niej jeszcze długo, bardzo długo.

Skoncentrowała myśli na swoim synu, Peterze, i jego żonie, Marlene. Nie mogła się doczekać, kiedy ich wreszcie zobaczy. I kiedy zobaczy, po raz pierwszy w życiu, swoje pozostałe wnuczeta. Mocno zaciągnęła się papierosem i nagle jej drobnym ciałem wstrząsnął atak kaszlu. Będzie musiała rzucić ten nałóg, bo się wykończy. Usłyszawszy klucz Kate obracający się w zamku, zdusiła niedopałek w popielniczce. Wstała z taboretu, wsunęła do piekarnika chleb sodowy i wybiegła do holu.

- Witam moje maleństwa! - Mocno przycisnęła do siebie po kolei córkę i wnuczkę, tę ostatnią oceniając krytycznym spojrzeniem.

Wyglądała zupełnie dobrze, może w szpitalu trochę schudła, ale kilka dobrych posiłków przywróci jej właściwą wagę.

- Cześć, babciu - powiedziała Lizzy nieśmiało. - Czyżbym czuła zapach irlandzkiej potrawy?

- Tak. Najlepszej, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Z tłuczonymi

brukwiami. Chodźcie do kuchni, zaraz was nakarmię.

Piętnaście minut później, kiedy wszystkie trzy z apetytem spożywały posiłek, ktoś zapukał do drzwi. Kate wstała i wytarła twarz papierową serwetką.

– Ja otworzę.

Kiedy otworzyła drzwi, nie potrafiła ukryć ogromnego zdumienia.

– Caitlin?

Stał na progu, w wymiętym płaszczu, ze słabym uśmiechem na twarzy.

– Przepraszam, że przeszkadzam ci w domu...

– Chodź, wejdz do środka. Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna, ale całkowicie mnie zaskoczyłeś. - Wprowadziła go do salonu. - Czy chodzi o coś związanego ze sprawą, którą prowadzimy?

Ujrzał dwie kobiety w kuchni i uśmiechnął się do nich.

– Możemy przez chwilę porozmawiać bez świadków, Kate?

Coś w jego głosie nakazało jej czujność i podszedłszy do drzwi kuchni, zamknęła je, uprzednio przeprosiwszy matkę i córkę.

– O co chodzi, Kenny?

Odnosiła wrażenie, że ktoś dotyka jej karku lodowatą ręką. Stało się coś złego, nie miała wątpliwości.

– Chodzi o Dana. Był u Flowersa i opowiedział mu o tobie i o Kellym.

Kate przygryzła wargę.

– Rozumiem.

– Flowers się jednak w ogóle tym nie zainteresował. Dan zrobił więc jeszcze jeden krok. Poszedł do Biura Policji Kryminalnej w ministerstwie.

Kate poczuła się, jakby ktoś uderzył ją z całej siły w żołądek.

– Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć. Powiedział mi o tym w zaufaniu stary przyjaciel, na razie więc nikt na komisariacie o tym nie wie, poza tobą i mną. Nie jest jeszcze pewne, czy w ogóle zostanie wszczęte jakieś postępowanie wyjaśniające, ale na wszelki wypadek... Uznałem, że masz prawo wiedzieć. Twój były mąż jest dupkiem przez duże „D”.

Kate pokiwała głową. Całkowicie zgadzała się z Caitlinem.

Evelyn otworzyła drzwi do kuchni. Na jej twarzy malował się wyraz zatroskania.

– Wszystko w porządku? - zapytała.

– Pani jest pewnie matką Kate. Ja się nazywam Kenneth Caitlin.

– Człowiek z Kerry, sądząc po akcencie.

Uśmiechnął się do Evelyn. Krótka wymiana zdań pomiędzy nim a matką pozwoliła Kate zebrać myśli.

– Rozbierz się, Kenny, napijesz się czegoś. To jest moja córka, Lizzy, a matkę już poznałeś.

– Nie, będę się zbierał, Kate. Widzę, że zastałem was przy stole.

– Nic z tego. Niech pan ściągnie ten okropny płaszcz i siada z nami do jedzenia. Przyrządziłam wielki garnek irlandzkiej potrawy. Wystarczy dla wszystkich - powiedziała Evelyn głosem nie znośącym sprzeciwu. Kiedy Kate opisywała jej tego mężczyznę, bardzo się nim zainteresowała. Teraz mogła go wreszcie poznać osobiście i sama ocenić.

Caitlin wyczuł wspaniały zapach potrawy już w ogródku przed domem i widząc teraz trzy zapraszająco uśmiechnięte kobiety, wahał się tylko przez chwilę. Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i rzucił go na sofę.

– Drogie panie, zapach jest wspaniały!

Kate ucieszyła się, że został, ponieważ wziął na siebie cały ciężar rozmowy przy stole, a ona mogła spokojnie przemyśleć nową sytuację.

Biuro Policji Kryminalnej.

Zasrany Danny Burrows!

Patrick siedział przy stole i kończył właśnie posiłek, gdy Willy poinformował go, że ma gościa. Wytarł usta irlandzką płócienną serwetą. Kiedy usłyszał nazwisko gościa, odrobinę uniósł lewą brew.

– Wprowadź go tutaj.

Willy posłusznie skinął głową i wyszedł.

Do diabła, dlaczego Peter Sinclair przyszedł aż do jego domu?

Sinclair wszedł do pokoju. Był szczupły, wysuszony i wyciągnął do Patricka dłoń z nienagannie wymanikiurowanymi paznokciami. Patrick wstał, po czym wskazał Sinclairowi krzesło, nalał mu do kieliszka brandy i wrócił na swoje miejsce.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Musiałem tu przyjść, Patrick. Chodzi o tę lalę, za którą ostatnio biegasz.

Sinclair natychmiast zorientował się, że palnął gafę. Twarz Patricka stężała.

– Jaką lalę masz na myśli? - zapytał, jakby nie wiedział.

– Detektyw inspektor Kate Burrows, oczywiście.

– Oczywiście - powtórzył Patrick cicho. Zawarta w tym słowie groźba nie mogła jednak ujść uwagi Sinclaira. - No, ale powiedz mi, Peter, co słyhać w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych? Może w końcu zabraliście się do jakiejś pracy, co? Cuda czasami się zdarzają, prawda?

Sinclair upił łyk brandy.

– Tym razem posunąłeś się za daleko i zainteresowało się tobą Biuro Policji Kryminalnej. A dziewczyna się skompromitowała. Bardzo cię

lubię, Patrick, ale jesteś dobrze znanym czarnym charakterem...

Patrick pochylił się nad stołem.

– Bądźmy dokładni, Peter. Krążą plotki, że jestem czarnym charakterem. Mój prawnik dostałby skrzydeł, gdyby cię usłyszał przed chwilą.

Sinclair odchrząknął.

– Daj spokój, Patrick, nie chodzi o słówka. Ostatnio widuje się ciebie w towarzystwie kobiety, która jest wyższym oficerem policji. To ludziom z Biura wyrastają w tej chwili skrzydła.

– Wyższy oficer policji, o którym mówisz, zajmuje się sprawą mojej córki.

– Wiem i bardzo ci współczuję z powodu tego, co stało się z Mandy, Patrick. Ale Kate Burrows to zupełnie inna para kaloszy. Jej były mąż się wściekł i grozi, że pójdzie ze swoją opowieścią do prasy.

W tej chwili dla Patricka stało się jasne, dlaczego Sinclair tu przyszedł. Ludzie z Biura Policji Kryminalnej liczyli, że Patrick w jakiś sposób utemperuje Burrowsa.

– Przypuśćmy, że porozmawiam z Dannym Burrowsem i sprawię, że zrozumie, jaki popełnia błąd. Co wtedy?

Sinclair uśmiechnął się.

– Jeśli przyzna, że chodziło mu jedynie o upokorzenie byłej żony, wszystko będzie w porządku.

Patrick pokiwał głową i tym razem sobie nalał brandy.

– Poczęstuj się cygarem.

Sinclair znów się uśmiechnął, już spokojniejszy. W gruncie rzeczy osiągnął cel swojej wizyty.

– Nie, dzięki. Skosztowałbym natomiast trochę tego doskonałego cheddara.

– Częstuj się, Peter. Ja cię na chwilę przeproszę. Muszę odbyć krótką rozmowę telefoniczną.

Patrick wyszedł z pokoju.

Caitlin był akurat w środku bardzo zabawnej historii, która mu się przydarzyła, kiedy był jeszcze zwykłym posterunkowym, gdy w holu zadzwonił telefon. Kate wyszła, żeby podnieść słuchawkę.

– Kate? To ja, Patrick. Muszę się z tobą zobaczyć.

– Prawdę mówiąc, ja też chciałam się z tobą spotkać.

Ton jej głosu podpowiedział mu, że ona także ma złe wiadomości.

– Mógłbym być u ciebie o siódmej trzydzieści rano, co ty na to?

– To ja przyjadę do ciebie, Pat. Lizzy znów jest w domu.

– Doskonale. Zatem, do jutra.

Kiedy odłożyła słuchawkę, przeszył ją dreszcz trwogi.

Czy przyjdzie jej dokonać wyboru pomiędzy Patrickiem a pracą zawodową? Nie wiedziała, co wybierze, jeśli dojdzie do takiego dylematu.

Wróciła do kuchni akurat w chwili, gdy Caitlin kończył swoją opowieść zaskakującą puentą. Roześmiała się razem z matką i córką, ale jej śmiech zabrzmiał pusto, nieszczerze.

Następnego ranka Kate obudziła się z uczuciem lęku. Doskonale wiedziała, jak złą sławą cieszy się Biuro Policji Kryminalnej. Wiedziała też, że policjantka zadająca się z przestępcą - nawet z domniemanym przestępcą, bo taki był status Patricka - była dla BPK łatwym kąskiem.

Kilka lat wcześniej była świadkiem w jednej z prowadzonych przez nich spraw. Dotyczyła detektywa sierżanta, gustującego w egzotycznych wakacjach i jeszcze bardziej egzotycznych kobietach. Okazało się, że brał łapówki. Kate musiała trzymać stronę pozostałych kolegów, stojących po stronie prawa, kiedy wyrzucano go z policji.

Nie było to miłe. Kate współczuła sierżantowi, ponieważ większość funkcjonariuszy i tak wykorzystywała swój status, żeby osiągać jakieś drobne korzyści - bezpłatne posiłki albo dodatkowe opłaty za coś, co i tak było ich obowiązkiem. Nie twierdziła, że się z tym zgadza, ale przecież to się zdarzało, było bonusem nieodłącznie związanym z zawodem policjanta. Jej zdaniem BPK powinno raczej ścigać tych policjantów, którzy, na przykład, przeszukując mieszkanie, znajdowali marihuanę i spisywali protokół dopiero wtedy, gdy połowę narkotyku schowali dla siebie. Później sprzedawali ją i marihuana trafiała z powrotem na ulice. Według niej było to przestępstwem nieporównywalnym z wizytą w restauracji w kolejną rocznicę ślubu i z przyjęciem od właściciela butelki szampana na koszt firmy tylko dlatego, że wiedziało się, iż prowadzi po godzinach nielegalny klub karciany.

Niektóre przepisy wymyślono po to, żeby je łamać, i kiedy człowiek zdał sobie w końcu z tego sprawę, stawał się o wiele lepszym policjantem. Po co komu srebrny talerz, skoro w jego zasięgu jest inny, z dwudziestoczerokaratowego złota? Kate ściagała więc prawdziwych przestępców, naprawdę groźnych ludzi, a nie drobnych złodziejasków, na których poczynania czasami musiała patrzeć przez palce.

Z ciężkim sercem wyjechała do Patricka. Praca była całym jej życiem. Właściwie stanowiła treść jej życia, jeśli nie liczyć Lizzy.

Patrick poczęstował ją filiżanką herbaty i opowiedział o wizycie Sinclaira.

- Caitlin już mi o wszystkim powiedział, dostał cynk od jakiegoś swojego kumpla z ministerstwa.

Patrick popatrzył na nią. Wydawała się zatroskana, na jej twarzy nie było ani śladu zwykłej wesołości.

– Posłuchaj, mam pewne rozwiązanie, jeśli chodzi o nasz problem, ale pomyślałem, że najpierw powinnaś je poznać i zaaprobować.

– Zamieniam się w słuch - powiedziała Kate z nadzieją w głosie. Ucieszyło to Kelly'ego, ponieważ wcale nie był pewien, jak ona przyjmie to, co miał jej do powiedzenia.

– Przede wszystkim to twój mąż wsadził kij w mrowisko, zgadza się?

Kate pokiwała głową, wytrząsając z paczki papierosa.

Patrick podał jej ogień i kontynuował:

– Co byś powiedziała, gdybym poszedł do niego i uprzejmie zaproponował, żeby zmienił swoją historyjkę? Na przykład, żeby przyznał, iż chodziło mu tylko o to, aby narobić byłej żonie trochę kłopotów?

Kate zaciągnęła się papierosem i popatrzyła Patrickowi w oczy.

– Ale chyba nie zrobiłbyś mu krzywdy?

Patrick bezradnie rozłożył ręce.

– Tak, jakbym kiedykolwiek zrobił komuś krzywdę!

– Niech o tym pomyślę, Pat.

– A co tu jest do myślenia? Przychodzę do niego, przekazuję mu złe wiadomości, po czym facet, trzęsąc spodniami, biegnie do Biura Policji Kryminalnej. Proste jak drut.

– Czy ty naprawdę masz odpowiedź na wszystko, Pat?

Kate rzuciła to pytanie głuchym, pozbawionym emocji głosem. Patrick zrozumiał, że ogarniają ją wątpliwości.

– Posłuchaj, Kate, planujemy wspólną przyszłość i nie chcę, żeby ten pieprzony palant, twój mąż...

– Były mąż, Pat.

– Tym lepiej, były mąż. Więc nie chcę, żeby ten mąż wszystko spieprzył. Nasz związek to żadne przestępstwo, kochanie. W głębi serca wiesz, że nie robisz nic złego. Jesteśmy przyjaciółmi i kochankami. Nie proszę cię, żebyś zdradzała mi sekrety twojego wydziału. Nie proszę cię, żebyś przekazywała mi ostrzeżenia, co przeciwko mnie szykuje policja. Po prostu cieszymy się sobą nawzajem. To nie jest zabronione. Kocham cię, Kate, i zamierzam ci teraz pomóc. Wiem, że jeśli stracisz pracę z mojego powodu, automatycznie rozpadnie się nasz związek. Nigdy byś mi przecież tego nie wybaczyła.

– Możemy zakończyć nasz związek tu i teraz.

Patrick zmarszczył czoło. Zaczynał się złościć. Dotąd myślał, że był dla Kate kimś naprawdę ważnym.

– Zależy to tylko od ciebie, kochanie!

Kate odłożyła papierosa i podeszła do niego. Usiadła na poręczy fotela i czule dotknęła opuszkami palców twarzy Patricka.

– Przepraszam, Pat, wcale tak nie myślałam. To było nieuczciwe z mojej strony.

Nie zostawiłaby go teraz, przenigdy, tak jak nie minęłaby obojętnie zagubionego dziecka na ulicy. Był jej częścią, wielką częścią. Ale żeby go przy sobie zatrzymać, musiała mu pozwolić na zrobienie czegoś, co było sprzeczne z jej naturą.

– Pozwól mi to przemyśleć, Pat, proszę. Daj mi kilka dni, dobrze?

Patrick ujrzał w jej oczach konsternację i uściśnął jej dłoń.

– Nie chcę cię stracić, Katie. Tak wiele dla mnie znaczysz...

Pocałowała go w ciemne czoło.

– Ty dla mnie także.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Chciał, żeby zapamiętała ten pocałunek na wypadek, gdyby zaczęła się wahać.

Musiała wiedzieć, co mogłaby stracić.

Był piątek szesnastego lutego 1990 roku i badania krwi trwały już od czterech dni. Policja była mile zaskoczona reakcją ludzi. Mężczyźni z Grantley zdawali się wręcz śpieszyć, aby jak najszybciej pozwolić się wykluczyć z kręgu podejrzanych. Informacje o przebiegu akcji codziennie podawała lokalna telewizja, a w wiadomościach o dwudziestej drugiej pokazano o niej nawet krótki reportaż.

Od razu jednak pojawiły się problemy. Rozmach przedsięwzięcia spowodował istotne opóźnienia. Liczba ludzi poddawanych badaniu znacznie przekroczyła możliwości osób, które je przeprowadzały. Mimo to Kate emanowała szczęściem; tak zadowolonej z siebie nie widziano jej już od bardzo dawna. Badania były szansą na przyskrzynienie bezlitosnego mordercy i gwałciciela; była więc radosna chociażby z tego jednego powodu.

Przerażał ją jednak fakt, że Leonora Davidson nie żyła już od dwóch tygodni. Pamiętając o małym okresie czasu, który upływał pomiędzy poprzednimi zbrodniami, czuła, że morderca wkrótce znów zaatakuje.

Dzwonek telefonu przywołał ją do rzeczywistości. Podniosła słuchawkę.

– Mówi detektyw inspektor Burrows.

– Kate? To ja, Dan.

Spodziewała się telefonu od niego. Kiedy go wreszcie usłyszała, poczuła wściekłość. Odwiedził przecież Lizzy, kiedy wiedział, że jej matki akurat nie ma w domu. Od czasu jego eskapady do Biura Policji Kryminalnej miała już o nim tylko jak najgorsze zdanie.

– Czym ci mogę służyć?

Jej głos był lodowaty i grzeczny.

– Chciałbym się z tobą zobaczyć.

– Ale ja nie chcę się z tobą widzieć, Dan, ani teraz, ani kiedykolwiek indziej. Tym razem posunąłeś się za daleko.

Po drugiej stronie zaległa cisza i Kate zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Niepotrzebnie ujawniła, że wie o tym, co zrobił. Jeśli Dan znów skontaktuje się z BPK, dowiedzą się, że jej o tym doniesiono. A wtedy nie będzie miała szans.

– Dan? Wciąż tam jesteś? - W słuchawce było bardzo cicho. Boże, niech on się nie rozłącza. Niech on tam będzie. - Myślę, że możemy się spotkać. Omówimy całą sprawę.

– Spotkajmy się dzisiaj wieczorem w pubie Bull, w Bulphan, Kate. Punktualnie o ósmej wieczorem.

Dan się rozłączył i Kate usłyszała własne westchnienie ulgi.

– Dobrze się czujesz, Kate? - Caitlin uśmiechnęła się do niej.

Pokiwała twierdząco głową.

– To było nieuniknione, że podsłuchałem twoją rozmowę. Gdybym był tobą, od jutra prowadziłbym niektóre rozmowy tylko z telefonów publicznych. Rozumiesz, co mam na myśli?

Kate znów skinęła głową i podniósłszy z podłogi torebkę, wyszła z biura.

A więc podsłuchiwali jej rozmowy telefoniczne. W pracy i bez wątpienia także w domu. Opuściła komisariat i, idąc ulicą, zastanawiała się, jak wielu jej kolegów jest w to zaangażowanych. Nagle ogarnął ją smutek. Wielki smutek.

George wziął długą kąpiel i siedział teraz na opuszczonej klapie sedesu, przycinając paznokcie u nóg, gdy do środka wtargnęła Elaine.

– Ile czasu masz zamiar tu spędzić? Ja za pół godziny wychodzę!

– Już niedługo, moja droga. Gdzie dziewczynki spędzą dzisiejszy wieczór?

George uśmiechnął się do siebie na samą myśl o tych „dziewczynkach”. Wyobraził sobie bandę wielkich, tłustych bab z kas sklepowych, upijających się pernodem, w czarnych sukniach i o rehotliwym śmiechu wydobywającym się z grubo uszminekowanych ust.

Kiedy Elaine odezwała się znowu, patrzył jej prosto w twarz. Sposób, w jaki kłamała, wywierał na nim, musiał to niechętnie przyznać, spore wrażenie.

– Och, jeszcze nie wiem. Postanowimy dopiero, jak się spotkamy w pubie. Pewnie pójdziemy na bingo. - Oddała mu uśmiech.

– Kąpiel ci jednak przygotowałem, Elaine. Możesz natychmiast

wskoczyć do wanny. Ja już prawie skończyłem.

Elaine przez kilka sekund się wahała, po czym odwróciła od niego twarz, zrzuciła z siebie szlafrok i ostrożnie wstawiła nogi do wody. Po chwili przykucnęła i z przyjemnością zanurzyła ciało w gorącej, parującej kąpiel. Włosy miała spięte nad głową i George z chorobliwą fascynacją obserwował, jak zamyka oczy i oddycha, głęboko i regularnie.

Jej twarz wyglądała jak twarz kobiety martwej, szczęśliwej, chociaż martwej.

Jej piersi unosiły się i opadały z każdym oddechem, a sutki twardniały, wynurzając się z gorącej wody na zimne powietrze i potem znów się zanurzając. Mlecznobiała skóra, która kiedyś była jej największym atutem, w różnych miejscach wystawała z wody. Włosy łonowe, te jaskraworude włosy, które niegdyś doprowadzały go do szaleństwa, były teraz rzadsze, lecz nadal bujniejsze niż u większości kobiet. Od Nowego Roku widział Elaine nagą i zrelaksowaną już kilka razy. Nie miał wątpliwości, że to mężczyzna, z którym się spotykała, tchnął w nią nowego ducha.

George go nawet polubił. Za to, że uczynił ją szczęśliwą. On sam nie potrafił dać jej szczęścia.

– Znowu się na mnie gapisz?

Ach, i ten głos, od którego pękało szkło.

– Zastanawiałem się, jak będziesz wyglądała na plaży w Hiszpanii, moja droga. Bo teraz wyglądasz bardzo atrakcyjnie, chyba o tym wiesz?

Elaine popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Nigdy, gdy George prawił jej komplementy, nie była pewna, czy po prostu z niej nie drwi.

George wyprostował się na sedesie i uśmiechnął się do niej.

– Niedługo jedziesz na swoje wymarzone wakacje. Na pewno nie możesz się ich doczekać. Na twoim miej scu też czekałbym z niecierpliwością.

– Tak, nie mogę się ich już doczekać, George. A co ty będziesz robił, kiedy ja wyjadę? Ton pytania podpowiedział George'owi, że wcześniej nie przyszło jej ono do głowy, i uśmiechnął się jeszcze raz.

– Myślę, że przygotuję na twoje powitanie wspaniałą niespodziankę.

Elaine wyprostowała się, zaskoczona, przez co mnóstwo wody wylało się z wanny na podłogę.

– Jaką niespodziankę? - zapytała podejrzliwie.

– Jeśli ci teraz powiem, nie byłoby niespodzianki, prawda?

– Och, George, powiedz mi!

Roześmiał się szczerym, pogodnym śmiechem.

– Nie. Poczekaj, a zobaczysz. Myślę, że zasługujesz na tę

niespodziankę, Elaine. To będzie bardzo miła niespodzianka.

Elaine poczuła kluchę w gardle. Do diabła, dlaczego George stał się nagle dla niej taki miły?

George wstał.

– Wykąp się. Ja tymczasem położę na kaloryfer twoje ręczniki. Będą ciepłe i miłe w dotyku, kiedy zaczniesz się wycierać. Zrobić ci coś do picia? Może brandy z colą? Przygotowałem wczoraj trochę lodu. Wprawilibyś się w dobry nastrój przed wieczornym spotkaniem z dziewczynami.

Elaine patrzyła na niego z niedowierzaniem. George uniósł brwi.

– A więc brandy z colą, tak?

Elaine pokiwała głową i spoglądała za nim, jak dosłownie wybiegł z łazienki.

Wzięła mydło i zaczęła myć całe ciało. Wstała i namydliła się dokładnie także między nogami. Wtedy jej myśli popłynęły ku Hectorowi. Och, gdyby była żoną Hectora. Gdyby nie spotkała na swojej drodze George'a...

Uśmiechnęła się ze smutkiem. Gdyby żale można zamieniać na pieniądze, byłaby teraz milionerką.

Tymczasem w kuchni George wyjmował z zamrażarki kostki lodu. Do wysokich szklanek nalał brandy, a potem słuchał z satysfakcją, jak lód styka się z alkoholem. Następnie dolał do szklanek nieznaczną porcję coli. W końcu nie chciał, żeby wielbiciel Elaine się dzisiaj rozczarował, prawda? Przelotnie tylko pomyślał, kto nim może być?

Mógłby ją śledzić. Ale prawie natychmiast odrzucił ten pomysł. Nie interesowało go aż tak, z kim Elaine się spotyka. Kimkolwiek był ten mężczyzna, wyciągał Elaine z domu, a to oznaczało, że George może zajmować się swoimi sprawami, ku własnemu zadowoleniu. Przyszła mu do głowy myśl, że mógłby sprawić Elaine jakąś przykrość, jednak i ten pomysł odrzucił. Może któregoś dnia będzie jej potrzebował? Poza tym zasługiwała, żeby się trochę zabawić. Przecież on także mógł, dzięki jej wyjściom, oddawać się swojej zabawie. Nie musiał marnować czasu na Elaine. A jej kochanek? Kto wie, może dzięki niemu Elaine któregoś dnia go opuści? Z pewnością pomoże jej wtedy spakować wszystkie rzeczy i jeszcze pocałuje ją na pożegnanie.

Wziął drinki i zaniósł je do sypialni. Elaine właśnie się wycierała. Podał jej szklankę z alkoholem i wzniósł do góry swoją.

– Na zdrowie. Pomyślałem, że chętnie wypiję z tobą.

– Na zdrowie.

Elaine upiła łyk i z grymasem odstawiała szklankę na stół. Mocniej owinęła się ręcznikiem, podciągając go na piersi.

– Czy mówiłam ci już, co ważnego się dzisiaj wydarzyło, George? -

Usiadła na taborecie przed toaletką.

– Nie. - Z kolei George usiadł na skraju łóżka.

– Jeden z facetów, którzy roznoszą przesyłki, poddał się badaniu krwi na komisariacie...

Oczy George'a zaślniły. Słowa Elaine trafiły w jego mózg jak cierni i chociaż jeszcze przed chwilą zamierzał kontynuować rozmowę, przeszedłszy na autopilota, teraz skupił na niej całą swoją uwagę.

– Naprawdę? Fascynujące! I co się stało?

– Cóż, wydaje się, że sprawa jest trochę bardziej skomplikowana, niż powszechnie sądzą ludzie.

– Pod jakim względem? - Poczul, że zaczynają mu drżeć ręce, i upił łyk alkoholu. Znowu prawie kochał Elaine. Zawsze można było na niej polegać, gdy chciało się dowiedzieć ważnych rzeczy.

– Najpierw zapytali go o pełne personalia jego matki, później o adres i numer telefonu, wreszcie, gdzie pracuje i także o numer telefonu do pracy. Chcieli wiedzieć, jakie imiona noszą jego dzieci i jaki jest jego kod pocztowy! Czuł się okropnie. Zrobił się na tym komisariacie taki nerwowy, że prawie zapomniał, jakie nazwisko panięskie nosiła jego matka. - Elaine podniosła szklankę i tym razem sporo upiła. Nieczęsto potrafiła skupić na sobie pełną uwagę George'a, dlatego, opowiadając mu tę historię, odczuwała dużą satysfakcję.

Z drugiej strony, George straszliwie się zaniepokoił. Elaine opowiadała mu tę historię bardzo powoli, chcąc wywrzeć na nim maksymalne wrażenie. Zazgrzytał zębami, jednak się do niej uśmiechnął.

– To wszystko? Po twoim wstępie sądziłem, że opowiesz coś bardziej dramatycznego.

– Oczywiście, że to nie wszystko. Wzięli jego odciski palców i zapytali go, czy już był przesłuchiwany w sprawie ostatnich morderstw. Poprosili go o paszport, miał jednak przy sobie tylko prawo jazdy. Zapytali go, jaki ma samochód i jaki jest numer rejestracyjny tego pojazdu. W końcu doczekał się badania krwi. Mówił mi, że kobieta, która pobierała krew, zrobiła to bardzo niezdarnie i teraz w miejscu, w które wbiła mu igłę, ma ogromną opuchliznę.

Elaine jeszcze coś trąkotała, ale George już jej nie słuchał. W milczeniu rozważał jej słowa, chcąc z nich wyciągnąć jak najwięcej dla siebie. Gwałtownie wstał.

– Lepiej się pośpiesz, kochanie. Niedługo musisz wyjść i jeśli nie zaczniesz się ruszać, to się spóźnisz.

Elaine popatrzyła na budzik przy łóżku i wydała z siebie cichy pisk, powodując, że George zamknął oczy. Zachowywanie się jak podekscytowana nastolatka zupełnie nie pasowało do Elaine, sama

jednak tego nie wiedziała. Zerwała się na równe nogi i skoczyła do szafy, z której wyciągnęła jasnoniebieską sukienkę. Zdejmowanie z niej plastikowego pokrowca tak ją zajęło, że nawet nie zauważyła, jak George wyszedł z sypialni.

Dwadzieścia pięć minut później, kiedy już wyszła, George poszedł do swojej szopy i wyciągnął wycinki z gazet, które tam gromadził. Miał już nimi wyklejony prawie cały brulion. Zaczął je czytać po raz kolejny, z uwielbieniem, delectując się każdym słowem. W lokalnej gazecie zamieszczona była fotografia detektyw inspektor Kate Burrows, która pracowała nad sprawą. Obok niej stał szef inspektor Kenneth Caitlin. George przez kilka minut wpatrywał się w niezbyt wyraźne czarno-białe fotografie, po czym uśmiechnął się.

Prędzej złapią katar niż jego.

Z kolei zaczął oglądać fotografie swoich ofiar. Jak zawsze, kiedy wpatrywał się w Geraldine O'Leary, odczuwał ukłucie żalu. Biedne dzieci, że też miały taką matkę! Wysączył resztę brandy ze szklanki i potrząsnął głową. Na pewno będzie im lepiej bez niej.

Później, kiedy skończył czytanie, włączył miły film z taśmy wideo i, nalawszy sobie brandy, rozsiadł się wygodnie, zamierzając go obejrzeć. Na razie był jedynie szczęśliwym widzem, podczas gdy inni wyczyniali na ekranie różne nieprawdopodobne rzeczy. Wiedział jednak, że już wkrótce ogarnie go pożądanie, któremu się podda, i znów wyjdzie z domu w ciemną noc.

Dziewczyna na ekranie przybrała postać Leonory Davidson, a on sam był mężczyzną który poczynił sobie z nią najgwałtowniej.

Poczuł dreszcz podniecenia...

Kiedy wreszcie Tony podda się za niego temu testowi, George znów będzie całkowicie bezpieczny. Bawił się myślą że powinien później raz na zawsze pozbyć się Tony'ego, lecz postanowił na razie nie podejmować decyzji w tej sprawie. Wszystko będzie zależało od tego, jak potoczą się wydarzenia.

Ale co będzie, jeśli Tony zacznie go szantażować? Jeśli zagrozi, że opowie o wszystkim policji? Tym razem George uśmiechnął się ponuro. Wówczas zrobi to, co będzie musiał. Na razie potrzebował Jonesa i dopóki nic się nie zmieni, będzie utrzymywał z nim jak najlepsze stosunki.

Tony Jones był zmartwiony. Bardzo zmartwiony. Im więcej widział informacji w telewizji i w gazetach na temat tego badania krwi, tym bardziej był przekonany, że zostanie złapany na próbie oszustwa.

Jeśli go nakryją i zamkną w areszcie śledczym, już Patrick Kelly przypilnuje, żeby nie przeżył kolejnych dwudziestu czterech godzin. Ale

jeśli odmówi pomocy i George zostanie złapany, ten z pewnością wszystko wypaple i Tony nadal będzie się cieszyć łaską Patricka Kelly'ego.

Wiadomość, że Pat Kelly sprzedał salony masażu, przetoczyła się przez Londyn jak ogromna fala. Na ulicach mówiło się, że to tragiczna śmierć córki spowodowała jego niechęć do czerpania zysków z seksu. Jednak równocześnie zaczął intensywnie rozwijać swój komorniczy interes.

Kelly był jednym z najtwardszych komorników w kraju. Krążyła plotka, że odzyskał nawet jumbo jeta dla brytyjskiej fabryki samolotów, której pewna afrykańska linia lotnicza była winna setki tysięcy funtów. Akcję przeprowadził na pasie startowym, gdy pasażerowie byli na pokładzie. Tak, Kelly w pełni zasłużył na swoją reputację. Poza tym zawsze znał właściwych ludzi, w tym laskę, która pracowała nad zbrodniami w Grantley. Nazywała się Barrow czy jakoś tak. Mówiło się o tym w mieście.

Znów wyrzął na zewnątrz przez oszklone drzwi swojego sklepu. Ponad godzinę temu miał być u niego George Markham. Minęła dziewiąta wieczorem i specjalnie wcześniej zamknął sklep. Teraz krążyli przed nim jacyś mężczyźni, chcąc, żeby dla nich otworzył, jednak nie było ani śladu tego pieprzonego Markhama.

Emmanuelowi dał wolny wieczór, chociaż i tak mu za niego zapłacił. Nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył albo podsłuchał jego spotkanie z George'em. Przez to w bardzo głupi sposób tracił pieniądze. Był sobotni wieczór i mnóstwo potencjalnych klientów na ulicach. Wydawali forsy na książki, filmy i na tak zwaną pomoc małżeńską. Tony znowu popatrzył na zegarek. Dochodziła dziewiąta piętnaście. Może w końcu Markham nie przyjdzie? Może zmienił zdanie? Gdyby tak było, Tony odczułby wielką ulgę.

W szybę w drzwiach zapukał jakiś mężczyzna i zaczął zaglądać do sklepu przez hartowane szkło. Nie był to George, lecz facet, którego wszyscy znali jako Merve Perwers. W Soho był dobrze znany, a u Tony'ego był dobrym klientem. Tony potrząsnął głową i wskazał mu napis na drzwiach: ZAMKNIĘTE OD 8.00 DO 10.00.

Mężczyzna pokazał mu dwoma palcami obraźliwy znak, ale Tony tylko zazgrzytał zębami. Właśnie przechodził mu koło nosa interes wart co najmniej pięćdziesiąt funtów. Popatrzył za Merve'em i ciężko westchnął.

Wtedy zobaczył George'a. Szybko odryglował drzwi i wpuścił go do środka. Obaj skierowali się na zaplecze przez sklep pogrążony w półmroku. George usiadł bez zaproszenia, co nie uszło uwagi Tony'ego Jonesa. Spokojny, potulny facet powoli przemieniał się w groźnego osobnika. Już teraz wzbudzał w Tonym strach.

– Mam tutaj listę pytań, które zostaną ci zadane, oraz odpowiedzi, których udzielisz. Wiadomo mi, że od wszystkich żądają paszportu, o ile ktoś go posiada, albo jakiegoś innego dokumentu z fotografią.

Podał papier Tony'emu.

Mężczyzna popatrzył na kartkę. Staranne pismo George'a wypełniało obie jej strony.

– Mogę zdobyć paszport, ale to cię będzie kosztowało. No i będę potrzebował do tego twojej fotografii oraz numeru twojego autentycznego paszportu.

– Na wszelki wypadek zrobiłem sobie dziś rano fotografię.

Wyciągnął ją z wewnętrznej kieszeni marynarki i dał Tony'emu.

– Ile to będzie kosztować?

– Powiedzmy, że trzy tysiące wystarczą

– W porządku, forszę dostaniesz po wszystkim, kiedy będę pewien, że niczego nie spieprzyłeś. I niech ci nie przychodzi do głowy nic głupiego. Może to zabrzmi zabawnie, ale, widzisz, kiedy już się raz zabije, kompletnie ustępuje strach przed dalszym zabijaniem. Zabicie kogoś staje się bardzo łatwe. Obecnie jest to dla mnie czymś w rodzaju hobby. - George przez chwilę obserwował Tony'ego, czekając, aż znaczenie jego słów dokładnie do niego dotrze, po czym dodał: - Chcę, żebyś poddał się testowi w poniedziałek, dziewiętnastego, około godziny szóstej wieczorem. Cała ta ekipa zjawi się tam, gdzie pracuję, w czwartek, dwudziestego drugiego, o dziewiątej rano. Chcę wtedy mieć dokument potwierdzający, że zostałem zbadany już wcześniej. Spotkamy się przy Duggan Road, przed samym Grantley, w pubie o nazwie Lion Rampant, o ósmej trzydzieści wieczorem. Będę miał ze sobą połowę pieniędzy.

– Dlaczego w poniedziałek o szóstej?

– Ponieważ właśnie wtedy policjanci zbierają się, żeby iść do domów. Jeśli pojawisz się tam o piątej trzydzieści, powinieneś dostać się na badanie około szóstej. Skoro będziesz jednym z ostatnich klientów dnia, sądzę, że zechcą załatwić sprawę z tobą jak najszybciej. Jeśli pokażesz im paszport, nie wzbudzisz żadnych podejrzeń. To przede wszystkim osobnicy bez mocnych dokumentów będą pod lupą.

Tony Jones pokiwał głową.

– Rozumiem. Jednak poniedziałek w ogóle nie wchodzi w rachubę. Potrzebuję kilku dni, żeby załatwić sprawę z paszportem.

George był niezadowolony.

– No, to kiedy możemy się spotkać?

– W środę. Cały plan jest dobry, miejsce spotkania i tak dalej, ale potrzebuję czasu do środy. A więc zrobię to albo w środę, albo nigdy.

– Dobrze. Ale nie nawal. - George wstał. - Kiedy nauczysz się odpowiedzi na pamięć, wyrzuć kartkę.

Bez słowa pożegnania wyszedł z małego pokoiku na zapleczu sklepu, a Tony wpatrywał się w papier, dopóki nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi. Wsunąwszy kartkę do kieszeni, przeszedł do sklepu i pozapalał wszystkie światła, ponownie otwierając interes. Kiedy pracował, przysłała mu do głowy pewna myśl.

Dotyczyła dnia, w którym odwiedziła go Tippy, pocięta i poraniona. To wtedy powinien był zdać sobie sprawę, że ma do czynienia z naprawdę groźnym facetem. Skoro potrafił załatwić taką starą dziwkę jak Tippy, zdolny był do wszystkiego.

Do ciężkiej cholery, jak mógł nie wpaść na to wcześniej?

George przejechał przez Londyn i wyjechał trasą na Essex. Kiedy dotarł do Dartford Tunnel, słuchał właśnie Radia Essex. Cykliczny talk-show poświęcony był Rozpruwaczowi z Grantley.

Do radia telefonowały kobiety, mówiąc, że Rozpruwacz powinien zostać wykastrowany zaraz po schwytaniu albo że powinien otrzymać śmiertelny zastrzyk, albo po prostu trafić do Rampton czy Broadmoor.

George'a bardzo rozbawiło wysłuchiwanie ich głupich propozycji. Przecież i tak nigdy go nie złapią.

Kate zatelefonowała do Patricka i wyjaśniła mu, że jedzie do Bulla, gdzie o ósmej ma się spotkać z Danem. Zajęła miejsce naprzeciwko drzwi i z pewnym strachem obserwowała wchodzących i wychodzących ludzi. Powiedziała Patrickowi, że najpierw musi porozmawiać z Danem. Spróbuje przemówić mu do rozsądku. Jeśli rozmowa nie przyniesie rezultatu, wyjdzie z pubu i da Patrickowi sygnał. Ten będzie czekał na zewnątrz z Willym. Na znak Kate rozmówi się z jej byłym mężem. Tak jak tylko on potrafi.

Kate miała nadzieję, że do tego jednak nie dojdzie.

Dan wszedł do pubu dziesięć po ósmej. Ubrany był w czarne spodnie i ciemnoczerwony sweter. Wszedłszy, od razu zdjął płaszcz i przewiesił go niedbale przez ramię. Kate zauważyła, że niejedna kobieta rzuciła badawcze spojrzenie w kierunku jej przystojnego, bardzo męskiego byłego męża.

Miała ochotę głośno powiedzieć: „Nie stać was na niego, dziewczyny. Poza tym on nie tknie kobiety z jakiegoś podrzędnego pubu”.

Dan podszedł do baru, w ogóle nie zdradzając, że zauważył Kate, i dopiero po chwili zbliżył się do niej ze szprycerem dla siebie oraz wódką z tonikiem dla niej.

– Cześć, Kate. – Usiadł koło niej. W jego głosie zabrzmiało zadowolenie. Doskonale wiedział, ile jej narobił kłopotów.

Kate jedynie skinęła głową.

Obserwowała jego usta ponad brzegiem szklanki. Kiedyś Dan był dla niej wszystkim. Teraz ze zdumieniem stwierdzała, że nie czuje wobec niego nic, nawet pogardy.

– Dlaczego to zrobiłeś, Dan?

Zastanawiał się przez chwilę, obserwując badawczo jej twarz, jakby chciał znaleźć na niej wskazówkę, o czym Kate w tej chwili myśli.

– Ponieważ - wysunął w jej kierunku wskazujący palec - tym razem doprowadziłaś mnie do ostateczności.

– Ja ciebie doprowadziłam do ostateczności?! - zawołała z niedowierzaniem.

Pokiwał głową, po czym ciągnął z rosnącym zapalem:

– Właśnie. Przyszedłem do ciebie szukać pocieszenia, jeśli chcesz wiedzieć. Zawsze uważałem cię za dobrą kobietę, a co się okazało? Ujrzałem matkę mojego dziecka w objęciach cholernego łajdaka, bandyty! Mój Boże, Kate, po prostu nie potrafiłem w to uwierzyć. Miałaś czelność zamienić mnie na złodzieja?

Upił kolejny łyk szprycera.

– To już nie ma nic wspólnego z tobą, Dan. Moje życie należy do mnie. Pracuję nad poważną sprawą...

– Nic wspólnego ze mną? W sytuacji, gdy zaniedbujesz moje dziecko?

Kate złapała go za rękę i przycisnęła ją do stolika tak mocno, że ze szklanki, którą trzymał, potężna porcja alkoholu chlusnęła na jego czerwony sweter.

– Posłuchaj mnie tylko, Danny Burrows. Przez te wszystkie lata z wielką cierpliwością wysłuchiwałam ich bredni, ale teraz, chłopcze, koniec z tym. Dostyc. Jeśli stracę pracę, kto będzie płacił moją hipotekę? Nie ty, to jedno jest pewne. Minie milion lat, a ty nie będziesz regulował własnych rachunków. Dlatego właśnie pieprzysz takie babki jak Anthea. Jesteś alfonsem, Dan, a ja nie pozwolę ci drwić z mojego życia, tak jak drwisz ze swojego. Ostrzegam cię...

Kate była już na dobre zdenerwowana. Krzyczała na Dana, chociaż wiedziała, że to nic nie da. Był niezdolny do prawdziwych, inteligentnych uczuć.

– Ty mnie ostrzegasz? Wykręcasz kota ogonem i tyle. Powinnaś paść przede mną na kolana, dziewczyno, ponieważ w tej chwili ja - uderzył się palcem w pierś - mogę cię zniszczyć lub nie. Twoja kariera znajduje się w moich rękach.

Wysunął otwartą dłoń przed jej twarz, po czym powoli zacisnął ją w pięść.

Kate spostrzegła, jak bardzo cieszy go ta sytuacja, i sama posmutniała. Kiedyś, dawno temu, ten mężczyzna był kimś

najważniejszym w jej życiu. Sypiała z nim, gotowała dla niego i urodziła jego dziecko. Teraz wreszcie zobaczyła go takim, jakim od początku postrzegała go jej matka. Zrozumiała, że jej życie legło w gruzach, ponieważ zbyt długo nie chciała obudzić się z bezsensownego snu.

Wstała, wzięła torebkę i paczkę papierosów.

– Dokąd się wybierasz?

– Ta rozmowa donikąd nas nie zaprowadzi. Jeśli będziesz podtrzymywał oskarżenia przeciw mnie, i tak niczego nie udowodnisz. Wiesz co, Dan? Nudzisz mnie. Nudzisz mnie jak cholera. Żałuję jedynie, że nie zdałam sobie z tego sprawy dziesięć lat temu.

Ruszyła do wyjścia, lecz Dan podążył za nią. Na zewnątrz, na zwirowym parkingu, zrównał się z nią, złapał za rękę i odwrócił ku sobie. Uderzył ją w twarz. Niezbyt mocno; Kate odczuła to uderzenie jak ukłucie.

W tej samej chwili zobaczył Willy'ego i Patricka.

W słabym świetle lamp Kate ujrzała, jak jego twarz się zmienia. Dostrzegła też, że Patrick biegnie w ich kierunku.

– Ty pieprzona zdiro, zastawiłaś na mnie pułapkę!

Dan odwrócił się i ruszył do swojego samochodu, ale Willy zaraz go dopadł i zaczął ciągnąć w stronę BMW Patricka. Dwoje młodych ludzi właśnie wysiadało ze swojego auta. Z przerażeniem na twarzach popatrzyli na Dana i Willy'ego. Kate podeszła do nich i pokazała odznakę.

– Policja z Grantley. Właśnie pojмалиśmy poszukiwanego handlarza narkotyków. Czy widzieliście kogoś na drodze, jadąc tutaj?

Oboje potrząsnęli przecząco głowami, nie chcąc się w nic mieszać. Patrick spokojnie ruszył z Kate do BMW, ująwszy ją pod rękę i skinąwszy obojgu młodym ludziom. Willy zdołał już wepchnąć Dana do auta. Kate miała wrażenie, że uczestniczy w jakimś koszmarze. Wsiadła do samochodu na miejsce obok kierowcy, a Patrick z tyłu, obok Dana. Willy, który siedział już za kierownicą, natychmiast ruszył i z piskiem opon wyjechał z parkingu na Grantley Road. Kate odwróciła się i popatrzyła na Dana. Był przerażony.

Willy trochę zwolnił, a Patrick zapalił papierosa. Podał go Kate, a dla siebie zapalił następnego. Zaciągał się tak długo, aż papieros mocno się rozżarzył. Kate obserwowała go, dopóki nie mrugnął do niej okiem.

Wtedy złapał Dana za włosy i przytrzymał rozpalony koniec papierosa o ułamek cala od jego oka.

– Mógłbym cię oślepić, chłopcze. Mógłbym cię oślepić i nie drgnęłaby mi przy tym nawet ręka.

Kate chciała coś powiedzieć, jednak Willy położył dłoń na jej kolanie, dając znak, aby nie reagowała.

A Patrick przemawiał spokojnym, melodyjnym głosem do Dana, który siedział sztywno obok niego.

– Widzisz, zdenerwowałeś mnie, a kiedy ja się zdenerwuję, wyrabiam różne straszne rzeczy. Potrafię nawet okaleczać ludzi, którzy mnie zdenerwują. A ty mnie naprawdę zdenerwowałeś, Danny, uwierz mi.

– Cze... czego chcesz? - Głos Dana był wysoki jak głos kilkuletniej uczennicy.

– Myślę, że wiesz, czego chcę. Myślę też, że wiesz, czego chce twoja żona. I myślę, że wiesz, że osiągniemy to, czego chcemy. Ponieważ, jeśli zajdzie taka potrzeba, szukając ciebie, przetrząsnę ten kraj wzdłuż i wszerz, Danny, i w końcu cię dopadnę. Jestem jak AIDS. Możesz nie zorientować się przez lata, że wiem, gdzie jesteś, ale kiedy się ujawnię, konsekwencje będą straszliwe. Rozumiesz mnie?

Dan głośno przełknął ślinę. Kate usłyszała to wyraźnie ponad niskim warkotem silnika samochodu.

– Tak.

– Będziesz zatem grzecznym chłopcem, pójdziesz do Biura Policji Kryminalnej i zeznasz, że wcześniej naplotłeś im stek bzdur, jasne?

– Tak.

– W porządku. Willy, zatrzymaj samochód. Wypuścimy tego człowieka.

Patrick odsunął papierosa od twarzy Dana i strzepnął popiół na podłogę.

Willy zahamował. Pochylając się nad Danem, Patrick otworzył drzwi, po czym gwałtownym ruchem wypchnął go na drogę. Kiedy samochód ruszył, zatrzasnął je, pozostawiając Dana leżącego na szosie, tak przerażonego, że nieomal się zsikał w spodnie. Zobaczył, że z samochodu ktoś wyrzuca jeszcze jego płaszcz, i poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

A Kate siedziała w tym samochodzie i pozwoliła, żeby to wszystko się wydarzyło. Nie potrafił w to uwierzyć.

Jedna rzecz była pewna: zamierzał zrobić to, czego Kelly zażądał. Zawsze przyznawał przed samym sobą, że nie jest typem bohatera.

Kate patrzyła przed siebie, niepewna, czy to, czego przed chwilą była świadkiem, rzeczywiście się wydarzyło.

– W porządku, Kate? - Głos Patricka był niski, spokojny.

W odpowiedzi pokiwała głową.

Patrick westchnął. Wstydził się, że trzeba to było zrobić na jej oczach.

– Popatrz na to w ten sposób, Kate: gdybym go nie wystraszył, a przecież tylko to zrobiłem, mogłabyś na zawsze pożegnać się z pracą. On sam się o to prosił, dziewczyno. Cholernie się napraszał.

– Mógłbyś podwieźć mnie do mojego samochodu?

– Zawróć, Willy. Kate chce wrócić do domu.

Patricka ogarnęło uczucie bezsensu. Próbował jej pomóc, lecz, być może, posunął się za daleko. Czasami zapominał, że ona pochodzi z innego świata. Dzisiejszy wieczór musiał zdecydować o ich wspólnej przyszłości, wiedział o tym. Na pewno pozytywną stroną całego zajścia było to, że Kate zachowała pracę, a to przecież wiele dla niej znaczyło. Dał jej więc przynajmniej tyle.

Wróciwszy do domu, Kate nadal się trzęsła. Od razu pobiegła na górę i zamknęła się w łazience, biorąc gorącą kąpiel. Długo leżała w wannie, próbując zebrać myśli.

Dzisiaj wieczorem poznała drugą twarz Patricka Kelly'ego. Nie zbliżyło jej to do niego. W końcu dokładnie zobaczyła, w co się pakuje, i wrażenie było przytłaczające.

Lecz mimo to ucieszył ją widok upokorzonego Dana. To była jej reakcja na wszystkie te lata, gdy ją ranił i wykorzystywał. Na pogardę, którą jej dzisiaj okazał, na jego radość z faktu, że mają w ręku. Niezbyt jej się podobało to, co zrobił z nim Patrick, ale podobał jej się strach, który widziała w oczach Dana.

A to przeraziło ją bardziej niż wszystko inne.

George miał mały wypadek. Rozlał gorącą czekoladę niemal na całym dywanie w salonie i spędził prawie godzinę na usuwaniu plam. Środki czyszczące przyniósł ze swojej szopy i przystąpił do pracy. Wkrótce ta część dywanu, którą wyczyścił, wyglądała lepiej niż pozostała, dlatego skończyło się na dokładnym wyczyszczeniu całości. Po trzech godzinach zaczął się zastanawiać, czy ma jeszcze dość czasu, żeby obejrzeć swój film, gdy niespodziewanie zobaczył przez okno zatrzymującą się przed domem taksówkę. Siedziała w niej Elaine i niezdarnie grzebała w portmonetce, by zapłacić taksówkarzowi. Była pijana jak bela. Cholerna suka!

Obserwował, jak wynurza się z taksówki, ściskając w dłoni torebkę i próbując nie zboczyć z cementowej alejki w drodze do frontowych drzwi. Usłyszał, jak grzebie w torebce, szukając kluczy, a potem jak niezdarnie próbuje wsunąć klucz do zamka. Wreszcie drzwi otworzyły się jak szeroko i jej ciężkie człapanie rozległo się w przedsionku. George siedział w fotelu, czekając, aż Elaine wejdzie do salonu, ta jednak skierowała się prosto do kuchni.

Usłyszał kliknięcie kontaktu, gdy zapalała światło, potem jej człapanie po linoleum i wreszcie skrzywił się, kiedy dotarł do niego odgłos wymiotowania do nienagannie czystego kuchennego zlewozmywaka.

Powoli wstał i ruszył do kuchni. Stanąwszy w progu, patrzył, jak

plecy i ramiona Elaine podrygują, w miarę jak porto i brandy chlustały z jej ust do białego zlewozmywaka.

Podszedł do niej.

Zobaczył w zlewie ciemnoczerwone zacieki, przypominające skrzące krew, i natychmiast puścił do środka zimną wodę. Niczym zahipnotyzowany obserwował, jak ciemnoczerwone zacieki powoli zamieniają się w jasnoczerwone zacieki, by w końcu spłynąć do rur kanalizacyjnych.

Wziął kuchenny ręcznik, zwilżył go zimną wodą i przyłożył do czoła Elaine. Następnie, złapawszy ją za kark - z całej siły, ponieważ próbowała go odepchnąć - zacisnął mokry ręcznik na jej nosie i ustach.

Elaine wciągnęła powietrze, przez co krople wody dostały się do jej kanału nosowego i wyparowały, kiedy dostały się dalej. Próbowwała ruszyć głową, czując żelazny uścisk George'a na swoim karku.

Kiedy jej zamroczony alkoholem umysł wreszcie zarejestrował, co się dzieje, Elaine zaczęła walczyć.

George trzymał ręcznik na jej twarzy, bawiąc się jej paniką bawiąc się bólem i przerażeniem, które wywołał. To powinno być dla niej dobrą nauką.

W beładnej walce Elaine zrzuciła na podłogę suszarkę do naczyń. Opadające talerze z nieprawdopodobnym hukiem porozpryskiwały się i potoczyły we wszystkie strony kuchni.

George wepchnął głowę Elaine pod płynącą z kranu zimną wodę. Jej chłód odebrał Elaine resztkę oddechu. Ostatnim wysiłkiem próbowała unieść głowę, jednak poczuła tylko przeszywający ból, kiedy uderzyła w rurkę z nierdzewnej stali, z której płynęła woda.

George usłyszał głuchy szcęk i spokojnie patrzył, jak czerwona krew błyskawicznie pojawia się na rudych włosach Elaine. Poczuł, że jej ciało wiotczeje, co oznaczało, że straciła przytomność. Trzymał ją jeszcze w pionie przez kilka sekund, nie zmieniając pozycji. Wreszcie powoli ułożył ją na podłodze, pozwalając, aby mokry ręcznik wpadł do zlewozmywaka.

Elaine zaległa na kuchennej podłodze wśród popękanych naczyń. Jej makijaż, starannie przygotowany na wieczór, teraz rozsmarowany był na całej twarzy. Tusz do rzęs spłynął z nich szerokimi kaskadami i pozostawił mnóstwo czarnych plam dookoła nosa i na policzkach. Z rany na głowie spływała purpurowoczerwona krew, rozlewając się strumieniami na podłodze.

George wpatrywał się w Elaine z zaciekawieniem. Jej rude włosy znajdowały się w kompletnym nieładzie, a sukienka była kompletnie przemoczona. Po kilku chwilach zaczęła poruszać powiekami, a kiedy wreszcie na dobre otworzyła oczy, George nie miał wątpliwości, że

Elaine kompletnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się wydarzyło.

Znowu zamknęła oczy i głośno jęknęła. Ten jęk popchnął go do dalszego działania.

Stanąwszy za nią, złapał ją pod pachy i kładąc dłonie na jej wielkich piersiach, dźwignął ją z podłogi. Następnie pociągnął ją przez kuchnię, w której panował nieopisany bałagan, później przez przedsiónek aż do salonu, gdzie ułożył ją na dywanie. Ściągnąwszy z któregoś krzesła koronkową osłonę pluszowego obicia, złożył ją i ułożył pod jej głową, aby nie zakrwawiła dywanu.

Następnie poszedł do kuchni, zabrał spod zlewozmywaka zestaw do udzielania pierwszej pomocy i delikatnie opatrzył ranę Elaine. Ucieszył się, że jest tylko powierzchowna. To wypływająca krew początkowo sprawiła, że wyglądała na groźną.

Pracował w ciszy, sprawnie. Kiedy skończył, ułożył pod głową Elaine poduszkę, po czym ściągnął z kobiety przemoczoną sukienkę. Następnie okrył ją kocem. Zadowolony, że zrobił wszystko, co mógł, poszedł obejrzeć kuchnię.

Kiedy pozmiatał potrzaskane talerze, plama krwi na podłodze wyglądała jak abstrakcyjny obraz. W miarę jak ją czyścił, jej różne fragmenty przybierały rozmaite odcienie. Kiedy skończył, trochę mu było żal tej plamy. Lubił patrzeć na kształty, jakie przybiera krzepnąca krew, lubił jej kolor, no i wreszcie zapach - bogaty zapach świeżej krwi.

Wrócił do Elaine i złapał ją za pulchną rękę. Doskonale wiedział, że niemal pożegnała się dzisiaj z tym światem. Ale gdyby zabił Elaine, byłby to jego koniec. Znow jęknęła i otworzyła oczy. Była nieprzytomna przez prawie godzinę.

- Co... Co się stało, George? - Jej głos wciąż był bełkotliwy wskutek pijaństwa.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Myślę, że za dużo wypijałaś, moja droga. Miałaś wypadek.

Elaine przez kilka sekund wpatrywała się w niego swoimi fascynującymi zielonymi oczyma, a George zamarł. Odnosił wrażenie, że w jej oczach wypisane są, i doskonale widoczne, wszystkie wydarzenia tej nocy. Wreszcie zamknęła powieki.

Jeżeli nawet pamiętała, co się stało, nie powiedziała ani słowa. George'a to zmartwiło. A jeśli w końcu coś powie? Co wtedy?

- Czy przygotować ci coś ciepłego do picia?

Elaine z trudem pokiwała głową. Jej ręka powędrowała na chwilę ku bandażom.

George wstał z podłogi i poszedł do kuchni. Uważnie sprawdził wzrokiem każdy jej kąt, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście zlikwidował wszelkie ślady.

Kiedy odszedł, Elaine nadal leżała bez ruchu na podłodze. Jednak w pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, spod jej powieki wymknęła się gruba łza.

George próbował ją zabić. Pamiętała wszystko. George musi wiedzieć o niej i Hectorze.

Kiedy wrócił z gorącą herbatą, płakała głośno, a jej prostokątne ramiona znów podrygiwały bez żadnego rytmu.

Ustawwszy filiżankę na stole, objął Elaine ramionami.

A więc wiedziała.

– Przepraszam, Elaine, bardzo cię przepraszam za to, co zrobiłem. Myślałem, że masz chłopaka, jakiś romans. Przepraszam, zdaję sobie sprawę, że to niedorzeczne podejrzenie. Wybacz mi ten moment szaleństwa i zazdrości.

Elaine głośno pociągnęła nosem, w pewnym sensie zadowolona, że George mógłby być zazdrosny, ale niezbyt przekonana, czy to dobrze, że użył słów „niedorzeczne podejrzenie”. W końcu wynikało z nich, że nie miał pewności co do Hectora, a jednak ją zaatakował. Zranił ją.

W przyszłości będzie musiała bardzo uważać.

George obserwował jej twarz, doskonale odczytując z niej wszystkie jej myśli. Czuł się tak, jakby patrzył na ekran telewizora. Dzięki Bogu, że jej nie zabił. Przecież Rozpruwacz z Grantley nie mógł wpaść w taki głupi sposób!

Tymczasem jedna rzecz była pewna: odtąd będzie musiał postępować z żoną bardzo ostrożnie. Elaine nie zapomni tego wydarzenia zbyt szybko.

Wyczuła przemianę, zachodzącą w George'u, i zadrżała. Był taki jak przedtem. Kiedy oboje mieli kłopoty. Tyle że tym razem to była wyłącznie jej wina.

Zamknęła oczy. Biedny George.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Był poniedziałkowy poranek i George przyniósł Elaine śniadanie do łóżka. Czowała się i wyglądała fatalnie. W miejscu, którym uderzyła o stalową rurkę, jej głowa spuchła, a strup, który powstał na skórze i skleił włosy dookoła rany, powodował, że głowy nie można było dotykać, nawet lekko. Kiedy efekt wypitego alkoholu wyparował, pozostał jej już tylko gwałtowny ból głowy, a służalczość George'a nie pomagała jej dojść do siebie. Grał jej na nerwach.

Po tym jego ataku - bo to był atak, mówiła sobie - nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Potrzebowała samotności, żeby wszystko przemyśleć.

- Przyrządziłem ci jajka na bekonie, Elaine, a także kilka lekko grillowanych pomidorów. - Głos George'a znów był potulny i łagodny. Położył tacę na jej nogach i uśmiechnął się do niej nieśmiało.

Elaine zerknęła na tacę z jedzeniem. Mogłaby patrzeć na wszystko, byle nie na jego twarz.

- Myślę, że poczujesz się lepiej, jeśli przez kilka dni nie pójdziesz do pracy. Co ty na to?

Wzięła do ręki widelec i zaczęła przesuwac jedzenie po talerzu - wyraźny znak dla George'a, że zamierza go ignorować.

Z wahaniem czekał przez kilka sekund na jej odpowiedź.

- Cóż, zostawię cię sam na sam ze śniadaniem. Telefonowałem do twojego kierownika i powiedziałem mu, że masz infekcję żołądka. Zobaczymy się wieczorem. Ugotuję ci doskonałą kolację.

Proszę, George, odejdz, pomyślała.

Wyszedł i poczuła się trochę lepiej, kiedy usłyszała, jak zamykają się za nim frontowe drzwi domu.

Zamykają, a nie zatraskują ponieważ George trzaskający drzwiami byłby jak papież wstępujący do grupy Chippendalesów.

Ale przecież ją zaatakował.

Odepchnęła pełną tacę na drugą stronę łóżka. George był zdolny do przemocy. Wtedy także zaatakował tę biedną dziewczynę w pociągu. Lekarz powiedział, że jest pełen nieszczęścia i goryczy, co ma związek z jego dzieciństwem i nadopiekuńcza matką. Że stan

Elaine i zbliżający się poród wprawiły go w taki stres, iż usiłował rozładować napięcie w sposób nieracjonalny i nienormalny.

Dlaczego czuła się wówczas, jakby to się stało z jej winy?

Dlaczego z nim pozostała?

Ponieważ tak naprawdę nie wiedziała, co właściwie powinna zrobić, oto dlaczego. „W bogactwie i ubóstwie, w chorobie i zdrowiu”. Dlaczego przysięga małżeńska nie wspominała nic o uwięzieniu jednego z małżonków?

Głowa bolała ją niemiłosiernie. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie Hectora. Stary, dobry Hector, który powiedział jej, że ją kocha. Hector, który przez cały czas się śmiał i pragnął dobrze się bawić. Nic innego, tylko się bawić.

Uśmiechnęła się lekko do siebie. A jaką zabawę miała z George'em? Nie mogła zostawić Hectora! Hector był podporą jej życia. Jej paszportem do szczęśliwszej krainy.

Delikatnie ułożyła głowę na poduszce i uważnie obejrzała swoją sypialnię. Potrzebowała wielu przeróbek. Cały dom ich potrzebował. Lata temu George był przysłowiową złotą rączką. Oboje spędzali całe godziny, oglądając katalogi, wybierając kolory farb, tapety na ściany, dywany i mnóstwo innych rzeczy. Ale to było przed jego kłopotami, jak to nazywali, o ile kiedykolwiek o tym mówili.

George wyszedł z więzienia jako odmieniony człowiek. Nigdy nie był towarzyski, czasami jednak bywał zadowolony z siebie i radosny. Tymczasem powrócił do niej ponury i nieszczęśliwy, potulny do granic przyzwoitości. Tylko czasami Elaine przychodziło do głowy, że to fasada, sztuczna zasłona. George zdolny był jedynie do pracy w ogrodzie. Sprawiał wrażenie, jakby wszystko, co znajdowało się wewnątrz domu, nie miało dla niego znaczenia i jakby wyłącznie zewnętrzne otoczenie wymagało pielęgnacji.

Czasami myślała, że ten ich dom jest jak sam George: skorupą pustą w środku.

Pustą i przerażoną.

Od kiedy rozpoczęły się morderstwa w Grantley, prześladowała ją myśl, że to sprawka George'a, lecz wiedziała, że to niemożliwe. George nigdy by nie popełnił morderstwa z zimną krwią. Zresztą, od razu zostałby złapany. Wszystko, co w życiu robił, zawsze spieprzył.

Nie, George był po prostu biednym głupcem. Ale jego ostatni wybuch udowodnił Elaine, że jednak coś odczuwał. Że ciągle uważał ją za swoją żonę.

Najgorszą częścią tych dawnych kłopotów był dla Elaine fakt, że George bywał w kinach pornograficznych. To, z jakiegoś powodu, wydawało się Elaine gorsze niż jego atak na młodą dziewczynę.

Z kącika jej prawego oka wypłynęła pojedyncza łza i spłynęła po pulchnym policzku, zatrzymując się dopiero na języku. Elaine poczuła smak gorącej soli.

Dlaczego wszystko potoczyło się źle? Gdzie była ta młoda dziewczyna, która tak niecierpliwie czekała na urodzenie dziecka? Kiedy stała się śmieszną kobietą w średnim wieku, skradającą się, aby spotkać w życiu jeszcze choć jednego mężczyznę?

Kiedy, na Boga, to wszystko się skończy?

Kate wyszła z domu o siódmej nad ranem. Było mgliście, a w powietrzu unosił się zapach wczesnej wiosny. Otwierając samochód, wyczuła za sobą obecność mężczyzny i błyskawicznie odwróciła się, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Była pewna, że to Dan. Myślała o nim przez całą noc tak intensywnie, że z trudnością, i tylko na krótko, zasnęła. To właśnie rozmyślenia o nim i brak snu wywiodły ją z domu tak wcześnie. Poza tym nie umiała spojrzeć w oczy Lizzy.

Odwróciwszy się, ujrzała jednak wielkie, księżycowe oblicze Willy'ego. Była zaskoczona i odruchowo przyciągnęła dłonie do piersi.

– Przepraszam, że panią przestraszyłem, ale chciałem zamienić słówko. Nie zajmę pani dużo czasu.

Ujął ją pod rękę i poprowadził wzdłuż drogi, w kierunku rolls-royce'a należącego do Patricka. Otworzył tylne drzwi i wsiadła do środka. Instynkt podpowiadał jej, że nie powinna się bać, lecz nie potrafiła całkowicie pozbyć się strachu. Willy uruchomił silnik i samochód niemal bezszelestnie włączył się do ruchu. Po kilku sekundach Willy opuścił szybę oddzielającą kierowcę od pasażerów i powiedział:

– Znam pewne miejsce, gdzie moglibyśmy zjeść skromne śniadanie, jeśliby pani chciała.

Kate skinęła głową, świadoma, że obserwuje ją w tylnym lusterku.

– Kawa bardzo mi się przyda. Dzięki, Willy.

W milczeniu dojechali do małej kawiarenki dla kierowców na parkingu przy A13. Willy zaparkował rollsa w takim miejscu, które mógł obserwować przez okno kawiarni, i zaprosił Kate do środka. Było tu prawie pusto, jedyną klientelę stanowiły dwie kobiety i kierowca ciężarówki, który zmierzył Kate badawczym spojrzeniem, kiedy Willy kupował dwie kawy. Zadowolona, że nie znajduje się sam na sam z Willym, Kate stopniowo się odprężyła. Zapaliła papierosa i upiła łyk kawy.

– Chciałbym porozmawiać z panią o ostatnim wieczorze, Kate. Czy mogę mówić do pani po imieniu?

Pokiwała głową.

– O co chodzi w związku z ostatnim wieczorem?

– Po tym, jak cię wysadziliśmy, Patrick był naprawdę bardzo przybity. Myślę, że zrozumiał, jak wielki popełnił błąd, pozwalając ci być

świadkiem wydarzeń, ale musisz go zrozumieć, miał na sercu twoje najlepsze interesy. Nie chciał, żebyś straciła pracę ani żeby wasz związek się rozpadł. Jest w dobrej komitywie z różnymi ważnymi ludźmi, jak się pewnie domyślasz. Kiedy ten palant... To znaczy chciałem powiedzieć, kiedy twój były mąż opowie im, że jedynie chciał ci namieszać w życiu, zamkną sprawę i już nigdy nie będą do niej wracać.

Kate upiła łyk kawy i zapaliła kolejnego papierosa od niedopałka poprzedniego.

Willy westchnął

– Pat za nic by go nie skrzywdził, wiem to z całą pewnością. Czasami trzeba użyć trochę przyjacielskiej perswazji...

– Skoro to była przyjacielska perswazja, nie chciałabym patrzeć, jak stosujesz perswazję wobec kogoś, kogo nie lubisz!

– Ale tak właśnie było, jedynie go przestraszyliśmy, i to wszystko. Kiedy Pat zobaczył, jak uderzył cię na parkingu, oszalał. Cholera, rzadko go widuję w takim stanie. Próbował więc tylko ci pomóc.

Kate zaciągnęła się papierosem i dym, niczym chmura, uniósł się nad jej głową.

– Musisz zrozumieć Pata. Pochodzi z okolic, gdzie panowała bieda, prawdziwa bieda. Nie mieliśmy nic. Pracował ponad siły, żeby osiągnąć to, co teraz ma. Nie interesował się nigdy ludźmi takimi jak twój były mąż. Znaczą dla niego zero, naprawdę zero. Ostatniego wieczoru zajął się nim tylko dla ciebie. Pat nigdy dotąd nie straszył nikogo, kto nie był bezpośrednio związany z jednym z naszych interesów. W naszej grze, jeśli ktoś nie przestrzega reguł, otrzymuje właśnie takiego, powiedzmy, klapsa. To prawo ulicy. Oczywiście, policjanci nie straszą podejrzanych tak, żeby ci sikali w majtki, ponieważ każdego podejrzanego uważa się za niewinnego tak długo, aż zostanie skazany przez sąd. Pomyśl tylko, że ktoś podłożył bombę pod pub i policjant męczy go, dopóki się nie przyzna. Niemożliwe, prawda? A my tak właśnie postępujemy, straszmy, grozimy.

Boże, wybac mi kłamstwo, pomyślał Willy.

Kate nadal siedziała w milczeniu, co Willy'ego zaczynało już drażnić.

– Pat chciał tylko, żebyś zachowała swoją cholerną pracę. Martwił go sposób, w jaki cię komplikuje...

– Kompromituje, Willy. Chyba tego słowa właśnie szukasz.

– Tak, niech tak będzie. Ale wiesz, co mam na myśli, dziewczyno, przecież nie jesteś pierwszą lepszą głupiotką babką. Wiesz, o co toczy się gra. Twój staruszek nie ucierpiał i nie ucierpi od tego, co mu się wczoraj przytrafiło. Przecież sam się o to prosił. Wiem, że musiało to ci się wydawać przerażające, bo nie jesteś przyzwyczajona do podobnych sytuacji, ale mi uwierz, Pat martwił się tylko o ciebie. Ciebie i twoją

pracę. Przecież wie, jak bardzo ci na niej zależy.

– Czy możesz mnie zawieźć do domu, Willy? Mam tam samochód, którym jeżdżę do pracy.

Pokiwał głową i po chwili jechali w ciszy z powrotem do Kate. Ruch na drogach zdążył wzrosnąć i Kate czuła spojrzenia kierowców, zastanawiających się, kto siedzi na tylnym siedzeniu wielkiego rolls-royce'a. Wysiadając z samochodu na początku swojej ulicy, Kate poklepała Willy'ego po ramieniu.

– Jesteś dobrym przyjacielem Patricka, wiesz?

– Uwielbiam tego faceta, Kate. Wiem, ile tkwi w nim dobra, i znam go od najlepszej strony. Myślę, że ty także, bo w przeciwnym wypadku chyba w ogóle byś się z nim nie związała. Tego, co zrobił ostatniego wieczoru, nie bierz sobie za mocno do serca. On cię kocha, wiem, że cię kocha, i wczoraj wieczorem po prostu pragnął ci pomóc. Ma fioła na twoim punkcie i w tym tkwi sedno wczorajszego zdarzenia.

Kiedy Kate szła w kierunku domu, te ostatnie słowa Willy'ego wywołały na jej twarzy uśmiech. Uśmiech, którego sama po sobie się nie spodziewała.

Willy wracał do Patricka z ciężkim sercem. Spróbował. Gdyby Patrick wiedział, dokąd dziś rano pojechał, zastrzeliliby go bez jednego słowa. Ale musiał podjąć tę próbę.

Kate i Patrick tak bardzo do siebie pasowali.

George siedział w pracy, wysłuchując trwającej bez końca opowieści Petera Renshawa o przygotowaniach do „nocy na mieście”. Ostatecznie zdecydowano, że będzie to noc ze środy na czwartek zaledwie za dwa dni. George zmusił się do uśmiechu, kiedy Peter bawił go anegdotami o odprawach finansowych, jakie wypłacano w firmie w przeszłości. Z tego, co George zdołał się zorientować, otrzymało je około dwudziestu pięciu osób; z większością z nich George nigdy nie rozmawiał. Do pokoju weszła pani Denham.

– Chciałabym z panem chwilę porozmawiać, panie Markham. W moim pokoju.

George poszedł za nią, odnotowawszy uprzednio, że Renshaw mruga do niego porozumiewawczo. Ucieszyła go chwila wytchnienia od jego niemal szaleńczej serdeczności. Anegdoty i dowcipy Renshawa nudziły go, a zdawały się trwać bez końca. Kiedy znaleźli się w gabinecie, pani Denham poprosiła George'a, żeby usiadł, i zamknęła za nim drzwi.

Usiadł i patrzył, jak kobieta przemierza krótką drogę, dzielącą ją od własnego fotela. Jedwabna spódnica zaszeptała, trąc o jej uda, kiedy siadała.

George uśmiechnął się ostrożnie.

Josephine Denham odpowiedziała uśmiechem. Równie ostrożnie. Nerwowo odchrząknęła.

– Chodzi o pańską redukcję. Mam tutaj informację o kwocie odprawy, którą pan otrzyma. - Przesunęła w jego kierunku małą karteczkę. George rzucił na nią okiem. - Gdyby pan zechciał odejść wcześniej, niż tego wymagamy, zrobimy wszystko, aby kwotę odprawy do tego dostosować. Jones opuszcza nas pod koniec bieżącego tygodnia... - Urwała, dostrzegłszy wyraz niedowierzania na jego twarzy.

– Dwanaście tysięcy funtów? Myślałem, że to będzie więcej.

Umysł George'a zaczął wirować. Przecież Elaine oszaleje. Powiedział jej, że otrzyma dwadzieścia lub dwadzieścia pięć tysięcy funtów odprawy, co osłabiło przynajmniej jej rozgoryczenie z powodu wyrzucenia go z pracy. Dwanaście tysięcy funtów! To było tyle, co nic, nic.

Josephine Denham obserwowała rozgoryczenie na twarzy George'a i na moment ogarnęło ją współczucie. Nigdy go nie lubiła. Jak większość kobiet w firmie, czuła się w jego towarzystwie nieswojo. Nie dlatego, żeby kiedykolwiek zrobił coś niewłaściwego, skądże. Chodziło raczej o sposób, w jaki patrzył na kobiety, natarczywie, spod lekko opuszczonych powiek. Poczwała, jak ciarki przebiegają jej po plecach, gdy wyraz twarzy Markhama stopniowo się zmieniał, ewoluując od rozgoryczenia ku wściekłości.

– Potrzebuję więcej niż dwanaście tysięcy. O wiele więcej!

– Niech pan posłucha, panie Markham. Tę kwotę wyliczyliśmy na podstawie pana zarobków. Jest pan...

George przerwał jej.

– Wszystko to wiem. W końcu pracuję w dziale księgowym, jeśli pani nie pamięta. Chodzi o to, że myślałem, że tych pieniędzy będzie więcej! Dużo więcej. Potrzebuję więcej, na miłość boską! Czy potrafisz to zrozumieć, ty głupia suko?

Oczy Josephine Denham rozszerzyły się niewiarygodnie. Wstała z fotela, zachowując resztki godności.

– Rozumiem, że jest pan zdenerwowany, panie Markham, ale rozmawianie ze mną w ten sposób nie poprawi pana sytuacji. Uważam, że będzie najlepiej, jeśli w tej chwili pan stąd wyjdzie. Powrócimy do tej rozmowy innego dnia. Kiedy będzie się pan czuł...

George ciężko oddychał. Dwanaście tysięcy funtów. Te trzy słowa fruwały wokół jego głowy, uderzając co chwilę w czaszkę. Dwanaście tysięcy funtów powracało do niego jak refren.

Nie ruszał się z miejsca. W tej chwili nie widział już Josephine Denham. Widział jedynie trzy tysiące funtów, które będzie musiał zapłacić za paszport i Tony'emu Jonesowi za zgłoszenie się za niego na

badanie krwi.

Kobieta wyszła z gabinetu i skierowała się do pokoju księgowych. Wyciągnęła stamtąd Petera Renshawa i pośpiesznie wytłumaczywszy mu sytuację, zaprowadziła do swojego gabinetu.

Był pusty. George'a tam nie było.

– Już myślałam, że mnie uderzy!

Po raz pierwszy w życiu Peter Renshaw popatrzył na atrakcyjną kobietę, nie interesując się jej piersiami, oczyma, włosami ani nogami. Wiedział, o co chodziło George'owi. To miejsce było całym jego życiem. Jego ucieczką.

– Czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, że zapewne ten mężczyzna doskonale wie, że jest skończony? Że już nigdy w życiu nie będzie pracował? Że na miejsca pracy, na które złoży aplikacje, czekają już dziesiątki młodszych od niego kobiet i mężczyzn? Że ma żonę i dom? Oczywiście, że to nie przyszło pani do głowy, pani Denham, ponieważ nigdy nie myśli pani o innych, a jedynie o sobie i tej cholernej firmie. Ale kiedy nadejdzie czas, a nadejdzie z całą pewnością, mam nadzieję, że ktokolwiek będzie pani wypowiadał pracę, okaże przy tym odrobinę więcej taktu.

Wypowiedziawszy te słowa, wyszedł z gabinetu Josephine Denham, pozostawiając ją z rozdziawionymi ustami.

Na biurku leżała kartka papieru, którą pokazała George'owi. Wzięła ją do ręki i popatrzyła na nią. Dwanaście tysięcy funtów. Nie było to wiele za piętnaście lat pracy.

Elaine była już zmęczona leżeniem i postanowiła wstać. Po wypiciu filiżanki herbaty i pobieżnym przeczytaniu gazety, którą znalazła w kuchni, uznała, że musi zrobić coś, co trochę oderwie jej myśli od wydarzeń wczorajszego wieczoru. Myjąc filiżankę, popatrzyła na ogród i przyszła jej do głowy pewna myśl. Mogłaby przygotować do kiełkowania nasiona pomidora. Każdego roku o tej porze George wrzucał je do szafki do przesuszania bielizny i dopiero potem trafiały do szklarni. Dzięki tym zabiegom przez całe lato mieli mnóstwo dużych, czerwonych, soczystych pomidorów.

Wróciła na górę i ubrała się. Po kilku aspirynach głowa bolała ją znacznie mniej. Ostrożnie nałożyła starą bluzę od dresu, a następnie znoszone spodnie, na których już jej nie zależało. Elaine była kobietą, która nie znosiła bezczynności. To dlatego jej dom był zawsze nieskazitelnie wysprzątnany. Gdyby miała codziennie chociażby pięć minut dla siebie, jej myśli natychmiast biegłyby ku temu domowi i sposobowi, w jaki żyje z George'em, wpędzając ją w depresję.

Zeszła do szopy ogrodowej. Cuchnęło tu stęchlizną, jak to w szopie.

Rozejrzała się. George urządził ją sobie całkiem przytulnie, jak małe królestwo. Miał tu prawdziwą samotnię. W końcu spędzał tutaj mnóstwo czasu.

Nagle Elaine poczuła się tu jak intruz. Wzruszyła ramionami. W końcu była to tak samo jej szopa jak George'a. On zajmował się ogrodnictwem, ona domem.

No, dobrze, ale gdzie są nasiona? Poszukiwania rozpoczęła od małego regału, który zbudował George. Leżały na nich cebulki gladioli, czekające na zasadzenie. Każę mu zasadzić w tym roku trochę przy frontowych drzwiach; ozdobią dom gamą kolorów. Tak, tak właśnie trzeba będzie zrobić. Zaczęła planować w myślach kształt ogrodu, dzięki czemu oderwała się wreszcie od drążących ją zmartwień. Skoro George został zwolniony z pracy, będzie miał teraz sporo czasu na zajmowanie się ogrodem. Zmieni w nim mnóstwo rzeczy. Kupi krzaki róż. Elaine lubiła ładne róże, a George był dobrym ogrodnikiem. Był cierpliwy i dokładny. W ogrodzie Markhamów nie było nawet śladu chwastów.

Zaczęła uprzątać stare biurko z różnych niepotrzebnych rzeczy i natrafiła na magazyny ogrodnicze George'a. Postanowiła je przejrzeć. Może znajdzie w nich jakieś ciekawe pomysły? Na przykład na mały staw i skalniak?

Zebrała z biurka wszystkie magazyny i nagle zamarła w bezruchu. Wpatrywała się właśnie w czasopisma George'a, nie bardzo wiedząc, co takiego oglądają jej oczy.

A na Elaine patrzyła chińska dziewczyna, prawie całkowicie naga, z łańcuchem owiniętym dookoła szyi.

Dziewczyna uśmiechała się.

Elaine wzięła magazyn do ręki i gapiała się na fotografię, czując, jak treść żołądka podbiega jej do gardła.

Pod tym magazynem znajdował się kolejny. Ten miał na okładce tytuł *Nazistowskie tortury*, a fotografia przedstawiała dwie kobiety w mundurach SS, ciągnące za sobą skąpo ubraną dziewczynę.

Elaine mocno zamknęła oczy i po chwili je otworzyła. Niestety, magazyny nie zniknęły, istniały naprawdę.

Powoli odepchnęła je wszystkie na bok. Serce zaczęło jej nagle ciążyć. Pod magazynami znalazła kilka brulionów. Wzięła je do ręki i, usiadłszy w wygodnym fotelu

George'a, otworzyła pierwszy z nich. Był pełen gazetowych wycinków o Rozpruwaczu z Yorkshire. Czas sprawił, że pożółkły i z trudem można było je odczytać.

Wśród wycinków znajdowały się także fotografie ofiar. I nagłówki, które krzyczały do Elaine: ZOSTAŁEM WYBRANY, ŻEBY ZABIJAĆ. JEJ OCZY DOPROWADZIŁY MNIE DO SZALEŃSTWA. ROZPRUWACZ NA

PODIUM DLA ŚWIADKÓW.

Zamknęła brulion i otworzyła kolejny.

Tym razem wycinki były nowsze. Wszystkie dotyczyły Rozpruwacza z Grantley i nagle Elaine zrozumiała, co się stało. Było to jasne jak słońce.

To George zamordował te wszystkie kobiety.

George był chory.

Zaatakował ją.

Elaine w pośpiechu zaczęła układać bruliony i magazyny tam, gdzie je znalazła. Musi jak najszybciej iść na policję. Zdenerwowana, tylko półświadomie zarejestrowała cień, który mignął za oknem szopy. Nawet nie usłyszała, jak otworzyły się drzwi. Kiedy się odwróciła, stanęła twarzą w twarz z George'em. Jej przerażenie było tak wielkie, że zamiast wrzasnąć, tylko cicho jęknęła. Gdyby nie przytrzymała się biurka, pewnie padłaby na podłogę zemdlna.

George patrzył na nią i się uśmiechał. Skromnym uśmiechem, w którym zaledwie obnażał zęby.

– Chodź do domu na filiżankę herbaty, moja droga. Jesteś biała jak papier. Chyba przeżyłaś szok.

Kate jadła właśnie lunch w kantynie, kiedy powiedziano jej, że jest do niej telefon. Podeszła do aparatu umieszczonego na ścianie przy drzwiach i podniosła słuchawkę.

– Mówi Burrows.

– Kate? To ja, Dan.

Poczuła falę lęku, usłyszawszy głuchy ton jego głosu. Stanęła bliżej ściany, starając się, aby nikt nie podsłuchiwał jej słów.

– Posłuchaj, Dan. Chodzi mi o to, co się stało... Przysięgam, nie miałam pojęcia...

Przerwał jej.

– Wiem. Powiedzmy sobie prawdę, Kate, sam się o to prosiłem. Możesz powiedzieć temu... twojemu przyjacielowi, że sprawa jest załatwiona. Już nie masz na głowie Biura Policji Kryminalnej. Byłem u Lizzy i powiedziałem jej, że wyjeżdżam z Antheą.

– A wyjeżdżasz?

– Tak. Telefonowałem do niej dziś rano. Damy sobie jeszcze jedną szansę.

To było kłamstwo. Dan zamierzał po prostu wyjechać z Grantley jak najdalej. Nie chciał, żeby cokolwiek przypominało mu o Patricku Kellym.

– Mam nadzieję, że ci się uda, Dan. Naprawdę mam nadzieję.

Na linii coś zatrzeszczało, Dan wypowiedział kilka niewyraźnych

słów i Kate kilkakrotnie powtórzyła jego imię, zanim odwiesiła słuchawkę. Wróciła do stolika i zapaliła papierosa. W kantynie było mnóstwo ludzi, jednak szmer rozmów i chichotów do niej nie docierał.

Wciąż rozmyślała o Patricku i o tym, co zrobił. Kochała go i myśl ta ją przerażała.

Najgorsze było to, że choć ją przestraszył, zdenerwował, i tak pierwsze uczucie wobec niego nic nie osłabło. Pragnęła go. Desperacko, tak jak nikogo na świecie. Tego bała się bardziej niż czegokolwiek innego.

– Sto funtów za twoje myśli.

Głos Caitlina zabrzmiał przyjaźnie.

– Nie wzięłabym pieniędzy od starszego człowieka.

Caitlin roześmiał się, zdziwiony.

– Czy w wiadomej nam sprawie wszystko jest w porządku?

Pokiwała głową, na co Caitlin wyszczerzył zęby.

– No to masz Danny'ego z głowy. Pomyśl więc o czymś innym. Trwają badania krwi i na pewno jest o czym myśleć.

– Akcja przebiega sprawniej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, to pewne.

– A słyszałaś o Spencerze?

Kate potrząsnęła przecząco głową.

– Tak jak wszyscy policjanci, mężczyźni, otrzymał zaproszenie na badanie. Wściekł się! Uznał, że to celowe posunięcie, żeby zrobić mu szkodę w życiorysie. - Caitlin zagrzmiał głośnym śmiechem, przez co mnóstwo oczu skierowało się na niego i Kate. - Ale prawdziwe kłopoty spowodowały słowa Amandy.

Kate była zaciekawiona. Uśmiechnęła się do Caitlina.

– No, mów, mów.

Caitlin pochylił się nad stolikiem i wyszeptał:

– Powiedziała mu, że czytała tajny raport psychologów, z którego wynikało, że Rozpruwacz z Grantley między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia był policjantem, przy tym paranoikiem oraz człowiekiem o skłonnościach do gwałtownych i destrukcyjnych zachowań.

Kate zachichotała.

– Cóż, ten raport do kogoś pasuje.

– Ubawiłem się setnie. - Caitlin znów głośno się śmiał. - Zabawna dziewczyna z tej Amandy. A więc Kelly spotkał się z twoim mężem?

Zmienił temat rozmowy tak szybko, że Kate straciła czujność.

– Tak. Już wszystko w porządku.

– Ten Patrick Kelly to bardzo przebiegły facet, wiesz? Ze wszystkim

da sobie radę. Dobrze mieć takiego przyjaciela.

Kate opuściła wzrok.

– Wiesz co? Mamy jeszcze dobrą godzinę wolnego. Chodź, kupię ci drinka w pubie. Bo jeśli chodzi o mnie, to mam w gardle tak sucho jak myszołów w kroczu.

Kate zamknęła oczy.

– Wiesz co? Czasami bywasz nadmiernie wulgarny.

– Jasne. Moja żona, biedna kobieta, mawiała to samo. Panie, świeć nad jej udręczoną duszą.

– Tęsknisz za nią, prawda?

– Tak, Katie, z każdym dniem coraz bardziej. Miała język jak żmija, ale przecież była moją żoną. Dalej napijmy się, dziewczyno. To miejsce napełnia mnie przerażeniem. Ta cała młodzież powoduje u mnie skurcze żołądka.

Kate wstała i ruszyła za nim w kierunku wyjścia z kantyny. W sumie i jej przydałby się jeden głębszy.

Elaine siedziała naprzeciwko George'a przy kuchennym stole. Przyrządził jej filiżankę kawy, która stała przed nią, już zimna, z grubym kożuchem mleka na wierzchu. George milczał, jedynie uśmiechał się do niej od czasu do czasu, popijając własną kawę.

– Elaine. - Jego głos był tak cichy, że z trudem go usłyszała, lecz mimo to aż podskoczyła na krześle. - Nie bój się, Elaine. Przecież nie zrobię ci nic złego. Nie potrafiłbym.

Przygryzła wargę.

– Nikogo nie chciałem zamordować, uwierz mi, moja droga. To się po prostu stało. - Rozłożył przed sobą ręce w geście bezradności. - Nie wiem, co to jest. Po prostu patrzę na nie i widzę, że wszystkie to kurwy, każda jedna.

Kiwał teraz głową sam do siebie, a Elaine poczuła ból, gdyż bezwiednie wbijała sobie paznokcie w skórę na dłoniach.

– Nawet ta suka O'Leary z jej dziećmi. Będzie im znacznie lepiej bez niej, uwierz mi. Nie widziałas jej takiej, jaką ja widziałem. Z rozłożonymi nogami na piachu. Nie miała na sobie rajstop, a na dworze był mróz. Była zdziwła, flądram... brudną, śmierdzącą flądram.

Elaine położyła dłonie na uszy, żeby nie słyszeć jego głosu. George wstał. W panicznym strachu Elaine zerwała się z krzesła i ruszyła w kierunku kuchennych drzwi. George złapał ją za włosy. Wrzasnęła, gdy jej głowę ogarnęła fala przeraźliwego bólu. Krew znów zaczęła płynąć z rany. George pchnął ją na podłogę, przez cały czas doskonale panując nad sobą. Stał nad nią, potrząsając głową.

– Byłaś dla mnie udręką, Elaine, wiesz o tym?

Jej usta puchły od zderzenia z podłogą. Wkrótce poczuła w nich krew.

– Dlaczego po prostu się ze mną nie rozwiodłaś? Dlaczego musiałaś tu tkwić przez te wszystkie lata i całą swoją osobą przypominać mi, co zrobiłem?

Kopnął ją z całej siły w żołądek. Elaine na chwilę straciła oddech.

– Teraz muszę cię zabić. Chyba to rozumiesz, co? Nie mogę ci pozwolić żyć, skoro znasz mój mały sekret.

George kilkakrotnie cmoknął z rozdrażnieniem. Elaine patrzyła na męża przez zalane łzami oczy.

Zrozumiała, że George jest szalony, jak Kapelusznik z *Alicji w Krainie Czarów*, i że już nigdy nie będzie mogła spotkać się z Hectorem, przyjaciółkami ani w ogóle z nikim. Właściwie była martwa.

Przestąpił nad jej bezwładnym ciałem i wyszedł do holu. Elaine słyszała, jak gwizdał pomiędzy zębami; od wielu lat działało jej to na nerwy. Widziała ze swojego miejsca, jak otwiera szafę na ubrania i jak unosi klapę w podłodze. Ocieężała, z bólem towarzyszącym każdemu ruchowi, podniosła się na kolana. Przytrzymując się ściany, zdołała wstać. Podłoga pokryta była jej własną krwią; chwając się, słyszała, jak na kafelki skapują kolejne krople. Poza tym czuła krew na twarzy i na szyi.

George wyciągnął swój wojskowy nóż i ruszył ku Elaine. Znowu cmokał jak krnąbrne dziecko.

Usłyszała jego oddech. Rzuciła się do ucieczki w kierunku kuchennych drzwi, jednak natychmiast poczuła, jak ostrze noża przecina materiał jej bluzy i łopatkę. Zebrała resztki sił i próbowała schronić się przed George'em z drugiej strony stołu. Ząbkowane ostrze noża utkwilo w wełnie bluzy i George patrzył zafascynowany, jak Elaine próbuje utrzymać się na nogach, brocząc krwią, z nożem zwisającym z pleców.

Potrząsnął głową. Elaine zawsze była taka trudna.

Przeszła jeszcze kilka kroków i wreszcie opadła na kolana. Głośno, ciężko dyszała. Każdy oddech sprawiał jej ból.

Podszedł do niej, delikatnie wyciągnął nóż z bluzy i uniośł go nad jej głową. Kiedy to zrobił, Elaine odwróciła twarz i popatrzyła mu prosto w oczy.

– George! Proszę... proszę, George...!

Zakaszła i struga krwi wypłynęła z jej ust. George, starannie przymierzwszy, dźgnął ją w sam środek łopatki, wbijając ostrze w ciało aż po rękę.

Elaine upadła na twarz, a George obserwował, jak jej ręce i nogi

podrygują w ostatnich przedśmiertnych drgawkach. Wreszcie westchnął.

Elaine przestała się ruszać. Policzek miała przyciśnięty do białych kafelków, a jej zielone oczy patrzyły pusto w kierunku listwy przypodłogowej.

George ukląkł obok zwłok i uporządkował pomarańczowe włosy, odgarniając je z nieruchomej twarzy Elaine, która zawsze była trudną kobietą. Teraz jednak wreszcie spoczywała w spokoju.

Zaparzył sobie kawę i usiadł przy kuchennym stole, popijając w milczeniu i wpatrując się w ciało żony.

Chwilę później znów zaczął gwizdać przez zęby. Musiał coś zaplanować. Musiał wszystko uporządkować.

Popatrzył na zegarek. Była trzecia piętnaście po południu. Przygotował sobie kanapkę i zaniósł ją do salonu. Postanowił dla relaksu obejrzeć jeden z filmów. W końcu miał dzisiaj bardzo ciężki dzień.

Tony Jones wpatrywał się w mężczyznę siedzącego naprzeciwko. Larry Steinberg mógł załatwić właściwie wszystko dla każdego. Jeśli zapragnął nepalskiego jaka, Larry wkrótce go mu dostarczał, i to po bardzo przystępnej cenie. Tony patrzył, jak drobny mężczyzna przesuwając pincez wzdłuż nosa, umieszczając je w końcu odrobinę poniżej wielkiej brodawki.

– Miałem z tym trochę kłopotu, Tony, ale dla ciebie załatwiłem to najszybciej, jak się dało. Jak mówiłeś, po co to potrzebujesz?

– Nie mówiłem.

– Oczywiście, masz tam jakieś swoje powody. Moi przyjaciele z biura paszportowego stali się ostatnio bardzo kosztowni. Ale dla ciebie, drogi przyjacielu, zrobię to po starej cenie.

Z wewnętrznej kieszeni ubrania Tony wyciągnął brązową kopertę i położył ją na biurku. Larry otworzył ją i starannie przeliczył pieniądze. Dokładnie jeden tysiąc funtów.

Niezły zarobek, jak na dzień pracy. Otworzył z kolei szufladę i wyciągnął z niej paszport w bordowym kolorze. Położył na biurku.

– Jak widzisz, został wystawiony już w Unii Europejskiej.

Tony otworzył paszport i popatrzył na swoją fotografię.

– Dzięki, Larry. Chyba mam u ciebie dług wdzięczności.

Wstał, wsunawszy paszport do górnej kieszeni. Larry popatrzył za nim, jak wychodził z jego biura, po czym podszedł do okna. Z tego stanowiska obserwował, jak Tony przechodzi przez jezdnię i przywołuje „Czarną taksówkę”¹.

Larry był zaintrygowany.

Paszport wystawiony został na George'a Markhama z Grantley, w hrabstwie Essex. Facet ten miał już roczny paszport turystyczny, a także dziesięcioletni, z terminem ważności upływającym za osiemnaście miesięcy. Larry rozumiał, że dzieje się coś nie do końca koszerne, ale za żadne skarby nie potrafił wykombinować, co takiego.

W jego głowie ostrzegawczo dzwonił dzwonek i Larry nie był w stanie znaleźć wyłącznika.

Podszedł z powrotem do biurka i wsunął do swojego portfela tysiąc funtów z koperty. Dobrze, że przynajmniej dostał odpowiednią zapłatę. W dzisiejszych czasach była to wartość sama w sobie.

Tony Jones wszedł do Sexplosion i od razu nalał sobie dużą szkocką. Osuszył szklanekę do dna. Alkohol wgrzył się w jego gardło i żołądek, rozpalili nękający go wrzód.

Potworność tego, co wiedział o George'u Markhamie, przytłaczała go. Za każdym razem, kiedy o tym wspominał, zbierało mu się na mdłości.

Przez całe życie Tony przebywał pomiędzy różnymi łotrami i lajdakami, sutenerami i prostytutkami. W swoim czasie miał do czynienia z facetami, których uważano za szefów gangów. W jego biznesie było to od czasu do czasu nieuniknione.

Zawsze był dumny ze swojej zdolności do funkcjonowania ramię w ramię z najbardziej gwałtownymi ludźmi, pilnowania własnego interesu i tego, żeby głowę zawsze trzymać ponad lustrem wody. Nie otrzymywał od nich kartek świątecznych, ale na ogół darzyli go pewnym umiarkowanym szacunkiem.

Jego sklep był jednym z najstarszych na West Endzie. Przez wiele lat prowadził go jego ojciec, zanim wreszcie przekazał schedę jedynemu synowi. Był to dochodowy interes, tym bardziej teraz, kiedy pornografia zyskała znacznie szerszą akceptację społeczną. Miał do czynienia z najgorszymi prostytutkami i najbardziej bezwzględnyimi sutenerami. Jednak żadna z tych osób nie przeraziła go tak jak George Markham, niepozorny człowieczek o zabawnym uśmiechu.

Kiedy nalał sobie kolejnego solidnego drinka, na zaplecze sklepu tanecznym krokiem wszedł Emmanuel. Zatrzepotał rzesami ciężkimi od tuszu.

– Potrzebowałbym trochę pomocy w sklepie, Tony, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Padam z nóg.

Tony zmierzył chłopaka groźnym spojrzeniem.

– Emmanuel, odchrzań się i nie przychodź tutaj dzisiaj, chyba że wpadną do nas psy albo Joan Collins przyjdzie, żeby kupić wibrator. Rozumiesz?

Chłopak zacisnął wiśniowe usta i niemal wybiegł z pokoiku. Och, ten

Tony Jones potrafił być wstrętny. Emmanuel ujrzał kolejnego klienta w doskonale skrojonej brązowej marynarce i natychmiast się rozpromienił. Lubił poznawać nowych ludzi.

Uśmiechnął się do mężczyzny. Najpiękniejszym uśmiechem. Miał przed sobą cały dzień. Wszystko wskazywało na to, że Tony zamierza zalać się w trupa w samotności. Ostatnio zdarzało mu się to dość często.

– W czym mógłbym panu pomóc?

Mężczyzna w brązowej marynarce uśmiechnął się nieśmiało.

Emmanuel odpowiedział szerokim uśmiechem. Już wiedział, że facet wyda przynajmniej pięćdziesiąt funciaków.

George oglądał film. Coraz bardziej się odprężył, był wręcz zadowolony z siebie. Wreszcie wyłączył wideo i rozsiadł się wygodnie na kanapie. Uśmiechnął się do siebie. Nigdy więcej Elaine. Nigdy więcej udawania grzecznego i uniżonego.

Ale zaraz jego twarz poszarzała. Nigdy więcej alibi od Elaine.

Po chwili się rozchmurzył. Skąd ten pesymizm? Chyba stąd, że jego mózg pracował dzisiaj w nadgodzinach. Przecież jeżeli będzie dobrze planował, wszystko mu się uda.

Jeśli na jakiś czas wyjedzie, a potem wróci, będzie mógł powiedzieć, że Elaine go opuściła. Jeśli pojedzie do Edith, na Florydę, będzie mógł powiedzieć, że to się stało właśnie tam. Poza tym teraz, skoro został zwolniony z pracy, może sprzedać dom i wreszcie stanie się wolnym człowiekiem. Im więcej nad tym myślał, tym bardziej wydawało się to realne.

Czuł się pod każdym względem doskonale. Jaki był sprytny! Poklepał się po plecach. Był sprytniejszy niż cała banda mała.

Ale co zrobić z Elaine? Gdzieś będzie musiał ukryć ciało. Pomyślał o pochowaniu jej w ogrodzie, ale zaraz odrzucił ten pomysł.

Zostawi ją pod nosem wszystkich, a i tak jej nie znajda. Tylko gdzie? Wiedział jednak, że rozwiąże ten problem.

Zadzwoił telefon i George aż podskoczył. Odgłos dzwonka rozbrzmiewał w całym domu, denerwując George'a. Wyszedł do holu i podniósł słuchawkę.

– Halo, George. Mówi Margaret. Jak się czuje Elaine?

Poczuł, że serce zaczyna mu szaleć w piersiach.

– Och, dość dobrze, Margaret, ma się trochę lepiej... Jednak wątpię, czy pokaże się w tym tygodniu w pracy.

– Mogłabym zamienić z nią słówko?

– W tej chwili śpi. Powiem jej, że telefonowałaś, Margaret. Będzie jej pewnie przykro, że nie mogła podejść do aparatu.

– Rozumiem. Jeszcze zadzwonię w tym tygodniu. Cześć.

George odłożył słuchawkę.

Cała rozmowa trwała nie więcej niż dwie minuty, lecz George odniósł wrażenie, że minęły dwa tygodnie.

Wpadł do kuchni, wściekły na cały świat. Elaine wciąż leżała na podłodze, a jej niewidzące oczy wpatrywały się w listwę przypodłogową.

– To była twoja przyjaciółka, Margaret. Sprawdzala, co u ciebie, jak to ona. Słuchasz

mnie?

George klęknął i złapał martwą kobietę za włosy. Wściekle spojrzał jej w oczy.

– Żadnego z ciebie pożytku, Elaine. Tylko kłopoty. Zawsze taka byłaś. Kłopotliwa.

Nagle, jakby prawdziwe znaczenie wydarzeń dopiero teraz do niego dotarło, utulił

głowę żony w ramionach i zaczął płakać.

Evelyn usłyszała kołatanie do drzwi i wyszła do hallu, żeby je otworzyć. Głośna muzyka dochodziła z pokoju Lizzy, więc babcia uśmiechnęła się do siebie, wycierając dłonie w fartuch. Dziecko znów zachowywało się tak, jak powinna się zachowywać dziewczyna w jej wieku. Ta myśl rozpromieniła ją.

Otworzyła drzwi. W progu stał Patrick Kelly.

– Och, dzień dobry. Kate akurat nie ma w domu, ale proszę, mimo wszystko, niech pan wejdzie.

Wszedł do holu i od razu usłyszał muzykę docierającą z piętra. Evelyn roześmiała się.

– To Lizzy. Jeśli przyszło panu do głowy, że jest przygłucha, wybaczam panu.

Przeszli do pokoju, gdzie Patrick zdjął płaszcz i usiadł przy stole.

– Właśnie przygotowuję duszoną jagnięcinę na kolację.

– Wspaniale pachnie.

Nalała kawę do dwóch filiżanek.

– Lubię gotować. To mnie odpręża.

Patrick wziął od niej filiżankę z kawą i od razu upił łyk.

Evelyn usiadła naprzeciwko niego i zapaliła papierosa. Po chwili wypuściła w powietrze kłęb dymu.

– Czym mogę panu służyć? A może to po prostu towarzyska wizyta?

– Towarzyska, ale nie całkowicie. Chodzi mi o pani wyprawę do Australii.

– Co w związku z nią?

– Cóż, prawda jest taka, że Kate raczej na nią nie stać. Zgadza się?

Evelyn po raz kolejny zaciągnęła się papierosem. Wiedziała, że Patrick ma rację, że Kate stara się o pożyczkę bankową na opłacenie podróży. Obiecała Lizzy, że poleci do Australii, i nie było mowy, żeby ją rozczarowała, nawet gdyby to oznaczało konieczność sprzedania samochodu i całej biżuterii, jaką posiadała.

Patrick potrafił przejrzeć myśli Evelyn. Westchnął. Wyciągnął z kieszeni kopertę i położył ją na stole.

– Co to jest?

– Są to, pani O’Dowd, dwa bilety pierwszej klasy na lot do Sydney, z czterodniowym przystankiem w Singapurze. Lot do krainy Oz jest niezwykle długi i przerwa w podróży bardzo panią ucieszy, proszę mi wierzyć. Chciałbym, żeby przyjęła pani te bilety i powiedziała Kate, że miała pani trochę odłożonych pieniędzy... Zresztą, niech pani jej powie cokolwiek. Niech myśli, że to pani zapłaciła za te bilety.

Evelyn dotknęła grubej brązowej koperty i popatrzyła Patrickowi w oczy.

– Zdaje się, że coś zaszło pomiędzy wami, prawda?

Patrick pokiwał głową. Nie było sensu kłamać. Opowiedział Evelyn o Danie. Przez cały czas, kiedy mówił, Evelyn nawet nie drgnęła powieka.

– To było sprzeczne z naturą Kate. Zresztą, szczerze mówiąc, sprzeczne także z moją naturą. Jednak jestem trochę większą realistką niż moja córka. Wiem, że trudne czasy wymagają stosowania odpowiednich środków. Dam panu pewną radę w kwestii Kate, dobrze? Niech pan zawsze pamięta, że praca zawodowa jest dla niej najważniejszą sprawą w życiu. Ciężko walczyła o pozycję, jaką obecnie zajmuje, i fakt, że mimo wszystko związała się z panem, znając pańską reputację, przemawia bardzo mocno na pana korzyść. Dotąd miała w życiu tylko jednego mężczyznę, Danny’ego Burrowsa. Teraz ma pana. A może powinnam powiedzieć, że miała pana? Sama nie wiem. Wie to tylko Kate. Jeśli zależy panu na mojej córce, a myślę, że panu zależy, musi pan o tym wszystkim pamiętać. Uważam, że fakty przemawiają za panem i wcale nie stoi pan na straconej pozycji. Kate jest bardzo uczciwą osobą.

Patrick miał dość taktu, że nie patrzył na nią, kiedy mówiła, i Evelyn potrafiła to docenić. Wiedziała, że ten mężczyzna kocha jej córkę, słyszała to w sposobie, w jaki wymawiał jej imię, widziała to w sposobie, w jaki próbował działać dla jej dobra. Chociażby te bilety do Australii. Bardzo drogi sposób poprawiania sytuacji, ale przecież, bez wątpienia, o to mu właśnie chodziło. Otworzyła kopertę.

Bilety były wystawione na dziewiątego marca, odlot z Heathrow. Evelyn popatrzyła na Patricka i zmarszczyła czoło.

Patrick z rezygnacją wyciągnął rękę i odebrał jej kopertę. Włożył ją z powrotem do kieszeni.

- Przecież nie powiedziałam, że ich nie przyjmę, prawda?

Jej głos brzmiał łagodniej niż przed chwilą. Teraz to ona wyciągnęła rękę i Patrick oddał jej kopertę. Wyszedł po kilku minutach z lżejszym sercem.

Evelyn wypuściła go, a potem popatrzyła w górę, na drzwi pokoju Lizzy. Dudnienie muzyki wciąż było wyraźnie słyszalne.

Dziecko nie miało pojęcia, że był tu Patrick Kelly. Może to i dobrze? Kate była dość sprytna, żeby natychmiast dodać dwa do dwóch. Evelyn miała nadzieję, że uwierzy w jej historię o pieniądzach z ubezpieczenia po śmierci ojca.

Weszła do kuchni i włożyła kopertę do kieszeni fartucha. Świadomość, że się tam znajduje, napawała ją ciepłym zadowoleniem. Wkrótce zobaczy swoje pozostałe wnuczęta, i to dzięki Patrickowi Kelly'emu.

Niezależnie od tego, co myśleli o nim inni, polubiła go. Był produktem świata, w którym wszyscy obecnie funkcjonowali, i fakt, że wiedziała, jakiego typu życie prowadzi, nie wprowadził jej ani w zakłopotanie, ani też nie wywoływał w niej najmniejszych wyrzutów sumienia.

A jeśli chodzi o to, co zrobił Danowi... Wzruszyła ramionami. Przecież Dan wręcz się o to prosił, i to od wielu lat.

Żałowała jedynie, że nie znajdowała się wówczas na miejscu zdarzenia, żeby widzieć poniżenie i udrękę byłego zięcia.

¹ "Czarne taksówki" są dość popularnym w pewnych stolicach Zachodu środkiem lokomocji. Są to prywatne samochody, prowadzone przez Murzynów. Ceny przejazdów są niższe średnio o 50% od stosowanych w regularnych taksówkach. Proceder jest, oczywiście, nielegalny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

George popatrzył na zegar. Była piąta trzydzieści pięć i na dworze wciąż panowała ciemność. Przetarł oczy. Czuł się, jakby ktoś nasypał mu do nich piasku, czuł też na rękach dziwny zapach. Leniwie wyciągnął rękę i zapalił małą nocną lampkę. Skrzywił się, kiedy blask dotarł do jego oczu.

Na dłoniach miał rdzawe plamy. Przyglądał się swym rękom, jakby widział je po raz pierwszy, i usiadł na łóżku. Był kompletnie ubrany. Zmarszczył czoło.

Odrzuciwszy kołdrę, wyszedł z pościeli i niepewnie stanął na dywanie.

W ustach miał sucho, czuł w nich chropowatość i z trudem przełykał ślinę. Koniecznie musiał napić się kawy. Mruczając jakąś melodię, zaczął schodzić po schodach. Wszedł do kuchni i włączył światło, które natychmiast oświetliło zwłoki Elaine. Zignorowawszy je, podszedł do zlewozmywaka i napełnił wodą czajnik. Zaparzył sobie mocną słodką kawę. Przystąpiwszy przez zwłoki, usiadł przy stole. Po chwili poszedł do holu i przyniósł sobie cygara, które w zasadzie palił tylko na Boże Narodzenie. Zapalił jedno i przez kilka sekund mocno się zaciągał, żeby je w pełni rozpalic.

Westchnął, rozkoszując się swoim szczęściem. Kawa i cygara. Cygara i kawa.

Uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Był teraz całkowicie wolny.

Wreszcie popatrzył na Elaine.

Dzisiaj Elaine zniknie na zawsze. Już wiedział, co powinien zrobić. Najpierw jednak musi wziąć prysznic.

George wziął wymarzony prysznic i teraz zajmował się już wkładaniem Elaine do dwóch wielkich czarnych worków, nałożonych jeden na drugi. Najpierw schował do nich jej głowę i ramiona. Niewidzące oczy trupa działały mu na nerwy. Głowa prawie przykleiła się do podłogi, leżąc we krwi, która powoli zmieniała kolor na brązowoczerwony. Wiedział, że straci dużo czasu na zeskrobywanie jej z kafelków, którymi wyłożona była podłoga. Kiedy wreszcie głowa była zakryta, popatrzył na dolną część zwłok. Przewrócił je na drugą stronę, żeby mu było łatwiej je przesuwac, i nagle ujrzał nogi Elaine, szeroko rozrzucone. Wyobrazil ją sobie bez podniszczonych spodni i uśmiechnął się do siebie, poczuwszy

znajomą ekscytację. Krew, która była dosłownie wszędzie, dodatkowo go podniecała.

Lubił krew. Lubił czuć jej lepkość, jakby dotykał szkarłatnej spermy. Ściągnął z Elaine sportowe buty i spodnie, po czym wbił wzrok w jej mlecznobiałe nogi. Miała na sobie białe majtki, a jej grube rude włosy łonowe wystawały z boków, spod ich gumek, tak wyraźnie, że od razu poczuł wielkie zadowolenie. Widziana w ten sposób Elaine była dla niego kobietą doskonałą. Bez twarzy, nie żądającą niczego i całkowicie poddana jego woli.

Dźgnął palcem w jej pochwę i wyczuł w niej miękkość. Przesunął palcem pod jej majtkami, po włosach łonowych.

Oblizwał wargi i wyczuł gromadzący się na nich pot. Złapał dłońmi majtki Elaine i zaczął je ściągać, powoli, delikatnie, stopniowo odsłaniając najbardziej intymne części jej ciała.

Rozpiął rozporek, pogrążony był teraz w najbardziej wysublimowanych fragmentach świata swoich fantazji. Zaczął ugniatać uda Elaine, czując w nich zimną siłę. Próbował je złożyć, żeby całkowicie ściągnąć z niej majtki. Jednak nie poddawały się! Szarpnął mocniej, by uzyskać zamierzony efekt. Nic z tego.

Oddychał coraz intensywniej i głośniej pod wpływem wysiłku oraz ogarniających go fantazji.

Zmarszczył czoło.

Elaine zawsze była taka sama: trudna. Nawet po śmierci, wciąż była niedostępna.

Oślizną ręką otarł twarz. Nagle dotarła do niego świadomość, że w kuchni panuje totalny bałagan. Najlepiej będzie, jeśli posprząta. Na zabawę będzie miał jeszcze mnóstwo czasu.

Na prawdziwą zabawę, z kobietami o wiele lepszymi niż Elaine.

Zaczął upychać ją w workach. Jego ruchy były teraz szybsze, bardziej nerwowe. Wreszcie ukucnął na piętach i popatrzył na swoje dzieło. Elaine gniotła się w podwójnym worze jak kurczak.

Wstawszy, zasunął zamek rozporka, uprzednio starannie włożywszy koszulę w spodnie. Teraz wypije filiżankę dobrej herbaty, po czym przystąpi do drugiej fazy operacji.

Kelly czekał przed pubem, w którym Kate i Caitlin jedli lunch. Kiedy zobaczyła jego czarne BMW, poczuła szarpnięcie w piersiach. Caitlin wyszczerzył zęby i powiedział:

– Chyba masz towarzystwo, Kate. Zobaczymy się później.

Natychmiast zawrócił do pubu i pozostawił Kate samą na chodniku. Widziała twarz Patricka przez przednią szybę samochodu i mimo że

rozsądek podpowiadał jej, aby tego nie robiła, podeszła do samochodu i wsiadła do środka.

– Cześć, Kate. - Głos Patricka brzmiał zupełnie normalnie, lecz ona z trudem przełknęła ślinę.

– Cześć. - Pozwoliła mu ruszyć.

Jego bliskość odbierała jej oddech. Czowała zapach męskiej wody po goleniu. Mimo wszystko cieszyła się, że go znów widzi. Wprawilo ją to w duże zakłopotanie.

Patrick dojechał do swojego domu. Kiedy wysiadł z samochodu, ona także wysiadła i ruszyła za nim. Przez cały czas nie odezwali się do siebie niemal ani jednym słowem. W jadalni stół zastawiony był dla dwóch osób. Prawie natychmiast Kate poczuła wspaniały zapach pieczenia.

Patrick podsunął jej krzesło i usiadła.

– Przepraszam, Kate. Wiem, że moje postępowanie z Danem było błędem. Przysięgam jednak, po prostu chciałem ci pomóc, to wszystko. Chciałem, żeby Biuro Policji Kryminalnej dało ci spokój; nie widziałem innego sposobu, żeby ci to zapewnić. Nie miałem zamiaru w żaden sposób go skrzywdzić. Chodziło mi jedynie o nastraszenie go.

Kate wyczuła w jego głosie ton desperacji. Twarz Patricka wyrażała absolutną uczciwość. Ale czuła też, że ten mężczyzna po prostu jej pragnie. Rozejrzała się po pięknym pokoju. Pluszowy dywan, na ścianach akwarele, drogie obrusy i sztuce. Zrozumiała, że tęskniła za tym wszystkim, a szczególnie tęskniła za tym mężczyzną. Tęskniła całą swoją osobą i nieważne było, co on ostatnio zrobił. Przecież tchnął w nią życie, potrzebowała go. Niezależnie od tego, jaki rodzaj przyciągania ich łączył, było ono na tyle mocne, że musiała przyznać, iż to, co uczynił Danowi, zupełnie się nie liczyło, kiedy był przy niej, kiedy był blisko niej, kiedy mogła wyciągnąć rękę i dotknąć jego twarzy.

Popatrzyła na Patricka i ich spojrzenia spotkały się. To było coś więcej niż prosta wymiana spojrzeń. To było przyznanie, że łączy ich namacalna siła. Oboje znali się nawzajem na wskroś, każde z nich zdawało sobie sprawę z łączącej ich więzi, która sprawiła, że Kate jednak tu dzisiaj przyjechała.

Oczy Kate były jak ciemne plamki płynnego światła. Patrick szukał w nich jakiegoś znaku, że Kate mu ustępuje, że mu wybacza. Kiedy wzięła do ręki kieliszek z winem i uśmiechnęła się, poczuł się jak ktoś, kto otrzymał zastrzyk czystego szczęścia.

– Na zdrowie, Pat.

Upiła łyk ciemnoczerwonego płynu. Kiedy to uczyniła, nie było już drogi odwrotu. W stu procentach zaakceptowała Patricka takiego, jakim był. Zapomni o Danie, zapomni o wszystkim, z wyjątkiem gwałtownego

pożądania, jakie łączyło ją i Patricka.

Patrick zdjął pokrywę z półmiska, który ustawił tu Willy w momencie, gdy oboje zajeżdżali przed dom, i nałożył na talerz Kate plastry wołowiny.

Kiedy odbierała od niego talerz, ich palce zetknęły się. Oderwali je błyskawicznie, jakby przypadkowy dotyk sprawił im fizyczny ból.

– Jak się ma Willy?

Patrick nałożył porcję mięsa na własny talerz i uśmiechnął się.

– Doskonale.

– To dobrze. Bardzo go lubię.

I naprawdę go lubiła. Wiedziała, że Patrick wpadłby we wściekłość, gdyby dowiedział się, że Willy do niej pojechał, jednak rozmowa o Willym była tylko fragmentem niezobowiązującej konwersacji, która pozwalała jej zebrać myśli.

– Czy zobaczymy się dziś wieczorem, Kate?

Uśmiechnęła się. Wzięła kęs soczystej wołowiny i otarła usta serwetką.

– Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się spotkać.

Patrick odłożył nóż i widelec, obszedł stół dookoła i wziął Kate w ramiona. Nie pocałowali się, lecz kiedy Patrick wtulił twarz w jej puszyste włosy, poczuła się tak, jakby nareszcie znalazła się w domu.

Ten mężczyzna był dla niej niebezpieczny, doskonale o tym wiedziała. A jednak już się zdecydowała. Będzie należał do niej.

Godzinę później była z powrotem w pracy, z lekkim sercem, najlżejszym od wielu dni. Wyglądała i czuła się wspaniale. W pokoju detektywów zostało do natychmiast dostrzeżone.

Detektyw sierżant Spencer, wciąż będący obiektem drwin po dowcipie Amandy Dawkins, wyszeptał Willisowi do ucha:

– Pieprzenie się z czarnym charakterem zdaje się sprawiać, że dziewczyna kwitnie.

Willis posłał mu nieprzyjazne spojrzenie. Spencer działał mu na nerwy. W gruncie rzeczy Spencer wszystkim działał na nerwy.

– Spencer, odpieprz się, dobrze?

Willis odszedł od niego. Zestawienie wyników badań mężczyzn, którym pobrano krew, okazało się trudniejsze, niż ktokolwiek sądził, ale nadzieja na bliskie złapanie Rozpruwacza z Grantley dodawała wszystkim animuszu.

Kiedy mężczyźni pobierano krew, pobierano od niego także odciski palców. Jeśli był już notowany, wtedy odciski palców porównywano z tymi, które znajdowały się w kartotece. Był to jeszcze jeden sposób na

potwierdzenie alibi badanego. Jeśli mężczyzna nie miał przeszłości kryminalnej, wówczas do identyfikacji potrzebny był jego paszport lub jakikolwiek inny wiarygodny dokument. Przyjmowano prawa jazdy, chociaż za bardziej wiarygodne uważano legitymacje z fotografią. Procedury porównawcze zabierały mnóstwo czasu. Brakowało ludzi, którzy na bieżąco kontrolowaliby piętrzące się nazwiska. A jednak było i tak znacznie lepiej, niż jeszcze zupełnie niedawno, kiedy poszukiwania Rozpruwacza utknęły w ślepej uliczce.

Willis zaczął sprawdzać kolejną teczkę. Zajmował się znanymi policji przestępcami seksualnymi. Ze względu na opóźnienia w systemie komputerowym, dopiero teraz otrzymali nazwiska przestępców, którzy obecnie przebywali w Grantley i okolicach, lecz zostali osądzeni i skazani w innych częściach kraju. Przenosili się z miejsca na miejsce, wszędzie znacząc swój pobyt zatargiem z prawem i pobytem w kolejnym więzieniu. Tych przestępców nazywano „latawcami”. Byli zakałą świata przestępczego; nie lubiła ich ani policja, ani inni łajdacy. Sterta teczek ułożona była w porządku alfabetycznym i Willis sięgnął po tę, która leżała na wierzchu.

Nazwisko: Desmond Addamson.

Willis zaczął przeglądać informacje: gwałt, podpalenie i ekshibicjonizm. Pokazał się w Grantley w połowie lutego. Za późno na pierwsze morderstwa. Willis podniósł słuchawkę telefonu. Na wszelki wypadek trzeba go jednak sprawdzić. Postanowił, że najpierw zatelefonuje do jego kuratora. Jeden nieostrożny ruch, kiedy wykręcał numer, spowodował, że stracił z biurka całą stertę tekturowych teczek. Odrzucił słuchawkę, próbując coś uratować. Za późno.

Teczki wylądowały na podłodze z głuchym grzmotem, a zawarte w nich dokumenty powypadały i porozlatywały się dosłownie po całym pokoju. Inni funkcjonariusze nagrodzili niezdarę złośliwymi okłaskami, ale Willis tylko uśmiechnął się i zaczął zbierać dokumenty. Czekala go mrówcza praca. Miną całe dni, zanim odpowiednie papiery znajdą się we właściwych aktach. Kiedy położył na biurku ostatni dokument, spojrzaly na niego z fotografii oczy George'a Markhama. Młodszego, z bardziej brązowymi i gęstszymi włosami, jednak, bez wątplenia, był to George Markham.

Willis zerknął na fotografię, lecz właściwie nawet jej nie zauważył.

George pił dobrą herbatę, zastanawiając się intensywnie, w jaki sposób wtaszczyć Elaine na strych. Myślał długo i intensywnie, gdzie ją umieścić, a potem właściwe rozwiązanie spadło na niego jak grom z jasnego nieba, w nagłym natchnieniu. Istniał tylko jeden problem: Elaine była wielka i ciężka. Jak ją tam wnieść?

Odpowiedź była tak prosta w swojej przebiegłości, że George uśmiechnął się szeroko, uradowany własnym sprytem.

Wstał, popatrzył na zwłoki Elaine zapakowane w czarne worki.

– Wychodzę, moja droga. Ale to nie potrwa długo.

Wyszedł do holu i nałożył swój najlepszy płaszcz. Po chwili, starannie zamknąwszy dom na klucz, pojechał do centrum handlowego w Grantley. Pozostawiwszy samochód na wielopiętrowym parkingu, przeszedł przez centrum miasta do małej firmy wynajmującej maszyny i urządzenia.

Stellman's Plant Hire funkcjonowała w Grantley już od dwudziestu lat. George zjawił się tutaj po raz pierwszy w życiu, stanął więc niepewnie pomiędzy kosiarkami do trawy, urządzeniami do przycinania tapet i tym podobnymi. Z uśmiechem na twarzy podszedł do niego jakiś młody człowiek.

– Czym mogę panu służyć?

– Bardzo pana przepraszam... - Głos George'a znów był potulny i unizony.

– Za co pan mnie przeprasza? - Chłopak przyjrzał się George'owi i wzruszył ramionami. - Czym mogę panu służyć?

– Ja... Ja chciałem wyciągnąć silnik z samochodu. Widzi pan, pewien mój przyjaciel chce mi podarować nowy silnik... - George nagle zamilkł. Pożałował, że wcześniej nie przygotował się do tej rozmowy.

Chłopak był jednak profesjonalistą.

– Rozumiem. Potrzebny jest panu mały blok z osprzętem. - Widząc zaskoczenie George'a, uśmiechnął się. - Udźwignie prawie tonę, ale jest bardzo lekki. To już nie ten sprzęt, który wypożyczaliśmy kilka lat temu. Bardzo prosty w użyciu. Na jak długo chce go pan pożyczyć?

Teraz George się uśmiechnął. Sprawa była o wiele prostsza, niż przypuszczał.

– Och, najwyżej na kilka dni.

– Rozumiem. Muszę jednak wypisać kwit na tydzień. Lepiej nie korzystać z tego urządzenia podczas deszczu. Kosztuje osiem funtów za dzień wypożyczenia, ale za tydzień tylko szesnaście. Plus VAT, oczywiście. Klątwa Margaret Thatcher.

George był wniebowzięty. Chłopak znał swój fach, bez dwóch zdań. W tym momencie zapłaciliby za to urządzenie każde pieniądze, jakich by zażądał. W gruncie rzeczy był zaskoczony, że otrzyma je tak tanio.

– Czy mogę to od razu zabrać ze sobą?

– Oczywiście.

Chłopak szybko wypełnił dokumenty, a George zapłacił gotówką. Wyszedł z firmy, mocno zaciskając ręce na wypożyczonym sprzęcie. W cudownym nastroju pojechał do domu.

Znalazłszy się na miejscu, rozpoczął najpilniejszą pracę, jaką miał do wykonania dzisiejszego dnia. Po pierwsze, udał się do szopy po drabinę. Wspiąwszy się po niej, otworzył strych, a klapę wjazdu po starannym wyczyszczeniu położył na swoim łóżku. Uważał, że nie ma potrzeby robienia nadmiernego bałaganu. Następnie wniósł na piętro blok wraz z osprzętem. Po bezpiecznych schodach z nierdzewnej stali ponownie dotarł do kwadratowego otworu w suficie i rozpoczął fazę numer dwa swojej operacji.

Znalazłszy się na strychu, rozejrzał się dookoła krytycznym wzrokiem. Po obu stronach dach opadał pod dużym kątem. Jego konstrukcję podtrzymywały trzy pary dźwigarów. George zszedł z powrotem do mieszkania i po chwili powrócił z grubą na pół cala poliestrową liną w uroczym jasnoniebieskim kolorze. Owinął ją wokół pierwszego dźwigara z lewej strony i solidnie do niego przymocował. Z kolei drugi jej koniec owinął wokół prawego dźwigara. Kilkakrotnie mocno za nią pociągnął, żeby sprawdzić mocowanie. Następnie zrzucił ją ze strychu i, schodząc w dół, nawet zawisł na niej na chwilę. Trzymała doskonale.

Puścił linę i wylądował na piętach. Był wesoły i zadowolony z siebie. Czuł się jak dziecko na placu zabaw. Uśmiechnął się i, podskoczywszy najwyżej, jak potrafił, złapał linę, po czym przez moment po prostu się na niej bujał.

Zaraz jednak przypomniał sobie o ważnym zadaniu, które musi wykonać, i znów stał się poważny, skupiony. Przez kilka minut sprawnie pracował, mocując blok na strychu. Wkrótce był gotowy.

Dreszcz zniecierpliwienia przemknął przez całe jego ciało. Wrócił do kuchni. Niezgrabnie ująwszy pod pachę worek ze zwłokami Elaine, zaczął ciągnąć go przez hol w kierunku schodów. Martwa Elaine stanowiła o wiele poważniejszy ciężar niż dotąd przypuszczał. W pewnej chwili musiał zostawić ją w połowie schodów na piętro, żeby napić się czegoś zimnego. Taszcząc ją, spocił się jak szczur. Opuściła go cała euforia, był teraz raczej zniechęcony do pracy, którą jednak musiał wykonać. Elaine zawsze wszystko mu utrudniała. Nie można było przy niej niczego zaplanować.

Zacisnął usta w cienką, zaciętą linię, rozmyślając z rozgoryczeniem o Elaine. Zapomniał nawet o wodzie.

Pół godziny później zaskoczył go przenikliwy dzwonek telefonu, który jak alarm rozległ się w cichym domu. Prawdopodobnie znowu dzwoniła ta wścibska dziwka, tak zwana przyjaciółka Elaine. Niechętnie wstał z krzesła, żeby podnieść słuchawkę.

- Halo - odezwał się swoim tradycyjnym potulnym, uniżonym głosem.

- George? - Serce podskoczyło mu do gardła. To był Renshaw. - Halo,

jesteś tam, Georgie, mój chłopcze?

– Tak. Cześć, Peter.

– Głupio to wczoraj wyszło, ale powiedziałem tej krowie, Denham, co o niej myślę. Chciałbym ci przypomnieć o jutrzejszym wieczorze. Zapomnisz na chwilę o kłopotach, a przeżyjesz noc, którą będziesz pamiętał do końca życia.

– Jutro? - George był zaskoczony.

– No, z okazji twojego odejścia z firmy.

– Och, tak, tak, przyjdę.

– W porządku. Spotkamy się w Fox Revived o wpół do dziewiątej, zgoda?

– Tak, doskonale.

– George, nikt cię nie wini, że wczoraj trochę się zapomniałeś. Miałeś do tego prawo. A poza tym ta suka wręcz domagała się nauczki. Dostała to, na co zasłużyła. Zresztą, wszystkie suki na to zasługują.

– Właśnie.

– A więc do jutra?

– Tak.

W słuchawce zaległa cisza i George odłożył ją na widelki. Peter Renshaw miał rację: wszystkie suki zasługują na nauczkę. On, George Markham, jest mężczyzną, który im tej nauczki udziela.

Wszedł kilka stopni po schodach i popatrzył na groteskowy wór ze zwłokami Elaine. Kolejna suka. Westchnął i zabrał się do pracy. Z trudem zataszczył ładunek na piętro. Starannie obwiązał worek liną po czym wszedł na strych. Następnie, używając kołowrotka przymocowanego do bloku, zaczął wciągać Elaine na górę.

Tym razem było łatwiej, niż się spodziewał. Kiedy zwłoki znajdowały się w połowie drogi, przerwał pracę i radośnie obserwował, jak się kołyszą. Pochwalił się za dobrą robotę. Znów czuł, że triumfuje.

Przerwał jednak obserwację, ponieważ praca nie była jeszcze skończona. Wciągnął zwłoki na strych, po czym zszedł do sypialni po klapę wjazdu. Po chwili umieścił ją na miejscu, pozostawiając na zawsze zwłoki Elaine na strychu. Zabrał drabinę i odstawił ją do ogrodowej szopy.

Teraz nadszedł czas na kuchnię. Patrząc na panujący tu bałagan, kilkakrotnie cmoknął, co było oznaką najwyższego rozdrażnienia. Wreszcie podwinął rękawy i napełnił zlewozmywak gorącą wodą.

Koniecznymu skończyć dzisiaj całą pracę.

Wysprzątanie kuchni zabrało mu całe trzy godziny. Nieskazitelnie białe kafelki na podłodze nadal jednak nie odzyskały zwykłego wyglądu. Krew pozostawiła rdzawe ślady, więc George postanowił wziąć całą butelkę domestosa i rozlać jej zawartość po podłodze. Kiedy ścierał gęsty

płyn, amoniak wręcz palił mu ręce i oczy. Lecz gdy skończył, podłoga wyglądała lepiej. Znacznie lepiej. Ale zacieki wciąż były widoczne. George cmoknął kilka razy i wzruszył ramionami. Zrobił, co mógł.

Powycierał wszystkie sprzęty w domu i starannie poodkurzał wszystkie powierzchnie. Zmienił jeszcze pościel i kapę na swoim łóżku, po czym przyrządził sobie omlet. Popatrzył na zegarek. Była siódma piętnaście.

Umył talerz i odstawił go na suszarkę. Przeszedł do salonu, zaciągnął zasłony i włączył lampę, a następnie telewizor. Nastawił kanał trzeci, a później telegazetę na stronie 251. Najpierw zaczął oglądać oferty biur podróży, wyobrażając sobie siebie w Tajlandii z jakąś miłą Tajką. Przeczytał gdzieś, że z tamtejszych barów można było zabierać dziewczyny po dwa dolary za całą noc. Któregoś dnia będzie musiał tego spróbować. Szkoda, że Elaine nie miała ataku serca albo że nie zmarła na jakąś inną śmiertelną chorobę. Dostałby za nią pieniądze z ubezpieczenia.

Zmienił stronę. Tym razem zainteresowały go tanie linie lotnicze. Niemal natychmiast znalazł to, czego szukał. ORLANDO, POBYT 21 DNI, WYLOT 23 LUTEGO.

W piątek.

Zjawi się w domu Edith i opowie jej, że Elaine rzuciła go dla innego mężczyzny. Uradowana jego niespodziewaną wizytą, wkrótce zapomni, z jakiego powodu do niej przyjechał. Całą sprawę będzie jeszcze musiał sprytnie rozegrać z przyjaciółkami Elaine, ale da sobie radę. Zresztą, wkroczył na drogę, z której nie było odwrotu. Szkoda, że rodzice Elaine nie żyją. Opowiadałby tym babom, że wróciła właśnie do nich.

Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer, który widniał na ekranie telewizora. Rezerwacja telefoniczna funkcjonowała do dziewiątej trzydzieści. Po pięciu minutach miał już miejsce w samolocie, za które zapłacił kartą kredytową, i bilet do odbioru na lotnisku Gatwick.

Odłożył słuchawkę i wyprostował się na krześle. Jeszcze jutro ta impreza pożegnalna. Pójdzie na nią. Pozostawał mu więc dzień jutrzejszy i czwartek na pozalátwanie ostatnich spraw. Westchnął, zadowolony.

Ciągle zajęty, oto cały George Markham. Po raz pierwszy w życiu znajdował się w centrum spraw, które kochał. I nad wszystkim doskonale panował.

George zatelefonował do pracy w środę nad ranem. Grzecznie poprosił o rozmowę z panią Denham i nerwowo czekał, aż jej głos zaskrzeczy w słuchawce.

– Halo.

– Pani Denham? Tutaj George Markham.

Ponieważ w słuchawce zaległa cisza, kontynuował:

– Chciałbym panią przeprosić za moje zachowanie. Widzi pani, to wszystko ze zdenerwowania...

Jej głos był słodki jak miód.

– Rozumiem. Rozumiem pańskie załamanie. - George niemal widział uśmiech na jej twarzy. - Gdyby nie chciał pan już wracać do pracy, załatwię to dla pana. - Teraz w jej głosie dało się wyraźnie wyczuć wahanie.

– Czy to naprawdę możliwe? Moja małżonka jest ciężko chora...

– Oczywiście. Zaraz to załatwię.

George czuł, że dziewczyna chce go jak najszybciej spławić, i radośnie wyszczerzył zęby.

– Jeśli chodzi o pieniądze...

– Och, przekazemy je na pańskie konto bankowe mniej więcej w ciągu trzech tygodni. To najwcześniejszy możliwy termin, niestety.

– Doskonale. Wspaniale. Bardzo pani dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I życzę panu powodzenia.

– Dziękuję pani. Do widzenia.

Josephine Denham odłożyła słuchawkę i poczuła wielkie zadowolenie. To, co robiła dla George'a Markhama, nie było do końca zgodne z przepisami, jednak uczyniłaby wszystko, byleby tylko pozbyć się tego faceta. Już sam jego widok sprawiał, że po plecach przebiegały jej ciarki. Zamierzała załatwić, żeby jak najszybciej dostał swoją forszę, dzięki czemu będzie miała z nim wreszcie święty spokój.

Tony Jones był zdenerwowany. Przebywał w Grantley już od dziesiątej trzydzieści nad ranem, przyzwyczajając się do miasteczka. Co za dziura! I wszystkie te cholerne pola dookoła! Zapewne leżało na nich mnóstwo krowich gównien.

Usiadł w Wimpy Bar w centrum miasta i obserwował, jak ludzie chodzą na badanie krwi. Co chwilę oblizywał usta. Spoconą dłonią trzymał w kieszeni paszport. Sporo za niego zapłacił i musiał odzyskać te pieniądze od George'a Markhama. Odczuwał szaleńczą ochotę, aby podejść do najbliższego patrolu policyjnego i wyznać, że wie, kto jest Rozpruwaczem z Grantley. Takie zachowanie byłoby stosowne i przyzwoite. Jednak Tony Jones zanadto kochał pieniądze, by zdobyć się na taki gest.

Kiedy tylko dostanie od George'a swoje trzy tysiące, pójdzie do Kelly'ego i zawrze z nim coś w rodzaju układu. Znał Pata Kelly'ego na tyle dobrze, by mieć świadomość, że jeśli dowie się on, iż Tony znał

nazwisko Rozpruwacza i nie przybiegł do niego natychmiast z tą wiadomością, Tony'ego Jonesa będzie można uznać za martwego. Ale ta nagroda, którą wyznaczył Kelly...

Najpierw trzeba załatwić to pieprzone badanie krwi. Później nadejdzie czas na spotkanie z Kellym.

Była pora lunchu i Tony zauważył, że kolejka mężczyzn czekających na badanie wydłużyła się. W czasie lunchu? Tony pokręcił głową z zastanowieniem. Gdyby był jednym z nich, wykorzystałby całe to badanie jako wymówkę do zwolnienia się na cały poranek albo popołudnie.

Czasami ludzie naprawdę go zadziwiali. Szczególnie ci, którzy nie potrafili dostrzec leżącej u stóp szansy.

Zamówił kolejną kawę i patrzył. Zapowiadał się długi dzień.

George wziął długą kąpiel i teraz czuł się doskonale. Ubrał się w pidżamę, która najlepsze dni miała już za sobą. Nałożywszy domowe pantofle, wyszedł do szopy po drabinę, żeby jeszcze raz wejść na strych.

Elaine znajdowała się tam, gdzie ją zostawił, i George nawet uśmiechnął się do niej. Biedactwo. Pewnie tam zamarznie. Po chwili, zacierając ręce, skierował kroki w róg strychu, w którym znajdował się zbiornik na wodę. Uważnie popatrzył na blaszany prostopadłościan.

To właśnie będzie miejsce ostatniego spoczynku Elaine.

Domy przy ulicy, przy której mieszkał George, zbudowano jeszcze przed wojną i w każdym z nich pierwotnie znajdował się zbiornik na wodę o pojemności sześćdziesięciu galonów. Większość domów dawno już zmodernizowano, ale George i Elaine o to nie zadbali. Pojemniki na wodę były bardzo duże, dlatego instalowano je jeszcze przed położeniem dachu i bez zdejmowania dachu właściwie nie można było ich ruszyć. W trakcie modernizacji po prostu je odłączano, zaspawano, i później nie służyły już do niczego. Jednak w domu George'a i Elaine przez ten zbiornik wciąż przepływała woda, służąca do spłukiwania toalety i do kąpieli. W kuchni mieli z kolei mały bojler, przez który płynęła woda do systemu centralnego ogrzewania. George uniósł pokrywę zbiornika i popatrzył na lustro wody. Na wierzchu unosiła się martwa mysz. Złapał ją za ogon i z odrazą rzucił w odległy kąt.

Zbiornik był szeroki na trzy i długi na cztery stopy oraz mniej więcej na trzy stopy głęboki. George'a ogarnęła fala zwątpienia. A jeśli się tam nie zmieści?

Odłożywszy pokrywę na miejsce, żeby mieć wolne ręce, George włączył światło i zaczął realizować trudne zadanie umieszczenia Elaine w zbiorniku.

Na strychu znajdowało się mnóstwo niepotrzebnych albo

zapomnianych rzeczy, jak na przykład pudła ze starymi fotografiami i ubraniami, stare zasłony na okna, nawet żelazny stelaż, porozkręcany i delikatnie oparty o belkę stropową. To wszystko George'a teraz nie interesowało.

Pociągnął zwłoki w kierunku zbiornika. Wkrótce miał zakurzoną całą pidżamę, a sam był spocony. Zdjął pokrywę zbiornika i zaczął upychać w nim Elaine głową w dół. Woda momentalnie się przelała i George cicho zaklął. Lodowata ciecz zmoczyła jego pidżamę, niemal odbierając mu oddech. Jednak nie ustępował. Złapał Elaine za nogi i próbował upchnąć ją w zbiorniku. Chciał złożyć ją wpół, ale nie pozwalał na to jej gruby brzuch. Tymczasem woda przelewała się nadal, mocząc pidżamę George'a i jego pantofle. Wlewała się też do worka z ciałem, znacznie utrudniając George'owi zastosowanie silnego chwytu i skuteczne manewrowanie workiem.

W końcu, wściekły do granic możliwości, wywlókł do połowy już zamoczoną Elaine ze zbiornika i bezceremonialnie rzucił ją na mokrą podłogę. Serce waliło mu gwałtownie. Na chwilę położył na nim dłoń, z satysfakcją odnotowując tę rytmicznie dudniącą oznakę życia.

Nagle usłyszał niski bulgot i serce mu niemal stanęło. Rzucił okiem na ciało Elaine. Leżało twarzą do podłogi, lecz cicho bulgotały w nim gazy i przez chwilę można było odnieść wrażenie, że Elaine jęknęła.

George'a ogarnął nagły strach, który trwał kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, co tak naprawdę się stało. Trącił ciało pantoflem i znów wydawało mu się, że Elaine jęknęła. Tym razem ze zwłok także głośno uszły gazy.

George uśmiechnął się. Cały strach go opuścił.

A przez chwilę myślał, że ona jeszcze żyje!

Zaczął się śmiać, wysokim śmiechem, niemal graniczącym z histerią. Ciało znów zabulgotało, co wywołało tak wielką wesołość George'a, że aż musiał się oprzeć o brzeg zbiornika, a po jego twarzy toczyły się łzy śmiechu. Och, od lat tak dobrze się nie bawił.

Wreszcie wierzchem dłoni otarł oczy i zaśmiał się ponownie, tym razem rubasznie. Zaraz potem się uspokoił. Była to przemiana błyskawiczna. Nagle znikł dobry humor i jego twarz przybrała zimny, wykalkulowany wyraz.

Już wiedział, w czym popełnił błąd. Nie opróżnił zbiornika.

Uniósłszy zawór pływakowy, przymocował go na łańcuchu do boku zbiornika. Następnie wrócił do łazienki i puścił wodę do umywalki oraz do wanny. To samo zrobił w kuchni. Przy okazji zagotował wodę i zaparzył sobie kawę. Mokra pidżama sprawiała, że było mu zimno, chcąc się więc ogrzać, narzucił na siebie także płaszcz.

Z przyjemnością wypił gorącą kawę, po czym powrócił do pracy.

Zbiornik był już pusty. Z całej siły pociągnął Elaine i wrzucił ją do środka, głową do przodu. Z wysiłkiem upakował także nogi, które sprawiły mu najwięcej kłopotu. Wreszcie, z satysfakcją, mógł uznać pracę za wykonaną. Elaine znajdowała się na swoim miejscu.

Upychając ją w zbiorniku, zerwał jednak z łańcucha zawór pływakowy. Ujrzał go na karku Elaine i uznał, że znajduje się wystarczająco poniżej linii wody. Wreszcie wziął z podłogi pokrywę i położył ją na zbiorniku. Znow był szczęśliwy.

Zamknął strych i po drabinie zszedł na piętro. Uznał, że musi się ponownie umyć. Dziś wieczorem przecież wychodził.

Włączył wodę i po raz kolejny się wykąpał. Leżąc w wannie, zastanawiał się nad czekającą go nocą.

Elaine była już zapomniana. Zbiornik na wodę zaczął się wypełniać, lecz powoli, bardzo powoli, ponieważ zawór pływakowy spoczywał na karku Elaine.

Tony Jones siedział już w przenośnym kontenerze laboratorium i nerwowo powtarzał sobie wyuczone odpowiedzi na pytania, które najprawdopodobniej zostaną mu zadane.

Był tak zdenerwowany, że kiedy zapytali go o nazwisko, niemal odpowiedział „Tony Jones”. Teraz wywoływali George’a Markhama, a on siedział na krzeselku i przez chwilę zastanawiał się, dlaczego nikt nie odpowiada. Wreszcie wstał z wahaniem.

– Przepraszam - uśmiechnął się do dwóch mężczyzn. - Myślam byłem bardzo daleko stąd.

– Tędy, proszę pana.

Poszedł za mężczyznami, którzy wskazali mu niewielki gabinet, i znow usiadł.

– Jestem doktor Halliday i pobiorę panu krew. Proszę zdjąć marynarkę.

Tony uśmiechnął się szeroko. Nawet całkiem, całkiem ta lekarka. Może z lekką nadwagą, ale cóż, tak to zwykle bywa z wykształconymi kobietami. A przynajmniej z jego doświadczenia życiowego tak wynikało.

Zdjął marynarkę i podwinął rękaw koszuli, trochę zły na siebie, że nie nałożył dziś czystszej. Doskonale zdawał sobie sprawę z odoru zjełczanego potu, docierającego spod jego pach. Ujrzał, jak lekarka marszczy nos, i zaczerwienił się. Starszy z policjantów uśmiechnął się do niego i usiadł beztrąsko na biurku. Tony odgadł, że bawi go jego zakłopotanie. Zmarszczył czoło.

Pieprzony gliniarz. Wszyscy oni są tacy sami. Tony postanowił

skoncentrować się na czekającym go zadaniu.

– No, dobrze, panie Markham, gdzie pan pracuje?

Tony wziął głęboki oddech i skrzywił się, kiedy lekarka wbiła igłę w jego żyłę.

– Pracuję w Kortone Separates.

– Adres?

– Grantley Industrial Estate, jednostki od 16 do 38.

– Numer telefonu?

– 04022 795670.

Tony poczuł, że lekarka wyciera jego ramię wacikiem i zalepia ranę kawałkiem plastra. Zaczął opuszczać rękaw w dół, zadowolony, że znów może nałożyć marynarkę. Do pokoju wszedł drugi policjant. Uśmiechnął się do lekarki, skinął Tony'emu i odezwał się do kolegi:

– To dzisiaj ostatni. Możemy zamknąć interes.

– Chwała Bogu! Przyjdiesz do pubu?

– Tak. Małe piwko?

– Możesz postawić. Zobaczymy się za dziesięć minut.

Tony był zaskoczony, że wszystko poszło tak łatwo.

Tymczasem jeden z policjantów wyszedł. Ten, który pozostał, znów odezwał się do Tony'ego:

– Poproszę o dowód tożsamości.

Tony wyciągnął paszport. Policjant popatrzył na dokument bez specjalnego zainteresowania, po czym spisał jego numer.

– Proszę to podpisać, a potem może pan już iść.

Po trzydziestu sekundach, podpisawszy oświadczenie, Tony był wolny.

Nie mógł w to uwierzyć! Nic dziwnego, że nie potrafią złapać Rozpruwacza z Grantley. Po tym, co zobaczył, do końca życia będzie się dziwił, że potrafią złapać autobus do pracy!

Potrząsnąwszy głową, skierował się do samochodu. O ósmej trzydzięci miał spotkanie z George'em. Popatrzył na zegarek. Było kilka minut po siódmej. Wystarczy czasu jeszcze na kilka drinków. Bardzo ich potrzebował.

George był gotów. Jeszcze raz przyjrzał się sobie w lustrze i uśmiechnął się.

Nieźle. Całkiem nieźle. Przygładził dłońmi włosy i sam do siebie wyszczerzył zęby. Tak, dzisiaj był w nastroju na wyskok do miasta. Pojutrze wyjeżdżał na wakacje i to myśl o wakacjach sprawiała mu największą radość. O Elaine już całkowicie zapomniał.

Wyobraził sobie minę Edith, kiedy zapuka do jej drzwi. Czuł w piersiach miłe podniecenie. To będą wspaniałe wakacje.

Zanim wyjechał, starannie zamknął dom na klucz, po czym ruszył samochodem do Lion Rampant. Był na miejscu krótko po siódmej trzydzięci i wszedł do opustoszałego baru. Tony Jones siedział w kącie. George podszedł do niego i usiadł naprzeciwko.

– Wcześniej przyszedłeś.

– Jak widzisz. Napijesz się jeszcze jednego? - Tony pokiwał głową, nieporuszony wesołym tonem George'a.

– Poproszę dużą szkocką.

George podszedł do baru i po chwili powrócił z napojami. Postawił je na stoliku i uśmiechnął się do Tony'ego.

– Masz paszport?

– Masz pieniądze? - zapytał Tony ostro i George zacisnął usta.

– Są w samochodzie.

– Więc je przynieś.

– Nie bądź głupi, barman patrzy na nas jak sęp. Ludzie zapamiętują różne rzeczy, chyba o tym wiesz. A on zapamięta, jak wymienialiśmy się kopertami. Zrobimy interes na zewnątrz.

Tony zmrużył oczy i wypił łyk szkockiej. To miało sens.

– W porządku. Pobrali mi krew. Muszę ci powiedzieć, że było cholernie trudno. Zadawali mnóstwo nieprzyjemnych pytań...

George momentalnie stał się czujny.

– Mam nadzieję, że nie spieprzyłeś sprawy.

Tony był świadomy groźby tkwiącej w podtekście tych słów.

– Jutro będą w mojej firmie. Nie chcę mieć z tym żadnych kłopotów, Tony.

Tony zdał sobie sprawę z błędu, jaki popełnił. Próbował zabłysnąć przed George'em, pokazać mu, że ciężko zapracował na jego pieniądze, tymczasem zaś jedynie go zdenerwował. A zdenerwowany George denerwował i Tony'ego.

– Nie martw się, odwaliłem kawał dobrej roboty, przysięgam. Nie mieli najmniejszej szansy, żeby cokolwiek odgadnąć, mówię szczerze.

George wyraźnie się odprężył, w związku z czym odprężył się także Tony.

Chwilami zaczynał zapominać, że George jest mordercą. Niebezpiecznym człowiekiem. Gdyby chociaż nie wyglądał tak byle jak. Wszyscy mordercy, o których kiedykolwiek czytał albo których znał, a znał ich całkiem sporo w swoim czasie, wyglądali tak, że bałby się spotkać ich samotnie w ciemnej ulicy. Tymczasem ten facet sprawiał wrażenie co najwyżej ekshibicjonisty. Weekendowego perwersa. Można go było wziąć, za co się chciało, ale bynajmniej nie za mordercę.

Nie wyglądał niebezpiecznie. Lecz, niestety, był niebezpieczny.

– Dopij i wychodzimy. Mam jeszcze spotkanie.

Tony wychylił szkocką do dna i wyszli na zimne powietrze. Tony ruszył za George'em do jego samochodu.

– Gdzie pieniądze?

George otworzył drzwi i skinął na Tony'ego, żeby wsiadł do samochodu. Tony usiadł na miejscu pasażera. Znow ogarnęło go zdenerwowanie.

– Pokaż mi paszport, bardzo cię proszę.

Tony wysunął dokument z wewnętrznej kieszeni i George obejrzał go w słabym świetle żaróweczki na suficie.

– Gdzie jest ten czasowy, który ci dałem?

Tony wyciągnął z kieszeni kolejny dokument. George schował oba w skrytce i odwrócił się twarzą do Tony'ego.

– Nie zapłacę ci ani pensa.

– Co takiego?

– Powiedziałem, że ci nie zapłacę, Tony. - George uśmiechnął się. - Chyba ani przez chwilę nie miałeś nadziei na moją forszę? Przypuszczam, że znasz życie.

George zachichotał. Doskonale się bawił.

Umysł Tony'ego wirował w szaleńczym tempie. Mężczyzna patrzył w oczy George'a i nagle zdał sobie sprawę, że wcześniej się mylił. Chrapliwie chichoczący George, George o rozgorączkowanych oczach, wyglądał jednak jak morderca. Wyglądał jak postać z najgorszego koszmaru.

Tony widział, jak jego usta otwierają się coraz szerzej i jak z czarnej jamy wysuwa się różowy język. W wyobraźni widział w tej chwili nie tylko pieniądze za paszport, ale też pieniądze, które chciał wyciągnąć od George'a szantażem.

Tymczasem to George trzymał w ręce wszystkie karty, ponieważ doskonale wiedział, że Tony się go boi.

– Powiedzmy sobie, że w kwestii pieniędzy zaszło pomiędzy nami drobne nieporozumienie. Zgoda, Tony?

Tony opuścił wzrok i pokiwał głową.

George uśmiechnął się.

– Dobry z ciebie kumpel. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, jestem umówiony.

Tony wyslizgnął się z samochodu i patrzył, jak George odjeżdża. Kiedy światła zniknęły za horyzontem, wrócił do baru i zamówił kolejną dużą szkocką.

Barman popatrzył na niego z zainteresowaniem, ale Tony nie zwrócił na to uwagi. Odebrał od niego szklanekę i wrócił do stolika w rogu.

Miał przed sobą tylko jedną drogę. Nazywała się: Patrick Kelly.

I wcale nie chodziło jedynie o pieniądze. Chciał wiedzieć, jak George spłaca wszystkie swoje długi.

Powstał jednak mały problem. W jaki sposób podać Kelly'emu nazwisko mordercy, nie ujawniając własnej roli w sprawie? Jeśli Kelly dowie się, że Tony znał nazwisko mordercy jego córki i od razu mu nie powiedział... Jeśli dowie się, że on, Tony Jones, poddał się badaniu krwi, podszywając się pod cudze nazwisko... Prawie mdlał ze strachu na samą myśl o tym. Do jasnej cholery, dlaczego aż po szyję się w to wszystko wplątał?

Cichy głos docierający z zakamarków głowy podpowiedział mu: ponieważ jesteś chciwy, Tony, oto dlaczego.

Jednym haustem dopił szkocką i w milczeniu siedział przy stoliku, snując plany. Był sposób uniknięcia kłopotów. Trzeba będzie jednak starannie się przygotować do spotkania z Kellym.

Tony zamierzał odpłacić George'owi Markhamowi po stokroć, a jednocześnie uratować własny tyłek.

George wszedł do zadymionego i gorącego Fox Revived. Od razu dostrzegł Petera Renshawa i tłum innych mężczyzn stojących przy barze. Peter także go zobaczył i krzyknął:

– Oto on, bohater dnia!

George uśmiechnął się. Inni uśmiechnęli się do niego. Dzisiaj nie miał nic przeciwko temu, że są tu także pracownicy z magazynów. W stanie euforii, w jakim się znajdował, gotów był ich uznać za najlepszych przyjaciół. Przyjemność sprawiała mu duża frekwencja kolegów z pracy; z niektórymi od dawna nie zamienił nawet słowa. Gdyby Elaine mogła go teraz zobaczyć... Na jego pożegnalną imprezę przyszło co najmniej dwudziestu pięciu kumpli.

Przyszli tu dla niego.

Renshaw klepnął go w plecy i przysunął do jego ucha twarz czerwona od piwa.

– Wypijemy tu jeszcze po kilka kolejek, a potem popędzimy do nocnego klubu. Znam to miejsce doskonale. A teraz pij, człowieku! Bo my jesteśmy kilka kolejek do przodu.

Jeden z magazynierów, potężny, nalany mężczyzna o nazwisku Pearson, mrugnął do George'a, a potem krzyknął do barmanki:

– Jeszcze jedna kolejka, kochanie!

Głośno czknął i George poczuł znajome obrzydzenie, dzisiaj jednak postanowił je w sobie zwalczyć.

Dzisiaj postanowił się zabawić.

Szybko wypił kieliszek brandy i zaraz poczuł, że ktoś mu wpycha do ręki następny. Pub wypełniał się kolejnymi klientami i hałas stawał się z każdą chwilą głośniejszy. Tłum znajomych George'a zajmował prawie całą prawą stronę baru. On sam tkwił w środku tego tłumu. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że ma przyjaciół. Nawet ludzie z magazynu traktowali go jak swojego. Klepali go po plecach i życzyli wszystkiego najlepszego. To z sympatii dla niego robili sprośne uwagi na temat piersi pani Denham. Kiedy po dwóch godzinach wyszli z tego pubu i odjechali dwoma autobusami, George był uszczęśliwiony.

Na Boga, Renshaw doskonale wiedział, co znaczy dobrze się bawić. George żałował teraz, że nie uczestniczył dotąd w innych imprezach, które ten organizował.

Minibusy zatrzymały się przed klubem w gorszej części Grantley. Mężczyźni wysypali się z pojazdów na brudny trotuar. Renshaw wydobył z kieszeni garść biletów i wszyscy dziarsko przeszli obok mężczyzn w ciemnych marynarkach, strzegących drzwi. George słyszał o klubie Flamingo, nawet kiedyś chciał tutaj przyjść, ale powstrzymała go obawa, że dowie się o tym Elaine. A teraz tu był, siedział przy stoliku z przyjaciółmi i czekał, aż piękne dziewczęta w skąpych strojach zaczną podawać im drinki.

Przygasły światła i tylko jeden reflektor oświetlił parkiet na scenie. Wszyscy mężczyźni zaczęli bić brawo, kiedy w tym świetle pojawiła się kobieta. Miała na sobie szkolny strój, a jej włosy związane były w dwie kitki, które układały się na boki prawie poziomo. Na jej nosie widniały wymalowane wielkie piegi, a piersi z trudem mieściły się w szkolnym mundurku.

Oczy George'a załśniły z podniecenia.

Z głośnika zabrzmiały dźwięki *Daddy`s Gonna Buy Me a Bow - Wow*.

Kobieta pochyliła się, ukazując granatowe majtki, bawiąc się nimi. Uradowani mężczyźni wrzasnęli, kiedy ujrzeli różową szparkę. George zaczął rozglądać się wokół siebie z zastanowieniem. Zdziwił się, kiedy zobaczył przed sobą kolejnego drinka, lecz wypił go chciwie, po czym cmoknął tak, jak to podpatrzył u kumpli z magazynów.

Jego wzrok powrócił na scenę i już nie potrafił go od niej oderwać. Kobieta zaczęła się na dobre rozbierać, gdy tymczasem mężczyźni krzyczeli do niej i gwizdali. Podeszła do stolika, przy którym siedział George z kolegami, i z uśmiechem na ustach usiadła jednemu z nich na kolanach, z rozłożonymi nogami. Zaczęła delikatnie ocierać się o uda mężczyzny. Nagle odpięła kilka guzików i jej szkolny mundur opadł na podłogę. Wielkie, ciężkie piersi wyskoczyły na zewnątrz i kobieta przyłożyła je do twarzy mężczyzny. George był urzeczony.

Wstawszy, wysoko podciągnęła granatowe majtki, przez co wargi jej waginy wyskoczyły na boki, po czym powoli zaczęła je ściągać. W tym

czasie jej oczy błędziły po twarzach mężczyzn, jakby to był jej osobisty pokaz, wyłącznie dla nich.

Nagle muzyka urwała się, światła zgasły i kobieta odeszła wśród głośniego aplauzu, krzyków, gwizdów i tupania nogami.

Następnie na scenie ukazał się mężczyzna przebrany za kobietę. Kilka stolików dalej grupa młodych mężczyzn bawiła się na wieczorne kawalerskim. Podano im kurczaka z frytkami w koszykach, a mężczyzna ze sceny, z grubym makijażem na twarzy i w gęstej rudej peruce na głowie, podszedł do jednego z młodzieńców i zapytał:

– Hej, kochany, czy ty wiesz, jaka jest różnica pomiędzy wielkim kutasem i nogą kurczaka?

Chłopak poczerwieniał i potrząsnął przecząco głową, a jego kompani zarżeli z radości. Mężczyzna ze sceny otoczył go ramieniem i zapytał:

– Pójdziemy na piknik?

George roześmiał się tak głośno, jak wszyscy pozostali. Ze zdziwieniem stwierdził, że ma przed sobą aż trzy drinki. Peter złapał jego wzrok i mrugnął, a George nagle zapałał do niego sympatią, zapominając o zwykłej niechęci. Przecież to Peter zorganizował tę imprezę; będzie mu to pamiętał do końca życia. W tej chwili George znajdował się tam, gdzie powinien się znajdować. Wśród mężczyzn, którzy lubili to, co lubił i on, którzy widzieli kobiety dokładnie takimi, jakie one naprawdę były.

Mężczyzna przebrany za kobietę skończył swój numer i na scenę wyszła kolejna striptizerka. Tymczasem Peter Renshaw zawołał za nim i ten podszedł do ich stolika, parodiując chód kobiety.

– Cześć, Peter, jak się masz?

– W porządku, Davey. Jesteśmy na imprezie pożegnalnej kolegi. Ile chcesz za pokaz na żywo?

Davey uśmiechnął się.

– Tyle, co zawsze, Peter. Zbierz forszę, a ja wybiorę dziewczyny. Nie zapomnij o górcie dla mnie na drinka.

Teraz uśmiechnął się Renshaw.

– Dobry z ciebie facet.

Davey roześmiał się.

– Masz coś przeciwko temu?

– No to dobra, chłopaki, robimy zrzutkę. W zamian mamy pokaz na żywo. - Popatrzył na George'a. - Widziałeś kiedyś coś takiego?

George pokręcił przecząco głową, zdumiony.

– Cholernie ci się to spodoba, Georgie, mój chłopcze. Będzie wspaniała zabawa.

Wstał ze swojego krzesła i podszedł do innych stolików. Jeden po drugim mężczyźni podawali mu pieniądze. Wkrótce sterta monet i

banknotów pojawiła się na środku jego własnego stolika. George wyciągnął portfel i dołożył na wierzch dwadzieścia funtów. Przeciętnie tyle właśnie płacił każdy z mężczyzn.

W ciągu kilku minut Peter zebrał, ile trzeba. George był pod wielkim wrażeniem. Ochroniarze otrzymali po pięćdziesiąt funtów za zamknięcie drzwi na klucz podczas pokazu. Pieniądze miały dostać także dziewczęta. W klubie zapanowała atmosfera oczekiwania. George ściągnął marynarkę. Zlizał znad górnej wargi warstwę potu.

Reflektor znów oświetlił scenę. W jej pobliżu stanęły dwie półnagie dziewczyny. Rozmawiały ze sobą i paliły papierosy, podczas gdy przygotowywano podłogę. Przyszły pan młody i jeden z pracowników magazynu zostali zgodnie wybrani jako gwiazdy prezentacji. Pozostali z zapartym tchem czekali na rozpoczęcie pokazu.

Na scenę wyszedł Davey z mikrofonem i oznajmił, że będzie pełnił rolę mistrza ceremonii. Przyszły pan młody i pracownik magazynu zostali rozebrani do naga, kobiety odłożyły papierosy i z zawodowymi uśmiechami przeszły na scenę, machając do publiczności.

George patrzył jak urzeczony. Dwie kobiety uklęły i wzięły członki mężczyzn do ust. Zakładano się, który z mężczyzn pierwszy wytryśnie. Facet z magazynu złapał kobietę za włosy i energicznie wciskał jej penis do ust. Jego kumple wrzeszczeli, podekscytowani:

– Dalej, dalej, mój synu!

– Niech się suka udławi!

Magazynier robił sprośne miny i energicznie poruszał biodrami, bardzo zadowolony z uwagi, jaką na sobie skupia.

Przyszły mąż nie był w stanie nawet osiągnąć erekcji. Głośno się śmiał, lecz jednocześnie był mocno zażenowany. Wreszcie od stolika wstał inny mężczyzna z jego grupy, opuścił spodnie i energicznie ruszył do dziewczyny.

– Tutaj, dziwko, zajmij się tym.

Otrzymał głośne brawa.

George patrzył urzeczony, jak mężczyźni wykorzystują kobiety. Wreszcie Davey ogłosił koniec pokazu i mężczyźni powrócili do stolików jak bohaterowie zwycięscy.

Scenę opuściły też dwie kobiety, zmęczone, ślaniające się na nogach. Ich wyszukane fryzury popsuły się i teraz zwisały im z głów jedynie mokre strąki włosów. Także makijaż porozmazywał się na twarzach.

Mężczyźni nabijali się z magazyniera, który wśród krzyków, gwizdów i przekleństw spokojnie się ubierał.

George siedział pomiędzy nimi wszystkimi. Pokaz go podekscytował. Oczy miał teraz otoczone czerwonymi obwódkami i rozgorączkowane. Przez cały czas krzyczał i gwizdał razem z innymi.

Nigdy dotąd, nawet w najdzikszych marzeniach, nie wyobrażał sobie czegoś takiego. Po raz pierwszy w życiu dobrze się bawił razem z innymi ludźmi. I inni bawili się razem z nim.

Ogarnęło go tak nedorzeczne uczucie szczęścia, że zachciało mu się płakać. Kiedy poczuł, że oczy zaczynają mu łzawić, otarł je gwałtownie rękawem.

Peter Renshaw zauważył to i objął go ramieniem.

– Rozchmurz się, Georgie, mój chłopcze. To w końcu twoja impreza!

George spojrział Peterowi w oczy i odparł:

– To najlepsza noc w moim życiu, Peter. Dziękuję ci. Bardzo, bardzo ci dziękuję.

Peter Renshaw cieszył się, że George dobrze się bawi. Zawsze bowiem wyczuwał w

nim smutek i dziwną odmienność, która go bardzo martwiła. Teraz uśmiechnął się do niego. Uznał, że to alkohol sprawia, iż obaj stają się ckliwi.

– Wypij jeszcze jednego, Georgie, chłopcze. Za minutkę pojawi się następna striptizerka.

George skinął głową i wziął drinka do ręki.

Ktoś zaproponował toast za George'a; niemal różowy z radości patrzył, jak wszyscy piją na jego cześć. Tymczasem do stolika dostarczono następną kolejkę i już na dobre rozpoczęło się ostre picie.

Kilka chwil później dwie dziewczyny, które brały udział w pokazie, kompletnie ubrane podeszły do stolika po swoje pieniądze. Starsza z dwójki, blondynka o zaciętym wyrazie twarzy, wyciągnęła rękę do Petera Renshawa.

– Chcemy naszą forszę, facet. Teraz.

Miała bardzo zmęczony głos.

– No i jak ci było, stara ruro? - Pytanie rzucił magazynier, który brał udział w pokazie.

Kobieta odwróciła się do niego.

– Zamknij mordę i daj szansę swojej dupie!

Mężczyźni roześmiali się z tego, jak z najlepszego dowcipu. Magazynier podniósł swój kufel z piwem, gestem nakazując pozostałym, żeby zrobili to samo. Posłuchali go. I wtedy, na umówiony sygnał, chlusnęli piwem w kobiety, mocząc je kompletnie. Oczy George'a błyszczały, kiedy krzyczał:

– To cię nauczy manier, ty brudna szumowino!

Wszyscy mężczyźni roześmiali się, raczej zdumieni jego zachowaniem.

– Masz rację, George, dobrze im powiedziałeś.

– Trzaśnij ją w pysk!

George słyszał nawoływania i przyjął dumną postawę.

Starsza kobieta otarła twarz i znów wyciągnęła rękę.

– Daj nam pieniądze. Proszę.

Peter, któremu zrobiło się przykro za zachowanie kolegów, wręczył jej pieniądze. Kobiety, przygnębione, natychmiast odeszły do swojej garderoby. Każdy pokaz na żywo tak się kończył. Mężczyźni stawali się agresywni, ponieważ w gruncie rzeczy wstydzili się tego, co zrobili. Kiedy emocje opadły, winili kobiety za własną perwersję. Szli do domu, do żon, przyjaciółek, pełni wstydu. Jutro ich przeżycia w nocnym klubie będą tematem buńczucznych opowieści w pubie. Ale tak naprawdę byli zawstydzeni.

Młodsza kobieta miała łzy w oczach i starsza otoczyła ją ramieniem.

– To wszystko palanty i onaniści, moja droga, nie bierz ich zachowania do siebie. Najważniejsze, że trochę dorobiłyśmy. Mój najstarszy syn chce, żebym mu kupiła rower górski. A ty na co wydasz swoją forszę?

Chciała wprowadzić do rozmowy trochę normalności. Był to jedyny sposób, żeby to wszystko przetrwać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tony Jones nie spał przez całą noc. Jego wiercenie się i przewracanie w łóżku z boku na bok tak zdenerwowało Jeanette, jego żonę, że o trzeciej trzydzieści nad ranem wstała z łóżka i przeniosła się do dawnego pokoju ich córki, teraz pustego.

Wreszcie, po wielu niespokojnych godzinach, w głowie Tony'ego wykrystalizował się zarys planu. Najważniejszym jego założeniem było to, że Petrick Kelly nie jest facetem, któremu można wchodzić w drogę. Po tym, co się stało z kilkoma chłopakami na dziko ściągającymi haracze, Tony wiedział bez cienia wątpliwości, że nigdy dobrowolnie nie trafi na czarną listę Patricka. Dotąd mu się to udawało. A teraz... Jeśli przyjdzie do niego z jakąś bzdurną historyjką, Kelly przejrzy go natychmiast i Tony nie pożyje nawet na tyle długo, by chociaż popatrzeć na swoją nagrodę. Jeśli Kelly będzie miał chociaż cień podejrzenia, że znał nazwisko mordercy jego córki... Tony z trudem przełknął ślinę.

Ale... Przecież zawsze istniało jakieś „ale”. Na przykład Tony mógłby udawać, że przeglądał listę klientów i natrafił przypadkiem na nazwisko George'a Markhama z Grantley. Albo lepiej, że natrafił na jego nazwisko na liście wysyłkowej. Tak, to już brzmiało lepiej. To by znaczyło, że mógł nigdy w życiu tego mężczyzny nie widzieć.

Przez kilka chwil trawił w mózgu te wszystkie pomysły. Wreszcie doszedł do przekonania, że jeśli wszystko właściwie rozegra, wyjdzie z całej historii z ładną sumką i nietkniętą szyją. W sumie, to ostatnie było najważniejsze.

Postanowił, że od samego rana zacznie wprowadzać plan w życie.

George obudził się o piątej, rzeński jak skowronek, i uśmiechnął się do siebie. Wydarzenia poprzedniego wieczoru powracały do niego wspomnieniami, w których główne role grały erotyczne obrazy. W ciepłe łóżka objął ramionami swą klatkę piersiową. Przez całe życie chciał być częścią świata mężczyzn, lecz zawsze musiał stać na jego skraju. Obserwując go jak obcy. Tej nocy wreszcie otworzyły się drzwi i ten magiczny męski świat stał się także jego światem. Podczas gdy odbywało się misterium wprowadzania, był akurat pijany. Ale, z drugiej strony, doświadczył ekstazy tak ogromnej, że czuł lzy w oczach.

Opuścił ciepłe łóżko i przeszedł do łazienki. Wziął długą, leniwą kąpiel, podczas której myśłami wciąż był w klubie Flamingo.

Do dziewiątej wykreślił wszystko ze starannie sporządzonej listy, co oznaczało, że skończył pakowanie. Nie zapomniał niczego, od lekkich ubrań, po okulary przeciwsłoneczne. Kupił je kilka lat wcześniej. Były to okulary lustrzane. Mógł przez nie patrzeć przed siebie i obserwować otoczenie, a nikt nie był w stanie odgadnąć, na co akurat spogląda. Bezpiecznie ułożył je w skórzanej walizce.

Wyobraził sobie, jak chodzi po złocistych plażach Florydy i obserwuje dziewczęta i kobiety. Oglądał w telewizji programy podróżnicze, wiedział więc, czego się tam spodziewać. Ogarnął go miły dreszcz oczekiwania. Wylot miał następnego dnia o siódmej trzydzieści, postanowił więc, że noc spędzi w hotelu przy lotnisku. Musi odpowiednio rozpocząć wakacje. Przecież powinien zgłosić się do odprawy o piątej trzydzieści, a zatem należał mu się wcześniej właściwy wypoczynek i dobre śniadanie, zanim wreszcie zajmie miejsce w samolocie.

Sprawdził swój paszport, a potem ten, który kazał dla niego podrobić Tony Jones. Schował je oba do kieszeni marynarki. Biedny Tony Jones, tak dał się oskubać. Ale, pomyślał George, handlarzowi pornografią to się jak najbardziej należało.

Czuł, że w domu dostanie klaustrofobii. Przechylił głowę na bok i z wyrazem skupienia na twarzy zaczął intensywnie nasłuchiwać. Nic. A zdawało mu się, że to krzyczy Elaine.

Wzruszył ramionami. Niech sobie krzyczy, nie miał zamiaru jej słuchać. Wyniósł walizki do samochodu i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Mógłby przecież odwiedzić matkę. Zrobić jej miłą niespodziankę.

Uśmiechnął się. Wiadomość, że wyjeżdża odwiedzić Edith, zabije ją. Może jej o tym wspomni? Tak, ale wtedy wiedziałyby, dokąd George się udaje. Zmarszczył czoło. Wszystko rozstrzygnie się na miejscu. Zadowolony, że ułożył plan, zaczął już na poważnie się zbierać. Jak to dobrze, rozmyślał, mieć jakieś zajęcie. Być... jak to młodzi dzisiaj mówią? Aha, wolnym strzelcem. Uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Właśnie kimś takim teraz był.

Na samym szczycie domu ciało Elaine poruszyło się nieznacznie pod ciśnieniem gwałtownie napęnlającego się zbiornika. Zawór pływakowy, który uwięziony był dotąd na jej karku, zmienił pozycję razem z nią i zbiornik zaczął napęnląć się jeszcze szybciej.

Patrick Kelly pocałował Kate na do widzenia o szóstej trzydzieści i pojechał na spotkanie z mężczyzną, który miał dla niego wiadomości. Ważne wiadomości, jak twierdził. We wzburzeniu zacisnął pięści. Niech to naprawdę będzie coś ważnego, bo inaczej eksploduje.

Ruch samochodów w Londynie był bardzo duży i rolls-royce Patricka poruszał się w ślimaczym tempie. Poza tym podczas każdego postoju przed światłami ludzie próbowali zaglądać do środka, przekonani, że właśnie przejeżdża ktoś bardzo sławny. Patrick Kelly uśmiechnął się do siebie. W pewnym sensie był sławny, ale zupełnie inaczej niż myśleli ci ludzie. Rolls sunął właśnie za konduktem pogrzebowym i Patrick zmarszczył czoło. Raczej poczuł, niż zobaczył, że Willy zmienia bieg, aby wyskoczyć do przodu. Uderzył w przegrodę oddzielającą go od kierowcy i krzyknął ostro:

– Jeśli się tylko ośmielisz, Willy, zamorduję cię.

Willy zrezygnował z zamiaru wyprzedzenia konduktu i westchnął. Utknęli na dobre. W ostatnich dniach Pat zachowywał się jak stara kobieta.

A Kelly zastanawiał się właśnie, jak by się czuł jako żałobnik, gdyby z piskiem opon przemknął obok rolls-royce. Willy czasami myślał jak zwierzę.

– Nie śpiesz się, zdążymy na czas.

– W porządku, Pat.

Kelly usłyszał w głosie Willy’ego ponurą rezygnację i powiedział:

– Okaż im trochę szacunku. Na miłość boską, to jest pogrzeb.

Willy musiał postępować zgodnie z poleceniami, jednak w głębi duszy buntował się przeciwko postawie szefa.

Kate wślizgnęła się do domu o siódmej, zadowolona, że wszyscy jeszcze śpią. Biorąc prysznic, usłyszała, jak wstaje Evelyn. Po chwili dotarł do niej szcęk talerzy i odgłosy przygotowywania śniadania. Wróciła do sypialni i, uśmiechając się przy tym, zmierzwiła pościel na łóżku. W jej wieku nie powinna przejmować się tym, że spędziła noc poza domem, jednak numer z pościelą wykonała z szacunku dla swojej matki i córki. Wciąż jeszcze czuła na sobie ciepło Patricka, mimo że po wspólnej nocy pozostało jedynie wspomnienie. Seks z nim był zajęciem, któremu oddawała się z ogromną rozkoszą, i już tęskniła za swym mężczyzną. Och, jak bardzo tęskniła. Nadal pieściła w pamięci najpiękniejsze chwile tej nocy.

Jej matka zaskoczyła ją rewelacjami związanymi z podróżą do Australii. Zastanawiające, że tak długo trzymała w tajemnicy posiadanie dużej sumy pieniędzy. Ale dowiedziawszy się o tym, Kate poczuła, że jeszcze bardziej kocha matkę. Evelyn potrafiła w ostatniej chwili zdjąć z jej barków ogromny ciężar. Lizzy była po prostu jak piesek machający ogonkiem, kiedy tylko wspomniano o Australii. Wszystko wskazywało na to, że po kłopotach, jakich przysporzyła i jakie wspólnie przetrwały, ich życie wracało do normy. Teraz Kate pragnęła wyłącznie jednego -

schwytać Rozpruwacza z Grantley. Kiedy go złapie, postara się, żeby już nigdy nie zagroził żadnej kobiecie. Potem znowu będzie się mogła skoncentrować na swojej rodzinie i Patricku.

Do jej sypialni zapukała Lizzy i zaraz weszła.

– Och, mam, właśnie się obudziłam i od razu pomyślałam: za miesiąc o tej porze będę w Australii. Wprost nie mogę w to uwierzyć! Całe sześć tygodni wakacji w krainie Oz! Nie mogę się doczekać.

Kate uśmiechnęła się do córki z autentyczną radością.

– Chodź tutaj, laleczko - powiedziała i Lizzy skoczyła w jej objęcia.

– Byłaś dziś w nocy w tym mężczyzną, mam? Z tym Patrickiem Kellym?

Kate popatrzyła w twarz córki, zupełnie podobną do swojej, i cicho westchnęła. Pokiwała głową.

– Myślę, że powinnaś się go trzymać. Jest naprawdę seksowny.

Kate uśmiechnęła się.

– Naprawdę tak uważasz?

– Aha, naprawdę.

Pocałowała matkę w policzek i wstała. W białej koszuli nocnej, która ukrywała kobiece zaokrąglenia, wyglądała bardzo niewinnie.

– Sama chciałabym z nim chodzić! - Ze śmiechem wybiegła z pokoju.

Kate także się roześmiała, lecz bez przekonania. Wiedząc to, co wiedziała o życiu seksualnym córki, przyjęła tę uwagę z bólem. I to nie z powodu Patricka. Było to raczej smutne przypomnienie faktu, że jej córka ma na koncie o wiele więcej doświadczeń seksualnych niż ona sama. Zaraz jednak wyrzuciła z głowy tę myśl. Lizzy była prawie dorosłą kobietą i przeszła w życiu trudne chwile - Kate dręczyło w tym względzie poczucie winy.

Musiała przyznać, że będzie w końcu zadowolona, kiedy zobaczy Lizzy na lotnisku. Potrzebowała rozłąki z córką, a zresztą pewnie i Lizzy potrzebowała rozłąki z matką. Ta myśl sprawiła, że Kate posmutniała.

Pocieszyła się jednak, że już wkrótce będzie się co rano budziła u boku Patricka. Zresztą, nie chodziło jej o poranki, ale przede wszystkim o noce.

Larry Steinberg wprowadził Patricka do swojego gabinetu i dwaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni. Patrick był tutaj dotąd tylko jeden raz. Larry Steinberg był prawnikiem, który funkcjonował po tej ciemniejszej stronie prawa. Był także facetem, który potrafił załatwić sprawy pozornie nie do załatwienia, i Patrick kilkakrotnie musiał skorzystać z jego usług. Patrick go nie lubił, jednak odczuwał wobec niego niechętny respekt. A respekt, jego zdaniem, był w interesach o

wiele ważniejszy niż sympatia.

Kilka lat wcześniej musiał skorzystać z usług Larry'ego, aby wydobyć z tarapatów dwóch pozostających na jego usługach komorników. Przyszli do domu pewnego faceta, chcąc mu odebrać samochód, a ten czekał na nich z łomem i obrzynem. Rzecz raczej zwyczajna w tym interesie; ludzie nie wykazywali entuzjazmu na widok komornika. Jeden z ludzi Patricka odebrał łom facetowi, a potem trzasnął go nim w głowę. Skończyło się to dla niego półparalizem i padaczką.

Larry sprawił, że sąd odrzucił zarzut usiłowania morderstwa, i wkrótce doszło do porozumienia, które usatysfakcjonowało wszystkich zainteresowanych. Obrzyn w tajemniczy sposób zginął z magazynów policji, a że wkrótce został użyty podczas dwóch zupełnie ze sobą nie związanych napadów, to już Patricka nie interesowało. Jedno było dla niego pewne: za napadami stał mężczyzna, który dostał łomem w głowę. Dawniej był znanym bandytą, a teraz, chory i pobierający wysoką rentę z ubezpieczenia Patricka, był całkowicie bezpieczny i mógł z domu kierować złodziejskim interesem.

Larry wysmarkał się i głośno pociągnął nosem. Jego wyłupiaste oczy były wilgotne i wytarł je palcami. Patrick starał się ukryć obrzydzenie najlepiej, jak potrafił.

– Dobra, Larry, nie bijmy piany, tylko od razu przejdźmy do sprawy. Co masz dla mnie?

– To jest związane z Tonym Jonesem. Jakiś czas temu przyszedł do mnie po paszport.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Paszport nie był dla niego, lecz dla kogoś innego, jakiegoś gościa z Grantley.

Patrick nastawił uszu.

– Mów dalej.

Larry Steinberg znów wytarł nos brudną chusteczką. Wiedział, że jeśli się przeciąga opowieść, ludzie stają się, co prawda, niecierpliwi, ale słuchają uważniej.

– Nie zapłacił mi zbyt wiele, panie Kelly. - Jego głos zabrzmiał niemal jak skomlenie.

Patrick zamknął oczy.

– Posłuchaj, Larry, dostaniesz forszę za głowę faceta, jeśli tylko poznam jego twarz. A teraz dawaj mi jego nazwisko!

Larry pośpiesznie wykonał polecenie.

– To był Markham. George Markham.

– Czy Tony powiedział, po co temu facetowi potrzebny jest paszport?

Najlepszy kęsek należy zostawić na koniec - takie było motto Larry'ego.

- To właśnie jest w tym wszystkim najzabawniejsze. W paszporcie znalazła się fotografia Tony'ego Jonesa. - Skontrolował wyraz twarzy Patricka i kontynuował. - Będę z panem szczerzy, panie Kelly. Ja po prostu załatwiam ludziom różne trudne sprawy. Za odpowiednią cenę załatwię wszystko, ale w tym wypadku odniosłem wrażenie, że coś jest nie w porządku, i dlatego pozwoliłem sobie nalegać na spotkanie z panem. Początkowo o tym w ogóle nie myślałem, wie pan, jak to jest. A później przeczytałem o badaniach krwi w Grantley i spadło to na mnie, cóż, jak objawienie boskie... - Potrzęsnał głową dla osiągnięcia maksymalnego efektu. - Miałem do czynienia z rabusiami banków, którzy chcieli wyjechać za granicę na emeryturę, stykałem się z najgorszym elementem kryminalnego świata. Ale w życiu, panie Kelly, nie będę krył sadystycznego mordercy. Skądinąd dotarły do mnie wiadomości, że poszukuje pan człowieka, który odebrał życie pańskiej córce, i pomyślałem, że jest po prostu moim obowiązkiem przekazanie panu tych informacji.

W tej chwili Larry Steinberg naprawdę wierzył w swoje słowa, tak dobrze odgrywał tę rolę.

Patrick pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że okazałem się pomocny.

- Dostaniesz pieniądze, Larry, jeśli to ten człowiek, dostaniesz pieniądze. Obiecuję ci.

Wyciągnął rękę i Larry nią potrzęsnał. Poczawszy niemal zwierzęcą siłę Kelly'ego, zadrzał.

Biedny Tony Jones. Ale co tam, on, Larry, ubił interes z Kellym. Przypieczętowali go uściskiem dłoni, a jeśli chodzi o Kelly'ego, taki uścisk był równie ważny jak podpisany kontrakt. Steinberg z trudem się powstrzymywał, by przy gościu nie zacierać z radości rąk.

To by było w złym guście, rozumiał to nawet Larry Steinberg.

Patrick wyszedł z biura. Wsiadając do rolls-royce'a, krzyknął do Willy'ego:

- Tony Jones, pełen gaz!

Willy włączył silnik i ruszył, a Patrick opowiedział mu po drodze, co usłyszał od Larry'ego. W chwili, gdy dojechali do sex shopu, każdy z nich skłonny był popełnić morderstwo.

Emmanuel pracował przez całe przedpołudnie sam i już słał się na nogach. Tony nawet do niego nie zadzwonił, żeby powiedzieć, kiedy przyjedzie. Jako jedyne atrakcje tego dnia rysowały się tylko dwa spotkania z dobrze ubranymi dżentelmenami, ale to dopiero w późnych godzinach wieczornych. Tony nie lubił, jak Emmanuel wychodził wieczorem ze sklepu, nawet jeśli zdobywał podczas takich wyjść klientów. Teraz młodzieniec raczej usłyszał, niż zobaczył, jak Kelly i

Willy wpadli do środka. Wbiegając, potrącili jakiś stojak i na podłodze znalazła się cała sterta magazynów „Masochist Monthly”.

– Gdzie on jest? - Głos Patricka był niski, syczący i Emmanuel nieomyślnie wyczuł jego furję.

– Kto? - Głos chłopaka był z kolei wysoki i skrzekliwy.

– Pierdolony Tony Jones, oto kto. Do kogo jeszcze moglibyśmy tu przyjść? Do księżnej Diany?

– Nie wiem, gdzie on jest. Nie przyszedł dzisiaj do pracy.

Willy złapał Emmanuela za kołnierz i potrząsnął nim.

– Gdzie on mieszka? Dawaj jego adres, szybko!

Do sklepu wszedł potężny mężczyzna w roboczym ubraniu. Patrick podszedł do niego i pchnął go z powrotem na zewnątrz z taką siłą, że padając, potrącił kilku przypadkowych przechodniów.

Emmanuel drżącymi rękami zapisał na kartce adres Tony’ego Jonesa. Zaczynał mu się rozpuszczać tusz na rzęsach i piekły go oczy.

Patrick wziął od niego papier i skinął na Willy’ego, który natychmiast przystąpił do demolowania sklepu. Emmanuel patrzył na to z przerażeniem.

Cokolwiek zrobił Tony, musiało to być coś strasznego. Emmanuelowi przyszło do głowy, że powinien zacząć rozglądać się za nową pracą.

Kiedy Willy skończył, obaj mężczyźni wyszli. Emmanuel popatrzył na bałagan u swych stóp i zaczął płakać. Kiedy wszelkie niebezpieczeństwo minęło, właściciele okolicznych sklepów natychmiast pojawili się u Emmanuela i pod pozorem udzielenia mu pomocy próbowali od niego wyciągnąć jakieś wiadomości. Jednak wkrótce i dla nich stało się jasne, że chłopak nie ma zielonego pojęcia, o co chodziło.

Informacja o zdemolowaniu sklepu Tony’ego Jonesa rozeszła się po Soho w ciągu godziny. Przez cały dzień o niczym innym nie rozmawiano.

Ludzie ze smutkiem kiwali głową. Tony Jones zawsze robił kłopoty innym. Teraz kłopoty zastukały prosto do jego drzwi.

Sam Tony usłyszał wiadomości dziesięć minut wcześniej, nim Kelly i Willy dotarli do jego domu. Kiedy walili pięściami do drzwi, Tony i bardzo przestraszona Jeanette znajdowali się już w drodze do Brighton, do ich najstarszej córki.

Nancy Markowitz, jak lubiła teraz być nazywana, siedziała wygodnie, popijając gorącą herbatę z kubka. Jej synowa, Lilian, ścieliła łóżka. Nancy skrzywiła się w grymasie niezadowolenia. Jej zdaniem Lilian wykonywała prace domowe zbyt pobieżnie. Kiedy ona sama była młodsza, dom lśnił jak promyk słońca i wszyscy sąsiedzi mogli się od

mej uczyć, jak powinien wyglądać właściwie utrzymany dom. Rzuciła złowrogie spojrzenie na listwy przypodłogowe w salonie. Już dawno należałoby je porządnie odkurzyć. Och, jak bardzo pragnęłaby mieszkać w czystym domu!

Potrząsnęła głową. Lily zawsze bujała w obłokach, nie umiała porządnie zadbać o dzieci. Były małymi gałganami o wiecznie ziemistej cerze. Nancy upiła łyk herbaty. Jak kocie szczyny. Lilian nie potrafiła nawet porządnie zaparzyć herbaty. Pewnie znowu po prostu zalała wodą herbatę ekspresową. Zrobienie prawdziwej herbaty byłoby już dla niej zbyt uciążliwe.

I nie śpieszyła się przy ścieleniu łóżek. Nancy popatrzyła na zegar. Była już prawie dwunasta. Znowu potrząsnęła głową. Żeby nie pościelić ich aż do lunchu! Leniwa dziwka.

Siedząc, popijała herbatę i układała w myślach szczegółową listę zarzutów wobec Lily. Przemawiało przeciwko niej wszystko, co zrobiła, a nie powinna, lub czego nie zrobiła, a powinna.

Nancy Markham miała wprawę w ustawianiu ludzi w złym świetle. Było to jej główną zaletą, przez całe życie. Stanowiła ona o jej władzy nad ludźmi i władzy tej używała, tyranizując ich i przypochlebiając się im, zależnie od własnych potrzeb.

Lilian akurat leżała na swoim łóżku, czytając jakiś magazyn i także popijając herbatę. Wprost chłoneła te pół godziny, kiedy mogła zapomnieć o teściowej. Były to jedyne chwile w ciągu dnia, jakimi dysponowała wyłącznie dla siebie. Teściowa nie zakłócała wtedy jej myśli, jej jazgot nie rozbrzmiewał natrętnie w uszach Lilian i nawet nie odczuwała jej obecności obok siebie niczym krążącej nad głową złej, nieczystej mocy. Czasami Lily zastanawiała się, czy Nancy nie jest czarownicą. Jakkolwiek to brzmiało, mógłby to być jedyny wytłumaczalny powód, dla którego wszyscy jej tak nienawidzili i tak się jej bali. Jej dzieci w to włączając. Ile już razy Joseph obiecywał, ukryty pod zasłoną ciemności i pod kołdrą, że w końcu się jej pozbędzie z domu? I ile razy stawał przed nią do decydującej rozmowy i się z niej wycofywał? Stanowczo zbyt wiele.

Lily musiała jednak szczerze przyznać, że sama nie podjęłaby się przeprowadzenia takiej rozmowy. Nancy ją przerażała. Przerazała swoje wnuki. Przerazała swojego syna. Syna, którego Lily kochała kiedyś z całego serca i którym pogardzała teraz za jego słabość, słabość, którą z kolei ona sama potrafiła już się bawić, poznawszy wszystkie sztuczki teściowej. Nawet Elaine i ten obmierzły George zdołali się od niej uwolnić, wyrzucając ją do Josepha.

Lilian próbowała skoncentrować się na tygodniku „Best”, który właśnie czytała. Rozmyślanie o tym domu nie miało sensu. Samo życie w nim było wystarczająco uciążliwe. Jutro miał tu przyjść rabin. Mimo że

żydowska wiara Nancy denerwowała ją, wizyty rabina dawały jej jedno wolne popołudnie każdego tygodnia, kiedy mogła spokojnie wyjść z domu, wiedząc, że młody rabin będzie się bał opuścić Nancy, dopóki ona, Lilian, nie wróci. Stłumiła uśmiech. Oblicze tego biednego chłopaka, kiedy wreszcie wracała do domu, było obrazkiem naprawdę wartym obejrzenia.

Lily powróciła myślami do tygodnika i akurat wtedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Uniosła się na łóżku. Kto to mógł być? Zeskoczyła na podłogę i szybko zaczęła gładzić pościel. Dzwonek zadzwonił ponownie i Lily wybiegła z pokoju.

W tej chwili zadzwonił w salonie także dzwonek jej teściowej. Był to staromodny szkolny dzwoneczek, który - jak drwiła w myślach Lily - zdążył już wydzwonić najlepsze godziny jej życia. Szybko podbiegła do drzwi.

- Cześć, Lily. - W progu stał uśmiechnięty George.

- Och... Co za niespodzianka.

George wszedł do przestronnego holu.

- Gdzie jest Elaine?

Wizyta George'a była szokiem, ale wizyta George'a bez Elaine - jeszcze większym szokiem.

- Jest w pracy. Miałem trochę wolnego czasu i pomyślałem, że pojedę odwiedzić biedną mamusię.

Twarz Lily zastygła w niedowierzaniu. Do diabła, kto o zdrowych zmysłach odwiedzałby Nancy Markham, poprawka, Markowitz, skoro nie musiał?

Z salonu dotarł do nich dudniący głos Nancy.

- Lily, kto przyszedł? Kto zadzwonił do tych cholernych drzwi?

Och, jaka szkoda, że to nie był młody rabin. Lily chciałaby zobaczyć minę Nancy, gdyby zorientowała się, jaką strzeliła gafę.

Dzwoneczek Nancy zaczął dzwonić jak szalony i George skinął głową w kierunku drzwi po prawej stronie.

- Rozumiem, że jest tam?

Wszedł do pokoju.

- Cześć, mamo. - Znów miał potulny głos. Matka zawsze wpływała na niego w ten sposób; tracił pewność siebie.

Nancy błyskawicznie się opanowała.

- Och, to ty? Naprawdę?

George grzecznie pocałował ją w policzek. Wyczuł zapach lawendowych perfum i pudru do twarzy.

- Pomyślałem, że złożę ci małą wizytę, zobaczę, jak się czujesz.

Prychnęła.

– Nie śpieszę się jeszcze do grobu, jeśli o to ci chodziło.

Znów gwałtownie zadzwoniła. George z odrazą patrzył na jej wielką dłoń, zaciśniętą na drewnianym uchwycie dzwonka.

– Lily, przynieś nam dzbanuszek gorącej herbaty! - Oboje usłyszeli szuranie nóg, kierujących się z holu do kuchni. - I niech ta herbata będzie mocniejsza od sików, które podałaś mi wcześniej! - zawołała.

Wygodniej rozparła się na krześle. A więc jej syn postanowił ją odwiedzić. Proszę, proszę. Na jej ustach pojawił się podejrzliwy uśmiešek.

– A gdzie jest dzisiaj twoja dziesięcotonowa druga polowa?

George wzdrygnął się. Och, jaka okrutna potrafiła być jego matka.

– Elaine pracuje, mamó.

Usiadł na kanapie i zaczął rozglądać się po pokoju. Był naprawdę uroczo urządzone. Miał też wysoki sufit z oryginalnymi ornamentalnymi karniszami i różyczkami.

– I tak by tu nie przyszła.

George oderwał wzrok od sufitu.

– Kto?

– Elaine, oczywiście. A kto, jak myślisz? - Nancy klepnęła dłonią w swoje dziwaczne pomarańczowe krzesło. - Powiedz mi wreszcie, co cię tu dzisiaj przyniosło.

– Mamó, po prostu chciałem cię zobaczyć.

– Bzdury. Jeszcze nigdy mnie nie odwiedzałaś. Masz jakieś kłopoty, co?

– Jakie znowu kłopoty? - zapytał George cicho.

Nancy wzruszyła ramionami.

– A skąd mam wiedzieć? Zrobiłeś coś złego, Georgie? Zawsze mi możesz powiedzieć, przecież wiesz. - Jej głos kusił, przypochlebiała się synowi, chcąc wyciągnąć od niego tajemnicę.

George zmierzył ją uważnym spojrzeniem i ze zdziwieniem stwierdził, że jego strach przed matką gdzieś dzisiaj zniknął. Zazwyczaj jej dudniący głos czynił z niego kłębek nerwów, a złowrogi wyraz twarzy sprawiał, że jego serce zaczynało galopować jak oszalałe. Dzisiaj jedynie chciało mu się z niej śmiać.

– Miewasz jakieś wiadomości od Edith, mamó? - George wyczuł, że temperatura w pokoju nagle spadła do zera, ale kontynuował: - Bo ja czasami miewam od niej wiadomości. Chyba wiesz, że doskonale się jej wiedzie?

Patrzył, jak usta matki układają się w niechętny grymas. Dobrze się bawił.

– Dlaczego nie jesteś w pracy? - zapytała go oskarżycielsko.

– Przechodzę na emeryturę.

– Ha! Raczej cię zredukowano! Elaine opowiedziała to miejscowej gadule i ta zaraz wszystko mi powtórzyła. - Ukłuła się grubym palcem w pierś.

George poczuł, że jego pewność siebie słabnie.

– Już cię tam nie potrzebowali, taka jest prawda. Ile ty masz lat? Pięćdziesiąt jeden... pięćdziesiąt dwa. Już ci leci z górki, mój chłopcze.

George robił się coraz smutniejszy. Po co właściwie tutaj przyszedł? Przecież wiedział, jak to się skończy, zawsze kończyło się tak samo. Zacisnął dłonie w pięści. Tymczasem Nancy przechodziła do swojego ulubionego tematu.

– Wcale nie poznałeś życia, George. Nawet nie miałeś przyjaciół..

– Mam dużo przyjaciół. Mnóstwo przyjaciół, mam. Ostatniej nocy byłem z nimi na mieście. Chciałbym, żebyś nie zachowywała się wobec mnie w taki sposób. Jesteś strasznie zgryźliwa; nic dziwnego, że nikt cię nie odwiedza. Nie wiem, do diabła, jakim cudem Joseph i Lily z tobą wytrzymują!

Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, jego szwagierka właśnie wchodziła do pokoju, z herbatą i z filiżankami na tacy. Tak się przestraszyła, że nieomal wszystko opuściła na podłogę.

– Co powiedziałaś? - Głos Nancy był twardy i zimny jak granit.

Ale George brnął dalej.

– Słyszałaś mnie, mam, masz przecież uszy jak słoń. Kłapiesz nimi i wsłuchujesz się we wszystko, co dla nich nie jest przeznaczone. - Popatrzył na pobladłą Lily, stojącą na środku pokoju z tacą, i zmusił się do uśmiechu. - Pozwól, Lily, że ci pomogę.

– Postaw to na stoliku, bardzo proszę - wystękała z trudem.

Nancy obserwowała syna spod przymrużonych powiek. Była na tyle mądra, by zdać sobie sprawę, że jeśli nie zmieni tonu, George sobie pójdzie. A wcale nie chciała, żeby odszedł. Był pierwszym z trójki jej dzieci, który dobrowolnie przyszedł do niej w odwiedziny, ni z gruszki, ni z pietruszki, nawet się nie zapowiadając.

– Nalać? - Głos George'a znowu był silny, zdecydowany.

W ciągu następnych minut jedynymi dźwiękami było podzwanianie łyżeczek o filiżanki i tykanie wielkiego stojącego zegara.

Lily obserwowała dwoje ludzi siedzących przed nią. Odnosiła wrażenie, że na jej oczach odbywa się jakiś sekretny taniec. Jej teściowa była pokonana i patrzyła na syna spod opuszczonych powiek. Jej żółtawa skóra jakby poszarzała, jak nigdy przedtem.

George, z drugiej strony, wyglądał doskonale. Wspaniale, w gruncie rzeczy. Lily nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w jej obecności wyglądał lepiej. Nawet ubrał się porządnie. Było to dziwne i gdyby nie widziała

tego na własne oczy, uznałaby to po prostu za niemożliwe. Miał białą koszulę, szary krawat i granatowy bezrękawnik, ręcznie zrobiony na szydełku.

Nic nie mówiąc, Lily piła herbatę.

Pomiędzy matką i synem coś się zmieniło i wcale nie była pewna, czy jej się to podoba. Jeśli George zdenerwuje matkę, to na nią, na Lily, spadnie cała burza, kiedy George sobie pójdzie.

– Wezmę swoją herbatę do kuchni, jeśli nie macie nic przeciwko. Muszę jeszcze coś dokończyć... - wybełkotała.

Czując ich wzrok na sobie, niepewnym krokiem wyszła z pokoju. Cokolwiek mieli sobie do powiedzenia, nie zamierzała przy tym być. Drzwi do kuchni zostawiła jednak szeroko otwarte.

– Proszę, jak miło, mamo, prawda? - powiedział George głośno.

Wówczas Nancy posłała mu rzadki u niej, szczerzy uśmiech. Gdy złagodził twarde rysy jej twarzy, George poczuł, jak w gardle rośnie mu wielka kula. Ujrzał twarz, jaką czasami sobie tylko wyobrażał. Ujrzał uśmiech pięknej dziewczyny, jaką matka kiedyś była, dawno, dawno temu, przed małżeństwem, przed urodzeniem dzieci, w innym życiu.

Przed mężczyznami.

George strasznie żałował, że nie znał jej wtedy.

Miewał własne wizje swojej matki, potrzebował ich. Nie potrafił zaakceptować tego, że od dzieciństwa była dla niego wyłącznie złą mocą. Że wykorzystywała mężczyzn dla własnych celów, kiedy dorastał. Że Nancy Markham przez całe życie wykorzystywała i oszukiwała wszystkich ludzi, których spotkała na swojej drodze, tak samo zresztą, jak swoje dzieci.

– Patrz, tam, na kredensie, są moje albumy z fotografiami. Przynieś mi je, George.

Wziął ciężkie albumy i położył je na kolanach matki.

– Usiądź u moich stóp. Powspominamy sobie.

Wykonał polecenie jak za dawnych czasów, kiedy jej słowo było prawem.

Nancy zaczęła kartkować pierwszy album. Jej oczy zaszyły mgiełką nostalgii.

– Patrz tylko tutaj, Georgie. Pamiętasz?

Ukląkł i popatrzył na zdjęcie. Przedstawiało go z matką, gdy miał mniej więcej pięć lat. Nancy ubrana była w dwuczęściowy strój kąpielowy, bardzo odważny w tamtych czasach, i zmysłowo patrzyła w obiektyw aparatu. Miała doskonale ułożone włosy. Jej długie, kształtne nogi zasłaniał mały chłopiec trzymający w ręce watę cukrową na patyku. George zobaczył swoje zbyt duże spodenki, wystające z nich patykowate nogi, ścięte na jeża włosy i poważną twarz.

Dzień, w którym wykonano tę fotografię, utkwił w jego pamięci, ponieważ to był dobry dzień. Szczęśliwy dzień. Rzadki dzień. Jeszcze teraz czuł gorąco, piasek i ludzi. Przejazdki na osłach, watę cukrową i aromat topniejącej margaryny na kanapkach z dżemem. Niemal czuł smak dżemu truskawkowego i piasek między zębami, dostający się do ust z brudnych palców. Prawie dotykał słonego i niebieskiego morza. Był to wspaniały dzień, od wczesnego wyjazdu pociągiem, po bezsenność - mimo krańcowego wyczerpania - w zimnej pościeli w oczekiwaniu na twarde sen. Pamiętał, jak Nancy pocałowała go na dobranoc. Uśmiechnęła się wtedy do niego łagodnym uśmiechem, który pojawił się na opalonej na brzoskwińowo twarzy.

– To było w Camber Sands, Georgie. Wyglądałam wówczas jak z obrazka. Wszyscy faceci się za mną oglądali. Ach, to były piękne dni!

– Wciąż wyglądasz prześlicznie, mamo.

Było to uprzejme kłamstwo, którego pragnęła, które spodziewała się usłyszeć.

– Pewnie nie tak jak kiedyś, ale całkiem nieźle, jak na mój wiek, prawda?

Jej głos brzmiał łagodnie, niemal żartobliwie. Kiedy Nancy mówiła o sobie, ożywiała się. Mało jej wtedy brakowało do szczęścia.

Odwróciła stronicę. Kolejna fotografia przedstawiała tylko ją samą. Głowę i ramiona. Jej usta były lekko otwarte. Ciemnomiedziane włosy okalały twarz, na której odznaczały się usta, pomalowane jasną, pomarańczową szminką. Zdjęcie pokolorował fotograf, który doskonale uchwycił właściwe odcienie jej włosów i skóry.

Nancy w zadumie pogłaskała fotografię pomarszczonymi palcami.

– Pamiętam tę chwilę, jakby to było wczoraj. Mężczyzna, który wykonał fotografię, powiedział, że powinnam zostać modelką. Powiedział, że mam doskonałą strukturę kości.

I powinien dobrze to wiedzieć, pomyślał George. Wprowadził się do nich w tym samym dniu. George mocno zacisnął oczy. Pamiętał ten dzień doskonale. Wszyscy zrobili sobie zdjęcia, a potem matka odesłała ich do domu. Pamiętał, jak Edith prowadziła braci do autobusu, a następnie przygotowywała w kuchni coś do jedzenia. Później matka wróciła z tym mężczyzną, potężnym, bardzo towarzyskim osobnikiem, z wąsikami jak ołówek, ubranym w kraciastą marynarkę w stylu księcia Walii. Przywiózł matkę mocno pijaną oraz paczkę, w której znajdowały się ryby i frytki, czym od razu kupił sobie Josepha i George'a. Przyniósł także dużą butelkę tizera. Kiedy się rozsiadli w salonie, bawił wszystkich opowieściami o swoim pobycie w armii. Dwaj mali chłopcy z szeroko otwartymi oczyma słuchali o tym, jak strzelał do szkopów.

Jeszcze tego samego wieczoru, lecz później, znacznie później, George

wstał z brzuchem bolącym od ryb, frytek i tizera. Po drodze do toalety usłyszał jęki dochodzące z pokoju matki. Cicho otworzywszy drzwi, chciał sprawdzić ich pochodzenie. Ujrzał matkę, klęczącą przed łóżkiem, na którym leżał mężczyzna. Jego dłonie zanurzone były w jej długich, gęstych włosach. Bawił się nimi, okręcał je wokół palców. To on jęczał.

– Och, jakie to miłe. Weź go całego, Nance.

W słabym blasku dogasającego kominka George widział nagie ciało matki, widział jej głowę to unoszącą się, to opadającą na krocze mężczyzny. W pewnej chwili mężczyzna go zauważył. Odepchnawszy Nancy, naciągnął na siebie kołdrę, by zakryć nagość. George zbyt późno dostrzegł wściekłość na twarzy matki.

– Spieprzaj stąd, ty wścibski, mały łobuzie!

Nagle zerwała się z podłogi, z twarzą wykrzywioną przez wściekłość, ze szminką rozmazaną aż na policzki. Ruszyła w jego kierunku długimi krokami. Jej usta wyglądały jak czarna głęboka jama.

George miał wtedy trzy lata.

– Georgie, a spójrz na to.

George powrócił do rzeczywistości.

– Popatrz na moją sukienkę. Pamiętam, że strasznie długo musiałam oszczędzać, żeby ją kupić.

George zmusił się do popatrzenia na fotografię. Odniósł wrażenie, że jego serce zaczyna bić znacznie wolniej.

– Co to za dziewczyna z tobą?

– To, mój chłopcze, jest Ruth Ellis.

George uważniej przyjrzał się fotografii.

– Pracowałam w jej klubie. Nazywał się Little Club, mieścił się w Knightsbridge.

Nancy popatrzyła na syna z delikatnym uśmiechem na twarzy, radując się zaskoczeniem, jakie wywołała.

– To był burdel.

– Prawie burdel, mój chłopcze. Raczej klub dla dżentelmenów.

George spojrział na twarz matki i dostrzegł błysk w jej oczach. Wykorzystywała właśnie swoją przeszłość, przeszłość, o której w zasadzie przenigdy nikomu by już nie wspomniała, w celu zachwiania pewnością siebie George'a, zastraszenia go. Z pozycji religijnej babci, uosobienia poprawności, powracała do dni, kiedy się kurwiła, po to tylko, żeby go pognębić. Tak dobrze ją znał. A potrafiła być świętoszkowata. Pamiętał, jak gromiła Edith, kiedy ta zaszła w ciążę. Pamiętał, jak fałszywie zgrywała przed sąsiadami bogobojną i ubogą osobę. Teraz swe prawdziwe życie chciała bez skrupułów wykorzystać, żeby zranić do żywego jedno z dzieci. Odczuł wielką ochotę, żeby ją uderzyć.

– Ktoś kiedyś do mnie powiedział: „Nancy, siedzisz na kopalni złota”. Miał rację. Wiesz, kto to powiedział? Brat twojego ojca. Uciekłam z nim. Twój ojciec nie umarł, George, porzuciłam go.

– Mówiłaś, że nie żyje! Wierzyłem...

Nancy roześmiała się.

– Teraz już nie żyje. Umarł mniej więcej dziesięć lat temu. Policja odnalazła mnie i mi o tym powiedziała. Umarł w jakiejś kawalerce w południowym Londynie. Znaleźli go dopiero dziesięć dni po śmierci. Bezczelni naciągacze, chcieli, żebym zapłaciła za pogrzeb! Ale powiedziałam im, gdzie mogą sobie schować takie propozycje. On był bezużyteczny, Georgie, był cholernie bezużytecznym dupkiem. Nie potrafił nawet porządnie umrzeć. Sam do ostatniej chwili.

Obserwując się jakby z boku, George podniósł się z podłogi; poczuł, że nogi ma zdrętwiałe od długotrwałego klęczenia. Następnie uderzył matkę w twarz. Zdał sobie z tego sprawę tylko dlatego, że usłyszał głośne plaśnięcie w chwili, w której jego dłoń zetknęła się z jej obwisłym policzkiem. Głowa Nancy poleciała z ogromną siłą do tyłu. Kobieta wrzasnęła z wściekłości.

Lily podsłuchująca za drzwiami podskakiwała z nogi na nogę, nie dowierzając temu, co słyszy.

– Ty zła, ohydna zdiro! Ty brudna, śmierdząca flądrowo! - W kącikach ust George’a pojawiły się pęcherzyki piany. - Mój ojciec żył! Mógł mnie ocalić przed tobą. Mógł ocalić nas wszystkich przed twoimi przyjaciółmi i twoją złośliwością. Pozwalałaś, żeby mężczyźni dotykali mnie za pieniądze... Pozwalałaś im mnie dotykać i wykorzystywać!

W jego mózgu coś pękło, nagle zaczęła się z niego wylewać cała złość, jaką dotąd w sobie tłumił. Był niebezpiecznie blisko łez i z trudem powstrzymywał płacz.

– Ty pierdolona, śmierdząca kurwo! Ty śmierdząca szmato!

Przez całe życie znajdowała przyjemność w ranieniu go, a innym mężczyznom dawała przyjemność za pieniądze. George poczuł, jak gardło rozsadza mu wielka, płonąca kula.

Zacisnął usta, żeby nie zwymiotować na siedzącą przed nim kobietę.

– Żadne z moich dzieci nigdy nie miało głowy na karku. Byliście jak on, słabi i chorowici. Nienawidziłam was wszystkich!

W jej głosie brzmiała złośliwość i coś jeszcze.

To był strach.

Bała się go, bała się go z powodu tego, co wywołała. Nie wiedziała, jaki będzie rezultat jego wybuchu.

George opadł na krzesło. Poczucił się krańcowo zmęczony. To był błąd, że tutaj przyszedł. Powinien był przewidzieć, że to się tak skończy. Nancy ukradła mu dzieciństwo, niewinność i ojca.

Tego ostatniego nigdy jej nie wybaczy.

Tyle razy od niej uciekał i potem wracał, a tymczasem miał ojca, u którego mógłby się schronić. Mężczyznę, który z pewnością odpowiednio by się nim zaopiekował.

Popatrzył na matkę, jakby ją widział po raz pierwszy. Wreszcie zrozumiał, że nienawidzi jej w stu procentach. Wywoływała w nim obrzydzenie. Była kurwą. Wszystkie kobiety to kurwy, co do ostatniej.

Nagle zaczął się śmiać, wysokim histerycznym śmiechem, tak przerażającym, że do pokoju wpadła zaniepokojona Lily.

Stara suka! Przez wszystkie te lata świętoszkowatych przemów, głębokiej pobożności na pokaz, zgrywania wszem wobec wzoru cnotliwości, ta kobieta była po prostu zwyczajną prostytutką!

– Ty stara, fałszywa krowo! - Lily opuściły i spokój, i udawana dotąd wytworność. - Grzmociłaś się za młodu z kim popadnie!

Nancy popatrzyła na synową oczyma, które ciosały iskry niczym krzemienie.

– Wszystkich nas terroryzowałaś. Ale wiesz co, dziewczynko? Znajdziemy wreszcie dla ciebie dom spokojnej starości. Nie dbam o to, ile będzie kosztował. Niech tylko wróci Joseph! Już ja ci dam Ruth Ellis, ty stara suko!

George wytarł chusteczką oczy i, popatrzawszy po raz ostatni na przerażoną teraz matkę, wyszedł z pokoju, a potem z domu. Przez cały czas goniły go wrzaski Lily.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Na tylnym siedzeniu leżała jego walizka, zapakowana i gotowa, by ruszyć razem z nim na wakacje.

Niech tylko powie o wszystkim Edith. George wiedział, że już nigdy w życiu nie spotka się z matką.

Patrick Kelly jechał do Brighton. Dość szybko dowiedział się adresu rodziny Tony'ego Jonesa. Jeśli będzie trzeba, postanowił, przetrzyma jego starszą córkę jako zakładniczkę, dopóki Jones się nie zjawi. Z pewnością nie musiałby czekać długo; o zagrożeniu Tony dowiedziałby się z ulicy, z szeptanych plotek.

Rolls-royce zatrzymał się pod właściwym adresem w Steying. Kelly skinął głową Willy'emu i obaj wysiedli z samochodu. W małym bungalowie Tony Jones sącył whisky, a żona po prostu na niego patrzyła. Na kolanach trzymał wnuczkę, Melanie.

Kochała dziadka i chętnie się do niego tuliła. Drzwi otworzyła córka Tony'ego. W milczeniu patrzyła, jak dwaj mężczyźni wchodzą do mieszkania.

Patrick skinął dziewczynie na powitanie. Wiedział, że ona nie jest częścią tego wszystkiego.

– Gdzie on jest, kochanie?

Wskazała na drzwi przy końcu korytarza.

– Panie Kelly, tylko tam jest także moja córka...

Zignorował ją i wszedł do pokoju.

– Cześć, Tone. Dawno cię nie widziałem. Chcę cię zabrać na małą przejażdżkę. Porozmawiamy sobie.

Tony Jones zbladł. Dziewczynka wyczuła jego strach i przyłgnęła do niego mocniej.

Kelly spojrział na jej długie jasne włosy i nieprawdopodobnie niebieskie oczy. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po główce.

– Witaj, kochanie. Jak ci na imię?

Dziewczynka popatrzyła na mężczyznę i roześmiała się, ukazując ząbki jak perełki.

– Jestem Melanie Daniels i mam trzy lata.

– Jesteś duża, jak na swój wiek, wiesz? Pozwól dziadkowi nałożyć płaszcz. Tymczasem oboje sobie porozmawiamy.

Dziecko zerknęło na dziadka i ucieszyło się, kiedy pokiwał głową, potwierdzając prośbę Patricka. Melanie uznała, że duży pan w długim płaszczu jest miły. Willy patrzył zafascynowany, jak Patrick chwyta dziewczynkę za drobną rączkę. Zaraz jednak podszedł do Tony'ego Jonesa; musiał go pilnować. Tony otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Willy go uciszył.

– Chyba jesteś szurnięty, Tony. Że też przyszło ci do głowy igrać z Patrickiem, i to akurat w związku z Rozpruwaczem.

Tony zwiesił głowę.

Melanie siedziała na kolanach Patricka, opowiadając mu historyjki ze swojego życia.

– Mam małego kota o imieniu Sooty. A ty masz kota?

Patrick potrząsnął przecząco głową

– A może masz małego pieska?

Patrick uśmiechnął się do niej. Bez wątpienia, miał dobry humor. Melanie była czarującym dzieckiem.

– Napije się pan kawy, panie Kelly? - zapytała Jeanette słabym głosem.

Wiedziała o Patricku dość, by nie bać się o bezpieczeństwo córki. Wiele lat temu poznała Renée. Miała nadzieję, że Patrick o tym pamięta.

– Dlaczego nie? - Patrick popatrzył jej w oczy. - Przepraszam cię za to wszystko, Jeanette, ale chyba wiesz, o co toczy się gra?

Nie potrafiła wytrzymać jego wzroku, wstała więc i poszła do kuchni. Willy z Tonym wrócili do pokoju.

– A ja pójdę bawić się w szkołę - zaszczebiotała Melanie do Patricka, któremu najwyraźniej przypadła do gustu.

– Naprawdę? A co będziesz w niej robiła?

Melanie przygryzła górną wargę. Nad tym się jeszcze nie zastanawiała.

– Będę się uczyła śpiewać.

– Jesteś inteligentną dziewczynką, Melanie.

– Mój dziadek mówi, że jestem ładna jak obrazek. I czasami razem śpiewamy piosenki. Prawda, dziadku?

Tony pokiwał głową, patrząc na rozgrywającą się przed nim scenę.

– A jakie piosenki śpiewacie? - Zadając to pytanie dziewczynce, Kelly patrzył na Tony'ego.

– Mogę ci zaśpiewać, prawda, dziadku?

Tony znów skinął głową i Melanie zaczęła śpiewać.

Patrick pozwolił Tony'emu Jonesowi siedzieć w milczeniu jeszcze przez dwadzieścia minut i dopiero wtedy uznał, że pora iść. Do tego czasu Melanie tak go polubiła, że trzeba ją było od niego odrywać, gdyż chciała iść razem z nim. Jej płacz słychać było później aż na ulicy.

Wymogła jeszcze na trzech mężczyznach, że wszyscy, zanim wyjdą, pocałują ją w policzek; Willy uczynił to dopiero po ostrym rozkazie Patricka. Z kolei Patrick pogłaskał ją po główce, chłonąc jej dziecięcą niewinność. Niewinność, która przypominała mu o innym życiu. Tym życiu, które prowadził, kiedy miał żonę i własne dziecko.

W samochodzie zwrócił się do Tony'ego:

– Urocze dziecko. Musisz być z niej dumy.

Tony pokiwał głową. Nie był w stanie nic odpowiedzieć.

– Czy ona nie była urocza, Willy?

Willy nieznacznie odwrócił się z fotela kierowcy.

– Och, tak.

Patrick kontynuował, z pozoru obojętnym tonem:

– I teraz wyobraź sobie, że ktoś gwałci ją i pozostawia martwą na brudnej ziemi. Połowa czaszki jest roztrzaskana, włosy w kałuży krwi, przyklejone do podłogi. Albo że siedzisz w szpitalu i patrzysz, jak umiera, powoli, w męce. Jak walczy o życie po ciężkich operacjach polegających na nacinaniu czaszki, żeby nie uciskała opuchniętego mózgu. Niedobrze ci się robi od samego myślenia o tym, prawda?

Tony ledwo zauważalnie skinął głową.

– Teraz pewnie rozumiesz, dlaczego oberwiesz, Tony, prawda? Wpierw jednak masz mi ujawnić adres tego piździelca, numer telefonu, kod pocztowy i tak dalej. Chcę wiedzieć o nim wszystko, co ty o nim wiesz. Jasne?

Tony znów pokiwał głową.

Kelly przynajmniej nie powiedział, że go zabije. A to już było coś.

KSIĘGA DRUGA

„Powiesić go to nadmiar dobroci”, Powiedział Pan Okrutnik

John Bunyan, 1628-1688

*Gwałt! Gwałt! Tak, zniewoliłeś sprawiedliwość.
Przyparłeś do ściany, dla własnej przyjemności.*

John Webster, 1580-1625

*Życie za życie Oko za oko, ząb za ząb,
Ręka za rękę, noga za nogę,
Oparzenie za oparzenie, rana za ranę,
Siniec za siniec.*

Księga Wyjścia 21, 23

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

George zameldował się w hotelu Hilton przy porcie lotniczym Gatwick. Był zdenerwowany i roztrzęsiony. Wiedział, że nie zaśnie.

Otworzył walizkę. Zapakował do niej swoje ulubione czasopisma. Dzisiejszej nocy będzie ich potrzebował. Potrzebował ucieczki od realnego świata. Otworzył jeden z magazynów na rozkładówce. Z fotografii patrzyła na niego dziewczyna. Miała wspaniałe kasztanowe włosy. George wiedział, że są prawdziwe, ponieważ takiego samego koloru były jej włosy pomiędzy nogami.

Rozebrał się i starannie powiesił ubranie w szafie, po czym padł na wznak na łóżko w samych majtkach. Jutro o tej porze będzie już w USA. Pozwolił sobie na uśmiech. Będzie na Florydzie i rozpocznie nowe życie.

Język wystawał mu z kącika ust, gdy koncentrował się na wymyślaniu nowych sytuacji i nowych zabaw dla dziewczyny z rozkładówki.

Z każdą chwilą czuł się lepiej.

Patrick uśmiechnął się do Tony'ego Jonesa.

– Mówisz więc, Tony, że dałeś zbadać swoją krew zamiast krwi tego palanta.

Skinął głową z oczyma utkwionymi w podłogę.

– Poszedłeś na to badanie, badanie, za które ja płacę ciężkie pieniądze, po to tylko, żeby temu kawałkowi gówna się upiekło!

– To nie było tak, panie Kally. On przyparł mnie do muru...

– Zaraz ja cię przyprę do muru, przyjacielu. - Głos Willy'ego był cichy i groźny.

Tony zerknął niespokojnie na Patricka.

– Sprzedawałem filmy, na których ludzie się bzykają, a później zabijają dziewczyny. Kupował je. Powiedział, że wplączę mnie w swoje... - W głosie Tony'ego słychać było desperację.

Przez chwilę panowała cisza. I Kelly, i Willy patrzyli na stojącego przed nimi mężczyznę spod przymrużonych powiek, jakby starali się zrozumieć, co widzą.

– Pornosy z morderstwami? Sprzedawałeś mu pornosy z morderstwami? Zadajesz się z typem, który wystawia małych chłopców na ulice, sprzedajesz śmierć i spodziewasz się, że będę wobec ciebie

pobłażliwy? Chcesz, żebym powiedział: „Nie martw się, Tony, skoro wszystko szczerze wyznałeś, odpuszczę ci”?

Patrick zamierzył się pięścią i zaczął obijać nią twarz i głowę Tony’ego. Czuł, jak pęka mu skóra na kostkach rąk, gdy z wielkim impetem stykały się z czaszką mężczyzny, poczuł na nich krew, kiedy pękł łuk brwiowy Tony’ego, a jednak nie potrafił się powstrzymać. Wściekłość, jaka go ogarnęła, podsycaly jeszcze wizje zmasakrowanej twarzy Mandy i jej zbrukanych zwłok. Jego determinację wzmacniała świadomość, że została napadnięta, zgwałcona i zamordowana przez sadystę, który potraktował ją tak, jak się traktuje wściekłego psa.

I to wszystko przez Tony’ego Jonesa. To on dostarczał George’owi Markhamowi podniet, które karmiły jego chorą fantazję. W końcu, ciężko dysząc, Patrick odszedł w róg zamkniętego na klucz garażu. Na zewnątrz drapał w drzwi rottweiler należący do jednego z ludzi Patricka. Próbował węszyć pod drzwiami i cicho popiskiwał. Co jakiś czas słychać było głos Jimmy’ego Danksa, uciszający zwierzaka. Patrickowi przyszło do głowy, że Tony może wkrótce umrzeć.

Wzruszył ramionami. W tej chwili w ogóle o to nie dbał. Otarł z oczu łzy; nie był pewien, czy wywołała je wściekłość, czy też tęsknota za Mandy. Bo przez cały czas rozmyślał właśnie o niej. Nie potrafił skupić się dłużej na żadnej innej myśli. Nic nie mogło przywrócić Mandy do życia. Rozumiał to i akceptował, ale był też pewien, że znajdzie tego George’a Markhama, i sprawi, że sadysta słono zapłaci za to, co zrobił. Zapłaci nie tylko za Mandy, ale za wszystkie inne kobiety, które zamordował.

Usłyszał jęk i, odwróciwszy się, ujrzał, że Tony Jones wraca do przytomności. Patrick patrzył, jak mężczyzna niezdarnie podnosi się z brudnej posadzki i siada na zniszczonym krześle. Otworzył drzwi i skinął na człowieka z rottweilerem. Następnie po raz ostami popatrzył na Tony’ego Jonesa i, nakazawszy gestem Willy’emu, żeby ruszył za nim, wyszedł z garażu.

Pies z całej siły napinał smycz, głośno wciągając nosem powietrze. Groźnie kłapał potężnymi szczękami. Kelly stanął przy samochodzie i patrzył, jak Jimmy Danks odpina smycz, wpuszcza psa do garażu i zamyka za nim drzwi.

W momencie, w którym Tony Jones zdał sobie sprawę, co się dzieje, sto dwadzieścia funtów mięśni bestii było już w powietrzu i spadało prosto na niego.

Kelly i Willy odjechali, ścigani przez przerażające wrzaski Tony’ego. Właściciel psa spokojnie stał przed garażem, paląc papierosa. Wesół pomachał za oddalającym się samochodem.

George ubrał się i wyszedł z hotelu o ósmej trzydziści siedem wieczorem. Nie potrafił się odprężyć. Nie poprawiały ma samopoczucia

nawet ulubione magazyny, tak bardzo zdenerwowała go matka. Przez jakiś czas jeździł samochodem bez określonego celu, a po głowie wciąż krążyły mu słowa, które Nancy Markham wypowiedziała dziś przed południem.

A więc jego ojciec nie umarł. We wspomnieniach istniał tylko jako wysoki, chudy mężczyzna, ciemny blondyn, otoczony zapachem tabaki. Pamiętał go przesiadującego w salonie na dużym krześle. A potem, pewnego dnia, już go nie było.

W najwcześniejszym wspomnieniu matki dokładnie widzi ją, jak unosi go w powietrze i całuje prosto w usta, a potem mocno do siebie przyciska, mimo że George się wyrywa. Jej ramiona otaczają go jak stalowe obręcze.

Zadrzał.

Jakiś kierowca jadący za nim nacisnął klakson i George powrócił myślami do rzeczywistości. Zdziwił się, stwierdziwszy, że znajduje się na rondzie. Zjechał z niego w pierwszą ulicę odbijającą w bok. Popatrzył na znak informacyjny: znajdował się na trasie A26, prowadzącej do Maidstone. Był tak zdenerwowany, że aż do tej pory jeździł, nie wiedząc dokąd.

Tylko matka potrafiła go doprowadzić do takiego stanu.

Po chwili skręcił w wąską drogę do Nettlestead. Było wpół do dziesiątej. Prowadził samochód powoli, próbując zebrać myśli.

W pewnym momencie, mniej więcej trzydzieści jardów przed maską zobaczył kobietę. Stała przy dużym range roverze i machała na George'a, żeby się zatrzymał.

Zahamował za jej samochodem i opuścił boczną szybę. Cynthia Redcar ruszyła w jego kierunku. Poły jej obszernego płaszcza rozwiewały się, gdyż niemal biegła. Już od dobrych trzydziestu minut czekała na jakąkolwiek pomoc.

– Bardzo pana przepraszam, ale zepsuł mi się samochód.

George ujrzał jej białe zęby i bujne czarne włosy. Miała długą szczękę i każdy, kto by na nią spojrział, zapewne nazwałby jej twarz „końską”.

– Czy mógłby mnie pan zawieźć gdzieś, gdzie zorganizowałabym pomoc? Poza tym muszę zatelefonować do męża, jest już pewnie chory z niepokoju. - Uśmiechnęła się do George'a.

– A właściwie na czym polega kłopot?

Mocniej otuliła się płaszczem. Była niska i bardzo drobna. Skrzywiła się.

– Niestety, nie mam zielonego pojęcia o samochodach. Po prostu nagle silnik zgasł i auto przestało jechać. O Chryste, znowu. - Podbiegła do range rovera, skąd rozległ się płacz dziecka.

George pozostał w swoim samochodzie, odprowadziwszy ją

wzrokiem.

Kobieta wzięła na ręce mniej więcej osiemnastomiesięcznego chłopca. Przycisnęła go do piersi i zaczęła głaskać po głowie i uspokajać - tak jak tylko matki potrafią. Uniosła wzrok i powiedziała do George'a:

- Biedaczek, jest mu zimno i jest głodny.

Z tylnego siedzenia wzięła jakąś torbę i zamknęła range rovera na klucz. Następnie stanęła przed George'em, gotowa do drogi. Patrzyła na niego wyczekująco.

Pomyślała, że ma do czynienia z dziwnym człowiekiem. Do tej pory prawie nie wypowiedział słowa. Zdeterminowana, podeszła do tylnych drzwi oriona i otworzyła je zdecydowanym ruchem. Położyła na fotelu dziecko i sama usiadła obok, cicho coś do niego szepcząc i nacierając mu nóżki. George zobaczył, że dziecko zamknęło oczy, bez wątpienia uspokojone. Uroczy obrazek na tylnym siedzeniu zafascynował go.

Kobieta podchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- W domu mam jeszcze taką trójkę, niestety. Mam nadzieję, że Dicky będzie pamiętał, żeby je nakarmić. Czasami trudno na nim polegać. Ale jestem pewna, że nakarmił konie, o nich nigdy nie zapomina. - Roześmiała się wesoło. George przypatrywał się jej i poczuł, że właściwie nie wie, co robić. - Nie chciałabym być natrętna, ale czy mógłby mnie pan zawieźć do wioski? - Uniosła brwi, tym razem w wyrazie nadziei.

George rozglądał się dookoła. Droga była zupełnie pusta. Jeśli kobieta tkwiła tutaj sama przez pół godziny, zapewne rzadko kto nią jeździł. Po prawej stronie rósł las, a po lewej widać było pole kukurydzy. Wreszcie poczuł, jak rośnie w nim znajome podniecenie. Wsunął dłoń do kieszeni płaszcza i natrafił na rękojeść noża. Była zimna. Droga miała oświetlenie, jednak bardzo słabe, przyćmione, jakby ktoś, kto je zaprojektował, wiedział, że mało kto będzie tędy jeździł.

- Daleko stąd pani mieszka?

- Nie, jakieś osiem mil, prosto, tą drogą. Problem w tym, że oświetlenie kończy się mniej więcej za pół mili i jakoś nie uśmiechał mi się samotny spacer w całkowitym mroku.

Jej głos był taki pełen życia. George'owi przyszło do głowy, że związek z nią musi być jedną wielką radością. Wyobrażał sobie, jak bawi się z dziećmi, jak wypieka domowy chleb. Wyglądała na kobietę, która na poważnie bierze zagrożenia wynikające z powstania dziury ozonowej i martwi się stanem lasów tropikalnych. Zapewne jeździła też konno.

Zachichotała.

- Nic panu nie jest? Jeżeli sprawiam panu jakiś kłopot...

Jej głos brzmiał mniej pewnie niż przed chwilą. George zauważył, że ogląda się do tyłu w nadziei, że na drodze pojawi się jakiś inny samochód. Dziecko zaczęło cicho chrapać.

Uśmiechnął się szeroko do kobiety.

– Wsiadaj z samochodu.

– Sł... Słucham pana?

Szarpnął ją za ramię.

– Powiedziałem, wsiadaj z samochodu.

Wysunęła ręce, żeby wziąć dziecko, ale George w tej samej chwili wyjął nóż.

– Zostaw dzieciaka.

Cynthia Redcar wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. W jej oczach malowało się całkowite zaskoczenie. George wyraźnie czuł zapach jej strachu. Niezdarnie wygramoliła się z samochodu.

– Zdejmij płaszcz i przykryj nim dzieciaka, żeby nie zmarł.

Cynthia stała jak wmurowana, wciąż wpatrując się w George'a.

George wzniósł oczy ku niebu. Dlaczego kobiety są takie trudne? Uderzył ją otwartą dłonią w twarz i warknął:

– Nie denerwuj mnie, ostrzegam. Rób, co ci każe, a wszystko dobrze się skończy.

Cynthia zdjęła płaszcz i delikatnie otuliła nim syna. Zadrżała, gdy przeniknął ją silny

podmuch zimnego wiatru.

– A teraz zatrzaśnij drzwi. Pójdziemy sobie na mały spacer.

Po minucie znaleźli się w lesie. W półmroku Cynthia poczuła, jak ręka George'a zaczyna błędzić po jej piersi, i instynktownie ją odepchnęła.

– Jak na imię chłopcu? - Głos George'a był cichy i pełen wściekłości. Cynthia odebrała to jako zagrożenie o wiele większe niż fizyczne uderzenie.

– Proszę, niech pan nie robi krzywdy Jamesowi. Zrobię wszystko, tylko niech pan nie dotyka mojego chłopca.

George'owi całkowicie to odpowiadało.

– Rozbieraj się.

Patrzył, jak Cynthia drżącymi rękami usiłuje rozpiąć guziki dzinsów. Cały czas się w nią wpatrywał, również wtedy, gdy przez głowę zdejmowała bluzę. Ręce jej się trzęsły.

Miała duże, obwisłe piersi. George wyobrażał sobie fioletoworóżowe żyły pod białą skórą. Jak powiedziała? Że ma czwórkę dzieci? George'owi zaszumiało w głowie. Podniecał się jej strachem. Kochał strach. Uwielbiał panowanie nad sytuacją, pełną kontrolę. Cynthia stała

przed nim, naga i bosa, z rękami złożonymi na piersiach, usiłując osłonić swoją nagość.

– Połóż się.

– Błagam... Kimkolwiek pan jest, niech pan tego nie robi - powiedziała przez łyzy.

– Połóż się. - Zrobił krok w jej kierunku i błysnął ostrzem noża tuż przy jej twarzy.

Położyła się na zimnej, mokrej ściółce, z rękami pomiędzy nogami. George przez kilka

chwil mierzył ją wzrokiem, po czym nagle ściągnął płaszcz i ukląkł przed nią, wymuszając kolanami, żeby szeroko rozłożyła nogi.

– Zrobisz dla mnie kilka rzeczy, moja droga. A jeśli zrobisz je bardzo dobrze, pozwolę ci iść do domu.

George rozpiął rozporek.

Cynthia poczuła mdłości.

George znów był szczęśliwy. Mimo wszystko dzisiejszy dzień wcale nie okazał się taki najgorszy.

Kate zapukała do domu Patricka o dziewiątej trzydzieści. Drzwi otworzył jej osobiście.

– Dostałam twoją wiadomość, Pat. Czy wszystko w porządku?

– Tak. Miałem trochę więcej spraw do załatwienia, nic ponadto.

Przeszli do salonu i Patrick nalał po drinku. Kate zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie krzesła. Rozejrzała się po znajomym pokoju i poczuła, jak ogarnia ją miłe ciepło. Lubiła dom Patricka, bardzo lubiła.

– Na dworze wciąż j est zimno, Kate?

– Tak. Wszystko wskazuje na to, że jeszcze będzie padać.

Usiadła na kanapie i upiła łyk alkoholu.

– Na pewno dobrze się czujesz, Pat?

Aż podskoczył. Myślami podążał właśnie ku niedalekiej przyszłości, gdy dorwie wreszcie George'a Markhama.

– Jasne. - Jego głos był szorstki. Próbował się uspokoić. - Miałem problem z jednym z moich ludzi, to wszystko. Takie rzeczy dzieją się przez cały czas.

Powinien był zostawić wiadomość u jej matki, że zobaczą się dopiero jutro. Nie powinien był spotykać się z Kate dzisiaj. Byli umówieni na ósmą, ale zadzwonił do Evelyn i przesunął spotkanie na dziewiątą trzydzieści. Błąd. Gdyby Kate wiedziała, jakie Patrick ma plany na dzisiejszą noc...

– Jaki problem? - W jej głosie brzmiała autentyczna troska.

Patrick popatrzył na nią i na samą myśl, jak bardzo ją kocha, zachciało mu się płakać.

– Nie ma czym się martwić, Kate. A co słyhać u ciebie?

Jego głos jakby zlągodniał. Patrzyła, jak zapala papierosa. Dłonie mu drżały.

– Wszystko w porządku. Badania krwi idą pełną parą.

– Jasne - rzucił nerwowo.

Miał wielką ochotę powiedzieć jej, że te wszystkie badania to już tylko strata czasu, że Rozpruwacz z Grantley, George Markham, zapłacił pewnemu facetowi, żeby poszedł na to badanie za niego. Cholerne oszustwo.

– Robimy, co możemy, chyba nie wątpisz - powiedziała Kate spokojnie i Patrick zmieszał się. Nie powinien był tak reagować.

Ale niemal natychmiast poczucie winy zastąpiła obawa. Gdyby Kate dowiedziała się, co zamierzał... Pewnie to byłby ich koniec. To, co zrobił Danny'emu Burrowsowi, będzie niegodnym wspomnienia incydentem wobec tego, jak Kate się poczuje, kiedy zostanie znaleziony - zamordowany - George Markham. Patrick nie dbał o to, czy po morderstwie zostanie zatrzymany przez policję. Ważne było jedynie to, by morderca zapłacił możliwie najwyższą cenę.

A Kate była zmartwiona. Patrick wydawał się napięty jak cięciwa łuku. Jakby znał jakiś straszny sekret, ale nie mógł go nikomu zdradzić.

– Jadłeś już, Pat?

Patrick nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Przypominała mu matkę: choćby działa się najgorsze, zawsze dbała najpierw o to, żeby wszyscy byli nakarmieni.

Jedzenie było lekarstwem stosowanym przez kobiety.

Gdyby tylko wszystko było na tyle proste, by załatwić to napełnieniem brzucha...

– Podejdz do mnie - zażądał.

Odstawiła szklankę i wykonała polecenie. Stanęła przed nim z rękami na biodrach.

– Bardzo mi się podoba twój ton. - Roześmiała się i Patrickowi zrobiło się głupio. Kate pewnie uważała, że miał zły dzień, gdyż bezustannie myślał o Mandy, i będzie chciała go pocieszyć. Tak, bez wątplenia. Była dobrą kobietą.

Posadził ją sobie na kolanach, wsunął dłoń pod jej sweter i zaczął głaskać delikatną skórę na jej piersiach.

– Och, Kate - jęknął z głębi serca, a ona poczuła się prawie tak, jakby ją uderzył.

– Patrick, powiedz mi, co się stało. Bardzo chciałabym ci pomóc. Masz jakieś kłopoty?

– Nie, nic z tych rzeczy, przysięgam.

– Dlaczego więc tak się zachowujesz? Chodzi o Mandy? Widzę, że z jakiegoś powodu zachowujesz się, jakbyś siedział na szpilkach. - Ściszyła głos. - Czy to z powodu Mandy?

Na to pytanie mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Tak... To przez Mandy.

– Tęsknisz za nią? To przecież normalne. Tęsknota atakuje w najmniej spodziewanych chwilach, nawet po długim czasie. Wiem coś o tym.

Wbiła w jego oczy szczere spojrzenie i poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej.

Pragnął jej powiedzieć, że tęskni za Mandy w każdej sekundzie każdego dnia. Że Mandy jest z nim zawsze, i wtedy, kiedy nad ranem otwiera oczy, i wtedy, gdy zamyka je w nocy. Mandy pojawia się nawet w jego snach. Ale teraz dorwał wreszcie sprawcę zbrodni i dzisiejszej nocy zamierza popełnić morderstwo. Nie może z tym czekać!

Wiedział, że Kate go nie zrozumie. Nie zrozumie jego potrzeby zniszczenia człowieka, który odebrał mu coś, co miał najcenniejszego. Nie zrozumie, jaką przyniesie mu to ulgę i oczyszczenie. Oczywiście, mógł sobie wmawiać, że chodzi mu tylko o to, żeby oczyścić świat z kawałka gówna. Tak sprawę ujął Willy. W głębi serca jednak wiedział, że to zaledwie mały fragment kierujących nim motywów. Najważniejszą sprawą była zemsta. Chciał napawać się zemstą i czuć krew na rękach.

Kate obserwowała jego twarz. Emocje Patricka były czytelne, bardzo chciała je z nim dzielić, ale dzisiaj zdawał się niedostępny.

Nagle oboje znaleźli się na dywanie.

Błyskawicznie zdarł z niej ubranie i już był w niej, poruszając się tak gwałtownie, jakby od tego zależało jego życie.

Jeszcze nigdy nie przeżyła tak brutalnego i zarazem tak pięknego aktu seksualnego. Równocześnie osiągnęli orgazmy, a potem długo leżeli na podłodze, spleceni w uścisku.

Patrick spojrział w jej ciemne oczy, żałując, że musi zrobić to, co sobie zaplanował na dzisiejszą noc. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ta śliczna istota się o tym dowie, po raz kolejny straci wszystko, co miał.

Ale miłość Kate mu nie wystarczała. Zemsta miała gorzki smak, jednak nie było już od niej odwrotu.

George nucił cicho jakąś melodię. Cynthia była spokojna i uległa. Jeszcze raz ułożył jej kończyny tak, żeby układały się zgodnie z jego wymaganiami. Miała muskularne uda. Zgadywał, że od konnej jazdy. W pewnej chwili strach sprawił, że straciła przytomność, i to go

zdenerwowało. Dzisiejszego wieczoru potrzebował kobiety, która by go błagała o litość.

To matka powinna była go dzisiaj błagać. O przebaczenie. Ale tego nie zrobiła.

Znów poczuł ogarniającą go falę złości, ale po chwili usłyszał jakiś hałas. To płakało dziecko.

James się obudził.

Cynthia usztywniła się pod nim. Płacz dziecka dotarł do niej, mimo że była nieprzytomna. Otworzyła oczy i, przypominając sobie, co się zdarzyło, popatrzyła z przerażeniem na George'a.

Płacz był coraz głośniejszy. Łkanie chłopca, połączone z czkawką, wdzierало się do jej serca jak dźgnięcia nożem.

Jak długo już tutaj leżała? Czy ten mężczyzna skrzywdził Jamesa? Próbowwała się podnieść.

George zaczął nerwowo cmokać. Poczuł dłonie kobiety na swojej klatce piersiowej i w chwili, w której zaczęła go od siebie odpychać, poczuł też, że jest bardzo silna. Miała teraz w sobie niemal zwierzęcą siłę. Jej dziecko było w niebezpieczeństwie, potrzebowało matki.

Cóż, wszystkie kobiety są takie same.

Cynthia podniosła się na kolana. Paniczna obawa o dziecko skłoniła ją do działania. Złapała George'a za jądra tak mocno, że aż jęknął. Oblał go biały, gorący pot. Uniósł rękę uzbrojoną w nóż i przesunął ostrzem po jej gardle, rozcinając skórę i żyły tak płynnie, jak najlepszy chirurg.

Cynthia w szoku przyłożyła dłonie do szyi. Kiedy oderwała je od niej i przysunęła do oczu, zobaczyła na nich krew. Otworzyła usta, chcąc krzyknąć, ale wydobyło się z nich tylko dziwne bulgotanie.

George patrzył, jak jej głowa odchyła się od tułowia pod niespotykanym kątem. Kobieta padła na ziemię, a z otwartej rany na szyi szerokim strumieniem popłynęła krew, wsiąkając w leśną ściółkę.

Cynthia znieruchomiała, z oczyma utkwionymi w nim.

George wytarł nóż w trawę, następnie wstał i poprawił na sobie ubranie. Podniósł z ziemi płaszcz, ściągnął z dłoni białe wełniane rękawice i wsunął je do kieszeni. Potem ruszył w kierunku samochodu.

James już bardzo głośno płakał. W końcu obudził się w obcym samochodzie, wśród obcych zapachów, a w pobliżu nie było mamy. Wtulił twarz w jej płaszcz, starając się oddychać zapachem jej perfum.

George otworzył drzwi i wziął go na ręce. Poszedł z nim z powrotem do Cynthii.

Dziecko zaczęło się wyrywać i George przycisnął je mocniej do siebie.

- Cisz!

James nabrał w płuca potężny haust powietrza i wrzasnął jeszcze głośniej. George rzucił go na ziemię pokrytą mokrymi liśćmi. Chłopiec

zaczął tupać nóżkami o ziemię, wrzeszcząc wniebogłosy, a George jedynie patrzył na niego i podziwiał, jak potężne siły tkwią w takim małym ciałku.

Chłopiec wyprostował się na malutkich, tłustych nóżkach, próbując znaleźć w pobliżu coś znajomego. Skrajne przerażenie sprawiało, że poruszał się bardzo niezdarnie. W pewnym momencie George usiłował złapać go za rączkę, ale James odepchnął jego dłoń. Wciąż krzyczał i krzyczał, z każdą chwilą głośniejsze. Wreszcie George zaczął go bić.

Jadąc do hotelu, znów nucił jakąś melodię.

Patrick i Willy zajechali na Buchester Terrace o drugiej piętnaście w nocy. Idąc w kierunku domu Markhama, Patrick poczuł się dziwnie. Za chwilę stanie twarzą w twarz z mordercą swej córki. Myśl o tym sprawiała, że robiło mu się gorąco. W ciągu kilku godzin, które spędził z Kate, z desperacją rozmyślał o tej chwili, nie umiając ani na moment odegnąć od siebie wizji zemsty. Teraz nie pamiętał już o Kate. Myślał jedynie o przyszłości bez Mandy. Bez ukochanego dziecka.

Kiedy stanął przed drzwiami frontowymi, od razu wiedział, że dom jest pusty. Mimo to zapukał i czekał.

Wróciła do niego cała złość. Złość rozlewająca się płomieniem po całym jego ciele, przenikająca wszystkie ścięgna i kości, doprowadzająca do szaleństwa.

Pragnął dostać w swoje ręce tego George'a Markhama. Pragnął powoli, własnymi rękami wycisnąć całe tkwiące w nim życie. Pragnął go wykastrować, zadawać mu ból, i to taki ból, jakiego z jego ręki nikt nigdy jeszcze nie zaznał.

Ten człowiek wykorzystał jego córkę jak szmatę i zadaniem Patricka było dopilnowanie, żeby dosięgła go sprawiedliwość.

Obszedł dookoła cały budynek. Willy postępował krok w krok za nim. Kiedy mijali rynnę, z góry chlusnęła na nich woda.

- Cholera jasna, jaka zimna - wyszeptał Willy.

Wyjawszy z kieszeni nóż do szkła, wyciął dziurę w tylnych drzwiach. Po kilka sekundach obaj znaleźli się w środku.

Dom bez wątplenia był pusty.

Patrick zaklął pod nosem.

Włączywszy latarki, zaczęli przeszukiwać dom, by dowiedzieć się, gdzie może się znajdować George Markham. Najpóźniej jutro wieczorem powinni poznać każdy ruch tego człowieka.

Torebka Elaine wciąż leżała na kredensie i Willy starannie ją przeszukał. Zabrawszy z niej podniszczony brązowy notesik z adresami, odłożył torebkę na miej sce. Patrick skinął na niego, żeby zbierał się do

wyjścia.

Czuł się lekki jak latawiec. Napompowany adrenaliną. Nie po to dotarł tak blisko George'a Markhama, żeby mu się teraz wymknął.

Nawet jeśli przyjdzie mu spędzić na poszukiwaniach resztę życia, znajdzie go. Tym bardziej że znał już jego imię i nazwisko.

Nancy leżała na łóżku, rozmyślając nad wydarzeniami dzisiejszego wieczoru. Wiedziała, że Lily nigdy jej nie lubiła, zresztą z wzajemnością. Ale aż do dzisiaj nie była świadoma rozmiarów i głębi tego uczucia.

Po raz pierwszy w życiu Nancy Markham była przerażona. Zdawała sobie sprawę, iż jej życie niemal dobiegło kresu, miała w końcu osiemdziesiąt jeden lat. Jeśli spełnią się groźby, które dziś usłyszała, zakończy żywot w domu spokojnej starości.

W domu spokojnej starości!

Z jakiej racji ta śmierzcząca flądra śmiała grozić jej domem spokojnej starości?

A jednak groziła.

I Joseph się z nią zgodził. Och, niezbyt ochoczo, niezbyt głośno, prawie się na ten temat nie wypowiadał. Był zbyt wielkim tchórzem.

Ale ta zgoda widoczna była w jego oczach. Oczach tak szarych i pozbawionych życia jak oczy jego ojca.

Z wściekłością zacisnęła dłonie w pięści. Przecież tak bardzo się starała, żeby jej dzieci mogły żyć na odpowiednim poziomie! Wierzyła w to, głęboko wierzyła, że sukces materialny synów jest jej zasługą.

Kiedy rozmyślała, jak bardzo się dla nich poświęcała...

Jedną z cech, które George odziedziczył po matce, była zdolność do fantazjowania.

Gardłowy głos Lily dobiegał z pokoju obok.

- Tym razem ona sobie stąd pójdzie, Joseph. Już dawno temu powinniśmy byli się jej pozbyć. Oboje doskonale to wiemy.

Joseph utkwiał spojrzenie w suficie.

- Ona jest po prostu popierdolona. Popierdolona, fałszywa i sprytna. - Lily wyciągnęła w jego kierunku palec wskazujący. - Bardzo sprytna. Josephie Markham, mam już jej dość. Przez wiele lat ją znosiłam. Ty tego nie zrozumiesz, bo nie ma cię w domu całymi cholernymi dniami. Czy ty masz pojęcie, jak to jest znosić dzień po dniu brzęk tego jej cholernego dzwoneczka? Masz pojęcie? - Joseph przymknął oczy. - Nawet nasze dzieci jej nienawidzą. To przez nią ich nie widuję. Przegnała je z domu.

Nagle ogrom żalów, które z siebie wyrzuciła, przytłoczył ją i jej głos się załamał. Z trudem powstrzymała łzy. Joseph podszedł do niej i z

wahaniem przytulił ją do siebie. Dopiero ten gest zupełnie ją rozkleił i rozbeczała się. Zaczęła głośno łkać, szloch wstrząsał całym jej ciałem przyciśniętym do ciała Josepha.

– Uspokój się. Uspokój się, Lily, proszę. Wszystko będzie dobrze. Jutro się jej pozbędę.

Oderwała się od niego.

– Obie... Obiecujesz?

– Obiecuję.

Teraz, skoro powiedział to głośno, będzie musiał to urzeczywistnić. Z samego rana pójdzie do jej lekarza. Gdyby mógł, od razu wysłałby ją do domu opieki społecznej. W końcu do tej pory zrobił dla niej wszystko, co było w jego mocy. Wszystko, co był jej winien, spłacił, i to z nawiązką. Wielokrotnie.

Zabawne, ale po tym, czego dowiedział się dzisiejszego wieczoru, już się jej nie bał. Czuł się tak, jakby własna żona powiedziała mu po prostu: twoja matka nasrała we własne gniazdo.

Pogłaskał Lily po głowie i uśmiechnął się do siebie. Będzie miło znów widywać w domu własne dzieci.

W Mile End Hospital dwie pielęgniarki stały nad Tonym Jonesem. Był na silnych środkach znieczulających i uspokajających. Jeanette wyszła ze szpitala przed dziesięcioma minutami.

– Biedny facet. Pozostaną mu szramy do końca życia.

– Należy raz na zawsze zakazać trzymania tych cholernych psów. Wyobraź sobie, gdyby tak zaatakowały dziecko!

– Taak. Nie sądzisz, że jego żona zachowywała się co najmniej dziwnie?

– Pod jakim względem?

– Hmm... - Pielęgniarka zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu. - Jakby wiedziała, że znajdzie go w złym stanie. Kiedy go zobaczyła, nie wydawała się ani zaskoczona, ani zaszokowana.

– Nie mogę powiedzieć, że bym zwróciła na to uwagę.

– Cholera, może mi się tylko wydawało?

– Chodź, napijemy się kawy, zanim znów coś się zacznie dziać.

Tony jęknął w narkotycznym śnie i dwie kobiety natychmiast na niego popatrzyły. Znowu leżał spokojnie.

– Biedak. Nie chciałabym być w jego skórze, kiedy wszystkie szwy na jego twarzy zaczną się ściągać.

– Dalej, chodź na tę kawę, dopóki jeszcze mamy czas.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

George siedział już w samolocie. Właśnie kończył posiłek i oglądał przezabawny odcinek *Some Mothers Do Have 'Em*. Frank Spencer grał jeżdżącego na motorowerze gońca firmy nazywającej się Demon King i nieświadomie dostarczał pod różne adresy zdjęcia pornograficzne zamiast listów i paczek. Wszyscy w samolocie aż piszczyli ze śmiechu i co chwilę poprawiali słuchawki na uszach. George śmiał się głośniej od innych. Naprawdę, dobrze się bawił.

Zjadł już wszystko i odkrył, że ma dzisiaj wilczy apetyt. Bif strogonof i ziemniaki po królewsku z groszkiem bardzo mu smakowały. Wypił także buteleczkę czerwonego wina.

Siedział przy oknie i raz po raz spoglądał na chmury rozciągające się pod samolotem niczym bawełna. Był w euforii. Oto leciał na Florydę, wkrótce spotka się z Edith. Swoją Edith. I będzie dobrze się bawił.

Przypomniawszy sobie ostatni wieczór i jego radosne oblicze trochę się zasępiło. Niepokoiło go wspomnienie dziecka.

Ale po chwili wzruszył ramionami. Każde dziecko kiedyś obrywa lanie, czy to od rodziców, czy od nauczycieli. Wiedział o tym z własnego doświadczenia. Zadowolony, że tak naprawdę nie uczynił nic złego, jeszcze raz powrócił myślami do rozkoszy, jakie zaoferowało mu ciało kobiety. Poczł podniecenie i szybko odegnał od siebie te myśli, koncentrując się na chmurach i na błękicie morza, które od czasu do czasu prześwitywało przez biel, przypominając mu, że opuścił Anglię. Anglię, Elaine, matkę... Musi zapomnieć o matce... I o wszystkich kłopotach, jakie pozostawił w Anglii.

Na Florydzie rozpocznie nowe życie, postanowił. Sprzeda dom. Teraz należał tylko do niego, dom i w ogóle wszystko, co mieli z Elaine. Odczuł drobne ukłucie zaniepokojenia, naprawdę drobne, przypomniawszy sobie, w jaki sposób umarła Elaine. Bynajmniej nie nękało go poczucie winy ani wyrzuty sumienia, nic z tych rzeczy. Chodziło po prostu o to, że nie będzie mógł upomnieć się o pieniądze z jej polisy na życie.

Wszystko już przemyślał. Kiedy wróci, żeby sprzedać dom, powie, że Elaine z kimś od niego uciekła. Uśmiechnął się nieznacznie. To od razu wzbudzi dla niego współczucie. Wystawi dom na sprzedaż i wróci na Florydę, do Edith.

Wyciągnie Elaine z wodnego grobu i pogrzebie ją gdzieś w ziemi. Zakopie ją w czarnym plastikowym worku razem z jakimiś śmieciami i odpadkami z ogrodu, najlepiej na wysypisku śmieci.

Roześmiał się na samą myśl o tym. Elaine na wysypisku. Na nic więcej nie zasługiwała. Nie to było jednak najważniejsze. Liczyło się zwłaszcza to, że już jej nie ma.

Obok niego siedziała mała dziewczynka. Była niezbyt wygodnie wciśnięta pomiędzy George'a i swoją matkę. Matka wciąż się śmiała z Franka Spencera, ukazując perłowobiałe zęby.

George popatrzył na nią z aprobatą. Wyglądała tak, jak powinna wyglądać matka. Miała niemal płaską klatkę piersiową, była czysta i schludna, bez makijażu ani biżuterii. Program skończył się i na ekranie George ujrzał Desmonda Lynama, zapowiadającego, co się wydarzy w następnym odcinku. Zdjął słuchawki i odprężył się, siadając wygodniej. Dziewczynka uczyniła to samo. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. George odpowiedział jej uśmiechem, rozkoszując się zapachem małego ciała. Zauważył, że trzymała w ręce talię kart i pochylił się ku niej.

– Zagramy w wojnę?

Dziewczynka lekceważącym ruchem odgarnęła z oczu długie jasne włosy.

– Nie gram w wojnę. Gram w pokera, w oczko albo w pięć kart. - Ujrzała na twarzy George'a konsternację i szybko dodała: - Gram także w remibrydża i w atu.

George znów się uśmiechnął.

– To może zagramy w remibrydża?

– Doskonale. - Zaczęła z wielką wprawą tasować karty, a George tylko cicho westchnął.

Nic i nikt nie jest dzisiaj tym, na kogo wygląda na pierwszy rzut oka.

Pięć kart! Rzeczywiście.

Kate popatrzyła na dwa martwe ciała i poczuła, że zbiera się jej na wymioty. Kobieta leżała z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami na leśnej ściółce. Na szyi miała podłużną otwartą ranę. Jej ramiona i piersi pokrywała zakrzepła krew. Usta miała ułożone w doskonale okrągłą literę „O”. To już by wystarczyło, ale tak naprawdę poruszyło Kate dopiero ciało dziecka.

Jego drobna twarzyczka była kompletnie zmasakrowana, nos i policzki miało wciśnięte w mózg, a małe paluszki połamane. Leżało przyciśnięte do ciała matki.

Medyk sądowy potrząsnął głową.

– Matka zginęła najpierw, potem chłopiec. Moim zdaniem podpełznął do niej, szukając ratunku, a następnie udusił się własną krwią. - Wskazał długopisem na twarz dziecka. - Widzisz tutaj i tutaj? Uderzenie sprawiło, że krew zaczęła spływać do gardła. A nosem w żadnym wypadku nie

mógł już oddychać. Właściwie utopił się w swojej krwi. Małe biedactwo.

Kate chciało się płakać. Koniecznie musiała się wypłakać. Jednak nie tutaj. Nie mogła, chociaż wiedziała, że przynajmniej kilku ze zgromadzonych dookoła mężczyzn czuje się w tej chwili tak samo jak ona. Mordowanie dorosłych ludzi było dostatecznie barbarzyńskim postępowaniem, ale mordowanie dzieci? Czy może być coś jeszcze gorszego?

Kiedy otrzymali telefon, że Rozpruwacz z Grantley rozszerzył obszar działania, poczuli wręcz wstyd. Nie zdołali go powstrzymać i wciąż atakował.

Sprawa zyskała nowy wymiar. Tym razem zabił małe dziecko. I jeden Bóg wiedział, gdzie nastąpi kolejny atak.

Kate usłyszała, że ktoś płacze, i odwróciła się w lewo. Pomiędzy cisami stał detektyw sierżant Willis ze zwieszoną głową. Caitlin uspokajał go, poklepując go po ramionach i przypalając mu papierosa. Chłopak po raz pierwszy miał do czynienia ze zwłokami zamordowanego dziecka.

Kate poczuła przyływ sympatii dla młodzieńca. I dla Caitlina. Mimo że przez cały czas zgrywał twardziela, w gruncie rzeczy był mężczyzną o gołębim sercu. Popatrzyła na dwa ciała i wyobraziła sobie maleństwo szukające ciepła matki. Płaczące, w ogromnym bólu, jednak do niej dotarło, wierząc, jak to dziecko, że mama uratuje je przed wszelkim złem, że dzięki niej zaraz wszystko będzie dobrze. Tyle że mamusia już nie żyła, a czas dziecka także dobiegał kresu.

Dicky Redcar zawiadomił policję o zniknięciu żony o jedenastej piętnaście.

Wkrótce dwóch policjantów z patrolu natknęło się na range rovera pozostawionego przy drodze. Była jedenasta czterdzieści dziewięć. Uznali, że właścicielka albo wyszła na spacer, albo do kogoś w odwiedziny. Nie było powodów, żeby zakładać, że zdarzyło się jakiegokolwiek nieszczęście. O pierwszej dwadzieścia pięć postanowiono przeczesać teren wokół samochodu. Zwłoki matki i dziecka znaleziono krótko po drugiej.

O piątej trzydzieści nad ranem Kate obudził telefon z komisariatu. Informacja była krótka: Rozpruwacz z Grantley postanowił rozszerzyć obszar działania. Ślady DNA na kobiecie nie pozostawiały wątpliwości: to był ten sam człowiek, który dotąd mordował w Grantley. Obok miejsca zbrodni pozostawił ślady opon swojego samochodu.

Jak zauważył Caitlin, dopóki nie znajdzie się konkretny samochód, ślady opon będą znaczyć tyle, co szczyzny w oceanie. Lecz w końcu ile ciemnych limuzyn może być zarejestrowanych w okolicy, na miłość boską!

Kate ujrzała zbliżający się samochód Fredericka Flowersa i ciężko westchnęła. Zjeżdżają się VLP-y. A to znaczy, że informacja o podwójnym zabójstwie dotarła już do dziennikarzy.

Dicky Redcar był w szoku. Pozostałą trójkę jego dzieci zabrali z domu krewni. Jego siostra chciała przy nim zostać, ale potrzebował samotności.

Siedział w gabinecie z fotografią Cynthii i Jamesa na kolanach. Słyszał Majora, jednego ze swych koni, cicho rżącego za oknem.

Fotografia przedstawiała Cynthię przytrzymującą małego Jamesa na kucyku. Jak pozostałe ich dzieci, trzymał się na końskim grzbiecie doskonale, jakby się na nim urodził. Jedenastoletnia Rosie odnosiła już sukcesy w zawodach jeździeckich dla dzieci. Dziewięcioletni Jeremy szedł w jej ślady. Nawet pięcioletnia Sara dosiadała konia. To właśnie stanowiło treść życia Cynthii i Dicky'ego: konie, dzieci i miłość.

Powróciwszy z Falklandów, Dicky zrezygnował z kariery w armii i osiedlili się z Cynthią na wsi, żeby wreszcie zaznać smaku „prawdziwego życia”, jak to ujmowali. W wojsku Dicky dość już napatrzył się na masakrę i śmierć. Nie spodziewał się, że dopadnie go także w jego własnym domu.

Ktoś zapukał do drzwi i Dicky zamknął oczy.

Raczej wyczuł, niż dostrzegł, cień na szybie i odruchowo podniósł głowę. Za oknem stali dwaj mężczyźni i uśmiechali się do niego. Do diabła, kto to taki?

Wstał i otworzył okno, kładąc fotografię na parapecie.

– O co chodzi?

– Dzień dobry. - Mężczyzna, który do niego przemówił, był wysoki i szczupły. Do ust przyklejony miał uśmiech. - Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Drugi mężczyzna uniósł aparat fotograficzny i błyskawicznie zrobił zdjęcie. Lampa błyskowa na chwilę oślepiła Dicky'ego.

Cholerni dziennikarze!

– Odejdźcie stąd. Zostawcie mnie w spokoju. Nie mam nic do powiedzenia.

– Proszę pana, chodzi nam o kilka informacji. Pięć minut i sobie pójdziemy.

Dicky cofnął się od nich jak od zarazy. Chcąc wyjść z pokoju, zawadził o krzesło. Dwaj mężczyźni nadal stali w miejscu. Wzruszyli ramionami. Ten wysoki wyciągnął rękę przez otwarte okno i podniósł z parapetu fotografię.

– Popatrz, co znalazłem. - Uniósł brwi z zadowoleniem. - Nieźle to

wygląda. Patrz, babka jest całkiem do rzeczy. Tylko twarz dzieciaka jest jakby zamazana. Chodź, pogadamy z sąsiadami, może coś z nich wyciągniemy. Mam nadzieję, że facet był bohaterem wojennym, takie opowieści zawsze dobrze się sprzedają.

Dziennikarze odeszli od okna.

Major znów cicho zarżał, zastanawiając się, gdzie jest jego pani. Przecież co rano przynosiła mu marchewkę.

Patrick szalał. Nie spał od czasu, kiedy opuścili dom George'a Markhama, poświęcając całą energię na zbieranie wszelkich możliwych informacji na jego temat.

Teraz siedział w samochodzie przed Kortone Separates, czekając, aż ludzie zaczną przychodzić do pracy. Adres i numer telefonu znalazł w notesie Elaine.

Wkrótce dobrze zbudowany, lekko łysiejący mężczyzna podjechał na parking fordem granadą i Patrick wysiadł z rolls-royce'a. Natychmiast uderzył go chłód wczesnego poranka, zamieniając jego oddech w parę tak gęstą, że można było odnieść wrażenie, iż właśnie zapalił papierosa.

– Przepraszam. Chciałbym zamienić z panem kilka słów.

Peter Renshaw odwrócił się i popatrzył na niego. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie, kiedy zobaczył rolls-royce'a. Czego ten facet mógł chcieć?

– Słucham pana. Czym mogę służyć?

– Czy pan tutaj pracuje? - Patrick ruchem głowy wskazał na fabrykę po drugiej stronie ulicy.

– Tak? - Było to raczej pytanie, postawione przez trochę zdezorientowanego człowieka.

– Czy przypadkiem zna pan George'a Markhama? - Głos Patricka był przyjazny, przyjazny i neutralny.

Mężczyzna jakby się odprężył.

– Starego Georgiego? Znam go doskonale.

Patrick obdarzył go szerokim uśmiechem.

Otworzył drzwi rollsa i wsiadł do środka, zapraszającym gestem nakłaniając Petera Renshawa, żeby uczynił to samo.

Peter wcisnął się do rollsa bez cienia strachu. Doceniał luksus tego pojazdu i z prawdziwą satysfakcją usiadł na skórzanym fotelu.

– Urocza maszyna.

– Dziękuję. Napije się pan czegoś? - Otworzył mały barek. Zawsze robił wrażenie na ludziach, szczególnie jeżdżących starym fordem granadą.

– Trochę na mnie za wcześnie, jest dopiero ósma dwadzieścia.

– Jasne. - Patrick nalał brandy tylko sobie i zaczął dłonią ogrzewać alkohol w kieliszku. - Nazywam się Patrick Kelly. Być może pan o mnie słyszał. - Na twarzy Renshawa natychmiast pojawił się wyraz zaniepokojenia. - Spokojnie, nie mam do pana żadnych pretensji. Interesuję się George'em Markhamem. „Starym Georgiem”, jak to pan powiedział, panie...

Peter Renshaw pożałował teraz, że nie przyjął drinka. Zainteresowanie Patricka Kelly'ego oznaczało kłopoty. Czego, do diabła, mógł chcieć od George'a?

– Renshaw. Peter Renshaw. Właściwie nie znam George'a dość dobrze...

Zaczął bełkotać coś bez ładu i składu. Patrick nalał brandy do drugiego kieliszka i wręczył mu.

– Peter, wydaje mi się, że musimy dłuższą chwilę porozmawiać. Mogę ci mówić po imieniu?

Renshaw pokiwał głową. Patrick Kelly mógł sobie mówić do niego, jak tylko chciał!

Willy włączył silnik.

– Dokąd... Dokąd pan mnie zabiera?

– Jedynie na małą przejażdżkę. Uspokój się. Myślę, że jesteś rozsądnym człowiekiem. Mam nadzieję, że mogę ci ufać. - Groźba w jego słowach była aż zanadto czytelna. - Mogę czy nie mogę?

Peter jednym haustem wypił zawartość kieliszka.

– Może mi pan ufać, panie Kelly.

– Ty także mów mi po imieniu. Jestem Pat. Wszyscy przyjaciele tak się do mnie zwracają, a chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi, Peter. Zacznijmy teraz od początku. Chciałbym, żebyś mi opowiedział wszystko, co wiesz o George'u Markhamie.

– Po co? - Peter wyrzucił to z siebie, zanim na dobre zdał sobie sprawę z tego, co powiedział.

– Ponieważ, Peter, bardzo cię o to proszę. Moim zdaniem ten powód wystarczy. Co ty na to?

Renshaw wziął głęboki oddech.

– Znam go jedynie jako kolegę z pracy. To spokojny, nikomu nie wadzący człowieczek. Właściwie to mu współczuję. Jest taki zahukany...

Patrick zmarszczył czoło.

Spokojny, nikomu nie wadzący człowieczek? Nie będzie spokojny, kiedy się z nim spotka. Będzie wrzeszczał i wył z bólu, pragnąc natychmiastowej śmierci.

Znał już markę i numer rejestracyjny jego samochodu. Zdobycie tych danych nie było trudne. Trudność przedstawiało uzyskanie informacji,

gdzie mały drań się obecnie podziewa. Co prawda, jeśli zlokalizuje się samochód, zlokalizuje się też miejsce pobytu George'a Markhama.

Do tego czasu Patrick będzie go ścigał jak pies gończy. Jeśli zajdzie potrzeba, zatrudni do poszukiwań nawet uzbrojonych ludzi.

Wszyscy jego ludzie otrzymali już szczegółowe informacje o samochodzie George'a Markhama. Patrick uruchomił też przyjaciół w policji; mieli go poinformować natychmiast, kiedy natkną się na poszukiwany przez niego pojazd. W końcu przecież się znajdzie.

Dwadzieścia minut później wysadził Petera Renshawa przed Kortone Separates. Było jasne, że nie dysponował on żadnymi istotnymi informacjami. Poza tą, że George nie przyjdzie już do pracy.

Coś tu jednak nie grało. Gdzie była jego żona? Czy razem z nim? Jeśli tak, należało poszukiwać pary.

W tej sytuacji Patrick będzie musiał jakoś się jej pozbyć albo porwać George'a prosto z ulicy.

Tak czy inaczej, dostanie go.

W pewnej chwili usłyszał z radia informacje o podwójnym morderstwie. Willy natychmiast włączył wszystkie głośniki w samochodzie. Patrick słuchał spikera i poczuł, jak chłód przenika go aż do żołądka. Usłyszawszy o dziecku, popatrzył w lusterko, w którym napotkał wzrok Willy'ego.

Cholerny drań!

Ta zbrodnia jedynie zwiększyła jego zacierzewienie.

Patrick poczuł, że samochód przyspiesza, i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Patrzył przez boczną szybę na przemykający na zewnątrz krajobraz, a potem wyciągnął z kieszeni notatnik z adresami.

- Willy, teraz odwiedzimy jego brata. Jeśli będzie trzeba, obijemy go. Pieprzę wszelkie konsekwencje. Dość już kręcenia się w kółko. Muszę drania mieć, i to szybko.

Willy pokiwał głową. Zgadzał się z Patrickiem całkowicie.

Joseph spędził przy telefonie cały poranek. Na żółtych stronach książki telefonicznej znajdowało się mnóstwo telefonów i adresów domów opieki. Jak wszyscy dobrzy biznesmeni najpierw pytał o ceny, a dopiero później zadawał inne pytania. Matka miała osiemdziesiąt jeden lat, ale to wcale nie oznaczało, że wkrótce umrze. W opiece społecznej dowiedział się, że instytucja ta w żadnym wypadku nie przejmie odpowiedzialności za Nancy Markham. Na krótko wpadła mu do głowy myśl, że ktoś z opieki już ją kiedyś poznał. Zawsze było tak, że ludzie, którzy choć raz mieli z nią do czynienia, później woleli już się trzymać od niej z daleka.

Nancy właśnie krzyczała na Lily i ten krzyk jak świder wiercił mu czaszkę. Niedawno Lily odebrała jej szkolny dzwonek i teraz Nancy wydzieriała się, żądając jego zwrotu.

Lily zmieniła się w ciągu jednej nocy. Można było odnieść wrażenie, że kiedy poznała przeszłość jego matki, w jednej chwili zniknął cały jej strach przed teściową.

Joseph podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer kolejnego domu spokojnej starości, Twilight Home.

Niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi.

– Ja otworzę, moja droga.

Odłożył słuchawkę na widełki i otworzył drzwi. W progu stało dwóch mężczyzn.

Jeden z nich był potężnie zbudowany, łysy i straszyl bezzębny uśmiechem. Drugi był wysoki i doskonale ubrany.

– Joseph Markham?

– Tak. W czym mogę panom pomóc?

– Moglibyśmy porozmawiać w domu, panie Markham? Chodzi nam o George'a.

Joseph zdziwił się, jednak stanął z boku, aby dwaj mężczyźni mogli wejść do środka.

– Kto tam jest w tych cholernych drzwiach?

Głos Nancy był wysoki i natarczywy. Była przekonana, że w każdej chwili do domu wkroczą dobrze zbudowani sanitariusze i raz na zawsze ją stąd zabiorą.

– To moja matka... Nie czuje się zbyt dobrze.

Willy zmarszczył czoło.

– Po głosie sądząc, nic jej nie dolega.

Patrick z trudem kontrolował swoje zachowanie.

– Niech pan posłucha, chodzi o George'a. Zastanawiamy się, czy wie pan, gdzie on teraz jest. Na pewno nie ma go w domu, a naprawdę musimy go szybko znaleźć.

Joseph zmarszczył brwi.

– Nie ma go w domu? Wczoraj był u nas. Odwiedził matkę.

– Naprawdę? Czy był sam?

– Och, tak, Elaine akurat pracowała. A właściwie o co chodzi?

Patrick ruszył do pokoju, z którego wciąż dobiegało zawodzenie Nancy. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Zobaczywszy go, Nancy od razu się uspokoiła.

Obserwował ją przez chwilę. Można było odnieść wrażenie, że w ciągu kilku sekund wyrosła na niej nowa skóra. Zmarszczki wygładziły się, a twarz przybrała wzniosły wyraz.

– Dzień dobry panu. Zechce pan spocząć? Lily, podaj herbatę!

Patrick uśmiechnął się do kobiety szerokim, przyjaznym uśmiechem. A więc to była matka tego parszywca.

Lily patrzyła na dwóch mężczyzn z brwiami uniesionymi, jakby chciała o coś zapytać. Joseph stał w progu i jedynie wzruszył ramionami, zdezorientowany. Uznał, że faceci, którzy potrafią uciszyć jego matkę, mogą sobie pozostać w tym domu nawet przez cały dzień.

– Lily, zaparz herbatę - powiedział cicho.

Wyszła z pokoju.

Patrick i Willy usiedli.

– Jesteśmy przyjaciółmi George’a, pani Markham. Szukamy kogoś, kto wiedziałby, gdzie go można znaleźć.

Nancy Markham poklepała się po potarganych włosach i uśmiechnęła z wyższością.

– Myślę, że to jakaś pomyłka.

– Słucham? - Patrick znów się uśmiechnął.

Twarz kobiety stężała.

– Mój syn nie ma żadnych przyjaciół.

Willy i Patrick wymienili spojrzenia.

Nic dziwnego, że facet był niepoczytalny. Cała rodzina robiła wrażenie, jakby najlepszym dla niej miejscem był dom wariatów.

Tymczasem w kuchni Lily i Joseph parzyli herbatę.

– Do diabła, co to za ludzie? - wyszeptała Lily.

– Nie wiem.

– Nie sądzisz więc, że powinieneś się dowiedzieć? W końcu wleźli do twojego domu, są w twoim salonie i rozmawiają z twoją matką.

Joseph pozwolił sobie na słaby uśmiech.

– Myślę, że Nancy potrafi sama o siebie zadbać. A ty co o tym sądzisz?

Ułożył na talerzyku kilka biszkoptów i postawił go na tacy. Postanowił, że zacznie uważnie się przysłuchiwać rozmowie w salonie. Z jakiegoś powodu nie zamierzał denerwować dwóch mężczyzn. Sprawiali wrażenie, jakby doskonale wiedzieli, czego chcą.

George wyszedł z samolotu i uśmiechnął się do stewardesy. Zszedł po schodkach i wystawił twarz ku jasnemu słońcu Florydy. Był w Ameryce. Niemal nie zastanawiając się nad tym, co robi, odebrał bagaż, wymienił trochę pieniędzy i wsiadł do specjalnego bezpłatnego autobusu, który kursował z lotniska do wypożyczalni samochodów Lindo, mieszczącej się przy Sandlake Road.

Kierowcą autobusu był potężnie zbudowany mężczyzna w skórzanej baseballowej czapeczce z jaskrawoczerwonym napisem „Chicago Bulls”.

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwał południowy akcent, co George'owi bardzo się podobało. To było takie amerykańskie.

- Port lotniczy Orlando dysponuje jednym z trzech pasów startowych, które mogą przyjąć na ziemi w sytuacji awaryjnej prom kosmiczny. Jak wszyscy państwo wiecie, Centrum Kosmiczne Kennedy'ego znajduje się zaledwie o dwadzieścia minut jazdy stąd, zatem jeśli prom nie zdoła trafić w pas tam, może wylądować tutaj, bezpiecznie, bez ryzyka. - Kierowca umilkł na chwilę, chcąc, aby jego słowa wywołały jak największy efekt, po czym kontynuował: - Jeśli popatrzyacie państwo przez okna z lewej strony, ujrzycie bombowiec B 52. Walczył w Wietnamie, a teraz stoi tutaj jedynie dla ozdoby.

George, jak większość małych chłopców w autobusie, popatrzył z podziwem na bombowiec.

- Jak rozumiem, w Anglii można spotkać na autostradach mnóstwo rozjechanych królików i kotów. Nie zdziwcie się, jeśli tutaj, na Florydzie, natkniecie się na rozjechane aligatory. Aligatory to nocne stworzenia i bardzo rzadko można się na nie natknąć za dnia. Potraficie pewnie sobie wyobrazić, że w naturalny sposób wzmacniają bezpieczeństwo Centrum Kennedy'ego. - Znów urwał, a wszyscy pasażerowie autobusu nerwowo się roześmiali. - Jeśli jednak pojedziecie do Gatorlandu, będziecie mieli możliwość sfotografowania się z nimi, a nawet przyjrzenia się, jak walczą pomiędzy sobą. W cenie biletu są napoje chłodzące, można też zjeść burgera z aligatora.

George słuchał jak urzeczony. Dlaczego nie przyjechał tu wcześniej?

Podróż z portu lotniczego Orlando do Lindo trwała zaledwie dziesięć minut i już po chwili wszyscy pasażerowie autobusu stanęli, z walizkami przy nogach, na dużym placu, czekając na samochody. George podał dokumenty wysokiemu chudemu Murzynowi i za moment aż jęknął z zachwytu, kiedy okazało się, że będzie mógł odjechać chevroletem caprice. Jak na warunki amerykańskie, był to mały samochód. George poczuł się jednak tak, jakby prowadził co najmniej sportowego porsche lub ferrari.

Murzyn w koszulce z emblematami Lindo pokazał mu, jak otwierać bagażnik, jak obsługiwać automatyczną skrzynię biegów, jak włączać i wyłączać światła i gdzie znajduje się bak na paliwo.

George słuchał go jak urzeczony, przez cały czas się uśmiechając. Mężczyzna ułożył jego walizki w bagażniku i potrząsnął głową, widząc nieskrywane zadowolenie George'a. Ten wreszcie mu podziękował, otworzył drzwi i usiadł na przednim fotelu pasażera.

Murzyn zarechotał wesoło.

- Naucz się pan lepiej, że kierownicę mamy tutaj z lewej strony. Inaczej skończysz pan swoją jazdę poważnym wypadkiem.

Zmieszany George wysiadł z samochodu i przeszedł na stronę kierowcy. Wsunął Murzynowi do ręki wymięty banknot pięciodolarowy.

Był zachwycony. Otrzymane poświadczenie wynajmu samochodu, starannie złożone, wsunął do kieszeni. Od firmy wynajmującej samochody dostał także mapę Orlando. W portfelu miał okazałą sumkę w dolarach. Czuł się jak milioner.

Dokładnie przestudiował mapę, szukając adresu Edith. Mieszkała przy Apopka Vineland Road, w Windermere, w hrabstwie Orange.

Zaledwie kilka mil od miejsca, w którym się właśnie znajdował!

Odprężył się i uruchomił samochód. Kiedy powoli wyjeżdżał z placu, dziewczynka z samolotu pomachała mu rączką z dodge'a, który wynajęła jej matka. George także ją pozdrowił. W samolocie wygrała od niego trzy i pół funta.

Wyjechał na Sandlake Road i, podniecony do wszelkich granic, rozpoczął ostatni etap podróży do siostry.

Widoki i dźwięki rozciągające się i rozlegające wokół niego były dla jego oczu i uszu czymś zupełnie nowym. Wielkie billboardy reklamowały Disney World, Universal Studios i Gatorland. Słyszał o czymś takim jeszcze w Anglii.

Minął ogromne centrum handlowe, wielokrotnie większe od podobnych centrów w Anglii. Widział opalonych, zdrowo wyglądających ludzi, jak mrówki krążących po wielkim parkingu, to wysiadających z samochodów, to wsiadających do nich. Ktoś w samolocie powiedział, że w Ameryce nikt nie chodzi na piechotę. Teraz George już wiedział dlaczego.

Po prostu odległości były zbyt duże.

Włączył radio i zaczął słuchać południowych wiadomości. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

W Anglii była już piąta po południu. Ach, te samoloty. W osiem i pół godziny George pokonał tysiące mil i znalazł się w innej strefie czasowej.

Zatrzymał samochód na wielkim parkingu i zaczął studiować mapę. Był prawie na miejscu. Inaczej niż w Anglii amerykańskie drogi oznaczone były wielkimi tablicami, z wielkimi czarnymi napisami, informującymi, dokąd się akurat przyjechało. Zagubienie się w takich warunkach było prawie niemożliwe. Nie trzeba też było wysilać wzroku w poszukiwaniu tablic z nazwami ulic na każdym skrzyżowaniu. Wszystkie ulice były starannie i wyraźnie oznaczone.

Miał jeszcze do przejechania dwa skrzyżowania, na których ruch sterowany był światłami. Wkrótce znajdzie się na miejscu.

Wyjechał z parkingu, kontynuując podróż. Amerykanie, widząc na samochodzie oznaczenie, że pochodzi z wypożyczalni, przeważnie ustępowali mu drogi i machali do niego rękami. George odpowiadał na

pozdrowienia, pełen dobrego humoru. Polubił Amerykanów niemal od pierwszej chwili.

Wjechał w Apopka Vineland Road. Wzdłuż ulicy znajdowały się jedynie domy jednorodzinne, ale nie takie, jakich by się spodziewał. Wszystkie były ogromne i piękne. Edith mieszkała pod numerem 22620. George nie potrafił sobie wyobrazić tak wysokiego numeru budynku. Jechał ulicą powoli, spokojnie, rozglądając się uważnie.

Edith i Joss z pewnością dobrze zarabiali, skoro było ich stać na mieszkanie w takiej dzielnicy. Pomyślał o dużym domu Josepha w Anglii. Wyglądał jak szopa w porównaniu z posiadłościami, które właśnie mijał. Ujrzał dom z numerem 22600 i serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Był prawie u celu.

I wreszcie zobaczył.

Zatrzymał samochód i wbił wzrok w dom Edith. Budynek był duży, jak wszystkie inne, i nieco cofnięty od ulicy. Miał długi podjazd w kształcie półkola. Ściany wykonane były z białego drewna. Szerokość domu George ocenił na co najmniej osiemdziesiąt stóp. Przykryty był wiśniową dachówką, a z dachu na środku budynku wystawała przeszklona wieżyczka, niczym swoiste obserwatorium. Na trawniku przed domem rosły starannie utrzymane krzewy i drzewa. George ujrzał drzewko cytrynowe i ustawioną przy nim białą ławeczkę. Trawnik był starannie przycięty i przez cały czas cicho szumiały zraszacze, bezustannie go podlewające.

Przez chwilę żałował, że nie przywiózł ze sobą matki. Zobaczyłaby, jak Edith wspaniale się urządziła. Ale zaraz odepchnął od siebie myśl o matce. Gdyby przyjechała z nim tutaj, bez wątpienia zepsułaby wszystko.

To ona zrujnowała im życie.

Postanowił, że wyśle jej fotografię tego domu, chociażby po to, żeby ją zdenerwować. Powoli wjechał na podjazd i zatrzymał samochód przed frontowymi drzwiami.

Wówczas wybuchło pandemonium.

Jakby spod ziemi na podjeździe pojawiły się dwa wielkie dobermany. George ujrzał dwie potężne szczęki, nieuchronnie zmierzające w jego kierunku, i błyskawicznie podciągnął do góry boczne szyby. Gwałtowne ujadanie psów wywołało w nim dreszcz strachu.

Po chwili usłyszał kobiecy głos:

– Dante... Inferno... Do nogi.

Dwa psy natychmiast się uspokoiły i pobiegły w kierunku głosu. Ujrzawszy kobietę, która wyszła z domu, wesoło zamerdały małymi ogonkami. To była Edith.

Odmieniona Edith.

Ubrana była w białą suknię przewiązaną czarnym paskiem, a na nogach miała buty na wysokich obcasach. Była szczupła i wyglądała bardzo kobieco. George wpatrywał się w nią niemal z zachwytem. Nigdy nie miała dużych piersi. W tej chwili wyglądała o wiele lepiej niż dwadzieścia lat temu, jak ją ostatnio zapamiętał. Patrzył, jak osłania dłonią oczy, próbując dostrzec, kto znajduje się w samochodzie.

George otworzył drzwi i wysiadł.

Większy z dwóch psów warknął, jakby koniecznie chciał pobiec w jego kierunku, jednak Edith przywołała go do porządku.

– Cześć, Edith. Dawno się nie widzieliśmy.

Z radością obserwował, jak jej oczy szeroko się otwierają, a usta układają w serdeczny uśmiech.

– George? - Jej głos zadrżał z radości.

Pokiwał głową i w tej samej chwili Edith ruszyła biegiem w jego kierunku i wpadła mu w ramiona. Psy szczekały wesoło, tańcząc wokół nich, wyczuwając nowego przyjaciela.

– Och, George... George! Jak to dobrze znów cię widzieć. Dlaczego nie zadzwoniłeś, nie uprzedziłeś mnie, że przyjeżdżasz?

Wprowadzając George'a do domu, Edith bez przerwy mówiła i mówiła. Jej serce wprost szalało ze szczęścia. Tyle wspólnie z George'em przeżyła, był jej najbliższym krewnym, najbardziej zaufanym powiernikiem z dzieciństwa. Jedyłą częścią życia w Anglii, którą pozostawiła za sobą z żalem. A teraz znów był z nią. Jej szczęście było wprost bezgraniczne.

George trzymał ją za rękę. Kiedy znaleźli się w pięknym domu, radość i szczęście sprawiły, że zabrakło mu tchu ze wzruszenia.

Nie ma to jak rodzina.

Patrick i Willy jechali z powrotem do Grantley.

– Mówię ci, Pat, to najbardziej zwariowana baba, jaką widziałem w życiu. A ten facet,

Joseph, wcale nie sprawiał lepszego wrażenia.

Patrick pokiwał głową jakby nieobecny myślami. Stracili mnóstwo czasu i nie przybliżyli się ani o krok do George'a Markhama.

Jednak ten facet bez wątpienia gdzieś przecież był. Jeśli użyje karty kredytowej, Patrick go dopadnie. Znał wielu ludzi, którzy chętnie mu pomogą odszukać go na tej podstawie. Nie bez powodu cieszył się opinią najlepszego komornika. Znajdzie Markhama, była to jedynie kwestia czasu.

A tego akurat nie miał zbyt wiele.

Jeśli Kate zorientuje się, kim jest Rozpruwacz, zacznie go szukać

również policja. Oczywiście, trafiłby wówczas do więzienia. Tam też można go było załatwić, przez podstawionego człowieka, ale taka zemsta nie dałaby już Patrickowi osobistej satysfakcji. Musiał dopaść go pierwszy i musiał to zrobić osobiście.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Patrick podniósł słuchawkę telefonu. Na linii usłyszał głos kobiety.

– Pan Kelly?

Ziewnął.

– Przy telefonie.

– Nazywam się Louella Parker, z Colmby Credit. Dysponuję pewnymi informacjami na temat pana George’a Markhama.

Patrick poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej.

– Proszę mówić.

– Oczywiście, zakładam, że obowiązują zwykłe warunki. - Głos kobiety był suchy, beznamiętny. - Mogłabym za to stracić pracę.

– Dobrze, już dobrze, sytuacja jest chyba jasna. Jeśli mi pani powie to, czego chcę się dowiedzieć, dostanie pani forszę.

Kobieta odchrząknęła delikatnie i przez chwilę Patrick cieszył się, że znajdowała się tak daleko od niego, gdyż w przeciwnym wypadku złapałby ją za gardło i dosłownie wydusił z niej całą informację.

– George Markham kupił za pomocą karty kredytowej bilet lotniczy do Orlando dwudziestego tego miesiąca. Wylot zaplanowany był na dwudziestego trzeciego. Biuro podróży nazywa się Tropical Tours.

Patrick znieruchomiał.

Cholerny drań go wykiwał!

– Panie Kelly? Jest pan tam jeszcze?

– Co? Och, jestem. Przepraszam.

– Zakładam, że tego właśnie chciał się pan dowiedzieć.

– Och... tak. Tak. Pieniądze dostanie pani, panno Parker, jak zwykle, tą samą drogą.

Podczas gdy kobieta mu dziękowała, delikatnie odłożył słuchawkę na widelki i wlepił wzrok w okno biblioteki.

Markham wyjechał do Stanów?

Patrick zaczął przeglądać książkę telefoniczną, szukając numeru Tropical Tours. Kiedy ustali numer lotu i dowie się, czy George Markham na pewno znalazł się na pokładzie, zaplanuje następny ruch.

Frederick Flowers spoglądał badawczo na morze głów. Kiedy miał przemawiać do dziennikarzy, zawsze się denerwował. Najgorsze były pytania, które później zadawali. Nigdy nie było wiadomo, co im strzeli do głowy.

– Czy to robota Rozpruwacza z Grantley? - Niski facet z długą brodą patrzył mu prosto w oczy.

– Doskonale pan wie, że nie mogę jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. W tej chwili wraz z policją z Kent ustalamy, czy chodzi o tego samego sprawcę.

– Dlaczego więc jest tutaj także detektyw inspektor Burrows? Czy uważa pan, że jako kobieta poprowadzi tę sprawę inaczej niż mężczyźni? Lepiej?

Flowers z trudem zachował spokój.

– Detektyw inspektor Burrows jest doskonałą policjantką poważaną przez współpracowników i przeze mnie. Jej płeć nie ma tu nic do rzeczy.

Jakaś dziennikarka, zupełnie niezrażona, kontynuowała temat.

– Ale przyzna pan, że to niezwykle, iż właśnie policjantka prowadzi sprawę takiej wagi.

– Droga pani, zakładam, że pisuje pani do jakiegoś feministycznego magazynu. Chciałbym pani zwrócić uwagę, że celem policji jest obecnie schwywanie seryjnego mordercy, zabijającego z zimną krwią, a nie prowadzenie dyskusji na temat płci policjantów. - Oderwał wzrok od kobiety i rozejrzał się dookoła. - Kto następny?

Dziennikarze roześmiali się.

– Czy ma pan w ogóle jakieś podejrzenia, kim jest morderca? Jakies istotne ślady? - Dudniący głos rozległ się aż spod tylnej ściany.

– Czy dziecko przed śmiercią było molestowane seksualnie?! - zawołał ktoś inny.

Kate wyszła z Caitlinem z budynku i oboje wsiedli do jej samochodu. Caitlin zapalił cygaro.

– To dziwaczna sprawa, Kate, wiesz? Dlaczego ten facet zabłąkał się aż tutaj?

– Zastanawiałam się nad tym, Kenny. Może kogoś tutaj odwiedzał? Może pracuje gdzieś w okolicy? A może ma tutaj rodzinę? Morderstwa w Grantley bez wątpienia popełnione zostały przez osobnika, który zna miasto. Może jednak mieszka gdzieś tutaj, a w Grantley po prostu się wychował? Poza tym dlaczego tak brutalnie zabił dziecko?

Caitlin potrząsnął głową.

– Mamy wielkie zaległości w badaniach krwi, słyszałaś?

– Tak, wiem o tym. Potrzebujemy więcej ludzi.

– To badania porównawcze zajmują najwięcej czasu. A czasu akurat nam brakuje.

Kate uśmiechnęła się słabo.

– Wciąż myślę o tym dziecku. Jak to możliwe, że znów nie mamy żadnego śladu? Jezu Chryste!

– Popatrz na to inaczej, dziewczyno. Petera Sutcliffe'a szukaliśmy

całe lata. Potem był Dennis Nilsen. Nawet gotował głowy swoich ofiar, a nigdy by nie wpadł, gdyby nie zapchał studzienki kanalizacyjnej ludzkim mięsem. Mordercy tacy jak nasz Rozpruwacz błyskawicznie wpadają w ręce policji tylko w książkach i w telewizji. Prawdziwe życie jest zupełnie inne. Ten facet prawdopodobnie rozmawia o morderstwach z rodziną, przyjaciółmi, kumplami z pracy i zgrywa równie zszokowanego jak wszyscy inni. Tymczasem w głębi duszy się ze wszystkich śmieje, szczególnie z nas. Czyta gazety z szerokim uśmiechem na twarzy. Wspomnisz jednak moje słowa, wreszcie zrobi coś głupiego, a gdy popełni błąd, będziemy już na niego czekali. I wiesz, co zrobię, kiedy stanę z nim twarzą w twarz?

– Co takiego?

Caitlin pochylił się ku Kate z szerokim uśmiechem.

– Trzasnę go w twarz za każde morderstwo osobno i dwukrotnie za zamordowanie dziecka. Tylko dzięki tej perspektywie jeszcze jakoś funkcjonuję w tym śledztwie.

Kate odwróciła głowę. Zanim zdołała cokolwiek mu odpowiedzieć, z komendy policji zaczęli wybiegać dziennikarze. Szybko włączyła silnik. Nie miała zamiaru odpowiadać na ich pytania.

Słowa Caitlina zmartwiły ją. Doskonale zdawała sobie bowiem sprawę, że każdy podejrzany, który wpadnie teraz w ich ręce, znajdzie się automatycznie w wielkim niebezpieczeństwie. Zamordowanie Jamesa Redcara ustawiło śledztwo w zupełnie innym świetle. Wiadomo było doskonale, że nawet najgorsi przestępcy nie tolerowali mordowania dzieci. Dzieciobójca w więzieniu nie miał więc żadnych szans. Kiedy Rozpruwacz z Grantley zostanie schwytany, będzie miał przeciwko sobie nie tylko policję, nie tylko rodziny ofiar, ale także współwięźniów. Trzeba będzie go chronić.

Jadąc w kierunku Dartford Tunnel, Kate zobaczyła samolot startujący z lotniska Gatwick i westchnęła. Och, jak bardzo chciałaby znajdować się w tym samolocie.

Patrick po raz kolejny przekartkował notes Elaine i uśmiechnął się z zadowoleniem. Willy odpowiedział mu równie szerokim uśmiechem.

– Facet poleciał do siostry. Cóż, wkrótce go dorwiemy. Połącz mnie tylko z Shaunem O'Gradym, właśnie przyszedł mi do głowy doskonały pomysł.

Podczas gdy Willy wykręcał numer, Patrick nalał sobie kolejną filiżankę kawy. A więc miał już mordercę niemal w rękach, był tego pewien.

Pomyślał przelotnie o Kate. Jeśli dowie się, co zamierza zrobić, nigdy mu nie wybaczy.

Zacisnął usta. To w końcu nie miało nic wspólnego z Kate. Sprawa rodzinna.

Upił łyk gorącej kawy i zapalił papierosa. Po chwili Willy podał mu słuchawkę.

– Shaun? To ja, Patrick. Jak się masz?

Shaun O’Grady leżał właśnie na kanapie w swoim luksusowym domu w Miami i aż podskoczył z zadowolenia.

– Cześć, Patrick. Co u ciebie?

– Mam trochę problemów, Shaun, rodzinnych problemów.

Shaun O’Grady odepchnął od siebie towarzyszącą mu dziewczynę. Usiadł i ruchem ręki nakazał dziewczynie, żeby zapaliła mu papierosa.

– Jakiego rodzaju rodzinne kłopoty?

– Chodzi o Mandy. Moją Mandy. Nie żyje.

– Nie żyje? - zawołał O’Grady z niedowierzaniem. - Co się stało? Była chora czy co?

Wziął do ręki zapalonego papierosa i mocno się zaciągnął. Jego oczy krążyły po wielkim pokoju, jednak w tej chwili niczego nie widział. Już od piętnastu lat prowadził interesy z Patrickiem Kellym. Mimo że obaj osobiście spotkali się tylko dwa razy, nabrali do siebie wzajemnego szacunku i zaprzyjaźnili się właściwie za pośrednictwem linii telefonicznej.

Shaun O’Grady był amerykańską wersją Patricka Kelly’ego. Tyle że Shaun O’Grady z upływem czasu rozszerzył pole działania, o czym Patrick wiedział tylko ze słyszenia. Jedną z jego specjalności stało się wynajmowanie płatnych zabójców.

Kiedy Kelly mówił, dziewczyna patrzyła O’Grady’emu prosto w oczy. Wreszcie, ciężko westchnąwszy, owinęła się peniuarem i wyszła z pokoju. Poszła do sypialni i, rzuciwszy się na łóżko, włączyła trzydziestosześciocałowy telewizor. Zaczęła oglądać *I Love Lucy*.

Znała Shauna bardzo dobrze. Wyraz jego oczu powiedział jej, że w najbliższych godzinach najlepiej będzie trzymać się od niego z daleka.

– Pat, Pat, rozdzierasz mi serce.

O’Grady pomyślał o swoich trzech córkach, ulokowanych w wielkim domu w Palm Springs razem z jego byłą żoną. Nie spędzał z nimi zbyt dużo czasu, ale był bardzo zapracowanym człowiekiem. Przypomniawszy sobie jednak, że ostatnio spotkał się z nimi podczas ferii bożonarodzeniowych i ogarnęło go poczucie winy.

– W jaki sposób mógłbym ci pomóc? Wał, śmiało.

– Nasz facet znajduje się obecnie na Florydzie. Dlatego właśnie do ciebie zatelefonowałem, Shaun. Chcę, żeby zniknął z powierzchni ziemi. Chcę go martwego.

– Czuj się, jakby sprawa już była załatwiona, Pat. Podaj mi trochę

szczegółów, a natychmiast się tym zajmę.

– W ciągu kilku dni wyślę pieniądze...

– Nie musisz wysyłać żadnych pieniędzy.

– Biznes to biznes, Shaun, zapłać. W ciągu kilku godzin przekażę ci szczegóły.

Gdyby to chodziło o jego córkę... O'Grady zamknął oczy. Aż trudno było o tym myśleć. Zaczął zapisywać adres Edith i po chwili, po krótkiej wymianie uprzejmości, obaj mężczyźni rozłączyli się.

O'Grady jeszcze przez moment siedział na włoskiej kanapie z białej skóry, patrząc na obraz Salvadora Dali zawieszony na ścianie. Miał pięćdziesiąt osiem lat, łysinę, obwisłe policzki i wielki brzuch, którego nie potrafił zlikwidować żadnymi ćwiczeniami. Miał też krótkie tłuste ręce i nogi.

Uchwycił wzrokiem swoje odbicie w lustrze i przesunął dłonią po brodzie.

Pomyślał o domu, w którym mieszkała teraz jego była żona, wśród nieładnych, zniszczonych mebli, a także o swoich trzech córkach. Z sypialni dotarł do niego głos Lucille Ball i wykrzywił twarz w niechętnym grymasie.

Wymienił dom i dwa miliony dolarów na młodziutką lalunię. Najśmieszniejsze było jednak to, że Noreen, jego była żona, nigdy nie była zazdrosna o przygody miłosne Shauna. Potrzebny więc był rozwód?

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do Noreen. Telefon odebrała jego najmłodsza córka, Rosaleen.

– Cześć, tatusiu! - zawołała do słuchawki i natychmiast powiedziała do matki: - Mamo, mamo, tatuś dzwoni.

O'Grady próbował zlekceważyć szczere zdziwienie w głosie dziecka.

Noreen wzięła słuchawkę od Rosaleen i po chwili usłyszał jej głos, z dźwięcznym nowoangielskim akcentem. Miała klasę, musiał to przyznać. Nigdy nie powinien był się z nią rozwodzić.

– Halo, Shaun, co za niespodzianka.

Kiedy zaczął do niej mówić, dziewczyna wyszła z sypialni. Wciąż miała na sobie peniuar, przez który wyraźnie widoczny był zarys jej nieprawdopodobnie długich, brązowych nóg. Odgarnęła z twarzy gęste czarne włosy i z naturalnym wdziękiem zapaliła papierosa.

O'Grady obserwował ją z nieskrywaną przyjemnością, po czym odezwał się do telefonu:

– Przyjadę na weekend, żeby zobaczyć się z dziewczynkami. Co ty na to?

– Cieszę się. Powiedz, kiedy będziesz chciał je zabrać, to je przygotuję. Bardzo za tobą tęsknię, chyba nie wątpisz.

– Jeszcze zadzwonię i ustalimy szczegóły, Noreen.

– Doskonale - odparła Noreen i odłożyła słuchawkę.

Natychmiast zaczął wykręcać kolejny numer z oczyma utkwionymi w pośladkach dziewczyny przeświecających przez cienki jedwab. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu lekkim uśmiechem i wróciła do sypialni.

– Halo, Duane? Przyjedź do mnie natychmiast, mam dla ciebie robotę.

Odłożył słuchawkę i zdusił w popielniczce niedopałek papierosa. Z telewizora docierał do niego śmiech Ricky'ego Richardo. Odgadł, że program właśnie się kończy.

Tasha uwielbiała stare programy: *I Love Lucy*, *The Three Stoges*. Kupił jej kasety ze wszystkimi filmami braci Marx. Miała dwadzieścia pięć lat.

A ile lat miała Nora? Trzydzieści osiem? Trzydzieści dziewięć?

Wiedział, że Tasha nie będzie jego ostatnią dziewczyną, nie zamierzał na niej kończyć. Tymczasem jego umysł zajmowała sprawa, o której opowiedział mu Pat. Chryste, kto powiedział, że wariaci są tylko w Ameryce?

George znajdował się w centrum uwagi i doskonale się czuł w nowej roli. Edith wyglądała fantastycznie i wprost nie mógł oderwać od niej wzroku. Włosy miała starannie ułożone. Bez wątpienia pofarbowała je, jednak na naturalny kolor, doskonale do niej pasujący. Na pewno nie wyglądała na kobietę po pięćdziesiątce. Z drugiej strony, Joss bez dwóch zdań wyglądał na swoje sześćdziesiąt pięć lat. Miał ponurą, brązową, pomarszczoną twarz. Oboje mówili z amerykańskim akcentem, co bardzo się George'owi podobało.

Edith wciąż klepała piąte przez dziesiąte.

– Skontaktowałam się z dziećmi; oboje będą tutaj jutro. Joss junior, jak go nazywamy, przyleci z Denver, to jest w Kolorado. Pracuje w wielkiej firmie farmaceutycznej. A Natalie przyjedzie z Miami, pracuje tu, na miejscu, w firmie kosmetycznej. Poczekaj, aż ich zobaczysz, George. To piękne dzieci.

– Żałuję, że Bóg nie obdarzył dziećmi mnie i Elaine, ale po śmierci chłopca... - Głos George'a zawisł w próżni. Edith popatrzyła na niego niemal ze łzami w oczach.

Dlaczego Elaine go opuściła? Jak mogła? Po tych wszystkich latach, które wspólnie przeżyli. Dziwka bez serca. Edith postanowiła, że jeśli kiedykolwiek ją spotka, co - musiała przyznać - było raczej mało prawdopodobne, powie jej prosto w twarz, co o niej myśli. Biedny George. Nie miał szczęścia do kobiet. Najpierw wredna matka, a potem Elaine. Edith zacisnęła doskonale umalowane koralowe wargi.

Jej rozmyślania przerwał głośny, dudniący głos Jossa:

– A może zawieziemy George’a do Orlando na wielką wyzerkę? Moglibyśmy pójść do Mercado na International Drive.

Edith uśmiechnęła się szeroko, ukazując drogie, śnieżnobiałe, sztuczne zęby.

– Och, tak, doskonały pomysł. George, tam mają steki, które ważą po trzydzieści dwie uncje.

George zrobił zmartwioną minę.

– Obawiam się, że nie zjem tyle, Edith.

– Ty głuptasie, podzielimy się! Dalej, szykuj się do drogi.

Na moment wpadła jej do głowy wątpliwość, czy George zabrał ze sobą odpowiedni garnitur, w którym mogłby pokazać się wieczorem w restauracji. Bo do tej pory sprawiał wrażenie, jakby po prostu wybrał się na dłuższą wycieczkę.

Ale i tak cieszyła się, że przyjechał. Z trudem zwalczyła w sobie ochotę, żeby go znowu uściskać. Była tak cholernie zadowolona, że go widzi, iż najchętniej by go zjadła. Tymczasem zamiast go zjeść, delikatnie pocałowała go w policzek.

– Jak to dobrze cię znów widzieć, George. Wspaniale!

– Ja także się cieszę, że cię widzę, Edith. Minęło tyle czasu...

Poszła razem z nim do obszernego pokoju gościnnego. Była zaskoczona i szczęśliwa, że brat, którego nie spodziewała się zobaczyć już nigdy w życiu, naprawdę przyjechał do jej domu. Jej pięknego domu, o którym - miała nadzieję - dokładnie opowie matce, kiedy wróci do Anglii. Niech stara suka zazdrości!

– A co słychać u matki, George?

Edith usiadła na łóżku, a na jej twarzy pojawiło się zatroskanie. Za każdym razem, kiedy myślała o matce, myślała też o swoim dziecku.

George usiadł obok niej i chwycił ją za rękę.

– To samo, co zwykle, Edith. Jest opryskliwa, wulgarna, nieznośna. Nic się nie zmieniła.

– Nie wątpię - odrzekła z zacięciem. - Czy ona wie o Elaine? To znaczy, że cię zostawiła?

George gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie. Chciałem jej powiedzieć, kiedy odwiedziłem ją krótko przed odlotem. Ale cóż... Pokłóciliśmy się.

Edith zmarszczyła czoło.

– Pewnie chcesz powiedzieć, że nawrzeszczała na ciebie.

George uśmiechnął się.

– Nie. Właściwie to ja powiedziałem jej, co o niej myślę. Żałuję, że tak późno. - Przetarł oczy dłońmi. - Edith, czy wiesz, że nasza matka była... Hmm... Że była prostytutką? - Z trudem sformułował słowa. Jeszcze

większą trudność sprawiło mu zrozumienie, z czego śmieje się Edith. - Co w tym zabawnego? - zdenerwował się.

- Och, George, do końca życia będziesz naiwnym niewiniątkiem. Czasami myślę, że to dlatego byłeś taki podatny na jej wpływy. Pamiętasz tych wszystkich mężczyzn, którzy kręcili się po domu? Pamiętasz, jak się z nimi kłóciła? Pamiętasz te wszystkie pijackie awantury?

- Oczywiście, że pamiętam, ale nigdy nie myślałem, że... że bierze od nich za to pieniądze.

Edith westchnęła.

- Przebierz się, George. Pojedziemy na wielki soczysty stek i trochę się odprężymy. Matka jest tysiące mil stąd. Nie jest w stanie nas zranić, nawet gdyby bardzo chciała.

George uśmiechnął się, w pełni przyznając jej rację, jednak w jego głowie wciąż błąkało się pytanie: czy na pewno? Zdziwiłby się, gdyby potrafił odgadnąć, że Edith myśli dokładnie o tym samym.

Kiedy został w pokoju sam, zaczął przypatrywać się niebieskim i zielonym meblom. Na podłodze z twardego drewna w strategicznych miejscach leżały indiańskie dywany. Doskonale pasowała do nich narzuta na łóżku. Pokój był naprawdę uroczy i bardzo się różnił od pokoiów z londyńskich domów, w których oboje z Edith się wychowywali.

Otworzył jakieś drzwi i zamiast szafy ujrzał za nimi łazienkę. Nalał wodę do wanny i wsypał do niej trochę soli kąpielowej, którą znalazł na parapecie.

Oto był w Ameryce, na Florydzie, z Edith, i matka nie mogła mu zepsuć radości z tej wizyty. Wyciągnął się w wodzie i zaczął rozmyślać o innych, przyjemniejszych rzeczach.

Edith, bardziej zaskoczona jego nagłą wizytą, niż gotowa była to przyznać, poszła do swojego pokoju i, otworzywszy szafę na ubrania, zdjęła z górnej półki małe pudełko. Położyła je na wielkim owalnym łóżku, zdjęła pokrywkę i wyciągnęła stare czarno-białe fotografie.

Na pierwszej z nich zobaczyła George'a w krótkich spodenkach i długich szarych szkolnych kolanówkach. Na następnym był Joseph i ona sama. Bardzo długo patrzyła na każdą fotografię. Na żadnej z nich żadne z dzieci się nie uśmiechało.

Patrick był w ekstazie. Namierzył wreszcie George'a Markhama. Już mu się nie wymknie. Był rozczarowany, że nie zlikwiduje go sam, ale jakoś się z tym pogodził. Najważniejsze zdawało się to, że wiedział, z kim ma do czynienia. Z kolei najgorsza była frustracja, jaka go ogarniała, kiedy rozmyślał o nieznanym człowieku, który zabił jego córkę, a teraz siedzi

sobie gdzieś wygodnie i śmieje się do rozpuku ze wszystkich tych, którzy go poszukują.

Ale nareszcie go miał. Shaun O'Grady dopilnuje, żeby drań już nigdy nikogo nie zabił. Myśl o tym poprawiała mu humor.

Gdyby Kate dowiedziała się, co dzisiaj zaplanował... Zamknął oczy. Kate była dobrą kobietą. Uosabiała wszystko to, co było dobre i prawe; kochał ją także za to.

Wiedział, że jeśli kiedykolwiek nabierze podejrzeń, iż znał nazwisko i miejsce pobytu Rozpruwacza z Grantley, jej wściekłość nie będzie miała granic. Kate pragnęła doprowadzić mordercę przed oblicze sprawiedliwości. Jej sprawiedliwości. Cóż, facet zakosztuje jednak sprawiedliwości według Patricka, o wiele dla niego słodszej.

Zacisnął pięści. George Markham wkrótce będzie martwy.

Martwy, martwy, martwy!

Popatrzył na fotografię Mandy, stojącą w ramce na kominku, i jego twarz trochę się rozpogodziła. Oddałby wszystko, żeby przywrócić jej życie. Czasami, w środku nocy, kiedy w domu było cicho, odnosił wrażenie, że słyszy jej głos. Budził się, spocony, gdyż przez sen słyszał jej płacz. Słyszał jej wołanie, błagała go o pomoc. Zakrywał wtedy uszy rękami, aby odegnąć od siebie te dźwięki.

Czasami próbował sobie wyobrazić jej ostatnie chwile. Strach, który ją ogarnął, kiedy napastnik zaczął ją bić pięściami po twarzy. Bezwładne ciało, gwałcone na klepisku w brudnej szopie...

Potem przypominał sobie jej twarz zmasakrowaną niemal nie do rozpoznania, kiedy leżała w szpitalu. Przypominał sobie ciche brzęczenie elektronicznych urządzeń podtrzymujących życie i nagłą ciszę, kiedy nic życia Mandy urwała się. Przypominał sobie jej poranione ciało, podskakujące bezwładnie, gdy lekarze próbowali jeszcze ją ratować, stosując elektrowstrząsy.

George'u Markham, wkrótce mi za to zapłacisz.

Zadzwoił telefon i Patrick aż podskoczył.

– Halo.

– Halo, Pat? To ja, Jeny. Walka odbędzie się w starej fabryce kapeluszy, niedaleko Roman Road. Szczegółowe informacje już przefaksowałem. Początek o dziewiątej trzydzieści wieczorem.

Patrick zamknął oczy. Zupełnie zapomniał o tej walce.

– Posłuchaj, Jerry, pewnie nie będę mógł tam dotrzeć. Mam ostatnio dużo spraw na głowie.

– Jasne, stary. Pamiętaj jednak, że będzie mnóstwo emocji. Spróbuj przyjechać. Do zobaczenia.

Patrick odłożył słuchawkę i ciężko westchnął. Tak się przecież cieszył na tę walkę. Lubił nielegalne walki bokserskie. Nikt nigdy nie wiedział,

gdzie odbędzie się taka walka. Zainteresowani dowiadywali się o czasie i miejscu z zaledwie kilkugodzinnym wyprzedzeniem. Dzięki temu policjanci przybywali na miejsce zawsze za późno, kiedy było już po wszystkim.

Nalał sobie kolejną dużą porcję whisky i popatrzył na zegarek. Czekał na kolejny telefon od O'Grady'ego; dopiero później będzie mógł się odprężyć. Wypił spory łyk alkoholu.

Po kilku minutach telefon znowu zadzwonił i Patrick podniósł słuchawkę. Ucieszył się, słysząc szum i trzaski, świadczące niezbitcie, że ktoś łączy się z nim z bardzo daleka.

– Cześć, Pat. Dobrze mnie słyszysz?

– Doskonale.

– Wszystko załatwiłem. W ciągu trzech dni ten facet zniknie z tego świata. Będzie cię to kosztować pięćdziesiąt tysięcy. Dolarów, oczywiście. Zaangażowałem jednego z moich najlepszych ludzi. Już wszystko przygotowuje.

– Doskonale. Pieniądze dotrą do ciebie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Dzięki, Shaun. Nie zapomnę ci tej przysługi.

– Hej, stary, od czego w końcu są przyjaciele? Trzymaj się i spróbuj dojść do siebie. Po mojej stronie oceanu wszystko masz już załatwione.

– Dzięki, Shaun. Cześć.

– Do usłyszenia. Wkrótce się do ciebie odezwę.

Połączenie urwało się.

Shaun miał już więc adres George'a Markhama i mniej więcej wiadomo było, kiedy drań umrze. Patrick uśmiechnął się do siebie. Właściwie mógł jeszcze zdążyć na walkę.

Przynajmniej choć na chwilę oderwie myśli od poważnych spraw.

Willy zatrzymał samochód przed fabryką i Patrick pomógł Kate wysiąść. Ludzie byli dosłownie wszędzie. Zdawała sobie sprawę, że ich przyjazd wywołał poruszenie i instynktownie trzymała się blisko Patricka. Przepchnął się przez bramę wejściową, bez przerwy kogoś pozdrawiając. Wreszcie oboje znaleźli się w środku. W twarz uderzyła ich chmura papierosowego dymu. Niemal natychmiast podbiegł do nich jakiś mały siwy człowieczek, z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Pat! Pat! A więc jednak jesteś. Cześć, mój drogi.

– Jerry, to jest Kate, moja specjalna przyjaciółka. Kate, poznaj Jerry'ego, starego drania.

Kate uśmiechnęła się i potrząsnęła jego drobną dłonią.

– Miło cię poznać. Jak się masz?

Jerry zmierzył ją uważnym spojrzeniem eksperta. Cóż, zupełnie inna od laleczek, jakie dotąd widywano w towarzystwie Kelly'ego, ale - jak na swój wiek - całkiem niezła.

– Doskonale, moja droga. Chodźcie, zarezerwowałem dla was miejsca w pierwszym rzędzie.

Kiedy przeciskali się przez tłum, Patrick trzymał Kate za ramię. Z głośników rozlegała się głośna muzyka soulowa i wszyscy w hali musieli krzyżeć, żeby się porozumieć. Pomieszczenie było wypełnione ludźmi do granic możliwości. Kate zaś była coraz bardziej zaskoczona tym, co rozgrywało się przed jej oczami. Dookoła otwarcie i bez skrepowania zawierano zakłady. Jej zdziwienie wzrosło, kiedy ujrzała duży ring boksinerski. Chyba Patrick nie przyprowadził jej na nielegalną walkę?

Jerry wskazał im krzesła. Kate popatrzyła na Patricka groźnym wzrokiem.

– Czy to jest to, co mi się wydaje, że jest?

Patrick roześmiał się.

– Tak. Szybko, Kate, popatrz tam.

Wskazał jej palcem jakieś miejsce po przeciwnej stronie ringu. Spojrzawszy w tamtym kierunku, ujrzała szefa Fredericka Flowersa i, odniosła wrażenie, połowę ludzi z jej własnego wydziału. Pokiwała mu niechętnie ręką, gdy Flowers głośno gwizdnął i energicznie ich pozdrowił. Bez wątpienia był pijany. Patrick roześmiał się serdecznie, a Kate odwróciła się do niego.

– Specjalnie mnie tu przyprowadziłeś, prawda? - Dostrzegł w jej oczach zakłopotanie i zrobiło mu się głupio, że przed chwilą się śmiał.

– Nie wiedziałem, że tutaj będą, Katie, przysięgam. Najpierw chciałem przyjść sam, a potem pomyślałem, że tobie także się spodoba. Poza tym chciałem być z tobą. - Uśmiechnął się i przyłożył rękę do serca jak uczeń. - Słowo skauta.

– Powiedziałaś mi, że to będzie jakieś nadzwyczajne doświadczenie.

– Bo będzie. A teraz powiedz, ile stawiamy?

Kate zmarszczyła czoło.

– Co powiesz na piątaka?

– Posłuchaj, kochanie, jeśli postawię tutaj piątaka, moja reputacja zostanie mocno nadszarpnięta. Stawiam stówę, że wygra Rankin Rasta Dave, kochanie.

Kiedy rozmawiali, z głośników zabrzmiał temat z *Odysei kosmicznej 2001* i z prowizorycznej szatni wyszedł potężnie zbudowany rastafarianin. Kate aż jęknęła, zaskoczona jego widokiem. Mężczyzna był po prostu wielki, o niesamowicie dużych rękach i nogach. Włosy miał związane w koński ogon, na który składały się dredy grube jak kiełbasy. Miał przystojną, dumną twarz. Tłum pozdrowiał go radośnie lub gwizdał; na podstawie zachowania ludzi można było wywnioskować, kto postawił na niego, a kto na jego przeciwnika.

Pat wstał z krzesła i powiedział:

– Patrz sobie na niego z uwielbieniem w oczach, a ja tymczasem porobię zakłady, dobrze?

Kate uśmiechnęła się wbrew sobie. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak ogromnego mężczyzny. Stał na ringu, podskakiwał, a światła reflektorów odbijały się od jego wysmarowanych oliwą muskułów. Jakaś kobieta klepnęła Kate w ramię i zawołała:

– Chciałabym mieć go codziennie w łóżku!

Kate, zaszokowana, przyłożyła dłoń do ust, a potem roześmiała się serdecznie. Nagle muzyka zmieniła się i usłyszała piosenkę Dany, *All Kinds of Everything*. Widownia znów zaczęła wiwatować.

Na ring wskoczył kolejny mężczyzna. Wielkie ramiona niby od niechcenia uniósł nad głowę. Miał szeroką twarz o subtelnym rysach i kręcone rude włosy. Jego małe niebieskie oczka jak ogniki wbiły się w przeciwnika. Po chwili, ku radości stawiających na niego ludzi, uznał go za niegodnego większej uwagi. Wystrzelił w kierunku Rasta wielką ręką, uzbrojoną w rękawicę, i z wściekłością splunął na ring.

Patrick wrócił na swoje miejsce. Kate aż podskoczyła, kiedy odezwał się niespodziewanie:

– To, Katie, jest Big Bad Seamus. Przyjechał tu specjalnie z Dublina, żeby walczyć z londyńczykiem, Rasta Dave'em. Ludzie stawiają dzisiaj masę pieniędzy.

Kate popatrzyła na niego niespokojnym wzrokiem.

– Nie mogę uwierzyć, że tutaj jestem. Nigdy w życiu w czymś takim nie uczestniczyłam. Zdaje się, że będą walczyć, dopóki któryś nie zbije przeciwnika do nieprzytomności?

Kelly uśmiechnął się.

– Mam cholerną nadzieję, że tak właśnie się stanie, dziewczyno. Jeśli będą chcieli zakończyć walkę inaczej, to tłum ich rozszarpie.

Na ring wskoczył drobny mężczyzna ubrany jak do uroczystego obiadu i zaczął wyjaśniać, jakie są reguły walki. Kate zrozumiała z nich jedno: dozwolone jest wszystko, z wyjątkiem noży i strzelania do siebie z pistoletów. Dwaj bokserzy zasiedli na chwilę w narożnikach ringu, a półnaga dziewczyna, ku uciechu gawiedzi, kilkakrotnie okrążyła arenę walki z tekturową tablicą, na której napisano: RUNDA 1. Rozległ się gong i dwaj mężczyźni rzucili się na siebie jak dwa byki.

Kate z fascynacją obserwowała początek walki. Rasta od razu przejął inicjatywę. Co chwilę trafiał Irlandczyka celnym ciosem w głowę. Później jednak to Irlandczyk był górą. Wykorzystał moment nieuwagi Rasty, by z całej siły uderzyć go głową pod oko. Spuchło niemal natychmiast i Kate z niedowierzaniem aż przyłożyła dłoń do ust. Zacisnęła oczy. To było przecież barbarzyństwo. Dwóch dorosłych mężczyzn biło się niemal na śmierć i życie, zupełnie nie wiadomo

dlaczego. Atmosfera w hali fabrycznej stawała się coraz gorętsza. Kate rozejrzała się dookoła. Ujrzała kobiety stojące na krzesła i zdzierające gardła, by wspierać swoich ulubieńców. Walka była naprawdę gwałtowna i okrutna, a tymczasem ludzie zachowywali się tak, jakby najlepsze było dopiero przed nimi. Wyłowiła wzrokiem postać Fredericka Flowersa. On także wstał z krzesła i wykrzykiwał w kierunku walczących bokserów fachowe porady.

– Oddaj draniowi! Niech to nie ujdzie irlandzkiemu draniowi na sucho!

Czarny mężczyzna w ringu jakby usłyszał radę i jeszcze raz trzasnął Irlandczyka tak mocno, że z przeciętnego człowieka po takim ciosie uszłoby życie.

A Kate patrzyła na Flowersa. Odnosiła wrażenie, że dotąd zupełnie tego człowieka nie знаła. Przecież sama była świadkiem, jak wypowiadał się na konferencjach prasowych o nielegalnych walkach bokserskich. Było to jedno ze zjawisk, które obiecywał z pełną determinacją wytepić. Teraz, bez munduru i mocno podpity, wyglądał na człowieka, jakim naprawdę był, na drobnego krętacza. Ulotniła się gdzieś aura powagi, odpowiedzialności i pełna godności postawa, jaką prezentował przez cały dzień w roli nadinspektora. Tutaj był tylko przeciętną twarzą w rozwrzeszczanym tłumie. Nic właściwie nie różniło go od Patricka.

Ciemnowłosa dwudziestolatka podała mu drinka. Flowers wziął od niej szklankę, nawet nie zwracając uwagi na jej obecność. Usiadła na jego krzesło i bez większego efektu obciągnęła w dół krótką spódniczkę. Z całą pewnością nie była to pani Flowers. Kate spotkała żonę Flowersa dwukrotnie, przy różnych okazjach. Była bardzo wytworną kobietą, starannie dbającą o swój wizerunek.

Kate po raz kolejny zadała sobie pytanie, dlaczego Patrick ją tutaj przyprowadził.

Niemal podświadomie odnotowała dźwięk gongu. Popatrzyła na ring i ujrzała, jak dwaj bokserzy, chwając się na nogach, powracają do swoich narożników.

– Wszystko w porządku, dziewczyno? - zapytał Patrick zatroskanym głosem.

Kate spojrzała mu w oczy. Mimo otaczającego ich hałasu i zamieszania zdawał się rozumieć, co czuła.

– Katie? - Odrobinę uniół brwi, a Kate odwróciła głowę.

Flowers właśnie przesunął dłonią po udzie laluni w krótkiej spódniczce. Patrick podążył za wzrokiem Kate. Ujrzała, jak na jego ustach pojawia się uśmiech, i poczuła ucisk w sercu. Znow na nią spojrzał.

– Freddie to stary zboreźnik. To nie jest jego panienka jako taka, Kate. Dziewczyna zarabia przynajmniej dwie setki w ciągu nocy. Jest z nim za forszę.

Spojrzenie Patricka powróciło na ring. Kolejna dziewczyna, tym razem ciemnoskóra, zaczęła krążyć po ringu z tablicą RUNDA 2. Kiedy przechodziła obok Irlandczyka, ten złapał ją i przełożył przez ramię, udając, że chce ugryźć ją w pośladek. Dziewczyna pisnęła z zachwytem, skupiając na sobie uwagę publiczności.

Kate obserwowała, jak Rasta wsadza całą głowę do wiadra z wodą i zaraz ją wyciąga, otrząsając się jak pies.

Patrick zapalił dwa papierosy i jednego podał Katie. Przyjęła go z wdzięcznością.

– Patrick...

Chciała mu powiedzieć, że zamierza stąd wyjść, jednak rozbrzmiał kolejny gong i było już za późno. Uwaga wszystkich ludzi zgromadzonych w hali skupiła się na ringu.

Kate z niesmakiem patrzyła na bokserów, znów okładających się pięściami, tym razem jeszcze mocniej niż w pierwszej rundzie. Po dwóch minutach atmosfera na widowni znowu się zmieniła. Teraz była pełna złości i nienawiści. Czarnoskóry jakby przeszedł metamorfozę. Jego ciosy raz za razem lądowały na twarzy Irlandczyka, pod którego oczyma i wokół ust zaczęły tworzyć się potężne sińce. Nagle wszyscy widzowie zerwali się z miejsc. Irlandczyk zachwiał się i ugiął nogę w kolanie, uderzając nim o deski. Czarnoskóry natychmiast zwierzył szansę. Nie zamierzał jej zmarnować. Wymierzył serię potężnych ciosów w twarz i głowę Irlandczyka.

Tłum wpadł w ekstazę. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni dzikimi wrzaskami zachęcali bokserów do walki. Kate z przerażeniem patrzyła, jak czarnoskóry unosi Irlandczyka z podłogi i z całej siły wali go po twarzy i tułowiu. Odnosiła wrażenie, że trwa to całą wieczność. Wreszcie Rasta pchnął przeciwnika na deski i na zakończenie kopnął go w krocze.

Irlandczyk leżał na ringu na plecach, nieprzytomny, z szeroko rozrzuconymi rękami.

Tłum szalał. W tylnych rzędach wybuchły bijatyki pomiędzy fanami rywalizujących bokserów. Na ringu Rasta biegał w kółko z ramionami wyrzuconymi do góry w geście zwycięstwa. Rozwiązał koński ogon z dredów i teraz tańczyły wokół jego twarzy w rytmie, w jakim podskakiwał. Na ring wskoczyła wysoka, ładna biała kobieta w wieku mniej więcej trzydziestu lat i rzuciła mu się na szyję, całując jego opuchniętą i poranioną twarz.

Patrick odwrócił się ku Kate.

– To Veronica Campella, znana jako szalona Veronica. Jest jego menedżerem. Dysponuje jedną z największych stajni bokserskich w Anglii i w swojej robocie jest doskonała. Załatwiła mu dwadzieścia tysięcy funtów na czysto za dzisiejszą walkę. Nieźle, jak na dwie rundy, co? Wozi swoich podopiecznych na walki nawet do Chin i do Stanów - mówił z podziwem.

Kate milczała, patrząc, jak pracownicy obsługi pomagają Irlandczykowi zejść z ringu. Na moment podbiegł do niego Rasta i objęli się jak dwaj starzy przyjaciele. Cóż, Irlandczyk potrafił godnie przegrać.

– Możemy już stąd iść, Pat? Bardzo cię proszę.

– Będzie jeszcze kilka walk, Kate. - Zerknął na nią uważnie. - O co chodzi? - W jego głosie brzmiało autentyczne zdziwienie.

– Chcę po prostu stąd wyjść. To jest straszne. To wszystko... - Zatoczyła łuk ręką. - To wszystko sprawia, że zbiera mi się na wymioty.

Przez twarz Patricka przebiegł cień niezadowolenia, co nie uszło uwagi Kate. Nagle jakby przypomniał sobie, kim ona jest, ponieważ uśmiechnął się smutno.

– To nie był dobry pomysł, prawda?

Kate podniosła z podłogi torebkę i potrząsnęła głową.

– Nie za bardzo. Nie lubię nawet legalnego boks, Patrick. Nie znoszę przemocy w żadnej formie.

– A więc chodźmy stąd.

Zdawała sobie sprawę, że po raz pierwszy na dobre go zdenerwowała. Kiedy przeciskali się przez tłum, beznamiętnym głosem odpowiadał na pozdrowienia i jedynie machinalnie potrząsał wyciąganymi ku niemu dłońmi. Kiedy wyszli z hali pełnej rozgorączkowanych ludzi i znaleźli się na zimnym powietrzu, jak spod ziemi wyrósł przed nimi Willy.

– Ile zarobiłeś, Pat?

– Nie tyle, ile bym się spodziewał, Willy. A ty?

Beznamiętny ton głosu Patricka sprawił, że Kate zacisnęła zęby.

– Wygrałem tysiącza. Wiedziałem, że Rasta pokona Irlandczyka, Pat. Po prostu wiedziałem. Ten facet jest jakby stworzony do walki.

Patrick uśmiechnął się do niego.

– Zostań tutaj i obserwuj wszystko do końca.

– A wy dwoje?

Patrick westchnął.

– Przecież potrafię prowadzić własny samochód, Willy.

Willy zrozumiał, że coś się stało. Kate była spięta i naburmuszona, a Patrick sprawiał niewiele lepsze wrażenie. Podał szefowi kluczyki do samochodu.

– Cóż... Skoro tak chcesz...

Nie podobało mu się, że Patrick poprowadzi rollsa, to było jego ukochane dziecko, które osobiście pieścił, czyścił i konserwował.

– Tylko nie szalej na drodze, Pat. Ten samochód nie jest przyzwyczajony do twojego stylu jazdy. Trzeba wiedzieć, jak się z nim obchodzić...

– Willy! - rzucił Patrick ostrzegawczo.

– Co takiego?

Patrick przybliżył swoją twarz do jego twarzy i powiedział cicho:

– Do widzenia.

Za chwilę otworzył dla Kate drzwi po stronie pasażera, a sam usiadł w fotelu kierowcy. Kate wsiadła do samochodu w absolutnym milczeniu. Willy obserwował ich, potrząsając głową. Patrick włączył silnik i z piskiem opon wyjechał z parkingu, posyłając w powietrze żwir i drobne kamienie. Na szosie wyrównał do sześćdziesięciu mil na godzinę i po chwili Kate usłyszała w ciemności jego gorzki śmiech.

– Co cię tak rozbawiło? - zapytała głucho.

– Ten cholerny Willy. Czasami zastanawiam się, dlaczego wciąż go trzymam. Zachowuje się jak moja matka, a nie jak ochroniarz.

– Po prostu jest twoim przyjacielem. - Krytycyzm Patricka jeszcze zwiększył złość Kate.

Patrick zatrzymał samochód w zatoczce przy szosie i wyłączył silnik.

– Nie chcę słuchać podobnych pierdół, Kate. Od chwili, kiedy zobaczyłaś Freddiego Flowersa, zachowujesz się, jakbyś nie była sobą...

Kate przerwała mu.

– To nieprawda! Wykazałeś nadmiar zuchwałości, zabierając mnie na nielegalne walki bokserskie, Patrick. To, że był tam akurat mój szef i dobrze się bawił, wcale nie znaczy, że powinnam była zachowywać się tak samo. Uważam, że te walki są barbarzyńskie, okrutne i poniżające, i to nie dla mężczyzn, którzy walczą ze sobą, ale dla ludzi, którzy płacą, żeby je oglądać.

– Wiesz co, Kate? Sedno sprawy tkwi w czym innym. Wywiedzimy się z różnych światów. Nie przeproszę cię za to, że zabrałem cię na te walki, nieważne, co powiesz. Jestem, jaki jestem, Kate, i takiego musisz mnie brać.

– To samo dotyczy mnie, Patrick. Ja także cię nie przeproszę.

Spoglądali na siebie w półmroku panującym w samochodzie. Atmosfera była ciężka i nieprzyjazna. Serce Kate biło jak szalone. Musiała jednak dać Patrickowi do zrozumienia, co czuje. Nagle nie chodziło już o walki bokserskie, lecz o nich dwoje, o ogromne różnice pomiędzy nimi.

Patrick zapalił po papierosie, dla siebie i dla niej.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Kate? - zapytał niemal błagalnie. - Czego się po mnie spodziewasz?

Kate przez chwilę milczała.

– Odrobiny szacunku. Opiekuńczości. A przede wszystkim nie chcę odnosić wrażenia, że będąc z tobą, wciąż idę na wymuszone kompromisy. Ten... ten dzisiejszy spektakl sprawił, że poczułam się chora. Kiedy ci faceci zaczęli się nawzajem okładać, byłam po prostu przerażona.

Usłyszała brzęczenie silniczka elektrycznego: Patrick opuszczał boczną szybę po swojej stronie.

Popatrzył na szosę. Samochody mijały ich z wielką szybkością, jeden po drugim. Odgłosy ich silników natrętnie wdzierały się przez otwarte okno. W aucie szybko zrobiło się chłodno. Patrick westchnął. Było to ciężkie westchnienie starego człowieka.

– Przepraszam, Kate. Masz rację. Co więcej mogę powiedzieć? Wiem, że jesteś inna, ale przecież na ogół nadajemy na tych samych falach. W ciągu ostatnich miesięcy musiałem mocno przewartościować wszystko, co dotąd miało znaczenie w moim życiu. Przecież sprzedałem salony masażu... - Urwał i zaciągnął się papierosem. - Nie powinienem był ci dzisiaj zabierać na te walki, teraz to rozumiem. Nawet gdybyś nie była gli... to znaczy detektywem inspektorem, tego typu zabawy nie powinny sprawiać ci przyjemności. Renée też tego nie lubiła. Na swoją obronę mogę powiedzieć jedynie to, że... - Urwał i popatrzył na Kate. - To, że od dawna nie miałem kobiety, która nie poddawałaby się wszelkim moim zachciankom.

Kate poszukała wzrokiem w ciemności jego twarzy. Patrick pochylił się ku niej i delikatnie pocałował ją w usta. Odniosła wrażenie, jakby przez całe jej ciało przebiegł prąd elektryczny.

– Przepraszam cię za to, że taki właśnie jestem, postawmy sprawę jasno. Przepraszam, że nie pomyślałem dzisiaj zawczasu, jak odbierzesz spektakl, na który cię zaprosiłem. Zaakceptujesz moje przeprosiny?

Pokiwała głową.

– Pocałujmy się więc porządnie na zgodę.

Przyciągnął Kate do siebie i namiętnie pocałował ją w usta.

Kiedy się od siebie oderwali, Kate zobaczyła, jak ktoś wsuwa do rollsa głowę przez boczne okno.

– Wszystko w porządku, proszę pana?

Żadne z nich nie zauważyło wcześniej fiata pandy, który zatrzymał się w zatoczce tuż za nimi.

– Tak, oczywiście, panie oficerze, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Zaraz stąd odjeżdżamy.

Kate uśmiechnęła się do policjanta, a Patrick szybko wyjechał z

zatoczki. Kiedy znaleźli się na szosie, położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nie chcę, żebyśmy się kłócili, Pat.

– Po prostu zapomnijmy o dzisiejszym dniu. A teraz, co byś powiedziała na dobrą kolację? Na jakie jedzenie masz ochotę? Włoskie, francuskie, hiszpańskie, chińskie? Słucham, czego sobie życzysz?

Kate roześmiała się.

– Co byś powiedział na kolację po indyjsku?

– Zapomniałem, że istnieje indyjskie jedzenie. Ale wiesz co? Może darujemy sobie jedzenie i pojedziemy do domu, prosto do łóżka?

– W żadnym wypadku.

Patrick westchnął.

– Mówi się trudno.

Kate delikatnie uścisnęła jego rękę.

– Nigdy nie chodzę spać z pustym żołądkiem.

Nagle zapragnęła go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Poczuła, że mocniej nacisnął na pedał gazu.

– Willy mówił, żebyś nie szalała.

Patrick popatrzył na nią i uśmiechnął się.

– Willy nie miał na myśli sytuacji awaryjnej.

Dużo później, gdy leżała obok niego, ciesząc się jego zapachem i smakując lenistwo, które ogarnęło ją po wspianym seksie, zaczęła zastanawiać się nad sytuacją.

Jej kochanek bez mrugnienia okiem gotów był zabić Rozpruwacza z Grantley, nie miała co do tego wątpliwości. Wiedziała, że zdolny był do popełnienia morderstwa. Zresztą, nigdy tego przed nią nie krył.

Mimo to wciąż go pragnęła.

Hołdował w życiu wartościom, z którymi Kate absolutnie nie mogła się zgodzić. Za łóżko, w którym teraz leżała, zapłacił zapewne pieniędzmi zarobionymi na którymś z nielegalnych lub półlegalnych interesów. Dzisiaj zabrał ją na nielegalne walki bokserskie. A jednak... Wystarczyło jedno spojrzenie na jego przystojną twarz i gotowa była przebaczyć mu wszystko.

Wszystko? Nie potrafiła udzielić sobie szczerzej odpowiedzi na to pytanie.

Głębiej wtuliła się w jego ramiona. Czowała na nodze jego zwiotczały penis, wilgotny i delikatny, i znów przeszył ją dreszcz pożądania. Patrick momentalnie obudził się i przyciągnął ją do siebie, jakby zdziwiony, że wciąż jest obok niego. Łapczywie pocałowała go w usta, gorączkowo pragnąc odegnać od siebie wszystkie wątpliwości. Przesunął dłonią po jej piersiach, a ona odpowiedziała mu namiętym pocałunkiem.

– Kate?

– Co?

– Możesz zaprzeczyć, jeśli chcesz, ale odniosłem wrażenie, że wielki Rasta mocno cię nakręcił.

– O ty!

Złapał ją za rękę i położył się na niej. Nie miała nic przeciwko temu.

Ani słowem nie wspominali o morderstwach albo o walkach bokserskich.

Zachowywali się tak, jakby w tych sprawach zawarli ciche porozumienie, że będą milczeć. A jednak, nawet w momencie orgazmu, obojgu im kołatały się w zakamarkach mózgów niezbyt przyjemne myśli.

W końcu i tak będą się musieli z tym zmierzyć. A wtedy różnice pomiędzy nimi najpewniej doprowadzą do konfliktu.

Przyniosą żal i rozgoryczenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Duane Portillo uważnie obserwował dom pod numerem 22620 przy Apopka Vineland Road. Siedział w samochodzie, jedząc kanapkę, i czekał na właściwy moment do rozpoczęcia działania. Opis, który otrzymał, doskonale pasował do mężczyzny, którego już zdążył sobie obejrzeć. Teraz jedynie chciał się upewnić, że mężczyzna jest Anglikiem. Ugryzł kęs kanapki, delektując się smakiem soczystego kurczaka i chrupiącej sałaty. Siedział tutaj już dobre dwie godziny. Przez cały czas dwa dobermany obserwowały go zza bramy świdrującymi oczkami.

Duane lubił psy. Gdyby miał dom taki jak ten, z pewnością trzymałby w nim dwa podobne psy. Doskonale wiedział, jaką ochronę stanowią, kiedy ktoś, na przykład, chce obrabować dom. Wiedział, bo przez pewien czas sam był złodziejem. Obecnie żyło mu się o wiele lepiej. Po prostu naciskał spust, uwalniając z broni palnej kilka kulek ołowiu, i otrzymywał za to mnóstwo pieniędzy. Bardzo mu to odpowiadało. Pan O'Grady powiedział, że może zabić tego faceta dopiero za trzydzieści sześć godzin, uzbroił się więc w cierpliwość.

Odgadywał, że pan O'Grady czeka na forszę za ten kontrakt; był bardzo sprytnym facetem i nigdy nie dałby się zrobić na szaro. Duane błogosławił dzień, w którym spotkał go na swojej drodze.

Pogłaskał walizeczkę z bronią, ułożoną na fotelu pasażera. Znajdował się w niej jego ulubiony ruger mini 14. Był skuteczny nawet do pięciuset jardów, a strzelało się z niego pociskami kalibru.223, które armia wykorzystywała w Wietnamie. Wystarczył jeden strzał, żeby rozsadzić mózg ofiary, a odgłos wystrzału nie był głośniejszy od szeptu.

Zjadł kanapkę do końca i włączył silnik. Przejechał kilkaset jardów, zawrócił i podjął obserwację domu pod innym kątem.

Wreszcie zobaczył obiekt swojego zainteresowania.

Podniósł do oczu lornetkę i zaczął obserwować mężczyznę. Nie wyglądał na osobnika, za którego głowę ktoś gotów był zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Duane wzruszył ramionami. W końcu nic go nie obchodziło, na kogo wygląda ten facet. Liczyło się to, że komuś w Anglii nadepnął na odcisk tak mocno, że ten ktoś postanowił oderwać mu łeb. To Duane'owi wystarczało.

George obudził się wcześniej i patrzył przez okno na ogród zalany słońcem. Nie mógł oderwać wzroku od basenu. Woda dosłownie w nim

łsniała, niebieska i chłodna. Och, jak chciałby zebrać się na odwagę i wskoczyć do tego basenu. Jednak nie umiał pływać.

Jego siostrzenica i siostrzeniec mieli przyjechać później. George nie mógł się doczekać, kiedy ich zobaczy. Szczególnie Natalie. Widział jej fotografie; była naprawdę ładną dziewczyną.

Edith poinformowała go, że nigdy nie wstaje przed dziesiątą cały poranek miał więc dla siebie. Jej gosposia, ładna Meksykanka, powiedziała mu, że może sobie pojechać na przejażdżkę; uznał to za dobry pomysł. Wziął kluczyki od samochodu i wyszedł z domu. Dwa dobermany warczały na niego, kiedy je mijał, dlatego pośpiesznie otworzył bramę i wyjechał na ulicę. Po chwili zamknął bramę, znów wsiadł do samochodu i rozpoczął zwiedzanie.

Nie miał zielonego pojęcia, że jeździ za nim wielki buick. Skręcił w kierunku centrum Orlando, radując się pięknym, czystym słońcem Florydy. Podwinął rękawy koszuli i jadąc z otwartym dachem, czuł, jak wiatr rozwiewa mu włosy. Był rozluźniony, odprężony. Po kilku minutach jazdy zobaczył tablicę, na którą czekał: Orange Blossom Trail.

Wczoraj wieczorem, po kolacji, Edith i Joss opowiedzieli mu o Orange Blossom Trail, twierdząc stanowczo, że urocza nazwa zupełnie nie przystaje do obrazu i funkcji tej dzielnicy. Znajdowała się w centrum Orlando, w miejscu, które turyści, tłumnie śpieszący do Disney Worldu, odwiedzali tylko przypadkowo. Była to wersja Soho w wydaniu Orlando. George nie mógł się doczekać, kiedy się tam wreszcie znajdzie.

Jechał już na dobre podekscytowany. Wkrótce zaczął dostrzegać podłe hotele, reklamujące filmy pornograficzne i łózka wodne. Wzdłuż ulicy wystawały kobiety o różnych sylwetkach i kolorach skóry, ubrane jedynie w skąpe bikini. Niektóre wskazywały na własne karawany, domy na kółkach. Korzystając z nich, klient mógł oszczędzić na rachunku za hotel. George chłonał to wszystko jak spragniony człowiek, który wkrótce ma umrzeć wskutek odwodnienia. Uśmiechnął się radośnie do kilku kobiet i cieszył się, kiedy odpowiadały mu równie wesołymi uśmiechami. Minął przybytek o nazwie Doll's House, który zachwalał tancerki topless i możliwość wypicia drinka w miłym towarzystwie.

Jechał tak długo, aż dotarł do samego centrum Orange Blossom Trail. Już dawno zniknęły wielkie hotele, usytuowane głównie przy International Drive, nie było ani śladu wielkich centrów handlowych. Zniknęli ludzie o sympatycznych twarzach, życzący mu jeden przez drugiego „miłego dnia”. Tutaj można było natknąć się jedynie na rudery i podpierających ich ściany obdartych osobników, w różnych stadiach upojenia alkoholowego albo letargu narkotycznego. Bose dzieci pustymi oczyma patrzyły na pojazd, którym przyjechał obcy człowiek. Otepiali mężczyźni odrywali się od ścian i jak lunatycy ruszali w kierunku

samochodu George'a, sprawiając, że mocniej przyciskał pedał gazu. Centrum

Orange Blossom Trail było ostatnim życiowym przystankiem dla biedaków, nałogowców i kryminalistów.

George patrzył na to wszystko z niesmakiem. Zawróciwszy, skierował się ku Doll's House i tam zaparkował. W ciągu kilkunastu sekund otrzymał niezliczone propozycje zarówno od kobiet, jak i od mężczyzn. Wreszcie zdołał wysiąść z samochodu, zamknął go na klucz i ruszył przed siebie. Jakaś młoda dziewczyna pomachała mu dłonią i podeszła do niego leniwym krokiem. George zatrzymał się, żeby nacieszyć oczy widokiem jej niepospolitej urody.

– Cześć.

– Cześć, moja droga.

– Ach, jesteś Anglikiem! Z Londynu?

George uśmiechnął się.

– Tam się urodziłem, ale w Londynie już nie mieszkam.

Dziewczyna wyglądała na rozczarowaną. Dla niej słowo „Londyn” znaczyło tyle co „Anglia”.

– Czego szukasz? Mogę ci w czymś pomóc?

George stał na brudnej, zakurzonej ulicy, w gorącym słońcu, i poczuł, jak ogarnia go dreszcz oczekiwania.

– Zabawiłbym się trochę.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ukazując krzywe zęby.

– A więc doskonale trafiłeś. Na imię mi Loretta.

– George.

– A więc, George, co byś powiedział na mały spacer? Mój domek na kółkach stoi kawałek stąd.

George ruszył razem z nią, słuchając po drodze jej paplaniny. Od czasu do czasu pozdrawiała różnych ludzi, których mijali. Z pewnością nie miała więcej niż osiemnaście lat. Jej południowy akcent fascynował George'a. W końcu dotarli do karawanu. Wspięli się do środka i Loretta zatrzasnęła za nimi drzwi. Popatrzyła na George'a i uśmiechnęła się do niego.

– Może się czegoś napijesz? Nie mam lodówki, ale piwo w puszcze zwykle bywa u mnie dość chłodne.

George skinął głową i dziewczyna pochyliła się, by wyciągnąć piwo z małej szafki pod zlewem. Patrzył, jak dół od jej bikini wpija się w skórę na pośladkach. Kiedy wyprostowała się, uśmiechnięta, z puszką piwa w dłoni, zorientowała się, że mężczyzna spogląda na nią dziwnym wzrokiem.

Anglicy są tacy zimni. Może to kwestia klimatu? Słyszała kiedyś, że w Anglii bezustannie pada deszcz.

– Dobrze się czujesz?

George uśmiechnął się słabym uśmiechem, w którym odsłonił zaledwie fragmenty swoich zębów.

– Doskonale.

Duane obserwował karawan, siedząc w buicku. Zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie, czekając, aż Anglik zrobi swoje.

Jack Fenton był emerytowanym kapralem. Mieszkał w Bychester Terrace już od wielu lat. Niezbyt chętnie zadawał się z sąsiadami, jednak doskonale wiedział, dokąd i kiedy wychodzą, a także kiedy i skąd wracają do domów. Jego żona, Daisy, mówiła, że jest wścibski, ale on sam uważał się po prostu za dobrego obserwatora.

Na przykład jednej z ostatniej nocy usłyszał, jak na ulicy hamuje samochód, bez wątpienia rolls-royce, i dwaj mężczyźni, którzy z niego wysiedli, kierują się prosto do drzwi George'a Markhama. To go poruszyło, musiał przyznać. Markhamowie żyli jak odludki i w ogóle się nimi nie interesował. Lecz tym razem chciał koniecznie się dowiedzieć, kim byli mężczyźni, którzy odwiedzili ich w środku nocy. W końcu przyjechali wspaniałym samochodem. Po długich rozmyślaniach uznał, że to byli po prostu jacyś bogaci krewni.

Inną sprawą był woda, która leciała z rynny. Zauważył to, kiedy wyszedł po gazetę i papierosy. Przed domem Markhamów utworzyła się już wielka kałuża. Zapukał do nich, ale nikt nie odpowiadał. Wrócił więc do siebie, wypił filiżankę mocnej kawy i poinformował żonę, że udaje się do sąsiadów na rekonesans. Wciąż używał zwrotów wojskowych ku wielkiemu jej niezadowoleniu. Daisy z całego serca nienawidziła wojska.

Nałożywszy kalosze, Jack poszedł do sąsiadów. Był zimny, ale słoneczny poranek, i Jack wdychał głęboko powietrze, czując, że tlen niemal płonie w jego gardle. Po chwili zaczął gwałtownie kaszleć i zaraz zapalił papierosa. Zaciągał się nim tak długo, aż płuca się uspokoiły. Z papierosem między zębami patrzył na rynnę, z której bezustannie lała się woda. Gotów był postawić każde pieniądze, że instalacja w domu Markhamów gdzieś się zapchała. Otworzył tylną bramę do ogrodu i wszedł na teren ich posesji, uważając, aby nie ochlapała go woda lecąca z rynny. Jeśli George i Elaine nic z tym nie zrobią, kompletnie zawilgotnieją im ściany.

Podszedł do tylnych drzwi i z niedowierzaniem pokręcił głową. W szybie, tuż przy klamce, widniała doskonale okrągła dziura.

Jack miał w swoich drzwiach szyby wzmocnione drutem. Markhamowie nie zastosowali takiego zabezpieczenia.

Nie był zaskoczony, kiedy drzwi otworzyły się po naciśnięciu klamki. Wszedł do kuchni, wciągając nosem powietrze jak pies myśliwski.

Było tu nieskazitelnie czysto.

Przeszedł do salonu i zastał podobną sytuację. Jakby od dawna nikt tu nie mieszkał.

Albo wydarzyło się tutaj coś dziwnego, albo Jack Fenton nie był godny swojego nazwiska. Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił na policję. Następnie usiadł w kuchni, cierpliwie czekając, aż przyjadą.

Policyjny radiowóz przybył dopiero po godzinie. Jack otworzył drzwi i w milczeniu zaczął pokazywać funkcjonariuszom wszystkie dowody. Dwaj młodzi posterunkowi uważnie obejrzelili posesję i przyznali mu rację. Nastąpiło tu co najmniej włamanie.

– Czy wie pan, gdzie znajdują się mieszkańcy tego domu?

Jack popatrzył na nich jak na imbecyli.

– Są w pracy, oczywiście.

– Wie pan, gdzie pracują?

– Oczywiście, że wiem. W końcu jestem ich sąsiadem, prawda?

Starszy z policjantów głęboko odetchnął.

– Może więc będzie pan tak uprzejmy i przekaze nam tę informację?

– Kobieta, Elaine, pracuje w supermarkecie w centrum miasta. Jak on się nazywa? Lowprice, czy tak jakoś. Jeśli chodzi o George'a, pracuje w Kortone Separates, w dzielnicy przemysłowej.

– Dziękujemy. Czy zanim zobaczył pan to rozbite okno, coś innego wzbudziło pańskie podejrzenia?

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale któreś nocy widziałem tu rolls-royce'a. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni i skierowali się właśnie do Markhamów.

– Jest pan pewien, że to był rolls-royce?

– Oczywiście, że jestem pewien. Skoro to powiedziałem, to jestem pewien. - Jego wojowniczy głos zaczynał działać policjantom na nerwy. - Panowie, powinniście natychmiast wezwać hydraulika, ta woda może wyrządzić mnóstwo szkód. Ja nie żartuję. Teraz idę do domu. Mieszkam obok, gdybyście mnie jeszcze potrzebowali.

Wyszedł z domu Markhamów, potrząsając ze smutkiem głową. Spodziewał się, że po jego telefonie przyjadą przynajmniej detektywi.

Posterunkowy Dendy połączył się ze stanowiskiem dyspozytorów. Oficer dyżurny natychmiast posłał kolejnego posterunkowego do Lowprice, żeby porozmawiał z panią Markham. Ten dowiedział się na miejscu, że Elaine Markham od tygodnia jest chora. Posterunkowy pojechał z kolei do Kortone Separates, gdzie poinformowano go, że pan Markham został ostatnio zwolniony i przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Zaskoczony, przekazał przez radio obie informacje do dyżurnego, który, jako bardzo podejrzliwy policjant, natychmiast zwierzył, że

dzieje się coś dziwnego. Rolls-royce pod domem Markhamów w środku nocy? Dziura w szybie i odtwarzacz wideo na środku pokoju? Nieobecność obojga mieszkańców domu? Jedno chore, a drugie na emeryturze? Nic tutaj się nie zgadzało.

Informację o tajemniczym zniknięciu Markhamów Caitlin otrzymał podczas przerwy na kawę i zapewne zbyłby ją śmiechem, gdyby nie jeden szczegół: rolls-royce. Ciemnoczerwony rolls-royce, samochód Kelly'ego.

Wziął od dyżurnego adres i osobiście pojechał na Bychester Road. Posterunkowi zdziwili się na jego widok.

– Czy ktoś z mieszkańców już wrócił?

– Nie, proszę pana. Wygląda też na to, że z domu niczego nie ukradziono.

– Chcę, żebyście dokładnie przeszukali całą posesję. Dom, szopę i garaż. Cholernie dokładnie, jasne?

– Czego mamy szukać, proszę pana?

Caitlin uśmiechnął się.

– Tego właśnie nie wiem, chłopcy.

Wyszedł do samochodu i w jego wnętrzu spokojnie palił cygaro, kiedy jeden z posterunkowych zastukał w szybę.

– Nie wiem, czy to cokolwiek znaczy, ale chyba powinien pan na to spojrzeć.

Caitlin ruszył za nim. Przeszedł w poprzek przez dom, wyszedł do ogrodu i po chwili znalazł się w szopie. Tam, na starym biurku, leżały magazyny George'a i bruliony z wyciętymi z gazet artykułami.

Caitlin pokiwał głową. Przeczucie go nie myliło. Tylko jedna rzecz mu nie pasowała: wszystko wskazywało na to, że Patrick Kelly pierwszy dowiedział się, kto jest Rozpruwaczem z Grantley.

Poszedł do samochodu i połączył się z komisariatem.

Kate przyjechała po dziesięciu minutach razem z całym zespołem. Zaczęli systematycznie rozkładać mieszkanie na czynniki pierwsze. Nikt tak naprawdę nie wiedział, czego należy szukać, zanim detektyw sierżant Willis i detektyw sierżant Spencer nie weszli na strych.

– Cholera, co tu tak śmierdzi?

Spencer włączył światło i w tej samej chwili Willis podniósł pokrywę ze zbiornika na wodę.

Spencer patrzył, jak Willis się cofa i zakrywa usta dłonią. Z kolei on podszedł do zbiornika i natychmiast zasłonił usta chusteczką.

Elaine leżała na boku, z głową ułożoną pod nieprawdopodobnym kątem. Jej oczy były mlecznobiałe i wytrzeszczone, a skóra na twarzy purpurowoszara i napuchnięta.

Kiedy Kate i Caitlin weszli na strych, Spencer zemdłał. Kate

natychmiast zawołała przez włącz:

– Niech ktoś tutaj przyjdzie i zabierze Spencera. I zawołajcie patologów.

Kate i Caitlin zaledwie zerknęły na Elaine i popatrzyły po sobie. Bez wątpienia znajdowali się w domu Rozpruwacza z Grantley. Do kompletu mieli zwłoki jego żony.

Pytanie, na które teraz należało odpowiedzieć, brzmiało: gdzie się znajduje George Markham?

W umyśle Caitlina rodziło się jeszcze jedno pytanie: gdzie, do diabła, znajduje się Kelly?

Zanotował w myślach, żeby z zeznań sąsiada wyłączyć historię z rolls-royce'em. Przynajmniej do czasu, kiedy dowie się więcej.

Popatrzył na Kate z pewnym smutkiem na twarzy. Instynktownie oparła się na jego ramieniu, zakładając, że jego smutek spowodowany jest odkryciem martwej kobiety.

Nie przyszło jej do głowy, że współczucie Caitlina przeznaczone było dla niej.

Nastrój w pokoju detektywów był co najmniej radosny. Wreszcie mieli Rozpruwacza z Grantley.

Kate pozwoliła Caitlinowi, by poczęstował ją szklaneczką whisky. Wszyscy poklepywali się po plecach, śmiali wesoło i żartowali.

Kiedy zadzwonił telefon, Kate podniosła słuchawkę. Usłyszała głos Fredericka Flowersa i, uciszywszy wszystkich w pokoju, przełączyła rozmowę na interkom, aby mogli go posłuchać.

– Dobra robota, bez dwóch zdań. Wiedziałem, że go w końcu złapiecie. Za kilka godzin przekażę informacje do prasy. Możecie wszyscy być z siebie dumni.

Kiedy rozłączył się, wszyscy zaczęli krzyczeć i aż podskakiwać z radości. Caitlin pocałował Kate w policzek, a ona mocno objęła go ramionami. To już był koniec. Teraz musieli jedynie znaleźć Rozpruwacza, ale skoro znali jego nazwisko, reszta była tylko formalnością.

W pewnej chwili za Kate stanęła Amanda Dawkins i klepnęła ją w ramię. Poważny wyraz twarzy dziewczyny sprawił, że również Kate natychmiast spoważniała.

– O co chodzi?

– Myślę, że dobrze będzie przerwać tę fiestę, Kate. George Markham poddał się badaniu krwi. Wynik był negatywny.

– Co takiego?

Okrzyk Kate przebił się przez hałas, który stopniowo zaczął cichnąć.

Wzięła od Amandy kartkę papieru i zaczęła ją uważnie czytać.

Badanie krwi George'a Markhama dało wynik negatywny. To nie on był Rozpruwaczem z Grantley.

Kate podała kartkę Caitlinowi, który długo się w nią wpatrywał.

– Jasna cholera - wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

– Nie wierzę w to. Po prostu nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Kate bardzo cicho. Zaciśnęła dłonie w pięści. - Myślałam, że już go mamy!

Kiedy wiadomość rozeszła się po całym pomieszczeniu, policjanci i policjantki zaczęli poszeptywać pomiędzy sobą. W ciągu kilku sekund atmosfera w pokoju zmieniła się z euforycznej w pełną rezygnacji.

Kate upiła łyk szkockiej; bardzo jej teraz potrzebowała.

– A więc skoro to nie on jest Rozpruwaczem z Grantley, jest jedynie facetem, który zamordował własną żonę i po prostu zwiął z miasta. Mamy do czynienia z zupełnie odrębną sprawą, tak?

– Rzeczywiście, na to wygląda - odrzekł Caitlin bez entuzjazmu. - Ale przecież te taśmy wideo, magazyny... Cholera, postawiłbym każde pieniądze, że to jest właśnie nasz człowiek.

Kate popatrzyła na niego, jak wychodzi z pokoju. Gdyby tak mocno nie rozstroiła jej wiadomość, że badanie krwi George'a Markhama dało wynik negatywny, zaczęłyby się zastanawiać, co go gryzie.

Tymczasem była zła na niego, że to jej pozostawił przykry obowiązek przekazania najnowszych wiadomości Flowersowi.

Dlaczego przyjęli założenie, że to koniec poszukiwań, nie potwierdziwszy wszystkich danych? Jednym łykiem dokończyła szkocką i podniosła słuchawkę. Cholerna robota.

W rozmowie z Caitlinem Patrick Kelly zapewnił go, że o George'u Markhamie nic nie wie. Zasugerował, że sąsiad zapewne był półprzytomny w środku nocy i coś mu się pomyliło. Wysłuchał informacji Caitlina o negatywnym wyniku badania krwi i ze stosownym oburzeniem skomentował pomyłkę policji. Następnie odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do siebie. Sprytny plan George'a Markhama zadziałał na jego korzyść.

Zarówno on, jak i Tony Jones wiedzieli, że wynik badania krwi George'a byłby pozytywny. Tymczasem Tony Jones leżał w szpitalu, a George Markham miał wkrótce spotkać się ze swoim Stwórcą. Jakkolwiek by na to spojrzeć, mijający dzień nie był dla Patricka najgorszy.

Dwie godziny później taksówką przyjechała do niego Kate.

– Cześć, Patrick. Miałam okropny dzień. Zapłać temu głupiemu taksówkarzowi, zanim go aresztuję.

– Jesteś pijana? - Kelly był autentycznie zaskoczony.

– Trochę. Gdybym mogła, spiłabym się do nieprzytomności.

Ujął ją za ramię i poprowadził po schodach na piętro.

– Dokąd idziemy, cholera? - W jej głosie zabrzmiał agresywny ton.

– Wstawię cię pod prysznic, dziewczynko. Na razie uważaj, żebyś się nie przewróciła.

W holu pojawił się Willy i Patrick krzyknął do niego z półpiętra:

– Ona jest nawalona. Zapłać taksówkarzowi, a potem zrób jej mocną kawę.

Willy pokiwał głową i przez chwilę patrzył, jak Patrick ni to prowadzi, ni to ciągnie Kate po schodach.

Kiedy znaleźli się w sypialni, pozwolił jej paść na łóżko i zaczął ją rozbierać. Nie protestowała. Jej agresja przeszła w pełne rezygnacji znużenie.

– Myśleliśmy, że już go mamy, Pat, ale nic z tego. To nie on. Złapaliśmy tylko kolejnego mordercę. Zabił własną żonę...

– Dobrze, już dobrze... Uspokój się.

Dźwignął ją nagą z łóżka i wszedł do łazienki. Odkręcił zimną wodę i postawił Kate pod prysznicem. Zimna woda sprawiła, że zaczęła gwałtownie łapać oddech i próbowała mu uciec. Patrick z trudem przytrzymał ją w miejscu. Woda zmoczyła mu całą koszulę.

– Poczekaj chwilę, Kate, zimna woda cię ocuci.

– Ty cholerny draniu! Wypuść mnie stąd! Tu jest zi... zimno!

Patrick patrzył, jak na jej ciele pojawia się gęsia skórka, i uśmiechnął się. Miała wspaniałe brodawki!

Wciąż trzymał ją pod zimną wodą, gdy mniej więcej po pięciu minutach usłyszał, jak Willy wchodzi do sypialni z kawą. Zakręciwszy wodę, otulił Kate dużym ręcznikiem kąpielowym.

– No, chodź. Teraz przejdziemy do sypialni.

– Flowers zmieszał mnie dzisiaj z błotem. Nie Kennetha Caitlina, o nie. Tylko mnie.

Patrick nalał kawę do filiżanki, ale kiedy przyniósł ją do łóżka, Kate już twardo spała.

Jej długie włosy rozrzucone były po poduszce. Krople wody lśniły na ciele jak małe perełki. Ręcznik kąpielowy ledwo starczał, żeby ją przykryć. Jeszcze nigdy nie wyglądała w oczach Patricka tak bezbronne i jednocześnie tak ponętne. Przez ułamek sekundy, gdy patrzył na nią, było mu przykro z powodu tego, co zrobił. Przecież wiedział, bez cienia wątpliwości, że to rzeczywiście George Markham jest człowiekiem, którego Kate od tak dawna poszukuje. Niestety, nie mógł jej tego powiedzieć.

Coś mógł jednak dla niej zrobić, przede wszystkim odpowiednio potraktować Fredericka Flowersa. Niech się nie zapomina.

Postanowienie, że zajmie się nim jutro z samego rana, trochę go uspokoiło.

Kate otworzyła oczy po trzech godzinach. Rozejrzała się dookoła, starając się zorientować w sytuacji. Po chwili ujrzała Patricka.

– Cześć, kochanie, czujesz się już lepiej?

Uniosła się na łokciu.

– Właściwie to czuję się bardzo źle.

– Poczekaj, załatwię świeżą kawę.

Podczas gdy telefonował do kuchni, Kate szczerzej owinęła się ręcznikiem. W pewnej chwili natrafiła na swoje odbicie w lustrze naprzeciwko łóżka. Zmarszczyła czoło. Wyglądała okropnie. Patrick usiadł obok niej na łóżku.

– Przykro mi z powodu tego Markhama.

– Och, nie przypominaj mi o tym, proszę.

Pocałował jej nagie ramię.

– Gdybyśmy chociaż sprawdzili te wyniki badań, zanim zaczęliśmy świętować, Pat. Czuję się jak idiotka, ale przecież gotowa byłam przysiąc na całą stertę Biblii, że to człowiek, którego szukamy. Te filmy pornograficzne z mordowaniem kobiet, te magazyny. Cholera, wszystko pasowało. Facet był nawet w więzieniu z wyrokiem za usiłowanie gwałtu i pobicie dziewczyny. Także o tym dowiedzieliśmy się zbyt późno.

– Zamordował żonę...

– A skąd ty to wiesz? - przerwała mu Kate. - Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują że ktoś inny zamordował ją i Markhama. Jego ciała mógł się przecież pozbyć gdziekolwiek. Dopóki nie znajdziemy George'a Markhama albo jego zwłok, niczego już nie możemy być pewni.

Do drzwi zapukał Willy i przyniósł świeżą kawę.

– Ktoś dzwoni do ciebie ze Stanów, Pat.

Patrick wstał z łóżka i wyszedł z pokoju.

– Czy mogę panią obsłużyć, madame? - zapytał Willy.

– Tak, bardzo proszę. Czuję się zbyt słaba, żeby samodzielnie nalać sobie kawę.

– Zapłaciłem za twoją taksówkę. Byłaś bardzo pijana, wiesz?

– Wiem.

Odebrała od niego filiżankę.

– Wyglądasz nieszczególnie.

Kate nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Tak też się czuję, Willy.

Wskazał na nią krótkim, grubym palcem.

– Niech to więc będzie dla ciebie nauuczka. Nigdy nie lubiłem patrzeć na pijane kobiety. To straszny widok.

– Zapamiętam to na przyszłość.

Willy wyszedł z pokoju i Kate zaczęła powoli sączyć kawę. Bóg jeden wie, jak czują się pozostali policjanci z zespołu, pewnie są jeszcze bardziej pijani niż ona. Po tym, jak minął początkowy szok, wszyscy rzucili się na alkohol. Ostatnią sytuacją, jaką zapamiętała, był widok Caitlina zsuwającego się z krzesła na podłogę. Wszyscy detektywi, jak jeden mąż, kompletnie się zalali.

Na Boga, a dlaczego nie? Po informacji, która niemal zwała ich z nóg, musieli coś ze sobą zrobić.

Zamknęła oczy. Znow zaczęła ogarniać ją frustracja. Przez cały dzień prześladował ją obraz drobnego ciała Jamesa Redcara.

Po chwili do sypialni wszedł Patrick. Usiadł obok Kate, zsunął ręcznik z jej piersi i zaczął je pieścić.

– Myślę, że moglibyśmy oboje chociaż trochę poprawić sobie humory. Znam pewną grę, w którą mogłabyś ze mną zagrać. Zapomniałabyś choć na parę chwil o wszystkich kłopotach.

– Co to za gra?

– Nazywa się „ciężarówka i garaże”. Grałaś w nią kiedykolwiek?

Kate popatrzyła na niego, uniósłszy jedną brew.

– Nie mogę odpowiedzieć twierdząco. Nie, nigdy w coś takiego nie grałam.

– A zatem widzisz to? - Położył jej dłoń na swoim sterczącym członku. - To jest właśnie moja ciężarówka. Koniecznie muszę znaleźć dla niej jakieś miejsce, żeby zaparkować. Co ty na to?

Kate głośno się roześmiała.

– Och, Patrick, tak bardzo cię dzisiaj potrzebuję!

Popatrzył w jej brązowe oczy. Na jej brwiach pojawiły się łzy i poczuł z tego powodu ogromny smutek. Kate cierpiała. Mógł temu zapobiec, wypowiadając zaledwie kilka słów. Rozwikłanie sprawy, nad którą pracowała, było dla niej wszystkim, lecz on nie mógł jej powiedzieć tego, co powinna była od niego usłyszeć.

Milcząc, zaczął ją całować, pogrążając się w słodkim zapachu jej ciała, które poddawało się jego pieszczotom. Jej palce wędrowały po jego plecach, a potem wsunęły się pod spodnie, by pieścić jego członek i jądra.

Wkrótce poruszała się pod Patrickiem, doskonale z nim współpracując. Patrzył w jej twarz, gdy napierała na niego biodrami; kochał ją za to. Wiedział, że będzie ją kochał do śmierci.

Niedługo będzie po wszystkim, a Kate nigdy o niczym się nie dowie.

Modlił się, aby nie stało się inaczej.

Amanda Dawkins jako jedyna pozostała w miarę trzeźwa. Późnym wieczorem siedziała samotnie w pokoju detektywów, kompletując wszystkie informacje o George'u Markhamie, jakimi dysponowała. Popatrzyła na jego fotografię znajdującą się w aktach. Przed osiemnastu laty napadł w pociągu na młodą dziewczynę. Był to gwałtowny i okrutny atak; po krótkim procesie Markham został wysłany do więzienia w Broadmoor. Spędził tam trzy lata, kilkakrotnie wychodząc na przepustki. Jego żona urodziła martwego syna, co zdecydowało o jego przedterminowym zwolnieniu.

Amanda potrząsnęła głową, czytając zeznania George'a: „Ta dziewczyna się o to prosiła, uśmiechała się do mnie, prowokowała mnie”.

Ile razy słyszała już coś takiego?

Znów popatrzyła na fotografię. Ze zdjęcia spoglądał na nią przeciętny, szary człowiek. Miał pozbawione życia, szare oczy i podbródek tak mały, jakby go w ogóle nie było. Ani trochę nie wyglądał na perwersyjnego gwałciciela. Robił wrażenie dobrego, łagodnego wujaszka.

Do stojącego na biurku tekturowego kubka naląła sobie whisky. A już się zdawało, że dopadli Rozpruwacza.

Powędrowała wzrokiem ku fotografiom na ścianie. Ostatnio ich przybyło. Najnowszą było zdjęcie Cynthii Redcar i jej synka. Widok zmasakrowanej twarzyczki Jamesa Redcara na dobre utkwiał w jej pamięci. Do diabła, co skłoniło napastnika do takiego potraktowania dziecka?

Ponownie zaczęła przeglądać dokumenty. O teczkę Markhama wybuchła już dzisiaj potężna awantura. Caitlin i Kate chcieli wiedzieć, dlaczego wcześniej nie zwrócono uwagi na George'a Markhama. Kiedy ujawniono przyczynę, Amanda bardzo współczuła Willisowi. Niedawno zupełnie przypadkowo stracił na podłogę stertę teczek z danymi przestępców seksualnych i, zbierając je, wszystkie pomieszał. Później wrzucił je do jakiejś szuflady i po prostu o nich zapomniał. Dopiero kiedy zaczęli szukać informacji o Markhamie w centralnym komputerze, okazało się, że wszystkie dane na jego temat zostały już przysłane do Grantley razem z teczkami wielu innych przestępców. Przekleństwa Caitlina słychać było w całym budynku.

Amanda upiła łyk szkockiej i znów popatrzyła na zeznanie Markhama. Jego pismo sprzed kilkunastu lat było ledwie czytelne, litery szerokie, rozwlekłe, okraszone mnóstwem zawijasów. Nagle Amanda wyprostowała się, zszokowana niespodziewaną myślą. Z sercem bijącym jak szalone zaczęła przekładać leżące przed nią papiery.

Po chwili znalazła to, czego szukała: kartę informacyjną z badania krwi. George Markham złożył na niej prosty podpis, napisał swoje imię i

nazwisko całkiem zwyczajnie, niemal dziecięcym charakterem pisma.

Drżącymi rękami podniosła przed oczy kartki z dwoma różnymi podpisami Markhama. Następnie wypięła do dna whisky, która jeszcze została w kubku, i chwyciła za słuchawkę. Telefon odebrała matka Kate. Podawszy jej swój domowy numer, Amanda poprosiła, żeby Kate zatelefonowała do niej natychmiast, jak wróci.

Kate wróciła do siebie o wpół do drugiej, po dniu, którego koszmar osłodziły jej jedynie chwile spędzone w łóżku z Patrickiem. Poszła od razu po schodach do swojej sypialni. Notatki na stoliku przy telefonie nie zauważyła.

Kiedy budzik zadzwonił o szóstej nad ranem, natychmiast zerwała się z łóżka. W ustach czuła taką suchość, jakby ktoś włożył jej do nich kłębek wełny. Narzuciła na siebie szlafrok i poszła do łazienki. Potrzebny jej był gorący prysznic i przynajmniej kubek mocnej kawy, żeby rozpocząć kolejny dzień. Po wczorajszej klęsce doskonale zdawała sobie sprawę, że dzisiaj nie będzie lepiej.

Stojąc pod prysznicem, bezmyślnie mydliła całe ciało. Chociaż Patrick trochę poprawił jej humor. Kilkakrotnie powtórzył, że ją kocha; bardzo tego potrzebowała. Był nadzwyczaj wyrozumiały. Odnosiła wrażenie, że doskonale wie, przez co ona teraz przechodzi, jakby potrafił przenikać jej myśli. Miała szczęście, że go spotkała.

Owinęła się ręcznikiem kąpielowym i, nasunawszy na nogi domowe pantofle, zaczęła schodzić po schodach, żeby w kuchni zaparzyć kawę. Była godzina szósta piętnaście.

Przechodząc obok telefonu, ujrzała na stoliku kartkę, którą zostawiła dla niej Evelyn. Przeczytała ją, zapaliwszy w holu światło.

Po chwili wybrała numer zapisany na kartce.

– Halo, Amanda?

– Och, Kate, odchodziłam od zmysłów, tak się martwiłam. Posłuchaj, mimo wszystko to George Markham jest mężczyzną, którego szukamy...

– Co? - zawołała Kate.

– Przejrzałam wszystkie jego dokumenty. Podpisy Markhama na różnych kartach są zupełnie do siebie niepodobne. Moim zdaniem podstawił kogoś, żeby za niego poszedł na badanie krwi.

Kiedy znaczenie słów Amandy dotarło do Kate, poczuła ogromny przypływ energii.

– Komu jeszcze o tym powiedziałaś?

– Nikomu.

– Och, Amando, jesteś nadzwyczajna! Spotkajmy się na komisariacie za dwadzieścia minut. Zdążysz?

– Jasne.

– I jeszcze... Amando, tysiąckrotnie ci dziękuję.

– Do usług. Och, i jeszcze jedno. Znów kazałam szukać jego samochodu. Powiedziałam, żeby koncentrowano się na całym hrabstwie Kent. Bez wątpienia tam właśnie ostatnio przebywał.

– Wspaniale, Amando. Niedługo awansujesz na detektywa inspektora, ja ci to mówię.

Obie kobiety roześmiały się i odłożyły słuchawki. Kate popatrzyła na telefon i zachichotała. Wiedziała, że to właśnie Markham. Czuła to, szósty zmysł jej to podpowiadał. Facet był przebiegły, chytry i podstępny. Musiał mieć dobrego przyjaciela, który poszedł za niego na badanie krwi. I to jakie badanie! Mające go wykluczyć z grona podejrzanych o popełnienie kilku morderstw. Poza tym człowiekowi, który potrafił coś takiego przeprowadzić, nie można było odmówić wyobraźni i inteligencji.

W pośpiechu ubrała się, narzuciła na ramiona płaszcz, złapała w biegu torebkę. Kawa, zapomniana, pozostała na stoliku przy telefonie.

Nieważne, dokąd uciekł, i tak znajdzie George'a Markhama. Znajdzie i zamknie w więzieniu.

Po wcześniejszym przygnębieniu nie pozostał już nawet ślad. Kate czuła się po prostu wspaniale.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

I Ratchette, i Caitlin wpatrywali się w nią ze zniecierpliwieniem.

– Mam dowód, że to George Markham jest naszym Rozpruwaczem.

Obserwowała, jak obaj szeroko otwierają oczy ze zdumienia.

– Wczoraj wieczorem Amanda Dawkins dokładnie przejrzała dotyczące jego materiały. Wszystko wskazuje na to, że jego podpisy sprzed osiemnastu lat, po aresztowaniu, i z oświadczenia, które podpisał po badaniu krwi, bardzo się różnią. To nie są podpisy tego samego człowieka. Przyjmuję więc, że na badanie po prostu kogoś nam podstawił. A więc George Markham to nasz morderca.

Twarz Caitlina rozjaśniła się.

– Wiedziałem, że to właśnie on. Cholera, miałem przecucie.

– Musimy podziękować zwłaszcza Amandzie Dawkins. Dostrzegła to, co wszyscy mieliśmy przed nosami. Uważam, że zasługuje na najwyższe uznanie.

Ratchette uśmiechnął się łagodnie.

– Kolejna kobieta ma u mnie awansować, Kate? Ale cóż, wiadomość jest doskonała. Natychmiast przekażę ją Flowersowi.

– Tylko niech pan nie zapomni mu powiedzieć, że to zasługa Dawkins. Uważam, że wykonała nadzwyczajną, wyjątkową robotę.

– Nie zapomnę. No, ale co dalej?

– Amanda zarządziła wznowienie poszukiwań samochodu Markhama. Tym razem poszukiwania zostaną skoncentrowane na obszarze całego Kentu. Z pewnością przebywał na jego terenie. Możemy zgadywać, że żona w jakiś sposób doszła do tego, iż to on jest Rozpruwaczem z Grantley, więc ją zamordował, a teraz ukrywa się gdzieś w okolicy. Elaine Markham nie żyje od kilku dni, facet ma więc nad nami przewagę. Na Cynthię Redcar natknął się zapewne przypadkiem, podczas ucieczki. Bóg jeden wie, gdzie zaatakuje tym razem.

– Szukaj go, Kate, masz zielone światło. I powiedz Dawkins, że wykonała doskonałą robotę. Później spotkam się z nią osobiście. Teraz poinformuj o wszystkim współpracowników. Nie zaszkodzi, jak ich podniesiesz na duchu. Wczorajszy dzień był dla nich koszmarem.

Caitlin wyszedł z gabinetu razem z Kate i zaraz za progiem objął ją ramieniem.

– Ech, wy, kobiety, lubicie się nawzajem popierać. Gdyby Ratchette

tak ładnie mówił o mnie, zaraz padłoby podejrzenie, że was dyskryminujemy.

Kate jedynie się roześmiała.

Kiedy weszli do pokoju detektywów, Caitlin poprosił o ciszę.

– Mam dla was wiadomość, która, jak sądzę, zmyje z waszych twarzy wszelkie grymasy.

Wszyscy utkwili w nim wzrok.

– Dzięki pewnej młodej damie - wskazał na Amandę Dawkins, która aż poczerwieniała z zakłopotania - mamy bardzo mocne podstawy, by twierdzić, że to George Markham jest jednak człowiekiem, którego wszyscy od dawna poszukujemy.

Przez pokój przebiegł szmer zaskoczenia.

– Wygląda na to, że Rozpruwacz z Grantley namówił kogoś, aby za niego i z jego dokumentami stawiał się na badanie krwi. Na różnych dokumentach znajdują się całkowicie nie pasujące do siebie podpisy Markhama. Musimy więc dojść do tego, kto zjawił się na badaniu zamiast Markhama, no i szukać samego Markhama. Myślę, że facet, którego nam podstawił, będzie mógł nas do niego doprowadzić.

Zadzwoił telefon. Amanda Dawkins podniosła słuchawkę, zadowolona, że ma w końcu coś do roboty. Wszyscy się do niej uśmiechali.

– Dzisiaj skoncentrujemy się na ludziach, którzy znali Markhamów: kolegach i koleżankach z pracy, znajomych, krewnych i tak dalej. Do roboty!

W pokoju zapanował gorączkowy rozgardiasz. Po ogromnym rozczarowaniu, które tu zapanowało poprzedniego wieczoru, nie było już śladu. Kate dostrzegła w swoich ludziach błyskawiczną przemianę i poczuła w żyłach adrenalinę.

Wkrótce znajdzie George'a Markhama. Była tego pewna.

Patrick zjadł obfite śniadanie i przystąpił do pracy. Zdołał wreszcie stłumić w sobie przygnębiające uczucie, że krzywdzi Kate. Przekonał samego siebie, że nie zaboli jej to, o czym nie będzie wiedziała. Kiedy doprowadzi do śmierci George'a Markhama, wszystko wróci do normy. W pełni spłaci dług wobec córki. Życie znowu nabierze sensu.

Uśmiechnął się do mężczyzn zebranych w jego gabinecie, a oni odpowiedzieli mu równie życzliwymi uśmiechami, zastanawiając się jednak, co jest przyczyną jego radości.

– Panowie - oznajmił. - Niniejszym oficjalnie ogłaszam zakończenie pościgu za mordercą mojej córki. Osoby, które udzieliły mi użytecznych informacji, w ciągu kilku dni otrzymają pełne wynagrodzenie.

Widział, jak rzedną im miny.

– A teraz przystąpmy do interesów. Larry, pojedziesz jeszcze dzisiaj do Colchester odzyskać jaguara. Używa go pewien Pakistańczyk, który był łaskaw zapłacić za niego zaledwie jedną ratę. Firma kredytowa przypuszcza, że mógł go nawet sprzedać. Na miejscu rozeznasz sytuację. Zajmiemy się także dużą hurtownią w Surrey. Trzeba stamtąd zabrać trochę sprzętu, przede wszystkim kolorowe telewizory i sprzęt wideo. Wiadomo mi, że mnóstwo towaru znika z tej hurtowni w zagadkowy sposób. Powiem to tylko jeden raz, więc słuchajcie mnie uważnie. Zabieramy wyłącznie telewizory i sprzęt wideo. A jeśli się dowiem, że ktoś z was sprzedaje cokolwiek na boku, będą kłopoty. Jasne, Jimmy?

Jimmy wbił wzrok w podłogę. Pat potrafił każdego przejrzeć na wylot. Zgromadzeni w gabinecie mężczyźni roześmiali się.

Patrick powoli zapalił papierosa, czekając, aż jego polecenia utrwala się w głowach zgromadzonych mężczyzn.

– To już wszystko, moi drodzy. Możecie odejść.

Mężczyźni wstali z miejsc i ruszyli w kierunku drzwi.

– Mógłbyś chwilę zostać, Ronnie?

Ronald Baker wrócił na miejsce i razem z Patrickiem czekał, aż pozostali wyjdą z gabinetu.

– Mam dla ciebie specjalną robotę.

– Jakiego rodzaju? - zapytał Ronnie, bez żadnej emocji w głosie.

– To bardzo lukratywna robota. Wchodzisz?

Ronnie pokiwał głową.

– W Hiszpanii przebywa pewien recydywista, który winien jest mojemu przyjacielowi poważną sumkę. Mój przyjaciel chciałby jeszcze w tym tygodniu odzyskać dług.

Ronnie znów skinął głową.

– Ile wyniesie moja dola?

– Dziesięć procent, jak zwykle w takich sprawach. Kwota do odzyskania to osiemdziesiąt tysięcy funtów.

Ronnie jeszcze raz pokiwał głową.

– Co to za recydywista?

Patrick głęboko odetchnął.

– William Carlton.

Na twarzy Ronniego nie drgnął ani jeden mięsień.

– Powiedz twojemu przyjacielowi, że chcę dwadzieścia procent. Musi mi też dostarczyć broń. Forse wywozę z Hiszpanii łodzią.

– To się da załatwić. Jutro rano musisz być gotowy do drogi.

– Jasne.

Ronnie wstał.

– Jeszcze jedno, Pat. Jimmy przez kilka najbliższych miesięcy nie będzie zdolny do pracy. Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć, żeby go w porę kimś zastąpić.

Patrick pokiwał głową.

– W czym tkwi problem?

– W ostatnią sobotę pobił moją siostrę. Myśli, że nikt o tym nie wie, ona jednak zatelefonowała do matki. Dłużej już tego nie będę znosił, Pat. Ona ma zaledwie dwadzieścia dwa lata i jest w piątym miesiącu ciąży. A ten żul ani myśli się z nią ożenić.

– Niech twoja siostra go po prostu zostawi.

– Nie robi tego. Patrzy w niego jak w obrazek. Jest jeszcze dzieckiem, Pat. Nie wie, co jest dla niej dobre, a co złe.

Patrick wstał i uściśnął dłoń Ronniego.

– Dzięki, że mi powiedziałeś. Przykro mi, że Clare jest tak ciężko, to dobra dziewczyna.

– Jasne, Pat. Cieszę się, że odnalazłeś kanał, który zabił twoją Mandy. Cholera, co za typy chodzą dzisiaj po ziemi. Nikt nie może czuć się bezpieczny.

Patrick odprowadził go do drzwi, po czym usiadł za biurkiem. Cóż, nad gnojem, który zamordował Mandy, zawisł już miecz kata. Jego dni są policzone.

Wziął z półki jakąś książkę i zaczął cicho gwizdać przez zęby.

Hector Henderson poważnie się niepokoił. Naprawdę bardzo się niepokoił. Już od tygodnia nie miał żadnej wiadomości od Elaine. Poszedł nawet do mieszkania Margaret Forrester; powiedziała mu, że Elaine nie przychodzi do pracy, ponieważ jest chora. Jakaś poważna grypa. Lecz skoro leżała w łóżku, w domu, miała całe przedpołudnia, kiedy George był w pracy, żeby do niego zatelefonować. Tymczasem milczała. W ogóle nie próbowała się z nim skontaktować.

Nerwowo gryzł kciuk, a jego tłustą twarz pokrywała warstwa potu. A jeśli Elaine nie chce się już z nim spotykać? Zaczął rozważać tę możliwość, zaciskając usta. Od wspólnej imprezy noworocznej bardzo ją polubił. Nawet bardziej niż polubił. Gotów był przyznać, że się w niej zakochał.

Tak, nie było sensu temu przeczyć, cholernie się w niej zakochał.

Była taka miła, ładnie się śmiała i była bardzo inteligentna. Pewnie doskonale gotowała. Nie martwił się tym, że była trochę za gruba. Gdyby tylko nie była żonatego całego George'a...

Westchnął. Cóż, niewykluczone, że już się nie spotkają. Czy mógł ją bowiem kiedykolwiek przekonać, żeby rzuciła męża? Rozejrzył się po

swojej ciasnej kawalerce. Przecież nie mogliby tutaj razem zamieszkać. Zapewne gdyby Elaine sprzedała dom, zdołaliby kupić całkiem ładne mieszkanie. Pokiwał głową w zamyśleniu. Tak by było najlepiej. Także jej mąż miałby w tej sytuacji możliwość rozpoczęcia nowego życia. Podczas ostatniego spotkania z Hectorem Elaine była bardziej niż chętna, żeby mu się oddać. Skorzystał, naturalnie. Bez wątpienia polubiła jego jednookiego węża. Była to kolejna z wielu zalet Elaine.

Usiadł wygodnie w obszernym fotelu. Właściwie to nie powinien się zbyt martwić. Elaine jasno i wyraźnie mu powiedziała, że go kocha. Pewnie leży teraz w łóżku, chora, półżywa, otumaniona wysoką gorączką i nie ma nawet siły, żeby podejść do telefonu. Wyobrazil ją sobie w tym stanie. To prawdopodobnie z tego powodu się z nim nie skontaktowała. Zganił się za wcześniejsze niegodziwe przypuszczenia. Elaine była jego diamentem, dwudziestoczterokaratowym diamentem. Już wkrótce znowu się spotkają. Dzięki niej będzie mógł się wyprowadzić z tej nory.

Koniecznle. Jego dalsze życie zależało od niej.

Zaskoczyło go pukanie do drzwi. Przez kilka minut siedział bez ruchu. Przecież ta stara suka, która przychodziła po pieniądze za czynsz, zawsze wrzeszczała przez drzwi. Tymczasem z korytarza nie docierał żaden odgłos. Strach Hectora powoli ustępował. A może to była Elaine?

Kiedy pukanie rozległo się po raz kolejny, wstał z fotela, omiatając wzrokiem bałagan panujący w pokoju. Przy każdym kroku można się było przewrócić; powinien był trochę tu posprzątać. Zerknął w pęknięte lustro na kominku. Szybko poprawił potargane włosy i po chwili, z szerokim uśmiechem na wielkiej okrągłej twarzy, otworzył drzwi.

– Pan Henderson?

Hector nieufnie pokiwał głową, zastanawiając się, czy przypadkiem nie chodzi o jakiś dług, o którym zapomniał.

– Jestem detektyw inspektor Burrows, a to mój współpracownik, główny inspektor Caitlin. Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów.

Hector wpatrywał się w ich legitymacje.

– O czym?

– O Elaine Markham. Margaret Forrester zasugerowała nam, że pan i Elaine byliście bliskimi przyjaciółmi.

Hector stanął z boku, żeby wpuścić ich do środka. Caitlin zmarszczył nos, wyczuwszy w mieszkaniu kwaśny odór i smród.

– Obawiam się, że przynosimy złe wiadomości, panie Henderson. Elaine Markham została zamordowana.

Kate obserwowała, jak na jego twarzy pojawia się szok i niedowierzanie. W tej chwili bardzo mu współczuła.

– Nie... Nie, to nie może być prawda. Tylko nie Elaine.

Mówił szeptem, w którym jednak wyraźnie dało się słyszeć ogromną rozpacz. Oto w jednej chwili prysnęły wszystkie jego marzenia. Ładne mieszkanie, żona, towarzystwo na stare lata... Hector nie miał najmniejszych wątpliwości, że Elaine była jego ostatnią życiową szansą.

– Mówicie, że ją zamordowano?

Caitlin pokiwał głową.

– Ale to nie ja ją zabiłem. Nie widziałem jej od tygodnia.

Hector bronił teraz własnej skóry. Może oni myślą, że to on ją zamordował?

– Wiemy już, kto jest mordercą, panie Henderson. Nie podejrzewamy pana. Chcemy tylko, żeby nam pan powiedział wszystko, co pan wie o Elaine Markham. Także to, co - być może - opowiedziała panu o swoim mężu.

Hector powoli pokiwał głową. Rozejrzał się po brudnym pokoju i ciężko westchnął. Jego sen był zbyt piękny, żeby mógł się spełnić. Ubranie wyjściowe, które wkładał na spotkania z Elaine, wisiało na kilku gwoździach wbitych w ścianę, jakby drwiąc sobie z niego. Zachciało mu się płakać.

Elaine z pewnością by do niego zatelefonowała, gdyby żyła.

W karawanie było gorąco. Loretta leżała na łóżku, obserwując Anglika. Kiedy uniósł rękę, żeby pogłaskać ją po włosach, wzdrygnęła się.

– Nie martw się, moja droga. Nie zrobię ci krzywdy.

Uśmiechnął się do niej, ukazując drobne zęby.

Loretta z trudem przełknęła ślinę. Wsunęła dłoń między nogi, żeby trochę złagodzić piekący ból.

– Pozwól, że dopiję piwo, a potem przystąpimy do interesów.

Loretta zamknęła oczy. Bolało ją całe ciało.

Anglik był zimny, jak przypuszczała. Zimny i bezwzględny. Jeszcze nigdy w życiu nie musiała robić rzeczy, których od niej zażądał. Jednak podporządkowała mu się bez specjalnego oporu. Był przerażający w swoim zapamiętaniu. Seks brał bardzo na poważnie. Położył się na niej i wchodząc w nią, jednocześnie bił ją pięściami, chcąc jej zadać jak najwięcej bólu.

Na swoje szczęście, Loretta leżała pasywnie, pozwalając mu robić wszystko, co chciał. Instynkt podpowiadał jej, że z tym mężczyzną nie warto walczyć. Nawet gdy brutalnie wsunął w nią palce, jedynie jęknęła, tłumiąc w sobie krzyk bólu.

Nie chciała denerwować tego faceta.

George popatrzył na jej młodą, świeżą twarz. Z jej opuchniętych ust

spływała strużka krwi.

Była naprawdę ładną dziewczyną.

– Odwróć się na brzuch, moja droga.

Loretta wykonała polecenie i kiedy ją dosiadł, mocno przygryzła dolną wargę. Z jej zamkniętych oczu popłynęły grube, ciężkie łzy. Poczawszy penis George'a w swoim odbycie, zaczęła go błagać, żeby przestał. Ogromny ból sprawił jednak, że jej słowa wkrótce zamieniły się w niezrozumiałe jęki.

George zmierzył wzrokiem jej długie, opalone ciało i uśmiechnął się.

Na zewnątrz, pod jaskrawym słońcem Florydy, Duane szeroko ziewnął i zmienił pozycję na fotelu w samochodzie.

Uznał, że facet chce za swoje pieniądze otrzymać jak najwięcej od dziewczyny, z którą zamknął się w karawanie.

Kate wróciła na komisariat o wpół do trzeciej. Zaledwie zdążyła nalać sobie kawę do kubka, kiedy przed jej biurkiem stanęła Amanda.

– Znaleźliśmy jego samochód. Na parkingu przy porcie lotniczym Gatwick. Caitlin już tam pojechał. Będzie na nas czekał.

Kate wzięła jedynie torebkę i wybiegła z pokoju. Dotarła z Amandą na Gatwick w rekordowym czasie, prawie nie zamieniając z nią słowa.

Obie gnębiło to samo przypuszczenie: George Markham wyjechał z kraju. A może celowo zostawił samochód właśnie przy lotnisku? Obie doskonale już wiedziały, że mają do czynienia z bardzo przebiegłym człowiekiem.

Od pewnego czasu kontrolowano wszystkie odloty i wszystkie przeprawy promowe. Markham jeszcze nie wiedział, że znaleziono zwłoki jego żony. Nie miał pojęcia, że jest poszukiwany. Na szczęście udało się ukryć przed prasą jego personalia.

Samochód George'a został otworzony i przeszukany jeszcze na parkingu. Na tylnym siedzeniu policja znalazła płaszcz Cynthii Redcar. W jego kieszeni tkwiła mała plastikowa zabawka. Kate popatrzyła na nią z ogromnym smutkiem.

Później samochód odholowano do policyjnego warsztatu. Kate i Caitlin obserwowali, jak technicy obsypują go proszkiem w poszukiwaniu odcisków palców. W pewnej chwili przywołano ich do telefonu.

Przed trzema dniami George Markham wyleciał samolotem czarterowym do Orlando.

Napad na Cynthię Redcar był jego ostatnim małym szaleństwem, zanim wsiadł do samolotu. Bilet powrotny miał wykupiony na szesnastego marca. Biuro podróży, które zorganizowało czarter,

zapewniło mu możliwość wynajęcia samochodu w Stanach. W tej chwili mógł więc być wszędzie.

Należało zatem przesłuchać jego brata. Może on rzuci jakieś światło na tę podróż? W domu George'a Markhama nie było żadnego notatnika z adresami. Adres Josepha Markhama znaleziono na jakiejś starej kopercie.

Jednak najpierw policjanci pojechali do Kortone Separates.

George wrócił do Edith zadowolony z siebie i odprężony. Serdecznie wyciskał siostrzeńca, Jossa juniora.

– Zaraz zobaczysz także Natalie, George. Jest na górze. Nie może się doczekać, kiedy cię pozna.

George usłyszał tupot jej stóp na schodach i odwrócił się w tym kierunku z szerokim uśmiechem. Kiedy weszła do salonu, uśmiech zastygł na jego twarzy.

Natalie była kropla w kroplę podobna do jego matki. Wcale nie przypominała dziewczyny z fotografii, którą oglądał wczoraj. Jej włosy był tak samo rude jak włosy matki, jej zielononiebieskie oczy niemal identyczne. George poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Podświadomie spodziewał się, że dziewczyna zaraz powie coś zgryźliwego, tak jak Nancy. Ale nie, ona puściła się biegiem ku niemu i rzuciła mu się na szyję. Poczul zapach drogich perfum. Machinalnie objął ramionami jej wąską kibić. Czul lekką piżmową woń jej potu. Nie była nieprzyjemna, uznał, po prostu kobieca.

– Och, wujku, tyle już o tobie słyszałam. Odnoszę wrażenie, że dobrze cię znam.

Mówiła typowo po amerykańsku, podobnie jak Joss, i wspomnienie Nancy natychmiast opuściło George'a. Uchwycił spojrzenie Edith; z pewnością zgadła, o czym myślał przed chwilą.

Do salonu wkroczył Joss senior, trzymając w ręce karafkę z martini.

– Kto się napije? - zagrzmiał.

Wszyscy wyszli do słonecznego ogrodu i tam George z przyjemnością słuchał wesołych rozmów całej rodziny. Joss junior był bardzo cichym i powściągliwym młodzieńcem. Właściwie przypominał George'owi jego samego, kiedy był młody. Od czasu do czasu uśmiechał się do niego, a młodzieniec w takich chwilach lekko się czerwienił i odpowiadał słabym uśmiechem.

Edith myślała, że serce wyskoczy jej z piersi ze szczęścia.

Oto miała przy sobie wszystkie osoby, które były dla niej ważne w życiu. Jeszcze dwa dni temu była przekonana, że już nigdy czegoś takiego nie doświadczy.

– Gdzie dzisiaj byłeś, George?

Zbladł.

– Och, jeździłem sobie po okolicy, właściwie bez żadnego celu.

– Wiem, jutro zabierzemy wujka do MGM! - pisnęła Natalie. - Wujku George, na pewno spodobał ci się te studia.

George rozpromienił się. I tak już polubił Florydę. Z każdą chwilą czuł się tu coraz lepiej.

Godzinę później jednym uchem słuchał Jossa, Jossa juniora i Edith, całą uwagę skupiając na Natalie, która pływała w basenie.

Znów wyglądała jak Nancy Markham, począwszy od wielkich piersi, po wystające kości biodrowe. Przyglądając się jej uważnie, George pokiwał głową. Zapewne tak jak jego matka uwielbiała seks. Widoczne to było w jej każdym ruchu. Przez twarz George'a przebiegł grymas odrazy. Patrzył, jak dziewczyna wychodzi z basenu i energicznie wyciera się w ręcznik, wprawiając piersi w kołysanie pod skąpym kostiumem.

Wszystkie są takie same. Co do jednej. George gwałtownie wstał i poszedł do swojego pokoju.

Edith, Joss i dzieci popatrzyli po sobie z zaskoczeniem.

– Myślę, że nie doszedł jeszcze do siebie po długim locie - powiedziała Edith. Sama jednak nie wierzyła w swoje słowa.

Tymczasem George zamknął się na klucz w swojej łazience. Usiadł na sedesie i tkwił na nim w milczeniu, nie potrafiąc odegnać od siebie wizji emanującego erotyzmem ciała siostrzenicy. Przed jego oczyma krążyły różne erotyczne fantazje. Poczuł, jak rośnie w nim znajomy popęd. Już on im pokaże! Pokaże im wszystkim, tym cholernym kurwom, gdzie jest ich miejsce.

Jego matka, Edith, Elaine... Zaczął sobie wyobrażać wszystkie kobiety, które zamordował, a na koniec przed jego oczyma pojawił się obraz siostrzenicy, Natalie. W wyobraźni widział, jak leży pod nim naga, i niemal słyszał, jak błaga go, żeby przestał ją ranić. Uśmiechnął się wreszcie.

Piętro niżej Natalie doskonale bawiła się w towarzystwie rodziny. Czowała się szczęśliwa i bezpieczna.

George usłyszał jej dźwięczny śmiech. Unosił się ku niemu w ciężkim powietrzu Florydy. Nieodwołalnie uznał, że dziewczyna śmieje się z niego.

Już on jej da taką nauczkę, że nigdy tego nie zapomni.

Edith z dumą obserwowała swoje dzieci. Od ich narodzin robiła wszystko, co leżało w jej mocy, żeby były bezpieczne i żeby jak najlepiej im się powiodło w życiu. Nie miała najmniejszego pojęcia, że największe zagrożenie dla córki znalazło się w jej własnym domu, piętro wyżej.

Peter Renshaw denerwował się. Kate widziała, jak pot spływa strugami z jego twarzy.

- Rozumiem, że byliście z panem Markhamem dobrymi przyjaciółmi.
- Był jedynie moim kolegą z pracy, nic więcej.

Kate zmarszczyła czoło. Doszła do wniosku, że facet coś ukrywa.

– Niech pan posłucha, panie Renshaw. Wiem, że zorganizował pan jego pożegnalne, nazwijmy to, przyjęcie. Odnoszę wrażenie, że był pan jedną z niewielu osób, które były dość blisko z George'em Markhamem.

– Dlaczego, do cholery, wszyscy nagle interesują się George'em? Co on takiego zrobił?

Głos Renshawa był drżący i piskliwy.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „wszyscy”? Kto jeszcze się nim interesował?

– Nikt. Absolutnie nikt. A niby dlaczego ktoś miałby się nim interesować? - Nieświadomie zaczął obgryzać paznokcie.

– Niech pan mnie posłucha, panie Renshaw - powiedziała Kate z naciskiem. - Możemy sobie pogawędzić tutaj, ale z równym powodzeniem mogę zabrać pana na komisariat i poddać takiemu przesłuchaniu, że na długo je pan zapamięta. Wszystko zależy od pana. Ostrzegam pana jednak, nie lubię, jak świadkowie coś przede mną ukrywają. A teraz słucham, kto jeszcze szuka George'a Markhama?

– Jeśli pani powiem, zachowa to pani dla siebie? - W jego wyłupiastych oczach czaiło się błaganie.

Kate przytaknęła.

– To ten miejscowy mocny człowiek... Patrick Kelly. Kilka dni temu wciągnął mnie do samochodu. - Popatrzył na Kate i wstał. - Czy to pani wystarczy?

– Patrick Kelly? - wyszeptała.

Renshaw pokiwał głową. Tymczasem Kate jak burza wypadła z pokoju. Potrząsnął głową. Nie spodziewał się takiej reakcji z jej strony. Prosił Boga, żeby dotrzymała danej mu obietnicy.

Kate wróciła do Grantley z rekordową szybkością. A więc Patrick już zdążył się spotkać z Renshawem. Już wiedział, kogo szukać. George Markham był w Ameryce, Patrick zaś niedawno odebrał telefon ze Stanów... Poczula mrowienie na karku. Czy nie powiedział jej, że morderca Mandy zapłaci za swoją zbrodnię? Czy jej tego nie mówił?

Patrick wiedział już, gdzie się znajduje George Markham. Kochał się z nią, wiedząc to. Kochał się z nią, planując morderstwo.

Musiał mu się zdawać, że Kate jest najgłupszą lalunią, jaką spotkał w życiu. Śmiał się z niej za jej plecami. A skoro wiedział, gdzie jest

Markham, ten był już właściwie martwy, o ile ona, Kate, nie zrobi czegoś, żeby zapobiec kolejnemu morderstwu.

Wpadła na komisariat i zaczęła szukać Caitlina. Była tak rozwścieczona, że trzęsły jej się ręce.

Już ona da Patrickowi Kelly'emu nauczkę! Nigdy więcej nie zadrwi sobie z Kate Burrows!

Caitlin przebywał w pokoju detektywów. Palił cygaro i jego pomarszczoną twarz otaczała chmura szarego dymu. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz Kate, by wstał i pośpiesznie wyprowadził ją z pokoju, ku rozgoryczeniu pozostałych funkcjonariuszy, którzy z miejsca wyczuli, że wydarzyło się coś istotnego.

Spencer popatrzył na Amandę Dawkins.

– Wyglądała, jakby chciała popełnić morderstwo. Cholera, co się stało?

Amanda wzruszyła ramionami.

– Do diabła, skąd mogę wiedzieć?

Caitlin zaprowadził Kate do pustego pokoju przesłuchań. Stała przed nim. Wszystko było już dla niej jasne jak słońce. Nawet Caitlin wiedział, co się działo. Chciało jej się wyć z wściekłości.

– Wszystko wiesz, prawda?

Udał, że nie rozumie pytania.

– Niby co wiem, Katie?

– Przestań z tym cholernym „Katie”, Caitlin. Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Na Boga, musiałam być chyba ślepa. Powinnam zmienić nazwisko na detektyw inspektor Półgłówek.

Caitlin usiadł przy stole i zaciągnął się cygarem.

– Usiądź, kobieto, i powiedz, o co ci chodzi.

Kate oparła obie dłonie na stole i popatrzyła Caitlinowi w oczy.

– Wczoraj wieczorem byłam u Kelly'ego, kiedy ktoś zadzwonił do niego ze Stanów. Dziś rano dowiedziałam się, że George Markham wyjechał, właśnie do Stanów. Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale moim zdaniem George Markham jest już martwy.

– To może być przypadek.

– Przypadek? Gówno, a nie przypadek. Kiedy pomyślę, ile pracy włożyłam w tę sprawę! Badania krwi, nadgodziny setek policjantów... A przez cały czas, jakkolwiek by na to spojrzeć, wszyscy pracowaliśmy dla pieprzonego Patricka Kelly'ego.

Caitlin szeroko otworzył oczy. Przekleństwa rzucone przez Kate uświadomiły mu, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Ale nie ujdzie mu to na sucho, mój drogi. Zaraz idę do Flowersa. Mam nadzieję, że odpowie na kilka moich pytań, i to natychmiast!

Wyszła z pokoju przesłuchań, trzasnąwszy drzwiami. Caitlin zerwał się z krzesła i natychmiast pognął za nią. Dopadł ją w ostatniej chwili na parkingu. Oparł się o jej samochód i skinął, żeby otworzyła mu drzwi po stronie pasażera.

– Odpierdol się.

Caitlinowi pozostało jedynie patrzeć, jak jej mały samochód odjeżdża. Westchnął. Zaraz jednak wskoczył do swojego auta i ruszył w ślad za nią. Kiedy dotrze do Fredericka Flowersa, z pewnością będzie potrzebowała pomocy.

Incydent na parkingu obserwowali detektywi ze swojego pokoju.

Spencer potrząsnął głową.

– Właśnie dlatego kobiet za żadne skarby nie powinno się przyjmować do policji. Są zbyt impulsywne. Przecież tak się nie można zachowywać w pracy!

Pozostali wbili spojrzenia w sufit.

Frederick Flowers siedział w swoim gabinecie, lecząc ciężkiego kaca. W pewnej chwili do pomieszczenia wsunęła głowę sekretarka i suchym głosem poinformowała go, że koniecznie chce się z nim widzieć detektyw inspektor Burrows. Skrzywił się. Ta cholerna baba działała mu już na nerwy. Zanim zdołał w jakikolwiek sposób zareagować, Kate odepchnęła sekretarkę i stanęła w drzwiach osobiście, otwarte tak mocno, że uderzyły w ścianę. Trzask zabrzmiał w jego bolącej głowie jak wystrzał z armaty. Moment później do gabinetu wszedł także Caitlin. Ujrzawszy go, Flowers trochę się odprężył.

Kate zaczęła grzmieć bez żadnych wstępów.

– Niech pan mnie posłucha! George Markham, choć jest złoczyńcą, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i coś musimy z tym zrobić. Patrick Kelly przysiągł, że go zabije, i wiem, że to zrobi. Kelly wie, gdzie obecnie znajduje się George Markham, a my mamy obowiązek chronić tego człowieka i uczynić wszystko, co w naszej mocy, żeby stanął przed sądem.

Ciężko oddychała, jej piersi gwałtownie unosiły się i opadały. Flowers zerknął ku nim ukradkiem, zanim cokolwiek powiedział. Dopiero teraz, dostrzegłszy jej wzburzenie, zaczerwienione policzki i płonące oczy, zaczynał rozumieć, co Kelly w niej widział. Jej ciemne, jedwabiste włosy spięte były w kok i lśniły w słabych promieniach lutowego słońca.

– Nie masz żadnych dowodów, Kate, wszystko to są tylko twoje przypuszczenia i domysły. Z informacji, które posiadam, wynika, że Markham pojechał na wycieczkę i obecnie znajduje się w domu swojej siostry na Florydzie. Wzmianka o znalezieniu zwłok jego żony nie znajdzie się w gazetach i Markham przyleci do Anglii zupełnie

nieświadomy tego, że go namierzyliśmy. Kiedy wysiądzie z samolotu na brytyjskiej ziemi, natychmiast zostanie aresztowany.

– Ale on wróci do Anglii w cholernej trumnie! - Kate zacisnęła dłonie w pięści. - Mam poważne powody, żeby przypuszczać, iż Patrick Kelly wyznaczył sporą nagrodę za jego głowę.

Caitlin zamknął oczy. Katie, pomyślał, ty głupia babo.

– Posłuchaj, detektywie Burrows, wydaje mi się, że jesteś przepracowana. Wróc do domu i dokładnie sobie przemyśl wszystko, co tutaj powiedziałaś. Rzucasz bardzo poważne oskarżenia. Radzę ci, żebyś zachowała je dla siebie, dopóki nie zdobędziesz niezbitych dowodów. Patrick Kelly mógłby, tak jak każdy inny obywatel, oskarżyć nas o zniesławienie. Dodam po wysłuchaniu twojego histerycznego wybuchu, że wcale bym się mu nie dziwił.

Kate otworzyła usta, żeby odpowiedzieć. Flowers uniósł rękę, chcąc ją uciszyć, lecz go zignorowała.

– Działacie w zмовie, co? - rzuciła pytanie niskim, pełnym goryczy głosem. - Och, wiem, że nikt nie złapie za rękę ani pana, ani Kelly'ego. Ale dogadaliście się, prawda? Nikt nie ma zamiaru przeszkadzać Kelly'emu, kiedy będzie realizował swoją zemstę. - W jej głosie słychać było niesmak, wręcz obrzydzenie. Caitlin odwrócił wzrok. - Prawdopodobnie żyłam dotąd w innym świecie niż wy. Szczerze wierzyłam w sens mojej pracy. Ale wy wszyscy chyba uważacie mnie za kretynkę. - Wyciągnęła ku Flowersowi palec wskazujący. Aż drgnął, gdy koniec palca znalazł się o cal od jego twarzy. - Jednak przekreślę wasze plany, chociażby miała to być ostatnia czynność, którą wykonam jako policjantka. I za wszystko zapłacicie.

Flowers wreszcie odzyskał mowę.

– Grozisz mi? Bo jeśli tak, to mnie posłuchaj. Wiadomo mi, detektywie inspektorze, że niejednokrotnie już widywano cię w towarzystwie Patricka Kelly'ego. Rzuca to pewien cień na twoją nieposzlakowaną opinię, nie sądzisz?

Kate zastygła w bezruchu.

– Zna go pan o wiele dłużej niż ja, Flowers - powiedziała w końcu.

Flowers uśmiechnął się szeroko.

– Jasne, że znam Kelly'ego, to powszechnie znana osoba, ale zastanów się tylko. Przecież to nie ja z nim sypiam, prawda? To nie mój mąż popędził w tej sprawie z donosem do Biura Policji Kryminalnej.

Kate poczuła, jak rośnie w niej złość i nienawiść.

– Ty śmierdzący, plugawy draniu!

– Od tej chwili, detektywie Burrows, odsuwam cię od sprawy i zawieszam w obowiązkach. Caitlin, zabierz ją stąd, na miłość boską!

Machnął ręką, nakazując im odejść. W oczach sfrustrowanej Kate

błysnęły łzy.

– Powiem panu coś jeszcze, Flowers. Wreszcie zdałam sobie sprawę, kim pan naprawdę jest. Pozwala pan, żeby zamordowano człowieka z zimną krwią, prawda? Jest pan nawet gotów zniszczyć moją karierę, byleby tylko Kelly mógł położyć łapska na Markhamie.

Caitlin pociągnął ją za ramię. Przez cały czas stał w milczeniu, teraz jednak zdał sobie sprawę, że musi ją zawieźć do domu i przemówić jej do rozsądku. Przynajmniej tyle był jej winien.

– Chodź, Katie, zanim powiesz coś, czego będziesz żałowała.

– Żałowała? - Roześmiała się głośno. - Żałuję tylko tego, że zadawałam się z takimi szumowinami jak on.

Tym razem Caitlin zareagował ostro.

– Zamknij swoją cholerną gębę i daj mi kluczyki do samochodu. Ja poprowadzę.

W samochodzie oboje milczeli, dopóki Caitlin nie zjechał w boczną uliczkę i nie zatrzymał się przed małym pubem.

– Chodź, Kate, zjemy coś, wypijemy i porozmawiamy.

Posłusznie podążyła za nim, przygarbiona, zniechęcona do całego świata. Wiedziała, że została pokonana. Dotychczasowe doświadczenia nie przygotowały jej na coś takiego.

Usiedli wygodnie przy barze. Caitlin zamówił dwie pieczenie i butelkę chianti. Po namyśle dołożył do zamówienia jeszcze dwie szkockie.

Kiedy pojawiły się przed nimi drinki, Caitlin, nawet nie tknąwszy swojej szklanki, zaczął mówić do Kate:

– Posłuchaj, wiem, co czujesz, możesz mi wierzyć. Czegoś takiego sam już w życiu doświadczyłem. Zapominasz jednak, że George Markham był najgorszym, najbardziej ohydny zbrodniarzem, jakiego można sobie wyobrazić. Odebrał życie siedmiu osobom, Katie, i Bóg jeden wie, ilu ludzi jeszcze by zabił, gdyby nadal pozostawał na wolności. Gwałcił i mordował niewinne dziewczyny i kobiety. Był sadystą.

Przerwała mu.

– Powiedziałaś, że był mordercą. Użyłeś czasu przeszłego. Czy to znaczy, że on już nie żyje?

– Och, jedynie się przejęczyłem, Kate. Chcę powiedzieć, że twoja poprawna postawa względem niego nie ma sensu.

– Flowers mnie dzisiaj załatwił, prawda? Zresztą wy wszyscy jesteście po jednych pieniądzach. Ty, Flowers, no i nie zapominajmy o Kellym.

– Córnka Kelly'ego została brutalnie zamordowana, Kate. Jeśli to nie on dorwie Markhama, pomyśl o alternatywie. O pieniądzach, które będzie trzeba wydać, żeby go trzymać pod kluczem do końca życia, bo przecież tak by to wyglądało, gdyby odbył się proces. W sumie rozczarowujesz

mnie, Kate. Zawsze uważałem cię za rozsądną kobietę. Narażasz karierę dla takiego śmiecia. Przecież jeśli ten facet znajdzie się w więzieniu, będzie szykanowany i dręczony zarówno przez współwięźniów, jak i strażników. Lata temu napadł na dziewczynę w pociągu i mocno ją pokaleczył. Z tego powodu jego żona urodziła martwe dziecko. Kate, my nie rozmawiamy o drobnym złodziejaszku, mówimy o sadyście, gwałciicielu i mordercy.

– Doskonale wiem, o kim mówimy. Ale niezależnie od tego, w jakie słówka ty, Flowers i Kelly będziecie to ubierać, przecież planujecie morderstwo!

Caitlin potrząsnął głową. Był potargany, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– To Kelly zapłacił za badania krwi, Kate. To on w ogóle do nich doprowadził. Starał się jak mało kto, żebyśmy znaleźli zabójcę.

– Wiem, że zapłacił za te badania - powiedziała Kate gorzko. - Jak to miło z jego strony. Ale zrobił to wyłącznie po to, żeby samemu dopaść mordercę córki.

– Przecież ty ciągle nie masz pewności, że Patrick zamierza zgładzić tego człowieka. Tak jak powiedział Flowers, są to jedynie twoje domysły.

Prychnęła.

– Och, gdzie ty żyjesz, Kenny, na miłość boską! Wiesz równie dobrze jak ja, że Markham jest już martwy. Tymczasem, dla spokoju sumienia, odwiedzę jednak mojego Złotego Chłopca.

Kate wstała. Porwawszy ze stołu kluczyki, wybiegła z pubu. Tym razem Caitlin nie próbował jej dogonić. Przelał natomiast jej porcję szkockiej do swojej szklanki i poinformował barmana, że zje tylko jedną pieczeń.

Cóż, on już swoje zrobił. Reszta zależała od Kate.

Kelly zachowywał się jak kot na gorących ceglach. Nie potrafił znaleźć dla siebie miejsca. Przelał już pięćdziesiąt tysięcy dolarów na konto O'Grady'ego. Uważał, że to śmieszna opłata za to, co zlecił. Teraz czekał jedynie na potwierdzenie, że kontrakt został zrealizowany. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, niemal do niego biegł, podekscytowany.

Wiedział, że nie odpreży się, dopóki ten śmieć nie będzie martwy. Jego oczy co chwilę kierowały się ku fotografii Mandy. W takich momentach dławilo go wzruszenie.

Przypomniawszy sobie Mandy w wieku jedenastu lat. Miała gęste jasne włosy i drobniutką, wesołą twarz. Musiał wtedy jej powiedzieć: „Mama już nigdy nie wróci do domu, księżniczko”.

Kiedy trzymał w ramionach jej drobniutkie, wstrząsane szlochem

ciałko, zrozumiał, że właśnie dla niej musi przezwyciężyć własny żal i tęsknotę za Renée. Był przy niej, kiedy dopadały ją nocne koszmary, kiedy brak ukochanej mamusi wywoływał depresję i otępienie. Robił, co mógł, żeby być dla niej dobrym ojcem. Żeby zawsze być przy niej i dla niej, kiedy go potrzebowała. Żeby chronić ją przed wszelkim złem.

I po co było to wszystko? Jedynie po to, żeby jakiś łajdak zmalretował ją i zgwałcił w brudnej szopie, na klepisku. Lepiej by było dla niej, gdyby znajdowała się wówczas w tym samochodzie, razem z Renee. Zmarłaby przynajmniej bez chwili strachu, w ciągu sekundy.

Willy zapukał do drzwi i stanął w progu.

– Jakież wiadomości, Pat?

Potrząsnął głową.

– Nic się nie martw, brak wiadomości to dobra wiadomość. Zrobić ci kawę albo podać coś innego?

Kelly popatrzył na wielką, okrągłą jak księżyc twarz Willy'ego i poczuł przypływ serdeczności.

– Kocham cię, Willy, wiesz o tym? - powiedział to bardzo cicho, ale Willy do razu zrozumiał, jak ważne są te słowa dla jego szefa. Razem przetrwali już takie chwile w życiu, że gorsze trudno było sobie wyobrazić.

Willy uśmiechnął się.

– Wiem, Pat. Napij się trochę kawy, to cię uspokoi.

– Jasne. Tylko dolej mi do niej kropelkę brandy, dobrze?

Willy otworzył butelkę. Popatrzył jeszcze ponad ramieniem na Patricka i powiedział:

– W pełni oddaję twoje uczucie, Pat.

– Chyba odwzajemniasz, Willy.

– Och, nie czepiajmy się słówek, Pat. Doskonale wiesz, co mam na myśli.

Kelly uśmiechnął się do siebie. Kate miała rację. Willy był jego najlepszym przyjacielem. Czasami zdawało mu się, że jedynym. W każdym razie jedynym prawdziwym przyjacielem.

Usłyszał, jak samochód Kate z piskiem opon zatrzymuje się przed domem.

Jedno spojrzenie na jej ponurą twarz powiedziało mu wszystko i z ciężkim westchnieniem przygotował się do nieuniknionej awantury. Kiedyś pewien adwokat dał mu radę: zaprzeczaj, zaprzeczaj, zaprzeczaj, wszystkiemu zaprzeczaj. Wiedział, że w tej chwili będzie to najlepsza taktyka.

Kate z wściekłą miną odepchnęła Willy'ego, który otworzył jej drzwi, i stanęła w holu.

– Gdzie on jest?

Willy był tak zaskoczony, że jedynie wskazał palcem na drzwi biblioteki. Wpadła tam jak burza i ujrzała Patricka siedzącego za biurkiem i spokojnie palącego papierosa.

– Cześć, Kate. - Wstał i uśmiechnął się do niej szeroko.

– Żadne cholerne cześć! Właśnie stoczyłam z Frederickiem Flowersem trzecią wojnę światową, a poszło o ciebie. Rozgryzłam cię, Patricku Kelly.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Naprawdę? A zatem cię oświecę. Kiedy byłam tu wczoraj, ktoś zadzwonił do ciebie ze Stanów. A George Markham, człowiek, którego zidentyfikowaliśmy jako Rozpruwacza z Grantley, jest właśnie w Stanach. Dokładnie na Florydzie.

– Co to ma wspólnego ze mną? - zdziwił się.

Kate przybliżyła twarz do jego twarzy.

– Przysięgałeś mi, że go dopadniesz za to, co zrobił z Mandy.

– I o to masz do mnie pretensje? A jak byś się czuła, gdyby zrobił to samo z Lizzy? Ale chwileczkę, Kate, opanuj się. Prowadzę przecież różne interesy w Ameryce i w Europie. Chyba nie chcesz oskarżyć mnie nie wiadomo o co z powodu jakiegoś pieprzonego telefonu ze Stanów?

– Jesteś taki sam jak Dan, wiesz? Uważasz atak za najlepszą formę obrony. Zanotuj więc sobie, że w tej samej chwili, w której usłyszę, że George'owi Markhamowi stało się coś złego, o wszystkim, co wiem, poinformuję prasę. Ja nie żartuję. Wykrzyczę wszystko, ze szczegółami, na cały kraj.

Patrick ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie wiem, o czym mówisz, Kate. - Jego łagodny głos zupełnie nie pasował do oczu, które wpatrywały się w nią zimno.

– Jesteś obrzydliwy, Pat. Co ja takiego w tobie widziałam? Może było mi ciebie żal, z powodu córki, sama nie wiem. Ale wiem jedno: myśl, że mógłbyś mnie jeszcze choć raz dotknąć, wywołuje u mnie odruchy wymiotne.

Mówiła przez zaciśnięte zęby. Jej zaciętość i determinacja dotknęły Patricka do żywego.

– Najlepiej będzie, jak już sobie pójdziesz, Kate. Zanim któreś z nas powie coś, czego potem będzie żałować.

– Nie martw się, już idę. Brzydzi mnie twój widok. Ale pamiętaj, co powiedziałam. Kiedy się dowiem, że Markham nie żyje, zacznę głośno o tym mówić. Możesz to przekazać Flowersowi, kiedy się z nim skontaktujesz. Dotrę do prokuratora generalnego, ba!, jeśli będzie trzeba, pójdę nawet do królowej.

Na biurku Patricka zadzwonił telefon. Patrzył przez chwilę na aparat i dopiero po kilku sekundach podniósł słuchawkę. Z miejsca rozpoznał

amerykański nosowy akcent O'Grady'ego.

– Poczekaj chwileczkę - powiedział do słuchawki. Przykrył mikrofon dłonią i popatrzył Kate w oczy. - Idź już, zanim cię stąd wyrzucę.

Posławszy mu ostatnie spojrzenie, wyszła z biblioteki. Patrick czekał, aż trzasną drzwi wejściowe, i dopiero wtedy odezwał się do mężczyzny po drugiej stronie oceanu.

– Przepraszam za tę krótką zwłokę. Co się dzieje?

Patrzył przez okno, jak Kate wsiada do samochodu i odjeżdża. Poczuł się, jakby wraz z nią odjeżdżała stąd częśćka jego samego.

– Wszystko jest przygotowane na jutro rano. Kiedy robota zostanie wykonana, zatelefonuję.

– Czy nie można tego zrobić jeszcze dzisiaj?

– Nie da rady, Pat. Ale przestań się martwić. Jutro faceta już nie będzie. Profesjonalna, czysta robota wymaga planowania. W końcu za to płacisz.

– A więc jutro?

– Tak.

Odłożył słuchawkę i w tej samej chwili do biblioteki wszedł Willy z kawą.

– To już jutro, Willy.

Willy pokiwał głową i rozlał kawę do filiżanek. Do tej, która była przeznaczona dla Patricka, nalał sporą porcję brandy. Po chwili westchnął i powiedział:

– A więc już nigdy nie spotkasz się z Kate.

Kate zajechała przed dom i weszła do środka. Było cicho, zbyt cicho. Poszła do kuchni i zaparzyła sobie herbatę w filiżance. Usiadła przy stole, popijając. Nawet nie zdjęła płaszcza. Wciąż roztrząsała wydarzenia ostatnich godzin. Wszystko tak się cholernie poplątało. Wszystko poszło źle. Bardzo źle.

Jej praca była zagrożona, skończyła z Patrickiem, wszystko, w co wierzyła, zostało zbrukane. Położyła ręce na stole i rozplakała się.

Minionej nocy spała z mordercą. Z mężczyzną, który gotów był zapłacić za pozbawienie życia innego człowieka. Racjonalna część umysłu podpowiadała jej, że Patrick wyrównuje rachunek za śmierć swojej córki w jedyny sposób, w jaki potrafi. Dla niego wszystko było albo białe, albo czarne. Jeśli ktoś zniszczył coś, co należało do niego, on musiał zareagować niszczeniem.

A jednak wiedziała, że takie rozumowanie jest sprzeczne z istotą jej zawodu, ze wszystkimi jej przekonaniem. Patrick Kelly wciąż funkcjonował według zasady „oko za oko”. Nie mogła tego tolerować.

Gdyby się z tym zgodziła, bez sensu byłyby wszystkie zasady, które wpajała własnemu dziecku i którymi sama kierowała się w pracy oraz w życiu prywatnym.

Mimo to wciąż ogarniały ją wątpliwości. A jeśli Patrick ma rację?

Gdyby to jej dziecko zamordowano, czy potrafiłaby wybaczyć? Czy mogła szczerze odpowiedzieć sobie na to pytanie twierdząco? Czy byłaby zadowolona, wiedząc, że sprawca masakry żyje, być może zamknięty w celi do końca swoich dni, ale jednak żyje, a tymczasem jej dziecko jest martwe? Przypomniała sobie, że gdzieś przeczytała, iż matka jednej z ofiar Myry Hindley, dowiedziawszy się, że zmarła matka owej morderczyni, pojawiła się na pogrzebie, żeby z satysfakcją patrzeć na jej ból.

Kate potrafiła zrozumieć takie uczucie nienawiści.

Ale żeby mordować?

Zlizala z ust słone łzy.

Flowers najwyraźniej zamierzał wykorzystać jej związek z Patrickiem do własnych celów. Odsunął ją od sprawy i mimo gromkich okrzyków, że pójdzie na skargę do prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości, Kate wiedziała, że jest skończona. Gdyby udała się ze swoją historią do prasy, smród trwałby pewnie kilka dni, a potem i tak wszystko rozeszłoby się po kościach. Patricka uznano by za bohatera. Obywatela, który wziął prawo w swoje ręce. Czy znalazłoby się wielu ludzi, którzy nie stanęliby po jego stronie?

Patrick zakończy tę sprawę jako współczesny Robin Hood, a tymczasem ona zostanie uznana za zgorzkniałą kochankę, porzuconą i za wszelką cenę szukającą zemsty.

Jakkolwiek by spojrzeć na tę sprawę, Kelly, Flowers i Caitlin zrobili z nią, co chcieli. Lecz najgorsze w tym wszystkim było to, że mimo zbrodni, którą Patrick zaplanował lub już popełnił, wciąż go pragnęła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Edith martwiła się, chociaż nie do końca wiedziała czym. Od chwili, gdy George w dziwny sposób zareagował na Natalie, za każdym razem, gdy przebywała w jego towarzystwie, odczuwała dreszcz niepokoju. To był nonsens, oczywiście. Przecież George był jej najbliższym żyjącym krewnym. A jej dziecko było jak jego dziecko.

Wzruszyła ramionami. George był po prostu trochę nieswój, i tyle. Lot nad oceanem, podniecenie spotkaniem po latach, to wszystko miało prawo go rozstroić.

Dzisiaj podczas lunchu zdawał się bardziej odprężony. Edith obserwowała, jak patrzył ponad stołem na jej córkę. Odniosła wrażenie, że trochę zbyt długo przyglądał się Natalie. Z trudem odrywała wzrok od George'a i koncentrowała się na słowach Jossa, gdy mówił coś do niej.

George, jak i ona sama, bez wątpienia zauważył uderzające podobieństwo Natalie do matki. Przez lata i ją to gnębiło, potrafiła więc wyobrazić sobie przykre zaskoczenie George'a, kiedy zobaczył Natalie po raz pierwszy. Jednak jeśli chodzi o charaktery, Natalie była całkowitym zaprzeczeniem Nancy Markham. Była uczynna, miła i opiekuńcza. Miała mnóstwo przyjaciół, prawdziwych przyjaciół. Była osobą pięknego ducha i ciała. I jeśli można było jej w tej sprawie wierzyć, wciąż była dziewicą.

Nie, Natalie nie miała w sobie ani odrobiny z rozwiązłości babci. Była dziewczyną głęboko religijną, wiodła dobre, spokojne, ustabilizowane życie. Ani Edith, ani Joss nigdy nie musieli się o nią martwić.

Nieświadoma zamieszania, jakie spowodowała, Natalie słuchała jednej z długich golfowych opowieści ojca. Była dobrą córką; wybuchała śmiechem we właściwych momentach i Joss kochał ją chociażby za to. Z kolei jego syn sprawiał wrażenie znudzonego, podobnie jak George i Edith. Joss skrócił opowiadanie i zakończył je szybciej niż zazwyczaj, po czym zajął się swoim stekiem.

George wciąż z uwagą patrzył na Natalie, nieświadomy, że Edith z kolei uważnie obserwuje jego.

Każdy ruch Natalie przypominał George'owi matkę, nawet sposób, w jaki odgarniała włosy z twarzy. Jej ramiona miały kształt ramion Nancy. Zdawały się zbyt kruche, żeby podtrzymywać tak duże piersi.

George zaczął nagle kroić stek z taką energią, że ząbki noża nieprzyjemnie zazgrzytały na talerzu.

– Jak długo zostaniesz z nami, wujku George? - zapytał Joss junior. Zupełnie go to nie interesowało, ale czuł, że tego pytania wszyscy spodziewają się właśnie po nim.

– Kilka tygodni. Czasami zastanawiam się, czy nie sprzedać domu i nie przeprowadzić się tutaj. Właściwie niczego już tam nie mam.

Edith natychmiast ogarnęło współczucie. Biedny George. Nic dziwnego, że zachowuje się tak dziwnie. Odejście Elaine musiało być dla niego ogromnym ciosem.

– Możesz zostać u nas tak długo, jak zechcesz. Dopóki nie znajdziesz dla siebie miejsca.

George uśmiechnął się do Edith z wdzięcznością, a Joss senior zaczął energiczniej przeżuwać stek.

Zachowanie brata Edith niepokoiło go. Był taki cholernie potulny i łagodny. Joss zerknął na syna i z trudem przełknął ślinę. Często zastanawiał się, czyje cechy odziedziczył Joss junior. Teraz już wiedział. Mimo że bardzo się starał, nie potrafił z całych sił kochać swojego jedyne go syna. Było w nim coś drażniącego, niepokojącego. George Markham zachowywał się podobnie jak on. No, ale był bratem Edith, jej najbliższą rodziną. Musiał się z tym pogodzić i ugościć go w swoim domu.

Rodzinka Edith była naprawdę zabawna. Mieli szaloną matkę, a z kolei jej młodszy brat zachowywał się jak przerażona mysz. Najstarszy z rodzeństwa, Joseph, sprawiał wrażenie, że raczej jest kochankiem Nancy niż jej synem. Z fragmentów rozmów z Edith wywnioskował, że wszyscy troje mieli okropne dzieciństwo. Pamiętał jeszcze, jak przyszedł do Nancy Markham i powiedział jej, że chce się ożenić z Edith. Radosna złośliwość, z jaką opowiedziała mu o nieślubnym dziecku swojej córki, zaszokowała go.

Nancy Markham była chora z nienawiści do wszystkich i do wszystkiego. Nic więc dziwnego, że jej dzieci też nie miały klepek na swoim miejscu. Z wyjątkiem Edith. Była najśladszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek poznał, i mimo że lubił czasami z niej drwić i żartować, ciągle ją kochał. Wciąż odbierał ją jako słodką, kochaną dziewczynę, taką, jaką była w dniu ślubu. Edith miała jednak awersję do seksu, nie lubiła, jak jej dotykał, nie cierpiała nawet zwykłych pocałunków. Och, próbowała to ukrywać, nie opierała mu się, ale Joss wiedział. Mężczyzna zawsze wie, kiedy jego umizgi przyjmowane są z ochotą, a kiedy zaledwie tolerowane. Lecz cokolwiek by o tym powiedzieć, była cholernie wspaniałą żoną i matką, i tylko to się liczyło.

Natalie patrzyła, jak jej wujek je, i uśmiechnęła się do niego. Przez całe życie słuchała opowieści o wujku George'u. Był najbliższym żyjącym krewnym matki. Wiedziała, że babcia także żyje. Czasami dochodziły od niej listy, pozdrowienia, czasami rozmawiała z mamą

przez telefon, lecz po każdym takim kontakcie Edith była nerwowa, nawet przez kilka tygodni.

Natalie zlustrowała pokój zielononiebieskimi oczyma. Kochała ten dom. Uwielbiała przebywać w nim razem z całą rodziną. Pewnego dnia, kiedy spotka właściwego mężczyznę, też wprowadzi się do takiego domu i zapełni go dziećmi oraz wesołym śmiechem. Uśmiechnęła się do siebie na samą myśl o tym.

Na razie miała na głowie pracę i swoje ukochane psy. To Natalie nadała imiona obu dobermanom. Przeczytała kiedyś *Pieć Dantego*; lektura zrobiła na niej ogromne wrażenie. Dobermany, według niej, były złymi psami. Jednak je kochała, kochała zresztą wszystkie zwierzęta.

George ukradkiem obserwował siostrzenicę. Kiedy uśmiechnęła się do niego, był przekonany, że to matka siedzi naprzeciwko. Poczł się dziwnie nierealnie, co czasami mu się zdarzało. Odnosił wrażenie, że w jednej sekundzie znajduje się w realnym świecie, a już w następnej swobodnie unosi się w przestrzeni. Wszystkie wymiary w pokoju stały się nieostre. Nie było nic trwałego. Umysł George'a pełen był najprzeróżniejszych myśli. Żadna z nich nie zatrzymywała się w nim na dłużej, kłębiły się i ścisnęły, jakby w głowie było zbyt mało miejsca dla nich wszystkich naraz. Oczy wyobraźni widział jedynie króciutkie migawki. Oto Geraldine O'Leary leży pod nim z długimi, pięknymi włosami. Mandy Kelly i Elaine uciekały od niego i znów pojawiały się w jego wyobraźni, pomiędzy nimi zawsze ukazywała się ta dziewczyna, Natalie. Miał wielką ochotę złapać nóż do steku i przeciąć jej gardło. Niech krew tryska z rany, niech zadusi głos jego matki.

Niemal ją słyszał: „Kto jest małym żołnierzkiem mamusi, George?”

Czuł zapach świeżo wypranej pościeli, słyszał odległe ujadanie artylerii przeciwlotniczej. Niemiecka bomba w każdej chwili mogła spaść na ich dom, jednak matka kazała dzieciom leżeć w łózkach, a sama spokojnie piła herbatę i paliła jednego papierosa po drugim. George czuł ból w jelitach i pieczenie w odbycie. Przed niecałą godziną matka siłą przepchnęła rurkę przez jego zwieracz. Z czoła ściekał mu pot. Czuł, jak miesza się ze łzami, jak kapie na poduszkę. Dlaczego nie przychodziła? Dlaczego nie pojawiała się, żeby go uspokoić? W końcu był małym żołnierzkiem swojej mamusi, prawda?

– George... George. Joss do ciebie mówi, mój drogi.

Nagle powrócił do rzeczywistości. Zmieszany powiódł oczyma po stole.

– Dobrze się czujesz, George? - W głosie Edith słychać było zatroskanie.

Joss junior zerknął na zegarek.

– Jeśli mam zdążyć na samolot, mam, niedługo będę musiał wyjść.

Edith natychmiast popatrzyła na syna. Skorzystał z tego George, który skoncentrował się na jedzeniu.

– Firma Natalie dała je cały tydzień wolnego z okazji przyjazdu wujka. Szkoda, że twój pracodawca nie postąpił tak samo.

Joss junior uśmiechnął się.

– Cóż, mam, wykonuję bardzo ważną pracę. Moi szefowie nie mogą sobie pozwolić na udzielenie mi tak nagle długiego urlopu.

Słowa syna uradowały Edith.

– Razem z tatą odwieziemy cię na lotnisko. Dokończ spokojnie posiłek.

Natalie przeciągnęła się na krześle, wsuwając we włosy długie, umalowane paznokcie. Edith i Joss senior patrzyli na nią z dumą, a George z nienawiścią. Joss junior po prostu jej nie zauważał.

– Chciałbyś się z nami przejechać na lotnisko, George?

– Nie. Odpocznę sobie w domu, Edith. Czuję się zmęczony.

– Chcecie, żebym została z wujkiem George'em? - zapytała Natalie.

– Nie. Zostaw wujka, niech sobie odpocznie, Natalie. Pojedziesz z nami. Pomachasz bratu, jak będzie wsiadał do samolotu.

Nie wiadomo dlaczego, Edith nie chciała, żeby George i Natalie zostali sami w domu.

Odprowadzając rodzinę trochę później do samochodu, George uśmiechnął się do wszystkich. Niedługo potem wsiadł do własnego auta i ruszył w kierunku Orange Blossom Trail.

Duane Portillo patrzył, jak rodzinka wsiada do wielkiego lincolna continentala. Kilka minut później ruszył za George'em Markhamem, oczywiście ku Orange Blossom Trail.

Linette Du Bouverie znano w branży po prostu jako kurwę z rogu ulicy. Była drobna i miała naturalnie rude włosy. Znana też była jako najbardziej hałaśliwa, najbardziej ordynarna i najbardziej kłótniwa kobieta w całym Orange Blossom Trail. Jej pełnego przekleństw języka nienawidziły zarówno kurwy, jak i alfonsi oraz policjanci, w tej kolejności. Była uzależniona od heroiny i nie potrafiła przeżyć dnia bez swojej działki. Gdy była w potrzebie, umiała obsłużyć mężczyznę za marne pięć dolarów.

Dzisiaj waliła pięściami do drzwi małego jednopokojowego mieszkania Elvisa Carmody'ego.

Elvis był dealerem narkotykowym, który nie wiadomo skąd wziął się na tym świecie.

Miał czarne kręcone włosy i czerwona skórę, jak Meksykanin. Jego matka żartowała, że spłodził go Heinz numer 57. Tak naprawdę nie

miała pojęcia, kto jest jego ojcem. Tymczasem Elvis całkiem dobrze sobie radził w życiu. Dostarczał potrzebującym heroinę, opium, marihuanę, środki uspokajające i pobudzające... Właściwie wszystko, czym tylko dało się handlować. Otworzył drzwi i ujrawszy Linette, gwizdnął przez zęby.

– Wyglądasz okropnie, dzieciно.

Weszła do mieszkania, stukając o podłogę butami na wysokich obcasach. W przytłumionym świetle z trudem koncentrowała wzrok na poszczególnych przedmiotach. Usłyszała szelest pościeli i spojrzawszy w tym kierunku, jak przez mgłę zobaczyła twarz małej portorykańskiej kurewki o imieniu Marigold. Zakłęła pod nosem. Skoro Elvis miał w łóżku dupę, z pewnością nie będzie chciał wyjść z domu, żeby zdobyć dla niej towar, i to na krechę.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Linette? - Elvis chciał się jej jak najszybciej pozbyć.

– Potrzebuję działę. Zapłacę ci za godzinę, człowieku, na razie na ulicy nic się nie dzieje. Kiedy się ściemni, robi się tłok.

Elvis zapalił marlboro i głośno wydmuchnął dym.

– Nie ma mowy, dzieciно, wisisz mi już od wczoraj dwadzieścia dolców.

Linette poczuła, jak rośnie w niej agresja, z której słynęła na całą okolicę. Podeszła do łóżka i szarpnęła Marigold za włosy.

– A dla niej miałaś działę, co, ty pierdolony dandysie. Oddam ci twoje cholerne pieniądze, ale najpierw daj mi trochę prochu na kredyt.

Elvis podszedł do niej i wyprostował jej palce, uwalniając włosy Portorykanki. Marigold nawet nie mrugnęła okiem.

Następnie złapał Linette za kark, popchnął ją ku drzwiom i wyrzucił na brudny korytarz.

– Dlaczego nie przestaniesz wkurwiać ludzi, Linette? Gdybyś nie była taka nieprzyjemna, ludzie z pewnością odnosiliby się do ciebie o wiele życzliwiej.

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Zerwawszy się z posadzki, Linette rzuciła się na nie, kopiąc je i klepiąc w drewno otwartymi dłońmi. W jej ciemnozielonych oczach pojawiły się łzy. Była skrajnie wkurzona i sfrustrowana.

Elvis jednak nie reagował. Zrezygnowana i rozżalona Linette wyszła w końcu z budynku. Na niebie wciąż wysoko wisiało jasne i gorące słońce.

George ujrzał niską, drobną dziewczynę w wieku mniej więcej dwudziestu pięciu lat, opartą o ścianę. Jej rude włosy jakby wychwytywały promienie słońca. Tyłek dziewczyny okrywały krótkie, zamszowe szorty. Jej obfite piersi aż wyskakiwały spod bluzeczki i

George uśmiechnął się. Swoim sekretnym uśmiechem, w którym obnażał drobne zęby.

Linette, natychmiast zwiertzywszy klienta, odpowiedziała mu śmiechem. Najśłodszy uśmiechem, na jaki było ją stać.

George opuścił szybę samochodu. Linette podeszła do niego i pochyliła się.

– Cześć.

George uśmiechnął się, tym razem szerzej.

– Cześć, moja droga.

– Szukasz miłego towarzystwa?

– Wsiadaj.

Linette obeszła samochód i wsiadła do środka.

– Jedź do Lazy Q. Dostaniemy tam pokój, filmy, wszystko, czego zechcesz.

George ruszył. Linette zapaliła papierosa i kiedy zbliżali się do hotelu, uśmiechnęła się do siebie. Facet doskonale znał drogę, nie był więc zielony. Zaczęła się zastanawiać, ile mogłaby z niego wyciągnąć. Czują już na całym ciele znajomy zimny pot, który mówił jej, że musi przyjąć działę, i to jak najszybciej.

Mężczyzna, który dał im klucz, oglądał kolejny odcinek *Świata według Bundy'ego*. George'owi przyszło na moment do głowy pytanie, czy facet w ogóle kiedykolwiek odrywa wzrok od telewizora. Gdy znaleźli się w pokoju, Linette podniosła słuchawkę telefonu i zamówiła butelkę burbona. Alkohol przynajmniej na jakiś czas ukoji jej rozdygotane nerwy. Później będzie już marihuana.

Czekając na burbona, rozebrała się. George obserwował ją z podziwem. Zachowywała się tak, jakby go tutaj w ogóle nie było. Nawet nie próbowała nawiązać rozmowy. George usiadł na łóżku i wyciągnął z kieszeni kilka drobnych monet. Wsunąwszy pięćdziesiąt centów do skrzynki przy telewizorze, włączył go i na ekranie od razu pojawił się film pornograficzny. Linette, jedynie w butach, otworzyła drzwi chłopakowi, który przyniósł butelkę. Linette nigdy nie zdejmowała butów. Nigdy.

Popatrzyła na George'a.

– Potrzebuję dziesięć dolarów.

Spokojnie wyciągnął banknot z grubego zwitka i podał go jej. Chłopak nie mógł od niej oderwać wzroku, kiedy tylko w butach na wysokich obcasach dawała mu pieniądze.

– Proszę, chłopcze. Napatrz się do syta. A kiedy dostaniesz wypłatę, możesz umówić się z Linette.

– Tak, proszę pani. - Słowa te zostały wypowiedziane z całą męskością, na jaką mógł się zdobyć czternastolatek.

Linette zatrzasnęła drzwi i głośno się roześmiała. Zdjęła nakrętkę i zaczęła pić whisky prosto z butelki.

– Kochasiu, widzę, że masz przy sobie mnóstwo pieniędzy.

George rozebrał się i starannie ułożył całą garderobę na krześle.

– Ile chcesz?

Linette spodobał się jego spokój i potulna postawa.

– Wyceniam się na sześćdziesiąt dolarów. Lepszej dupy za tę forszę nie dostaniesz.

George wręczył jej trzy banknoty dwudziestodolarowe.

Przez chwilę oglądał film. Był to film o kobiecie, psie i nieprawdopodobnie wielkim Murzynie.

Linette usiadła obok niego na łóżku. Otarłszy się piersiami o jego ramię, zaczęła mu pieścić miękki penis. Chciała jak najszybciej z nim skończyć.

– No chodź, malutki, Linette nie ma dla ciebie całej nocy.

George wyczuł jej pot. Jej włosy leżały na jego ramieniu, czuł na sobie jej różowe brodawki. Długie paznokcie na palcach, które spoczywały na jego penisie, miały ciemnoczerwony kolor. Wyglądała zupełnie jak matka. Nawet cuchnęła jak matka. Niecierpliwie odepchnął jej rękę.

– Nie dotykaj mnie w ten sposób.

Głos George'a nagle stał się zimny, ostry. Pchnął ją i Linette padła na plecy.

– Hej, co ty sobie myślisz, palancie? - Natychmiast ujawniła się jej naturalna skłonność do zaczepki.

George patrzył jej w twarz. Stała teraz z butelką w dłoni. Jej nogi w zielonych butach na wysokich obcasach były długie i kształtne. Po raz kolejny pociągnęła łyk. George także wstał.

Była taka jak jego matka. Jak Natalie. Same dziwki, co do jednej. Za kilka funtów gotowe są oddać się każdemu. Wszystkie kobiety są takie same. Wszystkie są kurwami. Na szczęście George doskonale wiedział, co robić z kurwami, czyż nie? Nie udowodnił tego w Grantley? Złapał Linette za włosy i z całej siły uderzył ją pięścią w twarz. Z uśmiechem na twarzy patrzył, jak dziewczyna zachwiała się i wpadła plecami na ścianę. Nie przewróciła się jednak. Przyłożyła dłoń do krwawiących ust i spoglądała na niego, ciężko oddychając. Wysunęła różowy język i zlizwała krew z pękniętej wargi. Nie odrywała wzroku od George'a, który zaczął się do niej zbliżać.

Kiedy znów uniósł pięść, kopnęła go. George poczuł ból, jak głębokie ukłucie, i kiedy popatrzył na swój brzuch, zobaczył na nim ciętą ranę.

W podeszwie każdego buta Linette Du Bouverie miała stalowe ostrze. O wartości takiej broni przekonała się w więzieniu.

Właśnie dlatego nigdy nie zdejmowała butów. George patrzył, jak z

rany na jego brzuchu wypływa krew, i z niedowierzaniem spojrzął na kobietę. Rzucił się na nią, chcąc ją złapać za włosy, ale chwycił tylko powietrze.

Linette znów go kopnęła. Tym razem trafiła w plecy. Ogarnął go nieznośny, przeszywający ból. Rozerwała mu skórę dokładnie na nerce. Rana była głęboka przynajmniej na pół cala. Kiedy padł na kolana, Linette po raz kolejny wypila z butelki kilka łyków, po czym roztrzaskała ją o komodę, stojącą obok łóżka. Z grzbietu George'a obficie sączyła się krew.

Zebrawszy w sobie całą siłę, jaka mu jeszcze została, George uderzył dziewczynę pięścią w splot słoneczny. Linette zgięła się w pół. Przez chwilę nie mogła oddychać. George wstał na nogi. Ręce miał całe we krwi.

Na ekranie czarny mężczyzna, kobieta i pies zawzięcie spółkowali, obojętni na to, co się dzieje w pokoju.

- Ty pierdolony gnoju. Jeszcze nikt mnie bezkarnie nie uderzył. Nikt.

Usta Linette były wykrzywione w grymasie wściekłości. Tym razem jej but rozszarpał udo George'a. Krew zaczęła wypływać z rany powoli, skóra rozstępowała się niechętnie, jakby nie chciała pokazać ukrytego pod nią żywego mięsa. George znów opadł na kolana. W tym momencie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z osobą o wiele bardziej zdeterminowaną od niego. Ta kobieta była dziwką tego samego kalibru co jego matka. Linette szarpnęła go za włosy i uśmiechnęła się, przykładając poszarpane brzegi roztrzaskanej butelki do jego gardła.

George upadł na podłogę z twarzą zwróconą w kierunku telewizora; Zanim wyzionął ducha, zobaczył jeszcze jęczącą z zadowolenia kobietę, czarnego mężczyznę wpychającego w nią nieprawdopodobnie wielki członek i psa, który głośno szczekając, biegał dookoła spółkujących.

Linette usiadła na łóżku i odrzuciła butelkę na dywan. Przyłożyła zakrwawioną dłoń do piersi, chcąc uspokoić bicie serca. Popatrzawszy na George'a, wydeła wargi z głębokim niesmakiem na twarzy.

Przez całe swoje krótkie życie Linette była maltretowana i fizycznie, i psychicznie. Głównym winowajcą był jej ojciec, a bracia tylko go naśladowali. Matka udawała, że niczego nie widzi. Kiedy w wieku piętnastu lat Linette opuściła dom, od razu znalazła się w świecie, w którym liczyła się wyłącznie jej uroda i to, co potrafiła zrobić w łóżku. Pierwszą działę i pierwszego klienta zdobyła zaledwie w trzydzieści sześć godzin po wyjściu na ulicę. Nie potrafiła na siebie zarabiać inaczej, jak sprzedając własne ciało. Jednak po opuszczeniu domu postanowiła, że nikomu już nie pozwoli się uderzyć. Seks za pieniądze? Proszę bardzo, gotowa była na wszystko. Ale żaden mężczyzna ani żadna kobieta, nikt nie miał prawa jej bić. Było to dla niej ważne, dzięki temu zachowała dla siebie resztki szacunku. Częściowo chroniła ją opinia

kłótniwej złoŃnicy. Agresywnej dziwki nie czepiali się alfonsi, agresywnej dziwki nie okradały inne dziwki. Prawo ulicy było tu bezwzględne. I mimo że Linette była drobna, potrafiła pilnować swoich spraw. Facet, którego przed chwilą załatwiła, był dla niej nikim, palantem, dupkiem, któremu powinna się noga. Nie patrząc już więcej na niego, poszła pod prysznic. Zmyła z siebie krew, po czym spokojnie się ubrała, uczesała i poprawiła makijaż. Pod prawym okiem czuła lekki obrzęk. Zabrała George'owi wszystkie pieniądze i czeki podróżne. Zostawiła karty kredytowe; gdyby chciała ich użyć, narażałaby się na złapanie przez policję. Po raz ostatni spojrzawszy w lustro, wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Dziesięć minut później była już u Elvisa. Osiemset dolarów George'a zapewniło jej ciepłe powitanie. Wbijając igłę w ramię, poczuła pierwsze fale euforii. Zaczęła głęboko oddychać, rozmyślając, jaki świat jest wspaniały.

O George'u Markhamie już nie pamiętała.

Duane Portillo patrzył, jak Linette opuszcza hotel. Wyprostował się, gdyż przypuszczał, że w każdej chwili w drzwiach może pojawić się George. George jednak nie wychodził.

Nadal leżał na podłodze w pokoju i wpatrywał się niewidzącymi oczyma w ekran i film pornograficzny. Krew już przestała z niego wypływać. Dziewczyna z filmu zdawała się patrzeć na niego z wyrazem nieopisanego, chociaż udawanego, zadowolenia na twarzy.

Ale George jej nie widział. Wstyd. Pewnie by ją pokochał.

Edith martwiła się coraz bardziej. Kiedy wrócili z lotniska, George'a nie było w domu. Za każdym razem, gdy słyszała zbliżający się samochód, podchodziła do okna, żeby zobaczyć, czy to przypadkiem nie wraca George.

- Na miłość boską, Edith, przecież to dorosły facet - mówił Joss. - Pewnie wyszedł na piwo, kogoś spotkał i uciął sobie pogawędkę.

Nie miała ochoty mu odpowiadać. Cmoknęła tylko z niezadowolaniem. Akurat George uciąłby sobie pogawędkę z nieznanym. Czasami odnosiła wrażenie, że Joss nie zdaje sobie sprawy, co się wokół niego dzieje i z kim ma do czynienia. George nawiązujący kontakt z obcą osobą, rzeczywiście.

Natalie pocałowała rodziców na dobranoc i poszła do łóżka. Edith patrzyła za nią z dumą, z jaką zawsze spoglądała na swoje dzieci.

Dbała o nie i bardzo się troszczyła. Pragnęła, żeby zawsze były bezpieczne i szczęśliwe.

Policja otrzymała wiadomość o wpół do dwunastej w nocy. Kierownik hotelu chwilę wcześniej oderwał wzrok od ekranu telewizora, żeby zobaczyć, co się dzieje w pokoju numer 14. Linette zamknęła się z klientem już pięć godzin temu, a pokój był potrzebny dla następnej pary. Poprosił nowych, żeby poczekali, wszedł na górę i zapukał do drzwi.

Odpowiedziała mu śmiertelna cisza.

Otworzył drzwi swoim kluczem. Widok, który ukazał się jego oczom, specjalnie nim nie wstrząsnął. Oczekującej parze powiedział, żeby przysłała innym razem, następnie schował karty kredytowe George'a i dopiero wtedy zatelefonował na policję.

Edith została poinformowana o znalezieniu zwłok dokładnie o północy.

Duane Portillo opuścił posterunek dopiero wtedy, gdy wreszcie upewnił się, co się stało. Pognął z informacją prosto do Shauna O'Grady'ego. Ten podrapał się po głowie, skonsternowany.

– Twierdzisz, że faceta, którego miałeś zamordować, zamordował ktoś inny? Jakaś pierdolona kurwa? Na miłość boską!

Duane pokiwał głową. Sam nie za bardzo mógł w to uwierzyć.

Shaun O'Grady uznał, że cała historia jest bardzo zabawna. Wybuchnął gromkim śmiechem.

– Do cholery, kto w to uwierzy?

Duane Portillo także się roześmiał. Co za popierdolony dzień!

Kate pomagała Lizzy wybrać rzeczy, które miała zabrać do Australii. Od czasu, kiedy została odsunięta od sprawy Rozpruwacza z Grantley, starała się zachowywać swobodnie i nonszalancko. Udawało się jej to jednak coraz gorzej.

– Mamo...

– Co, kochanie?

Lizzy popatrzyła jej w oczy.

– Co się z tobą dzieje? Posprzeczowałaś się z Patrickiem?

Kate w jednej chwili zachciało się równocześnie płakać i śmiać. Czy to była sprzeczka? Lizzy usiadła na łóżko i przyjrzała się jej badawczo.

– Proszę, powiedz, mamo, co się z tobą dzieje? Nie mogę spokojnie patrzeć, jak jesteś nieszczęśliwa.

Kate spojrzała w jej ciemne oczy, tak podobne do jej własnych, i pomyślała, że bardzo kocha swoją córkę.

Kiedy próbowała coś powiedzieć, jej głos załamał się i Lizzy objęła ją ramionami. Kate przez długi czas płakała, przytulona do córki.

Jakiś głos szeptał jej, że tak być nie powinno. Że to ona powinna być wsparciem dla Lizzy, a nie odwrotnie. Ale tak dobrze się czuła, gdy dziewczyna obejmowała ją z miłością gdy całowała jej włosy i mówiła, że niedługo znów wszystko będzie dobrze. Choć Kate wiedziała, że nic nigdy już nie będzie dobrze. Że wszystko, czego pragnęła i co było dla niej najdroższe, zostało zaprzepaszczone. Że wykorzystał ją mężczyzna, którego kochała tak gorąco, iż przyjęłaby go nawet w tej chwili, gdyby do niej przyszedł.

Lizzy pogłaskała ją po głowie i cicho westchnęła. Cieszyło ją że chociaż raz może pomóc matce, że to ona panuje nad sytuacją. Że mama odsłoniła się, przestała udawać silną i cudowną kobietę i przyznała, że też ma problemy.

Kobięcy instynkt podpowiadał Lizzy, że najlepiej pomoże matce, tuląc ją w ramionach i powtarzając, jak bardzo ją kocha. Po raz pierwszy w życiu obie były sobie równe. Uzdrowiły wzajemne stosunki, które nie były najlepsze przez piętnaście lat. Mimo bólu, który ją gnębił, Kate uznawała to za ważne. Bardzo ważne. Znacznie poprawiało to jej samopoczucie.

Trochę później, siedząc w salonie z Evelyn i z Lizzy, przeżyła szok, słuchając wiadomości telewizyjnych o dwudziestej drugiej. Przed chwilą wykąpała się i popijała teraz drinka. Kąpiel przygotowała jej córka. Lizzy wlała do wanny płyn do kąpieli o zapachu lawendy. Działał uspokajająco.

Wiadomość, którą przeczytała Sandy Gall, wstrząsnęła Kate:

– Dzisiaj na Florydzie brytyjski turysta został zamordowany przez prostytutkę. George Markham miał rany cięte całego ciała i poderżnięte gardło. Z informacji, które otrzymaliśmy, wynika, że pan Markham miał pięćdziesiąt jeden lat i poszukiwany był przez brytyjską policję w związku z morderstwami sześciu kobiet i dziecka. Istnieją bardzo poważne podstawy, aby przypuszczać, że to właśnie on był Rozpruwaczem z Grantley. Policja potwierdziła, że natychmiast po powrocie z Florydy miał zostać przesłuchany. Dziś w Libanie...

– Jezu, Chryste! - wyszeptała Evelyn, zaszokowana.

Kate jeszcze przez chwilę wpatrywała się w Sandy Gall. Nagle zerwała się z fotela, pobiegła do holu i zatelefonowała do Caitlina do domu. Odebrał telefon po drugim sygnale.

– Rozumiem, że słuchałaś wiadomości, Katie?

– A więc to prawda?

– Najprawdziwsza. Przyszła kryśka na matyska. Zamordowała go znana prostytutka, Linette... Nie pamiętam nazwiska. Powiedziała policji, że zaatakował ją i działała w samoobronie.

Kate pokiwała głową, zapominając, że Caitlin jej nie widzi.

– Wciąż tam jesteś, Kate?

– Tak, jestem, Kenny. Czuję się jak idiotka.

Kiedy jej odpowiadał, wyczuła, że się uśmiecha.

– Mówiłem ci, żebyś nie wariowała, ale mnie nie posłuchałaś.

– Nie.

– Posłuchaj, Katie, odpoczywaj jeszcze przez kilka dni. Porozmawiam o tobie z Flowersem. Teraz, kiedy sprawa Rozpruwacza jest zakończona, wszyscy możemy się chyba odprężyć, a potem racjonalnie spojrzeć na ostatnie wydarzenia.

Kate pożegnała się z nim i odłożyła słuchawkę.

Czuła się jak ostatnia idiotka. Jeszcze niedawno oskarżała Patricka Kelly'ego, że chce zamordować tego mężczyznę. Poszła do jego domu i zrobiła mu awanturę. Wszystkie słowa, które wówczas wykrzyczała, dzwoniły jej w uszach. Zaczerwieniła się, tak jej było wstyd.

Patrick musiał patrzeć na nią z ogromnym niesmakiem. I czy ktoś miał prawo go za to winić?

Przyłożyła czoło do zimnej ściany i westchnęła. To z jej winy sprawy się tak pokomplikowały. Tylko przez własną głupotę została zawieszona w obowiązkach i, co było o wiele gorsze, pogrzebała swoją szansę na prawdziwe szczęście.

Patrick miał rację, kiedy powiedział, że jest dwudziestoczekaratową idiotką.

Powróciła myślami do nocy, które z nim spędziła. Do radosnego podniecenia. Do wzajemnej bliskości. Do miłości, którą tak szczerze się cieszyli.

Powiedział, że ją kocha. A jak ona mu się odwdzieczyła?

Patrick odebrał telefon już o siódmej piętnaście wieczorem.

Willy patrzył na niego w chwili, gdy krzyknął:

– Chyba żartujesz!

Głos O'Grady'ego przebijał się ponad trzaski na linii.

– Nie, Patrick, sprawa jest jasna jak słońce, mówię ci. Czekałem z telefonem, aż zbiorę wszystkie informacje. Facet pojechał do Orange Blossom Trail, chyba wiesz, że to florydzki odpowiednik londyńskiego Soho, i wziął sobie prostytutkę. W pokoju sprawy wymknęły mu się spod kontroli i ją zaatakował. Oczywiście, kurwy zawsze się bronią podobnymi opowieściami: facet na mnie napadł, więc wyciągnęłam nóż, rewolwer, cokolwiek. Później zeznała, że nie poszła na policję, bo była pewna, że nikt jej nie uwierzy. Kiedy CNN podało, że facet jest poszukiwanym w Anglii seryjnym mordercą, wszyscy tu poszaleli. Na miłość boską dziewczyna jest w tej chwili niemal bohaterką narodową!

– Chryste, nie wierzę w to, co mówisz. Markham zamordował moją córkę. Gotów byłem go ścigać nawet na końcu świata. A jemu przytrafiło się coś takiego. Wiesz co, to jest niewiarygodne.

O’Grady przez chwilę milczał.

– Uwierz mi, przyjacielu. On nie żyje. Możesz już nie myśleć o zemście. Jutro zwrócę ci pieniądze. Trochę wypłacę jednak mojemu człowiekowi. W końcu przez dwa dni podążał za Markhamem jak cień i miał nieco wydatków.

– Jasne, Shaun.

Kelly odłożył słuchawkę i przez kilka sekund wpatrywał się w telefon, jakby nie wierzył, że przed chwilą rozmawiał z tego aparatu. Wreszcie podniósł wzrok na Willy’ego.

– Nie uwierzysz - powiedział.

– Jesteś pewien? Wypróbuj mnie.

Edith popatrzyła na zwłoki George’a i poczuła łzy w oczach.

– Czy to jest pani brat? - zapytał policjant spokojnym, kojącym głosem.

Pokiwała głową.

Patrzyła, jak policjant gestem nakazuje pracownikowi prosektorium, aby z powrotem przykrył twarz George’a. Nagle poczuła się bardzo stara i przestraszona.

– Proszę pani, mam dla pani, niestety, więcej nieprzyjemnych informacji.

– Czy może być coś bardziej nieprzyjemnego niż jego śmierć?

– Policja z Wielkiej Brytanii poinformowała nas, że pani brat zamordował siedem osób, w tym własną żonę oraz małe dziecko. Zostałby aresztowany natychmiast po powrocie do kraju.

Edith zdała sobie sprawę, że właściwie oczekiwała czegoś podobnego. Wciąż czytywała angielskie gazety i o Rozpruwaczu z Grantley wiedziała wszystko, co do tej pory napisano. W głębi serca przeczuwała, że mordercą jest jej brat. Popatrzyła na pełną współczucia twarz policjanta.

– Joss, proszę, zabierz mnie do domu.

Ciężko wstał z krzesła i ujął żonę pod ramię. W samochodzie Edith odezwała się:

– Wiem, że to, co robił George, było złe. Do końca życia będę żałowała, że tu przyjechał. Ale, Joss, tylko ja wiem, dlaczego on był właśnie taki. Wiedząc to, co o nim wiem, potrafię mu jedynie współczuć.

Jej mąż milczał.

Jeżeli kiedyś spotka kurwę, która go zamordowała, z wdzięcznością uściśnie jej rękę.

Joseph Markham i jego żona oglądali wiadomości w głuchym milczeniu. Oboje popatrzyli w pewnej chwili na Nancy. Jej twarz była szara i ściągnięta.

Lily pierwsza z całej trójki doszła do siebie.

– I jak my mamy teraz żyć, Joseph? - wrzasnęła. - Twój brat okazał się Rozpruwaczem z Grantley!

– Bądź cicho, Lily. George zawsze był idiotą. Wszystkie moje dzieci były beznadziejne - warknęła Nancy. - Popatrz na niego. - Ruchem głowy wskazała na Josepha. - Siedzi tutaj jak taki wielki pacan. Jego brat jest mordercą i gwałcicielem, a on sobie po prostu siedzi przed telewizorem. George przynajmniej zakosztował trochę życia.

– Będziemy musieli sprzedać ten dom. Nie możemy tu teraz pozostać. Sąsiedzi wytykaliby nas palcami. Będą o nas mówić, wyśmiewać się z nas.

– Wiedziałam, że to ma coś wspólnego z George'em. Któregoś dnia powiedziałam nawet o moich podejrzeniach policjantom. Obaj moi synowie to zera bez kręgosłupa. Wszystkie moje dzieci były takie. Żadne nie odziedziczyło moich najlepszych cech. Wrodziły się, niestety, w ojca nieudacznika.

Joseph Markham wsłuchiwał się w piskliwy głos żony i niskie, tubalne zrzęczenie matki. Wreszcie, po trzydziestu latach okazywania nadludzkiej cierpliwości, wrzasnął:

– Zamknijcie się, obie!

Nancy i Lily spojrzały na niego z niedowierzaniem.

– Ty - wskazał palcem na matkę - z samego rana pojedziesz do domu starców. Nie mam ochoty czekać przez cały tydzień, aż się wreszcie ciebie pozbędę.

Nancy otworzyła usta, żeby się odezwać, ale Joseph ostrzegawczo uniósł rękę.

– Powiedziałem, żebyś się zamknęła, kobieto.

Jego żona wpatrywała się w niego z szeroko otwartymi oczyma.

– Dom zostanie sprzedany, a ty, Lily, dostaniesz za niego połowę pieniędzy. Ja kupię sobie mieszkanie i żadna z was nie pozna jego adresu. Przez całe życie słuchałem najpierw ciebie, mamó, potem Lily, i wreszcie obu was naraz. Jestem chyba jedynym facetem na ziemi, który musiał słuchać babskiego zrzęczenia w stereofonii. Ale dość tego. George zamordował te wszystkie kobiety, w tym Elaine, a was nic to nie obchodzi. Martwicie się sąsiadami. Pierdolić sąsiadów! Gównu mnie oni obchodzą. Mój brat nie żyje, zamordował sześć kobiet i dziecko. Zamknijcie więc swoje głupie mordy i pomyślcie choć przez chwilę o nim i o jego ofiarach.

Skierował się do drzwi.

– Dokąd idziesz? - zapytała Lily z przerażeniem.

– A jak myślisz, do diabła? Idę zatelefonować do nieszczęsnej Edith. Musi być w szoku. A potem nałożę płaszcz i pojadę do hotelu. Wrócę rano, żeby dopilnować jej wyprowadzki - wskazał na Nancy. - I to najdalej, jak to będzie możliwe. No i zacznę porządkować ten burdel. - Zatoczył ręką dookoła.

Dziesięć minut później obie kobiety usłyszały, jak Joseph uruchamia samochód i odjeżdża.

– To twoja wina! - Lily warknęła na teściową.

– Odpierdol się. - Głos Nancy był pełen rezygnacji.

Lily zacisnęła usta. Jak na jej gust, stanowczo zbyt dużo tu przeklinano. Akurat kiedy jej relacje z Josephem zaczęły się poprawiać, musiała wyniknąć ta historia z George'em!

Jadąc do hotelu, Joseph próbował poukładać sobie w całość wszystkie wydarzenia dzisiejszego wieczoru.

George przekroczył wszelkie granice. Dlaczego nikt wcześniej niczego nie podejrzewał? Cóż, był samotnikiem i mało kto się nim interesował. Przecież on sam odwiedzał Markhamów właściwie jedynie na Boże Narodzenie. Był starszym bratem George'a i powinien był częściej się z nim kontaktować.

Matka też zabrnęła w swoich złościwościach za daleko. Pomyślał, że był szalony, znosząc ją przez te wszystkie lata. Jego groźba wobec Lily była blefem, przecież jej nie opuści, ale miał przeczucie, że najbliższa noc, którą jego żona spędzi w niepewności, dobrze przysłuży się przyszłości ich małżeństwa.

Edith była w fatalnym stanie, z trudem kleciła logiczne zdania. I tak samo jak on czuła w głębi serca, że winną tragedii George'a jest ich matka. Ze wstydem przypominał sobie, jak wszyscy traktowali George'a, kiedy był dzieckiem. Jak Nancy stopniowo pozbawiała swoje dzieci wszelkich naturalnych instynktów.

Joseph zatrzymał samochód i przez kilka minut siedział w milczeniu za kierownicą. Ręce mu drżały i mimo starań nie potrafił tego drżenia opanować.

Przypominał sobie małego George'a w tanich okularach i w długich szarych kolanówkach. Któregoś dnia, kiedy matka była w pracy, bawili się w domu w chowanego. George był zachwycony zabawą i przez cały czas śmiał się serdecznie prawdziwym, szczerym dziecięcym śmiechem. Joseph dobrze zapamiętał ten dzień, ponieważ George śmiał się bardzo rzadko.

Przez większość życia dzieciom Nancy wcale nie było do śmiechu.

Joseph rozplakał się.

Zapłakał nad swoim bratem. Takim, jakiego go znał. Nad małym

chłopcem, którym powinien był się opiekować. Małym chłopcem, który co noc płakał, który śmiertelnie bał się matki, a jednocześnie bardzo ją kochał. To, co z nim robiła, nie miało znaczenia.

Patrick Kelly spał tej nocy mocnym, zdrowym snem, po raz pierwszy od dnia, w którym umarła jego córka.

Zasypiając, pomyślał jeszcze o Kate. Pragnął, by była przy nim, ale wiedział, że po tym, co mu powiedziała, powstała między nimi zbyt wielka przepaść.

Kate Burrows była luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić. Jutro znów zajrzy do małego czarnego notatnika z numerami telefonów. Powróci do kobiet, które go rozumieją, które oczekują od niego jedynie wspólnej wesołej zabawy.

Nie potrzebował Kate Burrows. Miała czterdzieści lat, a jego było stać na każdą młodą, atrakcyjną dziewczynę, jakiej zapragnął. Nie musiał z nich rezygnować. Od jutra znów będzie playboyem.

Uśmiechnął się do tej myśli. Willy też będzie zadowolony. Uwielbiał obserwować romanse swojego szefa.

A Kate Burrows niech się wypcha.

Szczęśliwy, że jego życie znowu jest wesołe i nieskomplikowane, Patrick zasnął.

Kate leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. W głowie kłębiły jej się najdziwniejsze myśli, ciało pragnęło dotyku mężczyzny. Tęskniła za Patrickiem, pragnęła, aby ją kochał tak, jak tylko on potrafił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

4 marca 1990

Kate stała w poczekalni na lotnisku, obserwując, jak Lizzy i Evelyn zgłaszają się do odprawy przed odlotem do Australii. Czekala, aż zostanie zarejestrowany i odebrany ich bagaż. Zrobiło się jej smutno. Następne sześć tygodni miała spędzić samotnie.

Pozostała jej tylko praca i wcale się z tego nie cieszyła. Żałowała, że nie może wsiąść do samolotu razem z nimi, że nie może polecieć do miejsca, gdzie mogłaby zapomnieć o wydarzeniach ostatnich kilku miesięcy.

Lizzy i Evelyn podeszły do niej. Kate patrzyła na wysoką, szczupłą dziewczynę, która ściągała na siebie wzrok mężczyzn, i na idącą obok niej przygarbioną drobną kobietę.

Kiedy Evelyn zaczęła się garbić? Kiedy zaczęła tak szybko się starzeć?

Poszła z nimi aż do stanowiska kontroli paszportowej. Nie rozmawiały o niczym ważnym. Niechętnie się z nimi żegnała, ale nie miała wyjścia. Matka zobaczy swoje drugie dziecko i wnuki, które widziała tylko na fotografiach i z którymi rzadko, ze względu na duże koszty połączeń, rozmawiała przez telefon. Przez lata kolekcjonowała wszystkie listy, które do niej napisały.

Droga babcia... Teraz zobaczy je na własne oczy. Kate cieszyła się, że tak się stanie. Gdyby chciała zatrzymać Evelyn w Anglii, byłaby egoistką.

Kontrola paszportów nie trwała długo. Kate po raz ostatni przytuliła się do matki i pocałowała ją z czułością.

– Baw się dobrze, mammo. I opiekuj się moim dzieckiem, gdy mnie nie będzie.

Evelyn popatrzyła jej w oczy i odrzekła z powagą:

– Czyż nie robiłam tego przez całe życie? To ty uważaj na siebie.

Lizzy cicho płakała i Kate uśmiechnęła się do niej. Z kącika oka wypłynęła jej tylko jedna łza.

– Do widzenia, dziecino.

Lizzy rzuciła się w ramiona matki i mocno ją wyściskała.

– Och, mammo, jaka szkoda, że nie jedziesz z nami. Dasz sobie radę sama?

Kate pocałowała ją.

– Jedź już i baw się dobrze. Naprawdę, korzystaj z tych wakacji. A

zanim się obejrzysz, znów będziesz w domu.

Evelyn pogłaskała Kate po twarzy.

– Zadzwoń do tego Patricka, słyszysz?

– Och, mam, daj spokój. Przyślij mi kartkę z Singapuru.

– To on zapłacił za nasze bilety, wiesz? Nie miałam odłożonych żadnych pieniędzy z polisy ubezpieczeniowej. Gdybym miała, wydałabym je pewnie już dawno temu. Z tego też powinnaś zdawać sobie sprawę. Czy wiesz, że lecimy pierwszą klasą? To prezent od Patricka dla ciebie. Przyszedł z nim, kiedy z Lizzy było bardzo źle.

Kate z niedowierzaniem patrzyła na matkę, a ona w pośpiechu ujęła Lizzy pod ramię i przeszła do poczekalni dla pasażerów. Tam Kate nie miała już wstępu.

Zakręciło jej się w głowie. A więc to Patrick zapłacił za te wakacje?

To było skrajne poniżenie. Oskarżyła go o wszystko, co najgorsze, a on wydał fortunę na bilety lotnicze i hotele dla jej matki i dziecka.

Och, ta jego wielkoduszność. Ta troska o nią. A ona, cóż... Przyjęła wszystko, co zechciał jej dać, a potem go znieważyla.

Patrzyła za matką i córką dopóki nie zniknęły jej z oczu. Wyszła z terminalu i pojechała samochodem do pustego domu. Kiedy wkładała klucz do zamka, odniosła wrażenie, że pusty dom sobie z niej drwi.

Krótko przed piątą wieczorem nalala sobie pierwszego drinka. O siódmej spała już głębokim, pijackim snem.

Oprah Winfrey spojrzała w obiektyw kamery i uśmiechnęła się. Publiczność w studiu jeszcze klaskała, ale po chwili oklaski ucichły i Oprah rozpoczęła kolejny program.

– Pięć tygodni temu w pewnym hotelu w Windermere, na Florydzie, pewien mężczyzna zaatakował prostytutkę. Kobieta, pani Linette Du Bouverie, broniła się dzielnie i go zabiła. W pośpiechu opuściła miejsce zbrodni, ponieważ obawiała się konsekwencji. Później rozpoznał ją młody mężczyzna pracujący w hotelu, który dostarczył do pokoju butelkę whisky. Wkrótce okazało się, że pani Du Bouverie zabiła okrutnego seryjnego mordercę, który na Florydę przyjechał z Anglii. Dzisiaj będziemy rozmawiali z kobietami, które w obronie własnej zabiły napastników. Zacznijmy od spotkania z panią Linette Du Bouverie.

Publiczność oszalała.

Linette wyszła na scenę i uśmiechnęła się. Była drobna, ładna i wyglądała na zwyczajną kobietę, która mogłaby być sąsiadką każdej z osób zgromadzonych w studiu.

Elvis patrzył, jak Linette uśmiecha się do kamery, i zaśmiał się

głośno. Ta Linette była niesamowita.

Kate wróciła do domu z pracy i zaparzyła sobie kawę. W ciągu miesiąca, który minął od wyjazdu Lizzy i Evelyn, nic nie zakłócało rutyny jej dni; niemal wszystkie były identyczne. Pusty dom drażnił ją i, jak każdego wieczoru, włączyła radio, żeby czymś wypełnić głuchą ciszę. Och, jak wiele by dała, żeby znów usłyszeć głośną muzykę Lizzy, docierającą z piętra!

Zadzwonił telefon i Kate podniosła słuchawkę. To była Amanda Dawkins.

– Cześć, moja droga.

– Kate, czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebyśmy wpadli dzisiaj z Philem do ciebie? Mamy dobry film na kasecie i butelkę wina.

Kate uśmiechnęła się do telefonu.

Amanda dzwoniła do niej od czasu do czasu i przychodziła w odwiedziny ze swoim chłopakiem, jakby wiedziała, że Kate czuje się samotna i potrzebuje towarzystwa.

– Będzie mi bardzo miło, Amando, o ile na pewno nie masz nic lepszego do roboty.

– A zatem będziemy u ciebie o wpół do dziewiątej.

– Jaką masz kasetę?

– *Wariatki* z Bette Midler.

– Założę się, że to nie Phil wybierał film.

– Żebyś wiedziała. Gdybym pozwoliła mu wybrać, pewnie przyjechalibyśmy z *Kozmarem na ulicy Wiązów* albo z *Halloweenem*.

– A więc, do zobaczenia.

Kate zjadła kanapkę i pobiegła do łazienki, żeby się wykapać.

Patrick Kelly popatrzył na dziewczynę leżącą obok niego. Leona miała największe niebieskie oczy, jakie widział w życiu, i największe piersi. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła, ukazując białe zęby.

– Napijesz się jeszcze wina?

– Tak, proszę.

Lekko sepleniała, co początkowo bardzo mu się podobało, ale teraz zaczynało mu już działać na nerwy.

Leona była tylko jedną z całej gromadki kobiet, z którymi spotykał się od czasu, gdy zerwał z Kate. Miał złudną nadzieję, że krótkie miłostki raz na zawsze pozwolą mu zapomnieć o Kate. Kiedy spotkał Leone, wierzył, że to właśnie ona będzie tą, która wreszcie doprowadzi go do równowagi.

Nalał jej do szklanki białe wino. Był to tani liebfraumilch. Ani myślał częstować jej drogim winem. Wypiła zawartość szklanki dwoma łykami. Na brzegu naczynia zostawiła ślad szminki.

– Ile masz lat, Leona?

– Dwadzieścia jeden. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Bez specjalnego powodu.

Kelly wypił wino ze swojej szklanki i zaczął się zastanawiać, o czym mógłby z nią porozmawiać.

Leona obserwowała jego zmartwioną twarz. To była już ich trzecia randka i jeszcze nie próbował jej przelecieć. Coś takiego było dla niej nowością i nie wiedziała, czy cieszyć się z tego czy nie. Uważała, że Patrick jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn spośród tych, z którymi się dotąd spotykała.

Przyjęła w życiu złotą zasadę, że wieczory będzie spędzać tylko tam, dokąd chodzą bogaci i niezbyt wybredni mężczyźni. Była wystarczająco rozgarnięta, by wiedzieć, że ze swoją urodą i proporcjonalnym ciałem nie będzie miała problemów z owijaniem ich sobie wokół palca.

Jeździła nowiutkim golfem gti, miała własne mieszkanie i potrzebowała facetów takich jak Patrick Kelly, żeby ubarwiali jej życie. Wcześniej rzuciła szkołę i posiadając jako jedyne atuty piękną buzię i duże piersi, po prostu żyła z mężczyzn.

Jak dotąd zarobiła na mieszkanie, samochód i odbyła kilka atrakcyjnych wycieczek do różnych ciekawych zakątków świata.

Tego Kelly'ego mogłaby nawet polubić. Był przystojny i pewny siebie, a to jej się podobało. Nie mogła się doczekać, kiedy pójdą do łóżka. Patrick miał szeroki gest, co dla Leony też nie było bez znaczenia.

Wiedziała, że intensywnie szukał w myślach jakiegoś tematu do wspólnej rozmowy.

– Opowiedz mi o sobie, Patrick.

Usiadła wygodniej na krześle. Ktoś jej kiedyś powiedział, że mężczyzna jest szczęśliwy przede wszystkim wtedy, kiedy może skoncentrować się na swoim ulubionym temacie: na sobie. Wielokrotnie doświadczyła już, jak bardzo jest to zgodne z prawdą. Potrafili opowiadać o sobie całymi godzinami. A Leona mogła w tym czasie rozmyślać na swój ulubiony temat: oczywiście, także o sobie.

Patrick zaczął mówić, ale szło mu to bardzo nieskładnie. Nie chciał się przed nią odkrywać. Właściwie to już miał jej dość. Nie chciało mu się z nią rozmawiać. Uznał, że należy złapać byka za rogi.

– Chcesz iść do łóżka?

Leonora wzruszyła ramionami.

– Czemu nie?

Poszła za nim po schodach, wyceniając w myślach wszystko, co po

drodze zauważyła.

Facet był cholernie bogaty.

Phil obserwował Kate i Amandę oglądające film. Uśmiechnął się do siebie. Kobiety uwielbiały w filmach przede wszystkim piękne śmierci. Ciągłe go to zdumiewało. Przeczekał już *Czułe słówka* i *Kto pokocha moje dzieci?* Amanda oba filmy uwielbiała, a on ich nienawidził. Sceny powolnego umierania nie należały do jego ulubionych. Wolał raczej oglądać *Predatora*. Tam ginęło mnóstwo ludzi, ale - jak dla Amandy - w zbyt wielkim pośpiechu. Kate była podobna. Z wypiekami na twarzy patrzyła, jak bohater filmu powoli gaśnie, a to na raka, a to na zapalenie płuc.

Otworzył sobie kolejne piwo, kobietom zaś nalał do kieliszków wino. Kate pociągnęła nosem. Lubiała dobre melodramaty i uważała, że miło jest w trakcie takiego filmu popłakać sobie w towarzystwie innej kobiety. Bette Midler chodziła po plaży z córką swej najlepszej przyjaciółki i usiłowała się z nią zaprzyjaźnić, zanim umrze jej matka.

Kate wypila łyk wina i wytarła oczy chusteczką. Czuła się taka samotna. Bardzo, bardzo samotna.

Wstała z kanapy i poszła do kuchni. Wcześniej przygotowała kilka kanapek. Teraz ściągnęła z nich folię i zniosła je do salonu.

Phil, którego jasne miedziane włosy lśniły w blasku telewizyjnego ekranu, uśmiechnął się do niej i od razu zaczął jeść.

Kate miała nadzieję, że Phil i Amanda nie zostaną dzisiaj zbyt długo. Ostatnio lubiała trochę czytać w łóżku przed zaśnięciem. Poczawszy od dni, gdy razem szukały Rozpruwacza z Grantley, zaprzyjaźniła się z Amandą i bardzo sobie tę przyjaźń ceniła. Ale czasami ogarniała ją taka melancholia, że po prostu chciała być sama.

Rozumiała, dlaczego coś było z nią nie w porządku, i wiedziała też, kto mógł jej pomóc. Nie potrafiła jednak zdobyć się na to, by do niego zatelefonować albo po prostu pójść do jego domu.

Patrick leżał nagi na łóżku i palił papierosa. Leona też ani myślała się ubierać.

Zauważył, że powiesiła swoje rzeczy w jego szafie i uśmiechnął się ponuro do siebie. Najwyraźniej uważała, że zadomowi się u niego na kilka dobrych miesięcy. Stała przed nim, z lekkim uśmiechem, kusząc go wielkimi piersiami. Czekwała na efekt, jaki wywoływały u wszystkich mężczyzn. Szczególnie u starszych mężczyzn.

Patrick rzucił jej jedynie krótkie spojrzenie. Co właściwie chciał sobie udowodnić?

Jak i inne dziewczyny, które miał podczas minionych tygodni, Leona była mu obojętna. Popatrzył, jak jej usta układają się w wyraz

rozczarowania, i na chwilę zrobiło mu się jej żal.

Podeszła do niego nieśmiało.

– Nie lubisz mnie? - zapytała cicho.

– Oczywiście, że cię lubię. Jesteś piękna.

Pochyliła się z gracją i zaczęła głaskać jego miękki penis.

– Leona chce się bawić.

Patrick westchnął. Wolałby zagrać z nią w karty lub rzucać strzałkami do tarczy.

Naciągnęła mu skórę na członku, powoli i z wprawą, i Patrick mimo wszystko poczuł dreszcz podniecenia. Zamknął oczy. Kiedy objęły go jej wilgotne usta, cicho jęknął.

Leona ssła go z taką energią, jakby od tego zależało jej życie. Po raz pierwszy od dawna to ona musiała przejąć inicjatywę w łóżku i wcale jej się to nie podobało. Zazwyczaj wystarczało jedno spojrzenie na jej piersi, by członek prężył się jak struna. Poczula, że penis sztywnieje w jej ustach i z trudem powstrzymała torsje.

Leona nienawidziła seksu oralnego. Zachowywała oralne zabawy na koniec, kiedy czuła, że mężczyzna jest nią już znudzony.

Delikatnie ujęła w dłoń jądra Paricka. Chwilę je pieściła. Wreszcie uznała, że członek jest wystarczająco sztywny i usiadła na Paricka.

Była w środku zupełnie sucha, jednak zmusiła się, by go w siebie włożyć. Kiedy zaczęła na nim podskakiwać, Patrick otworzył oczy.

Zamiast długich jedwabistych włosów, ujrzał włosy proste i jasne. Zamiast małych, sterczących piersi Kate, z ciemnoczerwonymi brodawkami, zobaczył dwa wielkie cycki dyndające mu nad głową. Zamiast ciemnobrązowych, inteligentnych oczu, zobaczył parę oczu niebieskich, obojętnych, byle jakich.

Stracił erekcję w rekordowym czasie.

Leona poczuła, jak w niej więdnęła, i zeskoczyła z niego ze złością. Jak śmiał? Miał za nic jej starania.

Usiadła na skraju łóżka i złożyła ręce na piersiach. Na jej ślicznej buzi pojawił się grymas złości.

– Przepraszam, kochanie. Jestem zmęczony, to wszystko.

Leona zmierzyła go groźnym spojrzeniem. Jednego była pewna: jej ciało było najlepszą rzeczą, jaką ten palant widział w życiu. Może więc jest homoseksualistą? Wzruszyła ramionami. Żałowała, że nie kazała mu nałożyć kondoma.

Popatrzyła na niego przez półprzymknięte powieki.

– Nie jesteś czasem pedziem, Patrick?

Gapił się na nią, dopóki nie dotarło do niego znaczenie tych słów. I nagle, ku zaskoczeniu obojga, zaczął się śmiać. Śmiał się tak głośno, że Willy, który siedział w bibliotece i popijał brandy, spojrzął na sufit,

zadowolony, że Patrick tak dobrze się bawi.

A Patrick śmiał się tak szczerze, że po policzkach potoczyły mu się wielkie, ciężkie łzy.

Leona miała już tego dosyć. W pośpiechu się ubrała. Stanąwszy nad łóżkiem, pełna godności, wbiła w jego pierś starannie wymanikiurowany paznokieć.

– Słyszałam o takich mężczyznach. Powinieneś się ujawnić. To już nie jest przestępstwo. A za czas, który na ciebie straciłam, jutro wystawię ci rachunek.

Z tymi słowami zeszła do holu, żeby zawołać taksówkę.

Patrick pozostał na łóżku. Wciąż czuł zapach jej perfum.

Po chwili znowu zaczął się z niej śmiać. Nagle urwał.

Przecież to mogła być jego Mandy. Mandy była o wiele bardziej inteligentna, oczywiście, lecz obie były w tym samym wieku. Co by pomyślał, gdyby dowiedział się, że jego córka sypia z facetem starszym od niej o dwadzieścia lat? I to nie z miłości, ale dla kilku marnych funtów i dla dobrej zabawy?

Zamknął oczy i przetarł dłońmi powieki, próbując wykreślić z pamięci wizję wielkich piersi Leony. Poczul się samotny. Przecież to Kate powinna być przy nim. Ale czy to kiedykolwiek nastąpi po tym, co się między nimi wydarzyło? Wiedział, że myślała o nim jak najgorzej, ale cieszył się teraz, że jednak nie przyłożył ręki do śmierci Markhama.

Miał niewielką nadzieję, że dowiedziawszy się, jak zginął Markham, Kate zatelefonuje do niego. Wszystko mogłoby być znów tak jak dawniej. Ale nic z tego. Nie odezwała się, nie zadzwoniła. On zaś nie wyciągnie ręki pierwszy. Był na to zbyt dumny.

To, co mu powiedziała podczas ostatniego spotkania, bardzo go bolało, ponieważ było prawdą. Przejrzała go na wylot. Dopiero po śmierci Markhama, kiedy opuściła go cała euforia, zdał sobie sprawę, że zemsta to wcale nie jest rzecz tak słodka, jak mu się początkowo zdawało. Wszystkie gazety rozpisywały się o okropnym dzieciństwie tego człowieka. Jego siostra w Ameryce pierwsza zaczęła o tym mówić. Twierdziła, że trzeba go osądzać sprawiedliwie.

Kelly czytał wszystko, co dotyczyło Markhama, i w końcu zaczął mu współczuć. Rozpruwacz z Grantley był człowiekiem chorym. Ale czy on, Patrick, nie wiedział o tym już wtedy, kiedy planował jego zabójstwo?

Uniósł się na łokciu. Kate miała rację. Markham potrzebował pomocy. A Patrick bardzo pragnął, żeby Kate była teraz przy nim. Zapragnął jej w tej samej chwili, w której ujrzał ją po raz pierwszy w życiu. Dziś mógł to przed sobą przyznać.

Jak mawiała jego matka?

Aby płacać długi wobec Boga, nie są potrzebne pieniądze.

Cóż, i Patrick Kelly, i George Markham spłacili już swoje długi z nawiązką.

Kiedy film się skończył, Kate i Amanda popatrzyły po sobie i roześmiały się przez łzy. Phil wstał i włączył światło.

– Ech, wy, kobiety, zadziwiacie mnie. Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego może człowieka zasmucić.

– Phil, to był uroczy film!

Wyszedł do holu, zmierzając do łazienki. Telefon zadzwonił akurat, kiedy obok niego przechodził, więc nie namyślając się wiele, podniósł słuchawkę.

– Halo.

Po drugiej stronie panowała cisza, toteż odezwał się jeszcze raz:

– Halo, kto mówi?

Podeszła do niego Kate.

– Kto dzwoni?

Phil wzruszył ramionami.

– Ktoś chyba pomylił numer.

Wszedł do łazienki, a Kate ruszyła do kuchni zaparzyć kawę.

Patrick Kelly leżał w łóżku. W jednej ręce trzymał słuchawkę, a drugą zakrywał mikrofon.

Aż gotował się ze złości. Już przygruchała sobie kogoś nowego! Nie traciła czasu.

Spojrzał na zegar. Było krótko po jedenastej. Pewnie przerwał jej seks. Złośliwa suka! Pomyśleć, że z jej powodu odepchnął przed chwilą taką ładną dziewczynę! Był głupi, że ją kochał.

Nie, to już naprawdę koniec. Dostał nauczkę. Żadna kobieta nigdy nie zastąpi mu Renée.

Na dole Willy nalewał sobie następną szklaneczkę brandy. Dziewczyna już sobie poszła, a Patrick próbował gdzieś zadzwonić. Willy z zadumą potrząsnął głową.

Problem Patricka polegał na tym, że nie rozumiał, iż wbrew wszelkim przeciwnościom stanowi z tą Burrows doskonałą parę. Willy bardzo ją lubił. Nie była najmłodsza, nie miała wielkich cycków i niebieskich oczu, ale miała klasę. I to się liczyło.

Wypił trochę brandy należącej do szefa i zaczął czytać gazetę.

Kate zajmowała się teraz serią włamań, które zdarzały się już od dobrych dwóch lat. Wszystko wskazywało na to, że dokonuje ich ten

sam sprawca. Włamywał się do mieszkań samotnych kobiet, kiedy te spały, wykorzystywał ofiary seksualnie, po czym przeszukiwał sypialnię i kradł znajdujące się w niej pieniądze i biżuterię. Kate niepokoiła agresja na tle seksualnym. Zakładała, że kradzieże są tylko zasłoną dymną. Najważniejsze dla przestępcy były gwałty, gotowa była postawić na to każde pieniądze.

Zadzwonił telefon.

– Burrows.

– Cześć, Kate.

Odsunęła słuchawkę od ucha i przez moment wpatrywała się w mikrofon. Dopiero po chwili odpowiedziała:

– To ty, Willy?

– Tak.

Na linii zapadło milczenie.

– Czym ci mogę służyć?

– Może byśmy się spotkali?

– W jakiej sprawie?

– Wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Spotkajmy się, proszę.

Kate oblizała usta.

– Gdzie chciałbyś się ze mną spotkać?

– Może w restauracji Cartella? Dziś wieczorem, o wpół do dziewiątej?

– Czy to ma związek z Patrickiem?

Kate usłyszała, jak Willy przełyka ślinę.

– Nie, skądże. Zabiłby mnie, gdyby wiedział, że do ciebie dzwonię.

Kate ogarnęło ogromne rozczarowanie. A więc Patrick nie chce nawet słyszeć jej imienia? Trudno, właściwie nie powinna mieć do niego pretensji.

– A więc dzisiaj o wpół do dziewiątej - powtórzył Willy. I natychmiast się rozłączył.

Miała zatem po prostu zjeść z nim kolację? Co za niedorzeczność. Postanowiła na razie o tym nie myśleć i zajęła się dokumentami. Później zdecyduje, co robić.

Patrick wszedł do salonu i uśmiechnął się szeroko.

– Dokąd idziesz taki wystrojony?

Willy miał na sobie wieczorowy garnitur i z daleka pachniał męskimi kosmetykami.

– Wyobraź sobie, że idę na randkę.

– Co? Od lat nic takiego ci się nie zdarzyło.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, prawda? Umówiłem się z lalą

dużej klasy.

Patrick roześmiał się głośno.

– A więc powodzenia. Tylko niech z ciebie za dużo nie zedrze.

Willy lekko się zdenerwował.

– Pat, skoro ty płacisz swoim laluniom, nie powinieneś zakładać, że wszyscy mężczyźni to robią. Spotykam się dzisiaj z bardzo szanowaną kobietą. Ma dobrą pracę i w ogóle. Gdybyś ją zobaczył, na pewno by ci się spodobała.

Patrick popatrzył na niego i uśmiechnął się. Przecież Willy zwykle spotykał się z kobietami, które raczej nie grzeszyły urodą. Patrick zachował jednak tę myśl dla siebie.

– Możesz wziąć rollsa, Willy, zrobisz na niej wrażenie.

– Dzięki, Pat. A ty na którą zamówiłeś swój stolik?

– Na kwadrans przed ósmą. Ale nie martw się o mnie, sam dojadę na miejsce. Wezmę któryś z samochodów.

– Jasne.

Willy patrzył, jak Patrick wychodzi z domu, a potem usiadł na chwilę na kanapie. Miał nadzieję, że Kate się zjawi.

Kate postanowiła, że jednak spotka się z Willym. Chociażby po to, żeby się dowiedzieć, jak się miewa Patrick. Trochę martwiła ją myśl, że ktoś może ją zobaczyć z Willym w publicznym miejscu. Kochany Willy nie był najprzystojniejszym z mężczyzn.

Nałożyła nowy kostium. Miał ciemnoczerwony kolor i doskonale pasował do jej ciemnych włosów. Kiedy popatrzyła w lustro, spodobała się samej sobie. Całkiem nieźle, oceniła.

Zajechała na parking przy Cartelli o ósmej dwadzieścia. W rollsie Patricka czekał już na nią Willy. Podszedł do niej, kiedy zamykała swój samochód.

– Wyglądasz uroczo, Kate.

Uśmiechnęła się do niego. Mocny zapach jego wody po goleniu sprawił, że niemal zakaszła. W. wieczorowym garniturze Willy wyglądał całkiem przyzwoicie. Dopiero teraz Kate uświadomiła sobie, jak bardzo go lubi. Kiedy szli do restauracji, ujął ją pod rękę. Położył dłoń na jej dłoni i uśmiechnął się.

Patrick uśmiechał się do dziewczyny siedzącej naprzeciwko niego. Była naprawdę urocza. Od wieczoru, kiedy zatelefonował do Kate i słuchawkę podniósł mężczyzna, postanowił, że będzie dobrze się bawił.

Poznał Michelle trzy dni wcześniej. Była uderzająco piękna, a kiedy szli do stolika, wędrowały za nią spojrzenia wszystkich mężczyzn. Miała

pięć stóp i dziesięć cali wzrostu i, jak jej poprzedniczki w łóżku Patricka, wielkie piersi, których kształt był doskonale widoczny pod cienkim materiałem białej sukienki. Miała też długie jasne włosy i fioletowe oczy.

Po raz pierwszy od miesięcy Patrick czuł, że wreszcie spotkał dziewczynę, którą mógłby polubić. Michelle była przebojową kobietą. Była osobistą sekretarką dyrektora pewnej firmy eksportowej i Patrick zupełnie przypadkowo natknął się na nią w jego biurze. W przeciwieństwie do poprzedniczek była inteligentna i bardzo łatwo nawiązywała rozmowę.

Sama zamówiła dla siebie kolację i jadła z apetytem. Patrick nienawidził kobiet, które ledwie grzebały widelcem po talerzu, obawiając się, że każdy kęs jedzenia może oznaczać dodatkowy funt wagi. Szczególnie, gdy posiłek kosztował go małą fortunę.

Michelle była kobietą która czerpała z życia pełnymi garściami.

– Nigdy tu jeszcze nie byłam. Często tu przychodzisz? Odnoszę wrażenie, że starszy kelner dobrze cię zna.

Patrick lekko się zaczerwienił.

Starszy kelner rzeczywiście go znał i orientował się także, ile kobiet już tutaj przyprowadził. Kiedyś nawet w tajemnicy prowadzono w kuchni zeszyt, starannie notując kolejne dziewczyny i czas, przez jaki cieszyły się jego względami.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Patrick był coraz bardziej zafascynowany Michelle. Uroczą dziewczyną.

Kiedy Willy i Kate weszli do restauracji, starszy kelner skoczył ku nim z radosnym uśmiechem. Był piątkowy wieczór, sala pękała w szwach, pełną parą pracowała i kuchnia, i kasa. Pierre - naprawdę nazywał się Albert Diggins - był współwłaścicielem Cartelli. Cieszył się, bo restauracja zaczynała przynosić zyski. Kiedy stanął przed Kate i Willym, do głowy przyszło mu pytanie, co taka atrakcyjna kobieta robi tutaj w towarzystwie takiego brzydala.

– Poproszę pana o nazwisko.

– Gabney. William Gabney. Zarezerwowałem stolik dla dwóch osób.

– Ach, ten specjalny stolik. Pamiętam, sam przyjmowałem rezerwację.

Uśmiechnął się szeroko. Szampański stolik kosztował Gabneya sto funtów już za samą rezerwację.

– Proszę za mną.

Wskazał ręką kierunek. Kate, tłumiąc śmiech, ruszyła za nim razem z Willym, który wciąż ujmował ją pod ramię. Tę scenę ujrzał Patrick Kelly, który akurat podniósł głowę znad steku. Prawie się udławił kawałkiem

mięsa. Zaczął gwałtownie kaszleć.

Kate popatrzyła mu w oczy i ujrzała w nich odbicie swojej zaskoczony twarzy. Spojrzała na blondwłosą boginię, siedzącą przy stoliku naprzeciwko Patricka. Dziewczyna szybko wstała i zaczęła energicznie klepać Patricka po plecach, gdyż z trudem łapał oddech. Jej ruchy wprawiły w kołysanie wielkie piersi. Nie tylko Willy, ale i pozostali mężczyźni zajmujący miejsca przy stolikach, nawet Pierre, zerknąwszy w jej kierunku, nie potrafili już od niej oderwać wzroku. Pierre wpadł na jakieś krzesło i boleśnie uderzył się w krocze.

Kate z trudem nad sobą zapanowała. Ścisnąwszy mocniej jej ramię, postępując krok w krok za cierpiącym i niemal zgiętym w pół Pierre'em, Willy dotarł do ich stolika.

Znajdowali się zaledwie sześć stóp od Patricka i jego dziewczyny. Butelka szampana już się chłodziła w srebrnym wiaderku z lodem.

Pierre w widowiskowy sposób otworzył butelkę, mając nadzieję, że inni klienci złożą podobne zamówienie. Rozlał szampana do kieliszków i Kate od razu wzięła swój do ręki. Siedziała dokładnie naprzeciwko Patricka i oboje co chwilę spoglądali na siebie ukradkiem.

Michelle wyczuła, że coś się dzieje, i obejrzała się za siebie.

– Znasz tę kobietę czy co?

Patrick zaczerwienił się.

– Trochę ją znam.

Michelle roześmiała się.

– Moim zdaniem znasz ją o wiele lepiej niż trochę. Mam rację?

Pokiwał głową.

Willy sączył szampana i obserwował twarz Kate. W tej chwili było mu przykro, że ją tutaj zabrał. Kate popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.

– Przepraszam cię, Willy, ale muszę stąd wyjść.

Wstała i wyszła z sali. Znalazłszy się w holu, od razu weszła do toalety. Ciężko oparła się o umywalkę. Jej twarz płonęła żywym ogniem. Czua się poniżona. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Wyglądała bardzo dobrze, zdawała sobie z tego sprawę, nie mogła się jednak równać z dziewczyną, która siedziała naprzeciwko Patricka. Biedny Willy. Ale wpadł.

Do diabła, dlaczego zgodziła się tu z nim przyjść?

Skropiła twarz zimną wodą, żeby się trochę uspokoić. Poprawiła czerwoną szminke na ustach i wyszła z toalety.

Patrick czekał na nią.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Cześć, Kate.

– Witaj, Patrick.

Odnosiła wrażenie, że jej głowę powoli wypełnia gorąca mgła. Bliskość Patricka sprawiała, że czuła niemal fizyczny ból. Musiała użyć całej siły woli, by nie wyciągnąć ręki i nie pogłaskać go po włosach, nie dotknąć opuszkami palców jego twarzy.

Wbiła wzrok w posadzkę. Nie była w stanie na niego patrzeć.

– Co u ciebie słysząc?

– Wszystko w porządku. A u ciebie? - Kate zdziwiła się, że jej głos brzmi normalnie, zupełnie spokojnie.

– Teraz znacznie lepiej, skoro cię zobaczyłem.

Oczy Kate, zupełnie bez jej zgody, same przyłgnęły do twarzy Patricka.

– Tęskniłem za tobą.

Patrick robił właśnie to, czego - przysiągł sobie - miał nigdy już nie zrobić. Gdyby Kate teraz odeszła, czułby się poniżony i upokorzony do końca życia.

Kate popatrzyła mu w oczy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Kocham cię, Kate.

– A ta cynamonowa restauracja? Ją także kochasz?

Patrick poczuł, jak ogarnia go euforia.

Kate była zazdrosna!

– Nie, nie kocham jej. To ciebie pragnę. Nie mogę jeść, nie mogę spać, nawet nie potrafię bzykać od czasu, kiedy się rozstaliśmy.

Kate roześmiała się. Patrick potrafił być taki zabawny. Błagał ją, żeby do niego wróciła, a przecież to z jej winy się rozstali.

– To co robimy?

– Pojedziemy do domu. Twój dom jest u mnie, Kate.

– A co z Willym i z tą... dziewczyną?

– Willym się nie przejmuj. A jeśli chodzi o dziewczynę, sama powiedziała, żebym za tobą poszedł. Jest bardzo bystra, daleko zajdzie.

Kate spojrzała w głębokie niebieskie oczy Patricka i wreszcie zaakceptowała oczywistą prawdę. Potrzebowała tego mężczyzny. Kiedy był przy niej, czuła, że żyje, naprawdę żyje. Chciała, aby to uczucie trwało już do końca jej dni.

– Tęskniłam za tobą, Patrick.

Podszedł do nich Willy.

– Odwiozę Michelle do domu rollsem.

– Dzięki, Willy. - Patrick potrząsnął jego dłonią.

Willy zaczerwienił się.

– Wiedziałem, że kiedy się znów spotkacie, wszystko będzie w

porządku.

Kate uśmiechnęła się do niego i Willy wrócił do restauracji.

– A więc do domu? - spytał Patrick.

Kate ujęła go pod ramię.

– Tak, chodźmy do domu, Pat.

Na parkingu przystanęli przed BMW Patricka. Mężczyzna objął Kate i z czułością pocałował ją w usta.

Willy obserwował ich przez okno restauracji. Pasowali do siebie doskonale, jak dwa fragmenty tej samej układanki. Wziął do ręki kieliszek i wzniosł cichy toast: za Pata Kelly'ego i Kate Burrows.